

POD SZTANDAREM I DZIKIEGO KWIATU

KRÓLOWIE DARY



LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS

KEN LIU

SON
imaginatio

POD SZTANDAREM I DZIKIEGO KWIATU

KRÓLOWIE DARY

KEN LIU

tłumaczenie
AGNIESZKA BRODZIK

Kraków 2016

Dla mojej babci, dzięki której poznałem wspaniałych bohaterów dynastii Han. Nigdy nie zapomnę wieczorów spędzanych na słuchaniu opowieści pinshu w radiu.

Także dla Lisy, która zobaczyła Darę jeszcze przede mną.



LISTA NAJWAŻNIEJSZYCH BOHATERÓW

CHRYZANTEMA I MLECZ

KUNI GARU: chłopiec, który woli zabawę od nauki; przywódca gangu ulicznego i ktoś znacznie ważniejszy.

MATA ZYNDU: chłopiec o szlachetnej postawie i duchu; ostateczny syn Klanu Zyndów.

ŚWITA KUNIEGO

JIA MATIZA: córka właściciela ziemskiego i znawczyni ziół; żona Kuniego.

COGO YELU: urzędnik administracji miasta Zudi; „wysoko postawiony” przyjaciel Kuniego.

LUAN ZYA: potomek poważanego rodu z Haanu; poszukiwacz przygód z ludu Tan Adü.

GIN MAZOTI: sierota z ulic Dimushi, która szukała szczęścia podczas rebelii.

RIN CODA: przyjaciel Kuniego z dzieciństwa.

MÜN ÇAKRI: rzeźnik i jeden z najbardziej walecznych wojowników Kuniego.

THAN CARUCONO: stary stajenny z Zudi.

RISANA: iluzjonistka i doskonała muzyk.

DAFIRO MIRO, „DAF”: jeden z pierwszych buntowników pod Huno Krimq; brat Ratho Miro.

SOTO: gospodyni Jii.

ŚWITA MATY

PHIN ZYNDU: wuj Maty, jego nauczyciel i przybrany ojciec.

TORULU PERING: stary uczonec, doradca Maty.

THÉCA KIMO: buntownik, pochodzi z Tunoi.

MIRA: hafciarka i śpiewaczka z Tunoi, jedyna kobieta, która rozumie Matę.

RATHO MIRO, „RAT”: jeden z pierwszych buntowników pod Huno Krimq, brat Dafiro Miro.

REBELIA

HUNO KRIMA: przywódca pierwszych rebeliantów buntujących się przeciwko Xanie.

ZOPA SHIGIN: kompan Huno, przywódca pierwszych rebeliantów buntujących się przeciwko Xanie.

IMPERIUM XANY

MAPIDÉRE: pierwszy cesarz Siedmiu Wysp Dary, jako król Xany nazywał się Réon.

ERISHI: drugi cesarz Siedmiu Wysp Dary.

GORAN PIRA: kasztelan Xany, przyjaciel z dzieciństwa króla Réona.

LÛGO CRUPO: regent Xany, wspaniały uczonec i kaligraf.

TANNO NAMEN: szanowany generał Xany.

KINDO MARANA: główny poborca podatkowy imperium.

SZEŚCIU KRÓLÓW TIRO

KSIĘŻNICZKA KIKOMI I PONADOMU, KRÓL AMU: skarb Arulugi i brat jej dziadka.

THUFI, KRÓL COCRU: niegdyś pasterz, namawia królów Tiro do zjednoczenia się.

SHILUÉ, KRÓL FAÇA: ambitny, lecz ostrożny, miesza się w sprawy Rimy.

DALO, KRÓL GANU: włada najbogatszym z Sześciu Królestw.

COSUGI, KRÓL HAANU: stary król, który stracił już apetyt na ryzyko.

JIZU, KRÓL RIMY: młody książę, który wychował się jako rybak.

BOGOWIE DARY

KIJI: patron Xany, Władca Powietrza, bóg wiatru, latania i ptaków; jego pawi to sokół Mingén; lubi swój biały płaszcz podróżny.

TUTUTIKA: patronka Amu, najmłodsza z bogów; jej pawi to złoty karp.

KANA I RAPA: bliźniacze patronki Cocru; Kana jest boginią ognia, popiołu, kremacji i śmierci, Rapa jest boginią lodu, śniegu, lodowców i snu; ich pawi to bliźniacze kruki: czarny i biały.

RUFIZO: patron Faça, Święty Uzdrowiciel; jego pawi to gołąb.

TAZU: patron Ganu, nieprzewidywalny, chaotyczny, uwielbia ryzykować; bóg prądów morskich, tsunami i zatopionych skarbów; jego pawi to rekin.

LUTHO: patron Haanu, bóg rybaków, wróżbiarstwa, matematyki i wiedzy; jego pawi to żółw morski.

FITHOWÉO: patron Rimy, bóg wojny, łowów i fałszerstwa; jego pawi to wilk.



Uwagi o wymowie

Wiele imion w Darze pochodzi z klasycznego ano. Zapis literowy klasycznego ano w niniejszej książce nie zawiera samogłosek dwuliterowych; każda samogłoska wypowiedziana jest oddzielnie. Na przykład „Réfiroa” ma cztery sylaby: ré-fi-ro-a. Z kolei „Na-aroénna” ma ich pięć: na-a-ro-én-na.

Literę *i* zawsze wymawia się tak jak w angielskim słowie „mill” (czyli jak polskie *i* – przyp. tłum.).

Literę *o* zawsze wymawia się tak, jak w angielskim słowie „code”.

Literę *ü* zawsze wymawia się tak jak w języku niemieckim albo chińskim pinyin.

Niektóre imiona mają inne pochodzenie i zawierają sylaby nieznane w klasycznym ano, na przykład *xa* w „Xana” czy *ha* w „Haan”. Jednak nawet w takich przypadkach wszystkie samogłoski wymawia się oddzielnie. Dlatego też „Haan” składa się z dwóch sylab.

WSZYSTKO, CO POD NIEBEM

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZABÓJCA

ZUDI: SIÓDMY MIESIĄC CZTERNASTEGO ROKU RZĄDÓW JEDNEGO JASNEGO NIEBA

Biały ptak szybował po zachodniej stronie czystego nieba i od czasu do czasu machał skrzydłami.

Być może był to ptak drapieżny, który w poszukiwaniu ofiary opuścił swoje gniazdo znajdujące się kilka kilometrów dalej, na jednym z wysokich szczytów gór Er-Mé. Jednak nie był to dobry dzień na łowy – typowy teren łowiecki tego ptaka, czyli ta spieczona przez słońce równina Porin, został zajęty przez ludzi.

Tysiące widzów stanęły po obu stronach szerokiej drogi biegnącej z Zudi; nie poświęcali ptakowi ani krztyny uwagi. Przybyli tutaj, by obejrzeć Cesarską Paradę.

Wzdychali z zachwytem, gdy nad ich głowami przeleciały gigantyczne sterowce cesarstwa, zmieniając wdzięcznie jedną formację w drugą. Gapili się z otwartymi ustami w pełnej szacunku ciszy, kiedy przetoczyły się przed nimi ciężkie wozy wojskowe; ramiona miotające kamieniami owinięte były grubymi zwojami byczych ścięgien. Podziwiali dalekowzroczność i hojność cesarza, kiedy jego inżynierowie opryskiwali tłum perfumowaną wodą z wozów lodowych, chłodną i odświeżającą w żarze lejącym się z nieba i pełnym kurzu powietrzu północnego Cocru. Oklaskiwali i dopingowali najlepszych tancerzy z sześciu podbitych królestw Tiro: pięćset dziewcząt z Faça, wijących się kusząco w tańcu z woalem, do niedawna występujących wyłącznie przed członkami dworu królewskiego w Boamie; czterystu cocruskich żonglerów mieczami, których wirujące ostrza tworzyły jasne chryzantemy zimnego światła, łącząc w sobie wojskową chwałę z liryczną gracją; tuziny dostojnych i okazałych słoni z Siedmiu Królestw – największych samców ozdobiono białymi flagami Xany, czego można się było spodziewać, podczas gdy reszta niosła tęcze kolory podbitych ziem.

Słonie ciągnęły platformę na kołach, na której stało dwustu najlepszych śpiewaków z Wysp Dary; chór, który nie zaistniałby, gdyby nie doszło do Zjednoczenia Xany. Śpiewali nową pieśń, kompozycję wspaniałego cesarskiego uczonego, Lügo Crupo, ułożoną specjalnie dla uświetnienia cesarskiej podróży po Wyspach:

*Na północy płodne Faça, zielone niczym oczy Rufizo,
Pastwiska osłodzone deszczem, skaliste wyżyny spowite mgłą.*

Żołnierze maszerujący obok platform rzucali w tłum ozdóbki: misterne węzélki w xańskim stylu, splecione z kolorowych sznurków reprezentujących Siedem Królestw. Kształty węzélków miały przypominać logogramy oznaczające „bogactwo” i „szczęście”.

Widzowie przepychali się i walczyli między sobą o pamiątki z tego ekscytującego dnia.

*Na południu zamki Cocru, pola sorgo i ryżu, oba blade i ciemne,
Czerwone jak żołnierska chwała, białe jak dumna Rapa, czarne jak smutna Kana.*

Tłum wiwatował wyjątkowo głośno po wersie odnoszącym się do ich rodzinnych ziem.

*Na zachodzie: kuszące Amu, skarb Tututiki,
Świetlista elegancja, filigranowe miasta wokół dwóch błękitnych jezior.*

*Na wschodzie: błyszczący Gan, gdzie skrzą się gry i zakłady Tazu,
Bogate jak szczodrość morza, wyrobione jak szare warstwy szat uczonych.*

Za śpiewakami szli inni żołnierze, niosąc długie pasy jedwabiu z wymalowanymi scenami piękna i cudów Siedmiu Królestw. Był tam blask księżycy odbijający się w lodowej czapie na szczycie góry Kiji, ławice ryb błyszczących w jeziorze Tututika o wschodzie słońca, wyłaniające się z wody crubeny i wieloryby widziane z brzegów Wilczej Łapy, radosne tłumy na szerokich ulicach stolicy, miasta Pan, poważni uczeni debatujący na polityczne tematy przed mądrym, wszystkowiedzącym cesarzem...

*Na północnym zachodzie: uduchowiony Haan, forum filozofii,
Śledzący zawile ścieżki bogów na żółtej skorupie Lutho.
W centrum: drzewiasta Rima, gdzie promienie słońca przecinają stare puszcze,
By kłaść się cętkami na ziemi, tak ostrymi jak czarny miecz Fithowéo.*

Między kolejnymi zwrotkami z tłumu dobywał się potężny głos, wtórujący śpiewakom w refrenie:

*Kłaniamy się, kłaniamy, Xanie, Zenithowi, Władcy Powietrza,
Dlaczego się opierasz, opierasz, Panu Kiji w walce z góry przegranej?*

Jeśli nawet służalczy ton pieśni przeszkadzał tym z mieszkańców Cocru, którzy walczyli przeciwko Xanie raptem nieco ponad dekadę wcześniej, wszelkie szeptane niezadowolenia ginęły w donośnym, gorączkowym śpiewie zgromadzonych. Hipnotyczna pieśń miała w sobie własną siłę, jakby słowa, poprzez samo ich powtarzanie, stawały się potężniejsze, prawdziwsze.

Jednak dotychczasowe przedstawienie nie było w stanie zaspokoić głodu tłumu. Ludzie nie widzieli jeszcze serca całej parady: cesarza.

Biały ptak podleciał. Jego skrzydła wydawały się tak szerokie, jak długie są śmigła wiatraków w Zudi, które wyciągały wodę z głębokich studni i włączały ją do domów bogaczy – był zbyt duży jak na zwykłego sępa czy orła. Kilka osób zadarło głowy i zastanowiło się, czy patrzą na gigantycznego sokoła Mingén, którego przewieziono ponad tysiąc kilometrów z jego gniazda na odległej wyspie Rui i którego sokolnicy wypuścili

tutaj, by zachwycić tłum.

Cesarski zwiadowca, ukryty pośród widzów, podniósł wzrok na ptaka i zmarszczył brwi. Chwilę później odwrócił się i przepchnął między ludźmi w stronę tymczasowej platformy widokowej, gdzie zebrali się miejscowi oficjele.

Niecierpliwosć widzów wzrosła, kiedy strażnicy cesarscy przemaszerowali obok niczym maszyny: wzrok nieruchomo utkwiony przed sobą, ręce i nogi kołyszące się w równym rytmie, jakby poruszane przez sznurki ciągnięte jedną parą dłoni. Dyscyplina, z jaką szli, wyraźnie kontrastowała z dynamicznymi ruchami tancerzy, którzy znajdowali się przed nimi.

Po chwilowej przerwie z tłumy dobiegły okrzyki zadowolenia. Nieistotne, że ta sama armia zgładziła żołnierzy Cocru i zhańbiła starą arystokrację. Widzowie chcieli po prostu rozrywki, a uwielbiali patrzeć na błyszczące zbroje i wojskowy splendor.

Ptaka podleciał jeszcze bliżej.



– Rozejść się! Rozejść się!

Dwóch nastolatków przepychało się przez ciasno zbity tłum jak para żrebaków przez pole trzciny cukrowej.

Chłopiec z przodu, Kuni Garu, swoje długie, proste i czarne włosy związał w koczek na czubku głowy, tak jak robią to uczniowie prywatnych akademii. Miał przysadziłą sylwetkę – nie pulchną, lecz umięśnioną, z silnymi ramionami i udami. Jego oczy, szeroko osadzone i wąskie jak u większości mężczyzn z Cocru, błyszczały inteligencją niebezpiecznie bliską chytryści. Nie próbował nawet być delikatny, trącąc łokciami otaczających go ludzi. Parł do przodu, zostawiając za sobą posiniaczone żebra i puszczając mimo uszu gniewne przekleństwa.

Chłopiec z tyłu, Rin Coda, był niezgrabny i nerwowy, a idąc śladem przyjaciela – niczym ptak porwany przez silny podmuch wiatru – cicho przeproszał potrącane kobiety i mężczyzn.

– Kuni, myślę, że wystarczy, jeśli staniemy z tyłu – powiedział Rin. – Naprawdę uważam to za zły pomysł.

– W takim razie przestań myśleć – odparł Kuni. – To twój problem, za dużo myślisz. Zamiast tego po prostu działaj.

– Mistrz Loing mówi, że bogowie chcą, byśmy najpierw myśleli, a potem działali. – Rin skrzywił się i schylił, unikając ciosu zirytowanego mężczyzny.

– Nikt nie wie, czego chcą bogowie. – Kuni nie oglądał się za siebie, tylko parł do przodu. – Nawet mistrz Loing.

Wreszcie udało im się przedrzeć przez gęsty tłum i stanąć bezpośrednio przy drodze, gdzie wyrysowane kredą białe linie pokazywały, jak daleko widzowie mogą zajmować miejsca.

– No, to się nazywa widok – oznajmił Kuni, oddychając głęboko i rozglądając się w zachwycie. Zagwizdał z aprobatą, kiedy ostatnia z półnagich tancerek z Faça przeszła obok niego. – Dostrzegam pewne zalety bycia cesarzem.

– Nie mów tak! Chcesz iść do więzienia? – Rin rozejrzał się nerwowo dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś ich słucha; Kuni miał zwyczaj wygłaszać skandaliczne uwagi, które łatwo dało się zinterpretować jako zdradę stanu.

– I jak? Twoim zdaniem ten widok nie przebija siedzenia na lekcjach drażenia logogramów w wosku i uczenia się na pamięć *Traktatu o relacjach moralnych* Kona Fijiego? – Kuni wziął Rina pod ramię. – Cieszysz się, że cię namówiłem, przyznaj to.

Mistrz Loing wyjaśnił im, że nie zamierza zamykać szkoły na czas parady, ponieważ uważał, iż cesarz nie chciałby, by dzieci przerywały lekcje – jednak Rin w głębi ducha podejrzewał, że Loing w rzeczywistości nie popierał cesarza. Wielu mieszkańców Zudi miało skomplikowane poglądy na jego temat.

– Mistrz Loing z pewnością nie popierałby tego – rzucił Rin. Lecz on również nie potrafił odwrócić wzroku od tancerek.

Kuni się roześmiał.

– Skoro i tak dostaniemy ferułą od mistrza za ucieczkę z trzech pełnych dni lekcji, nacieszmy się przynajmniej na zapas.

– Tylko że ty zawsze potrafisz wymyślić jakiś cwany sposób, żeby wymigać się od kary, a ja ostatecznie dostaję lanie za nas dwóch!



Wiwaty dobiegające z tłumu wyraźnie przybrały na sile.

Na szczycie pagody tronowej siedział cesarz, z wyciągniętymi przed siebie nogami, w pozie zwanej *thakrido*, obłożony ze wszystkich stron jedwabnymi poduszkami. Jedynie jemu wolno było siedzieć w ten sposób publicznie.

Pięciokondygnacyjną pagodę tronową z bambusa i jedwabiu wzniesiono na platformie z dwudziestu grubych bambusowych tyczek – w dwóch warstwach po dziesięć – opartych na ramionach stu mężczyzn z nagimi torsami i naoliwioną, błyszczącą w słońcu skórą.

Cztery niższe piętra pagody tronowej zawierały skomplikowane i bardzo ozdobne mechanizmy zegarowe, które przedstawiały Cztery Sfery Wszechświata: Świat Ognia najniżej – pełen demonów, które wydobywały diamenty i złoto; potem, nieco wyżej, Świat Wody – pełen ryb, węży i pulsujących meduz; jeszcze wyżej Świat Ziemi – wyspy pływające na czterech morzach, zamieszkałe przez ludzi; i wreszcie Świat Powietrza, górujący nad wszystkimi – królestwo ptaków i duchów.

Otulony szatą z błyszczącego jedwabiu, ze wspaniałą koroną ze złota i klejnotów zwieńczoną figurkami crubena, wieloryba z łuskami i pana Czterech Spokojnych Mórz, którego pojedynczy róg wykonano z kła młodego słonia i którego oczy tworzyły dwa czarne diamenty – największe diamenty w całej Darze, zabrane ze skarbcza Cocru, kiedy przegrało z Xaną piętnaście lat temu – cesarz Mapidéré skrył przed słońcem oczy w cieniu dłoni i wyteżał wzrok, patrząc na zbliżającego się do niego ogromnego ptaka.

– A cóż to? – zdziwił się głośno.

Idący u podnóża poruszającej się z wolna pagody cesarski zwiadowca poinformował kapitana strażników cesarskich, że żaden z oficjeli Zudi nigdy wcześniej nie widział owego przedziwnego ptaka. Kapitan wydał szeptem kilka poleceń i strażnicy cesarscy, najbardziej

elitarna jednostka żołnierzy w całej Darze, zwarła szeregi wokół niosących pagodę mężczyzn.

Cesarz w dalszym ciągu patrzył na gigantycznego ptaka, który powoli, acz nieubłaganie się do niego zbliżał. Zwierzę machnęło raz skrzydłami i wtedy cesarz – wyęzając słuch, żeby usłyszeć coś pośród hałasu – mógłby przysiąc, że do jego uszu dobiegł jakby ludzki okrzyk.

Cesarska podróż po Wyspach trwała już ponad osiem miesięcy. Cesarz Mapidéré rozumiał doskonale potrzebę wyraźnego przypominania podbitym ludom o potęgę i autorytecie Xany, jednak był już zmęczony. Najchętniej wróciłby do Pan, Niepokalanego Miasta, jego nowej stolicy, gdzie mógł się cieszyć własnymi zoo i oceanarium, wypełnionymi zwierzętami z całej Dary – w tym kilkoma egzotycznymi okazami, które wręczyli mu piraci podróżujący daleko za horyzont. Tęsknił za posiłkami przygotowywanymi przez ulubionego kucharza, które jadałby zamiast tych dziwaczych specjałów podawanych w odwiedzanych miejscach – może i były to najwspanialsze dania, jakie arystokracja danego miasteczka potrafiła przyrządzić, jednak cesarz miał już dosyć czekania, aż degustatorzy spróbują wszystkiego, by wykluczyć obecność trucizny. W dodatku posiłki były zbyt tłuste albo zbyt pikantne i jego żołądek nie tolerował zbyt dobrze takiej kuchni.

A przede wszystkim cesarz się nudził. Setki wieczornych przyjęć, organizowanych przez miejscowych oficjeli i dygnitarzy, zlewały się w jedno. Gdzie by się nie udał, przyrzeczenia wierności i deklaracje poddaństwa wszędzie brzmiały tak samo. Często czuł się, jakby siedział samotnie w teatrze, podczas gdy na scenie każdego wieczoru grano wciąż ten sam spektakl, z innymi aktorami wypowiadającymi identyczne kwestie w różnej scenografii.

Cesarz pochylił się do przodu: obecność tego przedziwnego ptaka była najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka przytrafiła mu się w ciągu ostatnich dni.

Teraz, gdy znajdował się bliżej, dało się zauważyć więcej szczegółów. To był... to wcale nie był ptak.

Po niebie frunął wielki latawiec z papieru, jedwabiu i bambusa, jednak bez sznurka łączącego go z ziemią. Pod tym latawcem – czy to możliwe? – wisiał człowiek.

– Ciekawe – orzekł cesarz.

Kapitan strażników cesarskich pośpieszył w górę delikatnych spiralnych schodów wewnątrz pagody, pokonując po dwa albo trzy stopnie naraz.

– *Rénga*, powinniśmy przedsięwziąć środki ostrożności.

Cesarz skinął.

Mężczyźni niosący pagodę postawili ją na ziemi. Strażnicy zatrzymali się. Łucznicy przyjęli pozycje, tarczownicy zebrali się wokół podstawy konstrukcji, żeby utworzyć tymczasowy bunkier ze ścianami i dachem z ich nakładających się tarcz, przypominający skorupę żółwia. Cesarz tupnął kilka razy, żeby przywrócić krążenie w zeszywniałych nogach i móc wstać.

Tłum wyczuł, że ten element parady nie został wcześniej zaplanowany. Ludzie wyciągali szyje, podążając wzrokiem w kierunku wyznaczonym przez strzały przyłożone do napiętych łuków.

Latające ustrojstwo znajdowało się już tylko kilkaset metrów od pagody.

Mężczyzna przytroczony do latawca pociągnął za kilka zwisających luźno sznurków. Dziwaczny ptak nagle złożył skrzydła i pomknął w stronę cesarskiej platformy, pokonując ostatnie metry w ciągu ledwie paru uderzeń serca. Mężczyzna wydał z siebie długi, przeszywający okrzyk, który sprawił, że znajdujący się poniżej ludzie zadrżeli mimo gorąca.

– Śmierć Xanie i Mapidérému! Niech żyje Wspaniały Haan!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, tajemniczy lotniarz posłał w stronę pagody kulę ognia. Cesarz wpatrywał się w nieuchronnie zbliżający się pocisk, zamarłszy ze zdumienia.

– *Rénga!* – Kapitan strażników cesarskich dopadł cesarza w ciągu sekundy; jedną ręką zepchnął starszego mężczyznę z tronu, a potem, jęcząc, drugą podniósł rzucone siedzisko, wykonane z żelaza i drewna, przyozdobione złotem, i użył go jak tarczy. Pocisk eksplodował, wysyłając w powietrze ogniste odłamki, które spadły na ziemię, rozbryzgując we wszystkich kierunkach syczące krople oleistej smoły, które podpałały wszystko, co dotknęły. Nieszczęśni tancerze i żołnierze wrzeszczeli, gdy kleista i płonąca ciecz przylgnęła do ich ciał i twarzy, a ogniste języki natychmiast objęły ich ubrania.

Chociaż ciężki tron uchronił kapitana strażników cesarskich i samego cesarza przed większą częścią siły pierwszej eksplozji, kilka pobocznych płomieni zlizало kapitanowi prawie wszystkie włosy z głowy i poważnie poparzyło prawą część twarzy oraz prawe ramię. Jednak cesarz, choć w szoku, pozostawał cały i zdrowy.

Kapitan opuścił tron i krzywiąc się z bólu, pochylił się nad krawędzią pagody, żeby wykrzyczeć do łuczników:

– Strzelać!

Przeklinał się za wpajanie strażnikom bezwarunkowej dyscypliny, przez co nauczyli się raczej przestrzegać rozkazów niż działać z własnej inicjatywy. Jednak minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatni raz ktoś poważnie się zagroził życiu cesarza, i ich czujność została uszpiota. Będzie musiał dopilnować, by wprowadzono zmiany w szkoleniu żołnierzy – zakładając, że po tej porażce nie skrócą go o głowę.

Łucznicy wypuścili strzały salwą. Niedoszły zabójca pociągnął za sznurki latawca, złożył skrzydła i zrobił unik. Strzały spadły na ziemię niczym krople deszczu.

Tysiące tancerzy i widzów zmieszały się w jedną dziką, wrzeszczącą i kotłującą się horde.



– Mówiłem, że to zły pomysł! – Rin rozglądał się nerwowo, szukając jakiejś kryjówki. Krzyknął i zszedł z drogi spadającej strzały. Obok niego leżało dwóch martwych mężczyzn z grotami wbitymi w plecy. – Nie powinienem był ci pomagać, kiedy kłamałeś, że zamknięto szkołę. Twoje intrygi zawsze źle się dla mnie kończą! Musimy biec!

– Jeśli zaczniesz biec, przewrócisz się, a tłum cię strati – powiedział Kuni. – Poza tym chyba nie chcesz tego przegapić?

– O, bogowie, wszyscy zginiemy! – lamentował Rin. Nadleciała kolejna strzała i wbiła się w ziemię może dwadzieścia centymetrów dalej. Kilka innych ludzi padło z wrzaskiem,

gdy groty przeszły ich ciała.

– Jeszcze nie umarliśmy. – Kuni skoczył na drogę i wrócił z tarczą pozostawioną tam przez jednego z żołnierzy. – Padnij! – wrzasnął i pociągnął Rina ze sobą na ziemię, podnosząc tarczę i umieszczając ją nad ich głowami. Strzała odbiła się od metalu.

– Pani Rapa, pani Kana, r-r-ratujcie mnie! – mamrotał Rin, zaciskając powieki. – Jeśli to przeżyję, obiecuję już zawsze słuchać matki, nigdy nie uciekać ze szkoły, przestrzegać nauk mędrców i trzymać się z dala złotoustych przyjaciół, którzy prowadzą mnie ku zgubie...

Kuni wyglądał poza obręb tarczy.

Lotniarz złożył nogi jak scyzoryk; skrzydła szybko załopotwały. Latawiec gwałtownie się wzniósł. Mężczyzna pociągnął za linki, obrócił się gwałtownie i znowu zaszarżował na pagodę.

Cesarza, który pozbierał się już po pierwszym szoku, właśnie eskortowano po spiralnych schodach. Zdążył dotrzeć do połowy ich wysokości i znalazł się między Światem Ziemi a Światem Ognia.

– *Rénga*, proszę, wybacz mi! – Kapitan strażników cesarskich zanurkował i podniósł cesarza, a potem przeniósł nad krawędź pagody i zrzucił na ziemię.

Żołnierze na dole zdążyli już rozłożyć długi, sztywny kawał materiału. Cesarz wylądował na nim i odbił się kilka razy jak na trampolinie, poza tym jednak wydawał się cały i zdrowy.

Kuni zdołał zobaczyć przelotnie sylwetkę władcy, zanim pośpiesznie ukryto go pod ochronnym płaszczem z tarcz. Długie lata korzystania z medycyny alchemicznej – która miała wydłużyć jego życie – wywołały spustoszenie w organizmie. Choć cesarz miał zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, wyglądał na trzy dekady starszego. Jednak Kuniego najbardziej uderzyły jego oczy widoczne mimo opadających powiek – przez moment dało się w nich dojrzeć zaskoczenie i strach.

Dźwięk latawca pikującego za plecami Kuniego przypominał odgłos darcia tkaniny.

– Padnij! – Pchnął przyjaciela na ziemię i zwałił się na niego, chowając ich obu pod tarczą. – Udawaj, że jesteś żółwiem.

Rin próbował wbić się w piach pod Kunim.

– Mogłaby się ziemia pod nami rozstać, mielibyśmy się gdzie schować.

Wokół pagody rozprysły się kolejne krople płonącej smoły. Niektóre przykleiły się do osłony z tarcz; ukrywający się pod nią żołnierze wrzeszczeli z bólu, lecz trzymali pozycje. Dopiero gdy oficerowie wydali odpowiednie polecenie, podnieśli jednocześnie tarcze, by utworzyć skos i pozbyć się płonącej smoły, tak jak krokodyl napinający mięśnie, by strzepać z łusek nadmiar wody.

– Myślę, że jest już bezpiecznie – oznajmił Kuni. Odsunął tarczę i sturlał się z przyjaciela.

Rin powoli się podniósł i usiadł, patrząc na Kuniego nierozumnym wzrokiem. Ten tarzał się, jakby zamiast piachu na drodze leżał śnieg. „Jak on może w takiej chwili myśleć o zabawie?”

Wtedy zauważył dym unoszący się z ubrań przyjaciela. Wrzasnął i podbiegł, żeby pomóc zdusić płomień, okładając obszerne szaty Kuniego swoimi długimi rękawami.

– Dzięki, Rin – powiedział Kuni. Usiadł i spróbował się uśmiechnąć, jednak potrafił się tylko skrzywić.

Rin przyjrzał się towarzyszowi: kilka kropli płonącej smoły wylądowało na jego plecach. Przez dymiące dziury w materiale Rin dostrzegał poparzoną i ociekającą krwią skórę.

– Bogowie! Boli?

– Tylko trochę – odparł Kuni.

– Gdybyś na mnie nie leżał... – Rin przełknął głośno ślinę. – Kuni Garu, jesteś prawdziwym przyjacielem.

– E tam, daj spokój – rzekł Kuni. – Jak mówił mędrzec Kon Fiji: „Człowiek zawsze powinien... au!... być gotowy wbić sobie nóż między żebra, jeśli to miałyby pomóc przyjacielowi”. – Starał się mówić pewnym głosem, jednak ból ścisnął mu gardło. – Widzisz, mistrz Loing jednak czegoś mnie nauczył.

– I właśnie to zapamiętałeś? Bo tego wcale nie powiedział Kon Fiji. Cytujesz bandytę, który występował przeciwko niemu.

– Kto mówi, że bandyci nie mogą mieć żadnych zalet...

Przerwał im łopot skrzydeł. Chłopcy podnieśli wzrok. Powoli i z gracją, niczym albatros nad taflą morza, lotniarz zamachał skrzydłami, wzniósł się i obrócił, zataczając duże koło, a potem zaczął po raz trzeci szturmować pagodę tronową. Teraz jednak zamachowiec był już wyraźnie zmęczony i nie potrafił unieść się dość wysoko. Latawiec znajdował się bardzo blisko ziemi.

Kilku łuczników zdołało wybić dziury w skrzydłach, parę strzał dopadło nawet samego mężczyznę, chociaż zbroja z grubej skóry musiała być czymś wzmacniana, ponieważ groty tylko na krótką chwilę wbijały się, by zaraz odpaść.

I znowu zamachowiec złożył skrzydła, by przyspieszyć i zapikować w stronę pagody niczym zimorodek.

Łucznicy nie zaprzestali ostrzału, jednak asasyn ignorował grad strzał i trzymał kurs. Płonące pociski wylądowały na ścianach pagody. W ciągu kilku sekund konstrukcja z jedwabiu i bambusa stanęła w płomieniach.

Zamiast znowu szturmować, lotniarz zwrócił swój latawiec na południe, z dala od parady, a potem zebrał resztki sił i spróbował wznieść się jak najwyżej.

– Leci w stronę Zudi – oznajmił Rin. – Myślisz, że pomógł mu ktoś, kogo znamy?

Kuni pokręcił głową. Kiedy latawiec przeleciał bezpośrednio nad ich głowami, na chwilę zasłonił oślepiające światło słońca. Wtedy zobaczył, że zamachowiec jest młody, niespełna trzydziestoletni. Miał ciemną skórę i długie członki typowe dla ludzi Haanu, ludzi z północy. Na ułamek sekundy mężczyzna spuścił wzrok i wtedy ich spojrzenia się spotkały, a serce Kuniego zabiło szybciej na widok gorączkowej pasji i poczucia celu, jakie dojrzał w zielonych oczach nieznanego.

– On sprawił, że cesarz poczuł strach – powiedział Kuni, jakby do siebie. – Cesarz okazał się tylko człowiekiem. – Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Zanim Rin zdążył znowu uciszyć przyjaciela, przysłonił ich ogromny, czarny cień. Chłopcy podnieśli wzrok i zobaczyli jeszcze jeden powód do ucieczki lotniarza.

Nad ich głowami płynęło sześć wspaniałych sterowców, każdy o długości prawie stu

metrów – duma cesarskiego lotnictwa. Sterowce pojawiły się już wcześniej, na samym początku parady, jednocześnie w celach zwiadowczych i prezentacyjnych. Dłuższą chwilę zajęło pilotom zawrócenie ich w stronę pagody cesarza, by przybyć z odsieczą.

Latawiec bez sznurka zdawał się coraz mniejszy i mniejszy. Sterowce pofrunęły za uciekającym asasynem; ich wielkie opierzone wiosła biły powietrze jak skrzydła grubych gęsi walczących z grawitacją. Mężczyzna był już zbyt daleko, żeby dosięgły go strzały łuczników ze sterowca i wojskowe latawce na sznurach. Zanim dotrą do Zudi, bystry asasyn zdąży wylądować i zniknąć w alejkach miasta.



Cesarz, skulony w cieniu bunkra z tarcz, wściekał się, ale starał się tego nie okazywać. Nie była to pierwsza próba zamachu i z pewnością nie będzie ostatnia; tylko że tym razem asasyn omal nie wypełnił swojego zadania.

Kiedy cesarz wydał rozkaz, jego głos pozostawał spokojny i beznamiętny.

– Znajdźcie tego mężczyznę. Nawet jeśli będziecie musieli rozebrać każdy dom w Zudi i spalić wszystkie posiadłości arystokracji w Haanie, przyprowadźcie go do mnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

MATA ZYNDU

FARUN NA WYSPACH TUNOA: DZIEWIĄTY MIESIĄC
CZTERNASTEGO ROKU RZĄDÓW JEDNEGO
JASNEGO NIEBA

Niewielu domyśliłoby się, że mężczyzna górujący nad hałaśliwym tłumem na brzegu rynku miejskiego Farun był ledwie czternastoletnim chłopcem. Kłębiący się ludzie utrzymywali pełen szacunku dystans od ponaddwumetrowej, nabitej mięśniami sylwetki Maty Zyndu.

– Boją się ciebie – powiedział wuj chłopca, Phin Zyndu, z dumą w głosie. Podniósł wzrok, by popatrzeć na twarz Maty, i westchnął. – Szkoda, że twój ojciec i dziadek nie mogą cię teraz zobaczyć.

Chłopiec kiwnął głową, jednak nie odezwał się ani słowem. Patrzył na podskakujące głowy tłumu jak żuraw pośród kulików. Choć w Cocru najczęściej dało się zobaczyć brązowe oczy, te Maty były czarne jak węgiel, jednak w każdym znajdowały się dwie źrenice, świecące delikatnym blaskiem; ta rzadka cecha przez wielu uważana była za mityczną.

Te oczy o podwójnych źrenicach pozwalały mu widzieć ostrzej i dalej niż widziała większość ludzi, a kiedy przeczesywał wzrokiem horyzont, zatrzymał się na chwilę na smukłej wieży z ciemnego kamienia na północy, tuż za granicami miasta. Na tle rozpościerającego się nieopodal morza wyglądała jak sztylet wbity w kamienistą plażę. Mata dostrzegał wielkie, zwieńczone łukami okna tuż pod szczytem wieży, których ramy ozdobiono misternymi płaskorzeźbami przedstawiającymi Dwa Kruki, białego i czarnego, z dziobami spotykającymi się na wierzchołku łuku, by podtrzymać kamienną chryzantemę z tysiącem płatków.

Mata patrzył na główną wieżę zamku niegdyś należącego do Klanu Zyndów. W tej chwili zamek znajdował się w rękach Datuna Zatomy, dowódcy xańskiego garnizonu, który bronił Farun. Mata Zyndu z nienawiścią myślał o tym plebejuszu, nawet nie żołnierzu, lecz zwykłym skrybie, który przejął wiekowe sale zgodnie z prawem należące do jego rodu.

Zmusił myśli do powrotu do teraźniejszości. Pochylił się, żeby wyszeptać do Phina:

– Chcę podejść bliżej.

Cesarska Parada dopiero co dotarła do Tunoi od strony morza, przypłynąwszy z południowej części Wielkiej Wyspy, gdzie, jak głosiły plotki, doszło do próby zamachu na cesarza w pobliżu Zudi. Kiedy Mata i Phin ruszyli do przodu, tłum bez słowa protestu rozstępował się przed nimi jak fale przed dziobem statku.

Zatrzymali się tuż za pierwszym rzędem, a Mata ugiął kolana, żeby nie zwracać na siebie uwagi strażników cesarza.

– Już są! – krzyczał tłum, kiedy przez chmury na horyzoncie przebiły się sterowce,

a w zasięgu wzroku pojawił się wierzchołek pagody tronowej.

Kiedy mieszkańcy miasta oklaskiwali piękne tancerki i wiwatowali na widok odważnych żołnierzy, Mata Zyndu wypatrywał cesarza Mapidérégo. Wreszcie będzie mógł na własne oczy zobaczyć swojego wroga.

Teraz na szczycie pagody stali żołnierze, zbici w ciasny krąg, z wyciągniętymi mieczami, z napiętymi łukami. Cesarz siedział na środku, a widzowie mogli jedynie od czasu do czasu dostrzec przelotnie jego twarz.

Mata wyobrażał sobie, że cesarz z wiekiem stawał się coraz bardziej miękki i obrastał w tłuszcz, jednak zamiast tego przez ścianę żołnierzy, niczym przez woal, zobaczył wychudłą sylwetkę z zimnymi, pozbawionymi wyrazu oczami. „Jakże samotny jest, wysoko w swej niezrównanej chwale. I jak przerażony”.

Phin i Mata popatrzyli po sobie. Każdy dostrzegł w oczach drugiego tę samą mieszankę smutku i żarliwej nienawiści. Phin nie musiał nic mówić. Mata każdego dnia swojego życia słyszał z ust wuja te same słowa: „Nie zapominaj”.

W czasach, kiedy cesarz Mapidéré był jedynie młodym królem Xany i wysłał swoją armię, by na lądzie, na morzu i w powietrzu rozgromić słabnące siły Sześciu Królestw, jeden człowiek stanął mu na drodze: Dazu Zyndu, księżę Tunoi i marszałek Cocru.

Zyndu pochodzili z długiej linii wspaniałych cocruskich generałów. Jednak Dazu jako młody mężczyzna był mizerny i chorowity. Jego ojciec i dziadek postanowili wysłać go na północ, z dala od rodzinnego lenna na wyspach Tunoa, żeby wyszkolił się pod okiem legendarnego mistrza miecza, Médo, na mglistych wyspach zwanych Jajami Jedwabnika, na drugim końcu Dary.

Mistrz Médo spojrział tylko raz na Dazu i powiedział:

– Jestem zbyt stary, a ty zbyt młody. Ostatniego ucznia szkoliłem wiele lat temu. Zostaw mnie w spokoju.

Jednak Dazu nie odszedł. Klęczał przed domem mistrza przez dziesięć dni i dziesięć nocy, odmawiając jedzenia i napitku, pozostając jedynie przy deszczówce. Jedenastego dnia Dazu padł na ziemię, a Médo poruszyła wytrwałość chłopca i zgodził się przyjąć go na ucznia.

Jednak zamiast nauczyć go walki mieczem, Médo wykorzystywał Dazu jedynie do pomocy przy hodowli małego stada bydła. Chłopak nie narzekał. Chodził za zwierzętami po zimnych i skalistych górach, wypatrując wilków ukrytych we mgle, a w nocy wsłuchiwał się w krowie muczenie.

Kiedy na wiosnę urodziło się nowe cielę, Médo, żeby młode nie pokaleczyło sobie nóżek o ostre kamienie, kazał Dazu każdego dnia przynosić zwierzę do domu, by mógł je zważyć. To zadanie wymagało przejścia wielu kilometrów. Z początku podróż była łatwa, jednak z czasem cielę nabierało coraz większej masy i noszenie go stało się trudne.

– Cielę może już chodzić samodzielnie – powiedział Dazu. – Ani trochę się nie potyka.

– Ale kazałem ci je przynosić – zauważył mistrz. – Pierwszą rzeczą, której nauczyć się musi żołnierz, jest wykonywanie rozkazów.

Każdego dnia cielę robiło się odrobinę cięższe i każdego dnia Dazu miał odrobinę trudniejsze zadanie. Czasami upadał, wyczerpany, kiedy wreszcie udawało mu się dotrzeć

na farmę, a wtedy zwierzę wypadło mu z rąk i z radością szło samo, rozciągając obolałe mięśnie.

Kiedy znowu nadeszła zima, Médo podał uczniowi drewniany miecz i kazał mu uderzyć w manekin do ćwiczeń – najmocniej, jak tylko potrafi. Dazu spojrział z pogardą na prymitywną broń bez zaostrej krawędzi, ale wykonał polecenie.

Drewniany manekin rozpadł się na dwie części, przecięty równo w połowie. Dazu spojrział z niedowierzaniem na miecz trzymany w ręku.

– To nie zasługa miecza – zauważył mistrz. – Przyglądałeś się sobie ostatnio? – Pociągnął chłopaka w stronę świeżo wypolerowanej tarczy.

Młodzieniec ledwo potrafił rozpoznać swoje odbicie. Jego ramiona wypełniały całą szerokość lustra. Jego ręce i nogi były dwa razy grubsze, niż zapamiętał, a klatka piersiowa odznaczała się nad wąską talią.

– Wspaniały wojownik nie zawiera swojej broni, lecz sobie. Kiedy posiadasz prawdziwą siłę, możesz zadać śmiertelny cios nawet wtedy, gdy dzierżysz źdźbło trawy. Teraz wreszcie jesteś gotów, żeby się u mnie uczyć. Jednak najpierw idź podziękować cielęciu, że uczyniło cię silnym.



Dazu Zyndu nie miał sobie równych na polu walki. Kiedy armie innych królestw Tiro poddawały się zażartym hordom Xany, mężowie z Cocru, prowadzeni przez księcia Zyndu, powstrzymywali ataki Xany jak tama powstrzymuje kotłujące się fale powodzi.

Ponieważ wojsko Xany miało przewagę liczebną, książę Zyndu umieścił swoich żołnierzy w strategicznie ulokowanych fortach i miasteczkach garnizonowych na całym Cocru. Za każdym razem, kiedy Xana napadała na jego ziemie, kazał swoim ludziom ignorować szyderstwa ze strony wrogich dowódców i pozostawać za murami jak żółw w skorupie.

Kiedy jednak armia Xany próbowała obejść te doskonale chronione forty i miasta, obrońcy wychodzili ze swoich fortec niczym węgorze wypływające z sekretnych kryjówek i atakowali zaciekle od tyłu, odcinając posiłki wrogiego wojska. Chociaż Gotha Tonyeti, wspaniały generał Xany, miał do dyspozycji znacznie więcej ludzi i lepszy rynsztunek niż książę Zyndu, ugrzązł jak w bagnie, zablokowany przez taktykę Zyndu, i nie mógł iść dalej.

Tonyeti nazwał Zyndu „Brodatym Żółwiem”, chcąc go obrazić, jednak Dazu zaśmiał się i przyjął przydomek z dumą jak odznakę.

Nie mogąc pokonać wroga w walce, Tonyeti postanowił uciec się do podstępów. Rozpuścił plotki po całej Çaruzy, stolicy Cocru, na temat ambicji księcia Zyndu.

– Dlaczego książę Zyndu nie zaatakuje Xany, zamiast chować się za kamiennymi murami? – szeptał jeden do drugiego. – Armia Xany wyraźnie nie może równać się sile Cocru, a jednak książę się waha i pozwala najeźdźcom okupować nasze pola. Może książę w tajemnicy zawarł porozumienie z Gothą Tonyetim, a generał tylko udaje atak? Czy to możliwe, by spiskowali przeciwko królowi, by obsadzić na tronie księcia Zyndu?

Król Cocru zrobił się podejrzliwy i rozkazał księciu opuścić pozycje obronne i stanąć przeciwko generałowi Tonyeti na polu walki.

– Popelnilibyśmy w ten sposób błąd – próbował wyjaśnić ksiązę Zyndu, jednak jego argumenty tylko utwierdziły króla w podejrzeniach.

Ksiązę Zyndu nie miał innego wyjścia, jak przywdziać zbroję i poprowadzić atak. Siły Xany zdawały się topnieć w obliczu mężnych wojowników Cocru. Wojsko generała Tonyeti wycofywało się coraz dalej i dalej, aż w końcu w jego szeregi wdarł się zupełny chaos.

Ksiązę podążył za pokonanym Tonyetiego do głębokiej doliny, gdzie generał zniknął w ciemnym lesie. Nagle z boków nadeszły nowe siły Xany, pięć razy liczniejsze niż żołnierze towarzyszący Zyndu, i otoczyły ich, odcinając drogę ucieczki. Zyndu zrozumiał wtedy, że padł ofiarą podstępny, i mógł już tylko się poddać.

Dazu Zyndu wynegocjował bezpieczeństwo swoich ludzi, przekonując zwycięzcę, by uznano ich za jeńców wojennych, a potem odebrał sobie życie, nie mogąc znieść hańby kapitulacji. Gotha Tonyeti nie dotrzymał obietnicy i żywcem pogrzebał wszystkich żołnierzy Cocru.

Çaruzą upadła trzy dni później.

Mapidéré postanowił, że uczyni z klanu Zyndów przykład dla innych rodów, karząc ich za tak długie opieranie się. Każdy mężczyzna z co najmniej trzecim stopniem spokrewnienia został zgładzony, a wszystkie kobiety sprzedane do domów indygo. Najstarszy syn Dazu Zyndu, Shiru, został żywcem obdarty ze skóry w Çaruzie, podczas gdy ludzie Tonyetiego zmusili mieszkańców, by na to patrzyli, a następnie zjedli kawałki ciała ofiary i tym samym potwierdzili swoją lojalność wobec Xany. Córka Dazu, Soto, zabarykadowała się razem ze służbą w ich wiejskiej posiadłości i podpaliła ją, by uniknąć znacznie gorszego losu. Płomienie buchały przez cztery dni i noce, jakby bogini Kana jej pożałowała, z ognia zaś bił taki żar, że kości Soto nie udało się odnaleźć w zgliszczach.

Najmłodszy syn Dazu, trzynastoletni Phin, unikał pojmania przez wiele dni, chowając się w labiryncie skąpanych w mroku zakamarków i tuneli w piwnicach rodzinnego zamku. W końcu jednak ludzie Tonyetiego złapali go, gdy próbował wślizgnąć się do kuchni po łyk wody. Żołnierze zaprowadzili młodego chłopaka przed oblicze generała.

Ten spojrział na klęczącego dzieciaka, który trząsał się i pociągał nosem ze strachu, a potem się roześmiał.

– Wstydem byłoby cię zabić – powiedział donośnym głosem. – Chowasz się jak królik zamiast walczyć jak wilk. I jak miałbyś teraz spojrzeć w oczy ojcu i bratu? Nie masz nawet jednej dziesiątej odwagi swojej siostry. Potraktuję cię tak, jak niemowlę twojego brata, bo niczym się od niego nie różnisz.

Wbrew rozkazom Mapidérégo Tonyeti oszczędził życie niedawno urodzonego syna Shiru.

– Arystokracja musi się zachowywać lepiej niż plebs – oznajmił – nawet w czasie wojny.

I tak żołnierze Tonyetiego wypuścili Phina, a zhańbiony chłopiec opuścił zamek rodowy na chwiejnych nogach, niosąc jedynie maleńkiego syna zmarłego brata, Matę. Pozbawiony tytułu, domu i rodziny, pożegnawszy na zawsze beztroskie życie i bogactwo, cóż miał uczynić?

Za zewnętrzną bramą zamku podniósł z ziemi czerwoną flagę: nadpaloną, brudną, jednak

z wciąż widocznym haftem złotej chryzantemy, emblematu klanu Zyndów. Owinął w nią Matę, dając mu nikłą ochronę przed zimowym powietrzem, a potem okrył twarz dziecka rogiem materiału.

Mały Mata zamrugał, a w każdym jego oku dało się dostrzec dwie źrenice, dające słaby blask.

Phin wciągnął głośno powietrze. Dawno temu mówiło się, że ludzie z podwójnymi źrenicami cieszą się szczególną atencją bogów. Wiele dzieci obdarzonych tym defektem nie widziało od urodzenia. Phin sam jeszcze był dzieckiem, więc nie przejmował się za bardzo świeżo narodzonym bratankiem. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Mata miał takie oczy.

Poruszył ręką przed twarzą niemowlęcia, nie wiedząc, czy jest ślepe. Oczy Maty nie poruszyły się, jednak maluch odwrócił główkę i ich spojrzenia się spotkały.

Czując wyraźną ulgę, Phin przycisnął dziecko do piersi, do swojego walącego jak młotem serca, a po chwili uronił łzę, gorącą jak kropla krwi, która spadła na twarz Maty. Niemowlę się rozplakało.

Phin pochylił się i dotknął jego czoła. Ten gest uspokoił malucha. Chłopiec wyszeptał:

– Jesteśmy zdani tylko na siebie. Nie pozwól, żeby krzywda wyrządzona naszej rodzinie popadła w zapomnienie. Nie zapominaj.

Dziecko zdawało się rozumieć. Z trudem uwolniło maleńkie rączki z flagi, którą zostało obleczone, a potem uniosło je w stronę Phina, zaciskając piąstki.

Phin podniósł głowę i roześmiał się pośród płatków śniegu padających z nieba. Ostrożnie zakrył materiałem twarz dziecka i odszedł, zostawiając zamek za sobą.



Kiedy Mata popadał w głębokie zamyślenie, marszczył czoło. Phinowi przypominał wtedy Dazu Zyndu. Uśmiech Maty był repliką uśmiechu Soto, zmarłej siostry Phina, z chwil, gdy jako dziecko biegała po ogrodzie. Z kolei gdy Mata spał, jego twarz przybierała ten sam spokojny wyraz co u starszego brata Phina, Shiru, który zawsze mu powtarzał, by był bardziej cierpliwy.

Patrząc na Matę, Phin rozumiał, dlaczego go oszczędzono. Chłopiec był ostatnim i najjaśniejszym kwiatem chryzantemy na samym czubku szlachetnego drzewa utworzonego przez wiele pokoleń rodu Zyndów. Phin przysięgał przed Kaną i Rapą, bliźniaczymi boginiami Cocru, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pielęgnować i chronić Matę.

I uczyni swe serce zimnym, a krew gorącą, by były jak lodowata Rapa i żarliwa Kana. Dla dobra Maty nauczy się być twardym i ostrym tam, gdzie był miękki i gładki. Dla zemsty nawet królik może się nauczyć bycia wilkiem.

Phin musiał polegać na okazjonalnych darach od rodzin lojalistów, którzy sympatyzowali z klanem Zyndu, aż do dnia, kiedy zabił dwóch złodziei i zabrał ich mienie, a potem zainwestował je i kupił małą farmę pod Farun. Właśnie tam nauczył małego Matę łowić ryby, polować i walczyć na miecze. Sam zaś posiadał te umiejętności za pomocą trudnej i wyczerpującej metody prób i błędów: kiedy pierwszy raz zabił jelenia, zwymiotował na widok krwi; kiedy pierwszy raz zrobił zamach mieczem, omal nie odciął sobie stopy. Przeklinał sam siebie raz za razem za to, że tak niewiele wymagał od siebie

w poprzednim, łatwiejszym życiu i niczego pożytecznego się nie nauczył.

Ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności sprawił, że w wieku dwudziestu pięciu lat był już siwy. Nocami, kiedy jego bratanek już spał, często przesiadywał samotnie przed chatką. Nawiedzany przez wspomnienia o swojej słabości sprzed lat, wciąż się zastanawiał, czy robi wystarczająco wiele i czy w ogóle jest w stanie zrobić wystarczająco wiele, żeby skierować Matę na właściwą ścieżkę, żeby przekazać mu odwagę i siłę, a w szczególności pragnienie chwały, jakie właściwe były jego rodowi.

Dazu i Shiru nie chcieli, by delikatny Phin kroczył drogą wojny. Pozwalali mu cieszyć się miłością do literatury i sztuki. I gdzie go to zaprowadziło? W chwili, gdy rodzina go potrzebowała, Phin pozostawał bezsilny, był tchórzem, który zhańbił swój ród.

Dlatego schował głęboko wspomnienia miłych słów Shiro i łagodności Dazu. Zamiast tego dał Macie dzieciństwo, którego, jak sobie wyobrażał, chcieliby dla niego bliscy. Za każdym razem, gdy Mata – jak to dziecko – robił sobie krzywdę, Phin zmuszał się, by nie pocieszać chłopca, dopóki ten nie zrozumiał, że płacz jest bezużyteczny. Za każdym razem, gdy Mata wdawał się w bójkę z innym chłopcem z miasteczka, Phin upierał się, by Mata walczył, dopóki nie wygra. Nie tolerował najmniejszych przejawów słabości i nauczył bratanka traktować wszelkie konflikty jako szansę na sprawdzenie samego siebie.

Przez lata z natury dobre serce Phina tak mocno przesiąkło rolami, które sobie narzucił, że nie potrafił już wskazać miejsca, w którym kończyła się legenda rodziny Zyndów, a zaczynało jego własne życie.

Jednak pewnego razu, kiedy pięcioletniego Matę zmoęła choroba tak poważna, że mógł umrzeć, malec zdołał znaleźć pęknięcie w twardej skorupie wuja.

Mata obudził się z maligny i zobaczył, jak Phin płacze. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego i przez chwilę wydawało mu się, że nadal śni. Wuj uściśnął mocno swojego bratanka – co stanowiło dla Maty kolejny nieznany gest – i zaczął mamrotać pod nosem podziękowania dla Kany i Rapy.

– Jesteś jednym z Zyndów – powiedział, tak jak miał to w zwyczaju. – Jesteś silniejszy niż wszyscy inni. – Potem jednak dodał głosem łagodnym i obcym: – Jesteś wszystkim, co mam.

Mata nie pamiętał swoich prawdziwych rodziców, więc to Phina uważał za ojca, za swojego bohatera. To od niego nauczył się, że nazwisko Zyndu jest święte. Ich ród zrodzony był z szlacheckiej krwi, chwalebnej krwi, krwi poświęconej przez bogów, krwi przelanej przez cesarza, krwi łaknącej zemsty.

Phin i Mata sprzedawali w miasteczku swoje plony i skóry upolowanych zwierząt. Phin poszukiwał mędrców, przyjaciół rodziny i znajomych, którzy przetrwali wojnę. Kilkoro z nich w tajemnicy przechowało stare księgi, zapisane logogramami spotykanymi jedynie w Cocru i zakazanymi przez cesarza, a Phin pożyczał je lub kupował i uczył Matę pisać i czytać.

Na podstawie tych ksiązek, a także zasobów własnej pamięci Phin przekazywał bratankowi opowieści i legendy wojowniczej przeszłości Cocru i chwalebnej historii klanu Zyndów. Mata marzył o pójściu w ślady dziadka, o przejęciu dziedzictwa jego męstwa. Jadał tylko mięso i mył się jedynie w zimnej wodzie. Nie mając żadnego cielaka do noszenia, zgłaszał się na ochotnika do pomocy rybakom i każdego dnia nosił złowione

przez nich ryby (zarabiając przy tym kilka drobniaków). Napełniał małe worki kamieniami i przywiązywał je do nadgarstków i kostek, żeby każdy krok wymagał od niego większego wysiłku. Jeśli do jakiegoś celu prowadziły dwie drogi, zawsze wybierał tę dłuższą i bardziej wyczerpującą. Jeśli istniały dwa sposoby wykonania jakiejś czynności, wybierał ten cięższy i bardziej mozolny. Zanim skończył dwanaście lat, był w stanie podnieść nad głowę ogromny sagan stojący przed świątynią w Farun.

Nie zostawało mu zbyt wiele czasu na zabawę, dlatego też nie miał prawdziwych przyjaciół. Dzięki staraniom wuja posiadał szlachetną i wiekową wiedzę, jednak nie przywiązywał wagi do poezji. Zamiast tego wolał książki poświęcone historii i wojskowości. Dzięki nim poznał złoty wiek, który należał już do przeszłości, i zrozumiał, że przewinienia cesarza nie ograniczały się tylko do krzywd zadanych jego rodzinie. „Podboje Mapidérégo zdegradowały same fundamenty tego świata”, powtarzał raz po raz jego wuj Phin.

Korzenie wiekowego tiryjskiego systemu przypadły w pomroce dziejów. Legenda głosiła, że Wyspy Dary zostały zasiedlone dawno temu przez lud zwący się Ano, przybyły z zatopionego kontynentu, który znajdował się daleko za morzami na zachodzie. Kiedy Ano pokonali zamieszkujących te tereny barbarzyńców, z których część doń przystała, szybko zaczęli walczyć między sobą. Ich potomkowie, w wyniku licznych wojen toczonych przez wiele pokoleń, rozdzielili się i utworzyli kilka królestw.

Niektórzy uczeni twierdzili, że dawny prawodawca Ano, wielki Aruano, ustanowił system tiryjski jako remedium na chaotyczne wojny między królestwami. Słowo *tiro* z klasycznego ano dosłownie oznaczało „równy, taki sam”, a najważniejszą zasadą nowego systemu było założenie, że każde królestwo Tiro jest równe wszystkim pozostałym i nie może górować nad innymi. Tylko wtedy, gdy jedno z królestw popełni grzech obrażający bogów, pozostałe mogły zjednoczyć się przeciwko niemu, a przywódca takiego tymczasowego sojuszu zyskiwał miano princepsa, pierwszego *tiro* pośród równych.

Siedem Królestw współistniało przez ponad tysiąc lat i gdyby nie tyran z Xany, istniałoby i kolejny tysiąc. Królowie Tiro mieli najwyższy autorytet świecki; stanowili siedem kotwic, do których przyczepionych było siedem takich samych Wielkich Łańcuchów Bytu. To oni nadawali ziemie arystokracji, której przedstawiciele dbali o zachowanie pokoju na swoich terenach i zarządzali nimi jak miniaturowymi królestwami Tiro. Każdy chłop płacił podatki i pracował dla pana, a każdy pan dla swojego pana, aż do samego króla.

Mądrość systemu Tiro najlepiej widać było w sposobie, w jaki odzwierciedlał on świat natury. W wiekowych lasach Dary każde stare drzewo, podobnie jak królestwo Tiro, rosło niezależnie od pozostałych. Żadne nie dzierżyło władzy nad innymi. A jednak każde składało się z gałęzi, a na każdej gałęzi rosły liście, z których czerpało siłę, podobnie jak każdy król czerpał siłę ze swoich arystokratów, a każdy arystokrata ze swoich chłopów. To samo dotyczyło poszczególnych Wysp Dary: w ich skład wchodziły wysepki i laguny, przylądki i zatoczki. Wzór niezależnych sfer, z których każda składała się z miniaturowych kopii, dało się odnaleźć w rafach koralowych, ławicach ryb, pływających lasach krasnorostów, kryształach minerałów, a także anatomii zwierząt.

Tak wyglądał ukryty porządek wszechświata: był niczym siatka – taka jak krzyżujące się

nici materiału plecionego przez rzemieślników w Cocru – utworzona przez horyzontalne linie szacunku między równymi sobie i wertykalne linie płynących w dół zobowiązań i biegnących ku górze przyrzeczeń wierności, gdzie każdy znalazł swoje miejsce.

Cesarz Mapidéré wszystko to zlikwidował, zmiotł z powierzchni ziemi jak opadłe jesienne liście. Kilku arystokratów, którzy poddali się dość wcześnie, zachowało swoje nic nieznaczące już tytuły, a czasami nawet zamki i pieniądze, jednak nic poza tym. Ich ziemie nie należały już do nich, ponieważ teraz wszystkie stały się własnością Cesarstwa Xany, a więc samego cesarza. Już nie panowie na swych włościach ustanawiali własne prawa, lecz istniało jedno prawo, prawo cesarskie.

Mędracy każdego królestwa Tiro nie pisali już swoimi własnymi logogramami i nie układali liter zyndari na swój sposób, ściśle połączony z lokalną tradycją i historią, lecz wszyscy musieli pisać tak jak w Xanie. Zniesiono odrębne systemy miar i wag, sposób oceniania i widzenia świata – teraz wszyscy musieli budować drogi tak szerokie jak odległość między kołami wozów Niepokalanego Miasta, a skrzynie musiały mieć takie wymiary, by dało się je ułożyć ciasno na łodzi płynącej z portu Kriphi, dawnej stolicy Xany.

Wszystko, co kiedyś łączyło ludzi na poziomie lokalnym, co stanowiło źródło miejscowej lojalności, zostało zastąpione przez posłuszeństwo wobec cesarza. Ukuty przez arystokrację łańcuch wierności zastąpiła cesarska piramida małych biurokratów – plebejuszy, którzy ledwo znali logogramy potrzebne do zapisania ich imion i którzy musieli wszystko przekładać na zyndari. Zamiast rządzić z najlepszymi, cesarz postanowił wynieść na stanowiska ludzi łaknących władzy, chciwych, głupich i kierujących się niskimi pobudkami.

W tym nowym świecie stary, uporządkowany styl życia przestał mieć rację bytu. Nikt nie znalazł swojego miejsca. Plebejusze mieszkali w zamkach, a arystokracja tłoczyła się w chatkach. Cesarz Mapidéré zgrzeszył przeciwko naturze, przeciwko podwalinom samego wszechświata.



Kiedy parada zniknęła z pola widzenia, tłum powoli się rozszedł. Teraz ludzie musieli wrócić do trudów codziennego życia: plonów dojrzewających już do żniw, owiec domagających się jedzenia i ryb czekających na złowienie.

Jednak Mata i Phin zostali dłużej.

– Wiwatują na widok człowieka, który wymordował ich ojców i dziadków – powiedział cicho Phin, a potem splunął na ziemię.

Mata rozejrzył się po odchodzących mężczyznach i kobietach. Byli jak piasek i błoto poruszone przez wody oceanu. Gdyby zebrać do kubka trochę morskiej wody, byłaby mętna i nieprzepuszczająca światła. Jeśli jednak poczekałoby się cierpliwie, w końcu zanieczyszczenia i ziarenka piasku opadłyby na dno, gdzie ich miejsce, a czysta woda przepuściłaby światło, szlachetne i czyste.

Mata Zyndu wierzył, że jego przeznaczeniem jest przywrócić przejrzystość i porządek. Był tego pewien równie mocno jak tego, że ciężar historii ścigał wszelkie rzeczy na ich

właściwe miejsca.

PRZEPOWIEDNIA RYBY

ROZDZIAŁ TRZECI

KUNI GARU

SIEDEM LAT PÓZNIJ.

ZUDI: PIĄTY MIESIĄC DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO ROKU RZĄDÓW JEDNEGO
JASNEGO NIEBA

W Zudi krążyło wiele historii na temat Kuniego Garu. Młody mężczyzna był synem prostych rolników, którzy mieli wielkie nadzieje, że ich dzieci wspaną się wyżej niż oni sami; nadzieje te Kuni raz po raz podkopywał.

Och, jako dziecko Kuni okazywał przebłycki niezwyklej inteligencji – potrafił odczytać i napisać trzysta logogramów już w wieku pięciu lat. Jego matka, Naré, każdego dnia dziękowała Kanie i Rapie i nie potrafiła powstrzymać się przed opowiadaniem przyjaciółom o swoim małym geniuszu. Myśląc, że chłopca czeka wspaniała przyszłość uczonego, który mógłby przynieść rodzinie chwałę, ojciec Kuniego, Féso, wysłał go wielkim kosztem na nauki do prywatnej akademii Tumo Loinga, miejscowego mędrca cieszącego się ogromnym szacunkiem i służącego królowi Cocru jako minister plonów jeszcze przed Zjednoczeniem.

Jednak Garu i jego przyjaciel Rin Coda woleli uciekać ze szkoły, kiedy tylko mogli, by łowić ryby. Przyłapany Kuni zawsze elokwentnie i wylewnie przeproszał, przekonując mistrza Loinga o swojej szczerzej skruszce i zapamiętanej na przyszłość lekcji. Szybko jednak wracał do obmyślania żartów z Rinem i pyskowania nauczycielowi, kwestionowania jego tłumaczeń z klasyków i wskazywania błędów w rozumowaniu. W końcu Loing stracił cierpliwość i wyrzucił go – a razem z nim biednego Rina Codę, za to, że zawsze naśladował swojego przyjaciela.

Kuniemu to nie wadziło. Lubił pić, gadać i się bić, więc znalazł wspólny język z różnymi szemranymi typkami w Zudi: złodziejami, bandytami, poborcami podatkowymi, żołnierzami Xany z garnizonu, dziewczynami z domów indygo, bogatymi chłopakami, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, niż sterczeć całymi dniami na ulicy, szukając zwady. Innymi słowy, jeśli miałeś pieniądze, by postawić mu coś w barze, i lubieś sprośne dowcipy oraz plotki, Kuni Garu był twoim przyjacielem.

Rodzina Garu próbowała nakłonić chłopaka, by podjął jakąś pracę. Kado, jego starszy brat, dość wcześnie zaczął przejawiać talent do interesów i stał się lokalnym handlarzem kobiecymi sukniami. Zatrudnił Kuniego do pomocy, jednak jemu nie w smak było kłaniać się klientom i śmiać się z ich durnych dowcipów, więc w końcu – po tym jak próbował wprowadzić idiotyczny pomysł zatrudniania dziewcząt z domów indygo jako „modelek” – Kado nie miał innego wyjścia, jak tylko go zwolnić.

– Miałbyś lepszy utarg! – powiedział Kuni. – Gdyby bogaci klienci zobaczyli suknie na

swoich ulubionych panienkach, z pewnością nabraliby ochoty, by kupić je swoim żonom.

– Honor rodziny nic już dla ciebie nie znaczy? – spytał Kado i wypędził Kuniego na ulicę, dzierżąc linijkę do mierzenia.

Zanim Kuni skończył siedemnaście lat, Féso miał już serdecznie dosyć wybryków syna, który każdego wieczoru wracał pijany i żądał, by podano mu obiad. Wyrzucił go z domu i kazał szukać sobie innego miejsca do spania i rozmyślenia o tym, jak marnuje swoje życie i łamie serce matki. Nare nieustannie płakała. Każdego dnia chodziła do świątyni Kany i Rapy i modliła się do bogiń, by pomogły Kuniemu wrócić na właściwą ścieżkę.

Kado Garu, choć niechętnie, jednak zlitował się nad młodszym bratem i zabrał go do siebie. Był jednak odosobniony w swej wspaniałomyślności. Jego żona, Tete, zaczęła podawać obiad wcześniej, na długo przed powrotem Kuniego do domu. A kiedy słyszała, że wchodzi do domu, zaczynała głośno stukać pustymi garnkami w zlewie, dając mu do zrozumienia, że jedzenie się skończyło.

Kuni szybko zrozumiał aluzję. Chociaż miał grubą skórę – musiał mieć, przebywając z takimi, a nie innymi przyjaciółmi – poczuł się urażony, że jego szwagierka uważa go jedynie za kolejną gębę do wykarmienia. Wyprowadził się i sypiał na podłodze w domach przyjaciół, zmieniając miejsce w chwili, gdy gospodarzom kończyła się cierpliwość.

Często się przeprowadzał.



Zapach smażonych pierożków i octu imbirowego. Odgłosy nalewania do szklanek ciepłego i zimnego piwa.

– ...i wtedy powiedziałem: „Ale twojego męża nie ma w domu!”. A ona zaśmiała się i rzuciła: „I dlatego musisz wejść właśnie teraz!”.

– Kuni Garu! – Wdowa Wasu, właścicielka Cudownej Urny, próbowała zwrócić na siebie uwagę młodego mężczyzny opowiadającego historyjki wśród tłumu.

– Tak, moja pani? – Kuni wyciągnął długą rękę i oplótł nią ramiona kobiety, a potem cmoknął ją głośno i soczyście w policzek.

Wdowa Wasu była po czterdziestce i starzała się z godnością. W przeciwieństwie do właścicielek innych knajp nie nakładała na twarz różu i pudru, dzięki czemu wyglądała o wiele szlachetniej. W rozmowach z różnymi ludźmi Kuni często powtarzał, jak wielce mu się wdowa podoba.

Wasu zwinnie wyslizgnęła się z objęć Kuniego. Odsunęła go od pozostałych klientów, mrugając do roześmianego i pokrzykującego radośnie tłumu. Zaciągnęła Garu do swojego biura na tyłach, gdzie posadziła go na poduszce po jednej stronie biurka. Sama zajęła drugą, naprzeciwko.

Kłęcząc z wyprostowanymi plecami w formalnej pozie *mipa rari*, wdowa przybrała najsroższy wyraz twarzy, jaki zdołała – ta rozmowa musiała dotyczyć wyłącznie interesów, a Kuni Garu potrafił sprytnie zmieniać temat za każdym razem, gdy ktoś czegoś od niego chciał.

– W tym miesiącu zorganizowałeś u mnie trzy imprezy – powiedziała Wasu. – To bardzo dużo piwa i smażonych pierożków i kałamarnic. Wszystkie zamówienia poszły na twoje

konto. W tym momencie twój dług jest większy niż mój zastaw na zapasy. Myślę, że powinieneś spłacić chociaż część.

Kuni odchylił się na swojej poduszce i wyciągnął nogi w zmodyfikowanej pozycji *thakrido*, z jedną nogą na drugiej – tak siadał mężczyzna w towarzystwie swojej kochanki. Zmrużył oczy, uśmiechnął się beczelnie i zaczął nucić piosenkę, której tekst przyprawił kobietę o rumieńce.

– Daj spokój, Kuni – powiedziała Wasu. – Mówię poważnie. Poborcy podatkowi nachodzą mnie już od tygodni. Nie możesz traktować mnie jak instytucji dobroczynnej.

Kuni Garu schował nogi pod siebie i nagle wyprostował się, przyjmując *mipa rari*. Nadal mrużył oczy, jednak uśmieszek zniknął z jego twarzy. Wdowa Wasu wzdrygnęła się mimo powziętego zamiaru trzymania Kuniego krótko. W końcu miała do czynienia z bandytą.

– Droga pani Wasu – zwrócił się do niej Kuni spokojnym, cichym głosem. – Jak często pani zdaniem przychodzę tutaj się napić?

– Praktycznie co drugi dzień – odparła Wasu.

– I czy zauważyła pani jakąś różnicę w utargu między dniami, kiedy się tu pojawiaam, a resztą?

Wasu westchnęła. Spodziewała się, że Kuni sięgnie po te argumenty.

– Jest troszkę większy w dni, w które nas odwiedzasz – przyznała.

– Troszkę większy? – Wciągnął głośno powietrze przez nos, jakby poczuł się urażony.

Wdowa Wasu nie mogła się zdecydować, czy ma większą ochotę się roześmiać, czy rzucić czymś w tego nieudacznika. Ostatecznie postanowiła, że tylko pokręci głową i skrzyżuje ręce na piersi.

– Proszę popatrzeć na te tłumy! – ciągnął dalej. – Jest środek dnia, a knajpa jest pełna płacących klientów. Kiedy ja tu przychodzę, interesy idą lepiej o co najmniej pięćdziesiąt procent.

To oczywiście duża przesada, jednak Wasu musiała przyznać, że klienci baru faktycznie zazwyczaj zostawali dłużej i więcej pili w towarzystwie Kuniego. Młody mężczyzna był głośny, opowiadał świetne dowcipy i udawał, że wie wszystko o wszystkim – nie miał krztyny wstydu i potrafił sprawić, że ludzie wokół niego uspokajali się i lepiej bawili. Był jak sprośny trubadur, gawędziarz, a w razie potrzeby także bukmacher. Może zyski nie wzrastały o pięćdziesiąt procent, ale o dwadzieścia czy trzydzieści owszem. A mały gang Kuniego potrafił też trzymać z dala od Urny naprawdę niebezpiecznych złoczyńców; takich, co wznecają bójki i niszczą wyposażenie.

– Siostró – powiedział Kuni, teraz pokazując jej swoją szarmancką stronę – musimy się nawzajem wspierać. Lubię przychodzić do Urny z przyjaciółmi, wszyscy świetnie się tutaj bawimy. Lubimy też pomagać w interesie. Jeśli jednak nie dostrzega pani zalet tego układu, będę musiał przenieść się gdzie indziej.

Wdowa Wasu posłała mu miażdżące spojrzenie, jednak wiedziała, że tej walki nie wygra.

– Lepiej, żebyś opowiadał tak dobre historie, by żołnierze cesarscy upijali się w sztok i opróżniali całkiem kieszenie. – Westchnęła. – I szepnij dobre słówko o pierożkach z wieprzowiną. Muszą mi dzisiaj wszystkie zejść.

– Ale miała pani rację, mówiąc, że mój dług jest zbyt wielki – stwierdził Kuni. – Przy następnej wizycie spodziewam się, że moje konto zostanie oczyszczone. Myśli pani, że to się da załatwić?

Wdowa niechętnie kiwnęła głową, a potem machnęła ręką, dając Kuniemu znak, że może odejść. Westchnęła raz jeszcze i zaczęła wykreślać z listy napitki, które Kuni i jego banda tak ochoczo popijali przy barze.



Kuni Garu wytoczył się z Urny na chwiejnych nogach, ale tak naprawdę jeszcze się porządnie nie upił. Ponieważ wciąż było dość wcześnie, jego najbliżsi przyjaciele nadal pracowali; dlatego postanowił zabić czas, wędrując po głównym targowisku w Zudi.

Chociaż Zudi było małym miastem, Zjednoczenie i tak dość poważnie zmieniło jego oblicze. Mistrz Loing tłumaczył chłopcom istotę tych zmian z odrazą, głośno żałując, że uczniowie nie mieli okazji poznać zalet Zudi z czasów jego młodości. Jednak ponieważ Kuni znał tylko nowe Zudi, postanowił wyrobić sobie o nim własne zdanie.

Cesarz Mapidéré, próbując zdusić w zarodku wszelkie zakusy arystokratów na przeprowadzenie rebelii na ich dawnych ziemiach, pozbawił ich wszelkiej realnej władzy, zostawiając jedynie puste tytuły. Jednak to mu nie wystarczyło. Postanowił podzielić szlacheckie rody i zmusił część ich członków do przeprowadzenia się w odległe części imperium. Na przykład najstarszy syn hrabiego Cocru mógł zostać wysłany – razem ze sługami, kochankami, żonami, kucharzami i strażnikami – do Wilczej Łapy, daleko na dawne terytorium Ganu. Z kolei odnogi książęcego rodu z Ganu mogły otrzymać rozkaz spakowania się i przeprowadzenia do miast w Rui. Dzięki temu nawet jeśli buńczuczni młodzi arystokraci zechcieliby trochę namieszać, nie mieliby żadnego wpływu na lokalne elity ani szans na zdobycie poparcia ze strony mieszkańców. Cesarz uczynił to samo z wieloma rodzinami żołnierzy sześciu królestw Tiro, którzy się poddali.

Chociaż polityka przesiedlania nie podobała się arystokracji, miała pozytywny wpływ na życie zwyczajnych mieszkańców Dary. Przesiedleni pragnęli żywności i ubrań z rodzinnych stron, więc kupcy wędrowali po całym cesarstwie zaopatrzeni w produkty, które miejscowym wydawały się egzotyczne, lecz dla wypędzonej arystokracji, tęskniącej za domem i dawnym stylem życia, stanowiły prawdziwy rarytas. W ten sposób rozsiani po całej Darze członkowie szlacheckich rodów stawali się nauczycielami smaku dla plebejuszy, czyniąc ich ludźmi bardziej kosmopolitycznymi i ekumenicznymi.

Za sprawą takiego stanu rzeczy Zudi – nowe miejsce zamieszkania wygnanych rodzin z całej Dary – przejmowało od nich zwyczaje, kuchnię i elementy języka, którego tutaj, na sennych targowiskach i w spokojnych herbaciarniach, nigdy wcześniej nie słyszano.

Gdyby oceniać cesarza Mapidérégo jako zarządcę, pomyślał Kuni, zwiększenie różnorodności na targowiskach Zudi zdecydowanie trzeba by mu policzyć na plus. Ulice były pełne handlarzy oferujących wszelkiego rodzaju nowinki z całego terytorium Dary: bambukoptery z Amu – śmigielka na kijku, którymi można było szybko obracać, aż w końcu startowały w powietrze jak małe ważki; żywi papierowi ludzie z Faça – wycinane z papieru figurki skaczące jak tancerki na maleńkiej scenie, kiedy potarło się szklany pręt

na suficie jedwabną szmatką; magiczne kalkulatory z Haanu – drewniane labirynty z małutkimi bramkami przy każdym rozgałęzieniu, które otwierały się, gdy przetaczały się przez nie szklane kulki, a które bystry człowiek potrafił wykorzystać do przeliczania dużych sum; żelazne marionetki z Rimy – misternie skonstruowane ludziki i zwierzęta, które schodziły po pochyłej desce o własnych siłach; i tak dalej.

Jednak Kuni najwięcej uwagi poświęcał jedzeniu. Uwielbiał smażone paski jagnięciny pochodzące z Xany, zwłaszcza te pikantne z Dasu. Delikatną surową rybę serwowaną przez kupców z Wilczej Łapy uważał za wprost cudowną – wyjątkowo dobrze smakowała razem z likierem z mango i kropelką ostrej musztardy wytwarzanej z przypraw rosnących na zacienionych poletkach u podnóża góry Shinané w Faça. Patrząc na smakołyki porozkładane na różnych straganach, musiał co rusz przełykać ślinę.

W kieszeni miał całe dwa miedziaki, co nie starczyłoby mu nawet na obsypane cukrem dzikie jabłko.

– Cóż, właściwie i tak powinienem dbać o figurę – powiedział sam do siebie i ze smutkiem poklepał się po brzuchu. Niewiele ostatnio ćwiczył przez całe to imprezowanie i picie.

Westchnął i już miał opuścić targowisko, by poszukać cichego miejsca na drzemkę, kiedy jego uwagę przykuła głośna kłótnia.

– Panie, proszę go nie zabierać – mówiła do cesarskiego strażnika starsza kobieta ubrana w tradycyjny xański strój plebejski, pełen frędzli i kolorowych, geometrycznych łątek, które miały symbolizować szczęście i dobrobyt, chociaż noszący go ludzie nie posiadali ani jednego, ani drugiego. – Ma dopiero piętnaście lat i jest moim najmłodszym synem. Najstarszy już pracuje w Mauzoleum. Prawo mówi, że ostatnie dziecko może zostać ze mną.

Skóra kobiety i jej syna była jaśniejsza niż karnacja większości mieszkańców Cocru, jednak to samo w sobie niewiele znaczyło. Chociaż ludzie pochodzący z różnych części Dary różnili się od siebie fizycznie, zawsze istniała pewna tendencja do migrowania i proces mieszania już się odbywał – Zjednoczenie tylko go przyspieszyło. A poddani królestw Tiro większą wagę przykładali do różnic kulturowych i językowych niż do samego wyglądu. Mimo to, sądząc po akcencie i stroju kobiety, nie należała ona do rodzimych mieszkańców Cocru.

Znalazła się daleko od domu, pomyślał Kuni. Zapewne patrzył właśnie na wdowę po xańskim żołnierzu, który utknął tutaj po Zjednoczeniu. Odkąd siedem lat temu lotniarz próbował dokonać zamachu na cesarza, w Zudi stacjonowało wielu żołnierzy – cesarzowi nie udało się nigdy odnaleźć niedoszłego zabójcy, jednak wielu ludzi trafiło do więzienia lub zostało straconych na podstawie znikomych dowodów, a Zudi nadal rządzone było wyjątkowo surowo. Przynajmniej urzędnicy cesarza stosowali prawo bez faworyzowania: biedacy z Xany mogli się spodziewać takiego samego traktowania jak biedacy należący do podbitych ludów.

– Prosiłem o akty urodzenia dwóch chłopców i żadnego nie otrzymałem. – Żołnierz niecierpliwie odtrącił czepiające się go błagalnie palce staruszki.

Sądząc po akcencie, on również pochodził z Xany. Był tusty i niemrawy, raczej biurokrata niż wojownik. Patrzył z zimnym uśmieszkiem na młodzika stojącego obok

staruszki, prowokując go do zrobienia czegoś pochopnego.

Kuni dobrze znał ten typ człowieka. Mężczyzna zapewne wymigał się od walki w czasie wojen o Zjednoczenie, a potem dzięki łapówkom dostał się do armii, gdy tylko ogłoszono pokój, żeby wysłano go do jednego z podbitych terytoriów i obsadzono na stanowisku zarządcy. Jego zadaniem było werbowanie odpowiedniej liczby silnych mężczyzn, by pracowali na rzecz jednego z licznych projektów infrastrukturalnych cesarza. Taka posada łączyła się z odrobiną władzy i dawała ogromne pole do nadużyć. Poza tym była bardzo opłacalna: rodziny, które nie chciały oddać swoich synów, były gotowe zapłacić wysoką cenę.

– Znam takie przebiegłe kobiety – ciągnął dalej mężczyzna. – Myślę, że ta historyjka o najstarszym synu to kłamstwo wymyślone po to, by uniknąć sprawiedliwego udziału w budowie pałacu na życie pozagrobowe Jego Imperialnej Mości, Ukochanego Cesarza Mapidérégo. Niech nigdy nas nie opuszcza.

– Niech nigdy nas nie opuszcza. Ale ja mówię prawdę, panie. – Staruszka próbowała go udobruchać komplementami: – Jest pan taki mądry i odważny, wiem, że zlituje się pan nade mną.

– Nie litości ci trzeba – powiedział zarządca. – Jeśli nie otrzymam dokumentów...

– Dokumenty są w magistracie w Rui...

– Cóż, nie jesteśmy w Rui, prawda? I nie przerywaj, kiedy mówię. Dałem ci możliwość opłacenia podatku od dobrobytu, żebyśmy mogli zapomnieć o tych nieprzyjemnościach. Skoro jednak jesteś niechętna, będę musiał...

– Jestem chętna, panie! Zapłacę. Tylko musi mi pan dać czas. Interesy nie idą ostatnio najlepiej. Potrzebuję czasu...

– Mówiłem, żeby mi nie przerywać! – Mężczyzna podniósł rękę i spoliczkował staruszkę. Chłopak stojący obok rzucił się na niego, ale kobieta złapała go za ramię i spróbowała stanąć między nim a zarządcą.

– Proszę, proszę! Proszę wybaczyć temu głupcowi. Może mnie pan uderzyć jeszcze raz za jego wybryki.

Zarządca tylko się zaśmiał i splunął na staruszkę.

Twarz kobiety trzęsła się z niewypowiedzianej rozpacz. Przywodziła Kuniemu na myśl twarz jego własnej matki, Naré, i chwile, gdy gromiła go za brak życiowych ambicji. Nagle uleciało z niego całe zamroczenie alkoholowe.

– Ile wynosi ten podatek? – Kuni nieśpiesznie podszedł do spierającej się trójki. Inni przechodnie omijali ich szerokim łukiem. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi zarządcy.

Mężczyzna obrzucił Kuniego Garu taksującym spojrzeniem, a zobaczywszy brzuch piwny, przymilny uśmiech, przypuchniętą od częstego picia twarz i niechlujne, pogniecione ubrania – uznał, że nieznamy nie stanowi żadnego zagrożenia.

– Dwadzieścia pięć sztuk srebra. A co cię to obchodzi? Zgłaszasz się, by zająć miejsce chłopaka na budowie?

Ojciec Kuniego, Féso Garu, płacił każdemu kolejnemu zarządcy i Kuni posiadał odpowiednie dokumenty, żeby udowodnić, że został zwolniony z obowiązku. Poza tym nie bał się żołnierza. Świetnie sobie radził w barowych bójkach i uznał, że nieźle się spisze,

gdyby doszło do rękoczynów. Jednak ta sytuacja wymagała odrobiny finezji, a nie brutalnej siły.

– Nazywam się Fin Crukedori – powiedział. Crukedori byli właścicielami największego zakładu jubilerskiego w Zudi, a Fin, ich najstarszy syn, chciał kiedyś donieść na Kuniego i jego przyjaciół na policję za zakłócanie spokoju, po tym jak Kuni upokorzył go w grze w kości na wysokie stawki. Ojciec Fina był również znany ze skąpstwa: nie dał na cele dobroczynne złamanego miedziaka, jednak jego syn z kolei słynął z rozrzutności. – I niczego tak nie lubię jak pieniędzy.

– W takim razie powinien pan ich się trzymać i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Kuni kiwnął głową jak kura wydziobująca ziarna z piachu.

– Doskonała rada, panie! – wykrzyknął, po czym rozłożył bezradnie ręce. – Jednak ta staruszka jest przyjaciółką sąsiada teściowej mojego kucharza. I jeśli przekaze swojemu przyjacielowi, który przekaze swojemu sąsiadowi, który przekaze swojej córce, która przekaze swojemu mężowi, ten może później nie ugotować mojego ulubionego duszonego węgorza z kaczymi jajami...

Zarządcy zakręciło się w głowie, gdy próbował zrozumieć tę bezładną opowieść.

– Dość tej bezsensownej paplaniny! Zapłaci pan za nią czy nie?

– Tak! Tak! Och, panie, przysięgam, że nie skosztował pan prawdziwego jedzenia, jeśli nie próbował pan duszonego węgorza. Jest gładki jak jadeit. A kacze jaja? O, panie...

Kuni ciągnął dalej ku konsternacji xańskiego zarządcy i przywołał gestem kelnerkę z ulicznej restauracji. Kelnerka, która wiedziała doskonale, kim naprawdę jest Kuni, starała się ukryć uśmiech, podając mu kartkę papieru i pędzel.

– ...ile to pan mówił? Dwadzieścia pięć? A może jakaś zniżka? W końcu dzięki mnie poznał pan wspaniałości duszonego węgorza! Dwadzieścia...?

Kuni wypisał rachunek, w którym upoważniał żołnierza do odebrania należności w wysokości dwudziestu sztuk srebra w rodzinnym biurze Crukedorich. Podpisał się zamasyście i podziwiał przez chwilę własne oszustwo. Potem odbił pieczęć, którą miał przy sobie właśnie na tego typu okazje – była tak stara i zniszczona, że odbijała znak dość niewyraźny, by dało się w nim dostrzec wszystko, co się tylko chciało.

Westchnął i niechętnie oddał kartkę papieru.

– Proszę bardzo. Pójdzie pan w wolnej chwili do mojej rodziny i pokaże to konsjerżowi. Sługa natychmiast przyniesie panu pieniądze.

– Ach, panie Crukedori! – Zarządca nagle odnalazł w sobie pokłady przymilności, gdy zobaczył sumę na rachunku. O takich głupich i bogatych arystokratów jak ten Fin Crukedori warto dbać. – Nowy przyjaciel zawsze w cenie. A może napijemy się razem?

– A już się bałem, że nigdy pan nie zapyta – odparł Kuni i radośnie klepnął cesarskiego biurokratę w ramię. – Tylko że nie wziąłem ze sobą żadnej gotówki, bo miałem tylko zaznać odrobiny świeżego powietrza. Następnym razem zaproszę pana do domu na duszonego węgorza, ale teraz... może mógłbym trochę pożyczyć...

– Żaden problem, żaden problem. Od czego są przyjaciele?

Kiedy odchodzili, Kuni ukradkiem zerknął na staruszkę. Stała, nieruchoma i milcząca, z otwartymi szeroko oczami i ustami. Pomyślał, że pewnie była zbyt zaskoczona, żeby podziękować, i raz jeszcze przypomniała mu się matka. Zamrugnął, żeby przegonić nagłe

ciepło z oczu, puścił nieznajomej oko na znak, że wszystko jest pod kontrolą, a potem obrócił się, żeby pożartować jeszcze z zarządcą.

Syn kobiety delikatnie pociągnął ją za rękę.

– Ma, chodźmy już. Musimy wyjechać z miasta, zanim ta świnia zmieni zdanie.

Staruszka jakby przebudziła się ze snu.

– Młody człowieku – wymamrotała za oddalającym się Kunim Garu – możesz się wygłupiać i lenić, ale ja widziałam twoje serce. Jaskrawy i wytrwały kwiat nie kwitnie w cieniu.

Kuni był już zbyt daleko, żeby ją usłyszeć.



Jednak pewna młoda kobieta, której palankin zatrzymał się przy ulicy, by tragarze mogli wejść do baru po coś do picia dla niej, usłyszała słowa staruszki. Uniósłszy róg zasłony w oknie palankinu, obejrzała całą scenę, w tym ostatnie spojrzenie, które Kuni posłał kobiecie – spojrzenie mokre od łez.

Pomyślała o słowach wypowiedzianych przez staruszkę, gdy na jej bladej twarzy pojawił się uśmiech. Bawiła się kosmykiem płomiennorudych włosów, a jej wąskie oczy, o kształcie wdzięcznej dyrany – latającej ryby z tęczowymi łuskami i ogonem jak wstążka – wpatrywały się w dal. Było coś niezwykłego w tym młodym chłopaku, który starał się czynić dobro tak, by nie wydawał się dobrym człowiekiem. Chciała go lepiej poznać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

JIA MATIZA

ZUDI: PIĄTY MIESIĄC DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO ROKU RZĄDÓW JEDNEGO
JASNEGO NIEBA

Kilka dni później Kuni z powrotem pojawił się w Urnie, żeby spotkać się z najbliższymi przyjaciółmi – grupką młodych mężczyzn, którzy ratowali się nawzajem w bójkach i razem chadzali do domów indygo.

– Kuni, kiedy wreszcie spróbujesz zrobić coś ze swoim życiem? – zapytał Rin Coda. Wciąż niezgrabny i nerwowy, Rin zarabiał na życie, pisząc listy w imieniu żołnierzy analfabetów z xańskiego garnizonu. – Za każdym razem, gdy widzę twoją matkę, wzdycha i mówi, żebym był dobrym przyjacielem i zachęcił cię do szukania pracy. Twój ojciec zatrzymał mnie, kiedy szedłem tu dzisiaj, i powiedział, że miałeś na mnie zły wpływ.

Te słowa zaboląły Kuniego bardziej, niż był gotowy to przyznać.

– Przecież mam ambicje.

– Ha! Dobry żart – odparł Than Carucono. Than był stajennym burmistrza i czasami jego przyjaciele dowcipkowali, że lepiej rozumie konie niż ludzi. – Za każdym razem, kiedy któryś z nas ofiaruje ci pomoc w znalezieniu prawdziwej pracy, wymyślasz jakieś absurdalne wymówki. Nie chcesz pracować ze mną, bo uważasz, że konie się ciebie boją...

– Bo się boją! – protestował Kuni. – Konie robią się nerwowe w obecności ludzi o niezwykłych charakterach i wzniosłych umysłach...

Than go zignorował.

– Nie chcesz pomagać Cogo, ponieważ twoim zdaniem praca urzędnika jest nudna...

– To nie jest dokładny cytat – zauważył Kuni. – Powiedziałem, że mojej kreatywności nie powinno się ograniczać...

– Nie chcesz iść z Rinem, ponieważ podobno mistrz Loing nie zniósłby, gdybyś umieszczał odniesienia do poznanych dzięki niemu klasyków w miłosnych listach żołnierzy. Więc co właściwie chciałbyś robić?

Prawda była taka, że Kuniemu bardzo podobałoby się ozdabianie listów żołnierzy perłami mądrości mistrza Loinga, jednak nie chciał zabierać Rinowi pracy, ponieważ uważał go za lepszego pisarza. Jednak takich powodów odmowy lepiej nie zdradzać.

Chciał powiedzieć, że pragnie osiągnąć coś niezwykłego, być podziwianym jak człowiek jadący na czele wielkiej parady. Jednak za każdym razem, gdy próbował podać jakieś szczegóły tego wspaniałego, acz niesprecyzowanego planu, miał pustkę w głowie. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy ojciec i brat słusznie go osądzili: faktycznie przypominał unoszący się w wodzie i płynący bez celu strzępek wodorostów.

– Czekam...

– ...aż nadarzy się okazja – dokończyli za niego Than i Rin jednocześnie.

– Idzie ci coraz lepiej – stwierdził Rin. – Teraz powtarzasz to tylko co drugi dzień.

Kuni spojrzał na niego z urazą.

– Myślę, że wiem, co masz na myśli – odparł Than. – Czekasz, aż burmistrz miasta przyjdzie do ciebie z palankinem wyłożonym jedwabiem, by błagać cię, byś zgodził się na zaprezentowanie cię cesarzowi jako kwiatu Zudi.

Wszyscy się roześmiali.

– Jak zwykle wróble mają rozumieć myśli orła? – powiedział Kuni, wypinając pierś i zamaszystym gestem podnosząc do ust resztkę napitku.

– Zgadzam się. Orły faktycznie się zlecą na twój widok – odparł Rin.

– Naprawdę? – Kuni rozpromienił się, słysząc ten komplement.

– Oczywiście. Wyglądasz jak oskubany kurczak. Orły i sępy wypatrzą cię z daleka.

Kuni Garu bez przekonania trącił kolegę łokciem.

– Słuchaj, Kuni – rzucił Cogo Yelu. – Burmistrz organizuje przyjęcie. Chcesz się na nie wybrać? Będzie tam mnóstwo ważnych ludzi; takich, których normalnie nie masz szans poznać. Kto wie, może właśnie tam nadarzy się ta twoja okazja.

Cogo był starszy od Kuniego o dziesięć lat. Był pracowitym i pilnym uczniem, dzięki czemu egzaminy do służby cesarskiej zdał z wysokimi notami. Jednak ponieważ pochodził z mało znaczącej rodziny, która nie została otoczona mecenatem władz, posada urzędnika trzeciej kategorii w administracji miejskiej była zapewne maksimum jego możliwości.

Jednak Cogo lubił swoją pracę. Pochodzący z Xany burmistrz, który kupił sobie urząd, ale nie interesował się szczególnie zarządzaniem miastem, przy większości podejmowanych decyzji polegał na radach Cogo. Chłopaka fascynowały sprawy miejscowej administracji i miał smykałkę do rozwiązywania problemów burmistrza.

Inni mogą widzieć w Kunim leniwego, pobłażającego sobie człowieka, którego przeznaczeniem było życie bezdomnego albo kryminalisty, jednak Cogo lubił niewymuszone maniery przyjaciela i jego przebłycki geniusz. Kuni był niezwykły, a mało osób w Zudi mogło się tym pochwalić. Wesołe towarzystwo Garu pomogłoby znieść monotonię przyjęcia.

– Pewnie. – Kuni od razu się ożywił. Przyjęcia zawsze wzbudzały jego zainteresowanie: oznaczały darmowe jedzenie i darmowe picie!

– Przyjaciel burmistrza, człowiek o nazwisku Matiza, dopiero co przeprowadził się do Zudi. Jest bogatym właścicielem ziemskim ze starego Faça, który popadł w jakiś konflikt z lokalnym magistratem. Przeprowadza się tutaj, żeby zacząć wszystko od nowa, jednak większość środków ma w postaci zwierząt jeszcze w starym miejscu i nie może tego szybko spieniężyć. Burmistrz zorganizował przyjęcie powitalne...

– A prawdziwy cel tego przyjęcia jest oczywiście taki, by goście przynieśli jak najwięcej prezentów dla Matizy, które mają wzbudzić podziw burmistrza i przy okazji rozwiązać problem finansowy Matizy – wtrącił Than Carucono.

– Może mógłbyś się wbić do środka jako członek obsługi – zasugerował Cogo. – Zarządzam całą organizacją. Mogę ci załatwić pracę kelnera. Będiesz miał szansę zamienić kilka słów z ważnymi gośćmi, podając im posiłki.

– E tam. – Kuni Garu machnął ręką. – Cogzy, nie będę się kłaniał za pieniądze. Pójdę

jako gość.

– Ale burmistrz na zaproszeniach napisał, że sugerowana wartość prezentu od każdego gościa to sto sztuk srebra!

Kuni uniósł brwi.

– Mam głowę na karku i urodę. Jedno i drugie jest bezcenne.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem, a Cogo kręcił głową.



Przed domem burmistrza wisały jasne lampiony. Po obu stronach drzwi wejściowych stały młode kobiety, ubrane w tradycyjne krótkie cocruskie stroje, paliły perfumowane kadzidła i puszczały na gości bańki mydlane, które pękały, uwalniając zapachy jaśminu, osmantusa, róży i drewna sandałowego.

Cogo Yelu witał gości w drzwiach i notował w księdze, jakie prezenty przynieśli („Żeby mistrz Matiza mógł napisać odpowiednie podziękowania”, wyjaśnił). Wszyscy jednak wiedzieli, że po przyjęciu burmistrz dokładnie przestudiuje księgę. To, jak sprawnie uda się załatwić w przyszłości wiele spraw w Zudi, mogło zależeć od tego, jaka suma zostanie zapisana obok nazwiska osoby zainteresowanej.

Kuni przyszedł sam. Założył czystą koszulę i najmniej pocerowaną szatę, a do tego umył włosy. Nie był też pijany. To wszystko w jego słowniku służyło za definicję „wyszykowania się”.

Cogo zatrzymał go przy wejściu.

– Mówiłem poważnie, Kuni. Nie mogę cię wpuścić bez prezentu. Jeśli go nie masz, musisz usiąść przy stole żebraków, o tam. – Wskazał ręką stół ustawiony przy zewnętrznej ścianie posiadłości, jakieś piętnaście metrów od bramy. Nawet o tak wczesnej porze biedacy i niedożywione sieroty walczyły o miejsca. – Przyniosą tam resztki po gościach.

Kuni Garu mrugnął do przyjaciela, sięgnął do wnętrza rękawa i wyciągnął stamtąd szeleszczącą kartkę papieru, złożoną na trzy.

– Zapewne pomylił mnie pan z kimś. Nazywam się Fin Crukédori i przyniosłem tysiąc sztuk srebra. Tutaj mam rachunek wystawiony przez biuro mojej rodziny.

Zanim Cogo zdążył odpowiedzieć, dobiegł ich kobiecy głos.

– Jakież to zaszczyt znowu widzieć słynnego pana Crukédori!

Cogo i Kuni odwrócili głowy i zobaczyli za bramą młodą, na oko zaledwie dwudziestoletnią kobietę stojącą na podwórzu. Spojrzała na Kuniego z chytrym uśmieszkiem. Jej jasna cera i kręcone jasnorude włosy, tak często widziane w Faça, wyróżniały się nieco w Zudi, jednak to oczy dziewczyny zrobiły na Kunim największe wrażenie. Miały kształt dyrany i wydawały się oceanami ciemnozielonego wina. Każdy mężczyzna, który w nie zajrzał, szybko się w nich gubił.

– Panienko – zaczął Kuni i chrząknął. – Czyżby coś panienkę bawiło?

– Ty mnie bawisz – odparła. – Pan Fin Crukédori wszedł do środka raptem dziesięć minut temu razem ze swoim ojcem. Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę, a ja usłyszałam wiele komplementów. A jednak znowu cię widzę, na zewnątrz, i do tego tak odmienionego.

Kuni przybrał poważny wyraz twarzy.

– Musi chodzić o mojego... kuzyna. On nazywa się Fin, a ja Phin. – Wydał wargi, demonstrując różnicę w wymowie. – Zapewne nie zna pani zbyt dobrze cocruskiego dialektu, który bardzo subtelnie odróżnia jedno od drugiego.

– Och, czyżby? W takim razie często muszą pana mylić z kuzynem, skoro nawet żołnierze na xańskich targowiskach nie znają tych subtelnych różnic.

Twarz Kuniego na moment przybrała buraczany kolor, lecz zaraz się roześmiał.

– Ktoś tu najwyraźniej mnie szpiegował.

– Jestem Jia Matiza, córka człowieka, którego próbujesz oszukać.

– „Oszustwo” to zbyt mocne słowo – odparł Kuni, nie tracąc rezonu. – Słyszałem, że córka pana Matizy to wyjątkowa piękność, tak rzadka jak dyrana pośród ryb. – Po tych słowach Jia przewróciła oczami. – Miałem nadzieję, że mój przyjaciel, Cogzy – pokazał na Cogo, a ten pokręcił przecząco głową – wpuści mnie do środka z fałszywą tożsamością, żebym mógł tę piękność zobaczyć na własne oczy. Teraz jednak, gdy miałem ku temu szansę, mogę odejść, nie wchodząc i ratując honor mój i przyjaciela. Żegnam.

– Naprawdę nie masz wstydu – stwierdziła Jia Matiza, jednak oczy jej się śmiały, więc wypowiedziane przez nią słowa nie zabrzmiały ostro. – Możesz wejść jako mój gość. Jesteś bezczelny, ale interesujący.



Kiedy Jia miała dwanaście lat, ukradła swojej nauczycielce zioła snów. Wyśniła mężczyznę ubranego w zwykłą, szarą tunikę z bawełny.

– Co możesz mi zaoferować? – zapytała.

– Znoje, samotność, po stokroć złamane serce – odparł.

Nie potrafiła dostrzec jego twarzy, jednak podobało jej się brzmienie jego głosu: łagodne i poważne, lecz z nutą rozbawienia.

– Nie jesteś chyba dobrą partią – rzekła.

– Dobre partie nie są bohaterami opowieści i piosenek – powiedział. – Za każdy ból, który razem zniesiemy, los da nam radość dwa razy większą. Przez tysiąc lat będą śpiewać o nas pieśni.

Zobaczyła, że jego tunika zmieniła się w żółtą szatę z jedwabiu. Pocałował ją, a jego pocałunek smakował solą i winem.

Wtedy zrozumiała, że to temu mężczyźnie jest przeznaczona.



Przyjęcie sprzed kilku dni wciąż nie opuszczało jej myśli.

– Nigdy nie słyszałam, żeby wiersz Luruséna miał traktować o budzeniu się w środku nocy w domu indygo – powiedziała wówczas Jia, śmiejąc się.

– To prawda, że klasyczna interpretacja dotyczy szlachetnej polityki i takich tam – przyznał Kuni. – Ale wsłuchaj się w te wersy: „Świat jest pijany, jam jeden trzeźwy. Świat śpi, jam jeden obudzony”. Przecież tu musi chodzić o chrzczony alkohol w domu indygo.

Mam na to dowody naukowe.

– Nie wątpię. A czy przedstawiłeś tę interpretację swojemu nauczycielowi?

– Owszem, przedstawiłem, jednak on nie docenił mojego geniuszu. – Kuni złapał dwa talerzyki z tacy mijającego ich kelnera. – Wiedziałaś, że pierożki z wieprzowiną można maczać w paście ze śliwek?

Jia skrzywiła się.

– To brzmi obrzydliwie. Przecież te dwa smaki się ze sobą gryzą: mieszasz kuchnię Faça z kuchnią Cocru.

– Jeśli nie próbowałaś, skąd możesz wiedzieć?

I wtedy Jia spróbowała. Było pyszne. Zaskakująco pyszne.

– Masz lepszą intuicję co do kuchni niż poezji – rzekła Jia i sięgnęła po kolejny pierożek, by umoczyć go w paście ze śliwek.

– Ale wiersz Luruséna nigdy już nie będzie dla ciebie taki sam, prawda?

– Jia! – głos jej matki przywrócił ją do rzeczywistości. Dziewczyna otrząsnęła się ze wspomnień.

Młody mężczyzna, który przed nią siedział, nie był brzydki, jednak wydawał się robić wszystko, by właśnie za takiego zostać uznanym. Jego wzrok wędrował po całym ciele dziewczyny, oczy nie miały w sobie krztyny inteligencji, a z kącika ust zwisała wąska strużka śliny.

„Zdecydowanie nie ten”.

– Jego wuj posiada dwadzieścia statków, które wożą towary do Toazy – wyjaśniła swatka, sięgając ręką pod stół, by dźgnąć Jię pałeczką. Wcześniej wyjaśniła dziewczynie, że ma to traktować jako znak, by uśmiechała się nieco skromniej.

Jia wyprostowała ramiona i ziewnęła przeciągle, nie zakrywając ust. Jej matka, Lu, spojrzała na nią ostrzegawczo.

– Tabo, prawda? – zapytała dziewczyna, pochylając się do przodu.

– Tado.

– Tak, zgadza się. Tado, powiedz mi, proszę, gdzie widzisz siebie za dziesięć lat?

Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz jeszcze większej dezorientacji, jednak po kilku chwilach kłopotliwej ciszy jego rysy wyciągnęły się w szeroki uśmiech.

– Ach, teraz rozumiem pytanie. Nie martw się, kochana. Za dziesięć lat spodziewam się mieć swoją własną willę nad jeziorem.

Jia kiwnęła głową. Z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Patrzyła na błyszczące od śliny wargi chłopaka, nic więcej nie mówiąc. Wszyscy w pokoju wierzili się, wyraźnie skrepowani. Chwila ciągnęła się w nieskończoność.

– Panna Matiza jest znawczynią ziół – oznajmiła swatka, przerywając nieprzyjemne milczenie. – Uczyła się u najlepszych zielarzy w Faça. Jestem pewna, że będzie dbać o zdrowie szczęściarza, który zostanie jej mężem, i powije mu wielu pięknych potomków.

– Będziemy mieli przynajmniej piątkę dzieci – dodał wielkodusznie Tado. – Może nawet więcej.

– Ależ musisz widzieć we mnie kogoś więcej niż tylko pole do obsadzenia – powiedziała Jia. Swatka znowu dźgnęła ją pałeczką.

– Słyszałem, że panna Matiza jest utalentowaną poetką – rzucił przymilnie Tado.

– Czyżby? Ty też interesujesz się poezją? – Jia zaczęła bawić się kosmykiem włosów, co ktoś obcy mógłby uznać za kokieterię, jednak każdy, kto znał dziewczynę, rozumiał, że naigrawa się z chłopaka. Jej matka posłała jej podejrzliwe spojrzenie.

– Uwielbiam czytać wiersze. – Chłopak starł ślinę rękawem jedwabnej tuniki.

– Naprawdę? – Znowu ten chytry uśmieszek. Dziewczynie było nawet trochę przykro, że strużka, będąca obiektem jej zainteresowania, nagle zniknęła. – Mam doskonały pomysł! A może napiszesz mi teraz jakiś wiersz? Możesz sam wybrać temat, a ja wrócę za godzinę, żeby przeczytać. Jeśli mi się spodoba, poślubię cię.

Zanim swatka zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jia już wstała i właśnie wycofywała się do sypialni.

Matka stanęła jej na drodze. Była wściekła.

– Wystraszyłam go?

– Nie. Właśnie próbuje napisać wiersz.

– Cóż za wytrwałość! Jestem pod wrażeniem.

– Ilu jeszcze dobrych kawalerów będzie się na ciebie pieklić i ciskać gromy? Z pierwszą swatką rozmawialiśmy w Roku Ropuchy, a teraz mamy Rok Crubena!

– Matko, czy nie pragniesz szczęścia swojej córki?

– Oczywiście, jednak moja córka najwyraźniej postanowiła zostać starą panną.

– Ale mam! W takim razie zostanę z tobą na zawsze!

Lu popatrzyła na dziewczynę, mrużąc oczy.

– Czy jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć? Być może jakiś tajemniczy wielbiciel?

Jia nie odezwała się, lecz odwróciła wzrok. Taki miała zwyczaj. Nie chciała kłamać, dlatego też odmawiała udzielenia odpowiedzi, jeśli prawda miałaby zostać źle przyjęta. Lu westchnęła.

– Jak tak dalej pójdzie, to niedługo żadna swatka w Zudi nie będzie chciała z tobą pracować. Zaczynasz zyskiwać tak samo złą reputację, jaką miałaś w Faça!

Po godzinie Jia wróciła do pokoju dziennego i podniosła kartkę papieru z zapisanym wierszem:

W oczach twych ocean,

lecz oczy płoną.

Chcę, byś została moją żoną.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

Chłopak ledwo potrafił pohamować podniecenie.

– Podoba ci się?

– Zainspirowałeś mnie do stworzenia własnego wiersza.

Twe oczy są puste jak studnia.

Ślinisz się jak gąsienica,

Chcę, byś miał żonę.

A może poślub swatkę? Potrafi świetnie dźgać!

Młody mężczyzna i swatka wymaszerowali z rezydencji Matizów, podczas gdy Jia śmiała się długo i głośno.



Nie było mowy, żeby Kuni odwiedził dom Matizów. Żadnej swatce przez myśl by nawet nie przeszło, żeby zasugerować małżeństwo z pozbawionym perspektyw hulaką przedstawicielce szanowanej rodziny, która próbuje się wspiąć na wyższy szczebel drabiny społecznej.

Na szczęście Jia miała idealną wymówkę, żeby oddalać się od domu bez przyzwoitki: bardzo często wybierała się do okolicznych lasów, żeby badać miejscowe zioła i zbierać składniki do swoich wywarów.

Kuni pokazał dziewczynie swoje ulubione miejsca: najlepsze zakole na rzece do łowienia ryb, najlepszą altankę i drzewo wymarzone, by uciąć sobie pod nim drzemkę, najlepsze bary i herbaciarnie, gdzie żadna szanująca się młoda dama nie powinna się zapuszczać, Jia uznała je za odświeżająco szczerze, pozbawione duszących konwenansów i tej aury nerwowości, jaka zdawała się zawsze otaczać ludzi nieustannie martwiących się o to, co „przystoi”. W takich miejscach mogła się cieszyć towarzystwem Kuniego i jego przyjaciół, którzy nie przejmowali się, czy odpowiednio się skłoniła i jak elokwentnie się wypowiadała, a zamiast tego bili jej brawo, gdy piła razem z nimi, i słuchali jej, gdy mówiła, co myśli.

Z kolei Jia pokazała Kuniemu nowy świat, któremu do tej pory nie poświęcał uwagi: trawę u jego stóp i krzewy rosnące wzdłuż długich polnych ścieżek. Z początku jedynie udawał zainteresowanie – usta dziewczyny wydawały mu się o wiele ciekawsze niż kwiaty, które nimi opisywała – jednak kiedy się dowiedział, że żucie imbiru i pierwiosnka może zdziałać cuda na porannego kaca, stał się gorliwym uczniem.

– A co to jest? – pytał, pokazując na chwast z kwiatem o pięciu płatkach i podwójnych listkach o kształcie dłoni złożonych do modlitwy.

– Właściwie to nie jest jedna roślina, lecz dwie – wyjaśniła Jia. – Liście należą do trawy zwanej litościwym lnem. Z kolei kwiat to wronia zmora.

Kuni natychmiast padł na kolana, żeby lepiej się przyjrzeć. Miał w nosie, że ubrudzi strój. Jia zaśmiała się na widok mężczyzny, który zachowuje się jak ciekawski dzieciak. Dla Kuniego powszechnie obowiązujące zasady nie istniały i dzięki temu Jia czuła się przy nim wolna.

– Masz rację – odparł Kuni, a w jego głosie brzmiało zdumienie. – Ale z daleka naprawdę wyglądają jak jedna roślina.

– Wronia zmora to trucizna, która zabija powoli, lecz jej kwiaty są tak piękne, że wrony, obdarzone takim, a nie innym rozumem przez Kanę i Rapę, nie potrafią się im oprzeć. Wybierają je do udekorowania gniazd, a po dłuższym czasie umierają od wydzielanych przez nie soków.

Kuni, który właśnie wahał owe kwiaty, gwałtownie się cofnął. Głośny śmiech dziewczyny odbił się echem na polanie.

– Nie martw się, jesteś znacznie większy niż wrona. Tak małe ilości trucizny nie

wyrządziłyby ci krzywdy. Poza tym ta druga roślina, litościwy len, jest naturalnym antidotum na wronią zmorę.

Kuni wyrwał kilka liści litościwego lnu i zaczął je żuć.

– Trochę dziwne, że trucizna i antidotum rosną tak blisko siebie.

Jia kiwnęła głową.

– Jedną z naczelnych zasad zielarstwa jest zachowywanie takich par. Śmiertelnie jadowity siedmiomilowy wąż z Faça rezyduje w zacienionych zatoczkach, gdzie rośnie grzyb płacznego dziecka, wydzielający antytoksynę na jego jad. Ziele płomiennej salamandry, przyprawa, która cudownie rozgrzewa, najczęściej rośnie obok śnieżnej kropli, znanej z właściwości obniżających gorączkę. Natura najwyraźniej lubi tworzyć pary przyjaciół z naturalnych wrogów.

Kuni rozważył te słowa.

– Kto by pomyślał, że taka mądrość i filozofia może się kryć pośród zwykłego ziela.

– Dziwisz się? Ponieważ sztuka ziołolecznictwa jest domeną kobiet, niezauważaną przez prawdziwych naukowców i lekarzy?

Kuni odwrócił się do dziewczyny i uklonił.

– Przepraszam za swoją ignorancję. Nie chciałem okazywać braku szacunku.

Jia również ukloniła się nisko, przyjmując pozycję *jiri*.

– Nigdy nie uważaj się za lepszego od innych. To cecha człowieka o prawdziwie otwartym umyśle.

Uśmiechnęli się do siebie i ruszyli w dalszą drogę.

– Jaka jest twoja ulubiona roślina? – zapytał Kuni.

Jia zastanowiła się, a potem pochyliła, żeby zerwać mały kwiat z pełną, żółtą koroną.

– Wszystkie są mi drogie, jednak najbardziej podziwiam mlecz. Ma szerokie zastosowanie, a do tego łatwo się przystosowuje. Kwiat wygląda jak mała chryzantema, jednak jest o wiele trwalszy i o wiele mniej kapryśny. Poeci mogą sobie tworzyć ody do chryzantemy, ale to kwiaty i liście mlecz potrafią napełnić ci brzuch, jego sok wyleczy ci brodawki, a korzeń obniży gorączkę. Herbatka z mlecz zwiększy twoją czujność, ale żucie korzenia uspokoi drżące dłonie. Sok mlecz może być nawet używany do robienia niewidzialnego atramentu, który pokazuje się zmieszany z sokiem grzyba kamiennego ucha. Mlecz to roślina o wszechstronnym zastosowaniu, na której ludzie mogą polegać. A do tego jest zabawna i fajna. – Sięgnęła po łodyżkę z kulą nasion i dmuchnęła, posyłając maleńkie piórka w powietrze, z których kilka osiadło na włosach Kuniego.

Chłopak nie próbował ich strzepnąć.

– Chryzantema to szlachetny kwiat.

– Prawda. Kwitnie jako ostatnia na jesieni, stawiając czoła zimie. Jej zapach jest cudowny i pokonuje konkurencję w przedbiegach. Jako napar budzi ducha; w bukicie dominuje nad całą aranżacją. Jednak nie jest to kwiat, w którym można się zakochać.

– Nie interesuje cię szlachetność?

– Myślę, że prawdziwa szlachetność jest znacznie skromniejsza.

Kuni kiwnął głową.

– Panna Matiza posiada naprawdę otwarty umysł.

– Ach, komplementy do ciebie nie pasują, panie Garu – odparła Jia, śmiejąc się. Za

chwile jednak znowu spoważniała. – Powiedz mi, gdzie widzisz siebie za dziesięć lat?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Kuni. – Życie to eksperyment. Kto może planować tak daleko do przodu? Ja tylko przyrzekam robić najbardziej interesujące rzeczy, kiedy nadarzy się ku temu okazja. Jeśli przez większość czasu będę potrafił dotrzymać tej obietnicy, jestem pewien, że za dziesięć lat niczego nie będę żałował.

– Dlaczego w ogóle składasz sobie taką przysięgę?

– Ponieważ robienie najbardziej interesującej rzeczy, gdy nadarzy się taka okazja, jest przerażające. Większość ludzi się na to nie porywa i na przykład nie spróbuje blefować, by wejść niezaproszonym na przyjęcie. A popatrz, jak cudne mam teraz życie. Dzięki blefowi poznałem ciebie.

– To, co najbardziej interesujące, często bywa trudne – stwierdziła Jia. – Może oznaczać ból i cierpienie, rozczarowanie i niepowodzenie, zarówno dla ciebie, jak i tych, których kochasz.

Kuni również przyjął poważny ton.

– Jednak nie doświadczając goryczy, jak mi się zdaje, człowiek nigdy nie doceni prawdziwej słodkości.

Jia stanęła przed Kunim i położyła mu rękę na ramieniu.

– Wierzę, że dokonasz wielkich czynów.

W sercu Kuniego zagościło ciepło. Przed Jią nie miał żadnej prawdziwej przyjaciółki.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał, a przebiegły uśmiezek uniósł kąciki jego ust. – Skąd wiesz, że cię nie nabieram?

– Jestem zbyt mądra, żeby dać się nabrać – odparła bez wahania i objęli się, nie przejmując się, czy ktoś ich zobaczy.

Kuni czuł się jak najszczęśliwszy mężczyzna na świecie. Nie miał pieniędzy, żeby wnieść wiano, ale – był tego pewien – po prostu musiał się z nią ożenić.



– Czasami to, co jest najbardziej interesujące, jest też najnudniejsze, wymagające największej odpowiedzialności – powiedział Kuni sam do siebie.

Udał się do Cogo, żeby poprosić go o załatwienie mu pracy w administracji miasta Zudi.

– Ale ty nic nie potrafisz – odparł Cogo, marszcząc brwi.

Jednak ponieważ przyjaciel znalazł się w potrzebie, Cogo popytał tu i ówdzie i w końcu dowiedział się, że potrzebny jest strażnik do pilnowania świeżo powołanych do służby mężczyzn i drobnych kryminalistów, których skazano na ciężkie roboty; trzymano ich przez kilka dni w więzieniu, aż zebrało się ich tylu, by można było pełny skład wysłać do pracy. Od czasu do czasu strażnik mógł również zostać poproszony o odprowadzenie poborowych i więźniów na miejsce. Takie zajęcie wydawało się dobre choćby dla trenowanej małpy z kijem, więc i Kuni powinien jej podołać.

– Nigdy nie wyobrażałem sobie, że w ten sposób będę służył cesarzowi – powiedział Kuni, myśląc o zarządcy, który, w pewnym sensie, zapoznał go z Jią. Będzie musiał swojemu przyszłemu koledze z pracy zafundować solidny posiłek, żeby załagodzić wszelkie animozje. – Na pewno jednak nie będę ustanawiał żadnego podatku od

zamożności. No, chyba że ktoś będzie naprawdę obrzydliwie bogaty.

– O ile nie zaczniesz szaleć, poradzisz sobie – powiedział Cogo. – Płaca jest pewna.

Dość pewna, by Kuni mógł udać się po pożyczkę i na poczet przyszłych wpływów pobrać sumę, która pozwoli mu kupić prezent potrzebny do odwiedzenia rodziców Jii.



Gilo Matiza nie mógł tego pojąć. Wszystko wskazywało na to, że Kuni Garu był nieudacznikiem bez żadnych pożytecznych umiejętności i perspektyw. Nie miał pieniędzy, nie miał nieruchomości, a do niedawna także pracy – nawet jego własna rodzina go wyrzuciła. Plotkowało się również, że lubi towarzystwo kobiet lekkich obyczajów i miał wiele kochanek.

Dlaczego jego córka, znana wszystkim swatkom jako dziewczyna, na której nikt nie robi wrażenia, spojrzała przychylnym okiem na tego kawalera?

– Wolę robić to, co najbardziej interesujące – oznajmiła Jia. I tylko tyle miała do powiedzenia na ten temat.

Nic nie mogło przekonać jej do zmiany zdania. Kiedy już podjęła decyzję, trzymała się jej kurczowo. Dlatego Gilo musiał przynajmniej wysłuchać tego młodego mężczyzny.

– Zdaję sobie sprawę, że nie mam najlepszej reputacji – powiedział Kuni, siedząc idealnie prosto w pozycji *mipa rari*, ze wzrokiem skupionym na czubku nosa. – Jednak, jak napisał roztropny Lurusén, „Świat jest pijany, jam jeden trzeźwy. Świat śpi, jam jeden obudzony”.

Gilo był zdziwiony. Nie spodziewał się cytatu z klasyka literatury Cocru.

– A co to ma wspólnego z pańskimi oświadczynami?

– Poeta pisał o doświadczeniu nagłej pewności w świecie pełnym zwątpienia. Dopóki nie poznałem pańskiej córki i pana, nie rozumiałem, o czym jest ten wiersz. Nawrócony człowiek jest więcej wart niż dziesięciu cnotliwych od urodzenia, ponieważ poznał pokusę i tym wytrwalej będzie się starał jej oprzeć.

Gilo nieco zmiękł. Chciał dobrej partii dla swojej córki – bogatego miejscowego kupca albo młodego naukowca z perspektywą na dobrą posadę w rządzie – jednak ten cały Kuni wydawał się wykształcony i pełen szacunku, a to już coś. Może wszystkie plotki na jego temat były nieprawdziwe.

Gilo westchnął i zaakceptował oświadczyny Kuniego.



– Widzę, że postanowiłeś się podzielić z moim ojcem inną interpretacją wiersza Luruséna. Jestem pod wrażeniem: omal nie uwierzyłam w twoją przemowę.

– Jak to mówią na wsi: wyj na widok wilka, drap się po głowie na widok małpy.

– Ile jeszcze różnych interpretacji chowasz w rękawie?

– Tyle, ile nas czeka wspólnych dni.



Brat Kuniego Kado i ich ojciec Féso powitali go z powrotem w swoich domach, wierząc, że syn marnotrawny wreszcie wrócił na łono rodziny.

Nare Garu była tak szczęśliwa, że uściskała Jię na powitanie i nie chciała puścić, mocząc rękaw szaty dziewczyny łzami.

– Uratowałeś mojego syna! – powtarzała raz za razem, a Jia rumieniła się i uśmiechała z zakłopotaniem.

Zorganizowano wystawny ślub – opłacony przez Gilo – o którym mówiło się w Zudi przez wiele dni. Chociaż Gilo odmówił finansowania wystawnego życia młodej pary („Skoro go wybrałaś, musisz żyć za jego pensję!”), za posag kupili mały dom, a Kuni nie musiał już kalkulować, jak długo może pomieszkiwać u przyjaciół, zanim stracą do niego cierpliwość.

Każdego dnia chodził do pracy i siadał przy biurku, gdzie wypisywał raporty i co godzinę robił obchód, żeby się upewnić, że apatyczni więźniowie nie knują niczego podejrzanego, czekając na odesłanie na roboty w Wielkich Tunelach albo Mauzoleum.

Szybko zniechęcił swoją pracę – teraz naprawdę czuł się jak wodorost unoszący się bez celu na wodzie. Codziennie narzekał swojej małżonce.

– Nic się nie bój, mój mężu – mówiła Jia. – Bogowie wspierają także tych, którzy stoją i czekają. Jest czas na ucieczkę i czas na zejście; czas na ruch i czas na odpoczynek; czas na czyny i czas na przygotowania.

– I właśnie dlatego to ty jesteś poetką – odparł Kuni. – Nawet wypełnianie papierów, gdy o tym mówisz, zdaje się interesujące.

– Oto, co myślę: szansa pojawia się pod wieloma postaciami. Czym jest szczęście, jeśli nie czekaniem z siłkami na moment, gdy królik wyskoczy ze swej nory? Nawiązałeś wiele przyjaźni w Zudi jako próżniak...

– Ech, żałuję tamtego okresu...

– Przecież wyszłam za ciebie, prawda? – Jia cmoknęła męża w policzek, żeby go uspokoić. – Chodzi mi o to, że teraz, gdy dołączyłeś do szeregu urzędników Zudi, będziesz miał szansę poznać innego rodzaju przyjaciół. Przekonaj sam siebie, że to tylko stan przejściowy. Wykorzystaj tę pracę jako okazję do poszerzenia kręgu znajomych. Wiem, że jesteś towarzyski.

Kuni wziął sobie radę żony do serca i sumiennie wychodził z kolegami z pracy do herbaciarni, a od czasu do czasu pojawiał się w domach wyżej postawionych urzędników. Był skromny, odnosił się do nich z szacunkiem i więcej słuchał, niż mówił. Kiedy udawało mu się znaleźć kogoś, kogo polubił, on i Jia zapraszali go wraz z rodziną do swojego małego domu, żeby dłużej porozmawiać.

Wkrótce Kuni poznał różne oddziały administracji miasta Zudi tak dobrze, jak znał boczne alejki i zatłoczone targowiska.

– Uważałem ich za nudziarzy – powiedział kiedyś. – Ale nie są tacy źli, kiedy się pozna ich bliżej. Są po prostu... inni niż moi dawni przyjaciele.

– Ptak potrzebuje i długich, i krótkich piór, by móc latać – odparła Jia. – Musisz się nauczyć pracować z różnego rodzaju ludźmi.

Kuni kiwnął głową, ciesząc się z mądrości żony.



Nastało już późne lato, w powietrzu unosiły się niezliczone nasiona dmuchawców. Każdego dnia w drodze do domu Kuni patrzył tęsknie na maleńkie opierzone ziarenka, beztrąsko fruujące na wietrze, i śnieżne puszki tańczące mu na nosie i przed oczami.

Wyobrażał sobie ich lot. Były tak lekkie, że podmuch wiatru mógł przenosić je na wiele kilometrów. Jedno takie ziarenko mogło swobodnie przefrunąć z jednego brzegu Wielkiej Wyspy na drugi. Swobodnie mogłoby polecieć nawet nad samo morze, na Wyspę Półksiężycową, do Ogé, do Écofi. I swobodnie mogłoby posmakować mgieł nad wodospadem Rufizo. Wystarczyła tylko mała przysługa ze strony natury i mogłoby zwiedzić cały świat.

Choć Kuni nie potrafił tego wyjaśnić, czuł, że jego przeznaczeniem jest żyć większym życiem niż to, które prowadzi teraz, że jego przeznaczeniem jest pewnego dnia wzbić się wysoko jak te nasiona dmuchawca, jak człowiek na latawcu, którego widział wiele lat wcześniej.

Kuni był jak ziarno jeszcze przytwierdzone do zwiędniętego kwiatu, które tylko czeka, aż podniesie się ciepły letni wiatr, aż rozpęta się burza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ŚMIERĆ CESARZA

WYSPA ÉCOFI: DZIESIĄTY MIESIĄC DWUDZIESTEGO TRZECIEGO ROKU
RZĄDÓW JEDNEGO JASNEGO NIEBA

Cesarz Mapidéré już od kilku tygodni nie patrzył w lustro.

Kiedy ostatni raz się na to zdobył, z tafli spoglądała na niego blada, ziemista maska. Zniknął gdzieś przystojny, arogancki, nieustraszony mężczyzna, który dziesięć tysięcy kobiet uczynił wdowami i przetopił siedem koron w jedną.

Jego ciało przywłaszczył sobie teraz staruszek, przejęty strachem przed śmiercią.

Znajdował się na wyspie Écofi, gdzie ziemia była płaska, a morze trawy rozpościerało się aż po widnokrąg. Przycupnąwszy na szczycie pagody tronowej, cesarz patrzył na odległe stado słoni, maszerujących majestatycznie przez jego pole widzenia. Écofi było jednym z jego ulubionych miejsc na trasie wycieczek przez wyspy, wiele kilometrów od zatłoczonych miast i intryg plecionych w pałacu w Pan. Cesarz wyobrażał sobie, że jest tutaj sam, zupełnie wolny.

Jednak nie mógł zignorować bólu w trzewiach, który teraz nie pozwalał mu samodzielnie zejść z pagody. Będzie musiał zawołać kogoś do pomocy.

– Podać jakieś leki, *Rénga*?

Cesarz nie odpowiedział. Jednak kasztelan Goran Pira jak zwykle wykazał się spostrzegawczością.

– Ten napar przygotowała pewna znachorka z Écofi, o której mówi się, że zna wiele medycznych sekretów. Może zmniejszyć dyskomfort.

Cesarz się zawahał, ale w końcu uległ. Wysączył nieco gorzkiego napoju i faktycznie po chwili ból jakby zelżał.

– Dziękuję – powiedział. A potem, ponieważ tylko Goran mógł go słyszeć, dodał: – Śmierć dogoni nas wszystkich.

– Panie, nie mów, proszę, takich rzeczy. Powinieneś odpocząć.

Jak wielu innych ludzi, którzy całe życie walczyli z wrogami, swoje myśli dawno zwrócił ku ostatecznemu przeciwnikowi. Przez długie lata w Pan tłoczyli się alchemicy, pracujący nad eliksirami mającymi zapewnić wieczne życie i młodość. Oszuści i hochsztaplerzy zalali nową stolicę i osuszyli skarbiec, budując skomplikowane laboratoria i konstruując zawiłe projekty, z których nigdy nie wynikało nic pożytecznego; ci mądrzejsi zawsze pakowali się z wyprzedzeniem i kiedy nadchodził czas audytu, nigdzie nie można ich było znaleźć.

Cesarz łykał ich tabletki powstałe z esencji tysiąca gatunków ryb, niektórych tak rzadkich, że złowić się dały tylko w jednym jeziorze wysoko w górach; tabletki przygotowane w świętym ogniu góry Fithoweo; tabletki mające ochronić przed setkami

chorób, a ciało uczynić odpornym na działanie czasu.

Wszyscy kłamali. Proszę bardzo, oto organizm cesarza spustoszyła choroba, którą różni lekarze różnie nazywają, jednak każdy jeden jest tak samo bezsilny jak i reszta: wiercący, nawracający ból brzucha, który uniemożliwiał jedzenie i kojarzył się z węzłem spoczywającym w trzewiach.

„Ale ten lek jest bardzo dobry”, pomyślał cesarz.

– Goran – powiedział – czuję się znacznie lepiej. Znalazłeś mi coś dobrego.

Kasztelan Pira uklonił się.

– Jestem lojalnym sługą, panie. Jak zawsze.

– Jesteś moim przyjacielem – odparł cesarz. – Moim jedynym przyjacielem.

– Musisz odpocząć, panie. Ten napar podobno jest także dobrym środkiem nasennym.

„Faktycznie, ciało woła już o sen. Lecz przecież jeszcze tyle do zrobienia”.



Długo przed Zjednoczeniem, kiedy młodego Mapidérégo wciąż zwano Réonem, jego włosy wciąż były gęste i puszyste, a twarz nie znała zmarszczek, Siedem Królestw rywalizowało ze sobą o dominację nad Wyspami Dary: sielska i sucha Xana na dalekim północnym zachodzie, ograniczona do wysp Rui i Dasu; eleganckie i aroganckie Amu, okopane w deszczowej i ciepłej Arulugi i na płodnych polach Géfiki, krainy między rzekami; Trzy Braterskie Królestwa leśnej Rimy, piaszczystego Haanu i skalistego Faça, przycupnięte w północnej części Wielkiej Wyspy; bogaty i wytworny Gan na wschodzie, pełny wielkich miast i zatłoczonych portów handlowych; i wreszcie zmilitaryzowane Cocru na południowych równinach, słynące ze śmiałych wojowników i mądrych generałów.

Siatka najrozmaitszych sojuszy i animozji była rozległa, skomplikowana i zmieniała się dynamicznie. Nad ranem królowie Xany i Ganu wciąż mogli nazywać się braćmi, jednak już wieczorem statki Ganu opływały Wielką Wyspę, żeby dokonać ataku z zaskoczenia, wspierane przez szybką kawalerię króla z Faça, który tego samego ranka przysięgał, że nigdy nie wybaczy królowi Ganu zrad z przeszłości.

A potem pojawił się Réon i wszystko się zmieniło.



Cesarz rozejrzał się.

Znajdował się w Pan, Niepokalanym Mieście. Stał pośrodku szerokiego placu Kijiego, przed wejściem do pałacu. Zazwyczaj plac był pusty, nie licząc dzieci, które wiosną i latem puszczały latawce, a zimą budowały figury ze śniegu. Od czasu do czasu lądował tu cesarski sterowiec i wtedy z okolicy zbiegali się gapie.

Dzisiaj jednak plac nie był pusty. Cesarza otaczały gigantyczne statuy bogów Dary. Posągi te, wysokością dorównujące pagodzie tronowej, wykonano z brązu i żelaza, a następnie pomalowano jasnymi, realistycznymi kolorami.

Dawno temu Thasoluo, Ojciec Świata, został na zawsze wygnany przez Króla

Wszystkich Bogów, Moäno. Zostawił swoją ciężarną żonę, Daraméę, zwaną Źródłem Wszystkich Wód. Samotnie rodząc dziecko w otchłani, Daraméa wyplakiwała duże i gorące łzy lawy. Spadły one do morza i stężały, tworząc Wyspy Dary.

Narodziło się ośmioro dzieci. Jako bogowie Dary uznali Wyspy Dary za swoje i opiekowali się ich mieszkańcami. Daraméa, już pocieszona, odeszła w głębokie wody oceanu, zostawiając swoich potomków na straży Dary. Później, kiedy na wyspach pojawił się lud Ano, jego losy również stały się nierozzerwalnie związane z poczynaniami bogów.

Cesarz długo marzył o skonfiskowaniu wszelkiej broni w Darze – wszystkich mieczy i włóczni, wszystkich noży i strzał – i przetopieniu jej na ogromne posągi ku chwale bogów. Uznał, że kiedy broń zniknie z powierzchni ziemi, zapanuje wieczny spokój.

Zbyt liczne obowiązki długo nie pozwalały mu przekuć tej wielkiej wizji w rzeczywistość, lecz posągi w końcu powstały. Być może właśnie teraz nadeszła odpowiednia chwila, żeby zwrócić się bezpośrednio do bogów z prośbą o długie życie w dobrym zdrowiu i oddanie młodości.

Mapidéré najpierw klęknął przed Kijim, źródłem siły Xany. Posąg przedstawiał mężczyznę w średnim wieku, z siwymi bokobrodami, łysą głową i białą peleryną na plecach. Mapidéré podziwiał misterny wzór na pelerynie, ukazujący władzę boga nad wiatrem, lataniem i ptakami. Na ramieniu Kijiego siedział jego *pawi*, sokół Mingén.

– Panie Kiji, czy cieszy cię ta oznaka mojej pobożności? Wiele jeszcze mógłbym zrobić dla twojej chwały, lecz potrzebuję więcej czasu!

Cesarz żałował, że nie będzie mu dane zobaczyć jakiegoś znaku, który świadczyłby o tym, iż jego modlitwa została wysłuchana. Wiedział jednak dobrze, że bogowie wolą działać w aurze tajemnicy.

Obok Kijiego stały Bliźniaczki, Kana i Rapa, patronki Cocru. Kana, odziana w czarną suknię, miała brązową skórę, długie jedwabiste włosy w kolorze czerni i ciemnobrązowe oczy. Tymczasem Rapa, z twarzą identyczną jak u siostry, miała białą suknię i bladą cerę, śnieżnobiałe włosy i jasnoszare oczy. Na ramionach sióstr siedziały ich *pawi*, para kruków, jeden czarny i jeden biały.

Mapidéré może i podbił wszystkie królestwa Tiro, jednak szukał aprobaty u każdego z bogów. Pochylił głowę przed boginiami, mówiąc:

– Oddaję ci cześć, Pani Kano, władczyni ognia, popiołu i śmierci. Oddaję ci cześć, Pani Rapo, władczyni lodu, śniegu i snu. Zabrałem ludziom broń i zakończyłem ich spory, żeby wszyscy mogli zwrócić swe serca i myśli ku tobie. Jeśli taka twa wola, podaruj mi jeszcze wiele lat życia.

Posągi bogów poruszyły się i ożyły.

Cesarz był zbyt zdumiony, żeby cokolwiek powiedzieć.

Kana popatrzyła swymi brązowymi oczami na Mapidérégo tak, jak człowiek patrzy na mrówkę. Jej głos był donośny i ostry, a brzmiał fałszywie jak drapanie starych, pordezwiątych mieczy o ostrzałkę.

– Nawet jeśli Cocru żyje już tylko w sercu jednego człowieka, przyniesie Xanie zgubę. Mapidéré zadrżał.

– Myślisz, że będę stać z założonymi rękami?

Cesarz odwrócił się, by się przekonać, że gromki i dźwięczny głos należał do Kijiego,

który także ożył. Posąg postąpił krok do przodu i ziemia pod kolanami cesarza zadrżała. Sokół Mingén odleciał z ramienia boga i zaczął okręgać głowy ogromnych posągów; kruki Kany i Rapy także wzniosły się w powietrze i zaczęły krakać buńczucznie na sokoła.

– Zapomniałeś już o naszym pakcie? – zapytała Rapa, której głos był chłodny i harmonijny, jednak nie mniej donośny niż ten należący do siostry. Ona i Kana były różne jak lód i ogień, lecz jednocześnie tak bliskie jak sen i śmierć.

– To nie ja podżegam do kolejnego rozlewu krwi – powiedział Kiji. Podniósł lewą rękę, w której brakowało najmniejszego palca, włożył wskazujący i środkowy do ust, a potem zagwizdał. Sokół Mingén, wciąż patrząc nienawistnie na kruki, niechętnie wrócił na ramię swojego pana. – Xana wygrała. Czas wojny się skończył. Możesz nie lubić Mapidérégo, lecz to dzięki niemu nastał pokój.

Posąg Fithowéo z Rimy – szczupłego i umięśnionego mężczyzny w skórzanej zbroi niosącego włócznię z obsydianowym grotem – poruszył się i odezwał jako następny.

– Zabranie ludziom broni nie przyniesie pokoju. Będą walczyć kijami i kamieniami, będą drapać i kęsać. Pokój Mapidérégo, zbudowany na strachu, jest równie stabilny co gniazdo uwite na przegniłej gałęzi.

Mapidéré rozpacział, słysząc słowa Fithowéo, boga łowów, metali i kamienia, wojny i pokoju. Spojrzał mu w oczy, zimne i ciemne oczy z obsydianu z góry Fithowéo, i nie zobaczył w nich litości. Jego *pawi*, wilk, swoim wyciem wtórował panu w jego grzmiącej przemowie.

Fithowéo obnażył zęby przed Kijim i wydał z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk bojowy.

– Nie myl mojego opanowania ze słabością – powiedział Kiji. – Minęły eony, odkąd mój sokół wydłubał ci oczy i musiałeś zastąpić je kamieniami. Chciałbyś ponownie doświadczyć ślepoty?

– Tylko siebie posłuchaj! – Kiji aż się wzdrygnął, słysząc fałszywie brzmiący śmiech Kany. – Kiedy ostatni raz walczyliśmy, wypaliłam ci wszystkie włosy na głowie i brodzie, dlatego teraz musisz nosić te swoje baki. Z radością zostawiłabym ci głębsze blizny...

– ...albo sprawiła, by odmroziło ci się coś więcej niż najmniejszy palec – dokończyła Rapa. Jej groźba wypowiedziana słodkim, lodowatym tonem wydawała się jeszcze bardziej przerażająca.

Mapidéré padł na ziemię i przyczołgał się pod posąg Rufizo z Faça, pana życia, leczenia i zielonych pastwisk. Złapał jego wielki palec obiema rękami, jednak zimny metal nie dawał żadnego pocieszenia.

– Panie Rufizo – zawołał – broń mnie! Powstrzymaj kłótnię swojego rodzeństwa!

Rufizo był wysokim i chudym chłopakiem z peleryną z zielonego bluszczu. Jego smutne oczy ożyły i potrząsnął ostrożnie stopą, strąsając z niej Mapidérégo jak grudę ziemi. Stał między Kijim, Fithowéo i Bliźniaczkami, a potem przemówił głosem łagodnym i kojącym jak jeziora pod wodospadem Rufizo, których wody były ciepłe okrążyły rok, utrzymując zieleń na pobliskich pastwiskach mimo chłodnego klimatu Wyżyny Façańskiej.

– Starczy już tego popisywania się, bracia i siostry. Po Wojnach Diaspory, w czasie których każde z nas przyniosło naszej matce wiele smutku, przysięgliśmy przed Moano nigdy więcej się nie krzywdzić. Przez wiele lat wojen Mapidérégo zdołaliśmy zachować

między nami pokój. Dzisiejszy dzień nie jest odpowiednią chwilą, by łamać dane słowo.

Mapidéré, leżący plackiem na ziemi, poczuł ulgę. Pamiętał, że bezpośrednio po mitycznych, krwawych Wojnach Diaspory, kiedy bogowie stanęli obok legendarnych bohaterów Ano na placu boju, boskie rodzeństwo przysięgło nigdy więcej nie zwracać się przeciwko sobie. Od tamtej pory w sprawy ludzkie mieszały się wyłącznie pośrednio, za sprawą namów, podstępów, inspirowania albo ukazywania przyszłości. Obiecali również nigdy nie walczyć otwarcie ze śmiertelnikami, a zamiast tego osiągać cele za pośrednictwem innych ludzi.

Ośmielony przez myśl, że honor nie pozwoli bogom skrzywdzić jego, zwykłego śmiertelnika, cesarz podniósł się i wychrypiął do Rufizo najgłośniej, jak potrafiło jego kruche ciało:

– Ty, panie, ze wszystkich bogów, musisz wiedzieć, jak poświęcałem swe życie wojnie, która ma skończyć wszystkie wojny.

– Przelałeś zbyt wiele krwi – westchnął Rufizo, a jego *pawi*, biały gołąb, zagruchał.

– Przelałem krew, by zapobiec przelaniu jeszcze większej ilości krwi – upierał się Mapidéré.

Śmiech, dziki jak tornado, chaotyczny jak wir wodny, podniósł się za plecami cesarza. To śmiał się Tazu, zmiennokształtny bóg Ganu. Miał zwinną sylwetkę, obleczoną w rybią skórę i przepasaną sznurem rekinich żebów.

– Podoba mi się twoja logika, Mapidéré – rzekł. – Chcę więcej. – Jego *pawi*, wielki rekin, wyskoczył z wody, która zebrała się u stóp boga, i pokazał szczęki w mrozącym krew w żyłach uśmiechu. – Znacznie powiększyłeś moją kolekcję topielców i zatopionych skarbów.

Woda wirująca u stóp Tazu wzbierała, a Mapidéré wycofał się niezgrabnie. Choć bogowie przysięgli nie kierować swego gniewu bezpośrednio na śmiertelników, wielki prawodawca ludu Ano, Aruano, zauważył, że obietnica ta – jak wszelkie prawo wiążące ludzi i bogów – pozostawiała pole do interpretacji. Bogowie zostali zobowiązani przez ich matkę, Daramée, Źródło Wszelkich Wód, do panowania nad światem natury: Kiji rządził wiatrami i burzami; Rapa prowadziła przepływ lodowców przez eony; Kana miała pieczę nad widowiskowymi erupcjami wulkanów; i tak dalej. Jeśli jakiś śmiertelnik stanie na drodze tych sił natury – na przykład słynnych wirów i wartkich strumieni Tazu – śmierć takiego człowieka nie będzie stanowiła naruszenia obietnicy. Mapidéré nie miał zamiaru sprawdzać, jak Tazu, najbardziej nieprzewidywalny z bogów, interpretował swoje przyrzeczenie.

Tazu roześmiał się jeszcze głośniej, a wielki rekin znowu zniknął pod powierzchnią wody pod stopami boga. Ta uspokoiła się w chwili, gdy ziemia pod cesarzem przerodziła się w ruchome piaski, tak czarne jak słynne plaże Lutho. Pochłonęły Mapidérégo aż po szyję i wkrótce cesarz odkrył, że nie może zaczerpnąć powietrza.

– Zawsze szanowałem was wszystkich – wychrypiął, a śmiech Tazu niemal zupełnie go zagłuszał. – Zawsze chciałem, żeby świat ludzi był doskonalszy, bliższy światu bogów.

Lutho, bóg Haanu, przysadzisty stary rybak, którego skóra była ciemna jak świeżo zaschnięta lawa, podniósł stopę ze skorupy swojego *pawi*, gigantycznego żółwia morskiego, zarzucił zwiniętą sieć na plecy i wyciągnął Mapidérégo z ruchomych piasków.

– Granica między perfekcją a złem często nie istnieje.

Cesarz walczył o oddech. Słowa Lutho nie miały dla niego sensu, jednak tego należało się spodziewać po bogu podstępny, matematyki i wróżbiarstwa. Domena Lutho znajdowała się poza rozumem śmiertelników.

– Tazu, zaskoczyłeś mnie – powiedział Lutho. W jego orzechowych oczach tliły się iskry, jakby na przekór sędziwemu wiekowi. – Nie spodziewałem się, że wybierzesz stronę w zbliżającej się wojnie. Czyli Kiji walczy przeciwko Bliźniaczkom, Fithowéo i tobie?

Mapidéré, teraz zapomniany, poczuł, jak jego stare serce staje. „Czyli znowu idzie wojna? Czyżby działania, którym poświęciłem życie, na nic się zdały?”

– Och, dlaczego miałbym robić coś tak ograniczającego jak wybranie strony – odparł Tazu. – Interesują mnie tylko skarby i kości, które trafią do mojego podwodnego pałacu. Uczynię to, co da mi jedno bądź drugie. Możesz mnie uznać za neutralnego obserwatora, tak jak Rufizo. Tylko że on chce, żeby umarło mniej ludzi, a ja dokładnie na odwrót. A co z tobą, staruszkę?

– Ze mną? – zapytał Lutho, udając zaskoczenie. – Przecież wiesz, że nigdy nie miałem smykałki do wojny i polityki. Zawsze interesowali mnie tylko alchemicy Mapidérégo.

– Jasne – prychnął Tazu. – Myślę, że grasz na zwłokę i czekasz, aż pojawi się faworyt, oszuście.

Lutho uśmiechnął się i nic więcej nie powiedział.

Tututika, eteryczna bogini Amu, zabrała głos jako ostatnia, tonem kojącym i przyjemnym jak płaska, spokojna tafla jeziora Tututika. Przemowa złotowłosej bogini o lazurowych oczach i skórze barwy orzecha laskowego uciszyła pozostałych bogów.

– Jako najmłodsza z was wszystkich i najmniej doświadczona nigdy nie rozumiałam waszego apetytu na władzę i krew. Zawsze pragnęłam tylko podziwiać piękno mojej krainy i słuchać modlitw moich ludzi. Dlaczego zawsze musimy się dzielić na frakcje? Dlaczego nie możemy zwyczajnie obiecać sobie nawzajem, że w ogóle nie będziemy się mieszać w sprawy śmiertelników?

Pozostali bogowie milczeli. Po chwili jednak odezwał się Kiji:

– Mówisz, jakby historia nie miała znaczenia. Dobrze wiesz, jak lud Xany był traktowany przez inne królestwa przed wojnami Mapidérégo. Lekceważono go, oszukiwano i wykorzystywano. Cierpiał przez lata, tracił krew i bogactwo, aż w końcu dłużej nie mógł tego znosić. Teraz wreszcie jego przedstawiciele są poważani, więc jak mam nie interweniować, kiedy coś im grozi?

– Nie pomijaj innej historii – odparła Tututika. – Cierpienie ludu Amu również było wielkie w czasie podbojów Mapidérégo.

– Właśnie – rzucił triumfalnie Kiji. – Gdyby lud Amu, umierając, wznosił do ciebie prośby o pomoc, stałabyś z boku i zatykała uszy, podziwiając zachód słońca nad wyspą Arulugi, niewątpliwie piękniejszy dzięki dymom i popiołom z płonących miast?

Tututika zagryzła dolną wargę, a potem westchnęła.

– Zastanawiam się, czy to my prowadzimy śmiertelników, czy śmiertelnicy prowadzą nas.

– Nie możesz uciec przed ciężarem historii – rzekł Kiji.

– Zostaw Amu w spokoju, błagam cię.

– Wojna posługuje się własną logiką, siostrzyczko – powiedział Fithoweo. – Możemy ją prowadzić, jednak nie jesteśmy w stanie jej kontrolować.

– Jest to lekcja, której śmiertelnicy uczą się raz po raz... – wtrąciła Rapa.

– ...ale najwyraźniej nie potrafią jej zapamiętać – dokończyła Kana.

Tututika zwróciła oczy ku zapomnianemu Mapidérému.

– W takim razie powinniśmy żałować tego człowieka, którego wielkie dzieło zostanie zniweczone. Wielcy ludzie nigdy nie są rozumiani przez swoje pokolenie. A „wielki” rzadko oznacza „dobry”.

Bogini poszybowała w stronę Mapidérégo, a jej błękitna szata z jedwabiu otworzyła się jak spokojne niebo. Jej *pawi*, złoty karp, którego błyszczące łuski oślepiły cesarza, płynął w powietrzu przed swoją panią jak żywy sterowiec.

– Idź – powiedziała Tututika. – Nie masz już czasu.



„To był tylko sen – pomyślał cesarz. – Niektóre sny są ważne, zawierają znaki, wieszczona, przebliski niespełnionego potencjału. Jednak inne stanowią tylko pozbawione sensu kreacje przepracowanego umysłu. Wielki człowiek musi zważać jedynie na sny, które mogą się okazać prorocze”.

Marzeniem wielu pokoleń królów Xany było zdobycie szacunku innych Wysp Dary. Obywatele pozostałych królestw Tiro, bliżsi sobie i bardziej liczni, zawsze traktowali Xanę z pogardą: satyrycy z Amu naigrawali się z xańskiego akcentu, handlarze z Ganu oszukiwali xańskich kupców, poeci z Cocru wyobrażali sobie mieszkańców Xany nieobyczajnymi, niewiele lepszymi niż barbarzyńcy, którzy zajmowali te ziemie przed osiedleniem się Ano. Zniewagi i docinki zapisały się w pamięci każdego xańskiego dziecka, które miało styczność z obcymi.

Szacunek należało zdobywać siłą. Ludy Dary musiały drzeć przed potęgą Xany.

Podniesienie się tego królestwa było powolne i zajęło wiele lat.

Od niepamiętnych czasów dzieci w Darze konstruowały balony z papieru i bambusa, wkładały do nich świece, a potem puszczały je do nieba, by frunęły w ciemną noc nad bezbrzeżnym oceanem. Te małe kieszonki ciepłego powietrza były niczym świecące meduzy nieba.

Pewnej nocy ojciec Mapidérégo, król Dézan, zauważył dzieci bawiące się latającymi latarniami w pobliżu pałacu i doznał olśnienia: takie balony, odpowiednio większe, mogłyby zmienić losy bitwy.

Dézan zaczął eksperymentować z konstrukcjami z drutu i bambusa owiniętymi w kilka warstw jedwabiu. Takie balony latały dzięki ciepłemu powietrzu, które ogrzewano spalaniem toreb pełnych gazu znad bagniska. Jeden lub dwóch żołnierzy w gondoli mogło wypatrywać potencjalnych zasadzek albo znajdujących się w oddali oddziałów wroga. Z czasem wykorzystanie ognistych bomb – płonących słoików lepkiej smoły wymieszanej z gorącym olejem, zrzuconych z gondoli – sprawiło, że balony zaczęły mieć ogromne znaczenie ofensywne. Pozostałe królestwa Tiro szybko skopiowały tę innowację Xany.

Wtedy jednak Kino Ye, xański inżynier, dokonał pewnego odkrycia. Nad bulgoczącym

jeziorem Dako, na stoku góry Kiji, znalazł pozbawiony zapachu i koloru gaz lżejszy od powietrza. Przechowywany w odpowiednio zabezpieczonej, szczelnej torbie pozwalał balonom unosić się na niebywałą wysokość i utrzymywać statki w powietrzu przez nieograniczony czas. Taki sterowiec, napędzany przez ogromne wiosła podobne do skrzydeł, szybko pokonał bierne, niepewne balony napędzane gorącym powietrzem, konstruowane przez pozostałe królestwa.

Co więcej, sterowce były śmiertelnie niebezpieczne dla statków, mających drewniane kadłuby i płócienne żagle. Kilka sterowców mogło zatopić całą flotę, jeśli załodze udało się zaatakować z zaskoczenia. Jediną skuteczną bronią przeciwko nim były strzały dalekiego zasięgu, napędzane raketami fajerwerków, jednak te były drogie i często okazywały się bardziej niebezpieczne dla innych statków na wodzie, kiedy opadały, wciąż płonąc.

Król Dézan zadowolili się jedynie zdobyciem szacunku pozostałych królestw Tiro. Jego następca, młody i ambitny król Réon, postanowił zrealizować znacznie większe marzenie. Marzenie, którego nikt nie odważył się wypowiedzieć na głos od czasów Ano: by podbić wszystkie królestwa Tiro i zjednoczyć Wyspy Dary.

Dzięki wsparciu wspaniałych sterowców xańska flota i wojsko wygrywały jedną bitwę po drugiej. Po trzydziestu latach nieustannej walki Réon podbił sześć pozostałych królestw Tiro. Nawet potężne Cocru, słynące z kawalerii i zręcznych szermierzy, nie zdołało zatrzymać xańskiej armii. Ostatni król Cocru rzucił się do morza, kiedy padła stolica, Çaruz, ponieważ nie mógłby znieść obecności na dworze króla Réona w roli nagiego jeńca.

I tak Réon ogłosił się królem Dary i zmienił imię na Mapidéré, co znaczyło Pierwszy Cesarz. Swoje rządy postrzegał jako początek nowego rodzaju władzy; władzy, która zmieni świat.

– Czas królów dobiegł końca. Ja jestem teraz Królem Królów.



Nadszedł nowy świt, jednak Cesarska Parada pozostała w tym samym miejscu.

Cesarz wciąż leżał w swoim namiocie. Ból w trzewiach był tak intensywny, że nie pozwalał mu wstać. Nawet oddychanie wydawało się kosztować zbyt wiele energii.

– Wyślij nasz najszybszy sterowiec i przywieź mi księcia koronnego.

„Muszę ostrzec Pulo, żeby przygotował się na nadchodzącą wojnę – pomyślał cesarz. – Bogowie ją przepowiedzieli, jednak może wciąż da się jej zapobiec. W końcu nawet sami bogowie przyznają, że nie zawsze mają nad wszystkim kontrolę”.

Kasztelan Goran Pira przysunął ucho do drżących ust cesarza i nasłuchiwał, a potem skinął głową, lecz w jego oczach pojawiła się iskierka, której Mapidéré nie dostrzegł.

Cesarz leżał, śniąc o swoich wielkich planach. Wciąż zostało tak wiele do zrobienia.



Pira wezwał premiera Lügo Crupo do swojego własnego namiotu, małego i nierzucającego się w oczy, który na tle gigantycznego cesarskiego pawilonu wyglądał jak krab pustelnik przycupnięty obok trzydziestoletniego ślimaka morskiego.

– Cesarz jest bardzo chory – powiedział. Dłoń trzymająca filiżankę nie zadrżała. – Oprócz mnie i teraz, oczywiście, ciebie, nikt jeszcze nie wie jak bardzo. Poprosił, by przyprowadzić do niego księcia koronnego.

– Zaraz wyślę Strzałę Czasu – odparł Crupo. Księżę koronny Pulo znajdował się w Rui, gdzie nadzorował budowę Wielkich Tuneli razem z generałem Gothą Tonyetim. Nawet Strzała Czasu, najszybszy cesarski sterowiec, jeśli bez przerwy przemierzać będzie niebo doglądany przez pracującą na zmianę załogę, dotrze do celu w pełne dwa dni, kolejne dwa zaś zajmie mu powrót.

– Cóż, zastanówmy się nad tym przez chwilę – stwierdził Pira. Z jego wyrazu twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Nad czym tu się zastanawiać?

– Powiedz mi, proszę, premierze, kto jest droższy sercu księcia koronnego? Ty czy generał Tonyeti? Kto jego zdaniem uczynił więcej dla dobra Xany? Komu ufa?

– To głupie pytanie. Generałowi Tonyetiemu zawdzięczamy podbój Cocru, ostatniego i najbardziej upartego królestwa; księżę koronny spędził z generałem wiele lat w boju, praktycznie wychował się w jego towarzystwie. To rozumiałe, że księżę go ceni.

– A jednak to ty przez niemal dwie dekady zarządzałeś imperium, ważąc losy milionów, podejmując najtrudniejsze decyzje i robiąc wszystko, co w twojej mocy, by przekuć marzenia cesarza w rzeczywistość. Czy nie uważasz, że twoje zasługi są większe od zasług tego starego wojownika, który potrafi tylko bić się i zabijać?

Crupo nie odpowiedział, popijając herbatę.

Pira uśmiechnął się i perorował dalej:

– Jeśli księżę koronny zasiądzie na tronie, pieczęć premiera może trafić w ręce generała Tonyetiego. A wtedy ktoś będzie szukał nowej pracy.

– Lojalny sługa nie myśli o sprawach, na które nie ma wpływu.

– Jeśli jednak młody księżę Loshi, twój uczeń, miałby przejąć koronę zamiast brata, sytuacja mogłaby ulec poważnej zmianie.

Crupo poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Otworzył szeroko oczy.

– To, co chcesz powiedzieć... nie powinno być nigdy powiedziane.

– Bez względu na to, czy powiem to, czy nie, premierze, świat będzie działał zgodnie ze swoimi zasadami. *Ingaan pha naüran i gipi lothu*, jak głosili mędrcy Ano. Szczęście wybiera odważnych.

Pira położył coś na tacy. Podciągnął rękawy, żeby Crupo mógł zerknąć. Była to cesarska pieczęć. Każdy dokument ze znakiem tej pieczęci stawał się aktem prawnym.

Crupo wpatrywał się w Pirę swoimi ciemnobrązowymi oczami, a Pira odpowiadał spokojnym spojrzeniem.

Po chwili z twarzy Crupo zniknęło napięcie. Westchnął.

– Żyjemy w chaotycznym świecie, kasztelanie. Czasami słudzy mają trudność w jasnym wyrażeniu swojej lojalności. Będę cię słuchał.

Pira uśmiechnął się.



Kiedy cesarz Mapidéré leżał w swoim łóżku, zaczął rozmyślać o przyszłym kształcie Dary.

Pierwszym projektem, który narodził się w jego głowie, były Wielkie Tunele. Cesarz chciał połączyć wyspy systemem podwodnych tuneli, żeby dawne królestwa nigdy nie występowały przeciwko sobie. Kiedy tunele zaczną funkcjonować, między wyspami nawiążą się stosunki handlowe, a ludzie zaczną się mieszać. Żołnierze cesarscy będą mogli jechać z jednego krańca Dary na drugi, nie musząc wchodzić na pokład choćby jednej łodzi czy sterowca.

„To szaleństwo! – wołali inżynierowie i mędrzy. – Natura i bogowie na to nie pozwolą. Co mieliby jeść i pić podróżni? Jak będą oddychać w ciemności, pod wodą? I gdzie znajdziemy robotników do tej pracy?”

Cesarz machnął ręką na ich protesty. Czy nie pamiętali, jak wątpili w zwycięstwo Xany? Jak osądzili, że nie da się podbić wszystkich królestw Tiro? Wspaniale było walczyć przeciwko innym ludom, ale czy nie wspanialej jest zaginać niebo, oswajać morze i zmieniać kształt ziemi?

Na każdy problem istnieje rozwiązanie. Co dwadzieścia kilometrów wykopie się boczne pieczary służące za przystanki dla podróżnych, którzy utknęli między wyspami. W ciemności będzie się hodować świecące grzyby dla pożywienia, a wodę pozyska się z wilgotnego powietrza za pomocą odmgielniaczy. Jeśli będzie trzeba, zainstaluje się gigantyczne miechy przy wejściach do tuneli, żeby przez bambusowe rurki pompować do środka świeże powietrze.

Cesarz wydał dekret zobowiązujący każdego mężczyznę wybranego w drodze głosowania, by opuścił swoje stanowisko, swoje pole, swój warsztat, swoją rodzinę i udał się tam, gdzie władca sobie zażyczy, by pracować pod czujnym wzrokiem xańskich żołnierzy. Młodzi mężczyźni byli zmuszani do pozostawienia swoich rodzin na dekadę lub dłużej, by zestarzeć się na dnie morza, przypięci łańcuchami, w niekończącej się ciemności, wykonując niewolniczą pracę na rzecz marzenia tyleż wspaniałego, co niemożliwego do spełnienia. Kiedy robotnicy umierali, ich ciała kremowano, a popioły odsyłano do domu w małych, nieoznaczonych pudełkach, nie większych niż drewniana taca na kości z obiadu i pestki z owoców. A potem powoływano w ich miejsce ich synów.

Małostkowi i krótkowzroczni chłopcy nie mogli pojąć wielkiej cesarskiej wizji. W tajemnicy narzekali i przeklinali imię Mapidérégo. Jednak on trzymał się swojego planu. Kiedy zobaczył, jak niewielkiego dokonano progresu, zwyczajnie zaciągnął do niewolniczej pracy więcej ludzi.

„Surowość twojego prawa stoi w opozycji do nauk Kona Fijiego, Jedynego Prawdziwego Mędrca – przestrzegał wspaniały uczonec Huno Tuan, jeden z doradców cesarskich. – Twoje czyny nie są czynami mądrego władcy”.

Cesarz był rozczarowany. Zawsze szanował Tuana i miał nadzieję, że tak oświecony człowiek będzie w stanie spojrzeć dalej niż inni. Nie mógł jednak pozwolić mu żyć po wypowiedzeniu tak krytycznego sądu. Mapidéré wyprawił Tuanowi wspaniały pogrzeb i opublikował zredagowany przez siebie zbiór jego pism.

Miał jeszcze wiele innych pomysłów na poprawę świata. Na przykład uważał, że

wszyscy mieszkańcy Dary powinni pisać w ten sam sposób, tymczasem każda lokalna społeczność posiadała własny wariant pradawnych logogramów a no i własny system tworzenia słów z liter zyndari.

Wspomnienie jęków wszelkiej maści uczonych z podbitych tirojskich królestw, po tym jak wydał Edykt Ujednolicenia Mowy i Pisma, przywracało uśmiech na jego twarz. Edykt uczynił dialekt i pismo Xany wzorem dla całej Dary. Dosłownie każdy literat poza rodzimymi xańskimi wyspami Rui i Dasu toczył pianę z ust i nazywał zarządzenie zbrodnią przeciwko cywilizacji. Jednak Mapidéré doskonale zdawał sobie sprawę, że w rzeczywistości pisarze i uczeni protestowali przeciwko utracie władzy. Kiedy wszystkie dzieci nauczą się jednego oficjalnego pisma i jednego oficjalnego dialektu, uczeni nie będą mogli dłużej decydować, jakie myśli mogą rozprzestrzeniać się na ziemiach leżących w strefie ich wpływów. Idee pochodzące z zewnątrz – na przykład cesarskie edykty, poezja, owoce kultury pozostałych królestw Tiro, oficjalna historia zastępująca lokalne interpretacje – mogły rozprzestrzeniać się po całej Darze wbrew barierom w postaci siedmiu niepasujących do siebie sposobów zapisu. A jeśli uczeni nie mogli dłużej popisywać się swoją erudycją, zapisując to samo na siedem różnych sposobów, to bardzo dobrze!

Oprócz tego Mapidéré uważał, że każdy powinien budować statki wedle tych samych wytycznych – takich, które on sam uzna za najlepsze. Zakładał, że stare księgi są bezmyślne i nie zawierają nic pożytecznego dla przyszłych pokoleń, więc zebrał je wszystkie i spalił, zostawiając tylko po jednym egzemplarzu schowanym głęboko w Wielkiej Bibliotece w Pan, Niepokalanym Mieście, gdzie mogli je zobaczyć tylko ludzie odporni na zły wpływ przestarzałych głupstw.

Uczeni protestowali i pisali traktaty, nazywając cesarza tyranem. Jednak byli to tylko uczeni, niezdolni do uniesienia miecza. Dwustu z nich zarządził pogrzebać żywcem, a tysiącu innym kazał odciąć rękę, którą pisali. Protesty i traktaty stały się przeszłością.

Świat wciąż nie był idealny, a wielkich wizjonerów zawsze doceniały dopiero następne pokolenia.



Strzała Czasu dotarła wreszcie do Rui. Już na miejscu posłańcy prowadzeni przez posokowce zanieśli list cesarza głęboko pod ziemię i ruszyli do Wielkich Tuneli, na dno morza, aż w końcu psy wyczuły zapach księcia koronnego Pulo i generała Gothy Tonyetiego.

Książę rozwinął list i zobaczył dołączoną do niego maleńką saszetkę. W trakcie lektury cały zbladł.

– Złe wieści? – zapytał generał Tonyeti.

Pulo podał mu list.

– To musi być jakieś oszustwo – orzekł generał po przeczytaniu wiadomości.

Książę pokręcił głową.

– Odcisk cesarskiej pieczęci jest prawdziwy. Widzisz ten ułamany róg? Często oglądałem pieczęć jako chłopiec. Odcisk jest autentyczny.

– W takim razie musiało dojść do pomyłki. Dlaczego cesarz miałby nagle chcieć pozbawić cię tytułu i uczynić księciem koronnym twojego młodszego brata? I co jest w tej saszetce?

– Truczizna – odparł książę Pulo. – Cesarz obawia się, że wystąpię przeciwko bratu w walce o tron.

– Przecież to nie ma sensu. Jesteś najłagodniejszy z rodzeństwa. Nie potrafisz nawet zarządzić biczowania robotników.

– Mojego ojca czasem trudno zrozumieć.

Żaden czyn cesarza nie szokował Pulo, który widział już, jak jego zaufani doradcy zostali skróceni o głowę z powodu jednego nieprzemyślanego komentarza. Pulo nieraz ich bronił, próbując uratować im życie, i dlatego ojciec zawsze uważał go za słabeusza. Właśnie z tego powodu przydzielił mu to zadanie: „Musisz zobaczyć, jak silni ludzie narzucają swoją wolę słabym”.

– Trzeba nam natychmiast lecieć do cesarza i poprosić, żeby nam to wytłumaczył.

Pulo westchnął.

– Kiedy mój ojciec podejmie jakąś decyzję, nie da się nic zrobić. Najwyraźniej uznał, że mój młodszy brat lepiej się nadaje na cesarza niż ja. I zapewne ma rację. – Ostrożnie i z należytym szacunkiem zwinął list i oddał go posłańcom. Wytrząsnął zawartość saszetki na rękę i zobaczył dwie duże pigułki, po czym połknął obie naraz.

– Generale, przykro mi, że właśnie mnie postanowiłeś służyć, a nie mojemu bratu.

Książę koronny położył się na ziemi, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę. Po chwili zamknął oczy i przestał oddychać. Tonyeti klęknął i objął nieruchome ciało chłopaka. Przez łzy zobaczył, że wszyscy posłańcy dobyli mieczy.

– A więc taka czeka mnie zapłata za służenie Xanie – powiedział.

Jego wściekły wrzask odbijał się echem w tunelach jeszcze długo po tym, jak go ścięli.



– Przybył już Pulo? – zapytał cesarz, ledwo zdoławszy poruszać ustami.

– Już niedługo. Jeszcze tylko kilka dni – odparł Pira.

Cesarz zamknął oczy.

Pira odczekał godzinę, a potem pochylił się nad twarzą cesarza. Odczekał chwilę, lecz nie czuł, by z cesarskiego nosa uchodziło powietrze. Skóra władcy była zimna.

Wyszedł z namiotu.

– Cesarz nie żyje! Niech żyje cesarz!

PAN: JEDENASTY MIESIĄC DWUDZIESTEGO TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW JEDNEGO JASNEGO NIEBA

Książę Loshi, dwunastoletni chłopiec, zasiadł na tronie i przyjął nowe cesarskie imię: Erishi, które w klasycznym ano oznaczało kontynuację. Premier Crupo był jego regentem, a kasztelan Pira przejął funkcję nowego głównego augura.

Pira ogłosił nową nazwę rządów – Szlachetna Siła – a kalendarz został wyzerowany. Niepokalane Miasto świętowało przez dziesięć dni.

Jednak wielu ministrów szeptało między sobą, że coś było niewłaściwego w tej sukcesji, że śmierć cesarza nastąpiła w podejrzanych okolicznościach. Crupo i Pira pokazali dokumenty, z których wynikało, że księżę koronny Pulo i generał Tonyeti spiskowali z piratami i rebeliantami, by przejąć wyspę Rui i założyć własne, niezależne królestwo Tiro, a kiedy ich zakusy zostały odkryte, ze strachu popełnili samobójstwo. Jednak w oczach niektórych ministrów i generałów dowody wydawały się nieprzekonujące.

Regent Crupo postanowił wytropić wątpiacych.

Pewnego ranka, jakiś miesiąc po śmierci cesarza Mapidérégo, kiedy ministrowie i generałowie zebrali się w Wielkiej Sali Audiencyjnej, żeby przedyskutować z cesarzem ostatnie raporty o bandytyzmie i głodzie, regent Crupo się spóźnił. Przyprowadził ze sobą jelenia z cesarskiego zoo, jednego z ulubionych miejsc cesarza Erishiego w pałacu. Jeleń miał potężne poroże, a ministrowie i generałowie wypełniający salę wycofali się, żeby zejść mu z drogi.

– *Rénga* – powiedział Crupo, nisko się kłaniając. – Przyprowadziłem ci wspaniałego konia. Co cesarz i zebrani ministrowie o nim myślą?

Drobna sylwetka młodego cesarza wydawała się niknąć na tle gigantycznego tronu, na którym siedział. Nie rozumiał, co to za żarty urządza sobie regent. Od zawsze miał problemy z nadążaniem za skomplikowanymi lekcjami swojego dawnego nauczyciela i nie czuł z nim żadnej bliskości, ponieważ był pewien, że w jego oczach nie jest dobrym uczniem. Poza tym Crupo był dziwnym człowiekiem – przyszedł do niego w środku nocy, oznajmiając, że od teraz to chłopiec będzie nowym cesarzem, a jednak nie przydziela mu niemal żadnych zajęć: ma tylko dobrze się bawić, grać z Pirą i oglądać niekończący się pochód tancerzy, akrobatów, treserów zwierząt i magików. Cesarz próbował przekonać samego siebie, że lubi regenta, jednak prawda była taka, że czuł się w jego towarzystwie nieco onieśmielony.

– Nie rozumiem – powiedział cesarz Erishi. – Nie widzę konia. Widzę jelenia.

Crupo raz jeszcze nisko się uklonił.

– Cesarz się myli, ale to nic takiego, w końcu cesarz musi się jeszcze wiele nauczyć. Być może inni ministrowie i generałowie mogliby cesarza oświecić.

Crupo rozejrzał się powoli po sali, a prawą ręką cały czas głaskał grzbiet jelenia. Jego wzrok był zimny i surowy. Nikt nie miał dość odwagi, by spojrzeć mu w oczy.

– Powiedzcie mi, panowie, czy widzicie to, co ja widzę? To wspaniały wierzchowiec czy jeleni?

Ci bardziej sprytni i wrażliwi na zmiany wiatru szybko podłapali.

– Godny podziwu wierzchowiec, regencie.

– Zaiste wspaniały.

– Ja widzę pięknego konia.

– *Rénga*, musisz słuchać mądrego regenta. To koń.

– Wyzywam na pojedynek każdego, kto twierdzi, że to jeleni!

Jednak niektórzy ministrowie, a już zwłaszcza generałowie, kręcili głowami

z niedowierzaniem.

– Wstyd – oznajmił generał Thumi Yuma, który działał w xańskiej armii od ponad piętnastu lat, służył nawet ojcu i dziadkowi cesarza Mapidérégo. – To jest jelen. Crupo, może i masz dużą władzę, ale nie sprawisz, że ludzie będą mówić nieprawdę i wierzyć w nieprawdę.

– A czym jest prawda? – zapytał regent, ostrożnie wymawiając każde słowo. – Co się wydarzyło w Wielkich Tunelach? Co się wydarzyło na wyspie Écofi? Jedno i drugie trzeba zapisać w księgach historycznych i ktoś musi zdecydować, jak należy to zrobić.

Zyskawszy odwagę dzięki generałowi Yumie, kilku innych ministrów występowało do przodu i deklarowało, że regent przyprował ze sobą jelenia. Jednak część popierająca wersję z koniem nie zamierzała ustąpić i dwie strony zaczęły głośno się kłócić. Crupo uśmiechnął się i pogładził po brodzie w zamyśleniu. Cesarz Erishi patrzył to na jedną grupę, to na drugą, i w końcu się roześmiał. Uznał, że to kolejny z dziwnych żartów dawnego nauczyciela.

Mijały kolejne miesiące i coraz więcej osób, które tamtego dnia wystąpiły przeciwko regentowi, odchodziło. Wielu z nich okazało się spiskowcami współpracującymi ze zhańbionym księciem Pulo, a z więzienia pisało – po pewnych namowach – łzawe wyznania własnych przewinień przeciwko cesarzowi. Zostali straceni, podobnie jak ich rodziny. Tak wyglądało prawo Xany: zdrada była skazą krwi i pięć pokoleń musiało zapłacić za zbrodnię jednej osoby.

Nawet generał Yuma okazał się jednym z przywódców nieudanego przewrotu – znalazły się dowody świadczące o tym, że spiskował razem z innymi braćmi cesarza. Ci inni książęta połknęli truciznę tuż przed tym, jak straż cesarska miała ich pojmać.

Jednak w przeciwieństwie do pozostałych spiskowców Yuma nie chciał się przyznać do swoich przestępstw, nawet w obliczu niepodważalnych dowodów winy. Cesarz załamał się, słysząc wieści o jego zdradzie.

– Gdyby tylko się przyznał – powiedział – oszczędziłbym go, zważywszy na jego służbę Xanie!

– Niestety – odparł regent – staraliśmy się mu pomóc odzyskać sumienie poprzez rozropne zadawanie fizycznego bólu, który oczyszcza duszę. Jednak generał jest bardzo uparty.

– Jak można komukolwiek zaufać, jeśli nawet wspaniały generał Yuma okazał się rebeliantem?

Regent uklonił się, nic nie mówiąc.

Kiedy następnym razem Crupo przyprował swojego „konia” na salę, wszyscy zgodzili się, że zaiste wspaniały to wierzchowiec.

Młody cesarz Erishi nie potrafił tego pojąć.

– Wciąż widzę poroże – mrucał sam do siebie. – Jak to możliwe, by to był koń?

– Nie martw się tym, *Rénga* – szepnął mu do ucha Pira. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PAŃSZCZYŻNA

KIESA: ÓSMY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Ponieważ Huno Krima i Zopa Shigin byli najwyżsi spośród grupy mężczyzn wysłanych z wioski Kiesa, by odrobili pańszczyznę w imieniu mieszkańców, mianowano ich kapitanami. Krima był chudy i łysy jak kamień wygładzony przez nurt rzeki. Shigin miał włosy koloru siana, odziedziczone po matce urodzonej w Rimie, a także szerokie ramiona i grubą szyję, która przypominała tę u bawołu. Obaj mieli też ciemną skórę cocruskich chłopów, którzy godzinami pracowali na polu.

Komendant wyjaśnił im ich obowiązki:

– Macie dziesięć dni, żeby przeprowadzić grupę pańszczyźnianą stąd na plac budowy Mauzoleum Cesarza Mapidérégo, niech dusza jego odpoczywa w spokoju. Regent i cesarz są zirytowani niewielkimi postępami w pracach nad wiecznym domem dla cesarskiego ojca. Jeśli spóźnicie się choć o jeden dzień, każdy z was straci ucho. Jeśli spóźnicie się o dwa dni, każdy straci oko. Jeśli spóźnicie się o trzy dni, każdy straci życie. Jeśli jednak dotrzecie na miejsce jeszcze później, wasze żony i matki zostaną sprzedane do burdeli, a ojcowie i dzieci skazane na ciężkie roboty do końca życia.

Huno Krima i Zopa Shigin zadrżeli. Podnieśli wzrok do nieba i modlili się, by pogoda pozostała spokojna na czas podróży, i poprowadzili robotników w stronę miasta portowego Canfin. Tam wsiedli na łódź, która miała zawieźć ich na północ wzdłuż brzegu, a potem w górę rzeki Liru na plac budowy Mauzoleum niedaleko Pan. Burza oznaczała opóźnienie.

O świcie robotnicy pańszczyźniani w liczbie trzydziestu stłoczyli się na trzech wozach konnych. Potem drzwi zablokowano, żeby zapobiec ewentualnym próbom ucieczki. Dwóch cesarskich żołnierzy miało jechać z wozami jako eskorta aż do następnego miasteczka, gdzie miejscowy garnizon zamierzał przejąć robotników i wysłać dwóch innych żołnierzy.

Mężczyźni wyglądali przez okna, kiedy karawana ruszyła drogą na zachód.

Chociaż było już późne lato, a plony powinny dojrzewać, na polach nie dało się zobaczyć złotych łanów i ledwie garstka ludzi pracowała na roli. Tak silnych tajfunów, jakie nawiedziły ich tego roku, nie pamiętał nikt. Uprawy na wielu polach zgniły w deszczu i błocie. Kobiety, których mężowie i synowie zostali odesłani do ciężkiej pracy przy realizacji wielkich cesarskich wizji, walczyły każdego dnia, by zadbać o plony. Co udało się uratować, natychmiast zabierali poborcy podatkowi. Chociaż głodujący wieśniacy ślali petycje z prośbą o odrobinę wytchnienia, z Pan zawsze nadchodziła odmowa. Zamiast tego wciąż zwiększano liczbę robotników pańszczyźnianych i nakładano coraz wyższe podatki. Nowy cesarz Erishi wstrzymał prace nad Wielkimi Tunelami, jednak zapragnął zbudować własny pałac i raz po raz rozbudowywał projekt budowy Mauzoleum, żeby udowodnić

swoje synowskie oddanie.

Mężczyźni patrzyli bez wyrazu na leżące wzdłuż drogi zwłoki ludzi zagłodzonych na śmierć: chude jak szkielety, gnijące, ogołoczone z całego dobytku, nawet ze szmat, które nosili zamiast ubrań. W wielu wioskach panował głód, jednak dowódcy garnizonów odmawiali otwarcia cesarskich spichlerzy, zostawiając je na wyłączny użytek wojska. Wszystko, co dało się zjeść, zostało już zjedzone: niektórzy pochłaniali nawet gotowaną korę albo wykopywali z ziemi pędraki. Kobiety, dzieci i staruszkowie próbowali dojść do miejsc, gdzie według plotek wciąż znajdowało się jedzenie, jednak czasem padali przy drodze, gdy ich ciała nie miały już siły na kolejny krok. Ich puste, pozbawione życia oczy wpatrywały się w równie puste niebo. Od czasu do czasu obok martwej matki leżało wciąż jeszcze żywe dziecko, resztkę energii poświęcając na płacz.

Młodzi mężczyźni, którzy nie zostali wysłani do odrabiania pańszczyzny, czasami uciekali w góry i zostawiali bandytami. Cesarscy żołnierze łapali ich jak szczury.

Karawana jechała dalej, mijając martwe ciała, puste pola i porzucone chaty. Kierowała się w stronę portu w Canfin, a stamtąd do wspaniałego Niepokalanego Miasta, cesarskiej stolicy.



Karawana przejechała przez plac mieszczący się w centrum małego miasteczka. Półnagi staruszek wyszedł podróżnym naprzeciw, pokrzykując na wozy i przechodniów.

– Pierwszy raz od pięćdziesięciu lat da się słyszeć dudnienie z głębi góry Rapa, a wodospad Rufizo całkiem wysechł. Czarne piaski na plaży Lutho zabarwiły się na czerwono od krwi. Bogowie są rozczarowani władcą Xany!

– Czy on mówi prawdę? – zapytał Krima, drapiąc się po łysej głowie. – Nie słyszałem jeszcze o tych dziwnych znakach.

– Kto wie? Może bogowie naprawdę się złością. A może starzec oszalał z głodu – odparł Shigin.

Żołnierze eskortujący karawanę udawali, że nie słyszą staruszka.

Oni także mieli chłopskie pochodzenie i wszyscy znali takich ludzi z rodzinnych wiosek na Rui i Dasu. Cesarz Mapidéré zostawił wiele wdów i sierot w całej Darze, nawet rodzime wyspy Xany nie zostały oszczędzone. Czasami wzbierał tam gniew tak wielki, że ludzie musieli wykrzyczeć swoje zdradzieckie myśli, by móc dalej oddychać. Może nie każdy z nich był prawdziwym szaleńcem, jednak lepiej dla wszystkich było udawać, że tak właśnie jest.



Deszcz nie przestawał padać już od czterech dni. Krima i Shigin gapili się przez okno w gospodzie, a potem z rozpaczy ukryli twarze w dłoniach.

Udało im się dojechać do Napi, które znajdowało się osiemdziesiąt kilometrów od portu w Canfin, jednak drogi były zbyt błotniste, żeby można było jechać na nich wozem.

A nawet jeśli jakiś cudem dotarliby na brzeg, żadna łódź nie zabierze ich w taką pogodę.

Wczoraj minął ostatni dzień, kiedy mieli jeszcze jakieś realne szanse na dotarcie do rzeki Liru i dopłynięcie do Pan w wyznaczonym czasie. Każda mijająca minuta oznaczała tragedię dla nich i dla ich rodzin. Bez względu na to, jak cesarscy sędziowie interpretowali prawo – zgodnie z jego literą czy z rozsądkiem – Krima i Shigin nie mogli liczyć na litość.

– To bez sensu – powiedział Krima. – Nawet jeśli dotrzemy do Pan, skończymy jako kaleki albo jeszcze gorzej.

Shigin kiwnął głową.

– Zbierzmy resztę pieniędzy i przynajmniej zjedzmy ostatni dobry posiłek.



Krima i Shigin zdobyli pozwolenie strażników na wyjście z gospody i udanie się na targowisko.

– W tym roku tak niewiele jest ryb w oceanie – powiedział im handlarz. – Może nawet one boją się poborców podatkowych.

– A może po prostu przstraszyły się gąb wszystkich przymierających głodem mieszkańców Dary.

Zapłacili za rybę nieprzyzwoicie wysoką cenę, a potem dokupili jeszcze trochę wina. Wydali wszystkie swoje pieniądze. Martwym ludziom na nic nie zdadzą się miedziane monety.

– Chodźcie, chodźcie – wołali do pozostałych mężczyzn w gospodzie – nawet smutni ludzie, nawet ci, którzy zaraz mają utracić oczy i uszy, muszą jeść, i to jeść godziwie!

Tamci pokiwali głowami. Usłyszeli prawdziwie mądre słowa. Jako robotnicy pańszczyźniani będą prowadzić nędzną egzystencję, składającą się z wymierzania sobie nawzajem razów, a jak ktoś długo żyje w strachu, w pewnym momencie stwierdza, że napełnienie brzucha jest najważniejsze na świecie.

– Który z was jest dobrym kucharzem? – zapytał Krima.

Podniósł dużą rybę za pysk: miała srebrne łuski, tęczowe płetwy i była tak długa jak jego ramię. Mężczyźni poczuli, jak cieknie im ślina. Tak dawno nie jedli świeżej ryby.

– My.

Zgłosili się dwaj bracia, Dafiro i Ratho Miro, czternasto- i szesnastoletni, ledwo odrośli od ziemi. Pan coraz bardziej obniżał wiek kwalifikujący chłopów do pracy pańszczyźnianej.

– Matka nauczyła was, jak gotować?

– Gdzie tam – odparł Ratho, młodszy z chłopców. – Kiedy tatuś umarł w Wielkich Tunelach, mama dużo czasu spędzała na spaniu i picciu...

Jego starszy brat go uciszył.

– Dobrze gotujemy – powiedział, rozglądając się po otaczających go mężczyznach, jak gdyby prowokował ich, żeby tylko spróbowali zażartować sobie z Ratho. – I nie ukradniemy nic z tej ryby dla siebie.

Mężczyźni unikali ich wzroku. Znali zbyt wiele podobnych rodzin. Chłopcy nauczyli się gotować, ponieważ musieli sami przygotowywać sobie jedzenie, żeby nie umrzeć z głodu.

– Dziękuję – powiedział Krima. – Jestem pewien, że świetnie sobie poradzicie. Uważajcie przy czyszczeniu ryby. Handlarz wspominał, że w tym gatunku woreczek żółciowy jest dość płytko.

Reszta została przy barze i piła. Mieli nadzieję pić tak długo, żeby zapomnieć, co się z nimi stanie, gdy wreszcie dotrą do Pan.

– Kapitanie Krima! Kapitanie Shigin! Musicie to zobaczyć! – zawołali chłopcy.

Mężczyźni niepewnie podnieśli się i ruszyli chwiejnym krokiem do kuchni. Huno Krima i Zopa Shigin zostali na chwilę w tyle i popatrzyli na siebie znacząco.

– Stało się – powiedział Shigin.

– Nie ma odwrotu – zgodził się Krima, a potem obaj ruszyli za pozostałymi.

Ratho wyjaśnił, że rozciął brzuch ryby, żeby ją oczyścić, i co znalazł w środku? Jedwabny zwój zapisany literami zyndari. Napis głosił: „Huno Krima zostanie królem”.

Robotnicy patrzyli na siebie nawzajem z szeroko otwartymi oczami i ustami.



Mieszkańcy Dary zawsze wierzyli w przepowiednie i wróżby. Świat był księgą pisaną przez bogów, którzy niczym skrybowie – z ich pędzelkami i atramentem, woskiem i nożykami – zapełniali kolejne strony. Bogowie nadawali kształt ziemi i morzu, tak jak ostrze noża wydłubywało w wosku logogramy, które można było dotknąć i poczuć. Kobiety i mężczyźni służyli za litery zyndari i znaki przestankowe wielkiego, epickiego dzieła bogów.

Kiedy bogowie uznali, że tylko na Rui będzie znajdować się gaz, dzięki któremu sterowce mogą latać, wyrazili w ten sposób chęć podniesienia Xany ponad pozostałe królestwa Tiro i zarządzenie Zjednoczenia. Kiedy cesarzowi Mapidérému przyśniło się latanie nad wyspami na grzbiecie sokoła Mingén, oznaczało to, że bogowie chcieli wyróżnić go spośród wszystkich ludzi. Opór pozostałych sześciu królestw był bezcelowy, ponieważ bogowie postanowili już, jak potoczy się historia. Zupełnie jak grudki wosku, które nie dawały się odpowiednio ukształtować, zostawały usunięte przez pisarza i zastępowane przez nowy, uległy materiał, tak ludzie opierający się losowi musieli odejść, by zrobić miejsce tym bardziej podatnym na zmiany.

Jakie znaczenie niosły ze sobą tajfuny, które mocniej niż kiedykolwiek niszczyły brzegi wysp? Co oznaczały te dziwne chmury i dziwne światła widziane na całej Darze? Dlaczego ogromne crubeny spotykano w wodach całych zachodnich mórz, lecz nie w okolicach Rui? Jakie przesłanie niosły klęski głodu i plagi?

A przede wszystkim cóż znaczył ten jedwabny zwój znaleziony w brzuchu ryby, na który gapili się wszyscy mężczyźni w gospodzie, gdy Huno Krima i Zopa Shigin podnieśli go do światła?



– Wszyscy zginiemy – oznajmił Huno Krima. – Razem z naszymi rodzinami. Skończył nam

się czas.

Mężczyźni, ściśnięci w małym pomieszczeniu, wstrzymywali oddech i wyęźali słuch. Krima nie mówił zbyt głośno, a ogień w palenisku rzucał na ich twarze migoczące cienie.

– Nie lubię prorocत्व. Psują plany i czynią nas pionkami w rękach bogów. Gorzej jednak opierać się prorocत्वu, kiedy zostało wygłoszone. Skoro zgodnie z prawem Xany jesteśmy już martwi, a jednak bogowie twierdzą coś innego, wolę słuchać bogów. W tym pokoju jest nas trzydziestu. W całym mieście jest więcej robotników takich samych jak my, maszerujących do Pan bez nadziei na dotarcie tam o czasie. Wszyscy jesteśmy chodzącymi trupami. Nie mamy nic do stracenia. Dlaczego mielibyśmy poddawać się słowom zapisanym w xańskim kodeksie? Wolałbym raczej stosować się do słów boskich. Wszędzie widać znaki mówiące, że dni Xany są policzone. Z mężczyzn uczyniono niewolników, z kobiet prostytutki. Starcy umierają z głodu, a młodzi jako bandyci. Kiedy my cierpimy, nie znając powodu, cesarz i jego ministrowie tyją od nadmiaru słodkości, które podtykają im delikatne dłonie młodych służek. Nie tak miał wyglądać ten świat. Może nadszedł czas, żeby bardowie opowiedzieli nową historię.



Ratho i Dafiro, ponieważ byli najmłodszy i najdrobniejsi, a przez to wydawali się mniej groźni, dostali najtrudniejsze zadanie. Bracia mieli ciemne, kręcone włosy i odznaczali się niewielką posturą. Ratho, młodszy i bardziej impulsywny, zgodził się od razu. Dafiro popatrzył na brata, westchnął i kiwnął głową.

Wzięli dwie tace z winem i zupą rybną i udali się do pokoju zajmowanego przez dwóch eskortujących karawanę żołnierzy. Wyjaśnili im, że robotnicy chcieli podarować im coś miłego – może w zamian strażnicy mogliby przymknąć oko, gdy mężczyźni zaczną się upijać?

Żołnierze jedli i pili z apetytem. Od ciepłego wina ryżowego i pikantnej zupy zaczęli się intensywnie pocić, więc zdjęli zbroje i szaty i powrócili do posiłku w samej tylko bieliźnie, żeby było im wygodniej. Nie minęło wiele czasu, kiedy powieki zaczęły im ciężać, a języki się plątać.

– Więcej wina, panowie? – zapytał Ratho.

Żołnierze pokiwali głowami, a chłopiec dołał im napoju do kubków, które jednak nie zostały już podniesione. Strażnicy odchyłili się na poduszkach i posnęli z otwartymi ustami.

Dafiro Miro wyciągnął długi nóż kuchenny, który schował w rękawie. W swoim życiu zabijał już świnie i kurczaki, jednak człowiek to co innego. Popatrzyli sobie z bratem w oczy i obaj na chwilę wstrzymali oddech.

– Nie pozwolę się zabiczyć na śmierć, jak tata – oznajmił Ratho.

Dafiro kiwnął głową.

Z tej drogi nie będą mogli zawrócić.

Dafiro wbił nóż między żebra jednego z żołnierzy, prosto w serce.

Popatrzył na brata, który zrobił to samo ze strażnikiem po drugiej stronie stołu. Wyraz twarzy Ratho, będący mieszaniną ekscytacji, strachu i radości, zasmucił Dafiro.

Mały Ratho zawsze uważał go za wzór, a on zawsze bronił młodszego brata przed

innymi chłopakami z wioski. Kiedy ich ojciec odszedł, a matka jeszcze przed śmiercią przez większość dnia była nieprzytomna, właściwie samodzielnie zajmował się wychowaniem Ratho. Zawsze wierzył, że będzie w stanie go chronić, i właśnie w tej chwili zrozumiał swoją klęskę.

Ratho wyglądał jednak na szczęśliwego.



Dwóch cesarskich żołnierzy pojawiło się w Skaczącym Crubenie, największym domu letniskowym w całym Napi. Wyraźnie byli to nowi rekruci; mieli na sobie źle dopasowane mundury.

Całe drugie i trzecie piętro budynku zostało zajęte przez władze miasta i służyło za tymczasowe cele dla robotników pańszczyźnianych i złoczyńców skazanych na ciężkie roboty. Pilnujący ich żołnierze zatrzymali się w apartamencie na drugim piętrze, znajdującym się najbliżej schodów, i zostawili otwarte drzwi, żeby nikt nie wymknął się niepostrzeżenie.

Dwaj cesarscy żołnierze zapukali w futrynę i wyjaśnili, że zostali wysłani przez miejscowy garnizon z zadaniem znalezienia poszukiwanego bandyty. Czy strażnicy nie mieliby nic przeciwko, żeby ci dwaj przeszukali mężczyzn znajdujących się pod ich opieką?

Strażnicy, którzy właśnie grali w karty, tylko machnęli ręką.

– Szukajcie sobie, ile chcecie. Tamtego i tak tu nie ma.

Huno Krima i Zopa Shigin podziękowali strażnikom, którzy zaraz wrócili do picia i grania, a potem weszli do wszystkich pokoi i wyjaśnili swój plan robotnikom i skazańcom. To był ich ostatni przystanek. Zdążyli już odwiedzić wszystkie inne miejsca w Napi, gdzie przetrzymywano podobnych im mężczyzn.



W całym mieście o północy wszyscy robotnicy i skazańcy jak jeden mąż wstali i zabili swoich strażników, gdy ci spali. Podpalili domy i gospody, a potem zebrali się na ulicach.

– Śmierć Xanie! – krzyczeli. – Śmierć cesarzowi!

Było coś wyzwalającego w tym wyrzaskiwaniu zakazanych słów; słów, które tłukły się po głowie dosłownie każdemu. Samo wypowiedanie ich na głos sprawiało, że buntownicy czuli się niepokonani.

– Huno Krima będzie królem!

Wkrótce mieszkańcy miasta – żebracy i złodzieje, biedacy i głodujący, kobiety, które patrzyły, jak ich mężów i synów zabierano, by niewolniczo pracowali na dnie morza i wysoko w górach – podnieśli te same krzyki.

Nieuzbrojeni lub dzierżąc jedynie kuchenne noże, ruszyli do zbrojowni, pokonali żołnierzy pilnujących drzwi i włamali się do środka. Następnie, wyposażeni w prawdziwą broń, zaatakowali wojskowy spichlerz i wkrótce worki sorgo, ryżu i suszonych ryb

rozprowadzane były po ulicach przez ludzi płynących strumieniem wartkim jak woda w czasie powodzi.

Pobiegli do biura burmistrza i przejęli budynek. Ktoś ściągnął flagę Xany, z symbolem sokoła Mingén z rozpostartymi skrzydłami, i powiesił kawałek płótna z krzywo narysowaną skaczącą rybą – ze srebrnymi łuskami, tęczowymi płetwami i otoczoną zwojem z napisem: „Huno Krima będzie królem!”.

Żołnierze miejscowego garnizonu, z których wielu pochodziło z Cocru, nie zgodzili się walczyć z rodakami. Xańscy dowódcy wkrótce musieli wybrać między poddaniem się a krwawą śmiercią z rąk swoich podwładnych.



Krima i Shigin stanęli teraz na czele sił rebeliantów, liczących kilka tysięcy ludzi – większość z nich stanowili zdesperowani robotnicy, bandyci albo żołnierze cesarskiej armii, którzy zbuntowali się razem ze skazańcami.

Tym dowódcom cesarskim, którzy się poddali, obiecano wysokie nagrody i natychmiast splecono pieniędzmi zabranymi z miejskiego skarbcza – pieniędzmi z podatków, namokniętymi krwią, potem i łzami mieszkańców Cocru.

Kiedy Krima i Shigin zabezpieczyli już Napi i zamknęli bramy przed spodziewanym atakiem xańskich żołnierzy stacjonujących w pobliskich miastach, postanowili się zabawić. Domy handlarzy zostały złupione, restauracje i burdele przygotowały specjalne oferty dla rebeliantów, a wszelkie umowy i długi anulowano. Kiedy bogacze rozpaczali, biedni się cieszyli.

– Mamy już nazywać się królami? – wyszeptał Shigin.

Krima pokręcił głową.

– Zbyt wcześnie. Najpierw potrzebujemy symbolu.

Aby ich rebelia zyskała powagę, Krima i Shigin natychmiast wysłali delegację do Faça, żeby znaleźć następcę tronu Cocru, o którym plotkowano, że został pasterzem na wygnaniu. Obiecali, że oddadzą koronę w prawowite ręce.

Posłańcy zostali wysłani na wszystkie wyspy Dary, by wezwać arystokrację Sześciu Królestw do powrotu do ich rodzimych krain i dołączenia do rebelii. Królestwa Tiro odrodzą się z popiołów Zjednoczenia i razem obalą cesarski tron w Pan.



Letnia burza przetaczała się właśnie przez niebo nad północno-zachodnim zakątkiem Dary. Chłopi z Rui i Dasu pochowali się w swoich chatkach, modląc się, by gniew Skrzydlatego Kijiego z Xany, boga wiatrów i szkwałów, nie zniszczył upraw tuż przed zbiorami.

Gdyby ktoś nasłuchiwał uważnie, pośród dźwięku gromów i szumu deszczu mógłby wychwycić głos:

– Nigdy bym nie pomyślał, Lutho z Haanu, że uderzysz jako pierwszy. Ta sztuczka z rybą i zwojem z daleka śmierdzi twoją ingerencją.

Odpowiedź – dostarczona starym i zachrypłym głosem Lutho, boga liczenia i podstępu, z żółwiem jako kompanem – była cicha jak odgłos płetwy rozgarniającej fale albo muszli drapiącej o piasek w blasku księżyca:

– Zapewniam cię, że nie miałem z tym nic wspólnego, mój bracie. To prawda, że mam słabość do przepowiedni, jednak ta zaskoczyła mnie tak samo jak ciebie.

– W takim razie może to sprawka Bliźniaczek z Cocru, sióstr ognia i lodu?

Następne głosy przemawiały wspólnie: brzmiący fałszywie i brzmiący harmonijnie, rozgniewany i spokojny, jak rzeka lawy płynąca tuż obok lodowca. Oto odezwały się Kana i Rapa, boginie ognia i lodu, śmierci i snu, w towarzystwie kruków.

– Śmiertelnicy odnajdują znaki tam, gdzie zechcą. Nie miałyśmy nic wspólnego z tą rebelią...

– Możecie jednak być pewni, że ją zakończymy. Nawet jeśli Cocru żyje już tylko w sercu jednego człowieka...

Kiji im przeszkodził:

– Darujcie sobie. Wciąż musicie znaleźć tego jednego, właściwego człowieka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MĘSTWO MATY

FARUN, WYSPY TUNOA: DZIEWIĄTY MIESIĄC
TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

W Farun, w Północnym Tunoa, najbardziej wysuniętej na północ części wysp Tunoa, major Datun Zatoma z niepokojem przyjął wieści o powstaniu na Wielkiej Wyspie.

Trudno było o pewne informacje. Panował chaos. Bandyci Huno Krima i Zopa Shigin twierdzili, że udało im się odnaleźć prawowitego następcę tronu Cocru, który rzekomo obiecał uczynić arystokratą każdego cesarskiego dowódcę, który włączyłby swoich żołnierzy do jego armii.

W całym cesarstwie wybuchł zamęt. Od samobójstwa generała Tonyetiego i egzekucji generała Thumi Yumy armia cesarska została bez właściwego głównodowodzącego. Przez dwa lata regent i młody cesarz wydawali się zapominać zupełnie o wojsku, zostawiając wszystkie sprawy lokalnym majorom. Teraz z kolei, kiedy wybuchła prawdziwa rebelia, Pan wydawało się zdumione i choć minął miesiąc, w dalszym ciągu nie powołano żadnego generała, który poprowadziłby armię cesarską przeciwko powstańcom. Dowódcy lokalnych garnizonów próbowali zdecydować, co robić.

„Trudno powiedzieć, w którą stronę wieje wiatr – pomyślał major Zatoma. – Może lepiej podjąć inicjatywę? Im wcześniej wykonam ruch, tym większa będzie moja nagroda. »Książę Zatoma« brzmi niezłe”.

Jednak o wiele lepiej czuł się za biurkiem niż na wierzchowcu. Potrzebował dobrych, kompetentnych poruczników. W tym względzie dopisało mu szczęście, gdy przydzielono go do Farun. Tunoa bardzo długo była jedną z najbardziej zmilitaryzowanych krain w całej Darze i jednocześnie ostatnim obszarem, na którym osiedlili się Ano, którzy musieli spacyfikować wojowniczych mieszkańców. W Farun nawet dziewczęta ćwiczyły rzucanie oszczepem, a każdy chłopiec po ukończeniu piątego roku życia wiedział, jak bez wstydu dzierżyć dzidę ojca.

Jeśli zgłosi się do odpowiednich ludzi, zapewne z chęcią zgodzą się odzyskać honor swych zhańbionych rodzin i będą mu lojalnie służyć. On zostanie mózgiem, a oni jego rękami.



Kiedy Phin Zyndu szedł przez ogromne sale i długie korytarze swego rodzinnego zamku, starał się nie okazywać, jak bardzo wszystko się w nim gotuje. Nie zaglądał w te mury od tamtego pamiętnego dnia ćwierć wieku temu, kiedy wygoniono go stąd w najczarniejszej godzinie rodu Zyndu. Jego powrót, na zaproszenie Datuna Zatomy, plebejusza w stroju

wielkiego wojownika, nie wyglądał tak, jak to sobie wyobrażał.

Za jego plecami Mata pożerał wzrokiem drogie gobeliny, misterne żelazne zdobienia ram okiennych i obrazy przedstawiające chwalebne czyny jego przodków. Głowy postaci na kilku z nich zostały wyrwane przez xańskich żołnierzy, by służyły im za pamiątki z łupiestwa tuż po podboju, a ta szumowina Zatoma po prostu zostawiła obrazy na ścianach, jakby miały przypominać sromotną klęskę rodu Zyndów. Mata zaciskał szczęki, żeby powstrzymać kotłujący się w nim gniew. Wszystko to, cały jego prawowity spadek, został zbrukany przez tę świnię, która wdarła się na jego miejsce i teraz ich wezwała.

– Poczekaj tutaj – powiedział Phin do Maty. Wymienili znaczące spojrzenia i Mata skinął.

– Witaj, panie Zyndu! – Datun Zatoma wyraźnie okazywał entuzjazm i, głównie w swoim mniemaniu, łaskawość. Złapał Phina Zyndu za ramiona, lecz mężczyzna nie odwzajemnił tego gestu. Po chwili Zatoma wycofał się z zakłopotaniem i pokazał gościowi, żeby usiadł. Sam skrzyżował nogi, wsuwając każdą stopę pod przeciwległe udo i przyjmując tym samym pozycję zwaną *géüpa* – tak by pokazać, że rozmawiają jako przyjaciele. Jednak Phin klęknął sztywno na macie w formalnym *mipa rari*.

– Słyszałeś już wieści z Wielkiej Wyspy? – zapytał Zatoma.

Phin Zyndu nie odpowiedział. Czekał, aż major będzie kontynuował.

– Sporo się nad tym zastanawiałem. – To była delikatna sprawa i Zatoma chciał zachować ostrożność, żeby jego rozmówca dobrze go zrozumiał, a jednocześnie nie zamierzał powiedzieć zbyt dużo, w razie gdyby oddziały cesarskie dopięły swego i zmiażdżyły rebeliantów. – Twoja rodzina wiernie służyła królom Cocru przez wiele pokoleń. Wielcy generałowie pochodzili z rodu Zyndów, o czym wiedzą nawet małe dzieci.

Phin Zyndu niemal niezauważalnie kiwnął głową.

– Zbliża się wojna, a w czasie wojny mężczyźni, którzy wiedzą, jak walczyć, należy wynagradzać. Zyndowie, jak mi się zdaje, mają przed sobą interesujące perspektywy.

– Mój ród walczy wyłącznie dla Cocru – powiedział Phin.

„Świetnie – pomyślał Zatoma. Ty powiedziałaś to, co należało powiedzieć, nie ja”. Kontynuował, jakby nie usłyszał tego zdradzieckiego komentarza:

– Oddziały pod moim dowództwem składają się albo z wiekowych weteranów, którzy nie potrafią już napiąć cięciwy łuku, albo świeżo zwerbowanych młodzików, nieodróżniających ataku od zasłony. Będzie ich trzeba nauczyć fachu, i to szybko. Byłbym zaszczycony, gdybyś razem z bratankiem zgodził się pomóc mi w tym przedsięwzięciu. Nadchodzi czas zmian i moglibyśmy wspólnie powstać z klęczek i posmakować chwały w jednym szeregu.

Phin patrzył na pochodzącego z Xany mężczyznę, podobno dowódcę cesarskiego oddziału. Jego ręce były białe, tłuste i gładkie, w kolorze perły na kobiecym pierścionku. Te ręce nie wiedziały, jak trzymać miecz czy wziąć zamach toporem. „Biurokrata – pomyślał. – Człowiek, który wie, jak przesuwac paciorki na abakusie albo załatwić coś u przełożonych, został postawiony na czele oddziałów, które miały bronić ładu ustanowionego przez Xanę. Nic dziwnego, że sytuacja w cesarstwie była tak fatalna jeszcze przed chłopską rebelią”.

Jednak gdy uśmiechał się do Zatomy i kiwał głową, nie pozwolił, by wyraz jego twarzy zdradzał obrzydzenie i pogardę. Zdążył już zdecydować, co zrobią razem z Matą.

– Pozwól, że przyprowadzę swojego bratanka. Myślę, że z radością pozna majora.

– Oczywiście, oczywiście! Zawsze chętnie spotykam się z młodymi bohaterami.

Phin stanął w drzwiach pokoju majora i kiwnął na Matę, który wszedł z nim do środka. Zatoma zbliżył się do nich z szerokim uśmiechem i rozpostartymi ramionami, żeby objąć młodego mężczyznę. Jednak to serdeczne powitanie było nieco wymuszone. Dwudziestopięcioletni Mata mierzył ponad dwa metry i budził niepokój. Oprócz tego na widok jego podwójnych źrenic ludzie zwykle odwracali wzrok. Nie dało się patrzeć mu w oczy: człowiek nie wiedział, na której źrenicy się skupić.

Zatoma pomyślał, że nigdy nie nauczy się bez skrępowania odwzajemniać spojrzenia Maty. Tamtego dnia popatrzył mu w oczy po raz pierwszy i ostatni.

Spuścił wzrok, nie dowierzając. Szyplet, cienki i teraz czerwony od jego krwi, nie wiadomo skąd znalazł się w lewej dłoni Maty i właśnie wysuwał się z piersi majora. Zatoma potrafił myśleć tylko o tym, jak niestosownie wyglądała tak drobna broń w potężnej dłoni.

Na jego oczach Mata uniósł szyplet raz jeszcze i przejechał ostrzem po gardle majora, przecinając tchawicę i główne arterie. Zatoma zacharczał, nie mogąc wypowiedzieć choćby słowa, i padł na podłogę, a jego członki zaczęły drżeć, gdy on dusił się własną krwią.

– A teraz odejdziesz z mojego domu – oznajmił Mata. Datun Zatoma był pierwszym zabitym przez niego człowiekiem. Chłopak zadrżał z podekscytowania, jednak nie poczuł żalu ani litości.

Podszedł do mieszczącej się w kącie półki z bronią. Leżało tam mnóstwo wiekowych mieczy, dzid i pałek, zabranych niegdyś z rąk rodu Zyndu. Zatoma traktował je jedynie jako dekorację i na każdej z broni zebrała się gruba warstwa kurzu.

Mata sięgnął po najcięższy miecz – sądząc po wyglądzie, wykonany z brązu – leżący na wierzchu. Jego grube ostrze i długa rękojeść zdawały się sugerować, że powinno się go dzierżyć oburącz.

Zdmuchnął kurz i wyciągnął ostrze do połowy z pochwy. Metal wyglądał niezwykle: na środku ciemnobrązowy, jak się można było spodziewać, jednak brzegi, w słabych promieniach słońca, które wpadały przez okno, błyszczały chłodnym błękitem. Mata obracał miecz z pochwą w dłoni, podziwiając misterne rzeźbienia – logogramy dawnych poematów bitewnych – umieszczone po obu stronach.

– Tym mieczem posługiwał się twój ojciec przez większość służby. Otrzymał go od swego mistrza, Médo, kiedy skończył pobierać u niego nauki – oznajmił Phin z dumą. – Zawsze wolał brąz, bo był cięższy niż żelazo i stal, chociaż nie trzymał dobrze ostrzenia i nie był tak twardy. Większość ludzi nie mogłaby nawet podnieść tego miecza, jednak on dzierżył go zawsze jednorącz.

Mata wyciągnął ostrze do końca i zamachnął się nim kilka razy, tylko jedną ręką. Miecz przecinał powietrze z łatwością, odbijając światło jak kwitnąca chryzantema, i Mata poczuł chłodny powiew na twarzy.

Podziwiał masywność i doskonałe wyważenie broni. Większość stalowych mieczy,

których używał do ćwiczeń, była dla niego zbyt lekka, a ich cienkie ostrza zbyt delikatne. Jednak ten miecz zdawał się wykuty specjalnie dla niego.

– Poruszasz się jak twój dziadek – powiedział cicho Phin.

Mata sprawdził kciukiem brzezi: wciąż były ostre, nawet po tylu latach. Nie widział, by gdziekolwiek miecz został wyszczerbiony. Posłał wujowi pytające spojrzenie.

– Z tymi ostrymi krawędziami łączy się pewna historia – wyjaśnił Phin. – Kiedy twój dziadek został mianowany marszałkiem Cocru, król Thoto pewnego obiecującego zimowego dnia przyjechał do Tunoi, zbudował podium o długości, szerokości i wysokości dziewięćdziesięciu dziewięciu stóp, a potem uklonił się trzykrotnie przed Dazu, żeby wszyscy mogli to zobaczyć.

– Król uklonił się mojemu dziadkowi?

– Tak. – Głos Phina przepęłniała duma. – Na tym polegał stary zwyczaj królów Tiro. Kiedy jakieś królestwo wyznacza swojego marszałka, jest to niezwykle podniosła chwila, bowiem król powierza armię, najbardziej przerażającą siłę napędzającą kraj, komuś innemu. Należy wtedy dopełnić odpowiednich rytuałów, żeby pokazać, jak wielkiego i wspaniałego zaszczytu dostępuje człowiek, którego król ogłasza marszałkiem. Tylko w takiej chwili król może się komuś uklonić. Tunoa, ziemia naszego rodu, widziała więcej takich ceremonii niż jakakolwiek inna kraina na wyspach Dary.

Mata kiwnął głową, raz jeszcze czując na swoich ramionach ciężar historii; historii, która płynęła w jego żyłach. Poczł się jedynie ogniwem łańcucha znamienitych wojowników, przed którymi kłaniał się nawet król.

– Żałuję, że sam nie widziałem takiej ceremonii – powiedział.

– Jeszcze zobaczysz – odparł Phin, lekko klepiąc go po ramieniu. – Jestem tego pewien. Król Thoto podarował twojemu dziadkowi, jako symbol autorytetu marszałka, nowy miecz, wykonany z tysiąckrotnie przekutej stali, najostrzejszy znany człowiekowi. Jednak Dazu nie chciał porzucać swojej broni, ponieważ stanowiła dla niego symbol szacunku, jaki zdobył u swojego nauczyciela.

Mata znowu kiwnął głową. Rozumiał obowiązek szacunku wobec swojego mistrza, ponieważ mistrz jest wzorem w kwestii umiejętności ucznia, tak jak ojciec jest wzorem w kwestii manier syna. To były święte obowiązki, z gatunku tych, które utrzymywały świat w jego fundamentach. Mimo osobistej natury tych więzi były one równie ważne i niezniszczalne jak publiczne zobowiązania wobec pana i króla. Mata wyraźnie poczuł dylemat Dazu Zyndu sprzed dziesiątków lat.

Mapidéré próbował stłumić te osobiste więzi i wynieść ponad nie podległość cesarzowi. Właśnie dlatego jego imperium okazało się chaotyczne i niesprawiedliwe. Mata nie musiał pytać Mapidérégo, żeby wiedzieć, że on nigdy by się nie uklonił swojemu marszałkowi.

– Nie mogąc się zdecydować, której broni dobrać, twój dziadek pojechał do Rimy, żeby odnaleźć Sumę Ji, najlepszego miecznika w całej Darze, i poprosić go o pomoc. Suma Ji modlił się przez trzy dni i trzy noce do Fithowéo, by ten mu poradził w tej sprawie, a potem wymyślił rozwiązanie, które doprowadziło też do powstania nowej metody złożonego wykuwania mieczy. Suma Ji roztopił nową broń twojego dziadka i wykorzystując tę starą jako trzon, pokrył ostrze warstwą po warstwie bitą stalą. Wykuł

w ten sposób nowy miecz, który łączył w sobie ciężar i masywność brązu z twardą i ostrą stalą. Kiedy miecz był gotowy, Suma Ji zanurzył go we krwi wilka, świętego dla Fithowéo.

Mata pogładził chłodne ostrze, zastanawiając się, krwi ilu ludzi posmakowało.

– Jak się zwie?

– Suma Ji nazwał go Na-aroénna – wyjaśnił Phin.

– Pogromczyni Wątpliwości – powiedział Matu, tłumacząc nazwę z klasycznego ano.

Phin przytaknął.

– Za każdym razem, kiedy twój dziadek dobywał swego miecza, opuszczały go wątpliwości dotyczące wyniku bitwy.

Mata zacisnął mocno dłoń na rękojeści. „Zrobię wszystko, by być godnym tego miecza”.

Kontynuując przegląd broni, młody mężczyzna spojrzął kolejno na wszystkie dzidy, miecze, bity i łuki, odrzucając je jako nieodpowiednie towarzystwo dla Na-aroénny. W końcu spojrzął na najniższą półkę.

Podniósł pałkę z twardego drewna. Rękojeść, grubą jak nadgarstek, owinięto białym jedwabiem, teraz poplamionym po latach przelewania potu i krwi. Drugi koniec pałki był jeszcze grubszy i otaczało go wiele pierścieni białych zębów.

– To broń xańskiego generała Rio Cotumo, o którym mówiło się, że włada siłą dziesięciu ludzi – wyjaśnił Phin.

Mata zaczął obracać pałkę w dłoni, a promienie słońca odbijały się na powierzchni zębów. Niektóre z nich potrafił rozpoznać: należały do wilków i rekinów, a kilka może nawet do crubenów. Część umazana była krwią. Ile hełmów i czaszek roztrzaskała ta pałka?

– Dziadek Dazu i Rio Cotumo pojedynkowali się przez pięć dni bez przerwy na brzegu Liru. Wreszcie, szóstego dnia, Cotumo poślizgnął się na luźnym kamieniu, a dziadek zdołał odciąć mu głowę. Mimo to uważał, że nie zasłużył sobie na to zwycięstwo. Dlatego uhonorował Cotumo, wyprawiając mu hojny pogrzeb, a jego broń zostawił sobie na pamiątkę.

– Ma jakąś nazwę? – zapytał Mata.

Phin pokręcił głową.

– Nawet jeśli miała, twój dziadek jej nie poznał.

– W takim razie nazwę ją Goremawem, towarzyszem Na-aroénny.

– Nie będziesz używał tarczy?

Mata roześmiał się pogardliwie.

– Jaki sens ma tarcza, jeśli moi wrogowie zginą, zanim wykonam trzy ciosy?

Podniósł miecz prawą ręką i lewą uderzył w niego pałką. Zadzwońnię piękną, czystą nutą, która rozbrzmiewała w pomieszczeniu jeszcze przez chwilę, odbijając się echem od kamiennych ścian zamku.



Phin i Mata przedarli się przez zamek.

Posmakowawszy pierwszej krwi, Mata dał się porwać żądzy zabijania. Był niczym rekin pośród stada fok. W wąskich korytarzach zamku xańscy żołnierze nie mogli wykorzystać

przewagi liczebnej, a Mata metodycznie pozbywał się ich, gdy atakowali pojedynczo albo parami. Potrafił Na-aroénną wykonać zamach tak silny, że przebijał się przez ich tarcze i ramiona uniesione w próżnej obronie. Goremawem uderzał tak mocno, że wbijał czaszkę przeciwnika w tułów.

W zamkowym garnizonie znajdowało się dwustu ludzi. Tamtego dnia Mata zamordował stu siedemdziesięciu trzech. Pozostałych dwudziestu siedmiu pokonał Phin Zyndu, który śmiał się, widząc oblicze ojca, wspaniałego Dazu Zyndu, w stojącym obok niego zlanym krwią młodzieńcu.

Następnego dnia Mata zawiesił na zamku flagę Cocru – parę kruków, jednego białego i jednego czarnego, na czerwonym tle. Nad drzwi wróciła tarcza herbowa z chryzantemą, właściwa rodowi Zyndów. Wieści o zwycięstwie nad xańskim garnizonem stały się historią, legendą, a potem mitem i rozniosły się po całych wyspach Tunoa. Nawet dzieci nauczyły się nazw Na-aroénną i Goremaw.

– Cocru powróciło – szeptali jeden do drugiego mieszkańcy wysp Tunoa. W ich pamięci wciąż żywe były historie o odwadze Dazu Zyndu, a jego wnuka chętnie do niego przyrównywali. Może jednak jest jakaś nadzieja dla rebelii.

W zamku Zyndów zaczęli się pojawiać mężczyźni obiecujący walczyć dla Cocru. Wkrótce Phin i Mata zebrali armię liczącą osiemset osób.

Zbliżał się koniec dziewiątego miesiąca, minęły dwa, odkąd Huno Krima i Zopa Shigin zobaczyli przepowiednię w rybich trzewiach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

WYBÓR KUNIEGO

ZA GRANICAMI ZUDI: DZIEWIĄTY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW
SZLACHETNEJ SIŁY

Zeszłej nocy Kuni Garu wciąż miał pod sobą pięćdziesięciu więźniów – kilku z samego Zudi, jednak większość z daleka; mężczyzn, którzy popełnili jakieś przestępstwo i zostali zesłani na ciężkie roboty.

Więźniowie poruszali się wolno, ponieważ jeden z nich kulał. Jako że i tak nie dotarliby do następnego miasteczka na czas, Kuni postanowił rozbić obóz w górach.

Nad ranem zostało już tylko piętnastu więźniów.

– Co oni sobie myślą? – dziwił się wściekły Kuni. – Nie mają się gdzie ukryć na całych wyspach. Zostaną złapani, a ich rodziny czeka egzekucja albo zesłanie za ich dezercję. Traktowałem ich dobrze i nie kazałem ich zakuwać na noc, a oni tak mi się odwdzięczają? Jestem już trupem!

Kuni został awansowany na kierownika Wydziału Pańszczyzny dwa lata wcześniej. Zazwyczaj eskortą więźniów zajmowali się jego podwładni. Jednak wziął pod swoje skrzydła tę konkretną grupę, ponieważ wiedział, że prawdopodobnie nie dotrą na miejsce o czasie ze względu na chorą nogę jednego z pojmanych. Kuni był pewien, że zdoła przekonać majora w Pan, żeby im odpuścił. Poza tym nigdy nie był w Niepokalanym Mieście i zawsze chciał je zobaczyć.

– Oczywiście musiałem zrobić to, co najbardziej interesujące – kpił sam z siebie. – I czyż nie jest interesująco? – W tamtej chwili niczego tak nie pragnął, jak być z powrotem w domu z Jią i popijać jakąś nową herbatę ziołową jej przepisu, bezpieczny i znudzony.

– Nie wiedział pan? – zapytał jeden z żołnierzy, mężczyzna o imieniu Hupé. – Więźniowie szeptali o tym i knuli przez cały wczorajszy dzień. Myślałem, że pan o wszystkim wiedział i puszcza ich celowo, bo wierzy pan w przepowiednię. Oni chcą dołączyć do rebeliantów, którzy wypowiedzieli wojnę cesarzowi i przysięgli uwolnić wszystkich więźniów i robotników pańszczyźnianych.

Kuni rzeczywiście pamiętał, że jego podopieczni poprzedniego dnia wyjątkowo dużo między sobą szeptali. A on, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Zudi, słyszał plotki o rebeliantach. Jednak dał się rozproszyć pięknem gór, przez które wędrowali, i nie skojarzył jednego z drugim.

Zmieszany, poprosił Hupégo, żeby opowiedział mu więcej o tych rebeliantach.

– Zwój w rybie! – wykrzyknął, gdy poznał całą historię. – Rybie, którą zupełnie przypadkiem sami kupili. Przestałem się nabierać na takie sztuczki, gdy skończyłem pięć lat. I ludzie w to uwierzyli?

– Proszę nie mówić źle o bogach – odparł sztywno Hupé, człowiek bardzo religijny.

Cóż, no to mamy problem – mruknął Kuni.

Żeby się uspokoić, wyjął z woreczka garść ziół do żucia i włożył je do ust. Jia potrafiła przygotować mieszanki, dzięki którym czuł się, jakby latał, a przed oczami pokazywały mu się tęczowe crubeny i dyrany – mieli z Jią wiele zabawy z nimi – jednak równie dobrze wywoływała efekt przeciwny: w chwilach stresu zioła pomagały mu zwolnić i spojrzeć na sprawę nieco bardziej trzeźwym okiem. W tym momencie właśnie tego potrzebował.

Jaki był sens przyprowadzać piętnastu więźniów do Pan, skoro miało ich być pięćdziesięciu? Mógłby się godzinami tłumaczyć, a i tak wysłaliby go na spotkanie z katem. Ten sam los zapewne spotkałby też Jię. Jego życie jako sługi cesarza było skończone; nie miał już jak wrócić na bezpieczną drogę. Każdy wybór wiązał się z niebezpieczeństwem.

„Jednak niektóre są bardziej interesujące od pozostałych, a ja złożyłem przed sobą pewną obietnicę”.

Czy rebelia mogła być szansą, na którą tak długo czekał?

– Cesarz, król, generał, książę – wyszeptał pod nosem. – To tylko etykiety. Wystarczy spojrzeć odpowiednio wysoko na dowolne drzewo genealogiczne szlchetnego rodu, by znaleźć tam plebejusza, który nie bał się zaryzykować.

Stał na kamieniu i przemówił do żołnierzy i pozostałych więźniów, patrząc na ich przerażone twarze:

– Jestem wdzięczny, że zostaliście ze mną. Dalsza podróż nie ma jednak sensu. Zgodnie z prawem Xany zostaniemy surowo ukarani. Dlatego możecie iść, gdzie wam się podoba, albo dołączyć do rebeliantów.

– A pan do nich nie dołączy? – zapytał żarliwie Hupé. – Przepowiednia!

– W tej chwili nie w głowie mi żadne przepowiednie. Zamierzam najpierw się ukryć w górach, a potem znaleźć sposób na uratowanie swojej rodziny.

– W takim razie zostanie pan bandytą?

– Ja widzę to tak: jeśli człowiek stara się szanować prawo, a sędziowie i tak nazywają go kryminalistą, równie dobrze może zasłużyć sobie na to miano.

Ku jego zadowoleniu, jednak nie zaskoczeniu, wszyscy wyrazili chęć zostania przy nim.

„Największy posłuch ma się wśród tych, którzy myślą, że sami wpadli na pomysł, by iść za tobą”.



Kuni Garu postanowił zabrać swoich ludzi głęboko w góry Er-Mé, żeby zminimalizować ryzyko napotkania cesarskich patroli. Ścieżka, wijąca się powoli ku szczytowi góry, nie należała do stromych, a jesienne popołudnie było przyjemne. Uszli kawał drogi.

Jednak między byłymi więźniami i byłymi żołnierzami trudno było szukać ducha przyjaźni; nie ufali sobie nawzajem, nie byli pewni przyszłości.

Kuni otarł pot z czoła i stanął na zakręcie ścieżki, gdzie miał dobry widok na rysujące się poniżej doliny i dalej na bezkresną równinę Porin. Wyciągnął kolejną garść ziół do żucia. Smakowały miętowo i świeżo. Poczł, że powinien coś powiedzieć.

– Popatrzcie na ten widok! – zawołał. – Wiodłem leniwe życie. – Ci, którzy znali jego historię, zaśmiali się. – Nigdy nie zarobiłem dość pieniędzy, żeby wynająć tu chatkę

i zabrać żonę na długą wędrówkę po górach Er-Mé. Mój teść był dość bogaty, by to zrobić, jednak zbyt zajmowały go interesy. Całe to piękno tu czekało, a żadne z nas nie miało szansy, by je podziwiać.

Jego towarzysze zapatrzyli się w kolorowe liście, mozaikę tu i tam rozświetlaną przez krzaki jaskrawo czerwonych dzikich małych jagód i kobierce późno kwitnących mleczy. Kilku mężczyzn odetchnęło głęboko, żeby napełnić płuca górskim powietrzem, czując zapach świeżo opadłych liści i gliniastego piasku podprażonych na złotym słońcu, tak różny od powietrza na ulicach Zudi, zdominowanego wonią miedzianych monet i kanału.

– Jak widzicie, bycie bandytą nie jest takie do końca złe – ciągnął Kuni.

Wszyscy się roześmiali. Kiedy znowu ruszyli w drogę, ich krok był lżejszy.

Nagle Hupé, który prowadził grupę, zatrzymał się w pół kroku.

– Wąż!

Faktycznie na środku ścieżki leżał duży biały pyton, gruby jak udo dorosłego mężczyzny i tak długi, że gdy środek ciała blokował ścieżkę, ogon niknął gdzieś w lesie. Wszyscy z grupy Kuniego cofnęli się w popłochu i próbowali uciec jak najszybciej i jak najdalej. Jednak gad odwrócił gwałtownie głowę i owinał się wokół chudego więźnia o imieniu Otho Krin.

Później Kuni nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zrobił to, co zrobił. Nie przepadał za wężami i nie należał do ludzi, którzy bez zastanowienia stawiali czoła niebezpieczeństwu.

Jego żyłami popłynęła fala podniecenia, natychmiast wypluł zioła. Zanim zdążył się zastanowić, zabrał Hupému miecz i skoczył na gigantycznego białego pytona, po czym jednym ciosem odrąbał mu głowę. Reszta ciała drgnęła i zaczęła bić o ziemię, podcinając Kuniemu nogi. Jednak Otho Krin był już bezpieczny.

– Wszystko w porządku, kapitanie Garu?

Kuni pokręcił głową. Był oszołomiony.

„Co... co się ze mną dzieje?”

Jego wzrok padł na dmuchawiec rosnący przy ścieżce. Nagle podmuch wiatru porwał ze sobą ziarna i te pofrunęły niczym rój jętek.

Próbował oddać Hupému miecz, jednak mężczyzna pokręcił głową.

– Proszę go sobie zostawić, kapitanie. Nie miałem pojęcia, że tak dobrze nim pan włada!

Mężczyźni wrócili do wspinaczki, jednak ich głosy niosły się jak bryza pieszcząca liście osiki.

Kuni zatrzymał się i odwrócił. Szepty nagle ucichły.

W oczach swoich ludzi Kuni zobaczył szacunek, podziw, a nawet cień strachu.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

Mężczyźni popatrzyli po sobie i w końcu wystąpił przed nich Hupé.

– Miałem zeszłej nocy sen – mówił płaskim głosem, jakby wciąż otaczał go świat iluzji. – Szedłem pustynią, której piasek był czarny jak węgiel. Potem zobaczyłem coś białego, leżącego w oddali. Kiedy się zbliżyłem, moim oczom ukazało się ciało wielkiego, białego węża. Jednak kiedy podszedłem całkiem blisko, gad zniknął. Zamiast tego stała tam staruszka i płakała. Zapytałem ją, dlaczego szłocha. „Zabili mi syna”, odparła. „Kim był twój syn?”, zapytałem. „Mój syn był Białym Cesarzem. Zabił go Czerwony Cesarz”.

Hupé gapił się na Kuniego Garu i pozostali powędrowali za jego wzrokiem. Biel była kolorem Xany, czerwień zaś należała do Cocru.

„Ech, znowu te przepowiednie”, pomyślał Kuni. Pokręcił głową i zaśmiał się słabo.

– Jeśli ten cały bandytyzm nie wypali – powiedział – możesz spróbować sił jako wędrowny bazarz. – Poklepał Hupégo po plecach. – Tylko musisz popracować nad deklamowaniem i wymyślać bardziej przekonujące fabuły!

Śmiech odbił się echem o skały. Strach zniknął z oczu mężczyzny, lecz podziw pozostał.



Gorący powiew powietrza – równie suchy i zapiaszczony jak popiół wulkaniczny – zaszeleścił w koronach blisko szczytu góry.

– Co to miało być, siostrze? Moje drugie wcielenie? Dlaczego tak się zainteresowałaś tym śmiertelnikiem?

Zimny powiew, kruchy i skrzypiący jak odłamek lodowca, dołączył do pierwszego.

– Nie wiem, o czym mówisz, Kano.

– Nie wysłałaś węży ani nie sprowadziłaś snu tego mężczyzny? Wydawało mi się to znakiem w twoim stylu.

– Nie miałam z tym więcej wspólnego niż z przepowiednią ryby.

– Więc czyja to sprawka? Walecznego Fithowéo? Kalkulującego Lutho?

– Wątpię. Mają inne sprawy na głowie. Ale... teraz naprawdę ciekawi mnie ten śmiertelnik.

– To chuchro, plebejusz... i nie taki znowu prawy człowiek. Nie powinniśmy marnować na niego czasu. Lodowata Rapo, naszym najbardziej obiecującym zawodnikiem jest...

– ...młody Zyndu. Tak, Ognista Kano, wiem, że podobał ci się od dnia narodzin... A jednak dziwne rzeczy dzieją się wokół tego drugiego!

– Przypadek.

– Czymże jest przeznaczenie, jeśli nie przypadkami widzianymi w retrospekcji?



Kuni Garu i jego ludzie ochoczo zajęli się bandytyzmem. Założyli obóz wysoko w górach i co kilka dni schodzili, żeby zaatakować o zmierzchu karawany kupców, kiedy woźnice byli zmęczeni i senni, albo o świcie, kiedy dopiero szykowali się do powrotu na szlak.

Bardzo starali się unikać zadawania śmierci i poważnych obrażeń, zawsze też dzielili się częścią łupów z rozsianymi po górach mieszkańcami lasu.

– Podążamy prawą ścieżką szlachetnych bandytów – powtarzali ludzie Kuniego za nim samym. – Żyjemy poza prawem tylko dlatego, że Xana nie pozwala żyć ludziom prawym.

Kiedy z garnizonów znajdujących się w okolicznych miasteczkach posłano żołnierzy, by podążyli śladem rozbójników, mieszkańcy lasu utrzymywali, że nie widzieli rozbójników ani też o nich nie słyszeli.

Coraz więcej zbiegłych robotników i żołnierzy dołączało do bandy Kuniego, ponieważ

o przywódcy mówiło się, że dobrze traktuje swoich ludzi.



Atak na tę konkretną karawanę od początku wydawał się pechowy.

Kupcy, zamiast rozbiec się po lesie na sam widok bandytów, zostali na miejscu, skuleni wokół ognisk. Kuni przeklinał się w duchu. To powinno być wystarczającą wskazówką.

Jednak dotychczasowe sukcesy uczyniły go aroganckim. Zamiast odwołać napaść, nakazał wszystkim przeć dalej:

– Uderzcie każdego w tył głowy pałkami i zwiążcie. Nikogo nie zabijajcie!

Jednak kiedy bandyci podeszli wystarczająco blisko, zasłony wozu zaprzęzonego w woły rozwarły się, a zza nich wybiegła uzbrojona eskorta pokaźnej liczby, z wyciągniętymi mieczami i napiętymi łukami. Kupcy musieli przewozić coś cennego, skoro opłacało im się wynająć profesjonalną ochronę. Rozbójnicy zupełnie się tego nie spodziewali.

W ciągu kilku minut dwóch ludzi Kuniego padło ze strzałami wystającymi z karków. Zdumiony Kuni zamarł.

– Kuni! – wrzasnął na niego Hupé. – Musisz zarządzić odwrót!

– Odwrót! Wycofać się! Cała wstecz! Przycisnęli nas! Ostrzał z góry! – Wszystko, co Kuni wiedział na temat bandytyzmu, pochodziło z opowieści zasłyszanych na targowisku czy z bajek Kona Fijiego. Wyrzucił z siebie wszystkie sformułowania z żargonu złodziei, które zapamiętał, nie mając właściwie pojęcia, co powinien zrobić albo powiedzieć.

Jego ludzie kręcili się bez celu, podczas gdy uzbrojeni ochroniarze kupców parli do przodu. Kolejne strzały pofrunęły w stronę rozbójników.

– Mają konie – powiedział Hupé. – Jeśli spróbujemy do nich pobiec, wytną nas jak szkodniki. Ktoś musi zostać i walczyć.

– Racja – odparł Kuni. Poczł się teraz spokojniejszy, skoro miał już plan. – Zostanę z Fi i Garthą, resztę możesz zabrać i uciec.

Hupé pokręcił głową.

– To nie jest bójka w barze, Kuni. Wiem, że nigdy nikogo nie zabiłeś ani nie ćwicyłeś walki mieczem, ale ja służyłem w wojsku, więc jeśli ktoś ma zostać, to tylko ja.

– Ale to ja jestem przywódcą!

– Nie bądź głupcem. Masz też żonę, brata i rodziców, którzy wciąż są w Zudi, a ja nie mam nikogo. Poza tym wszyscy pokładają w tobie nadzieję i wierzą, że pomożesz im uratować rodziny w mieście. Ja wierzę w swój sen o tobie, wierzę też w przepowiednię ryby. Pamiętaj o tym.

Hupé ruszył na eskortę, trzymając miecz w górze – wycięty z gałęzi, ponieważ prawdziwy oddał Kuniemu – i wrzeszcząc najgłośniej, jak tylko potrafił.

Kolejny człowiek padł obok Kuniego, krzycząc i łapiąc za strzałę sterczącą z jego brzucha.

– Musimy się wycofać! Teraz! – zawołał Kuni. Zrobił, co mógł, żeby zmobilizować resztę gromady, i uciekli z obozowiska handlarzy w stronę gór, nie zatrzymując się, dopóki nogi nie odmówiły im posłuszeństwa, a płuca nie zapłonęły żywym ogniem.

Hupé już nie wrócił.



Kuni został w swoim namiocie i nie chciał wyjść.

– Powinieneś przynajmniej coś zjeść – powiedział Otho Krin, którego Kuni uratował przed wielkim białym wężem.

– Odejdź.

Rozbójnictwo w niczym nie przypominało opowieści bardów i bajek Kona Fijiego. Ginęli prawdziwi ludzie. Ginęli z powodu głupich decyzji.

– Przyszli nowi rekruci – odparł Otho.

– Każ im odejść.

– Nie ruszą się, dopóki się z tobą nie zobaczą.

Kuni wyszedł w końcu z namiotu i zamrugał oślepiiony ostrym słońcem; oczy miał zaczerwienione i spuchnięte. Najchętniej wypiłby słoik miodu z sorgo i zapadł w stan nieświadomości.

Stanął przed nim dwóch mężczyzn i Kuni zauważył, że obu brakowało lewej dłoni.

– Pamiętasz nas? – zapytał ten starszy.

Wydawali się Kuniemu trochę znajomi.

– Wysłałeś nas w zeszłym roku do Pan.

Kuni przyjrzał się bliżej ich twarzom.

– Ojciec i syn. Nie mogliście zapłacić podatku, więc obu was zesłano na roboty. – Zamknął oczy, próbując sobie przypomnieć. – Ty nazywasz się Muru i lubiłeś grać w oburęcznego remika. – Kuni natychmiast pożałował tych słów. Nie dało się nie zauważyć, że mężczyzna nie grał już w ulubioną grę, i Kuni czuł się głupio, że przypomniał mu o jego stracie.

Jednak Muru kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że będziesz pamiętał, Kuni Garu. Może i pracowałeś dla cesarza, a ja byłem twoim więźniem, jednak rozmawiałeś ze mną jak z przyjacielem.

– Co ci się stało?

– Ponieważ mój syn rozbił posąg w Mauzoleum, obcięli mu lewą dłoń. Ponieważ ja próbowałem wyjaśnić, że to był tylko wypadek, też swoją straciłem. Po skończeniu roku ciężkich robót zostaliśmy odesłani z powrotem. Jednak moja żona... nie przetrwała zeszłej zimy, bo nie miała co jeść.

– Przykro mi – powiedział Kuni i pomyślał o wszystkich ludziach, których w ciągu ostatnich lat wysłał do Pan. Pewnie, był dla nich miły, kiedy znajdowali się w jego rękach, jednak czy zastanowił się, naprawdę się zastanowił, na jaki ich posyła los?

– Mieliśmy szczęście. Wielu innych nigdy nie wróci.

Kuni pokiwał sztywno głową.

– Macie prawo się na mnie gniewać.

– Gniewać? Nie. Przyszliśmy walczyć u twego boku.

Kuni popatrzył na nich, nie rozumiejąc.

– Musiałem zastawić swoją ziemię, żeby wyprawić żonie porządny pogrzeb, ale że

mamy w tym roku taką pogodę, jakby Kiji i Bliźniaczki wściekali się na siebie, jestem pewien, że nie spłacę długu. Jakie mamy z synem inne wyjście, jeśli nie dołączyć do rozbójników? Jednak nikt nie chciał nas przyjąć, bo jesteśmy kalekami.

– A potem usłyszeliśmy, że ty też zostałeś bandytą.

– Jestem w tym beznadziejny – powiedział Kuni. – Nie mam pojęcia o tym, jak prowadzić ludzi.

Muru pokręcił głową.

– Pamiętam, że kiedy razem z synem byliśmy twoimi więźniami, grałeś z nami w karty i dzieliłeś się piwem. Zabroniłeś swoim ludziom zapinać łańcuch na moich nogach, bo miałem ranę na kostce. Teraz mówi się, że kroczysz ścieżką szlachetnego bandyty i ochraniasz słabych przed silniejszymi. Mówi się, że walczysz z wężami, żeby obronić swoich ludzi, i jako ostatni wycofujesz się z przegranej walki. Wierzę w to. Dobry z ciebie człowiek, Kuni Garu.

Kuni zapłakał.



Kuni porzucił romantyczną wizję rozbójnictwa i poprosił swoich ludzi o radę, zwłaszcza tych, którzy działali poza prawem, zanim skazano ich na ciężkie roboty. Stał się ostrożniejszy, starannie badał potencjalne ofiary i stworzył system sygnałów. Kiedy brali się do napaści, dzielił swoich na grupy, żeby wspierali się nawzajem, i zawsze przygotowywał plan ucieczki jeszcze przed atakiem.

Zależało od niego życie wielu osób i obiecał sobie nigdy więcej nie być beztroskim. Jego sława zataczała coraz szersze kręgi i przychodziło do niego coraz więcej ludzi, którzy stracili wszelką nadzieję, zwłaszcza tych, których inni rozbójnicy odrzucili: ci bez kończyn, zbyt starzy, zbyt młodzi, wdowy.

Kuni przygarniał wszystkich. Czasami jego kapitanowie marudzili, że nowych rekrutów należy karmić, a na niewiele się przydają, jednak Kuni odnajdywał sposoby, by i oni mogli wesprzeć grupę. Ponieważ nie wyglądali na bandytów, idealnie pasowali na zwiadowców i mogli bez kłopotów urządzić zasadzkę na karawanę. Gang Kuniego zdołał kilka razy zdobyć łupy bez podnoszenia broni, ustawiając stoiska z herbatą wzdłuż drogi do Zudi i częstując handlarzy naparem ze środkiem nasennym.

Jednak prawdziwym jego celem nigdy nie było rozbójnictwo samo w sobie. Rodzina Kuniego mogła ucierpieć przez to, że nie zdołał zaprowadzić więźniów do Pan. Chociaż garnizon w Zudi wydawał się zbyt zajęty rebelią, żeby należycie dopełnić xańskich praw – a może czekał, żeby się przekonać, jak zawieje wiatr – Kuni nie chciał ryzykować. Może burmistrz zdoła ochronić swojego przyjaciela Gilo Matizę i jego córkę Jię, ale kto wie, jak długo to może potrwać. Rodzice, brat i teściowie Kuniego mają zbyt wielki majątek, żeby wszystko rzucić, więc wątpił, by udało mu się ich przekonać do dołączenia do jego bandy. Ale Jię musi ratować najszybciej, jak to możliwe.

Kiedy stało się jasne, że zbudował stabilną bazę, postanowił wysłać kogoś po żonę. Musiał to być ktoś mało znany w Zudi, żeby przypadkowo spotkani zwolennicy cesarstwa go nie rozpoznali. Oprócz tego musiał tej osobie w pełni ufać. Postanowił wybrać Otho



– Czy my przypadkiem już tu kiedyś nie byliśmy?

Do tej pory Jia pozwalała młodemu chudzielcowi prowadzić, nawet jeśli wątpiła w to, że zna drogę. Teraz jednak było niemal zupełnie ciemno, a oni już trzeci raz trafili na tę samą polanę.

Otho Krin chował twarz przed Jią przez ostatnią godzinę, idąc kilka kroków przed nią. Teraz wreszcie się odwrócił, a wyraz paniki, jaki zobaczyła, potwierdził jej podejrzenia, że się zgubili.

– Jestem pewien, że to już blisko – odparł nerwowo, nie patrząc jej w oczy.

– Skąd pochodzisz, Otho?

– Słucham?

– Po akcencie poznaję, że nie jesteś z Zudi. Nie znasz tych terenów, prawda?

– Nie, proszę pani.

Jia westchnęła. Nie było sensu się wściekać na tego godnego politowania chudzielca. Czuła już zmęczenie, pogłębione jeszcze jej odmiennym stanem. Razem z Kunim próbowali od dawna i tuż przed jego odejściem wreszcie udało jej się stworzyć odpowiednią mieszankę ziół. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie przekaze nowinę mężowi – robi to zaraz po tym, jak solidnie mu przygada za to, że zostawił ją samą na ponad miesiąc, nie dając znaku życia. Właściwie to nie była zła, że został rozbójnikiem; po prostu nie pasowało jej, że nie zwierzył się jej ze swoich planów. Prawda była taka, że ona też nie mogła już usiedzieć na miejscu – nadszedł czas na przygody dla nich obojga.

Najpierw jednak musi przejąć dowodzenie tutaj.

– Rozbijmy obóz na noc. Nad ranem ruszymy w dalszą drogę.

Otho Krin popatrzył na Jię. Była niewiele starsza od niego. Nie podnosiła głosu, ale jej wzrok przywodził mu na myśl spojrzenie matki, gdy była gotowa na niego nakrzyczeć. Spuścił głowę i bez słowa poddał się jej woli.

Jia zebrała trochę gałęzi i liści, żeby umościć sobie posłanie. Kiedy zobaczyła, jak Otho stoi bezradnie, wzięła jeszcze kilka i przygotowała posłanie również jemu.

– Jesteś głodny? – zapytała.

Chłopak kiwnął głową.

– Chodź ze mną.

Jia przeszła się po okolicy z Otho snującym się tuż za nią. Wreszcie znalazła świeże bobki. Schyliła się i popatrzyła dokoła, a jej wzrok padł na kępkę ziół obok ścieżki. Zerwała kilka łądyżek i równo rozłożyła. Potem wyjęła z torebki małą butelkę i posypała zioła jakimś proszkiem.

Przystawiła palec do ust i pokazała Otho, żeby poszedł za nią. Cofnęli się o kilkanaście metrów, schowali w krzakach i czekali.

Para zajęcy wskoczyła na ścieżkę i zaczęła wachać podejrzliwie kupkę ziół zostawionych przez Jię. Odczekały chwilę i uznawszy, że nie grozi im niebezpieczeństwo, zaczęły się pożywiać.

Kilka minut później zające zastrzygły uszami, poniuchały i uciekły.

– A teraz idziemy za nimi – poleciała Jia.

Otho śpieszył się, by ją dogonić. Nie mógł się nadziwić, że ta dziewczyna, znana jako wymuskana córeczka bogatego tatusia, potrafi tak szybko poruszać się w lesie.

Wyszli obok strumienia, nad którego brzegiem leżały dwa zające, wstrząsane drgawkami i niezdolne do ucieczki.

– Potrafisz zabić je szybko i w miarę bezboleśnie? Mnie w tej chwili odbieranie życia przyniosłoby pecha.

Otho kiwnął głową i nie miał odwagi spytać, co ma na myśli. Podniósł duży kamień i rozbił nim głowy zające, zabijając je praktycznie natychmiast.

– A teraz mamy kolację – oznajmiła wesoło Jia.

– Ale... ale ta... – próbował wydusić z siebie Otho, czerwieniejąc na twarzy.

– Tak?

– A trucizna?

Jia zaśmiała się.

– Nie zabiłam ich trucizną. Roślina, którą zerwałam, nazywa się zającomiętka i te zwierzęta ją uwielbiają. Posypałam ją proszkiem własnej roboty, mieszanką natronu i suszonych cytryn. Sam proszek jest niegroźny, ale w kontakcie z wodą bardzo się pieni, więc zające przez jakiś czas po jedzeniu nie czują się najlepiej. Próbowały sobie pomóc, pijąc wodę, jednak to tylko pogorszyło sprawę. Nie mogły się ruszać, ponieważ ich brzuszki napełniły się gazami i nie potrafiły zaczerpnąć powietrza. Mięso można jeść spokojnie.

– Jak nauczyła się pani takiej sztuczki? – Żona Kuniego Garu w oczach chłopaka była wiedźmą albo czarodziejką.

– Czytałam dużo książek i próbowałam wielu przepisów – odparła Jia. – Kiedy wystarczająco poznasz świat, nawet źdźbło trawy może stać się twoją bronią.



Jia już miała zasnąć, kiedy usłyszała płacz Otho.

– Będziesz całą noc płakał?

– Przepraszam – powiedział, ale nadal pociągał nosem.

Jia wstała.

– Co się stało?

– Tęsknię za matką.

– Gdzie ona jest?

– Mój ojciec odszedł wcześniej i została mi tylko ona. Kiedy w zeszłym roku w naszej wiosce pojawił się głód, dolewała więcej wody do swojej owsianki, żebym nie zauważył, że większość jedzenia oddaje mnie. Kiedy umarła, nie wiedziałem, co mam ze sobą począć, i dlatego postanowiłem zostać złodziejem. Złapali mnie i skazali na ciężkie roboty, a teraz stałem się rozbójnikiem. Moja matka by się mnie wstydziła.

Jii zrobiło się żal chłopaka, jednak sentymentalizm i poddawanie się smutkowi były jej obce.

– Nie uważam, by twoja matka się ciebie wstydziła. Wolałaby, żebyś robił wszystko, by przetrwać, bo sama nie może ci już pomóc.

– Naprawdę tak myślisz?

Jia westchnęła w duchu. Jej rodzice odcięli się od niej, kiedy usłyszeli, że Kuni został bandytą; bali się konsekwencji, gdyby go złapano. Mimo to starała się, jak mogła, żeby pocieszyć chłopca, a nie jeszcze bardziej go dobijać.

– Oczywiście. Rodzice zawsze pragną, by ich dzieci zaszły jak najdalej na wybranej przez siebie ścieżce. Jeśli ty wybrałeś życie rozbójnika, zostań jak najlepszym rozbójnikiem, a matka będzie z ciebie dumna.

Otho się skrzywił.

– Ale ja nie jestem silny i nie potrafię szybko liczyć. Nawet nie umiem wrócić do obozu. A poza tym... musiałem polegać na tobie, żeby się najeść!

Jia omal się nie roześmiała, jednak zalała ją też fala czułości wobec chłopaka.

– Posłuchaj, każdy z nas jest w czymś dobry. Mój mąż musiał w tobie coś dostrzec, inaczej nie wysłałby cię, żebyś mnie sprowadził.

– Pewnie chodziło o to, że nie wyglądam jak bandyta – powiedział Otho. – I... kiedyś brałem udział w napaści, która nam się nie udała, i wszyscy sobie ze mnie żartowali, bo nie chciałem zostawić psa.

– Jakiego psa?

– Nakarmiłem go suszonym mięsem, żeby nas nie obszczekał, kiedy zakradaliśmy się do karawany. Wtedy jednak kupcy się obudzili, a gdy się wycofywaliśmy, usłyszałem, jak jeden z nich mówił, że zabije tego bezużytecznego psa. Zrobiło mi się go żal i zabrałem go ze sobą.

– Jesteś lojalny – rzekła Jia. – To już coś.

Sięgnęła do torby i wyjęła z niej małą fiolkę.

– Masz, weź to – powiedziała łagodnym głosem. – Przygotowałam te zioła, bo przez ostatnie tygodnie miałam kłopoty z zasypianiem, zamartwiając się losem Kuniego. A musimy już spać, jeśli chcemy być gotowi na jutro. Hej, może nawet zobaczysz swoją mamę we śnie!

– Dziękuję – odparł Otho, przyjmując fiolkę. – Jesteś bardzo miła.

– A jutro spojrzysz na wszystko w bardziej korzystnym świetle.

Jia uśmiechnęła się i odwróciła do niego plecami, po czym szybko zasnęła.

Otho jeszcze długo siedział przy ognisku i patrzył na pogrążoną we śnie kobietę, obracając w palcach fiolkę. Wyobrażał sobie, że wciąż czuje ciepło dłoni Jii na szkle.



Jia usłyszała cichy głos, wołający: „Mama, mama”. To musiało być jej dziecko, mówiło do niej z łona. Uśmiechnęła się i pogłaskała brzuch.

Słońce już wstało. Zielono-czerwona papuga nagle wylądowała obok i spoglądała na Jię przez chwilę, a potem rozłożyła skrzydła i wzbiła się w powietrze. Jia podążyła wzrokiem za papugą. Ptak pofrunął w stronę gigantycznej tęczycy, która wznosiła się nad polaną.

Jia się obudziła.

– Zagrzałem trochę wody dla ciebie – powiedział Otho, przynosząc garnek.

– Dziękuję.

„Wygląda o wiele lepiej niż zeszłej nocy – pomyślała. – Na jego twarzy i w postawie rysowała się nieśmiała radość. Pewnie wspomina swoją ukochaną”.

Najpierw umyła twarz w ciepłej wodzie, a potem rozejrzała się dokoła. Rano zawsze wszystko wydaje się lepsze.

Zamarła. Ta sama wielka tęcza, o której śniła, znajdowała się na wschodzie. Jia wiedziała, że musi podążyć jej śladem.



Nie minęło wiele czasu, kiedy weszli do obozowiska Kuniego.

– Następnym razem – upomniała go Jia – upewnij się, że twój wysłannik wie, jak wrócić, zanim go gdziekolwiek wyślesz. Łatwiej byłoby wyprawić w tę drogę psa.

Mimo to poklepała chłopca po ramieniu, żeby dać mu znak, że tylko żartuje.

– Mieliśmy po drodze małą przygodę – powiedziała z uśmiechem. Otho roześmiał się, natychmiast czerwieniejąc na twarzy.

Kuni przytulił żonę i schował twarz w jej rudych lokach. „Moja Jia zawsze potrafi o siebie zadbać”.

– Cóż, trochę namieszaliśmy, prawda? – rzekła. – Twój ojciec i brat są tak wściekli na ciebie za paranie się rozbójnictwem, że nawet nie chcieli mnie wpuścić do swoich domów. Uważają, że to ja jestem odpowiedzialna za twój powrót do starego życia. Z kolei moi rodzice nie chcą mieć ze mną nic wspólnego i twierdzą, że skoro upierałam się przy ślubie z tobą, muszę teraz sama radzić sobie z konsekwencjami. Tylko twoja matka próbowała mi pomóc: wysłała mi w sekrecie pieniądze, a kiedy ją odwiedziłam, nie przestawała płakać. A przez to i ja się rozbeczałam.

Kuni pokręcił głową.

– A mówią, że więzi krwi są najważniejsze! Jak to możliwe, że mój ojciec...

– Bycie krewnym rebelianta to przestępstwo, za które cała rodzina może zapłacić życiem, pamiętasz?

– Nie dołączyłem jeszcze do rebeliantów.

Jia popatrzyła na niego bacznie.

– Nie dołączyłeś? Co w takim razie planujesz zrobić z tym obozem w górach? Mam nadzieję, że nie wyobrażasz sobie, bym została tu na lata jako królowa bandytów!

– Nie przemyślałem jeszcze następnych kroków – przyznał Kuni. – Po prostu ruszyłem ścieżką, która się przede mną w pewnej chwili otworzyła. Przynajmniej w ten sposób mogę cię trzymać z dala od zwolenników cesarstwa.

– Wiesz, właściwie nie narzekam, ale naprawdę mogłeś wybrać lepszy moment na zrobienie czegoś interesującego. – Jia uśmiechnęła się i przyciągnęła do siebie Kuniego, by wyszeptać mu coś do ucha.

– Naprawdę?! – wykrzyknął, a potem roześmiał się i pocałował żonę z uczuciem. – To się nazywa dobra wiadomość. – Spojrzał w dół na jej brzuch. – Będziesz musiała zostać w obozie, nigdzie nie możesz się ruszać.

– Jasne, naprawdę potrzebuję teraz twoich poleceń, bo przecież słuchałam ich przez wszystkie lata naszej znajomości. – Jia przewróciła oczami, ale pogłaskała czule ramię męża. – Podobały ci się te ziółka na odwagę, które ci dałam?

– O czym ty mówisz?

Jia uśmiechnęła się chytrze.

– Pamiętasz ten woreczek z ziołami uspokajającymi? Dorzuciłam do nich coś dodającego odwagi. Zawsze chciałeś robić to, co najbardziej interesujące, prawda?

Kuni wrócił myślami do tamtego dnia na ścieżce w górach i swego dziwnego zachowania, gdy natrafili na pytona.

– Nie masz pojęcia, jak fortunny okazał się twój podstęp.

Jia pocałowała go w policzek.

– Ty myślisz, że dopisało ci szczęście, a ja wiem, że byłeś przygotowany.

– Dobrze, a skoro Otho się zgubił, jak mnie znalazłaś?

Opowiedziała Kuniemu o tęczy ze snu.

– To z pewnością znak od bogów.

„Kolejne przepowiednie – pomyślał. – Czasami nie da się zaplanować nic lepszego niż to, co zdążyli dla ciebie przygotować bogowie”.

Legenda Kuniego Garu rosła.



Jakiś miesiąc później dwóch ludzi Kuniego przyprowadziło do obozu krzepkiego mężczyznę z zawiązanymi rękami.

– Mówię wam – krzyczał – że jestem przyjacielem waszego przywódcy! Traktując mnie w ten sposób, popełniacie błąd.

– A może jesteś szpiegiem – odparował strażnik.

Mężczyzna szarpał się przez całą drogę i brakowało mu już tchu. Kuni próbował się nie roześmiać na widok twarzy mokrej od potu i poczerwieniałej od zmęczenia. Mężczyzna miał czarną, krzaczastą brodę, z której strąków zwisały kropelki potu jak rosa ze źdźbeł trawy nad ranem. Był dobrze zbudowany, a strażnicy bardzo ciasno zwiążali go sznurem.

– A niech mnie, Mün Çakri we własnej osobie! – zawołał Kuni. – Czyżby sytuacja w Zudi tak się popsuka, że przybyłeś do mnie dołączyć? Uczynię cię moim kapitanem. – Kazał strażnikom poluznić więzy.

Mün Çakri był rzeźnikiem, który często pił i hulał z Kunim na ulicach Zudi, zanim ten dostał pracę przy więźniach.

– Dobrze się tu urządziłeś – powiedział Çakri, rozciągając mięśnie rąk, by przywrócić w nich krążenie. – Cała okolica zna cię już jako Rozbójnika Białego Węża. Kiedy jednak zacząłem o ciebie pytać, wszyscy mieszkańcy gór udawali, że nie mają o tobie pojęcia.

– Może poczuli się zagrożeni na widok tych pięści jak garnki miedziane i tej brody. Myślę, że bardziej przypominasz bandytę niż ja!

Çakri zignorował Kuniego.

– Chyba zadawałem zbyt wiele pytań, bo dwóch takich mnie złapało i przyprowadziło do twoich ludzi.

Chłopiec przyniósł herbatę, jednak Çakri nie chciał dotknąć swojego kubka. Kuni zaśmiał się, a potem poprosił o dwa kufle.

– Przybyłem z oficjalną sprawą – wyjaśnił Çakri. – Wysłał mnie burmistrz.

– Słuchaj – stwierdził Kuni. – Jedyne, czego mógłbyś chcieć burmistrz, to wtrącić mnie do więzienia, a to mnie zdecydowanie nie interesuje.

– Właściwie to burmistrza kusi apel, który Krima i Shigin wystosowali do xańskich urzędników, by tamci przeszli na ich stronę. Myśli, że uda mu się zdobyć tytuł, jeśli odda Zudi rebeliantom. I chce, żebyś mu doradził, bo nie zna nikogo, kto byłby bliżej sprawy. A ponieważ wie, że byłem twoim przyjacielem, wysłał mnie, bym cię do niego przyprowadził.



– Co jest nie tak? – zapytała Jia. – Czy to nie szansa, na którą tak długo czekałeś?

– Ale te wszystkie historie, które ludzie o mnie opowiadają – odparł Kuni – nie są prawdziwe. Są przesadzone.

Pomyślał o śmierci Hupégo i innych.

– Czy rzeczywiście nadaję się na rebelianta? Prawdziwy świat jest inny niż przygody opisywane w legendach.

– Trochę zwątpienia we własne siły jest dobre – zauważyła Jia – ale nie przesadzaj. Czasami udaje nam się dorównać historiom, które się o nas opowiada. Rozejrzyj się: setki ludzi cię wspierają i wierzą w ciebie. Chcą, żebyś uratował ich rodziny, a tego dokonasz tylko poprzez przejęcie Zudi.

Kuni pomyślał o Muru i jego synu, o xańskiej staruszce na targowisku, która próbowała ochronić swoje dziecko, o wdowach, których mężowie i synowie nigdy nie wrócą, o wszystkich mężczyznach i kobietach, którym cesarstwo bezmyślnie zniszczyło życie.

– Nawet rozbójnik może się modlić o szansę na ułaskawienie, jeśli zapłaci odpowiednią cenę – powiedział w końcu. – Jednak rebelia to droga bez powrotu.

– To, co najbardziej interesujące, bywa też najbardziej ryzykowne – odparła Jia. – Zapytaj samego siebie, czy to także jedyny słuszny wybór.

„Wierzę w sen o tobie. Pamiętaj o tym”.



Kiedy wreszcie Mün Çakri oraz Kuni Garu i jego banda dotarli do Zudi, nadszedł zmierzch. Bramy miasta były zamknięte.

– Otwórzcie! – krzyknął Mün Çakri. – Przybył Kuni Garu, gość honorowy burmistrza.

– Kuni Garu to złoczyńca – zawołał żołnierz ze szczytu muru. – Burmistrz zarządził zamknięcie bram.

– Chyba się przestraszył – rzekł Kuni. – Rebelia wydawała się dobra w teorii, ale kiedy przyszedł moment na podjęcie ostatecznej decyzji, burmistrz się rozmyślił.

Jego domysły zostały potwierdzone, kiedy Than Carucono i Cogo Yelu wyszli z krzaków

rosnących przy drodze, żeby do nich dołączyć.

– Burmistrz nas wyrzucił z miasta, bo wie, że się przyjaźnimy – wyjaśnił Cogo. – Wczoraj usłyszał, że rebelianci wygrywają, więc zaprosił nas na obiad, żeby omówić przejście na ich stronę. Dzisiaj dotarły do nas wieści, że cesarz wreszcie potraktował rebelię poważnie i niedługo wyśle armię, więc burmistrz zmienił zdanie. Jest jak chorągiewka na wietrze; jak zawieje, tak się chwieje.

Kuni się uśmiechnął.

– Myślę, że jest już trochę za późno, żeby zmienił zdanie.

Poprosił jednego z towarzyszy o łuk. Wyciągnął z rękawa jedwabny zwój i owinał nim strzałę. Potem napiął cięciwę i wystrzelił strzałę wysoko w niebo. Wszyscy patrzyli, jak mknie ponad murami miasta i wpada do środka.

– A teraz czekamy.



Spodziewając się, że burmistrz może zmienić zdanie, Kuni zawczasu wysłał kilku swoich ludzi przodem, żeby zakradli się do miasta przed zamknięciem bram. Resztę popołudnia spędzili na rozsiewaniu plotek, że Kuni Garu idzie na czele armii rebeliantów, żeby uwolnić Zudi z xańskich rąk i zwrócić miasto przywróconemu królestwu Cocru.

– Koniec wysokich podatków – szeptali. – Koniec pańszczyzny. Koniec wybijania całych rodów za postęпки jednego człowieka.

W swoim liście do mieszkańców miasta Kuni wzywał ich do powstania przeciwko burmistrzowi.

„Zostanie wam udzielone wsparcie armii rebeliantów Cocru”, obiecywał. Jeśli uznać bandę rozbójników za armię i zignorować fakt, że król Cocru nie miał zielonego pojęcia, kim jest Kuni Garu, zawartość listu mniej więcej przedstawiała prawdę.

Mieszkańcy miasta postąpili zgodnie z prośbą Kuniego. Na ulicach wybuchł chaos, a ludzie, od dawna niechętni rządowi Xany, szybko zajęli się burmistrzem i jego świtą. Ciężkie bramy się otworzyły, a mieszkańcy patrzyli z zaskoczeniem na Kuniego Garu i jego garstkę popleczników.

– Gdzie jest armia Cocru? – zapytał jeden z powstańców.

Kuni wspiął się na balkon pobliskiego domu i rozejrzał się po pełnych ludzi ulicach.

– Wy jesteście armią Cocru! – zawołał. – Nie widzicie, ile macie siły, kiedy działacie bez strachu? Nawet jeśli Cocru żyje w sercu jednego człowieka, obali on Xanę!

Może i był to komunał, jednak tłum zaczął wiwatować i Kuni Garu został księciem Zudi przez aklamację. Kilka osób zwróciło uwagę, że arystokratów nie wybiera się w demokratycznych wyborach, ale wszyscy zignorowali malkontentów.

Zbliżał się koniec jedenastego miesiąca, minęły trzy miesiące od czasu, kiedy Huno Krima i Zopa Shigin zobaczyli przepowiednię ryby.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CESARZ ERISHI

PAN: JEDENASTY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

W Pan wino nigdy nie przestawało płynąć. Fontanny wmontowane w podłogę Wielkiej Sali Audiencyjnej tryskały różnymi rodzajami win do wysadzanych jademitem basenów. Rowy i kanały między basenami sprawiały, że wszystkie wina się mieszały, pieniąc się i posyłając w powietrze opary alkoholu, dlatego wszyscy przybyli na audiencję u cesarza ostrożnie wybierali drogę.

Kasztelan Goran Pira zasugerował młodemu cesarzowi, żeby basenom nadać kształt mórz, a wtedy suche fragmenty podłogi mogłyby przedstawiać Wyspy Dary.

Czy nie byłoby wspaniale, podsunął skromnie, gdyby cesarz mógł spoglądać na swoje cesarstwo z własnego tronu? Wystarczyłoby spuścić wzrok, by zobaczyć *nomen omen* ciemne jak wino morza i cieszyć się widokiem ministrów i generałów przeskakujących między wyspami, by podejść do cesarza z radą albo raportem.

Młody Erishi zaklaskał z radości. Kasztelan Pira – w rzeczywistości Najwyższy Augur Pira, który jednak skromnie postanowił zostać przy dawnym tytule, bo ten, jak mówił, sprawiał, że czuł się bliższy cesarzowi – zawsze miał tak wspaniałe pomysły! Cesarz Erishi poświęcał wiele godzin na rysowanie planów i kierowanie robotnikami, gdy ci usuwali fragmenty złotej posadzki z podłogi Wielkiej Sali Audiencyjnej, żeby wstawić w ich miejsce rzeźbione modele najważniejszych elementów geograficznych wysp: czerwony koral na żuźlowym rożku, czyli górę Kana; biały koralowiec symbolizujący zwieńczoną lodową czapą górę Rapa; macicę perłową na gładkie stoki góry Kiji, z wielkim szafirem służącym za jezioro Arisuso oraz szmaragdem – jeziorem Dako. Kulminacją tego wszystkiego był miniaturowy ogród starannie ukształtowanych drzewek bonsai, które przedstawiały wysokie dęby dawnej Rimy. Młodemu cesarzowi o wiele za dużo przyjemności sprawiało udawanie olbrzyma maszerującego po ziemi i rządzącego życiem i śmiercią tej miniaturowej wersji cesarstwa.

Kiedy ministrowie i generałowie przychodzili do niego z wieściami o rebeliantach sprawiających kłopoty w odległych kątach cesarstwa, on tylko odprawiał ich niecierpliwym machnięciem ręki. Idźcie porozmawiać z regentem! Czy nie widzicie, że cesarz jest zbyt zajęty zabawą z kasztelanem Pirą, wspaniałym przyjacielem, który zawsze go ostrzegał, żeby nie pracować zbyt ciężko i nie zaniedbywać zabawy, dopóki jest młody? W końcu o co innego może chodzić w byciu cesarzem?

– *Rénga* – powiedział Pira – co myślisz o tym, by utworzyć labirynt z pysznych ryb i mięs? Moglibyśmy zwiesić z sufitu różnego rodzaju smakołyki, a cesarz mógłby założyć opaskę na oczy i spróbować odnaleźć drogę w labiryncie, polegając wyłącznie na zmyśle smaku.

Kolejna cudowna propozycja. Cesarz Erishi bez zwłoki przystąpił do planowania nowej uciechy.

Gdyby ktoś poinformował go, że każdego dnia na Wyspach giną ludzie z braku miseczki ryżu, byłby zdziwiony. „Dlaczego upierają się przy ryżu? Mięso jest o wiele lepsze!”

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

REGENT

PAN: JEDENASTY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Regent Crupo nie czerpał przyjemności ze swojej pracy.

To kasztelan Pira wytłumaczył cesarzowi, że najlepszym sposobem na uhonorowanie jego zmarłego ojca będzie wybudowanie Wielkiego Mauzoleum, posiadłości na jego wieczny żywot, wspanialszej niż pałac w Pan. Ponieważ matka cesarza umarła dawno temu, kiedy naraziła się Mapidérému, ojciec był jedynym rodzicem, jakiego Erishi mógł uhonorować. Czy Kon Fiji, Wspaniały Mędrzec Ano, nie nauczał, że syn prawdziwie szanujący swych rodziców robi wszystko, by należycie uczcić ich pamięć?

Jednak w istocie przekucie tego marzenia w rzeczywistość leżało w rękach Lügo Crupo. To on musiał dziecięce rysunki cesarza zmienić w prawdziwe plany, zebrać robotników do budowy i nakazać żołnierzom gonić leniwych ludzi do pracy.

– Dlaczego podpowiadasz cesarzowi tak głupie pomysły? – zapytał Crupo.

– Regencie, pamiętaj o tym, jak doszliśmy do tego, co teraz mamy. Czy nie czujesz, jak patrzy na nas duch cesarza Mapidérégo?

Crupo przeszył zimny dreszcz. Należał jednak do ludzi twardo stąpających po ziemi i nie wierzył w duchy.

– Co się stało, już się nie odstanie.

– W takim razie pocuj wzrok całego świata, skierowany ku nam, szukający w nas znaków oddania. Jak wspominałeś, czasami sługom nie jest łatwo wyrazić jasno swoją lojalność. Pomyśl o pomniku cesarza Mapidérégo jak o nieoczywistym sposobie na zdobycie spokoju umysłu i uzyskanie pewności zajmowanych stanowisk.

Crupo pokiwał głową, poznając mądrość słów Piry. Z tysiąca ludzi uczynił niewolników wspomnienia po martwym cesarzu i zignorował ich protesty. Ofiary były niezbędne, by udowodnić prawowitość zaszczytów.

Ta rozmowa ustanowiła też dynamikę relacji między nimi. On był regentem, dzierżącym Pieczęć Xany i faktyczną władzę. Pira był towarzyszem zabaw dla cesarza, głosem odwracającym jego uwagę. Razem pociągali za sznurki marionetki, którą był cesarz Erishi. Wydawało się to dobrym układem, na którym najlepiej wychodził Crupo. Ostatnio jednak nie był tego taki pewien.

Pragnął władzy, prawda, mnóstwa władzy, a kiedy Pira zgłosił się do niego ze swoim zuchwałym planem, wykorzystał daną mu szansę. Jednak praktyczne wykorzystanie tej władzy, jaką dawał tron Xany, nie było ani trochę tak przyjemne, jak to sobie wyobrażał. Owszem, czerpał satysfakcję z widoku innych ministrów i generałów kłaniających mu się w pas i przysięgających posłuszeństwo, jednak całe mnóstwo zajęć regenta ograniczało się do spraw nieznośnie prozaicznych. Nie chciał już więcej słuchać o zbiorach, o petycjach

od głodujących chłopów, o dezercjach robotników pańszczyźnianych, nie wspominając o nękających go ostatnio dowódcach garnizonów, narzekających na rebeliantów. Dlaczego nie mogli się zająć bandytami z terenów, za które odpowiadali? Przecież byli żołnierzami i to należało do ich obowiązków.

Delegować, delegować. Delegował wszystko, co tylko mógł, a i tak ciągle ktoś prosił go o podjęcie decyzji.

Lügo Crupo był mędrcom, uczonym i dosyć miał już zaprzątania sobie głowy tak nieistotnymi sprawami. Chciał zostać architektem wielkich wizji, nowych porządków prawnych, nowych filozofii, które zachwycą wiele pokoleń. Jak miał jednak znaleźć czas na filozofowanie, kiedy co kwadrans ktoś pukał do jego drzwi?



Crupo urodził się w Cocru w czasach, gdy było tylko jednym z wielu nieustannie walczących ze sobą królestw Tiro. Jego rodzice, pochodzący z małego miasteczka piekarze bez majątku, zginęli w czasie zamieszek przy granicy. On sam został pochwycony przez rozbójników i zabrany do Haanu, królestwa słynącego ze swoich akademii, gdzie mieli go sprzedać na służbę, jednak w Ginpen, stolicy, bandytów pojmano, a Crupo został puszczony wolno.

Chłopcy w jego sytuacji zazwyczaj nie mogli liczyć na zbyt obiecujące perspektywy, jednak on miał wielkie szczęście. Kiedy żebrał o jedzenie na ulicach stolicy, minął go wielki uczony Gi Anji, sławny prawodawca i doradca wielu królów.

Gi Anji był bardzo zabieganym człowiekiem i jak wielu mieszkańców Ginpin nauczył się ignorować ulicznych żebraków, opowiadających historie o swojej niedoli – nie dało się orzec, kto z nich mówił prawdę, a kto kłamał. Pewnego dnia Gi Anji zobaczył w ciemnobrązowych oczach Lügo Crupo coś, co go poruszyło, jakiś przebłysk pragnienia czegoś większego niż tylko zaspokojenie głodu. Zatrzymał się i gestem przywołał do siebie chłopca.

W ten oto sposób Crupo został uczniem Anjiego. Nie należał do tych bystrych dzieciaków, które w mig zdobywały nową wiedzę – na przykład jak Tan Féüji, mały syn jednego ze słynnych haańskich uczonych i pupilek Gi Anjiego. Crupo nie przyszło łatwo się dostosować do warunków dyktowanych przez mistrza.

Ulubioną metodą nauczania Anjiego było prowadzenie dialogu z uczniami, polegające na zadawaniu im starannie sformułowanych pytań, które sprawdzały ich zrozumienie tematu, kwestionowały założenia i wytyczały nowe ścieżki.

Podczas gdy Féüji potrafił z miejsca podać trzy różne odpowiedzi na pytanie mistrza, Crupo musiał wyęźać umysł, żeby pojąć, jaki sens miało zadanie. Ciężko pracował na każdy najmniejszy postęp w nauce. Wiele czasu poświęcił na opanowanie liter zyndari, a jeszcze więcej na nauczenie się liczby logogramów niezbędnej, by przeczytać prostsze traktaty mistrza. Anji często tracił cierpliwość i rwał włosy z głowy. Rozmowa z byстрыm Féüjim sprawiała mu o wiele większą przyjemność.

A jednak Crupo się nie poddał. Niczego tak nie pragnął jak uznania w oczach mistrza Anjiego, a jeśli to oznaczało, że musiał trzy razy czytać jakąś książkę, by należycie ją

zrozumieć, setki razy ryc te same logogramy i ślęczyć nad zbyt trudnymi na pierwszy rzut oka zadaniami, wszystko to robił bez narzekania. Był przykładem gorliwości, każdą minutę swojego czasu przeznaczając na naukę: czytał podczas posiłków, nie bawił się z innymi chłopcami, siedział na kamieniach o ostrych krawędziach zamiast na macie, żeby pozostawać skoncentrowanym, nie rozpraszać się i nie zasypiać.

Z czasem stał się jednym z najlepszych uczniów Anjiego. Podczas rozmów z królami Anji często wspominał, że spośród wszystkich młodych mężczyzn, których przyszło mu uczyć, jedynie Féüji i Crupo zrozumieli wszystko, co chciał im przekazać, a potem sami zostali mędrkami.

Po odejściu ze szkoły Anjiego Crupo chciał zostać doradcą na dworze w Cocru, swojej ojczyźnie. Jednak chociaż król odnosił się do niego z szacunkiem, nigdy nie dał mu oficjalnej posady. Zamiast tego Lügo musiał zarabiać na utrzymanie, wykładając i nauczając.

Akademicy podziwiali nie tylko wykłady i pamflety Crupo, lecz także jego talent do kaligrafii. Inaczej niż w przypadku starannie konstruowanych esejów i przenikliwej argumentacji swym woskowym logogramom nadawał kształty z wrażliwością dziecka oraz z pełnym pasją zapamiętaniem szermierza, a litery zyndari spod jego pędzla uciekały ze strony jak klucz migrujących dzikich gęsi uchwyconych w locie nad nieruchomą taflą jeziora. Wielu próbowało naśladować jego sposób pisania, lecz nieliczni mogli się mierzyć z jego stylem.

Jednak w podziwie ludzi dla Crupo brzmiała pogardliwa nuta, czego nie potrafił przeboleć. Niektórzy wydawali się wręcz zdziwieni, że ktoś o takim pochodzeniu prezentuje taki artyzm. W parze z uznaniem szło odrzucenie, jakby ciężka praca Crupo nie mogła się równać z wrodzonym geniuszem Féüjiego.

Crupo nigdy nie zdobył takiej sławy jak Tan Féüji, który został premierem Haanu w wieku zaledwie dwudziestu lat i którego eseje na temat rządzenia miały licznych czytelników i zdobyły większe uznanie niż cokolwiek, co wyszło spod pędzla Crupo. Nawet xański król Réon, przyszły cesarz Mapidéré, który niewiele miał dobrego do powiedzenia na temat uczonych z Sześciu Królestw, twórczość Féüjiego określał jako pouczającą.

Jednak Crupo uważał jego kwieciste eseje za bezbarwne. Były takie nielogiczne! Całe to zawracanie czytelnikowi głowy „prawym władcą”, „harmonijnym społeczeństwem” i „ścieżką równowagi” przyprawiało go o mdłości. Wywody Féüjiego były jak zamki budowane w powietrzu, ze strzelistą retoryką i słodką frazą, jednak bez dbałości o solidne fundamenty.

Wiara Féüjiego we władcę, który rządził lekką ręką, schodząc ludziom z drogi, by ci sami poprawiali swoją sytuację poprzez ciężką pracę i podejmowanie własnej inicjatywy, w oczach Crupo była beznadziejnie naiwna. Jeśli życie w udręczonych przez wojnę królestwach Tiro czegoś ludzi nauczyło, to tego, że plebejusze są niewiele lepsi od zwierząt, które silni rządzący i ich doradcy, ludzie z wizją, powinni trzymać krótko. Królestwa potrzebowały surowych praw egzekwowanych skutecznie i bez litości.

A Crupo wiedział, że wszyscy królowie i ministrowie w głębi serca zgadzali się z nim, nie z Féüjim. To Lügo powiedział to, co naprawdę powinni byli usłyszeć, a jednak wciąż

chwalili i czcili tylko Tana. Liczne listy Crupo do dworu Cocru, w których proponował swoje usługi, pozostawały bez odpowiedzi.

Crupo był zniechęcony i zazdrosny.

Udał się do Gi Anjiego.

– Mistrzu, pracuję o wiele ciężiej niż Tan. Dlaczego nie cieszę się takim samym szacunkiem?

– Tan pisze o tym, jak powinien wyglądać świat, a nie jak wygląda – odparł Anji.

Crupo pokłonił się mistrzowi.

– A ty, mistrzu, uważasz mnie za lepszego pisarza?

Gi Anji spojrział na niego i westchnął.

– Tan nie pisze, by przypodobać się ludziom, i dlatego wielu uważa jego głos za świeży i oryginalny.

Zakamuflowana krytyka zabolą.

Pewnego dnia, podczas wizyty w latrynie, Crupo zauważył, że znajdujące się tam szczury są chude i chorowite. Przypomniał sobie, że te widziane w spichlerzu były tłuste i wyglądały zdrowo.

„To nie talenty decydują o tym, w jakich warunkach żyje człowiek – pomyślał – lecz miejsce, gdzie postanowi je wykorzystać. Xana jest silna, a Cocru słabe. Tylko głupiec idzie na dno wraz z tonącym statkiem”.

Uciekł z Cocru i udał się na dwór Xany, gdzie szybko zyskał uznanie, ponieważ król Réon uważał, że posiadanie u siebie drugiego najlepszego ucznia Gi Anjiego to prawie jak słuchanie rad samego Tana Féüjiego. Jednak za każdym razem, kiedy prosił Crupo o radę, ten słyszał w jego głosie niewypowiedziany żal: „Gdyby tylko Tan Féüji siedział teraz obok mnie...”.

Crupo nie mógł przeboleć, że król Réon bardziej ceni to, czego nigdy nie zdobędzie, niż to, co już ma. Bycie uznawanym za prawie najlepszego, nie dość dobrego, nieustannie wywoływało w nim gniew. Pracował jeszcze ciężiej, próbując opracować sposoby na wzmocnienie pozycji Xany i osłabienie pozostałych królestw Tiro. Chciał, żeby król przyznał wreszcie, że Crupo jest znacznie cenniejszy niż Tan Féüji mógłby być.

Po upadku stolicy Haanu, Ginpen, Tan Féüji został pojmany.

Réon nie posiadał się z radości.

– Wreszcie – chwalił się przed ministrami, pośród których stał także Crupo – będę miał szansę przekonać tego wspaniałego człowieka, by stanął po mojej stronie. Na Wyspach jest wielu ludzi, którzy podziwiają jego mądrość, więc jego wsparcie będzie więcej warte niż tysiąc koni albo dziesięciu nieustraszonych generałów. Tan Féüji wyróżnia się spośród uczonych jak cruben pośród zwykłych wielorybów czy dyrana pośród zwykłych ryb.

Crupo zamknął oczy. Zrozumiał, że nigdy nie zdoła wyjść z cienia tego elokwentnego człowieka, który pisał o ideałach zamiast o prawdzie. Nawet jeśli jego słowa były bezużyteczne, król Réon pragnął prestiżu, jaki dawała bliska obecność Féüjiego.

Tamtego dnia Crupo odwiedził go w więzieniu.

Wiedząc, jak bardzo król cenił tego konkretnego więźnia, strażnicy traktowali Féüjiego raczej jak gościa. Oddano mu pokój zarządcy i zwracano się do niego z szacunkiem. Mógł robić, co tylko zechciał, o ile tylko nie opuszczał więzienia.

– Minęło tak wiele czasu – powiedział Crupo, widząc swojego dawnego przyjaciela. Gładka i czarna twarz Tana pozostawała pozbawiona zmarszczek, a Crupo wyobraził sobie jego beztrudne życie; wielbiony przez królów i księżąt nigdy nie musiał ciężko pracować, żeby się utrzymać.

– Zbyt wiele! – odparł Féüji, chwytając Crupo za ramiona. – Miałem nadzieję zobaczyć cię na pogrzebie mistrza Anjiego, jednak rozumiem, że byłeś zbyt zajęty. Mistrz często cię wspominał w ostatnich latach życia.

– Naprawdę? – Crupo próbował odwzajemnić ciepły gest Féüjiego, jednak był zbyt zakłopotany. Po chwili się odsunął.

Usiedli na miękkich matach na podłodze, pomiędzy nimi stał czajnik z herbatą. Crupo z początku przyjął oficjalną pozycję *mipa rari*, z prostymi plecami i ciężarem ciała przesuniętym na kolana.

Féüji, siedzący po drugiej stronie stolika, roześmiał się.

– Lügo, czyżbyś zapomniał, że znamy się od dzieciństwa? Myślałem, że przyszedłeś odwiedzić mnie jako przyjaciel. Dlaczego usiadłeś, jakbyśmy mieli negocjować traktat?

Zawstydzony Crupo zmienił pozycję na bardziej swobodną *géüpa*, taką, w jakiej siedział Féüji, z pośladkami na podłodze i nogami skrzyżowanymi tak, że każda stopa opierała się o przeciwległe udo.

– Wyglądasz na zmieszanego – zauważył Féüji. – Myślę, że coś ukrywasz.

Crupo przestraszył się i rozlał trochę herbaty.

– Wiem, o co chodzi – oznajmił Féüji. – Stary przyjacielu, przyszedłeś tutaj, ponieważ chciałbyś przeprosić za to, że nie udało ci się przekonać króla Réona do porzucenia szalonej wizji podboju Tiro.

Crupo schował zarumienioną twarz w rękawach, próbując się opanować.

– A teraz ci wstyd, ponieważ myślisz, że przeprosiny to za mało w sytuacji, gdy Haan upadł, a ja znalazłem się tutaj, gdzie jako więzień czekam na egzekucję. Nie wiesz, co powiedzieć.

Crupo odstawił filiżankę.

– Znasz mnie lepiej, niż ja znam samego siebie – mruknął i wyciągnął z rękawa małą buteleczkę z zielonej porcelany. – Nasza przyjaźń jest mocniejsza od tej herbaty. Napijmy się czegoś, co lepiej będzie pasować do okazji. – Wylał zawartość do pustej filiżanki stojącej przed Féüjim.

– Czujesz się odpowiedzialny za tysiące pomordowanych przez Réona w tej bezsensownej wojnie – rzekł Féüji. – Dobry z ciebie człowiek, Crupo, jednak nie przyjmuj na barki ciężaru, który nie jest twój. Wiem, że zrobiłeś, co mogłeś, żeby przemówić do rozsądku temu tyranowi. Wiem, że próbowałeś uratować mi życie, jednak Réon nie pozwoli mi żyć po tym, jak długo go unikałem. Dziękuję ci, stary przyjacielu, i zabraniam ci odczuwać jakiegokolwiek wyrzuty sumienia! To ten tyran Réon jest wszystkiemu winien.

Crupo kiwał głową, a po twarzy popłynęły mu gorące łzy.

– Naprawdę jesteś lustrem mojej duszy.

– Radujmy się i pijmy – powiedział Féüji i jednym haustem opróżnił zawartość filiżanki. Crupo także się napił.

– Ach, zapomniałeś dolać i sobie – zauważył Féüji, śmiejąc się. – To wciąż tylko

herbata.

Crupo czekał w milczeniu. Wkrótce twarz jego towarzysza przybrała inny wyraz. Złapał się za brzuch i próbował coś powiedzieć, jednak z jego gardła dobywały się tylko zduszone jęki. Chciał wstać, lecz zaraz upadł i po chwili przestał rzucać się na macie.

Crupo się podniósł.

– Nie jestem już drugi po tobie.

Po tych wszystkich latach Crupo nareszcie osiągnął swój cel i stał się bezkonkurencyjnym, najpotężniejszym człowiekiem w całej Darze. Miał wreszcie szansę pokazania światu, że to on, od samego początku, zasługiwał na uznanie i szacunek.

Wreszcie będzie szanowany.

A jednak jego postępek był taki niesatysfakcjonujący, taki małostkowy.



– Regencie, kogo mamy mianować dowódcą oddziałów przeciwko rebeliantom?

„Rebeliantom? Tym pospolitym bandytom? Jak niby mieliby się opierać cesarskiej potędze? Na czele wojska można by postawić małpę, a i tak by wygrało. Dlaczego zwracają mi tym głowę? Jaskrawy przykład podejścia oderwanych od ziemi biurokratów, którzy wyolbrzymiają zagrożenia, żeby wyłudzić więcej pieniędzy i zasobów. Nie dam się oszukać”.

Crupo pomyślał o tym, kto z dworu najbardziej go irytował i kogo chętnie odesłałby z dala od Pan, poza zasięg wzroku.

Zerkając na stojący w kącie ołtarzyk poświęcony Kijiemu, zauważył stertę petycji oznaczonych jako pilne. Jak ciężko by nie pracował, zawsze wydawało się, że wciąż czeka na niego jeszcze tyle do zrobienia. Zaczął zbierać petycje obok ołtarza w nadziei, że gdy pokaże bogu, jak wielu sprawom musi poświęcać czas, ten zlituje się nad nim i poprzez jakąś boską interwencję odejmie mu nieco tego ciężaru.

Wszystkie petycje na szczycie sterty pochodziły od jednego człowieka.

No i proszę, już go ma. Musiał to być znak od samego Pana Kijiego. Kindo Marana, minister finansów, nękał Crupo już od wielu dni, męcząc go jakimiś sugestiami usprawnienia systemu podatkowego. Ten drobny mężczyzna o ziemistej cerze miał obsesję na punkcie takich prozaicznych spraw jak finanse i podatki; nie potrafił pojąć wielkiej wizji, która zajmowała umysł Crupo. Wysłanie głównego poborcy podatkowego, prawdziwego liczykropy, żeby nadzorował wojsko wysłane przeciwko bandytom, wydawało się absurdalne i Crupo zachwycił się własnym dowcipem.

– Wezwijcie Kindo Maranę.

„Może wreszcie będę miał trochę spokoju, żeby popracować nad moim traktatem o rządach. Będzie lepszy niż wszystko, co Tan Féüji kiedykolwiek napisał. Dziesięć, nie, dwadzieścia razy lepszy”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

KASZTELAN

PAN: JEDENASTY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Kasztelan jest niewiele lepszy od kamerdynera, myślał często Goran Pira. Niegdyś – jeszcze na początku istnienia starych królestw Tiro – kasztelan dowodził obroną zamku i traktowano go jak członka arystokracji. Teraz do jego obowiązków należało godzenie skłóconych wdów po Mapidérém, dyscyplinowanie służby, rozpisywanie budżetu pałacowego (choć był to naprawdę duży budżet) i zabawianie cesarza.

Pira odziedziczył stanowisko po ojcu, który służył ojcu cesarza Mapidérégo, królowi Dézanowi. Pira wychował się w dawnym pałacu, kiedy stolicą Xany było Kriphi, i bawił się z młodym księciem Réonem. Często wpadali w kłopoty, próbując zaglądać w okna sypialni młodszych żon króla.

Kiedy ich przyłapywano, Pira zawsze się upierał, że to był jego pomysł i to on podburzał księcia. W rezultacie jemu wymierzano razy.

– To było bardzo odważne – mówił Réon. – Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

– Ré – odpowiadał Prima, krzywiąc się z bólu. – Zawsze będę twoim przyjacielem. Może następnym razem będziesz troszkę ciszej.

Ich przyjaźń przetrwała objęcie xańskiego tronu przez Réona. Przetrwała długie lata podbojów i wojen, kiedy Pira często pocieszał Réona, gdy ten frustrował się brakiem postępów albo wściekał po kolejnej dyplomatycznej zniewadze. Przetrwała nawet wiele ekscentrycznych pomysłów Réona, gdy podbił on Sześć Królestw i mianował się cesarzem Mapidérém. Może i cesarz potrafił sprawić, że ministrowie i generałowie drżeli przy najdelikatniejszym ruchu jego najmniejszego palca, jednak z dala od sal audiencyjnych, w części mieszkalnej pałacu, pozostawał Ré, przyjacielem z dzieciństwa.

Jednak ich przyjaźń nie przetrwała Maing.

Maing pochodziła z Amu i była córką księcia, który odmówił poddania się xańskiemu wojsku. Została zabrana jako jeniec do Pan, gdzie cesarz Mapidéré zbudował swoją nową stolicę, i zmuszona do pracy w służbie pałacowej.

Pira nigdy nie zwracał większej uwagi na kobiety przebywające w pałacu. Tak należało postępować, jeśli się chciało zachować stanowisko. Kasztelan, który nie potrafił się oprzeć pokusom wielu pięknych żon i branek cesarza, nie cieszył się karierą zbyt długo.

Pira ożenił się z dziewczyną z Xany, wybraną mu przez rodziców. Byli dla siebie uprzejmi, jednak rzadko spędzali ze sobą czas, ponieważ Pira niemal bez przerwy towarzyszył cesarzowi. Kobieta nie powiła mu żadnych dzieci, jednak jemu to nie przeszkadzało. Nie uważał, że życie kasztelana było tak wspaniałe, by przekazywać stanowisko synowi. Dawno temu Pira nauczył się tłumić swoje męskie popędy.

Jednak Maing coś w nim przebudziła. Czy chodziło o to, że nigdy nie opłakiwała

swojego nieszczęścia, chociaż z córki księcia stała się niewolnicą? Czy może raczej o to, że chodziła z dumnie uniesioną głową i patrzyła ludziom prosto w oczy, inaczej niż pozostałe niewolnice? Może też o radość, jaką potrafiła czerpać z najprostszych rzeczy, ucząc pozostałe kobiety w kuchni czynić z kapiących kranów instrumenty muzyczne i za pomocą palców tworzyć na ścianie historie z cieni rzucanych dzięki blaskowi bijącemu z wielkiego paleniska? Pira nie miał pojęcia, lecz wiedział, że ją kocha.

Zaczęli rozmawiać i wtedy poczuł się, jakby była jedyną osobą, która potrafi go zrozumieć, która dostrzega w nim coś więcej niż sumę jego obowiązków. Wiedziała, że czasem pisuje poezję o topniejącym na wiosnę lodzie i wirujących nad głową letnich gwiazdach, o samotności w tłumie, o pustce w sercu, które przychodzi, gdy dotknie się w życiu zbyt wiele srebra i złota, lecz za mało przyjaznych dłoni.

– Ależ ja niewiele się różnię od niewolnika – powiedział do niej i odkrył, że to prawda. – Żadne z nas nie jest wolne.

Wreszcie przebywanie z nią nauczyło go prawdziwej bliskości. Chociaż myślał, że jest blisko Ré, nie byli przecież sobie równi, a prawdziwa bliskość wymagała równości.

Pewnej nocy cesarz Mapidéré wyprawił przyjęcie dla swoich generałów. Pira postanowił poczekać, aż uczta się skończy, i wtedy poprosić cesarza o przysługę, ponieważ będzie on w dobrym humorze. Chciał poprosić Ré, swojego starego przyjaciela i towarzysza zabaw, żeby uwolnił Maing z niewoli i oddał ją swojemu kasztelanowi.

Tamtego wieczoru Maing podawała filety z miecznika. Przeszła przed stołem cesarza, trzymając wysoko przed sobą tacę z rybą. Cesarz był znudzony i zapragnął znaleźć sobie jakieś ciekawe zajęcie. Wtedy ujrzał Maing: jej wąską talię, jej długie jasno-brązowe włosy – coś, co już od dawna do niego należało, lecz dla czego nie miał wcześniej czasu.

Wezwał ją w nocy do swojego łóżka i Maing stała się panią Maing, kolejną cesarską małżonką. Mapidéré nigdy nie mianował żadnej z żon cesarzową.

Tamtej nocy serce Piry umarło.

Chociaż o takim losie marzą wszystkie niewolnice na dworze, kiedy Pira przyszedł nad ranem obudzić cesarza, Maing wydawała się przestraszona, nie szczęśliwa. Unikała wzroku Piry, a on starał się mówić spokojnie, beznamiętnie. W swoich snach żegnał się z nią raz po raz.

Pani Maing zaszła w ciążę, a dworzanie i słudzy gratulowali jej serdecznie. Jako małżonka cesarza, która powiła mu kolejnego potomka, miała zapewnione miejsce w pałacu.

Jednak ona nic nie mówiła. Jej brzuch stawał się coraz większy i większy, a ona coraz bardziej wycofana.

Dziecko, chłopiec, urodziło się o dwa miesiące za wcześnie, a mimo to było zdrowe i rumiane, ważyło tyle samo co niemowlę donoszone do końca ciąży. Lekarz zaczął coś podejrzewać, więc odesłał wszystkie sługi i pielęgniarki, a potem przez godzinę przesłuchiwał wykończoną panią Maing. Kiedy wreszcie wyciągnął z niej prawdę, pobiegł do Piry z wieściami.

Od tamtego czasu Pira po tysiącokroć przeżywał ten pamiętny dzień w swoim umyśle. Czy mógł uratować swojego syna? Czy mógł uratować Maing? Czy mógł uciszyć lekarza złotem i klejnotami? Czy mógł rzucić się do stóp cesarza i błagać o litość? Czy był takim

tchórzem, że nie potrafił nawet ochronić jedynej osoby, którą kochał? Wyobrażał sobie, jak zostawia całe swoje życie i razem z Maing uciekają w małej łódce rybackiej, skazani na nieznaną porty i oglądanie się za siebie przez resztę swoich dni – ale wówczas jego ukochana pozostałaby przy życiu.

Niestety każdy podobny scenariusz kończył się tak samo – śmiercią całej jego rodziny: rodziców, żony, wujów i ciotek. Zdrada była skazą krwi, a za grzech zdrajcy odpowiada cała rodzina.

Pira nie potrafił sobie wyobrazić, co mógłby zrobić inaczej, jednak i tak dręczyło go poczucie winy.

Udał się do cesarza Mapidérégo i przekazał mu to, co powiedział lekarz.

– Kim jest ojciec? – spytał wściekły Mapidéré.

– Nie chciała się przyznać – odparł Pira martwym głosem.

Chciał spróbować przekonać Réona, wyjaśnić mu, że poznał Maing, zanim cesarz jej zapragnął, więc właściwie nie dopuścili się zdrady stanu. Jednak kasztelan dobrze znał prawa panujące na dworze. Niewolnica należała do cesarza, nawet jeśli nigdy jej nie dotknął, nawet jeśli nie znał jej imienia, nie potrafił przypomnieć sobie jej twarzy. W rzeczy samej popełnili zdradę stanu już wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzeli na nią inaczej niż jak na własność cesarza.

Dlatego tylko patrzył bez słowa, gdy zgładzono chłopca na oczach Maing. Patrzył bez słowa, kiedy żołnierze ją dusili. Potem poszedł uprzątnąć ich ciała i walczył ze sobą, by dotykając zimnej skóry ukochanej, nie okazać żadnych uczuć.

Jednak poprzysiągł sobie jedną rzecz: pomści Maing i doprowadzi do upadku Xany. Wtedy dopuści się prawdziwej i spektakularnej zdrady stanu.



– Kasztelanie, wciąż dręczą mnie wieściami o rebelii. Co mam robić?

– *Rénga*, to tylko bandyci i pospolici rozbójnicy, niegodni twojej uwagi. Poniżasz się, marnując choć sekundę swojego cennego czasu na rozmyślanie o nich. Ogłoś, że każdy, kto doniesie ci o ich nic nieznaczących czynach, zostanie stracony. Niech regent zajmie się tym w twoim imieniu.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem, kasztelanie. Zawsze myślisz o tym, co dla mnie najlepsze.

– Dziękuję. A teraz pomówmy o planach na dziś. Może pójdziemy do cesarskiego zoo albo oceanarium, żebyś pobawił się z małym crubenem? A może wolałbyś zobaczyć nowe dziewczę przywiezione z Faça?

POGOŃ ZA JELENIEM

ROZDZIAŁ DWUNASTY

REBELIA ROŚNIE W SIŁĘ

WIELKA WYSPA: TRZECI MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ
SIŁY

Kiedy w zabawkowym cesarstwie Erishiego lało się wino i błyszczały klejnoty, to prawdziwe drżało w posadach.

Dotychczas pod flagą Huno Krimy i Zopy Shigina zebrało się ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Znaleźli prawowitego spadkobiercę tronu Cocru, dwudziestotrzyletniego pasterza, i wyrwali go ze spokojnego życia pośród zwierząt na północy Faça, by posadzić na tronie jako króla Thufiego.

Chociaż młody mężczyzna przez całe swoje dotychczasowe życie władał jedynie stadem owiec, z gracją i łatwością zajął się rządzeniem ludźmi.

– Widzisz – powiedział Ratho Miro do swojego brata – krew rodu królewskiego naprawdę jest wyjątkowa. Nie ma innego wytłumaczenia na to, że chłopiec wychowany na pasterza nagle z powodzeniem obejmuje władzę nad całym krajem! Co za wdzięk! Co za opanowanie!

Dafiro przewrócił oczami.

– Gdyby kilku dobrze ubranych mężczyzn przyszło do mnie i powiedziało, że moim przeznaczeniem jest zostać królem, a potem łaziliby za mną cały dzień i zachowywali się, jakbym był nie wiadomo jak mądry, kiwając głową na wszystko, co powiem, i gdyby dali mi wielką, ciężką koronę i szatę z złotego jedwabiu, a potem usadzili na piedestale, też bym czuł się pewnie i zachowywał po królewsku, jakby mój tyłek od dawna tkwił na tronie.

– Nie jestem pewien – stwierdził Ratho, obrzucając brata sceptycznym spojrzeniem. – Rozkwitasz tylko u mojego boku. Gdyby ubrali cię w jedwabną szatę, chyba byś wyglądał jak mała cyrkowa.

We wspaniałej świątyni Ognia i Lodu stojącej w centrum Çaruzy Thufi modlił się do boskich Bliźniaczek Kany i Rapy, obrończyń Cocru.

– Xańskich grzechów jest wiele – powiedział do zgromadzonych na placu. – Jednak nadszedł dzień sądu. Wszystkie królestwa Tiro na powrót powstały, a na świecie zostanie przywrócony ład.

Przed cierpliwie wyczekującym tłumem król Thufi mianował Krimę księciem Napi i marszałkiem Cocru, a Shigina księciem Canfin i wicemarszałkiem Cocru. Dostali rozkazy zaatakowania armii xańskiej na całym terenie i walki z nią, póki wszystkie ziemie Cocru nie zostaną uwolnione. Krima i Shigin wymaszerowali z Çaruzy na czele wojska, a ludzie obsypywali ich kwiatami i drobnym białym piaskiem przywiezionym z plaż Çaruzy.

– To się nazywa życie, co? – rzucił Ratho Miro i uśmiechnął się do ładnych dziewcząt, które stały wzdłuż ulicy i wiwatowały.

– Jeszcze nie spotkaliśmy xańskiego wojska – odparł Dafiro. – Nie ciesz się przedwcześnie.



Wiatr rozniósł ziarna rebelii i wkrótce wszystkie podbite przez Mapidérégo królestwa Tiro rozkwitły ponownie, budząc się do życia jak młode pędy bambusa na wiosnę.

W północnej części Wielkiej Wyspy mężczyzna o imieniu Shilué, wnuczek ostatniego króla Faça, przejął tron w Boamie. Jego armia wkrótce liczyła ponad dziesięć tysięcy żołnierzy.

Na wschodzie spadkobierca bocznej odnogi władającego tamtymi terenami rodu przyjął miano króla Dalo z Ganu. Jego ziemie słynęły z bogactwa i wspaniałej kultury. Xański garnizon w Toazie, dawnej stolicy Ganu na Wilczej Łapie, poddał się, jeszcze zanim posłano w powietrze choćby jedną strzałę. Garnizon szybko zmienił nazwę na Królewską Armię Ganu, a były dowódca xański z radością przyjął tytuł hrabiego. Gan przejął także statki xańskiej floty, które zacumowano w porcie w Toazie, a król Dalo przygotowywał się do inwazji na Wielką Wyspę, żeby odzyskać żyzne ziemie aluwialnych równin dawnego Ganu.

Tymczasem miasta półwyspu Maji, na południe od pustyni Sonaru, ogłosiły się członkami niezależnej ligi. Ponieważ w różnych okresach historii Maji znajdowało się zarówno w granicach Ganu, jak i Cocru, miasta przebiegle ustanowiły częściową przynależność do obu królestw.

Z kolei na pięknej wyspie Arulugi znowu pojawiło się znane na zachodzie ze swojej elegancji i wytworności Amu, chociaż dawniejsze tereny królestwa na Wielkiej Wyspie nadal pozostawały pod niezachwianą kontrolą Xany.

Zmartwychwstała Rima z pomocą Faça szybko odebrała swoje ziemie na północ od łańcuchów górskich Damu i Shinané. Żołnierze Rimy parli też jak najdalej na południe od szczytów, w nadziei, że kiedy upadnie cesarstwo, Rima jako pierwsza położy łapę na terenach, o które w dawnych czasach spierała się z Amu.

Z Sześciu Królestw jedynie Haan pozostał w pełni pod okupacją Xany. Jednak istniał haański rząd na wygnaniu, a król Cosugi, który trzydzieści lat temu, będąc jeszcze młodym mężczyzną, poddał się cesarzowi Mapidérému, teraz mieszkał w Çaruzie jako gość nowo koronowanego króla Thufiego.

– Już wkrótce znowu ujrzysz Ginpen – obiecywał Thufi Cosugiemu.

Cosugi, mężczyzna o twarzy tak ciemnej i pomarszczonej jak świeżo zaschnięta lawa, kiwnął głową i jego zmierzwiona siwa broda zakołysała się. Spoglądał zaskoczony na Thufiego. Niemal nie mógł uwierzyć w niedawne zmiany. Ledwie kilka miesięcy temu Xana wydawała się niepokonana, a powrót Haanu mrzonką.

Thufi zaprosił wszystkich królów odrodzonych Sześciu Królestw do Çaruzy na Wielką Naradę Wojenną. Mieli wyznaczyć princepsa i zastanowić się, jakie podjąć dalsze kroki.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

KINDO MARANA

WIELKA WYSPA: TRZECI MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ
SIŁY

Kindo Marana nigdy nie śnił o tym, że pewnego dnia będzie musiał odłożyć na bok swój abakus, włożyć zbroję i przytroczyć miecz do pasa.

Wolał patrzeć, jak cesarski skarbiec napełnia się pieniędzmi zbieranymi ze wszystkich Wysp, zamiast zabijać ludzi. Pragnął spędzać dni na obmyślaniu sposobów na złapanie tych, którzy unikali płacenia podatków, a nie na omawianiu strategii i przeglądaniu raportów o ofiarach.

Swego czasu był dobrym uczniem, miał talent do operowania liczbami i powoli wspinał się po biurokratycznej drabinie. Uwielbiał przeliczać sterty monet i buszle fasoli, zwoje materiału i słoje oliwy, wiązki suszonych ryb i sznury muszelek, worki ryżu, pszenicy, sorgo, wełny i puszki rybich łusek. Czerpał radość z klasyfikowania różnych rzeczy, przyporządkowywania ich do odpowiednich miejsc i wykreślenia ich nazw z listy. Z przyjemnością zajmowałby się tym do czasu, aż będzie dość stary, by przejść na emeryturę.

Jednak regent wydał wyraźny rozkaz. Jakim cudem biurokrata, który nigdy nie walczył na wojnie, został teraz marszałkiem Xany, głównym dowódcą wszystkich xańskich sił lądowych, morskich i powietrznych?

Cóż, rolą sługi jest pilnie wypełniać wszelkie obowiązki łączące się z jego stanowiskiem. Kindo Marana zamierzał zacząć od tego, co umiał najlepiej: sporządzenia listy zadań, którymi miał się zająć.

Teoretycznie siły lądowe Xany obejmowały sto tysięcy żołnierzy. Ponieważ jednak spodziewane dochody nie wpłynęły do cesarskiego skarbcza, liczba ta musiała być na kilka sposobów pomniejszona.

Po pierwsze, kwestia panowania. Jedyne terytoria, nad którymi cesarstwo wciąż miało rzeczywistą kontrolę, obejmowały dawne ziemie Xany, czyli Dasu i Rui, a także Wyspę Półksiężycową na północnym zachodzie, wyspę Écofi na południowym zachodzie oraz obszar w kształcie motyla na środku Wielkiej Wyspy, zajmowany przez żyzne pola Géfiki i Gójiry. Wysokie szczyty Damu i Shinané, a także szerokie wody rzeki Liru oraz wartkie Sonaru do tej pory trzymały rebelię z dala od tych ziem – podobnie jak nieprzebyte piaski pustyni Gonlogi.

Haan, leżący w północno-zachodniej części Wielkiej Wyspy, również znajdował się pod pełną kontrolą Xany, jednak garnizony stacjonujące na pozostałych ziemiach albo się poddały, albo dołączyły do rebeliantów, albo też zostały uwięzione w miastach, pozostawały więc poza zasięgiem Kindo Marany, który w związku z tym nie mógł brać ich

pod uwagę. Oddziały, które realnie miał do dyspozycji, liczyły zaledwie jakieś dziesięć tysięcy ludzi i składały się z najbardziej lojalnych żołnierzy zebranych wokół Niepokalanego Miasta.

Po drugie, nawet na terenach ciągle znajdujących się pod okupacją Xany sytuacja była daleka od pewnej. Liczni więźniowie i robotnicy pańszczyźniani, zmuszeni do przywędrowania tu z całej Dary i pracy w Wielkich Tunelach i Mauzoleum, mogli w każdej chwili zmienić się w zbuntowany tłum. Ci ludzie powitaliby rebeliantów z ich rodzinnych stron jako „wyzwoliciele”, gdyby tylko tamci postanowili dokonać zorganizowanego ataku na samo serce cesarstwa.

Po trzecie, flota i siły powietrzne nie miały się zbyt dobrze. Ogromne sterowce były drogie w utrzymaniu i trudne w obsłudze, ponieważ gaz uciekał z jedwabnych worków i należało go uzupełniać w regularnych odstępach czasu. A ponieważ istniało tylko jedno jego źródło na całym świecie, układanie harmonogramu uzupełnień stało się obowiązkiem często unikany przez generałów w czasach pokoju. Nie licząc kilku sterowców, które towarzyszyły cesarzowi Mapidérému podczas jego niekończących się parad, większość tych z Wojen o Zjednoczenie od lat nie podnosiło się z ziemi. Flota też była ledwie cieniem dawnej siebie. Nie licząc tych kilku patrolujących północne morza, gdzie grasowali piraci, statki cesarskiej floty już od dłuższego czasu gniły w dokach i ledwo trzymały się na powierzchni wody, jeśli zostały zaatakowane przez świdraki. W zasadzie stanowiły kolejne pasywa.

I wreszcie morale, które było fatalne. Marana doskonale rozumiał, jak wiele zależy od nastawienia, zanim człowiek się do czegoś zabierze. Kiedy Xana stanowiła tylko jedno z siedmiu królestw Tiro, a nie cesarstwo, jej mieszkańcom nie podobało się to, jak byli traktowani przez pozostałych wyspiarzy, którzy widzieli w nich prostaków i kogoś na kształt barbarzyńców. Kiedy król Réon rozpoczął swoje podboje i w związku z kosztami wojny należało podnieść podatki, ludzie byli zdeterminowani i wyrażali poparcie dla Xany walczącej o należne jej miejsce w Darze, więc podatki płacono niemal chętnie. Szybko uległo to zmianie, gdy w cesarstwie nastał pokój. Natomiast teraz podobną determinację przejawiali rebelianci z Sześciu Królestw, podczas gdy xańscy żołnierze musieli się wycofywać, przygnębieni i niepewni zasadności swojej walki.

Zakończywszy spisywanie bilansu, Marana metodycznie zaczął go poprawiać. Z takimi zadaniami był dobrze zaznajomiony. W ciągu ostatnich lat Rządów Jednego Jasnego Nieba, a już szczególnie teraz, za Rządów Szlachetnej Siły, pałac postawił skarbcowi wiele nierozsądnych wymagań. A jednak Marana zawsze znajdował sposób, by je spełnić.

Zacznie od zmiany pasywów w aktywa. Robotników pańszczyźnianych można wcielić do cesarskiej armii, a więźniom i niewolnikom obiecać wolność, jeśli wykażą się w walce. Aby ich wyszkolić, weterani z elitarnych xańskich oddziałów awansują na dowódców i sierżantów nowego, powiększonego wojska. Niedoświadczeni żołnierze zostaną zorganizowani i zintegrowani tak, żeby żaden oddział nie składał się ze zbyt wielu ludzi o tym samym pochodzeniu. W ten sposób podzieleni, dyscyplinowani i pilnowani przez xańskich weteranów mogą się jeszcze okazać efektywni w odpieraniu rebelianckich ataków na serce cesarstwa, przynajmniej przez jakiś czas. Chociaż dewaluacja pieniądza nigdy nie przyniosła długoterminowego rozwiązania problemów finansowych, na chwilę pomagała.

Jednak prawdziwe rozwiązanie znajdowało się w Rui i Dasu, na rodzimych ziemiach Xany. Marana będzie musiał tam wrócić i zwerbować armię oddanych żołnierzy, którzy wierzyli w Xanę i ideę cesarstwa.

Nieważne są surowe prawa. Nieważne, że xańskiej biedocie pod rządami cesarza wiedzie się równie źle co tej w pozostałych królestwach. Gdyby rozpałił w nich dumę i miłość do swojego kraju, świeże xańskie oddziały mogłyby odzyskać Sześć Królestw jedno po drugim, aż w końcu marzenie Mapidérégo na powrót stanie się rzeczywistością. Wydawało się to nie lada wyzwaniem, zapewne równie trudnym co próby skłonienia handlarzy i rolników z całego cesarstwa do płacenia podatków – ale dotychczas szło mu całkiem nieźle, prawda? Być może system podatkowy był mikrokosmosem wszystkich spraw politycznych, które napędzały cesarstwo. Może to, co wiedział o zarządzaniu podatkami, było mikrokosmosem zarządzania państwem w ogóle.

Może regent wybrał go nie bez powodu.

Kindo Marana westchnął. Miał przed sobą tyle pracy.



Korpus Ekspedycyjny Krimy i Shigina z początku zaliczył sukces. Marszałkowie postanowili zacząć od oczyszczenia południowego brzegu rzeki Liru ze wszystkich pozostających tam jeszcze xańskich garnizonów. Sama rzeka była patrolowana przez cesarską flotę, więc przekroczenie jej szerokiego koryta pozostawało na razie poza ich zasięgiem.

Miasto po mieście poddawało się rebeliantom, często bez większego oporu. Żołnierze cesarscy nie mieli ochoty stawać przeciwko nim, więc kiedy rebelianci zbliżali się do miasta, zwyczajnie otwierali bramy, zdejmowali mundury i próbowali wmieszać się w tłum cywilów.

Krima i Shigin swoje sukcesy przypisywali własnemu geniuszowi i odwadze. Na co komu księgi o strategiach militarnych i taktyce? To tylko kolejne sposoby starych arystokratów na zgrywanie ważniejszych, niż byli w rzeczywistości. Oni dwaj, zaledwie plebejusze, potrafili sprawić, że cesarscy żołnierze uciekali na sam widok ich sztandarów.

Dwaj świeżo mianowani książęta nie urządzali żadnych ćwiczeń ani nie uczyli żołnierzy uszykowania. Po co? Przecież mieli niepokonaną armię napędzaną przez siłę słuszności i gniew ludu!

Ignorowali wszelkie formy dyscypliny i hierarchii służbowej. Nawet noszenie mundurów nie było obowiązkowe. Każdy rebeliant ubierał się, jak chciał, a jeśli naprawdę pragnął podkreślić swoje oddanie sprawie, zawiązywał na głowie czerwoną bandanę z kruczym herbem Cocru. Każdy maszerował w swoim tempie.

Jeśli chodzi o broń, mogli dzierżyć miecze zabrane z przejętych przez rebeliantów cesarskich zbrojowni albo kije i utensylia kuchenne, jeśli tak było im wygodniej. Nie dostawali żadnego żołdu – nie licząc tego, co mogli sobie ukraść albo zabrać cywilom, o których mówiło się, że sympatyzują z cesarstwem. Rebelianci śmiali się, żartowali, opowiadali sobie historie, a nawet ucinali sobie drzemkę, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Gdy Korpus Ekspedycyjny docierał od jakiegoś miasta, wyglądał jak gigantyczny

tłum chłopów w drodze na targowisko.

Jednak biada każdemu pechowemu handlarzowi, rolnikowi, drwalowi albo rybakowi, który natknął się na rebeliantów maszerujących przez północne Cocru. Dobra, pieniądze, bydło, plony – wszystko mogło paść ich łupem. „Rekwirujemy to na potrzeby wyzwolenia Cocru – mówili. – Przecież chce pan przyczynić się do obalenia tyranii Xany i wesprzeć chwałę króla Thufiego, prawda?” Każdy właściciel nieprzekonany tymi elokwentnymi argumentami mógł liczyć na przekonywanie przy użyciu pięści albo coś jeszcze gorszego.

Ogłuszone ofiary zostawały na ziemi i patrzyły na tumany kurzu wzniecane przez maszerującą w oddali armię-motłoch. Rejony, przez które przechodzili rebelianci, wyglądały jak po pladze szarańczy.

– Czym się różnimy od bandytów? – pytał Ratho swojego brata. Każdy z nich niósł wór pełen łupów zabranych z ostatniej napotkanej na drodze karawany. – Nie czuję się jak wyzwoliciel.

– Rat, nie przejmuj się tym – odparł Dafiro. Był bogatszy niż kiedykolwiek. – Twoim zadaniem nie jest zadawanie pytań. Twoim zadaniem jest wykonywanie poleceń marszałków. Właśnie tak od zawsze toczyło się wojny. Niech mądrzejsze głowy zajmą się filozofowaniem.



Kiedy Phin Zyndu usłyszał o nadużyciach nowych marszałków Cocru, podniósł rękę w geście obrzydzenia.

– Co król Thufi sobie myśli? Czekaliśmy, aż wypełni święte rytuały i przybędzie do Tunoi wyznaczonego dnia, by nadać nam prawo dowodzenia armią Cocru, jak odbywało się to za czasów twojego dziadka. On jednak najwyraźniej nie rozumie, czego się od niego oczekuje.

– To nie skończy się dobrze, wuju – odparł Mata. – Musimy się przeprowadzić na Wielką Wyspę. Jeśli król Thufi nie chce przyjść do nas, my musimy udać się do niego. Cocru znowu potrzebuje twardej ręki Zyndów, prawdziwych marszałków.



Kiedy flagi z bliźniaczymi krukami i sztandary z chryzantemą klanu Zyndów powiewały na chłodnym wietrze wiejącym znad morza, ośmiuset mężczyzn ustawiło się na brzegu w ciasnej falandze. Flota łodzi rybackich kołysała się na wodzie, czekając, aż ktoś zabierze je na Wielką Wyspę.

Phin przechadzał się wolno przed żołnierzami, patrząc każdemu po kolei w oczy.

– Dziękuję – powiedział. – To dzięki wam Cocru znowu żyje. Jestem zaszczycony, że mogę was prowadzić.

Kilku mężczyzn zaczęło skandować i wkrótce dołączyli do nich inni, aż w końcu ośmiuset żołnierzy wołało:

– Zyndu! Zyndu! Zyndu!

Phin skinął i uśmiechnął się, ocierając łzy.

Za jego plecami Mata skoczył na kamień kotwiczny, żeby jeszcze bardziej górować nad zebranymi, i zawołał:

– Tunoa nie zna odważniejszych ludzi niż wy! Kiedy wejdziemy na łodzie, nie wrócimy, dopóki nie zetnę głowy cesarza Erishiego!

– Zyndu! Zyndu! Zyndu!

– A kiedy wrócimy – zawołał jeden z żołnierzy – zrobimy to na grzbietach koni i ubrani w jedwabne szaty!

Wszyscy się roześmiali, Mata najgłośniej. Ich śmiech zdawał się podnosić jak włócznia mająca przebić serce nieba.

Poculi, jak wiatr się wzmaga i zmienia kierunek na południowo-wschodni, tak że wiał teraz w stronę Wielkiej Wyspy. Chociaż była dopiero wczesna wiosna, wiatr zdawał się ciepły jak oddech płonącej góry Kana.

– Pani Kana nas wspiera – zaczęli szeptać między sobą. – Mata jest jej ulubieńcem.



Krater na szczycie góry Kana wybuchł, wyrzucając w powietrze gęstą chmurę dymu i płonącego popiołu.

– Dziwna strategia, Kiji. Postawisz poborcę podatkowego przeciwko prawdziwemu marszałkowi?

Mocny powiew wiatru omiół krater i uśpiona w środku lawa rozżarzyła się.

– Pogardzanie Xaną nigdy nie wychodziło tobie i twojej siostrze na dobre.

– Nie rozumiem, jak abakus przetrwa w walce z Pogromczynią Wątpliwości.

– Nie zapominaj o tej barbarzyńskiej pałce z zębami. Wiem, dlaczego wybrałaś tego krwiożerczego śmiertelnika z obsesją na punkcie zemsty.

Lodowe czapy na pobliskiej górze Rapa popękały i wydawały się przesuwać.

– Oświeć nas.

– Ponieważ myślicie, że jest w guście Fithowéo, i macie nadzieję przekonać boga wojny do przejścia na waszą stronę w tej potyczce. Jeśli Fithowéo postanowi uczynić miecze jednej armii mocniejsze, a żołnierzy drugiej bardziej zmęczonymi, teoretycznie nie będzie to pogwałceniem naszego paktu o zaprzestaniu bezpośrednich ingerencji.

– A ty wybrałaś swojego faworyta, ponieważ chciałbyś, by Lutho wsparł miłośnika liczb takiego jak on sam. Twoja strategia jest dziecinnie łatwa do przejrzenia.

– W takim razie będziemy musieli się przekonać, kto dokonał bardziej kuszącego wyboru, prawda?



Kiedy dotarli już na Wielką Wyspę, Phin Zyndu chciał od razu zarządzić wymarsz do Çaruzu. Jednak Mata miał inny pomysł.

– Chcę najpierw poznać tego Huno Krimę sam – powiedział. – Nie wiem za bardzo, jak

rozmawiać z królami i ambasadorami, ale wiem, jak się dogadać z żołnierzem. Może istnieje coś, co wyróżnia go z plebsu, i dlatego król Thufi ceni go bardziej niż nas.

– Będę czekał z ośmioma setkami ochotników przed Çaruzą, dopóki nie wrócisz – odparł Phin. – Niech Bliźniaczki cię prowadzą. – A kiedy Mata znalazł się poza zasięgiem jego głosu, westchnął i pokręcił głową. – Marnujesz swój czas, dziecko. Nawet król nie odróżni diamentu od białego topazu, jeśli nie ma dość twardej powierzchni, by sprawdzić ich właściwości.

I tak oto Mata pojechał samotnie na zachód przez szerokie równiny i faliste wzgórza Cocru, podążając za ścieżką obraną przez Korpus Ekspedycyjny Krymy i Shigina. Od zawsze był zbyt wysoki i postawny dla większości koni, a Phin nie miał możliwości nauczyć go jazdy konnej w czasach, kiedy wciąż mieszkali jeszcze na wygnaniu, z dala od rodzinnego zamku. Dlatego była to dla Maty okazja do ćwiczeń. Kupiony za wysoką cenę na targowisku za murami Çaruzy koń młodego Zyndu pochodził z xańskiej hodowli, był więc większy i silniejszy niż większość ras z Cocru.

Mata zauważył, że towarzystwo koni sprawia mu przyjemność. Zwierzęta te miały wrodzony szacunek do autorytetów, dzięki czemu mogły wypełniać swą naturalną rolę w świecie. Jadąc coraz dalej na zachód, Mata rozmyślał o skomplikowanym tańcu między koniem a jeźdźcem, o koordynacji niezbędnej do spokojnej jazdy, i porównał go do równie zawiłych relacji między wasalem i panem, między poddanym i królem.

Jednak chociaż xański koń był silniejszy i większy od innych, Mata okazał się dla niego za ciężki. Po kilku dniach pędzenia za Krimą i Shiginem zwierzę, mimo troskliwej opieki, było wycieńczone. Tuż przed murami miasta Dimu, znajdującego się przy ujściu rzeki Liru na zachodniej granicy Cocru, wierzchowiec upadł i złamał nogę. Z wielkim smutkiem Mata musiał skrócić jego życie ostrzem Na-aroénny.

Zamrugał, by przegonić niespodziewane gorące łzy, i pomyślał, że będzie musiał znaleźć odpowiedniego dla siebie konia, tak samo jak Cocru musiało jego zdaniem znaleźć właściwego marszałka.



Kiedy Shigin zasugerował, że powinni odnaleźć spadkobiercę tronu Cocru, żeby usankcjonować rebelię, wydawało się to dobrym pomysłem, jednak teraz Krima nie był już tego taki pewien.

To oni dwaj ryzykowali życiem, żeby podnieść cocruski sztandar przeciwko Xanie. To ich imiona zapamiętali żołnierze i im się podporządkowali, ponieważ to oni wyganiaли cesarskie oddziały z kolejnych miast. A jednak na tronie Cocru zasiadł ten młody człowiek, ten chłopiec, którego jedyną zasługą było mieć właściwego ojca. Pokazywał palcem to i tamto, mówił i rozkazywał, a Shigin i Krima musieli go słuchać.

Nie wydawało im się to słuszne.

I jeszcze ta przepowiednia – tak, przepowiednia była sztuczką przygotowaną przez niego i Shigina, jednak Krima wolał nie myśleć dłużej w ten sposób. Bo czy sprawy nie potoczyły się w znacznej mierze tak, jak głosiły słowa w zwoju ukrytym w rybie? Czy nie wygrywali? A może to jednak bogowie postanowili podsunąć jemu i Shiginowi pomysł na

schowanie zwoju w rybach wnętrznościach? I może to bogowie poruszali jego dłońmi, gdy zapisywał przepowiednię, zwinął ją i włożył do brzucha ryby? Może był tylko narzędziem w boskich rękach?

Dlaczego nie miałyby tak myśleć? Kto mógł mieć pewność, że bogowie nie działali właśnie w ten sposób? Czy to nie pozostawało tajemnicą nawet dla najmądrzejszych myślicieli?

Shigin, jak zawsze zbyt krótkowzroczny, śmiał się z tych rozważań.

– Myślisz, że moje pismo ma boskie pochodzenie? Ha, ha, przepisałem to z takiej jednej sztuki, którą kiedyś oglądałem.

Jednak teraz Krima myślał o przepowiedni jak o czymś zupełnie odrębnym, jak o prawdziwym znaku od bogów. Shigin zaś był jedyną osobą, która mogła temu zaprzeczyć...

A w przepowiedni było napisane, że Krima zostanie królem. Królem, a nie jakimś tam księciem Napi, nie jakimś tam marszałkiem Cocru. Królem.



Wieści o tym, że Huno Krima ogłosił się królem Zachodniego Cocru, wywołały w Czaruzie falę wściekłości. Doradcy króla Thufiego żądali, żeby natychmiast pozbawił Krime wszystkich nierozwaznie mu nadanych tytułów i wysłał oddziały, by pojmały go i postawiły przed sądem za zdradę stanu.

– Pojmać go? – zaśmiał się Thufi gorzko. – A jak niby mam tego dokonać? Większość naszej armii jest w jego rękach, a żołnierze słuchali jego rozkazów od samego początku. W pewnym sensie rozumiem jego decyzję. On odwalił całą ciężką robotę, więc dlaczego ja miałbym spijać śmietankę?

Doradcy zamilkli.

– Powinienem się cieszyć, że postanowił uczynić sobie poddanym jedynie Zachodnie Cocru, zamiast całego. Nie mam innego wyjścia, jak mu pogratulować.

– To będzie potworny precedens – mamrotali doradcy. – Nie istnieje żadne Zachodnie Cocru.

– Wszystko, co teraz robimy, jest bezprecedensowe. Kto by pomyślał, że cesarstwo zacznie drzeć w posadach, ponieważ dwóch robotników zdecydowało, że nie ma już nic do stracenia? Dlaczego królestwa Tiro nie miałyby powstawać z niczego? Wiele rzeczy na tym świecie stało się rzeczywistością, kiedy wystarczająco dużo ludzi w nie uwierzyło. Krima ogłosił, że jest królem, i ma dwadzieścia tysięcy żołnierzy, którzy się z nim zgadzają. Sądzę, że to poważny argument. A teraz zróbmy, co trzeba, i powitajmy go wśród królów Tiro.

Królewski posłaniec udał się w drogę, by pogratulować królowi Huno jego koronacji.



– Pomyśl tylko: znaliśmy króla w czasie, gdy był jednym z nas – powiedział ze zdumieniem

Ratho. – To ja rozciąłem brzuch ryby, w której znajdował się zwój.

Patrzył na króla Huno siedzącego na swoim tronie na drugim krańcu długiej sali, wcześniej służącej xańskiej kawalerii za stajnię. Znajdowali się w Dimu, wielkim mieście portowym u ujścia rzeki Liru.

Stajnia okazała się jedynym budynkiem o odpowiednich rozmiarach i kształcie, jednak lepiała się od brudu. Dlatego tych z xańskich żołnierzy, którzy się poddali, zaprzęgnięto do sprzątania i przygotowania budynku na ucztę koronacyjną. Zamiatali oni i myli podłogę przez trzy dni, a potem spryskiwali ją wodą o zapachu morskiej róży, żeby nie unosił się kurz. Mimo deszczu wszystkie okna otwarto, żeby wpuścić do środka świeże powietrze.

A jednak odór, jaki pozostał po latach trzymania tu koni, wciąż dał się wyczuć w tle zapachu spoconych ciał, taniego wina i źle ugotowanych potraw.

Z każdej restauracji w mieście zabrano ławy i ustawiono je w niezbyt kształtne stoły, a potem przykryto byle jakimi obrusami z naprędce zszytych flag i zasłon. Kiedy w środku zrobiło się tłoczno, zaczęło brakować światła, więc w każdej możliwej wnęce i na każdej możliwej powierzchni poustawiano pochodnie i świece. Nastrój panował ciepły i uroczysty, jednak niezbyt radosny.

– On nigdy nie był jednym z nas – powiedział Dafiro. – My nie śnimy o przepowiedniach, które uczynią nas królami. Właściwie to lepiej nigdy więcej nie wspominajmy o tym, że towarzyszyliśmy mu, gdy się to wszystko zaczęło. Mam dziwne wrażenie, że królowi nie spodoba się, gdy usłyszy, że ktoś mówi o jego korzeniach.



Aby bogowie spojrzeli przychylnym okiem na uroczystość, Huno Krima w ramach przygotowań zebrał wszystkich miejscowych kamieniarzy, stolarzy i rzeźbiarzy, a także kapłanów – modlących się do każdego z bogów – a potem nakazał im w ciągu trzech dni wykonać osiem nowych posągów bogów Dary.

– Mar... to znaczy... panie – próbował oponować najodważniejszy ze wszystkich najwyższy kapłan Fithowéo w mieście – to zwyczajnie niemożliwe, byśmy przygotowali posągi godne tak dostojnej uroczystości w tak krótkim czasie. Posąg Fithowéo, który stoi w mojej świątyni, wymagał zatrudnienia dziesięciu rzemieślników, którzy pracowali przez dwanaście miesięcy. Zebranie odpowiednich materiałów zajmuje czas, tak samo zadbanie o odpowiednie odwzorowanie wizerunku; należy wyciąć, wyrzeźbić, wygładzić i położyć podkład pod farbę, wreszcie pomalować; należy wyznaczyć pomyślną datę na wymalowanie oczu i otwarcie ust. Zwyczajnie prosisz, panie, o niemożliwe.

Krima popatrzył na kapłana z pogardą i splunął na ziemię. „Sprawiłem, że cesarz zadrżał na swoim tronie. Jestem narzędziem bogów. Kim jest ten robak, że próbuje mówić mi, co jest możliwe, a co nie?”

– Mówiłeś, że dziesięciu ludzi przez rok pracowało nad posągiem. Ja jednak daję ci ich ponad tysiąc. Z pewnością wykonają w trzy dni tę samą ilość pracy.

– Według tego założenia – powiedział kapłan – gdybyś miał, panie, dziewięć kobiet, z pewnością mogłyby urodzić ci dziecko w miesiąc.

Bezczelny ton kapłana wzbudził w Krimie natychmiastowy gniew. Nazwał go

bluźniercą – ponieważ twierdził, że pracy bogów nie da się wykonać szybko – i został skazany na śmierć przez rozcięcie mu brzucha przed świątynią Fithowéo, żeby wszyscy mogli widzieć, jak poplątały się jego wnętrzności przez uporczywość i wewnętrzną ślepotę.

Po egzekucji wszyscy inni kapłani zapewnili króla Huno, że jego żądanie jest jak najbardziej wykonalne, i obiecali pracować jak najwytrwalej.

Po trzech dniach wokół stajni przemianowanej na odświętną salę stało osiem gigantycznych posągów bogów. Ze względu na ograniczony czas kapłani i robotnicy nie stworzyli niczego, z czego byliby dumni. Na przykład posąg Tututiki został wykonany z powiązanych ze sobą wiązek siana byle jak owiniętych materiałem. Dziury wypełniono gipsem, a całość pomalowano grubymi warstwami farby, wylewanej raczej niż nakładanej za pomocą pędzli przypominających szczotki do zamiatania, z niewielką dbałością o estetykę. W ten sposób twórcy otrzymali coś, co bardziej przypominało przerośniętego, byle jak skleconego stracha na wróble niż poważne przedstawienie bogini piękna.

Pozostali bogowie – o ile to w ogóle możliwe – wyglądali jeszcze gorzej. Użyto przeróżnych materiałów: kamieni i drewna pozostałego po budowie świątyni, pokruszonych fragmentów miejskich murów, pływających na powierzchni Liru szczątek, wypełnienia odzieży zimowej – zdesperowani robotnicy nawet zmusili kilka okolicznych rodzin do wyprowadzki i zburzyli ich domy, żeby zdobyć więcej materiałów. Wszystkich bogów przedstawiono w sztywnych pozach – bo tak było prościej – a ich rysy twarzy były prymitywnie ciosane i pokryte plamami błyszczącej złotej farby, która nie zdążyła wyschnąć.

Posąg Fithowéo był chyba najgorszy ze wszystkich. Kiedy główny kapłan został stracony, jego zastępca postanowił, że najbezpieczniej będzie rozbić posąg znajdujący się w świątyni i przenieść kawałki pod byłą stajnię, by tam złożyć go na nowo. Świętokradczy charakter takiego przedsięwzięcia nie miał znaczenia – groźba kolejnego wypatroszenia potrafiła sprawić, że doktryny stawały się elastyczne. Przewiezenie kawałków na miejsce, złożenie ich w całość i zalepienie miejsc łączenia wiadrami gipsu i nową warstwą farby było nie lada wyczynem i prace zostały ukończone dosłownie na ostatnią chwilę.

Ludzie przydzieleni do tego zadania mieli szczęście o tyle, że mogli użyć wielkiego konia jucznego. To niezwykle, ogromne stworzenie, pochwycone przez Krimę i Shigina razem z pozostałymi zwierzętami przebywającymi w stajni, z początku wprawilo wyzwolicieli w osłupienie: dokładnie dwa razy dłuższy niż największy z xańskich wierzchowców i niemal o połowę wyższy, ten gigantyczny, czarny jak węgiel koń z gęstą grzywą wydawał się przeznaczony dla wielkiego króla, więc Krima natychmiast ogłosił się jego właścicielem.

Wkrótce jednak przekonał się, dlaczego konia trzymano w najciemniejszym kącie stajni. Zwierzę było uparte i narowiste, w dodatku poruszało się bez gracji i nie wypełniało poleceń. Dowódca xańskiego garnizonu wyjaśnił, że nawet najlepsi treserzy nie potrafili poskromić tego zwierza, ponieważ najwyraźniej był on zbyt głupi. Nikt nie potrafił go dosiąść, więc używano go tylko do przewożenia ciężkich ładunków, a i wtedy trzeba go było nieustannie dyscyplinować biczem.

Rozczarowany Krima wysłał durnego konia do pomocy przy budowie posągów, a teraz

zwierzę stało całe roztrzęsione i zziębnięte u stóp wielkiego Fithowéo, wciąż próbując dojść do siebie po całej nocy i poranku wyczerpującej pracy. Robotnicy, którzy pokładli się dokoła, nie byli w lepszym stanie. Potrafili myśleć tylko o tym, by znaleźć bezpieczne miejsce poza zasięgiem wzroku króla i uciąć sobie drzemkę.



Skoro list króla Thufiego uciszył wszelkie spekulacje na temat prawomocności tytułu króla Huno, kapitanowie i generałowie wstali, żeby wznieść toast za nowego władcę – bardzo już pijanego. Ledwo potrafił siedzieć prosto na swoim prowizorycznym tronie – starej wypchanej poduszce burmistrza, pomalowanej złotą farbą i umieszczonej na czterech beczkach wody – więc tylko przykladał czarę do ust i kiwał głową za każdym razem, gdy ktoś wznosił toast.

Był szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy.

Najwyraźniej nikt już nie zwracał uwagi – a przynajmniej nie mówił o tym głośno – na nieobecność księcia Shigina.

Na wczesnym etapie uczyli jeden z kapitanów króla – wyraźnie równie mądry co ten wielki koń juczny – zaczął się głośno zastanawiać w rozmowie, gdzie mógł się podziąć księżę Shigin w czasie tak uroczystego przyjęcia. Jego towarzysze udawali, że go nie słyszą, i próbowali zagłuszyć go wiwatami, jednak to go nie powstrzymało.

Hałas przyciągnął uwagę króla Huno, który spojrzał w kierunku kapitana, marszcząc czoło. W ciągu minuty dowódca strażników – bardzo mądry człowiek, który zdawał się zawsze wiedzieć, czego pragnie władca – wydał rozkaz. Towarzysze niemądrego kapitana instynktownie schowali się pod stołem, a krzykacz zaraz został przeszyty tuzinem strzał.

Później księżę Shigin mógłby równie dobrze nie istnieć, przynajmniej jeśli chodzi o gości przyjęcia.

W głowie Dafiro zrodziła się dziwna myśl: że nie tyle patrzy na króla, co na aktora grającego rolę króla w przedstawieniu. Jeszcze w dzieciństwie on i jego brat uwielbiali teatr cieni, który wystawiała wędrująca po całej Darze trupa, wykorzystując przy tym kolorowe marionetki, jasne jedwabne ekrany i głośne talerze oraz trąbki. Przyjeżdżali do rodzinnej wsi braci popołudniem i ustawiali swój teatrzyk na placu pośród zabudowań.

Pierwsi widzowie pojawiali się o zmierzchu, po skończonym dniu pracy i zjedzeniu obiadu, a trupa wystawiała lekką komedię ku uciechu rosnącego tłumu. Aktorzy chowali się za podniesioną sceną, płonące za nimi ognisko rzucało kolorowe cienie gadających, misternie wykonanych marionetek na jedwabne ekrany, a puenty sprośnych dowcipów podkreślały głośne uderzenia talerzy.

Potem zaś, kiedy zapadał zmrok i większość mieszkańców zdążyła się już zebrać przed sceną, trupa zaczynała swój główny występ, zazwyczaj będący tragiczną opowieścią z dawnych lat, o kochankach złęczonych przeznaczeniem, ślicznych księżniczkach i odważnych bohaterach, złych premierach i naiwnych królach. Marionetki śpiewały długie, piękne i smutne arie przy akompaniamencie kokosowych lutni i bambusowych fletów. Dafiro i Ratho często zasypiali, opierając się jeden o drugiego, gdy słuchali tych na długo zapadających w pamięć pieśni, i patrzyli w niebo pełne gwiazd wędrujących powoli nad

ich głowami.

W jednej ze sztuk, tej, o której właśnie myślał Dafirow, żebrak założył szatę prostytutki i papierową koronę, a potem udawał króla. Był przezabawny, a mieszkańcy wsi śmiali się do rozpuku, gdy marionetka tańczyła na scenie. Był to paw, a właściwie kogut udający pawia.



Po kolejnej kwiecistej, ledwo zrozumiałej przemowie skleconej z komunałów zaczerpniętych z ksiąg historycznych, wygłaszający ją kapitan usiadł i otarł brwi, zadowolony, że nie wymyśliło mu się nic, co mogłoby zirytować nowego króla.

Inny mężczyzna wstał, natychmiast zwracając na siebie uwagę wszystkich zebranych w pomieszczeniu: miał ponad dwa metry wzrostu i tułów gruby jak beczka wina. A do tego te oczy! Cztery ciemne punkciki błyszcząły w świetle pochodni. Stał tylko i nie podnosił swojego kielicha, żeby wznieść toast, a wszelkie szmery i szeptki zaraz ucichły.

– Kim... kim jesteś? – zapytał z naciskiem król Huno.

– Nazywam się Mata Zyndu – odparł nieznajomy. – Przybyłem poznać Huno Krimę i Zopę Shigina, bohaterów rebelii. Jednak widzę tylko małą przebraną za człowieka. Niczym się nie różnisz od głupców, których Mapidéré wywyższył ponad stan. Ani cesarski tytuł, ani powszechne uznanie nie uczynią słonia mrówką. Człowiek nigdy nie może pełnić roli, do której się nie urodził.

Zapadła śmiertelna cisza.

– Ty... ty... – Królowi Huno gniew odebrał mowę. Kapitan strażników zagwizdał i wszyscy zebrani obok Maty goście natychmiast się od niego odsunęli. Strażnicy napięli cięciwy tak mocno, że łuki wygięły się w idealne półksiężyce. Mata przewrócił stół, żeby trzymać go przed sobą jak tarczę, rozrzucając miseczki, dzbany i kubki.

Wielki koń juczny, który stał przy posągu Fithowéo, zarżał i skoczył, zrywając się z wodzy, wciąż przywiązanych do nóg posągu. Jednak sam posąg nie miał zbyt mocnych fundamentów, więc zaczął się przechylać.

Czas jakby zwolnił. Strzały poszybowały w powietrze; posąg walił się; koń podbiegł do Maty; Mata skoczył na konia, którego waga i postawność zdawały się stworzone specjalnie na jego potrzeby; posąg runął na ziemię pod gradem strzał; fragmenty połamanych stołów i pobite naczynia rozprysły się wszędzie dokoła; ludzie krzyczeli.

A potem Mata zniknął w chmurze pyłu – wyjechał z niej na czarnym jak węgiel wierzchowcu, który poruszał się płynnie jak wiatr, gładko jak woda, doskonale dopasowany do Maty jak noc do samotnego wilka.

„Nazwę cię Réfiroa – pomyślał Mata, ruszając na powrót w kierunku Çaruzi. – Doskonale Dopasowany”. Wiatr rozwiewał mu włosy. Nigdy wcześniej nie czuł się tak wolny, nigdy nie czuł takiej prędkości. Razem z koniem tworzyli osobną, spójną całość.

„Jesteś wierzchowcem, jakiego szukałem, tak jak ty szukałeś swojego jeźdźca. Zbyt długo przebywaliśmy w cieniu, pozbawieni naszej prawdziwej roli na scenie świata. Dopiero kiedy istoty o prawdziwej potędze zajmują należne im miejsca, świat może właściwie funkcjonować”.

– Właśnie tak wygląda prawdziwy bohater – wyszeptał Ratho do brata.
Choć raz Dafiro nie miał nic mądrego do dodania.



- To niebezpieczny precedens, Fithowéo, mój bracie.
- Kiji, ależ ja nie zrobiłem nic szczególnego. Jakiego śmiertelnika bezpośrednio i aktywnie skrzywdziłem?
 - Obroniłeś go swoim posągiem...
 - Zapobieganie krzywdzie to co innego niż wyrządzanie jej. Nasza umowa nadal obowiązuje.
 - Spierasz się jak jeden z prawników Lutho...
 - Nie mieszajcie mnie do tego, bracia i siostry. Aczkolwiek pragnę zauważyć, że faktycznie różnica między aktem zapobieżenia a wywołania zaprzęta głowy filozofów od...
 - Dość tego! Opuść ci ten jeden raz, Fithowéo. Ten jeden raz.



Tydzień później ciało księcia Shigina odnaleziono w fosie za murami miasta. Król publicznie i głośno opłakiwał śmierć przyjaciela, przeklinając napitek, po którym Shigin wpadł do wody i się utopił.

Wszyscy starali się rozpaczać tak samo jak władca. Jeśli król Huno płakał przez pół minuty, nikt nie odważył się płakać choć sekundę dłużej. Jeśli król nigdy nie wspominał pewnego imienia w trakcie opowieści o przepowiedni ryby, nikt nie zamierzał go wymawiać. Jeśli król niechętnie wyjaśniał, że próbował z całych sił bronić księcia Shigina ze względu na ich przyjaźń, nawet jeśli zawsze był nieco tchórzliwy i miał skłonność do wyolbrzymiania swojej roli w wybuchu rebelii – wykonywał jedynie polecenia Huno – i zbyt często sięgał po napitki, wtedy historycy starannie poprawiali swoje zapiski zgodnie z sugestiami króla.

– Czy to możliwe, żebyśmy obaj źle to wszystko zapamiętali? – zapytał Ratho. – Mógłbym przysiąc, że...

Dafiro przykrył mu usta ręką.

– Cicho, braciszku. Łatwo jest dwóm mężczyznom być sobie bliskimi jak bracia, kiedy są biedni i nieszczęśliwi, jednak o wiele trudniej, gdy sprawy mają się dobrze. Przyjaciele nigdy nie są sobie tak bliscy jak rodzina. Zapamiętaj to, Rat.

Oczywiście nikt nigdy nie wspominał też niewyraźnego czerwonego śladu, który odkryto na szyi księcia Shigina, łudząco przypominającego otarcie po sznurze.



– Nie widzisz w tym nic złego? – zapytał szorstko Mün Çakri, wybałuszając oczy. – Naprawdę nie widzisz nic złego w tym, że nagle znikąd powstało Zachodnie Cocru?

Kuni Garu wzruszył ramionami.

– Jestem księciem Zudi, bo tak zdecydowali mieszkańcy. Jak taka nominacja może być bardziej prawowita od koronacji, do której doszło za sprawą przepowiedni?

– Jeśli ludzie nie zaprotestują, zaraz zaroi się od różnych królów i książąt – rzucił beznamietnie Cogo Yelu i pokręcił głową. – Będziemy kiedyś żałować tego dnia.

– Cóż, niech się pojawiają – powiedział Kuni. – Zdobycie tytułu jest łatwe. Znacznie trudniej jest go utrzymać.



Chociaż król Huno awansował wielu ludzi, żaden z nich nie zaliczał się do grupy trzydziestu robotników pańszczyźnianych, którzy razem z nim rozpoczęli rebelię. W rzeczy samej, po śmierci księcia Shigina żaden z nich nie chciał w ogóle przyznać, że towarzyszył wtedy Huno Krimie. „Ach, historia ryby. Tak, tak, bardzo dobra historia. Ktoś mi ją opowiedział”.

Król Huno lepiej sypiał.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ADMINISTRATOR KUNI

ZUDI: TRZECI MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Będąc księciem Zudi, Kuni Garu po raz pierwszy tak cieszył się z wykonywania swoich obowiązków.

Jedynym minusem było to, że jego rodzina i rodzina żony wciąż nie chcieli mieć z nim nic wspólnego – byli pewni, że zwycięstwo jest tylko tymczasowe i cesarstwo może wrócić w każdej chwili.

– Doskonale wiedzą, jak surowe są xańskie prawa – wściekał się Kuni. – Jeśli cesarstwo wróci, wszyscy zginą. Lepiej postawić wszystko na jedną kartę, czyli mnie.

Jednak przedstawiciele rodów Garu i Matiza mieli nadzieję, że Erishi okaże się bardziej łaskawy od Mapidérégo i z tego względu za roztropniejsze uważali trzymanie się na dystans od skazanych na klęskę rebeliantów. Kuni uszanował ich decyzję i nie dążył do kontaktu. (Chociaż Lu Matiza zdołała wysłać do córki wiadomość przez przyjaciół, a w niej zapewniała, że Gilo zmieni zdanie, jeśli Kuniemu nadal będzie się wieść).

Nare Garu w duchu sprzeciwiała się życzeniu męża i kilka razy przysłała w tajemnicy odwiedzić Kuniego i Jię, żeby poradzić ciężarnej i upichcić synowi jego ulubione potrawy.

– Mamo, jestem już dorosły – powiedział Kuni, kiedy Nare nakładała mu do miski słodki ryż z kolokazją.

– Dorosły człowiek nie łamałby ciągle matce serca – odparła Nare. – Tylko spójrz, jak przez ciebie osiwiłam.

Dlatego Kuni pałaszował słodki ryż z kolokazją, a Jia patrzyła na niego z uśmiechem. Obiecywał uczynić swoją matkę dumną – podobnie jak Jia była jedną z niewielu osób w jego otoczeniu, które nigdy nie przestały w niego wierzyć.

Wstawał razem ze słońcem, nadzorował poranne ćwiczenia wojska za murami miasta, wracał na szybkie drugie śniadanie, a potem aż do wczesnego popołudnia zajmował się sprawami cywilnymi i administracyjnymi – doświadczenie w pracy urzędniczej w Zudi okazało się przydatne, podobnie jak dobre relacje z biurokratami, jego dawnymi kolegami, bo dzięki temu doceniał wagę ich niezbyt efektownej pracy. Po krótkiej drzemce spotykał się z najważniejszymi przedsiębiorcami w mieście i starszyzną ze wsi, żeby wysłuchać ich problemów. Zapraszał ich na obiad, a potem przeglądał dokumenty aż do czasu, kiedy należało się położyć spać.

– Na Bliźniaczki, nigdy nie widziałam, żebyś tak ciężko pracował – powiedziała Jia. Głaskała Kuniego po włosach i plecach, jakby był wielkim, przymilnym psiskiem.

– Co ty nie powiesz – odparł Kuni. – Teraz piję już tylko do posiłków. Nie jestem pewien, czy to zdrowe. – Obliznął usta, ale powstrzymał się przed rozglądaniem się za butelką. Jia już z nim nie piła, twierdząc, że to niebezpieczne w jej stanie. („Jesteś pewna,

że nawet kilka łyczków mogłoby ci zaszkodzić?” „Kuni, nie było mi łatwo zająć w ciążę. Nie zamierzam ryzykować”).

– Dlaczego musisz się spotykać z tymi starymi chłopami? – zapytała Jia. – Burmistrz nigdy się nimi nie przejmował. Dokładasz sobie tyle pracy.

Twarz Kuniego przybrała poważny wyraz.

– Ludzie kiedyś widywali mnie, jak maszerowałem chwiejnym krokiem przez ulice, rozwrzeszczany, pijany, w towarzystwie kolegów. Myśleli, że jestem niedojrzałym dzieciakiem. Potem zobaczyli, jak pracuję jako najemny cesarski sługa, i myśleli, że jestem nudnym biurokratą bez ambicji. Ale się mylili. Kiedyś uważałem, że chłopci niewiele mają do powiedzenia, ponieważ nie chodzili do żadnej szkoły. Sądziłem, że robotnicy to prymitywy, ponieważ brakuje im organu odpowiedzialnego za wyższe uczucia. Jednak myliłem się. Jako strażnik więzienny nigdy nie rozumiałem swoich więźniów. Kiedy jednak stałem się rozbójnikiem, byłem blisko najniższych z najniżej położonych: kryminalistów, niewolników, dezertersów, ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia. Było to dla mnie zaskoczeniem, kiedy odkryłem, że mają w sobie niewidoczne na pierwszy rzut oka piękno i grację. Nie byli źli z natury, jednak stali się tacy przez zło swoich władców. Biedacy byli gotowi na trudy, jednak cesarz pozbawił ich wszystkiego. Ci ludzie mieli proste marzenia: kawałek ziemi, ciepły dom, trochę dobytku, rozmowy z przyjaciółmi, szczęśliwe małżeństwo i dzieci. Pamiętali moje najdrobniejsze gesty uprzejmości względem nich i na podstawie kilku przesadzonych opowieści uważali mnie za dobrego człowieka. Podnieśli mnie na swoich ramionach i nazwali księciem, a ja mam obowiązek choć trochę pomóc im się zbliżyć do spełnienia ich marzeń.

Jia słuchała uważnie. Przemowa jej męża pozbawiona była typowego dla niego żartobliwego tonu. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich ten sam szczery blask, który dostrzegła w nich wiele lat temu, gdy zapytała go o przyszłość.

Jej serce napełniło się taką radością, jakby miało zaraz pęknąć.

– W takim razie pracuj dalej. – Przytrzymała nieco dłużej palce na jego ramieniu, a potem poszła spać.



Kiedy Jia udała się do sypialni, Kuni pomyślał o tym, by wymknąć się z domu i wypić kilka łyków z Rinem Codą w Cudownej Urnie.

Rin obiecywał mu świetną zabawę.

– Wdowa Wasu przygotowała dla nas wyjątkowe rozrywki. Naopowiadała ludziom, że często do niej przychodziłeś i że wciąż cię szanuje. Jeśli się pojawisz, wyświadczysz starej znajomej wielką przysługę.

Bycie księciem Zudi jest bardzo męczące, a od przesiadywania cały dzień w *mipa rari* bolały plecy. Kuni naprawdę miał ochotę wyjść i spędzić czas z przyjaciółmi – rozsiąść się wygodnie w *géüpa*, nie przejmować się swoim wyglądem, mówić, co tylko przyszłoby mu do głowy, nie martwić się, że ktoś go będzie podsłuchiwał. Jednym słowem być dawnym sobą, a nie „odpowiedzialnym człowiekiem”.

A jednak zdawał sobie sprawę, że nie może tego uczynić, nieważne, jak bardzo by

chciał. Czy mu się to podobało, czy nie, był teraz księciem Zudi, a nie bandytą Kunim Garu. Już nigdzie nie będzie mógł się w pełni zrelaksować. Gdzie się nie pojawi, ludzie będą patrzeć na niego przez pryzmat nowego tytułu.

Wdowa Wasu chciała go zobaczyć u siebie, żeby uszczknąć nieco jego sławy i zmienić ją w pijanych klientów i miedziane monety.

Rin rozkręcił interes – przyjmował pieniądze od ludzi w zamian za „dostęp” do księcia Zudi. A Wasu była pewnie jego nową klientką.

Cogo Yelu się to nie podobało, jednak Rin odpowiedział mu, cytując przysłowie z klasycznego ano: *Datralu gacruca ça crunpén ki fithéücadipu ki lodü ingro ça néficaü*. Żadna ryba nie może żyć w idealnie czystej wodzie.

Kuni zgodził się, że warto utrzymywać kontakt z przestępcami, zapewnił także Cogo, że ludzie skierowani do niego przez Rina nie mogą liczyć na szczególne traktowanie.

Ale miał tyle pracy. Starszyzna pewnej wioski, z którą spotkał się wcześniej, mówiła o potrzebie naprawienia kanałów irygacyjnych. Chciał jeszcze przejrzeć budżet dostarczony przez kamieniarzy poleconych przez Rina, żeby się upewnić, że jest sprawiedliwy. Może przeczyta jeszcze tylko kilka petycji...

Nie minęło wiele czasu i zasnął przy biurku, a strużka śliny moczyła kartkę papieru pod jego twarzą, gdy śnił o czarkach słodkiego, gorącego ale z sorgo.



– Panie Garu, musimy porozmawiać o finansach – powiedział Cogo Yelu.

Kuni był jednocześnie rozbawiony i rozzłoszczony, kiedy dawni przyjaciele zwracali się do niego w ten sposób. Pewnie, mile go łechtało, gdy tytułowali go tak dawni cesarscy żołnierze, którzy kiedyś nękali jego i jego przyjaciół, jednak zupełnie niewłaściwie brzmiał ten zwrot wypowiedziany przez Cogo, którego zawsze uważał za starszego brata. Poza tym w jego tonie nie było nawet cienia żartu. Właśnie kłaniał mu się nieznacznie, spuszczać wzrok.

– Daj sobie spokój z tym panem, dobrze? Jesteśmy starymi przyjaciółmi, a zachowujesz się jak nieznajomy.

– Faktycznie jesteśmy przyjaciółmi – odparł Cogo – jednak przyjęliśmy pewne role i założyliśmy maski, a to wiąże się z pewnymi konsekwencjami. Autorytet to rzecz krucha i trzeba o niego dbać poprzez odpowiednie rytuały, przeprowadzane zarówno przez rządzących, jak i rządzonych.

– Cogzy, jeszcze nic dzisiaj nie wypilem, więc jest zdecydowanie zbyt wcześnie na twoje filozofowanie.

Cogo westchnął i uśmiechnął się pod nosem. Brak szacunku dla konwenansów był zarówno tą cechą Kuniego, która tak mu się w nim podobała, jak i przyczyną obaw o to, gdzie go to doprowadzi. Chciał pomóc temu młodemu człowiekowi, który wydawał mu się nieopierzonym orłem.

– Kuni, ludzie nie będą cię traktować poważnie, jeśli zobaczą, że dawni przyjaciele zwracają się do ciebie jak do równego sobie. Będzie ich to wprawiać w konsternację. Aktor udający króla na scenie sprawi, że widownia naprawdę pomyśli o nim jak o królu,

jeśli jego koledzy na scenie będą się do niego odpowiednio zwracać. Jeśli jednak choć jeden z trupy puści do nich oko, iluzja zostanie zniszczona. Jesteś teraz księciem Zudi i najlepiej będzie, jeśli jasno dasz znak, że to ty rządysz, bez względu na to, z kim rozmawiasz.

Kuni niechętnie przytaknął.

– W porządku, możesz mnie nazywać panem Garu przed innymi ludźmi. Ale dla mnie nadal jesteś Cogzy. Po prostu „minister Yelu” nie przejdzie mi przez gardło. Nie sprzeciwiaj się. Wiesz, jaki mam problem z nowymi tytułami.

Cogo pokręcił głową, ale postanowił odpuścić.

– Finanse, panie Garu.

– Co z nimi?

– Pieniądze, które przejęliśmy z cesarskiego skarbcza Zudi, skończyły się. Wiele z tych środków przesłaliśmy do Çaruzy, kiedy król Thufi poprosił o fundusze na Korpus Ekspedycyjny Krimy i Shigina. Pozostałą część wydaliśmy na żołąd, a także, no cóż, na imprezy uliczne oraz darmowe ubrania i jedzenie dla mieszkańców Zudi za słuchanie twoich rozkazów.

– Pewnie zaraz mi powiesz, że podatki spływają zbyt wolno.

– Panie Garu, twoja szczodrość jest niezwykła. Zniosłeś wiele wysokich cesarskich podatków, a te nowe, wprowadzone na twoje polecenie, są całkiem sprawiedliwe i niewielkie. Jednak nie udało nam się zbyt wiele ich zebrać. Przedsiębiorcy w Zudi są rozdarci. Nie mają pewności, czy rebelianci wygrają, a jeśli cesarstwo wróci, każdy podatek przekazany w nasze ręce okaże się wtedy zmarnowany. Dlatego też... grają na czas.

Kuni podrapał się po głowie.

– Żołnierzom trzeba będzie zapłacić, oczywiście, nie zapomniałem też o twojej pensji i o wynagrodzeniu dla wszystkich tych, którzy stali za mną w trudnych czasach. Nie chcę też zbyt mocno naciskać, bo nic nie powoduje takiej wściekłości wśród ludzi jak nadgorliwi poborcy podatkowi.

– Pan Garu jest bardzo mądry. Jednak ja mam pewną propozycję.

– Wysłuchajmy jej zatem.

– Weźmy na przykład restauracje. Wszelkie tego typu lokale potrafią unikać płacenia podatków poprzez prowadzenie podwójnej księgowości. Może i zarobią sto pięćdziesiąt sztuk srebra przez wieczór, jednak w księgach wykażą jedynie pięćdziesiąt. Musimy znaleźć sposób na opodatkowanie tych ukrytych pozycji.

– A jak proponujesz to zrobić?

– Sugeruję ogłoszenie nowej loterii, żeby nagrodzić szczęśliwych i wolnych mieszkańców Zudi.

– Niestety nie rozumiem, jak to się ma do podatków.

– Istnieje taka relacja, choć nie bezpośrednia, ponieważ wszystkie pieniądze są w nieustannym obrocie.

– Na tym polega twój genialny pomysł? Będziemy musieli zaoferować naprawdę dużą nagrodę, żeby zainteresować ludzi. W mieście funkcjonuje mnóstwo salonów hazardowych. Jak mamy z nimi wygrać?

– Nie, loteria to tylko przykrywka dla czegoś znacznie poważniejszego. Widzisz, ludzie nie będą kupować losów bezpośrednio. Zamiast tego dostaną je za zakupy, jako swego rodzaju rachunek. Za każdą wydaną sztukę srebra dostaną od sprzedawcy darmowy los na loterię. Im więcej będą wydawać, tym więcej dostaną losów.

– A skąd sprzedawcy wezmą te losy?

– Będą musieli kupić je od nas.

Kuni zastanowił się. Plan wydawał się niedorzeczny, a jednak... zmyślny.

– Cogzy, ty łotrze! – Kuni poklepał go po plecach. – Przy takim układzie sprzedawcy nie będą mogli oszukiwać w księgach, ponieważ klienci będą domagać się właściwej liczby losów. A ponieważ losy będziemy wydawać tylko my, będą nam płacić takie podatki, jakie należałyby się za ich realne dochody.

– Właśnie tak to powinno działać.

– I w ten sposób zmienisz każdego mieszkańca Zudi w poborcę podatkowego. – Kuni wyobraził sobie minę wdowy Wasu, kiedy zda sobie sprawę, że nie będzie mogła dłużej unikać płacenia podatków, i nawet zrobiło mu się trochę przykro. – Nie masz wstydu.

– Uczę się od najlepszych. Kiedy pan jest honorowym bandytą, jego sługa musi wymyślać niekonwencjonalne sposoby osiągnięcia celów.

Cogo i Kuni roześmiali się wspólnie.



Kuni nie naśladował stylu przygotowań wojskowych Krimy i Shigina. Ze względu na to, w jaki sposób upadły jego romantyczne wizje na temat rozbójnictwa, podejrzewał, że chłopci, niesieni falą chwilowej radości po niespodziewanym obaleniu xańskich panów, nie mogą się równać z wyszkolonymi cesarskimi żołnierzami. A tylko kwestią czasu było, kiedy cesarstwo obudzi się z letargu i zacznie walczyć na poważnie.

– Panie Garu! – Muru zasalutował elegancko, kiedy Kuni pojawił się na terenach ćwiczebnych nieopodal bram miejskich Zudi.

Okazało się, że Muru całkiem przyzwoicie włada mieczem, a dzięki przywiązaniu tarczy do lewego ramienia mógł walczyć nie gorzej niż pozostali rozbójnicy z bandy Kuniego. Teraz, gdy Kuni przejął Zudi, Muru został majorem dowodzącym jednym z oddziałów pilnujących główne bramy.

Kuni machnął na niego, żeby spoczął. Wciąż czuł wyrzuty sumienia na myśl o tym, co spotkało Muru, więc taki szacunek z jego strony go zawstydział.

– Jak się ma Phi? – zapytał.

Muru pokazał brodą na miejsce do ćwiczeń.

– Tam jest, ciężko pracuje z komandorem Çakrim.

Kuni musiał robić, co się dało, żeby zmienić byłych bandytów i buntujących się mieszkańców w coś przynajmniej przypominającego prawdziwą armię. Zaczął od przydzielenia Münowi Çakrimu zadania prowadzenia ćwiczeń dla żołnierzy.

Zdziwiła go scena, której był świadkiem. Wytyczono koło o średnicy piętnastu metrów i otoczono je płotem. Ziemię w środku polano wodą, żeby uzyskać błoto. Pięć dużych świń z kwikiem biegało dokoła, podczas gdy dziesięciu mężczyzn – równie wytarzanych

w błocie co zwierzęta – rzucało się za nimi, przy każdym kroku z trudem wyciągając nogi z gęstej mazi.

– Co tu się dzieje? – zapytał Kuni.

– Jako że jestem rzeźnikiem – powiedział Çakri, dumnie wypinając pierś – moje metody szkoleniowe mogą się wydawać nieco niekonwencjonalne.

– To jest szkolenie?

– Zapasy ze świniami w błocie rozwijają zwinność i wytrzymałość, panie Garu. – Kiedy Çakri patrzył na spoconych, pokrytych błotem żołnierzy i kwiczące głośno prosiaki, jego bujna broda sterczała we wszystkie strony niczym kolce jeża. – Dzięki temu będą gotowi na śliskie sztuczki cesarskich wieprzy.

Kuni kiwnął głową i odszedł, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Musiał przyznać, że w szaleństwie Müna była metoda.

Dawny stajenny, Than Carucono, został dowódcą kawalerii. Jednak dla setki ludzi miał jedynie pięćdziesiąt koni.

– Potrzebuję więcej zwierząt – zaczął swój typowy lament, gdy tylko zobaczył księcia.

– Ja potrzebuję wielu rzeczy: więcej ludzi, więcej pieniędzy, więcej broni i więcej zapasów, ale jakoś nie narzekam. Than, będziesz musiał pracować z tym, co masz.

– Potrzebuję więcej koni – odparł uparcie Than.

– Zacznę cię unikać, jeśli nie wymyślisz nowego powiedzonka.

W kwestii taktyki, sztuki oblężenia i formacji piechoty Kuni zgłosił się do kapitana Dosa, który był najwyższym postawionym cesarskim żołnierzem w garnizonie Zudi. Dosa poddał się, kiedy jego ludzie rzucili broń przed zbuntowanymi mieszkańcami, i wydawał się oddany misji rebeliantów. Kuni nie do końca mu ufał, jednak czuł, że nie ma innego wyjścia. W końcu nikt spośród jego ludzi nie miał wykształcenia militarnego.



Kuni regularnie wysyłał swoich ludzi na patrole po okolicznych terenach, żeby wypędzić stamtąd rozbójników. Prośbą i groźbą udało mu się wielu z nich zwerbować do swojej armii – chociaż Cogo i Rin musieli go przekonać do powieszenia dla przykładu kilku znanych przywódców takich band, którzy mieli najwięcej zabójstw na sumieniu. Choć kiedyś sam dzielił los wyrzutka, nie przeszkadzało mu to teraz w byciu ich najgorszym wrogiem. I znowu była to kwestia czysto ekonomiczna: handlarze, sprzedając towary, generowali zysk, który potem opodatkowywano, a z tych podatków korzystał książę. Jednak nic z tego nie wychodziło, gdy bandyci tamowali przepływ pieniędzy.

Przed upływem trzeciego miesiąca nowego roku kupcy znowu zaczęli przyjeżdżać do Zudi, a targowiska miejskie na powrót tętniły życiem. Rolnicy na wsi rozpoczęli wiosenne wysiewy i nawet ryby z wybrzeża dało się na nowo zauważyć w Zudi.

– Jak na kogoś, kto kiedyś nie potrafił zapanować nawet nad kilkoma więźniami, całkiem dobrze sobie radzisz w zarządzaniu miastem – powiedziała Jia.

– Dopiero zaczynam – pochwalił się Kuni.

Jednak martwił się. Wszystko szło dobrze – zbyt dobrze. Był pewien, że to cisza przed burzą i za chwilę cesarstwo wykona ruch.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

KRÓL RIMY

RUI I NA THION, WIELKA WYSPA: TRZECI MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Tanno Namen był już stary.

Całe swoje życie służył w wojsku. Chcąc bronić ojczyzny i przynosić chwałę Kijemu, rozpoczął swoją karierę jako szeregowy żołnierz z piką pod dowództwem generała Kolu Tonyetiego, ojca generała Gothy Tonyetiego. Dzięki odwadze i niesłabnącej determinacji powoli wspinał się coraz wyżej. Kiedy wreszcie przeszedł na emeryturę jako xański generał, miał za sobą pięćdziesiąt lat spędzonych na polu bitwy.

Potem udał się na północny brzeg wyspy Rui, do swojej rodzinnej wioski, gdzie kupił sporą działkę nad samym morzem. Zasadził drzewa oliwne i kolcowoje i przygarnął kulawego psa. Tozy, bo tak go nazwał, kładł się obok niego, gdy ucinał sobie drzemkę na patio, skąd w nocy dało się spoglądać na gwiazdy.

Dnie spędzał w małej łódce, pływając po wzburzonych wodach zatoki Gaing. Czasami, kiedy morze było spokojne, zostawał tam przez kilka dni i dawał się ponieść prądom, w południe śpiąc w cieniu żagla, żeby się nie przegrzać, a w nocy sącząc wino ryżowe, żeby się nie wyziębić. Kiedy miał na to ochotę, zatrzymywał się, spuszczał kotwicę i wyciągał wędkę.

Lubił łowić marliny i mole. Nic nie mogło się równać posiłkowi ze świeżej surowej ryby.

Czasami o wschodzie słońca mógł obserwować wyskakujące z wody piękne dyrany o błyszczących tęczowo płetwach, z długimi i jedwabistymi ogonami zataczającymi łuki przed dziobem jego łódki. Zawsze wtedy wstawał, przykładając uroczyście dłoń do serca i kłaniał im się. Chociaż całe życie spał z mieczem u boku i nigdy nie pojął żony, wielkim szacunkiem darzył symbolizowaną przez dyrane siłę kobiecości.

Jedyną miłością życia Namena była Xana. Walczył dla niej i przelewał krew, aż w końcu została wywyższona ponad inne królestwa Tiro. Namen nie miał wątpliwości, że jego dni na polu bitwy dobiegły końca.



– Spójrz na mnie – powiedział. – Moje członki są sztywne i powolne. Ręka, w której dzierzę miecz, trzęsie się, gdy próbuję ją podnieść. Jestem jedną nogą w grobie. Dlaczego po mnie przybyłeś?

– Regent – Kindo Marana zawahał się, ostrożnie dobierając słowa – oddalił wielu generałów, podejrzewając ich o nielojalność. Nie mogę mówić o tym, co sądzę o tych

oskarżeniach. Jednakże zostało mi zaledwie kilku wyższych rangą dowódców z umiejętnościami i doświadczeniem. Potrzebuję, rozpaczliwie potrzebuję kogoś, kto powstrzyma falę rebeliantów.

– Młodzi ode mnie będą musieli stanąć do walki. – Namen pochylił się, żeby pogłaskać Tozy’ego po plecach. – Ja już odbyłem służbę.

Marana popatrzył na staruszka i jego psa. Napił się herbaty, a w myślach kalkulował.

– Rebelianci mówią, że Xana stała się leniwa – powiedział Marana tonem kontemplacyjnym i cichym, jakby mówił sam do siebie. – Mówią, że przyzwyczailiśmy się do wygodnego życia i zapomnieliśmy, jak się walczy.

Namen słuchał, nie okazując w żaden sposób, że dotarły do niego te słowa.

– Jednak inni twierdzą, że Xana nie zmieniła się choćby o jotę. Ich zdaniem Zjednoczenie dopełniło się wyłącznie dlatego, że pozostałe królestwa były słabe i podzielone, a nie ponieważ Xana była silna i odważna. Drwią z historii o bohaterstwie generała Tonyetiego i generała Yumy, nazywając je bajkami i propagandą.

Namen rzucił filiżanką o ścianę.

– Ignoranci i głupcy! – Tozy postawił uszy i odwrócił się, żeby zobaczyć, co tak rozgniewało jego pana. – Nie są godni całować stóp generała Tonyetiego, a co dopiero wymawiać jego imię. W najmniejszym palcu u stopy generała Tonyetiego jest więcej męstwa i honoru niż w setce takich ludzi jak Huno Krima.

Marana w dalszym ciągu sączył herbatę, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Aby zmotywować człowieka, należy znaleźć jego wrażliwe punkty i naciskać tak długo, aż nie będzie się mógł doczekać, by zrobić to, czego od niego chcesz. Zupełnie tak, jak pokonywanie unikającego płacenia podatku kupca polegało na znalezieniu tej jednej rzeczy, na której najbardziej mu zależało, i ścisaniu jej, aż kupiec sam otworzy sakiewkę i ze łzami w oczach odda wszystko, co posiada.

– Rebeliantom faktycznie tak dobrze idzie? – zapytał Namen, kiedy się już nieco uspokoił. – W dzisiejszych czasach trudno o rzetelne wieści.

– Och tak. Może nie wyglądają na silnych, ale nasi żołnierze biorą nogi za pas, gdy tylko zobaczą na horyzoncie wzniecany przez nich kurz. Mieszkańcy Sześciu Królestw chcą zobaczyć, jak ziemia spływa xańską krwią, żeby zaspokoić swoją żądzę zemsty. Cesarze Mapidéré i Erishi nie rządzą... łaskawie.

Namen, który dotąd siedział w pozycji *géüpa*, westchnął i rozprostował nogi. Przytrzymując się stołu, podniósł się nie bez trudu. Tozy podszedł, domagając się pieśczoł, i Namen schylił się, by podrapać psa po grzbiecie, jednak zaboląły go plecy i musiał się zaraz wyprostować.

Rozciągnął zeszywniałe mięśnie i przeczesał siwe włosy. Nie wyobrażał sobie, że wsiądzie na konia albo machnie mieczem choćby z jedną dziesiątą dawnej siły.

Jednak był prawdziwym xańskim patriotą i zdał sobie sprawę, że jego dni na polu bitwy jednak nie dobiegły jeszcze końca.

Podczas gdy Marana pozostał na Rui, żeby zebrać ochotników – młodych mężczyzn chętnych na przysgodę i gotowych umrzeć, by chronić owoce xańskich podbojów – Namen obrał kurs na Wielką Wyspę. Zamierzał przejąć dowództwo nad obroną Pan i przekonać się, czy rebelianci mają jakieś słabe strony, które dałoby się wykorzystać.



Wzdłuż północno-zachodniego brzegu Wielkiej Wyspy leżały dawne terytoria Haanu, okalające płytkie i zimne wody zatoki Zathin. Wciąż znajdowały się pod okupacją cesarstwa. Dno zatoki było pełne małży, krabów i homarów, a sezonowo pojawiały się tutaj foki przyplływające na żer.

Nieco dalej od brzegu ziemia trochę się podnosiła i porastał ją ciemny las. Puszcza Pierścieniowa – wiekowa, pierwotna, o kształcie diamentu – stanowiła serce zmartwychwstałej Rimy. Przed Zjednoczeniem Rima, jako mało zamieszкана i bez dostępu do morza, była najsłabszym z Siedmiu Królestw. To paradoks, że Fithowéo – bóg wojny, broni, kowali i rzeźników – wybrał na swój dom tę porośniętą drzewami krainę.

Chociaż z wysokich dębów Rimy robiono maszty i kadłuby statków w marynarkach pozostałych królestw, sama Rima nigdy nie miała ambicji panowania nad morzem. W rzeczy samej, jej armia słynęła z umiejętności kopania głębokich tuneli pod obozami przeciwników, by wysadzać ich za pomocą fajerwerków, którą to sztukę rzemieślnicy Rimy udoskonalili podczas pracy w bogatych w surowce górach Damu i Shinane.

Stara xańska pieśń sprzed Zjednoczenia brzmiała mniej więcej tak:

*Władza nie znosi próżni, potrzeba wymaga zaspokojenia,
Cocru i Faça siłę daje ziemia;
Górnicy Rimy niosą ogień w każdej dłoni.
Dzięki statkom Amu Haan i Gan są władcami morskiej toni,
Jednak kto panem powietrza zostanie,
Temu przypadnie nad światem panowanie.*

Utwór ten rzekomo wyjaśnia, dlaczego Xana, kiedy już udało jej się zbudować sterowce, zwyciężyła wszystkie pozostałe królestwa Tiro. W rzeczywistości jednak opis Rimy był nieco podkoloryzowany. Górnicy z Rimy może i budzili niegdyś strach, jednak czasy te dawno minęły, a wraz z nimi zgasły ostatnie iskry przemijającej chwały.

Dawno temu, jeszcze przed Zjednoczeniem, bohaterowie Rimy, dzierżąc broń wykutą przez najlepszych mieczników w całej Darze, dominowali nad Wielką Wyspą. Trzy Braterskie Królestwa Haanu, Rimy i Faça założyły sojusz, w ramach którego wykorzystywano piękne i zaawansowane technicznie statki Haanu, władających doskonałą bronią wojowników z Rimy i twardą, nieustraszoną piechotę z Faça – powstała w ten sposób siła była nie do pokonania. Z całej trójki to właśnie wojownicy Rimy cieszyli się największą sławą.

Jednak były to czasy niewielkich armii, kiedy to stal była rzadka i kosztowna, a bitwy wygrywało się dzięki pojedynczym mistrzom, którzy walczyli jeden na jednego. Przy takim systemie mała liczebność mieszkańców Rimy nie była wadą. Dzięki bogactwu płynącemu z kopalni królowie mogli sobie pozwolić na wyszkolenie elitarnych szermierzy, którym Rima zawdzięczała posłuch pośród pozostałych królestw. Wtedy też uwielbienie Fithowéo do tej ziemi było zrozumiałe.

Kiedy jednak królestwa Tiro zaczęły formować większe armie, umiejętności

pojedynczego wojownika stały się mniej istotne. Stu żołnierzy dzierzących dzidy z kruchej stali mogło pokonać mistrza ubranego w grubą zbroję, z mieczem wykonanym ze stali tysiącrotnie kutej. Waleczność kogoś takiego jak Dazu Zyndu miała znaczenie głównie symboliczne i nawet on sam rozumiał, że o wyniku bitwy decyduje strategia, logistyka i liczebność.

W takim systemie Rima nie mogła utrzymać swojej pozycji. Zdominowała ją Faça, znacznie gęściej zaludniony sąsiad z północnego wschodu, a niegdyś chwalebna przeszłość stała się jedynie odległym wspomnieniem. Królowie Rimy dla pocieszenia zwrócili się ku rytuałom i ceremoniom, wciąż śniąc sen o potędze, która dawno przeminęła.

Taka była Rima podbita przez Xanę i taka też zmartwychwstała.



– Rima jest pusta – powiedzieli szpiedzy wysłani przez generała Namena. – Faça przegoniła naszych żołnierzy i ustanowiła królestwo Rimy kilka miesięcy temu. Jednak wojsko wezwano z powrotem, by pomogło rozwiązać spór z Ganem. Żołnierze Rimy nie są wyszkoleni, a ich dowódcy się boją. Można ich łatwo przekupić złotem, kobietami i obietnicą łaskawości cesarza.

Namen kiwnął głową. Pod osłoną nocy trzy tysiące cesarskich żołnierzy przepравиły się przez rzekę Miru, pomaszzerowały ukradkiem wokół szczytu gór Damo i zniknęły w ciemnych lasach Rimy.



Z pomocą króla Faça, Shiluégo, król Jizu, wnuczek ostatniego władcy Rimy przed Zjednoczeniem, powrócił na tron w dawnej stolicy, Na Thion.

Młody Jizu nie mógł się nadziwić zmianom w swoim życiu. Dopiero co był szesnastoletnim chłopcem, który ledwo wiązał koniec z końcem jako poławiacz ostryg nad zatoką Zathin, a najpoważniejszą sprawą zaprzatającą mu głowę było zdobycie serca Palu, najładniejszej dziewczyny w wiosce.

Potem nagle w jego chatce pojawili się żołnierze z Faça, by klęknąć przed nim i oznajmić, że od teraz jest nowym królem Rimy. Zarzucili mu na ramiona szatę z jedwabiu przetykaną złotą i srebrną nitką, podali mu starą kość crubena wysadzaną koralem i perłami przez jubilerów ze spowitej słońcą mgłą Boamy i zabrali go daleko od morza i ciemnych, ale radosnych oczu Palu, które mówiły tak wiele, obchodząc się zupełnie bez słów.

I tak oto znalazł się w Na Thion, gdzie ulice wyłożono deskami drzewa sandałowego spoczywającymi na pokruszonym pumeksie, a pałac, zbudowany z twardego drewna z rzymskich gór, wydawał się równie obcy co pałac na Księżycu. Wydawało się, że na rogu każdej ulicy stoi ołtarz poświęcony jednemu z dawnych bohaterów Rimy, żyjącemu w czasach, gdy królestwo wciąż budziło szacunek i strach na polu bitwy.

– To dom twoich przodków – mówili mężczyźni, zwący się jego ministrami. – Patrzyliśmy, jak pański ojciec tu dorastał. Patrzyliśmy, jak płakał przed Bramą Dwóch

Drzew, kiedy reszta pańskiej rodziny została wymordowana przez xańskich żołnierzy za stawianie im oporu. Och, jakże prosto stali przed swoimi egzekutorami, patrząc im w oczy bez cienia niepokoju!

Ministrowie wstrzymywali się z krytykowaniem jego ojca, księcia koronnego. Był on jedynym członkiem rodziny królewskiej, który klęknął przed xańskim generałem i oddał mu Pieczęć Rimy. Później wygnano go nad brzeg Zathiny, do starego Haanu, gdzie został rybakiem i wychował syna na zwykłego plebejusza, człowieka o tak przyziemnych pragnieniach jak obfite połowy i dobry ożenek.

Jednak Jizu wyczuwał, że jego ministrowie – nawet jeśli nie zdawali sobie z tego sprawy – woleliby, by jego ojciec zginął, zamiast poddawać się xańskim najeźdźcom. W ich oczach ojciec nie był taki, jakim go chłopak znał całe życie: cichym, troskliwym mężczyzną, który lubił piec ostrygi na gorących kamieniach, pijał wyłącznie herbatę z mleczy z odrobiną cukru i nigdy nie podnosił głosu.

– Szczęśliwsze życie to takie, które należy tylko do ciebie – powiedział kiedyś ojciec do Jizu. – A nie takie, w którym ktoś podpowiada ci, co masz robić i mówić. Nigdy nie bądź ambitny.

Ojciec unikał tematu swego dawnego życia w pałacu w Na Thion i nie wspominał o nim nawet w chwili śmierci. Zmarł po długiej chorobie wywołanej przez ukłucie trujących kolcami morskiego jeża.

Jednak w oczach ministrów Rimy ojciec Jizu był jedynie symbolem – symbolem upokorzenia ich kraju.

Jizu chciał im powiedzieć, że jego ojciec był dobrym człowiekiem; człowiekiem, który postanowił, że dość już przelano krwi, że bycie królem nie jest tak istotne jak bycie żywym i budzenie się każdego ranka, by patrzeć na słońce wschodzące nad morzem i dyrany skaczące przed dziobem łodzi rybackiej. Chciał bronić honoru ojca przed pogardą, jaką dostrzegał w ich oczach.

Nic jednak nie powiedział, słuchając, jak ministrowie powtarzają wyniosłe słowa jego dziadka, ostatniego króla Rimy, kiedy opierał się xańskim najeźdźcom: „Nawet kiedy ostatni mieszkaniec Rimy zginie, będziemy nadal walczyć jako duchy. Nie widzicie mnie po raz ostatni. Będę czekał na was po drugiej stronie”.

Przywoływane przez nich historie wydawały się Jizu opowieściami o rodzinie, która istniała jedynie w bajkach i scenariuszach teatru cieni.

Robił to, co mu kazano. Nie mając bladego pojęcia o królewskich rytuałach, pozwolił im uczynić z siebie marionetkę. Wykonywał ich polecenia i powtarzał ich rozkazy jak papuga, udając, że pochodzą wprost od niego.

Nie był jednak głupcem. Widział przecież, że król Shilué nie pomógł mu wrócić na tron z czystej dobroci serca. Rima była słaba i zależna od Faça. Służyła za bufor między sercem cesarstwa w Géfice a samym Faça. Jeśli królestwa tiryjskie skutecznie pogrążą cesarstwo, odrodzi się walka o dominację, a wtedy król Shilué z przyjemnością zyska przewagę, pozwalającą mu kontrolować sytuację w Na Thion. Czy jego ministrowie naprawdę służyli jemu? A może słuchali też poleceń płynących z Faça?

Wyobrażał sobie parę gigantycznych nożyczek, którymi odcina sznurki tworzące z niego marionetkę. Kto jednak potrafiłby się posługiwać tak wielkim narzędziem? Na pewno nie

on.

Modlił się do Fithowéo o radę, jednak posąg boga w świątyni tylko odwzajemniał spojrzenie, nie dając żadnych znaków. Jizu został sam.

Nie lubił swojego nowego życia, jednak kusilo go, by je zaakceptować. Żałował, że nie może wrócić do bycia poławiaczem ostryg zakochanym w córce poławiacza ostryg, jednak nie pozwalała mu na to płynąca w jego żyłach błękitna krew.



Trzy tysiące cesarskich żołnierzy przemknęły przez rzymskie lasy jak duchy. Dowódcy wojsk Rimy, wystraszeni lub przekupieni przez xańskich szpiegów, odrzucili meldunki zwiadowców i odmówili opuszczenia fortec z dębowego drewna, by przeciwstawić się najeźdźcom. Niektórzy żołnierze, twardzi drwale z Rimy, którzy uwierzyli, że na zawsze będą już wolni od cesarskich okrucieństw, zbuntowali się przeciwko zdrajcom i tchórzom i walczyli wbrew dowódcom. Xańskie oddziały szybko wycięły ich w pień.

Tydzień później, pewnego mglistego i zimnego poranka, wojsko cesarskie pojawiło się na polanie przed lasem otaczającym Na Thion i podbiło stolicę.

Broniący miasta łucznicy szybko zużyli niewielki zapas strzał. Ministrowie Jizu polecili rozbiórkę plebejskich domów, aby wszelkie gonty, krokwie i połamane materiały budowlane można było wykorzystać jako broń i zrzucić na xańskich żołnierzy próbujących wspiąć się po murach miasta. Mieszkańcy Na Thion, gdy ich domy zburzono, spalili na ulicach i w chłodne wiosenne noce trzęśli się z zimna.

Gołębie pocztowe, wysłane do Faça z prośbą o pomoc, nie wracały z odpowiedzią. Może przechwytywały je szkolone sokoły ofiarowane przez zdradzieckich dowódców generałowi Namenowi? A może król Shilué uznał, że wysłane na pomoc Rimie oddziały zostaną zmarnowane, ponieważ młoda façańska armia nie mogła mierzyć się z generałem Namenem i jego zahartowanymi w boju żołnierzami. Tak czy inaczej, nikt nie przybędzie na pomoc Rimie.

Ministrowie błagali króla, żeby rozważył poddanie się w obliczu pewnej porażki.

– Myślałem, że nie pochwalali panowie decyzji mojego ojca.

Ministrowie nic na to nie odpowiedzieli, jednak kilku z nich wymknęło się z miasta i ruszyło do xańskiego obozu. Ich głowy odesłano do Na Thion w skrzyniach z drewna sandałowego.

Ludzie generała Namena posyłali za mury rzymskiej stolicy strzały obwiązane zwojami, w których napisano, że Xana nie jest zainteresowana poddaniem się miasta. Należało uczynić z Na Thion przykład dla innych buntujących się królestw Tiro i pokazać, że rebelia nie będzie tolerowana. Zdrajcy muszą zapłacić, głosiła treść zwoju. Wszyscy mężczyźni z Na Thion zostaną wymordowani, a kobiety sprzedane.

Kiedy zgasła nadzieja na łaskę Xany albo pomoc z Faça, ministrów ogarnęła desperacja. Teraz chcieli, by król rozkazał mieszkańcom ze wszystkich sił opierać się najeźdźcom. Może jeśli okażą się trudnym przeciwnikiem, generał Namen zmieni zdanie?

Jednak Namen zaprzestał ataku na miasto. Polecił swoim ludziom zbudować tamę na rzece wpływającej do Na Thion i poczekać, aż głód, pragnienie i choroby wykończą

mieszkańców za niego.



– Kończy nam się woda i jedzenie – oznajmił król Jizu i oblizał suche usta. Wydał polecenie, by wszyscy mieszkańcy pałacu i oficjele stosowali się do tego samego reżimu co reszta miasta. – Musimy znaleźć jakiś sposób na uratowanie ludzi.

– Wasza Wysokość – powiedział jeden z ministrów – jesteś symbolem siły woli mieszkańców Rimy. Ludzie powinni z radością dla ciebie umrzeć. Chwalebny upadek ich ciał zachowa prawość ich ducha.

– Może powinniśmy zarządzić ich zbiorowe samobójstwo, żeby zademonstrować lojalność wobec Rimy – zasugerował inny. – W ten sposób pozostałe zapasy zostaną dla nas.

– Niektóre z kobiet i dzieci mogłyby utworzyć oddział do przerywania oblężenia – podpowiedział jeszcze inny. – Gdybyśmy otworzyli bramy miast i zebrali ich, by szturmowali cesarskie oddziały, może xańscy żołnierze poddaliby się pod naporem tak wielu kobiecych i dziecięcych twarzy, nie mogąc ich mordować z zimną krwią. Jeśli pozwolą kobietom i dzieciom uciec, możemy się przebrać i wmieszać w tłum, żeby się uratować. A jeśli zaczną jednak ich zabijać, wycofamy się, by obmyślić inny plan.

Król Jizu nie potrafił uwierzyć w to, co słyszał.

– Wstyd! Tyle miesięcy pouczaliście mnie o honorze rzymskiego królestwa i obowiązkach spoczywających na jego władcy i możnych. Teraz jednak sugerujecie, że mieszkańcy Rimy powinni dokonać niepotrzebnej ofiary, byście wy mogli zachować wasze bezwartościowe życia. Ci ludzie oddają nam swój dobytek i ciężko dla nas pracują, pozwalając nam otaczać się zbytkami, a oczekują przy tym tylko jednego: że ich obronimy w chwili niebezpieczeństwa. Jednak nawet temu jednemu oczekiwaniu nie zamierzacie sprostać, chcecie posłać na śmierć kobiety i dzieci. Brzydzę się wami.



Król Jizu stanął na murze okalającym Na Thion i poprosił o rozmowę z generałem Namenem.

– Drogie jest panu życie młodych żołnierzy, którzy walczą dla pana, generale.

Namen zmrużył oczy, patrząc na młodego człowieka. Nie odpowiedział ani słowem.

– Domyślam się tego po decyzji o nieatakowaniu Na Thion. Nie chce pan poświęcić choćby jednego żołnierza, jeśli zwycięstwo można osiągnąć w inny sposób.

Xańscy żołnierze popatrzyli na swojego generała, który stał prosto, z wysoko uniesioną głową.

– Miasto już prawie skonało. Mogę wydać rozkaz desperackiej próby natarcia. Z pewnością przegramy, jednak kilku z pańskich ludzi umrze, a pańskie imię będzie pogardzane przez mieszkańców Sześciu Królestw jako imię mordercy kobiet i dzieci.

Namen skrzywił się, jednak nadal tylko słuchał.

– Niewielu jest w Rimie żołnierzy, lecz wiele symboli. Ja chyba jestem największym, generale. Jeśli chcesz uczynić z Rimy nauczkę dla pozostałych królestw, wystarczę ci ja. Mieszkańcy Na Thion opierali się tobie wyłącznie z moich rozkazów. Jeśli ich oszczędzisz, w następnych bitwach być może spotkasz się z jeszcze mniejszym oporem i mniejszymi stratami. Jeśli ich jednak wymordujesz, sprawisz, że każde następne zaatakowane przez ciebie miasto będzie zdeterminowane, by nigdy się nie poddać.

Wreszcie generał Namen przemówił.

– Może nie dorastałeś w pałacu, lecz zaprawdę godzien jesteś tronu Rimy.

Warunki kapitulacji były jasne. Jizu i wszyscy jego ministrowie mieli ogłosić się sługami cesarza Erishiego i zaprzestać wszelkiego oporu. W zamian za to generał Namen obiecał nie krzywdzić mieszkańców Na Thion.

Jizu wiedział, że Namen planował zabrać go do Pan jako jeńca. Tam przegoniliby go, nagiego, po szerokich ulicach miasta, pełnych radosnych mieszkańców, świętujących zwycięstwo nad zbuntowanym królem. Wciąż byłby marionetką. Później mogli go stracić na oczach publiczności po długich torturach albo wręcz przeciwnie, mogli go oszczędzić. Wszystko zależało od kaprysu cesarza Erishiego.

Nastała noc. Kiedy otworzyły się bramy Na Thion, król Jizu klęczał na środku drogi. W jednej dłoni dzierżył Pieczęć Rimy, w drugiej pochodnię. Wydawał się bardzo samotny w tej plamie światła widocznej pośród ciemności.

– Pamiętaj, coś obiecał – rzekł do zbliżającego się generała. – Zaprzestałem wszelkiego oporu i zdaję się na twą łaskę. Zgadzasz się?

Generał Namen kiwnął głową.

Jizu spojrzał na swoich ministrów, klęczących po obu stronach głównej ulicy Na Thion. Przywdzieli swoje najlepsze szaty, jakby przyszedł dzień koronacji. Te jasne kolory materiałów tworzyły wyraźny kontrast dla łachmanów na ramionach stojących za nimi plebejuszy, tak jak spokój i godność na twarzach ministrów – byli właśnie świadkami ceremonii, sprawy rytualnej i politycznej – kontrastowała ze strachem i gniewem wymalowanym na wychudzonych twarzach tłumu.

Król zaśmiał się cicho.

– A teraz, moi lojalni ministrowie, otrzymacie symbol, którego tak pragnęliście. Będę na was czekał po drugiej stronie.

Upuścił pochodnię i podpalił się. Jego ubrania zostały nasączone olejkami zapachowymi, więc ogień szybko pochłonął królewskie ciało i Pieczęć Rimy. Krzyczał i krzyczał, a wszyscy ludzie dokoła, zarówno z Xany, jak i z Rimy, zamarli.

Kiedy wreszcie ugaszono płomienie, król Jizu nie żył, a Pieczęć Rimy została doszczętnie zniszczona.

– Nie dotrzymał obietnicy – oznajmił jeden z kapitanów Namena. – Nie możemy zabrać tego truchła do Pan i paradować z nim jak z trofeum. Mamy wymordować mieszkańców?

Generał Namen pokręcił głową. Smród spalonego ciała przyprawiał go o mdłości i generał poczuł się w tej chwili bardzo stary i bardzo zmęczony. Podobała mu się blada twarz Jizu, jego kręcone włosy i wąski nos. Podziwiał wyprostowaną postawę chłopca i sposób, w jaki patrzył na niego, swojego najeźdźcę, bez strachu w swoich szarych i spokojnych oczach. Z chęcią usiadłby do długiej rozmowy z tym młodym człowiekiem,

którego uważał za bardzo odważnego.

Znowu pożałował, że Kindo Marana go odnalazł. Żałował, że nie siedzi przed własnym paleniskiem i nie głaszcze zadowolonego Tozy'ego po głowie. Jednak kochał Xanę, a miłość wymagała poświęceń.

„Ale wystarczy już tych poświęceń”.

– Dotrzymał obietnicy większej niż ta, którą mi złożył. Mieszkańcy Na Thion nie muszą się dzisiaj lękać xańskiego miecza.

Gęsty tłum na ulicach Na Thion odpowiedział na to ciszą. Wzrok ludzi skupiony był na klęczących ministrach, trzęsących się jak liście na wietrze.

Namen westchnął.

„Wojna jest jak ciężkie koło, które obraca się, napędzane siłą impetu”.

– Jednak wszystkich ministrów załadujcie na więzienne wozy – ciągnął dalej beznamietnym tonem. – Zawieziemy ich do Pan i nakarmimy nimi podopiecznych cesarskiego ogrodu zoologicznego.

A wtedy w tłumie rozległy się dzikie, barbarzyńskie okrzyki; radośnie tupoczące w tańcu nogi dudniły, posyłając drgania aż pod stopy xańskich żołnierzy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

„WASZA WYSOKOŚĆ”

DIMU: CZWARTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

W Dimu, gdzie wielka Liru uchodziła do morza, szerokość koryta rzeki sięgała nawet półtora kilometra. Na północnej stronie ujścia, naprzeciwko granicy Dimu, leżało miasto Dimushi – młodsza, bogatsza i bardziej wyrafinowana siostra Dimu. Podczas gdy łodzie wypływające z Dimu były obładowane płonami z samego serca Cocru, porty Dimushi pełne były statków ze stałą, wyrobami lakierniczymi i porcelaną wytwarzanymi przez zdolnych rzemieślników z Géfiki, należącej do dawnego królestwa Amu.

Po Zjednoczeniu do Dimu i Dimushi trafiały podatki i dobra ze wszystkich wysp, a ludzie przybywali tu zewsząd, by właśnie stąd popłynąć w górę Liru aż do Pan, błyszczącego serca cesarstwa. Na obu brzegach pracowały niezliczone młyny wodne, napędzające kamienie młyńskie i pracownie, które spławiały swoje dobra po rzece. Więcej pieniędzy płynących przez ujście Liru oznaczało więcej wszystkiego, i dobrego, i złego. Podróżujący do bliźniaczych miast opowiadali, że jeśli chciało się dobrego jedzenia i uczciwych kupców, należało udać się do Dimu, jednak pięknych kobiet i niekończących się nocnych uciech powinno się było szukać w Dimushi.

W dzisiejszych czasach Dimu i Dimushi łypały na siebie jak dwa wściekłe wilki po przeciwnych stronach jaru. To w Dimu król Huno urządził swój dwór i tam jego dziesięć tysięcy rebeliantów czekało na okazję, by przeprowić się przez rzekę i przypuścić szturm na Pan. Z kolei w Dimushi zatrzymał się Tanno Namen ze swoimi dziesięcioma tysiącami cesarskich żołnierzy, by w sprzyjających warunkach uderzyć na rebeliantów. Z kolei koryto rzeki było nieustannie patrolowane przez wspaniałe statki cesarskiej floty, niczym ruchoma drewniana ściana oddzielająca wrogie strony. Od czasu do czasu jeden ze statków posyłał płonący kosz nafty do Dimu i wtedy ludzie na brzegu rozbiegali się w popłochu, złorzecząc, a operatorzy katapult śmiali się gromko.



Jako że cesarskim siłom w Dimushi najwyraźniej wystarczało regularne, lecz niekoniecznie zajadłe nękanie obrony Dimu, Huno Krima postanowił je ignorować. W końcu był teraz królem Huno i miał na głowie ważniejsze sprawy.

Na przykład swój nowy pałac.

Huno Krima może nie wiedział zbyt wiele na temat panowania, jednak wierzył, że wspaniały król musi posiadać wspaniały pałac. Żadne królestwo Tiro nie będzie się cieszyć należyty szacunkiem, dopóki nie wybuduje pałacu równie wspaniałego – nie, wspanialszego – co pozostałe królestwa.

I tak oto żołnierze Zachodniego Cocru, zamiast spędzać dni na musztrze, zbierali drewno i ustawiali cegły, kopali fundamenty i ciosali kamienie.

– Szybciej, wyżej, więcej! – ganił król Huno swoich ministrów i architektów. – Dlaczego budowa postępuje tak wolno?

– Szybciej, szybciej, szybciej! – powtarzali ministrowie kapitanom, teraz pełniącym funkcję brygadzystów. – Musicie bardziej poganiać swoich ludzi.

– Szybciej, szybciej, szybciej – wrzeszczeli brygadziści na żołnierzy, teraz zmuszonych do pracy fizycznej na budowie. I nie bali się używać biczów, różg i innych metod podkreślania wagi swoich poleceń.

Niektórzy żołnierze zaczęli się zastanawiać, dlaczego nazywali się rebeliantami, skoro robili teraz dokładnie to samo, co robili dla cesarza Erishiego w Mauzoleum czy Wielkich Tunelach. Ich narzekania dotarły do uszu króla Huno.

Król wściekał się i grzmiał na niewdzięczników, którzy nie dostrzegali różnicy między pracą wbrew woli dla takich tyranów jak cesarz Erishi a żarliwą pomocą ku chwale ich wyzwoliciela i nowego kraju. Ludzie, którzy szeptali podobne rzeczy, z pewnością byli szpiegami cesarstwa, rozsiewającymi ziarna niezadowolenia i sprzeciwu, szerzącymi kłamstwa i propagandę. Trzeba ich wyplenić jak chwasty.

Zaufani oficerowie, prowadzeni przez kapitana strażników, zostali przydzieleni przez króla do specjalnego tajnego oddziału, którego członkowie mieli chodzić nocą po obozie i nasłuchiwać, czy ktoś nie ośmielił się szkalować dobrego imienia króla Huno i Zachodniego Cocru. Nosili oni specjalne czarne chusty ciasno związane z tyłu głowy jako dodatek do munduru, a kogo oskarżyli o zdradę stanu, ten nigdy nie wracał.

Im więcej zdrajców łąpały Czarne Chusty, tym więcej strachu rodziło się w królu. Wyglądało na to, że wszędzie otaczali go spiskowcy. Za każdym razem, gdy któryś z ministrów zapomniiał zwrócić się do niego per „Wasza Wysokość”, król Huno patrzył na niego przez długie minuty, a nieszczęśnik cały się trząsał. Rozkazywał jednemu szpiegować drugiego, żeby godzinę później temu drugiemu polecić podsłuchiwanie pierwszego. Jak mógł mieć pewność, że w szeregach Czarnych Chust nie ma cesarskich szpiegów?

Rozwiązanie było oczywiste. Zebrał kilku wyjątkowo zaufanych ludzi i nakazał im szpiegowanie Czarnych Chust. Ci mężczyźni nosili białe chusty z tyłu głowy, które symbolizowały wyższy stopień zaufania króla. Pierwszym oskarżonym o zdradę stanu był kapitan strażników, dowódca Czarnych Chust – co rozczarowało króla Huno, jednak, jak sądził, miało też głęboki sens. Tak jak ryba psuje się od głowy, tak i tutaj korupcja zaczęła się od samej góry. Oczywiście było, że kapitan strażników go zdradzi.

I tak oto Czarne Chusty pilnowały ludzi, podczas gdy Białe Chusty pilnowały Czarnych Chust. Tylko kto miał pilnować Białych Chust? Właśnie to pytanie spędzało królowi Huno sen z powiek. Władca myślał i myślał i w końcu wymyślił Szare Chusty.

Każde rozwiązanie zdawało się jednak tworzyć nowy problem i król Huno pogrążył się w rozpaczy.



Nocami żołnierze zaczęli uciekać z obozów rebeliantów w Dimu – najpierw była to

ledwie strużka, lecz z czasem przerodziła się w prawdziwą powódź.

– Może i my powinniśmy uciec, Rat – wyszeptał Dafiro do swojego brata. Był ostrożny i powiedział to poza zasięgiem słuchu innych. Każdy mógł się okazać Czarną Chustą. – Zanim i nas nazwą zdrajcami.

Jednak Ratho pokręcił głową. Wciąż pamiętał ekscytację z tamtej chwili, gdy wbił nóż w xańskiego żołnierza, pierwszego człowieka, którego kiedykolwiek zabił. To król Huno pokazał mu, że może stanąć z podniesioną głową jak prawdziwy mężczyzna i odzyskać życie, które cesarstwo chciało zetrzeć na popiół z tą samą beztróską, z jaką kruszyło skały na fundamenty Mauzoleum. Król Huno obiecał, że tacy jak Ratho będą mogli obalić cesarza i pomścić rodziców.

Ratho nigdy o tym nie zapomni.



Obóz w Dimu wciąż mógł pomieścić dziesięć tysięcy żołnierzy, jednak więcej niż połowa prycz była w nocy pusta.

– Dlaczego pałac wciąż jest nieskończony?! – wściekał się król Huno. – Mówiłem, żebyście się pośpieszyli!

Żaden z ministrów nie miał dość odwagi, żeby powiedzieć królowi, że brakuje ludzi, by wypełnić założenia planu. W pobliskich wioskach grasowały gangi, siłą werbujące tych mężczyzn, którzy jeszcze nie zdążyli uciec. Złapanych dezertersów tracono na oczach innych żołnierzy, żeby wpoić im lekcję lojalności, jednak te publiczne egzekucje zdawały się tylko pogarszać sytuację.

Wreszcie oddziały pilnujące brzegów Liru zostały przywołane z powrotem do miasta, by pracowały przy budowie pałacu, jedyne projektu, na którym zależało królowi.



– Generale, zwiadowcy wysłani na latawcach bitewnych donoszą, że w porze obiadowej ogniska palą się tylko przed co dziesiątym namiotem.

– Już czas – oznajmił generał Namen.

W środku nocy, kiedy żołnierze króla Huno spali wykończeni wysiłkiem fizycznym i ciągłym strachem, pięcioletnia piechota cesarska po cichu przeprawiła się na drugi brzeg Liru na niskich tratwach i wysiadła kilka kilometrów od miasta. Kiedy maszerowali do Dimu, cesarska flota rozpoczęła atak na brzeg z intensywnością, jakiej tu jeszcze nie widziano. Jasne łuki znały drogę szybujących w powietrzu wiader z płonącej naftą, podobnych do meteorów, a w ich migoczącym blasku chmary strzał frunęły w stronę obozu ostatnich żołnierzy króla Huno.

To był zwyczajny pogrom. Połowa członków armii Zachodniego Cocru zginęła, jeszcze zanim zdążyła się w pełni obudzić albo założyć zbroję. Druga połowa próbowała stawiać jakiś opór, jednak niestety szybko się okazało, że przez ostatnie dni powinni byli ćwiczyć z mieczami i łukami, a nie ciosać kamienie i rąbać drewno. Było już jednak za późno.

Król Huno chwycił swoje berło i nową, jadeitową Pieczęć Zachodniego Cocru, a potem wskoczył do powozu i wrzasnął na woźnicę, żeby się pośpieszył. Musieli się natychmiast wydostać z Dimu i wrócić do Çaruzy, gdzie król Thufi będzie musiał oddać mu resztę rebelianckich sił, by mógł pomścić tę upokarzającą porażkę.

„To niesprawiedliwe”, wściekał się. Słuszna nienawiść, jaką żywił w stosunku do Xany, powinna uczynić ich niepokonanymi. Jedynym wytłumaczeniem mogła być zdrada ze strony tchórzy ukrywających się w ich szeregach. Przegrali wyłącznie dlatego, że ten cesarski generał, ten stary, ale chytry Namen, miał na podorędziu zbyt wiele sztuczek i szpiegów. Król Huno potrzebował nie tylko Czarnych Chust, Białych Chust i Szarych Chust, ale też chust każdego koloru tęczy.

– Szybciej, szybciej, szybciej! – warknął na woźnicę.

Woźnica był mężczyzną po trzydziestce. Tatuże na twarzy świadczyły o tym, że został skazany przez cesarskie władze. Zamiast trzasnąć biczem na konie, jak tego oczekiwał król Huno, pozwalał im stąpać luźnym krokiem. Odwrócił się do króla.

– Nazywam się Théca Kimo i pochodzę z wysp Tunoa.

Huno popatrzył na niego, nie rozumiejąc.

– Byłem jednym z pierwszych, którzy odpowiedzieli na wezwanie rebeliantów w Napi, by dołączyć do ciebie i księcia Shigina – ciągnął Théca. – Razem z Zopą Shiginem napiliście się ze mną tamtego wieczoru, po naszej wygranej.

– Nie mów o Shiginie, jakby był mi równym...

Jednak Théca nie pozwolił mu skończyć.

– Dziesięć dni temu mój brat zachorował, jednak jego setnik nie pozwolił mu odpocząć, ponieważ wszyscy musieli pracować na budowie twojego pałacu. Zemdlął w południowym upale, a brygadzysta chłostał go tak długo, aż brat umarł. Wiedziałaś o tym?

Król Huno nie miał pojęcia, co plótł ten mężczyzna, ale zauważył niedociągnięcie w jego manierach.

– Powinieneś zwracać się do mnie per „Wasza Wysokość”. A teraz pośpiesz się i wynośmy się stąd.

– Nie wydaje mi się, Wasza Wysokość – odparł Kimo, a potem szarpnął gwałtownie lejcam i powóz nagle się zatrzymał, a król Huno spadł z siedzenia. Po chwili woźnica wziął szybki zamach mieczem i odciął królowi głowę.

– Teraz możesz śnić sobie o tak wspaniałym pałacu, jaki tylko zechcesz. – Kimo wypiął jednego z koni i wskoczył na jego grzbiet bez siodła. – A jeśli o mnie chodzi, ja zamierzam podążyć za prawdziwym bohaterem.

Skreślił na wschód i pojechał w stronę Çaruzy, gdzie Mata Zyndu, również pochodzący z Tunoi i już uznany za legendę, udał się z Refiroą.



– Uznajmy to za pierwszą rundę, Kiji. Naprawdę nie doceniłyśmy zarówno Marany, jak i Namena.

– To dla was typowe. Podobnie jak Fithowéo zawsze patrzycie na Xanę z góry.

– Możesz się puszyć, ile chcesz, bracie, aż wzniesiesz się w powietrze jak sterowiec. Ten, kto będzie śmiał się ostatni, zaśmieje się najgłośniej.



– Moje serce raduje się na wasz widok – powiedział król Thufi, witając Phina i Matę Zyndów w bramie Çaruzy. – Cocru rozpaczliwie potrzebuje prawdziwego marszałka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

BRAMY ZUDI

ÇARUZA I ZUDI: CZWARTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Niespodziewany atak Tanno Namena na Dimu stał się początkiem cesarskiej ofensywy wzdłuż południowego brzegu Liru. W ciągu kilku tygodni większość miast i miasteczek, które poddały się Korpusowi Ekspedycyjnemu Krimy i Shigina, na powrót znalazła się w rękach cesarstwa, a cesarska armia rozpoczęła swój nieubłagany marsz ku ponownemu podbojowi Cocru.



Wielka Rada Wojenna w Çaruzie, zwołana przez króla Thufiego z Cocru, od tygodni prowadziła rozmowy, nie osiągając żadnych konkluzji.

Król Thufi rozejrzał się po zebranych w sali i zauważył, że byli obecni wszyscy ambasadorowie Amu, Faça, Rimy, Ganu, a także król Cosugi z Haanu. Każdy przyjął oficjalną pozycję *mipa rari*, z wyprostowanymi plecami i ciężarem równo rozłożonym między kolana i stopy. Siedzieli na rozłożonych na grubej i gładkiej podłodze ze słomianego papieru matach w kolorach symbolizujących ich ojczyzny.

– Musimy rozpocząć od oddania zmarłemu królowi Jizu, najodważniejszemu monarsze Dary, należnego mu hołdu – oznajmił ambasador Rimy, wycierając kąciki oczu rąbkami rękawa.

Wszyscy zebrani pokiwali zgodnie głowami i każdy po kolei podnosił się, by wygłosić długą mowę pochwalną na cześć odważnego życia i jeszcze odważniejszej śmierci króla Jizu. Król Thufi zerkał na obniżający się poziom wody w zegarze wodnym i próbował ukryć zniecierpliwienie. Wątpił, by którykolwiek z tych mężczyzn, włączając w to nawet ambasadora Rimy, potrafił jeszcze trzy tygodnie temu wskazać króla Jizu w tłumie żebraków. Teraz wszyscy jednak zachowywali się, jakby znali go od dziecka.

Ambasador Faça wygłosił najdłuższą mowę ze wszystkich, wielokrotnie podkreślając „wyjątkowe relacje” między Faça i Rimą. Król Thufi z całych sił starał się powstrzymać od przewracania oczami i w końcu nabawił się bólu głowy. Wreszcie, po godzinie, ambasador usiadł.

– Dziękuję za szacunek okazany dzisiaj Rimie – powiedział łamiącym się głosem ambasador Rimy. – Najwyraźniej sam stałem się głową rządu na wygnaniu – dodał wystarczająco głośno, by zostać usłyszanym w każdej części sali, a jednak dość cicho, by nikt nie uznał jego zachowania za niestosowne.

Król Thufi już miał poruszyć główny temat, który chciał przedyskutować z radą, kiedy

ambasador Faça znowu wstał.

– Powinniśmy wszyscy opłakiwać śmierć króla Huno z Zachodniego Cocru. Chociaż jego maniery czasami pozostawiały nieco do życzenia. – Mężczyzna mrugnął do ambasadorów Ganu i Amu, a ci zachichotali. – Niemniej był szanowany przez króla Thufiego i dołączył do wspaniałych władców tiryjskich.

„Możecie uważać Huno Krimę za wiejskiego głupka, jednak bez niego ta rebelia nigdy by się nie zaczęła. Moglibyście przynajmniej wspominać jego dobre imię z odrobiną szczerości”, pomyślał Thufi, jednak opanował swój gniew. Były ważniejsze rzeczy do przedyskutowania i potrzebował współpracy tego idioty, który przemawiał w imieniu Faça.

Jeden po drugim wstawali ponownie, żeby wygłosić nieszczerą hołdę dla króla Huno. Całe szczęście tym razem ich przemowy były krótkie.

„Wreszcie”, pomyślał Thufi.

– Moi panowie *tiro*, musimy przedyskutować niecierpiące zwłoki sprawy związane z inwazją oddziałów Tanno Namena na Cocru...

Jednak król Cosugi mu przerwał.

– Thufi, pozwól staremu człowiekowi powiedzieć słówko.

Z wielkim wysiłkiem król Thufi ugryzł się w język i kiwnął na Cosugiego, żeby kontynuował. Już wiedział, co od niego usłyszy. Chociaż Haan nie wyzwolił się jeszcze z cesarskiej okupacji, Cosugi miał obsesję na punkcie zachowania „integralności terytorialnej” jego państwa. Starzec znał jedną pieśń i śpiewał ją bez przerwy.

A jednak Thufi nie mógł zwyczajnie kazać mu się zamknąć. Wszystkie królestwa Tiro w teorii były sobie równe. Dlatego też chociaż Haan dotychczas w niczym nie przyczynił się do powodzenia rebelii, Thufi musiał dopuścić Cosugiego do uczestnictwa w Wielkiej Radzie.

– Dotarły do mnie alarmujące wieści o façańskich oddziałach wykorzystujących skupienie Namena na Cocru, by okupować ziemie od wieków przynależne do Rimy i Haanu – oznajmił król Cosugi.

– Wasza Wysokość, jestem pewien, że to nieprawda – powiedział ambasador Faça. – Mapy, które wręczono naszym generałom, zostały starannie przygotowane, tak by nie powiększać niesłusznie terytorium Haanu kosztem Faça. Jednak przypomniałeś mi o czymś innym. Muszę zaprotestować przeciwko poczynaniom Ganu. Gańskie statki nękały façańskich rybaków łowiących wokół wysp Ogé. Wyspy te zawsze należały do Faça, nie Ganu, jak zresztą wszyscy tu obecni z pewnością potwierdzą.

– Nie wydaje mi się, by Gańskie Annały zgadzały się z tym twierdzeniem – odparł ambasador Ganu. – W rzeczy samej, nielegalna okupacja tych wysp przez Faça nastąpiła wyłącznie dlatego, że ponad sto lat temu Gan był zajęty walką z Xaną. I skoro już poruszamy temat naprawiania dawnych błędów, myślę, że najwyższy czas, by Cocru wreszcie postąpiło honorowo i zwróciło wyspy Tunoa Ganowi.

Król Thufi potarł skronie w próżnej próbie uśmierzenia ukłucia bólu, który groził rozłupaniem jego czaszki.

– Moi drodzy panowie *tiro* – powiedział wreszcie, prawie wypluwając z siebie ten honorowy zwrot. – Wydajecie się żywić przekonanie, że cesarstwo jest już przeszłością,

a my wróciliśmy do dawnych utarczek między Siedmioma Królestwami. Zapominacie jednak, że cesarska armia z minuty na minutę jest coraz bliżej, i jeśli nie zdołamy odłożyć na bok wszelkich waśni i zjednoczyć się w walce, podzielimy los Rimy i znowu znajdziemy się pod jarzmem Xany.

Ambasadorowie i król Cosugi milczeli przez chwilę, jednak nie minęło wiele czasu i sala znowu wypełniła się ich niekończącymi się sporami.

Król Thufi jeszcze mocniej potarł skronie.

Phin Zyndu, podsłuchując zza ściany, pokręcił głową i odszedł bez słowa. Wieloma sprawami należało się natychmiast zająć, nie mógł już marnować czasu.



Ponieważ nadeszła wiosna i zrobiło się ciepło i przyjemnie, Kuni Garu postanowił zabrać Jię, Rina, Cogo, Müna i Thana na piknik. Wszyscy zwiadowcy twierdzili, że cesarska armia wciąż jest daleko na zachodzie, a dzięki piknikowi mogli choć na chwilę przestać myśleć o tym, jak obronić Zudi przed oddziałami generała Namena.

– Nie chcę dzisiaj słyszeć ani słowa o potrzebnych koniach – oznajmił Kuni, gdy tylko pojawił się Than Carucono razem ze swoimi wierzchowcami.

Than uśmiechnął się.

– Ani słowa.

Starali się jechać wolno ze względu na Jię. Mogła teraz w każdej chwili urodzić, jednak cieszyło ją świeże powietrze i widok wzgórz porośniętych dzikimi kwiatami. Od czasu do czasu zatrzymywała się i prosiła kogoś o zerwanie interesującego ją zioła, które potem wachała i wkładała do sakiewki.

Przygotowała dla nich piknikowy posiłek, składający się ze świeżo ugotowanych na parze bułeczek z wieprzowiną (doprawiła je kilkoma nowymi ziołami zebranych po drodze; „Bardziej świeżo się nie da”, skomentowała), kiełków bambusa namoczonych w cukrze i occie, ciastek z krabem posypanych ostrą papryką z Dasu, a także wina z bąbelkami od porucznika Dosy, byłego dowódcy cesarskiego garnizonu w Zudi, który zbuntował się i dołączył do Kuniego. Nikt nie używał pałeczek, po smakołyki sięgano rękami.

– To był dobry posiłek – oznajmił Kuni i beknął z zadowoleniem.

Cała szóstka leżała na zboczu skąpanego w słońcu wzgórza, najedzona i zmęczona polowaniem na zajęce i bażanty. Pozwolili koniom chodzić swobodnie i skubać trawę wedle chęci. To był wspaniały dzień i naprawdę trudno będzie wrócić do miasta, by zająć się prawdziwą pracą.

Than wstał, żeby się przeciągnąć i sprawdzić, czy wierzchowce nie odeszły zbyt daleko.

– Dlaczego na murach miasta wiszą białe flagi? – zdziwił się.

Pozostali podnieśli się leniwie i spojrzeli na malujące się w oddali mury Zudi. Than miał rację. Zamiast czerwonych flag z czarnymi i białymi krukami wisały białe, a Kuni podejrzewał, że namalowanym na nich ptakiem był sokół Mingén.

Cała szóstka otrzeźwiała w mig i z niepokojem ruszyła galopem z powrotem do Zudi. Bez zdziwienia bramy zastali zamknięte.

– Przepraszam, książę Garu. – Mężczyzna krzyczący do niego ze szczytu muru okazał się byłym żołnierzem cesarstwa.

– Gdzie Muru? – zawołał w odpowiedzi Kuni. To Muru odpowiadał za podnoszenie i opuszczanie bramy.

– Nie chciał cię zdradzić i próbował walczyć, więc porucznik Dosa musiał go zabić.

Kuni poczuł się, jakby ktoś go uderzył w brzuch.

– Dlaczego to robicie?

– Kiedy wyjechał pan za miasto, porucznik Dosa poprosił starszyznę, żeby znowu przysięgli lojalność cesarzowi. Usłyszeliśmy, że generał Namen obiecał oszczędzić każde miasto, które już teraz wyrzuci rebeliantów i się podda. Gdybyśmy tego nie zrobili, kara byłaby dotkliwa. Naprawdę pana lubię, książę Garu, ale mam żonę i córeczkę i chciałbym zobaczyć, jak dorasta i bierze ślub.

Kuniego opanowały dawne wątpliwości. Zachmurzył się i omal nie spadł, kiedy jego koń wierzgnął.

– Cholera – wymamrotał. – Cholera.

– Zaczynałeś od zera – zauważyła Jia. – Dlaczego nie możesz zacząć i teraz?

Kuni złapał ją za rękę i ścisnął mocno.

Kiedy znowu podniósł wzrok, na jego twarzy malowała się determinacja.

– Nic się nie stało – krzyknął do strażnika. – Powiedz wszystkim, że rozumiem ich decyzję, nawet jeśli się z nią nie zgadzam. Ale nie widzieliście jeszcze wszystkiego. To nie koniec Kuniego Garu.



Kiedy słońce schowało się już za horyzontem, sześć koni niosących sześciu przygnębionych jeźdźców zatrzymało się przed małym strumykiem, żeby rozbić na noc obóz. Po pewnej naradzie Kuni postanowił, że najlepiej będzie wyruszyć do Çaruzy i sprawdzić, czy król Thufi zaakceptuje „księcia przez proklamację” i pożyczycy mu kilka oddziałów, by odzyskać Zudi.

Upiekli nad ogniem złapane wcześniej zające i bażanty, jednak ich nastroje wyraźnie kontrastowały z beztróską atmosferą, jaka panowała jeszcze o poranku.

Z lasu rosnącego nad rzeką wyłonił się wysoki mężczyzna i podszedł do grupy. Than i Mün sięgnęli po miecze. Nieznajomy uśmiechnął się rozbrajająco, pokazał puste dłonie i powoli zbliżył się do ogniska. Kiedy wszedł w krąg światła rzucanego przez płomienie, zobaczyli, że jest chudy i zmizerniały, a skórę ma czarną jak słynne piaski na plaży Lutho. Jego jasnozielone oczy błyszczały w blasku ognia.

– Nazywam się Luan Zya i pochodzę z Haanu. Podzielicie się posiłkiem z nieznajomym? Z przyjemnością zaoferuję w zamian swój lambanóg z bukłaka.

Kuni patrzył uważnie na Luana – coś w jego sylwetce pobudziło jego pamięć i przywiodło na myśl wydarzenia sprzed kilkunastu lat: z dnia, kiedy razem z Rinem Codą poszli obejrzyć Cesarską Paradę z Mapidérem, tuż za murami Zudi.

– Ty jesteś tym jeźdźcem na latawcu – wypalił. – Ty jesteś człowiekiem, który próbował

zabić cesarza.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

LUAN ZYA

GINPEN: PRZED XAŃSKIM PODBOJEM

W szlachtetnym Haanie studiowanie nie było luksusem, lecz sposobem na życie.

Zanim Haan został podbity przez Xanę, na wsi, zaraz obok szerokich, porośniętych trzciną równin i kamienistych plaż, chaty przeznaczone do nauki pojawiały się szybciej niż zamki z piasku; nauczyciele w tych chatkach, opłacani przez państwo, uczyli wywodzące się z biedoty dzieci pisania, czytania i rachunków. Bardziej utalentowani i bogatsi uczniowie szli do Ginpen, stolicy królestwa, gdzie znajdowały się najsłynniejsze akademie w całej Darze. Wielu największych uczonych Dary najważniejsze lata nauki spędziło w salach wykładowych i laboratoriach w Ginpen: Tan Féüji, filozof, który uczynił z rządzenia sztukę; Lügo Crupo, regent cesarstwa i niezwykły kaligraf; Gi Anji, który uczył ich obu; Huzo Tuan, który nie bojąc się śmierci, skrytykował Mapidérégo, stojąc z nim twarzą w twarz; i wielu innych.

W dawnym Haanie podróżujący mógł zatrzymać dowolnego rolnika idącego przez pole i porozmawiać z nim na temat polityki, astronomii albo meteorologii i czegoś się nauczyć. W Ginpen nawet asystent przeciętnego kupca potrafił przeliczyć pierwiastki i uzupełnić kwadrat magiczny. W herbaciarniach i barach – chociaż posiłki były proste, a trunki ledwie znośne – można było spotkać najświatlejsze umysły Dary, debatujące o sprawach politycznych i filozofii naturalnej. Chociaż Haan nie należał do najbardziej przedsiębiorczych królestw Dary, jego inżynierowie i wynalazcy tworzyli najbardziej pożądane projekty młynów wodnych i wiatraków, a także konstruowali najdokładniejsze zegary wodne.

Wszystko to jednak zmieniło się po Zjednoczeniu. Zleczone przez Mapidérégo palenie ksiąg i trwanie uczonych najmocniej uderzyło właśnie w Haan. Nie opłacano już szkółek w chatach i nikt z nich nie korzystał, wiele prywatnych akademii w Ginpen zamknięto, a kilka pozostałych stało się jedynie cieniami swojej dawnej chwały, gdzie uczeni bali się podawać prawdziwe odpowiedzi i jeszcze bardziej zadawać prawdziwe pytania.

Za każdym razem, kiedy Luan Zya pomyślał o porzuceniu swojej misji, przypominał sobie martwych naukowców, płonące księgi i puste sale wykładowe, gdzie duchy dawnych nauczycieli zdawały się bez przerwy snuć swoje oskarżenia.



Rodzina Luana służyła Haanowi od niepamiętnych czasów. W ciągu zaledwie pięciu pokoleń wśród jej członków znalazło się trzech premierów, dwóch generałów i pięciu

królewskich augurów.

Luan Zya był genialnym dzieckiem. W wieku pięciu lat potrafił z pamięci wyrecytować trzysta wierszy haańskich poetów, którzy tworzyli w klasycznym ano. Dwa lata później dokonał rzeczy, która wprawiła Królewską Radę Augurów w osłupienie.

Wróżbiarstwem parano się od wieków w całej Darze, jednak nigdzie z takim oddaniem jak w Haanie. W końcu to właśnie Haan był ulubionym królestwem boga Lutho, świętego oszusta, matematyka i jasnowidza. Bogowie zawsze przemawiali wieloznacznie, a czasami nawet zmieniali zdanie, gdy ty nie skończyłeś jeszcze zadawać im pytania. Wróżbiarstwo polegało na ustalaniu przyszłości za pomocą metod z natury niepewnych.

Aby zwiększyć precyzję przepowiedni, najlepiej wielokrotnie zadawać te same pytania, by się przekonać, jakie odpowiedzi padają najczęściej. Na przykład założmy, że król chciał się dowiedzieć, czy plony i połowy w danym roku będą lepsze niż rok wcześniej. Aby odpowiedzieć na to pytanie, Rada Augurów formułowała pytanie w swoich modlitwach do Lutho, by później sięgnąć po wysuszone skorupy wielkich żółwi morskich – posłańców Lutho – i ułożyć na czarnych piaskach plaży Lutho. Następnie rozgrzewano żelazne pręty w koksowniku pełnym rozżarzonych węgla, a kiedy ich końce robiły się czerwone, wynoszono je i przytykano do muszli, czekając, aż te pękną. Augurowie następnie przyglądali się kierunkom tych pęknięć. Jeśli sześć skorup popękało mniej więcej w poziomie, a cztery mniej więcej w pionie, oznaczało to, że tego roku plony i połowy miały szanse trzy na pięć przegonić te zeszłoroczne. Wynik ten można było jeszcze doszlifować, mierząc dokładne kąty, jakie tworzyły pęknięcia względem osi północ – południe, wschód – zachód.

Dla augura geometria i inne działy matematyki były bardzo ważnymi narzędziami.

Luan jako dziecko z podziwem obserwował ojca, najwyższego augura, w pracy. Pewnego dnia, gdy miał siedem lat, poszedł z nim na plażę Lutho, gdzie Rada Augurów miała wspólnie znaleźć odpowiedź na jakieś ważne pytanie zadane przez króla. Podczas gdy ojciec Luana i inni augurzy o siwych brodach debatowali, Luan odszedł na bok i zaczął się bawić, grając w wymyśloną przez siebie grę.

Narysował na piasku kwadrat i wpisał w niego okrąg. Zamknął oczy i zaczął rzucać kamyki mniej więcej w kierunku figury, a potem na kartce zapisał, ile kamyków wylądowało wewnątrz kwadratu, a ile trafiło także w okrąg.

Gdy ceremonia się skończyła, ojciec przyszedł go zabrać.

– W co grasz, Lu-tika?

Chłopiec odpowiedział, że wcale nie gra, tylko właśnie oblicza wartość Liczby Lutho, która jest stosunkiem obwodu koła do jego średnicy.

Pole okręgu, wyjaśnił Luan, to Liczba Lutho pomnożona przez promień podniesiony do potęgi drugiej. Z kolei pole kwadratu równało się drugiej potędze dwóch promieni albo cztery razy promień podniesiony do drugiej potęgi. Czyli stosunek pola okręgu do pola kwadratu równał się z Liczbą Lutho podzieloną przez cztery.

Jeśli rzucić odpowiednią liczbę kamyków, stosunek liczby tych, które spadły na pole okręgu, do tych, które spadły na pole kwadratu, wynosił mniej więcej tyle co stosunek pól tych figur. Dzieląc ten stosunek przez cztery, Luan otrzymywał przybliżoną wartość Liczby Lutho. Im więcej rzucić kamyków, tym dokładniejsza będzie wartość.

I w ten oto sposób Luan z przypadku uczynił pewność, z chaosu ład, a z losowości wzór, który nosił znamiona perfekcji i piękna.

Ojciec Luana nie mógł się nadziwić geniuszowi syna. Była to oznaka jego inteligencji, ale też pobożności. Z pewnością mały cieszył się szczególnym zainteresowaniem boga Lutho.

Normalnie Luan Zya zastąpiłby ojca na stanowisku najwyższego augura Haanu i poświęcił swoje życie liczbom i figurom, kalkulacjom i tezom, dowodom i mistycznym dociekaniom, fascynującemu zadaniu nieustannego poszukiwania woli bogów.

Jednak wtedy przyszedł cesarz Mapidéré.

Rodzina Luana poświęciła się obronie Haanu. Jego ojciec wynalazł zaokrąglone lustra, które pozwoliły podpalić xańskie statki widziane z brzegu Haanu, używając do tego jedynie słońca. Jego dziadek zaprojektował kusze ładowane pociskami z prochem, którymi zestrzeliwano xańskie sterowce latające zbyt nisko. Sam Luan, wtedy zaledwie dwunastoletni, wymyślił sposób na przekładanie warstw skóry metalową siatką o drobnych oczkach, żeby stworzyć lżejsze, lepsze tarcze dla ochrony haańskich żołnierzy przed xańskimi strzałami.

Jednak ostatecznie nie miało to żadnego znaczenia. Choć Xana płaciła wysoką cenę za każde zwycięstwo, powoli i wytrwale zdobywała kolejne obszary Haanu, aż w końcu została już tylko stolica, Ginpen. Xana najechała miasto, otaczając je wieloma pierścieniami zdeterminowanych oddziałów, przypominających wiele warstw jedwabiu, którym haańskie kobiety oblekają swoje ciała na zimowe tańce. A jednak Ginpen miał głębokie studnie i pełne spiżarnie. Król Cosugi planował przeczekać najazd, dopóki inne królestwa Tiro nie przybędą z pomocą.

Niestety haański dwór był skorumpowany ignił od środka. Edukacja okazała się nie mieć szans w starciu z chciwością. Książę, skuszony obietnicą pomocy ze strony Xany w objęciu tronu, zgodził się otworzyć w tajemnicy bramy miasta i Ginpen upadł w ciągu jednej nocy. Król Cosugi poddał się w końcu, jednak przedtem xańscy najeźdźcy sprawili, że stolica spłynęła krwią, a wysypane czarnym piaskiem ulice stały się czerwone jak korale, jak świeża lawa, jak zachodnie niebo na tle słońca chowającego się za widnokregiem.

Sukcesy haańskich wynalazków tak rozwścieczyły generała Yumę, zdobywcę Ginpen, że wysłał specjalny oddział do włości rodziny Luana, podczas gdy pozostali łupili miasto.

– *Lu-tika* – wyszeptał ojciec chłopca, pochylając się i dotykając jego czoła. – Dzisiaj nasz klan poświęci wiele istnień, by okazać lojalność Haanowi, naszą pobożność wobec bogów i pogardę dla tyrana Réona. Jednak by nasza śmierć nie pozostała bez znaczenia, ziarno rodziny Zya musi zostać zachowane, by miało szansę wykiełkować. Nie wracaj tutaj, dopóki nie przegonisz xańskich najeźdźców i nie przywrócisz chwały Haanu.

Zawołał lojalnego sługę rodziny i poinstruował go, jak upodobnić się do xańskiego żołnierza.

– Ubierz Luana w sukienkę służki i zabierz go stąd. W chaosie, jaki zapanował na ulicach, wszyscy wezmą cię za kolejnego xańskiego najeźdźcę z pojmanym więźniem. Opuść Ginpen i zaopiekuj się ostatnim członkiem mego rodu. A teraz idź!

Kiedy sługa prowadził chłopca przez ulice, Luan krzyczał i płakał, i błagał, by

pozwolono mu umrzeć razem z bliskimi. Inni xańscy żołnierze widzieli w nich kolegę z zapłakaną, rozhisteryzowaną dziewczynką. Później chłopiec zdał sobie sprawę, jakim wspaniałym augurem okazał się jego ojciec – wybrał przebranie, które sprawiło, że strach chłopca i utrata przez niego kontroli ich nie zdradziły.

Sztuczka zadziałała i udało im się uciec. Jednak później, w nocy, hańscy wieśniacy zabili sługę we śnie, myśląc, że właśnie ratują biedną dziewczkę z rąk xańskiego brutalą.

Kiedy pierwszego dnia długiego poddaństwa Haanu wstało słońce, Luan znalazł się pośród obcych ludzi, wiele kilometrów od wszystkiego, co do tej pory znał.

Żaden inny członek jego rodziny nie przetrwał najazdu Ginpen.



Gdy wszystkie królestwa Tiro upadały jedno po drugim, Luan dojrzywał.

Nie przestawał uciekać, ukrywać się, trzymać się z dala od zasięgu wzroku niezliczonych wysłanników cesarza, którzy chętnie węszyli w poszukiwaniu zdrajców. Luan poprzysiągł zemstę w imieniu rodziny i ojczyzny. Obiecał spełnić ostatnie życzenie ojca. Zamierzał wypełnić wolę Lutho i przywrócić równowagę wywróconemu do góry nogami światu.

Nie należał do ludzi, którzy potrafiliby poprowadzić oddział do walki albo poruszyć tłum pełnym pasji przemówieniem. Jak mógł wypełnić przyrzeczenie?

Modlił się żarliwie i raz po raz próbował ustalić wolę bogów.

– Panie Lutho, czy twoją wolą jest, by Haan powstał, a Xana upadła? Co mam zrobić, by spełnić twoją wolę?

Każdego dnia, o każdej godzinie zadawał te same pytania i doszukiwał się odpowiedzi w znakach.

Co mogło oznaczać, że na łące, którą właśnie mijał, rosło więcej koronek królowej Naki niż Inicy pospolitej? Ponieważ pierwsze kwiaty są białe, a drugie żółte, tak jak kolory Xany i Haanu, czy mogło to sugerować, że bogowie skłaniają się ku cesarstwu?

A może kluczem był kształt kwiatów: podczas gdy Inica przypominała zakrzywiony dziób sokoła Mingén, *pawi* boga Kiji, delikatna koronka królowej Naki przywołała na myśl siatkę rybacką Lutho.

A może – Luan musiał się zatrzymać na środku drogi, ponieważ tak zajmowały go te myśli – odpowiedź skrywała się w matematycznej zagadce? Podczas gdy z łatwością potrafił obliczyć pole powierzchni płatków składających się na kwiat Inicy, wiele trudności nastęczałoby ustalenie tego samego dla drugiego gatunku. Łodyżki rozgałęziały się wielokrotnie niczym naczynia krwionośne, by kończyć się wysypem drobnych białych kwiatków, które ledwo dało się zobaczyć. Luan już na pierwszy rzut oka widział, że wyliczenie powierzchni czegoś takiego – składającego się w większej części z dziur i krawędzi niż zwartej postaci – przypominałoby próby ustalenia obwodu płatka śniegu. Wymagałoby to zupełnie nowej dziedziny matematyki, metody pozwalającej na operowanie jednostkami nieskończenie małymi.

Więc może był to znak od bogów, że droga ku zmartwychwstaniu Haanu będzie długa i kręta, wymagająca ciężkiej pracy, odkrywania nowych ścieżek, które mogłyby pomóc

zwyciężyć przeciwności?

Mimo wielkiego talentu do wróżbiarstwa Luan potrafił z całą pewnością ustalić tylko tyle, że bogowie nie chcą przemawiać wprost i pozostawiają wynik zmagania w sferze domysłów.

Nie wiedząc, jak dotrzeć do bogów, Luan postanowił skupić się na przyziemnych sprawach. Jego wiedza matematyczna nie ograniczała się jedynie do wróżbiarstwa. Potrafił wyliczyć siłę i opór, napięcie i moment obrotowy, wiedział, jak połączyć dźwignie, przekładnie i równie pochyłe, by stworzyć skomplikowane maszyny. Czy jedna z nich pozwoliłaby samotnemu asasynowi osiągnąć sukces tam, gdzie poległy armie Sześciu Królestw Tiro?

Chowając się w ciemnych piwnicach albo porzuconych magazynach, Luan kreślił i rozrysowywał plan zgładzenia cesarza Mapidérégo. Ostrożnie próbował skontaktować się z haańskimi arystokratami, teraz rozrzuconymi po całej Darze, i sprawdzał ich lojalność wobec ojczyzny. Kiedy udało mu się znaleźć przychylną duszę, wołał o pomoc: pieniądze, listy polecające, miejsce na budowę sekretnej warsztatu.

Zdecydował się na odważny plan. Xański Podbój w dużej mierze symbolizowały sterowce, unoszące się w powietrze dzięki gazowi z góry Kiji. Dlatego też, w ramach gestu poetyckiej sprawiedliwości, Luan chciał, by zagłada cesarza Mapidérégo nadeszła z nieba. Zainspirowany przez wielkie albatrosy i żyjące na klifach haańskich brzegów orły, które potrafiły długimi godzinami unosić się w powietrzu bez machania skrzydłami, zaprojektował latawiec bitewny bez sznura, zdolny unieść jeźdźca i kilka bomb. Luan eksperymentował z coraz większymi prototypami, przeprowadzając loty testowe w dalekich, niezamieszanych dolinach i szlakach w górach Wisoti wzdłuż granicy między Cocru i Ganem, z dala od zasięgu wzroku cesarskich szpiegów.

Wiele razy, kiedy jego prototypy rozbijały się, zostawiając go na dnie jakiejś doliny, kilka dni drogi od najbliższej wioski czy miasteczka, zdeorientowanego i ledwo zipiącego, z połamanymi kośćmi i krwią płynącą z tuzina ran, Luan zaczynał wątpić w swoją poczytalność. Patrzył, jak gwiazdy powoli wędrują po nocnym niebie, nasłuchiwał wycia wilków w oddali i rozmyślał o tym, jak krótkie jest ludzkie życie wobec nieskończonej obojętności świata naturalnego.

Czy to możliwe, myślał, że bogowie zawsze mówili tak wieloznacznie i zrozumienie ich stanowiło wyzwanie, ponieważ pojmowali czasoprzestrzeń w zupełnie innej skali niż zwykli śmiertelnicy? Dla Rapy lodowe rzeki, pokonujące ledwie kilka centymetrów rocznie, poruszały się z taką samą prędkością jak te wartkie, a dla Kany lawa wylewała się i zastygała tak regularnie jak górskie strumienie. Lutho, stary żółw, żyje od miliona mileniów i będzie żył jeszcze miliony, a wszystkie pokolenia mieszkańców Dary znikną po kilku mrugnięciach jego zażawionych od słonej wody oczu.

Bogów nie obchodziło, kto zasiada na tronie w Ginpen, myślał Luan. Bogów nie obchodziło, kto przeżył, a kto umarł. Bogowie nic nie tracą i nie zyskują na sprawach śmiertelników. Niemądrze było myśleć, że możliwe jest odczytanie ich woli. Niemądrze było myśleć, że jego zemsta na cesarzu Mapidérému znaczyła dla nich coś więcej niż balsam na jego cierpiące, wściekłe serce.

A potem zamrugnął i zdał sobie sprawę, że znowu znajduje się w świecie ludzi, świecie

zdominowanym przez Xanę, świecie, na którym tak wielu nie przeszkadza tyrania i na którym jego obietnice wciąż pozostawały niedotrzymane.

Miał zadanie do wykonania. Owiął nogi bandażem i zamknął oczy, żeby poleżeć, dopóki nie nabierze dość sił, by wykuśtykać z tej doliny, naprawić swoje błędy w obliczeniach i spróbować jeszcze raz.



Próba zamachu na życie cesarza w górach Ér-Me, na drodze na północ od Zudi, stanowiła zwieńczenie wielu lat pracy.

Nad nagrzaną słońcem równiną Porin biegly ciepłe prądy powietrza, które mogły unieść latawiec.

Przypiął się do niego, sprawdził wszystko po raz ostatni, a potem wystartował ponad Cesarską Paradą, płynącą powoli na płaskiej powierzchni rzeką barbarzyńskiego splendoru.

Niestety poniósł klęskę. Celować potrafił dobrze, jednak kapitan strażników cesarskich okazał się odważny i szybko myślący, a Luan stracił jedyną szansę. Stał się poszukiwany i wiedział, że będą go ścigać przez całe cesarstwo, jako człowieka, który omal nie zabił cesarza Mapidérégo.

Czy to wola bogów ocaliła cesarza? Czy to Kiji pokonał Lutho i w ten sposób obronił Xanę? Nie dało się ustalić, czego pragną bogowie.



W całym cesarstwie nie było dla niego bezpiecznej kryjówki. Wszyscy jego dawni przyjaciele i arystokraci z Haanu, którzy niegdyś mu pomogli, teraz nie wahaliby się go wydać, skoro udzielenie mu schronienia groziło śmiercią pięciu pokoleniom.

Przychodziło mu do głowy tylko jedno miejsce: Tan Adü, odległa wyspa na południu, gdzie dzikie plemiona nie wpuszczały na swój teren mieszkańców Wysp. Stając przed wyborem między strachem znanym i nieznanym, postanowił zaryzykować swoje życie. W końcu Lutho był bogiem hazardzistów.

Podryfował nad brzeg Tan Adü na tratwie, na wpół martwy z głodu i pragnienia. Kiedy wyczołgał się na plażę, z dala od zasięgu fal, zapadł w głęboki sen. Gdy odzyskał przytomność, zdał sobie sprawę, że otacza go ciasny krąg stóp. Powędrował wzrokiem w górę, po nogach i nagich ciałach, aż w końcu spojrział w oczy wojowników Tan Adü.

Adüanie byli wysocy, szczupli i mocno umięśnieni. Mieli brązową skórę, jak wielu mieszkańców Dary, jednak pokrywały ją misterne, granatowe tatuaże, mieniące się w słońcu tęczowymi barwami. Blond włosi mężczyźni o niebieskich oczach trzymali w rękach włócznie z grotami, które Luanowi zdawały się ostre jak zęby rekina.

Znowu zemdlął.

O Adüanach mówiło się, że są brutalnymi kanibalami, którzy zabijają bez litości – tak tłumaczono klęskę, jaką poniosło wiele królestw Tiro, zwłaszcza Amu i Cocru, przy próbie

podbicia Tan Adü. Cywilizowani mieszkańcy Dary zwyczajnie nie potrafili być tak okrutni jak Adüanie.

A jednak nie zabili Luana i nie zjedli, wbrew jego obawom. Zamiast tego zniknęli, zanim zdążył na powrót odzyskać przytomność. Zostawili go w spokoju, żeby sam zadbał o siebie na wyspie.

Luan zbudował sobie szałas na plaży, z dala od wioski. Łapał samodzielnie ryby i uprawiał grządki kolokazji. Nocami przesiadywał przed wejściem do szałasu i spoglądał na migoczące w oddali ogniska, wokół których młodzi mężczyźni i kobiety o giętkich ciałach oraz miłych głosach tańczyli i śpiewali, a innym razem siedzieli cicho, by wysłuchać opowiadanych wciąż na nowo starych historii.

Nie potrafił uwierzyć w to, jakie miał szczęście. Był pewien, że musiał w jakiś sposób udowodnić Adüanom swoją przydatność, by usprawiedliwić ich dziwną litościwość. Kiedy udało mu się złapać wyjątkowo dużą rybę albo znalazł krzak z taką liczbą soczystych jagód, jakiej nie mógł przejeść, przynosił te nadwyżki do wioski i zostawiał na granicy jako dar.

Ciekawskie adüańskie dzieci zaczęły przychodzić do jego szałasu. Z początku zachowywały się, jakby zbliżały się do pieczary niebezpiecznego zwierzęcia, krzycząc ze śmiechem i odbiegając za każdym razem, gdy Luan dał znak, że je zobaczył. Dlatego później udawał, że nie zdaje sobie sprawy z ich obecności, a gdy podchodziły tak blisko, że nie mógł już dłużej grać, podnosił wzrok i uśmiechał się do nich. Kilkoro najodważniejszych odpowiadało tym samym.

Z czasem zauważył, że potrafi porozumiewać się z dziećmi dzięki pewnym gestom i znakom – nie dało się nie poczuć onieśmienia, kiedy maluchy patrzyły na człowieka, szeroko się uśmiechając i chichocząc.

Dzięki dzieciom zrozumiał, że mieszkańcy wioski uważali go za dziwaka o osobliwym nawyku zostawiania im darów.

Rozłożył ręce i z przesadną ekspresją okazał przybyszom swoje niezrozumienie.

Dzieci pociągnęły go za ubrania – teraz przypominające raczej szmaty – i zaprowadziły go do wioski. Odbywała się właśnie uczta i tańce, a Luan został zaproszony do wspólnego jedzenia i picia, jakby już stał się jednym z nich.

Nad ranem przeniósł się do wioski i zbudował sobie nowy szałas.

Dopiero kilka miesięcy później, kiedy dość już nauczył się ich języka, zrozumiał wreszcie, jak dziwne wydawało im się jego zachowanie.

– Dlaczego trzymałeś się z dala – pytał Kyzen, syn wodza – jakbyś był kimś obcym?

– A nie byłem?

– Morze jest szerokie, a wysp ledwie kilka. W obliczu siły morza wszyscy jesteśmy bezbronni i nadzy jak nowo narodzone dzieci. Każdy, kogo woda wyrzuci na brzeg, staje się naszym bratem.

Dziwnie się czuł, słysząc słowa współczucia od ludzi uważanych za dzikich, jednak w tamtej chwili był już gotów zaakceptować fakt, że nic o Adüanach nie wiedział. Tak wiele mądrości pochodzącej od innych ludzi nie jest żadną mądrością, zupełnie jak wiele zjawisk postrzeganych jako znaki od bogów jest zaledwie własnymi życzeniami. Najlepiej jest oceniać świat takim, jaki jest, a nie takim, jak opisali go inni.

Adüanie mówili o nim Toru-noki, „Długonogi Krab”.

– Dlaczego tak mnie nazywacie? – zapytał w końcu.

– Takim się nam wydałeś, kiedy wyczołgałeś się z morza.

Luan roześmiał się i wspólnie pili z czarek pełnych mocnego, słodkiego lambanogu ze sfermentowanych kokosów, dającego takiego kopa, że widziało się po nim gwiazdy.



Luan Zya chciał resztę życia spędzić szczęśliwie, żyjąc jako Adüan i nie przejmować się tajemniczymi znakami od bogów albo niemożliwymi do spełnienia obietnicami, które złożył jako dziecko.

Nauczył się sekretnej wiedzy Adüanów: przestał widzieć skąpany w słońcu ocean jako pozbawioną znaków szczególnych połąć, lecz żywą przestrzeń poprzecinaną prądami jak miasto drogami. Nauczył się rozumieć i imitować śpiew kolorowych ptaków, wołania mądrych małp i wycie groźnych wilków, a także tworzyć użyteczne narzędzia ze wszystkiego, na czym spoczął jego wzrok.

W podzięce pokazał swoim przyjaciołom, jak przewidywać zaćmienia Słońca i Księżycy, jak dokładnie śledzić zmianę pór roku, jak przepowiadać pogodę i przewidywać wielkość plonów kolokazji.

Nie wiedzieć czemu, nocami zaczęły go dręczyć koszmary, po których budził się zlany potem. Stare wspomnienia wypływały na wierzch i nie chciały opaść z powrotem. Widok płonących ksiąg i głosy umierających mędrców opanowały jego umysł. Serce wyrывało się do zadania, które zdawało mu się, że porzucił na zawsze.

– Osika chce stać bez ruchu – powiedział jego przyjaciel Kyzen, kiedy zobaczył spojrzenie Luana. – Jednak wiatr nie przestaje wiać.

– Bracie – odparł Luan, a wtedy obaj przystanęli i napili się razem araku, co było lepsze niż jakakolwiek smutna przemowa.

I w taki oto sposób siedem lat po tym, jak stał się Toru-noki, Luan Zya pożegnał się ze swoją przybraną rodziną i opuścił Tan Adü na tratwie z kokosów. Obrął kierunek na Wielką Wyspę.



Okazało się, że po tylu latach wola złapania go osłabła. Nadal jednak nie rezygnował z ukrywania się. Kręcił się po miasteczkach rybackich na zatoce Zatin jako bajarz i czekał na właściwy moment.

To, co zobaczył po przybyciu na Wielką Wyspę, wprawiło go w przygnębienie. Cesarstwo zdawało się obejmować swymi mackami każdy aspekt życia w Haanie. Ludzie nauczyli się pisać po xańsku, ubierać według cesarskiej mody i imitować akcent swoich najeźdźców.

Cierpiał, gdy dzieci naśmiewały się z jego haańskiego akcentu, jakby to on mówił obco. Młode dziewczyny w herbaciarniach grały na fletach z kokosa i śpiewały pieśni starego

Haanu, skomponowane przez dworskich poetów, by celebrować kruche piękno życia: chat szkolnych, akademii z salami z kamienia, kobiet i mężczyzn debatujących zagorzale o drogach poszukiwania mądrości. Jednak dziewczyny śpiewały, jakby pieśni te pochodziły z dalekiej krainy, mitycznej przeszłości, jakby nie czuły żadnego z nimi związku. Ich śmiech pokazywał brak zrozumienia bólu, jaki łączył się z utratą ojczyzny.

Zya czuł się zagubiony. Nie wiedział, co ma teraz począć.



Pewnego dnia, kiedy wyszedł na plażę znajdującą się za małym haańskim miasteczkiem, wciąż otuloną poranną mgłą, zauważył starego rybaka, który siedział na molo z nogami wiszącymi nad wodą i łowił ryby długą wędką z bambusa. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że buty zsunęły się ze stóp rybaka i wpadły do morza.

– Zatrzymaj się – powiedział do niego starzec. – Podejdź tutaj i je podnieś.

Nie było żadnego „proszę” ani „czy zechciałbyś”, żadnego „czy mógłbym prosić o przysługę”. Luan Zya, wciąż przecież syn haańskiego arystokraty, zjeżył się, słysząc ton starca. Opanował się jednak i zanurkował, żeby wydobyć z wody brudne, sfatygowane buty.

Kiedy wspinał się z powrotem na molo, starzec powiedział:

– Załóż mi je na stopy. – Jego orzechowe oczy były beznamietne, patrzyły z pomarszczonej twarzy o kolorze jeszcze ciemniejszym niż u Luana.

Znow: nie było żadnego „dziękuję” ani „jestem ci wdzięczny”, żadnego „przepraszam, ale czy mógłbyś”. Luana opanowała teraz raczej ciekawość niż gniew. Uklęknął, wciąż ociekając morską wodą, i założył starcowi buty. Skóra na jego stopach była zrogowaciała i popękana, a Luanowi przywiodła na myśl skórę żółwia.

– Nie jesteś tak arogancki, żeby nie dało się ciebie czegoś nauczyć – powiedział stary rybak, a potem uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy krzywych, pożółkłych i zepsutych zębów. – Przyjdź jutro z samego rana, a może będę coś dla ciebie miał.

Luan posłusznie pojawił się na molo nazajutrz o brzasku, tuż przed pierwszym biciem świątynnych dzwonów. Słońce ledwo się pokazało na widnokręgu, jednak staruszek już siedział na swoim miejscu, z nogami wiszącymi nad wodą i wędką z bambusa w rękę. Luanowi nie wydawał się już rybakiem, raczej nauczycielem z jednej z chat, który czekał na swoich uczniów, żeby pouczyć ich przez godzinę przed rozpoczęciem pracowitego dnia.

Starzec nie patrzył na Luana.

– Ty jesteś młody, ja stary. Ty jesteś uczniem, ja nauczycielem. Dlaczego przyszedłeś później niż ja? Wróć za tydzień i bardziej się postaraj.

W czasie następnych siedmiu dni Luan kilkakrotnie rozważał opuszczenie miasteczka – podejrzewał, że starzec jest zwykłym oszustem. Wciąż jednak dręczyło go pytanie „co jeśli”, a nadzieja kazała mu zostać. Umówionego dnia Luan pojawił się na molo jeszcze przed wschodem słońca. A jednak znowu ujrzał starca, który siedział już na miejscu i łowił.

– Musisz się bardziej postarać. Masz ostatnią szansę.

Po kolejnym tygodniu Luan postanowił rozbić pod molo obóz w nocy przed umówionym

spotkaniem. Przyniósł koc, jednak zimne powietrze znad morza nie dawało mu spać. Usiadł, trzęsąc się pod cienką warstwą materiału, i raz jeszcze pomyślał, że jest niespełna rozum.

Starzec pojawił się dwie godziny przed wschodem słońca.

– Udało ci się – powiedział. – Ale dlaczego? Dlaczego tu jesteś?

Luan – zmarznięty, zmęczony i głodny – już miał powiedzieć staruszkowi, co o nim myśli. Spojrzał jednak w jego oczy i zobaczył, że błyszczą ciepło w blasku gwiazd. Przypominały mu spojrzenie ojca z chwil, gdy pod rozgwieżdżonym niebem przepłytywał go z nazw konstelacji i orbit planet.

– Ponieważ nie wiem tego, czego nie wiem – odparł Luan i ukłonił się nisko.

Starzec kiwnął głową, zadowolony.

Podał Luanowi książkę, bardzo ciężką. Podczas gdy zwoje z woskowymi logogramami były używane na potrzeby tworzenia poezji i pieśni, tego rodzaju księgi, gęste kodeksy ze spojonych ze sobą cienkich kartek papieru, były pełne liter zyndari i cyfr i idealnie nadawały się do spisywania notatek i przekazywania wiedzy praktycznej.

Luan szybko przejrzał zawartość książki i znalazł w niej równania oraz projekty genialnych maszyn i nowych sposobów rozumienia tego, jak działa świat – wiele z tego stanowiło objaśnienia oraz rozwinięcia pomysłów, z których istnienia Luan już zdawał sobie sprawę, jednak w bardzo ograniczonym zakresie.

– Zrozumienie natury jest bliższe zrozumieniu bogów niż wszystko inne, co w mocy człowieka – rzekł starzec.

Luan próbował przeczytać kilka stron, lecz przytłoczyła go zarówno gęstość tekstu, jak i jego elegancja. Mógłby całe życie studiować zawartość tej księgi.

Przekartkował ją dalej i zauważył, że druga jej połowa jest pusta. Spojrzał zdziwiony na starca.

Rybak uśmiechnął się i powiedział bezgłośnie: „Patrz”.

Luan spuścił wzrok i zdumiał się, widząc, jak na pustych przed momentem stronach zaczynają pojawiać się liczby. Logogramy wyrastały na papierze najpierw jako bezkształtne plamy, jednak po chwili wyłaniały się z nich ostre krawędzie i misterne detale. Wydawały się istnieć naprawdę, jednak gdy Luan chciał ich dotknąć, jego palce przesuwają się po mirażach. Litery zyndari wierciły się na papierze, kręciły i tańczyły, by w końcu spocząć w formie ciasnych i pięknych formacji. Rysunki zaczynały się pojawiać jako zamazane, czarno-białe kontury, które następnie napełniły się żywymi kolorami.

Pismo i ilustracje wyłaniały się z papieru jak wyspy z morskiej otchłani, jak miraż nabierające rzeczywistej postaci.

– Księga dojrzewa, tak jak ty dojrzewasz – rzekł starzec. – Im więcej się uczysz, tym więcej jest jeszcze do nauki. Będzie ci służyć za pomoc w pracy nad poszerzaniem twoich zdolności dostrzegania ładu w chaosie. Nigdy nie wyczerpiesz jej nauki, ponieważ odświeżać ją będzie twoja ciekawość, a kiedy nadejdzie właściwy moment, pokaże ci coś, co już wiesz, lecz czego nie masz odwagi pomyśleć.

Luan klęknął.

– Dziękuję, nauczycielu.

– A teraz odchodzę – powiedział starzec. – Jeśli osiągniesz swój cel, ten prawdziwy,

a nie ten, który ci się nim teraz wydaje, spotkamy się na małym podwórzu za murami Wielkiej Świątyni Lutho w Ginpen.

Luan nie odważył się podnieść wzroku. Dotknął czołem drewnianych desek molo i nasłuchiwał odgłosu kroków oddalającego się starca, które przypominały szuranie żółwia przemieszczającego się po plaży.

– Obchodźcie nas więcej, niż myślisz – rzekł starzec i zniknął.



Ponieważ zaczarowana księga, którą mu podarowano, nie miała tytułu, Luan postanowił nazywać ją *Gitré Ūthu*, co w klasycznym ano oznaczało „znaj siebie”. Był to cytat z Kona Fijiego, wielkiego mędrca Ano.

Kiedy Luan podróżował po Wyspach, zapisywał uwagi o geografii i miejscowych zwyczajach w *Gitré Ūthu*. Naszkicował gigantyczne wiatraki z żyznej Géfiki, które ujarzmiły potężną Liru na potrzeby irygacji; przekupił inżynierów z pracowitej Gėjiry, żeby poznać sekrety misternych przekładni w młynach wodnych napędzających warsztaty przędzalnicze i włókiennicze; porównywał projekty latawców bitewnych ze wszystkich Siedmiu Królestw i badał ich wady oraz zalety; rozmawiał ze szklarzami, kowalami, kołodziejami, zegarmistrzami i alchemikami, zapisując wszystko, czego się od nich dowiedział; prowadził dziennik dotyczący pogody, migracji zwierząt lądowych, ryb i ptaków, a także właściwości roślin; konstruował modele na podstawie szkiców z księgi i weryfikował jej zawartość za pomocą eksperymentów.

Nie do końca był pewien, na co właściwie się szykuje, jednak nie czuł, że ma jakiś cel. Rozumiał już, że zbierana przez niego wiedza okaże się użyteczna, gdy nadejdzie odpowiedni czas i zostanie mu powierzony ważne zadanie.

Czasami bogowie przemawiali wprost.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

BRACIA

ÇARUZA: CZWARTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

– Już od dawna nie myślałem o tamtym dniu – powiedział Luan Zya, patrząc w dal, poza zasięg blasku ogniska.

– Tamtego dnia pokazałeś mi, że jeden człowiek jest w stanie zmienić świat – odparł Kuni. – Nic nie jest niemożliwe.

Luan się uśmiechnął.

– Byłem młody i niecierpliwy. Nawet gdybym dopiął swego, niewiele by z tego wynikło.

Kuni był zaskoczony.

– Dlaczego tak mówisz?

– Kiedy Mapidéré umarł, poczułem chwilową panikę. Był odpowiedzialny za śmierć mojej rodziny, za przekreślenie mojej obiecującej przyszłości, za upadek Haanu. Gromiłem sam siebie za to, że na zawsze utraciłem szansę na dokonanie zemsty. Wtedy jednak zobaczyłem, że gdy cesarz Erishi objął tron, regent zmienił cesarstwo w plac zabaw i sytuacja tylko się pogorszyła. Mapidéré był tylko człowiekiem, a sądząc po plotkach na temat jego stanu tuż przed śmiercią, człowiekiem bardzo przy tym słabym i chorowitym. Jednak stworzone przez niego imperium zaczęło żyć własnym życiem. Zabicie cesarza by nie wystarczyło. Musimy zabić cesarstwo. Jestem w drodze do Çaruzy, żeby zaoferować swoje usługi królowi Cosugi. Nadszedł czas, żeby uwolnić Haan i rozprawić się z truchłem cesarstwa.

Kuni się wahał.

– Jednak czy faktycznie lepiej dla nas jest wrócić do czasów walczących ze sobą królestw Tiro? Życie w cesarstwie jest trudne, lecz czasem się zastanawiam, czy Krima i Shigin byli choć krztyną lepsi dla zwykłych ludzi. Musi istnieć coś lepszego niż wybór między tymi dwiema podłymi ścieżkami.

Luan Zya otaksował tego dziwnego młodego człowieka. Nigdy jeszcze nie spotkał rebelianta, który by tak otwarcie kwestionował cel buntowników. A jednak czuł do Kuniego Garu sympatię.

– Myślę, że rebelia to dopiero początek – rzekł Luan. – To jak rozpoczęcie łowów na jelenia: wielu widać myśliwych na łące, z łukami i włóczniami, jednak nie da się ustalić, który z nich zgładzi zwierzę. Zakończenie łowów zależy wyłącznie od nas.

Kuni i Luan uśmiechnęli się do siebie. Zjedli wspólnie pieczone zające i bażanty, wspaniale doprawione przez Jię ziołami, a potem wypili słodki lambanóg z bukłaka Luana.

Nie spali do późna i rozmawiali, nawet kiedy innych zmorzył już sen, nawet kiedy

z ogniska zostały tylko żarzące się węgielki, kiedy niezręczność świeżo nawiązanej znajomości przeobraziła się w szczerą przyjaźń.



– Wygląda na to, że dla prawdziwych przyjaciół każde rozstanie jest zbyt wczesne – powiedział Luan Zya i klasnął w dłonie, a potem podniósł je w stronę Kuniego Garu w tradycyjnym haańskim geście pożegnania.

Stali przed wejściem do Drugiej Fali, porządnej, choć skromnej gospody w Çaruzie. Kuni przed chwilą wystarał się tam dla nich o nocleg.

– Wiele się od ciebie nauczyłem, choć rozmawialiśmy zaledwie przez jedną noc – odparł. – Raz jeszcze pokazałeś mi, jak wielki jest świat i jak niewiele o nim wiem.

– Coś mi się wydaje, że niedługo będziesz o nim wiedział więcej niż ja – rzekł Luan. – Garu, widzę w tobie śpiącego crubena, który zaraz się przebudzi.

– Czy to przepowiednia?

Luan się zawahał.

– Raczej zwykłe przeczucie.

Kuni roześmiał się szczerze.

– Ach, szkoda, że nie mówisz tego w obecności moich przyjaciół i rodziny. Wielu z nich wciąż uważa, że do niczego się nie nadaję. Ale nie, wątpię, bym chciał być crubenem. Jeśli już, to pyłkiem dmuchawca.

Luan zdziwił się, lecz po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Wybacz mi, Kuni Garu. Powinienem wiedzieć, by nie mówić nic, co można by zrozumieć opacznie jako komplement. Może nie jesteś urodzonym arystokratą, lecz z pewnością masz szlachetne serce.

Kuni zarumienił się i uklonił Luanowi, a potem podniósł wzrok i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Mój przyjacielu, chcę, byś wiedział, że zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce przy moim stole, bez względu na to, co przyniesie przyszłość.

Luan Zya pokiwał głową.

– Dziękuję, Kuni Garu, lecz moje serce rwie się do służenia królowi Cosugi. Muszę iść do niego i wypełnić swój obowiązek wobec Haanu.

– Oczywiście, nie chciałem cię urazić. Żałuję tylko, że poznaliśmy się tak późno.



Król Thufi nie miał pojęcia, co zrobić z tym całym „księciem Zudi”. Nie istniał w tradycji taki tytuł ani taki region i Thufi nie przypominał sobie, żeby taki stworzył. Jednak z podobnym taktem, z jakim przyjął wieści o królu Zachodniego Cocru, łaskawie pozwolił temu krępemu młodemu człowiekowi, który przypominał raczej przywódcę gangu niż księcia, wszystkim się tak przedstawiać.

Po tym królewskim przyzwoleniu Kuni Garu z rozbawieniem zdał sobie sprawę, że

odtąd musi swój tytuł traktować nieco poważniej. Jeśli nawet król traktuje cię jak księcia, z pewnością musisz się zachowywać jak księżę.

– Wasza Wysokość – powiedział – przybyłem tutaj nie tylko po to, by się tobie pokłonić, lecz także by przynieść ważne wieści. Oddziały Tanno Namena maszerują na południe i wiele miast zajętych przez Krimę i Shigina może znowu trafić w ręce cesarstwa, ponieważ Namen ma reputację bezlitosnego. Samo Zudi już zdążyło zmienić barwy.

„Czyli jesteś »księciem«, który nie ma nic do zaoferowania – pomyślał król Thufi. – Oszustem właściwie. Zabawne, że zachowałeś tę drobną informację dla siebie, dopóki cię oficjalnie nie przedstawiłem”.

– Potrzebuję żołnierzy, żeby odzyskać Zudi. Powinniśmy też stanąć na drodze siłom cesarstwa.

„Ach, żebrak, a do tego bezczelny!”

– Sprawy dotyczące strategii wojskowej należy omawiać z marszałkiem Zyndu – oznajmił król Thufi, chcąc jak najszybciej pozbyć się tego człowieka.



– Mata, nie zgodzę się. To zbyt duże ryzyko – powiedział Phin Zyndu. – Jeśli mamy wierzyć doniesieniom Théki Kimy o upadku Dimu, Namen jest dobrze przygotowany. Lepiej zaczekać tutaj, aż sam do nas przyjdzie.

Jego bratanek już miał wytoczyć następny argument, kiedy straż zapowiedziała Kuniego Garu, księcia Zudi, który przybył na spotkanie z marszałkiem Zyndu.

– Kim jest ten cały księżę Zudi? Słyszałeś kiedyś o takim lennie? – zapytał Phin, a Mata tylko wzruszył ramionami.

Kuni wszedł do środka i natychmiast gwałtownie wciągnął powietrze. Na środku namiotu stał najbardziej niesamowity człowiek, jakiego kiedykolwiek widział. Mata Zyndu mierzył prawie dwa i pół metra, a każda jego ręka zdawała się dwa razy grubsza od uda Kuniego – a przecież Kuni, delikatnie mówiąc, nie należał do szczupłych. Szeroko rozstawione, wąskie oczy Maty przypominały kształtem ciało dyrany, a w każdym znajdowały się dwie źrenice.

Jednak Kuni spędził przy kartach dość czasu, by od razu przyjąć pokerowy wyraz twarzy. Złapał Matę obydwoma rękami i spojrzał mu prosto w oczy – postanowił skupić się na źrenicach położonych najbliżej nosa – i wyjaśnił na cały głos, jak cieszy się, że wreszcie może poznać słynnego księcia Phina Zyndu z Tunoi, marszałka Cocru.

– Mówisz o moim wuju – odparł Mata, rozbawiony zuchwałością tego małego człowieka.

No, właściwie nie takiego małego. Kuni Garu był średniego wzrostu, mierząc trochę poniżej metra osiemdziesięciu, jednak przy Macie wszyscy wydawali się mali. A brzuch piwny Kuniego sugerował, że nie należy on do zbyt sprawnych wojowników, co w oczach Maty stanowiło przywarę. Jednak podobało mu się, że Kuni wydaje się nie przejmować jego niezwykłym wzrostem czy oczami.

Kuni nie okazał ani krztyny zawstydzenia swoją pomyłką. Odwrócił się do Phina Zyndu i kontynuował jak gdyby nigdy nic:

– Oczywiście. Widzę wyraźne podobieństwo. Muszę ci pogratulować, marszałku, Zyndu, tak wspaniałego następcy. Cocru ma szczęście, skoro broni go dwóch tak wspaniałych wojowników.

We trzech usiedli na zwyczajnych matach rozłożonych na podłodze. Kuni od razu przyjął wygodną pozycję *géüpa*, krzyżując nogi i kładąc pośladki na ziemi. Po chwili wahania Phin i Mata zrobili to samo. Z jakiegoś powodu nieformalne zachowanie Kuniego nie przeszkadzało Macie. Emanowało z niego jakieś ciepło i entuzjazm, przez co Mata instynktownie czuł do niego szacunek, nawet jeśli nieznajomy nie zachowywał się jak arystokrata.

Kuni szybko wyjaśnił powód swojego przybycia i przedstawił plan zdobycia Zudi.

Mata Zyndu i Phin Zyndu popatrzyli po sobie i obaj wybuchnęli śmiechem.

– Książę Garu, nie uwierzysz – powiedział Phin, kiedy się już uspokoił. – Tuż przed tym, jak wszedłeś, razem z bratankiem dyskutowaliśmy o strategii. Twierdziłem wtedy, i nadal twierdę, że powinniśmy zostać po tej stronie równiny Porin, umocnić naszą pozycję i poczekać, aż Namen sam do nas przyjdzie. Powinniśmy być gotowi oddać wszystkie miasta na północy Cocru. Kiedy Namen tutaj dotrze, jego zapasy będą na wyczerpaniu, a ludzie zmęczeni. Zyskamy większą szansę na zmiążdżenie go.

– A moim zdaniem powinniśmy zrobić coś dokładnie przeciwnego – oznajmił Mata. – Należy natychmiast uderzyć w Namena. Dotychczas nie spotkał się z żadnym istotnym oporem, ten głupiec Krima nie miał pojęcia, co robi. Namen będzie arogancki, a jego ludzie zbyt pewni siebie. Jeśli razem z wujem Phinem weźmiemy najlepsze oddziały i wyjdziemy Namenowi na spotkanie przed jednym z miast na równinie, zdołamy go pokonać, zanim wdrze się w głąb Cocru. Zwycięstwo podniesie morale wśród pozostałych rebeliantów, czego bardzo nam trzeba po śmierci króla Jizu.

– Myślę, że Zudi będzie idealnym miejscem do takiej operacji – zauważył Kuni, w lot pojmując plan Maty.

– Jak już mówiłem, podjęlibyśmy w ten sposób duże ryzyko. – Phin zamilkł na moment, by w myślach dokonać niezbędnych obliczeń. – Potrzebowaliśmy przynajmniej pięciu tysięcy ludzi, żeby mieć jakieś szanse w potyczce z Namenem, a teraz nie możemy sobie pozwolić na wysłanie ich aż tylu. Jeśli nie uda się zaważać o Zudi i stracimy te pięć tysięcy, istotnie osłabimy naszą obronę tutaj, pod Çaruzą, być może nawet tyle, by ostatecznie przegrać.

– Całe nasze życie jest jedną wielką grą – powiedział Kuni. – W czasie wojny nic nie jest pewne. Nie wygra ten, kto nie jest gotów podjąć ryzyka.

Mata Zyndu pokiwał głową. Kuni zdawał się czytać w jego myślach.

– W tym wszystkim jest jeszcze aspekt moralny – kontynuował Kuni. – Jeśli oddacie całe północne Cocru Namenowi, mieszkańcy miast równiny Porin wiele wycierpią w czasie ponownej xańskiej okupacji, ponieważ poparli Krimę, Shigina i króla Thufiego. Jeśli porzucimy ludzi w drodze zimnej kalkulacji i dla abstrakcyjnej strategii, ich serca zmienią się dla nas w kamień. Oni wszyscy powstali pod flagą Krimy i Shigina, a potem króla Thufiego, ze względu na obietnicę lepszego życia bez cesarstwa. Niektórzy z nas ciężko pracowali, żeby ta wizja się spełniła, i myślę, że powinniśmy spróbować wszystkiego, by powstrzymać Namena przed rozerwaniem tej wizji na strzępy.

Phin się zamyślił. Wcześniej uważał, że Mata jest zbyt porywczy, by mógł objąć samodzielne dowództwo, jednak ten cały Kuni Garu zdawał się rozsądny. Może okaże się dopełnieniem dla odważnego i walecznego Maty?

Pokiwał głową.

– Daję Macie pięć tysięcy żołnierzy. Ty pójdziesz z nim jako drugi dowódca. Nie zawieź mnie. Ja tymczasem będę w dalszym ciągu rekrutował i szkolił ludzi, żeby zasilić nasze wojsko. Im dłużej będziecie się opierać Namenowi, tym większe będą szanse, że przybędę wam z pomocą.



Jia postanowiła zostać w Çaruzie ze względu na ciążę. Phin Zyndu obiecał zaopiekować się nią tak, jakby była jego własną córką.

– Bądź ostrożny – powiedziała do Kuniego, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boi.

– Nic się nie martw. Nigdy nie podejmuję niepotrzebnego ryzyka. No, o ile ktoś mi nie poda pewnych ziół.

Zaśmiała się, słysząc te słowa, a Kuni pomyślał, że jego żona wygląda wyjątkowo pięknie ze łzami na policzkach – jak gruszka po deszczu.

– Poza tym niedługo będziesz miała przy sobie małego Garu – dodał łagodnie.

Trzymali się za ręce i długo milczeli. Rozdzielili się dopiero wtedy, gdy wstało słońce i pokrzykiwania żołnierzy szykujących się do wymarszu stały się zbyt głośne, by dalej je ignorować. Kuni pocałował Jię, tylko raz, a potem wyszedł, nie odwracając się za siebie.



Podróż powrotna do Zudi potrwała znacznie krócej niż podróż do Çaruzy. Pięć tysięcy koni potrafiło się poruszać bardzo szybko.

Kuni uśmiechnął się do Thana, który jechał tuż obok niego.

– Mam nadzieję, że przez jakiś czas nie będę już musiał słuchać o nowych koniach.

Jednak Than nie odpowiedział. Jego uwagę w całości pochłaniała Refiroa, niezwykle wierzchowiec Maty. Nie potrafił uwierzyć w istnienie takiego konia, nie mówiąc już o tym, że ktoś go dosiadał. Pragnął poznać zwierzę bliżej, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

Kiedy czerwone flagi Cocru dało się zobaczyć pośród kurzu wzniesianego przez końskie kopyta, żołnierze pilnujący bram miasta zmienili zdanie. Może i generał Namen wygra, jednak cesarskich sił nie dało się jeszcze nigdzie wypatrzyć, tymczasem oddziały króla Thufiego już podjechały pod mur. Porucznik Dosa został szybko aresztowany i skępowany, zaś flagi natychmiast podmieniono na odpowiadające tym widocznym na koniach. (Mimo to żołnierze na murach przezornie złożyli i schowali cesarskie białe proporce; nikt nie wiedział, czy za parę dni nie okażą się potrzebne – należy być zawsze przygotowanym).

Mata Zyndu miał na sobie pełną zbroję z kolczugi, a towarzyszyły mu Na-aroenna, Pogromczyni Wątpliwości, oraz Goremaw. Zanim wyruszyli w drogę, Kuni chciał obejrzeć

niezwykły miecz Maty, jednak okazał się tak ciężki, że ledwo potrafił go unieść obydwoma rękami. Wystawił język i zaśmiał się sam z siebie, prosząc Matę, by zabrał broń z powrotem.

– Mógłbym ćwiczyć sto lat, a i tak nie stałbym się nawet w jednej dziesiątej takim wojownikiem jak ty.

Mata pokiwał głową, słysząc komplement, ale nic nie powiedział. Widział, że Kuni mówi szczerze, że nie próbuje za wszelką cenę zyskać jego przychylności. „Mężczyzna, który przyznaje się do słabości jest na swój sposób silny”.

Wspaniały czarny wierzchowiec Maty, Refiroa, przyćmiewał wszystkie inne konie, tak jak Mata przyćmiewał wszystkich innych wojowników. Zwierzę rwało do przodu, niezadowolone, że musi utrzymywać tę samą prędkość co pozostałe konie. Kuni Garu, ubrany w tunikę podróżną, jechał tuż obok Maty na starej białej kobyle, która całe życie służyła wojsku – przy wierzchowcu Maty wyglądała jak kucyk albo osioł. Jej największą zaletą była stabilność, co też Kuni, niezbyt wprawny jeździec, bardzo doceniał.

Ta dziwna para na przodzie prowadziła za sobą cocruską armię. Żołnierze Zudi ustawili się w bramie, żeby ich powitać. Zachowywali się, jakby zaledwie kilka godzin wcześniej wcale nie służyli pod cesarską flagą. Kilku z nich przyprowadziło porucznika Dosę, związanego jak owca przyszykowana na sprzedaż, i rzuciło go przed nogami koni Maty i Kuniego.

Porucznik Dosa zamknął oczy, pogodzony ze swoim losem.

– Czy to jest człowiek, który zdradził księcia Zudi? – zapytał Mata Zyndu. – Myślę, że powinniśmy go rozczłonkować, a następnie wysłać fragmenty ciała do Namena jako prezent.

Dosa zadrżał.

– To mógłby być dla niego zbyt łatwy koniec – oznajmił Kuni. – Generale Zyndu, czy zrobiłbyś mi tę przyjemność i pozwolił zająć się tym człowiekiem?

– Oczywiście – odparł Mata. – Urągał ci, więc do ciebie należy wybranie dla niego kary.

Kuni zszedł z konia i podszedł do związanego człowieka.

– Naprawdę uważałeś, że nie mamy szans w starciu z Namenem?

– Dlaczego zadajesz pytanie, na które już znasz odpowiedź? – rzucił gorzko Dosa.

– I uznałeś, że nie ma sensu tracić tak wielu żołnierzy i ludzi?

Dosa pokiwał smętnie głową.

– Nie wierzyłeś w moją zdolność obrony Zudi.

Dosa się roześmiał.

– Jesteś tylko bandytą i rozbójnikiem! Nie masz zielonego pojęcia o prowadzeniu wojny! – Nie było już sensu kłamać. Równie dobrze mógł powiedzieć temu idiocie, co naprawdę o nim myśli.

– Rozumiem twój punkt widzenia. Na twoim miejscu być może zrobiłbym to samo. – Kuni uklęknął i rozwiązał Dosę. – Ponieważ chciałeś ratować życie mieszkańców miasta, w tym życie moich rodziców, brata i teściów, zgodnie z nauką Kona Fijego nie powinienem surowo cię karać, nawet jeśli faktycznie mnie zdradziłeś. Zapewniam jednak, że pokonamy starego Namena i jego cesarskich zbójów. Jeśli zaś chodzi o karę, pozostawiam cię

dowódcą twoich ludzi, żebyś nauczył ich teraz wiary i odwagi.

Dosa nie wierzył własnym uszom. Spojrzał na swoje wolne już ręce. Po chwili klęknął przed Kunim Garu i przyłożył czoło do ziemi.

Mata Zyndu zmarszczył brwi. To z pewnością był błąd. Książę Zudi wydawał się litościwy jak kobieta i pozbawiony dyscypliny. Taka łaska okazana zdrajcy tylko zachęci do dalszych zrad, jednak skoro Mata zgodził się, by Kuni decydował o losie porucznika, nie mógł się wtrącać.

Pokręcił głową i postanowił, że nie będzie się teraz tym martwił. Wciąż czekało ich wiele pracy. Oddziały Namena mogły się pojawić pod bramą miasta w każdej chwili.



Dosa w okresie, gdy rządził Zudi, zostawił rodziny Kuniego i Jii w spokoju. Słyszając to, Kuni był naprawdę wdzięczny i jeszcze mocniej utwierdził się w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję.

W pierwszej kolejności poszedł odwiedzić Gilo Matizę. Teść przyjął go uprzejmie, jednak pozostawał zimny i zdystansowany, a Kuni rozumiał, że wciąż nie wierzy w stabilność pozycji Kuniego. Szybko wyszedł.

W domu Féso Garu było zupełnie inaczej. Mata przyszedł razem z Kunim, żeby okazać szacunek rodzicom współdowódcy.

Kuni musiał się schylić, gdy w jego stronę poleciał but.

– Ile jeszcze razy będziesz narażał mnie i matkę na niebezpieczeństwo swoimi lekkomyślnymi postępkami?! – krzyczał Féso, gdy tylko przekroczyli próg. Gniew sprawił, że jego oczy stały się okrągłe jak śliwki, a gdy dyszał, jego gęsta biała broda poruszała się jak wąsy suma. – Ja tylko chciałem, żebyś znalazł sobie miłą dziewczynę i się ustatkował; zamiast tego przez ciebie cała nasza rodzina może w każdej chwili zostać stracona!

Kuni uciekł, ochraniając głowę rękami przed drugim butem.

– Kuni, rozumiem, że próbujesz zrobić to, co słuszne – wołała Naré, próbując powstrzymać Féso. – Wyjdź na chwilę, a ja postaram się udobruchać twojego ojca.

Mata był zdumiony obrotem spraw. Sam wychowywał się bez rodziców, więc całe życie zastanawiał się, jakby to było mieć ojca. Scena, która rozegrała się między Kunim i Féso, była czymś, czego nigdy sobie nie wyobrażał.

– Twój ojciec nie jest dumny z twoich osiągnięć? – zapytał Mata. – Przecież zostałeś księciem! To z pewnością największy honor, jaki spłynął na wasz ród w ostatnich dziesięciu pokoleniach.

– Honor to nie wszystko, Mata – odparł Kuni, pocierając głowę w miejscu, gdzie trafił go but. – Czasami rodzice wolą, żeby ich dzieci były bezpieczne i zwyczajne.

Mata pokręcił głową, nie rozumiejąc tak prozaicznych pragnień.



W przeciwieństwie do rodziny Kuniego jego dawni ludzie, którzy poszli za nim w góry Ér-

Me, żeby zostać bandytami, a potem wrócili do Zudi, gdzie zostali rebeliantami, przyjęli go z radością. W czasie jego nieobecności niektórzy niechętnie podporządkowali się Dosie, podczas gdy inni otwarcie się mu sprzeciwili i zostali za to wtrąceni do więzienia.

Otho Krin, niezdarny chłopak, który przyprowadził do Kuniego Jię, był jednym z nich. Kuni natychmiast udał się do więzienia i własnoręcznie otworzył kraty zawilgoconej celi. Otho zamrugał, chroniąc oczy przed światłem, które nagle wdarło się do pomieszczenia.

– Przykro mi, że tak wiele przeze mnie wycierpiałeś – powiedział Kuni i pomógł chłopakowi wstać z siennika. Potem mu się uklonił i ocierając rękawami kąciki oczu, dodał: – Wstydzę się, że tak wielu moich ludzi tyle wycierpiało. Przysięgam tu i teraz, że uznaję ten dług wobec was za niespłacony, dopóki nie dam wam, moi bracia, wszystkich bogactw i zaszczytów, na jakie zasługujecie.

Wszyscy jego ludzie, którzy przyszli z nim do więzienia, klękali i również mu się uklonili.

– Pójdziemy za tobą na szczyt góry Kiji i na samo dno wiru Tazu!

– Bogowie nam błogosławią, dając nam takiego szczodrego przywódcę jak ty, panie Garu!

Mata zmarszczył brwi – to było naruszenie etykiety. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś tak wysoko postawiony jak Kuni mógł kłaniać się swojemu słudze i dlaczego teraz ci plebejusze mówią w taki śmieszny sposób.

Na twarzy Cogo pojawił się ulotny uśmiech, lecz zaraz zniknął. Wciąż zadziwiała go to, jak szczerowość Kuniego gładko przeistacza się w umiejętność odgrywania politycznego teatryku. Oczywiście wzruszyła go lojalność człowieka, który wolał trafić do więzienia niż go zdradzić, jednak wiedział też, jak to wykorzystać, by zapewnić sobie jeszcze większą lojalność.

– A... czy pani Jia jest gdzieś tutaj? – zapytał drżącym głosem Otho.

Kuni złapał go za ramiona.

– Dziękuję, Otho, że tak ci na niej zależy. Jia została w Çaruzie, ponieważ jej obecność tutaj byłaby zbyt ryzykowna... w jej stanie.

– Och – wyrwało się chłopcu, gdyż nie potrafił ukryć swojego rozczarowania.

– Rozchmurz się – powiedział Kuni i się roześmiał. – A może napiszesz do niej list? Zaprzyjaźniliście się w górach Ér-Me, prawda? Jestem pewien, że z radością przyjmie wiadomość od ciebie.



Kuni i Mata ogłosili, że ocaleli z Korpusu Ekspedycyjnego Krimy i Shigina żołnierze mogą dołączyć do nich w Zudi. Grupki walczących o przetrwanie wojaków przemierzających cocruskie ziemie po upadku Dimu odpowiedziały na to wezwanie i wkrótce pięciotysięczna armia zwiększyła swoje rozmiary do ponad ośmiu tysięcy.

– Rat, naprawdę chcesz wrócić do wojska? – zapytał Dafiro swojego brata. – Moglibyśmy zostać w górach i wieść życie bandytów. A arystokracja niech sama prowadzi swoje wojny.

Wciąż zostało im kilka kilometrów do bram Zudi. Przystanęli na tym samym wzgórzu, na

którym wiele dni temu Kuni i jego przyjaciele urządzili sobie piknik.

Ucieczka z Dimu była koszmarem. Dafiro i Ratho walczyli w ciemności i chaosie najlepiej, jak potrafili. Kiedy stało się jasne, że przegrali, schowali się w piwnicy bogatego kupca i przeczekali plądrowanie, by potem ukryć się w wozie zbierającym i wywożącym trupy poza miasto. W ciągu ostatnich kilku dni nauczyli się doskonale grać zmarłych.

– Mama i tata nie chcieliby, żebyśmy zostali bandytami – powiedział uparty Ratho.

Dafiro westchnął. Jego brat wspominał matkę lepiej niż on. Kiedy ich ojciec zginął w Wielkich Tunelach, cesarscy poborcy podatkowi nękali rodzinę, by płaciła więcej w ramach „rekompensaty” za pozbawienie cesarza pracownika. Matka, zrozpaczona i w żałobie, znalazła pocieszenie w alkoholu. Wiele razy łamała serce starszemu synowi, by następnego ranka ze łzami w oczach przeproszać i tego samego wieczoru znowu się upić. Dafiro robił wszystko, żeby uchronić Rata przed najgorszymi przejawami jej uzależnienia.

Teraz mieli już tylko siebie.

– Chcę zobaczyć cesarza Erishiego i zapytać go, dlaczego nasz ojciec nigdy nie wrócił i dlaczego jego ludzie nie zostawili mamy i nas w spokoju. Nikomu nie wadziliśmy, próbowaliśmy tylko jakoś przetrwać, nie wchodząc nikomu w drogę – powiedział Ratho. Głos wiązał mu w gardle.

– W porządku – odparł Dafiro. Uważał brata za głupca, jednak bardzo odważnego głupca. Żałował, że sam nie ma tyle odwagi. – Dołączmy do księcia Garu i generała Zyndu.

– Hej, a czy my już nie widzieliśmy kiedyś generała Zyndu? Tak, już wiem! To on był tym tajemniczym jeźdźcem, który pojawił się na koronacji króla Huno. To on zażartował sobie z króla, nazywając go małpą!

Dafiro zaśmiał się, wspominając tamten dzień.

– Dla takiego pana warto walczyć – oznajmił Ratho. – Niczego się nie bał, a kiedy ludzie króla chcieli go zabić, zainterweniował sam Fithowéo.

– Nie powtarzaj głupich przesądów – odparł Dafiro. Podziw w głosie brata sprawił, że poczuł smutek. Niegdyś chłopiec mówił tak tylko o ich ojcu i o Dafiro. Może wreszcie dorastał i szukał własnych bohaterów.

Po chwili, którą poświęcił na opanowanie się, Dafiro powiedział:

– Słyszałem, że są raczej sprawiedliwi i płacą o czasie. Przynajmniej będą nas karmić i może nawet któregoś dnia zobaczymy cesarza Erishiego. Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, uciekamy we dwóch. Tylko głupiec umiera za arystokrację. Na Bliźniaczki, bez mrugnięcia okiem sprzedaliby nas za miedziaka, gdyby tylko mogli. Dlatego musimy siebie nawzajem chronić. Słyszysz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

SIŁY POWIETRZA

RUI: PIĄTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW
SZLACHETNEJ SIŁY

Kindo Marana, jak większość mieszkańców Xany, był dumny z cesarskich sterowców. Nigdy jednak nie podejrzewał, że pewnego dnia pozna mechanikę ich działania równie dobrze co ci, którzy dorobili się odcisków, naprawiając je w bazie powietrznej na górze Kiji.



Góra Kiji, wulkaniczny gigant ze śnieżnym czubkiem, dominował nad krajobrazem Rui. Miał kilka kraterów, z których dwa wypełnione były wodą, tworząc jeziora Arisuso, położone wyżej, większe, o barwie wieczornego nieba, oraz Dako, położone niżej i mniejsze, o barwie szmaragdu. Gdyby spojrzeć na nie z góry, wyglądałyby jak dwa klejnoty na bladej piersi dumnej góry Kiji.

Mieszkały tam olbrzymie sokoły Mingén. Ich rozłożone skrzydła mierzyły sześć metrów, przez co żaden inny ptak Dary nie mógł dorównać tym budzącym grozę i majestatycznym opierzonym drapieżnikom.

Jednak tym, co naprawdę wyróżniało te ptaki spośród innych, były ich niezwykle umiejętności związane z lataniem. Nie tylko potrafiły unosić się w powietrzu przez kilka dni, krążąc powoli wokół jednego miejsca na ziemi, lecz czasami polowały na małe bydło albo owce, a nawet samotnego pastucha. Wydawało się to niemożliwe, nawet jeśli brało się pod uwagę rozmiary zwierzęcia.

Przez lata niesamowite zdolności sokołów Mingén były uważane za przejaw mocy Kijiego, jednak w czasie rządów ojca cesarza Mapidérégo, króla Dézana, kilku dociekliwych ludzi gotowych dokonać świętokradztwa i zaryzykować życie przeprowadziło sekcję paru tych ptaków i odkryło ich sekret.

Większość sokołów Mingén budowała swoje gniazda na brzegu dziewiczego jeziora Dako i karmiła młode białym mięsem żyjących w jego wodach ryb z rodziny salangowatych. Jednak samo jezioro miało niezwykłą cechę. Z jego głębin nieustannie wznosiły się spore bąble, docierające aż do powierzchni. Gaz znajdujący się w środku nie pachniał siarką, nie dało się go podpalić i właściwie wyczuć ani smakiem, ani zapachem. Nikt wcześniej nie zwracał na niego uwagi.

Jednak gaz ten okazał się wyjątkowy. Był lżejszy niż powietrze.

W ciele każdego sokoła Mingén znajdowały się duże, puste worki, które napełniały się dziwnym gazem z jeziora Dako, gdy zwierzę nurkowało w wodzie wypełnionej bąblami,

i tak jak ryba potrafi unosić się i opadać w wodzie za pomocą zmiany objętości pęcherza pławnego, tak i sokoły Mingén wykorzystywały swoje worki do unoszenia się w powietrzu. Właśnie stąd brały się ich niezwykle umiejętności.

Genialny xański inżynier Kino Ye opracował swój projekt sterowców w oparciu o anatomię sokoła Mingén. I choć piękne statki powietrzne nie mogły konkurować z tymi morskimi, jeśli chodzi o przewóz żołnierzy czy dóbr, były szybkie, mobilne i bardzo cenne w zwiadzie. Oprócz tego potrafiły dokonać poważnych zniszczeń w marynarce przeciwnika: podczas gdy zwykłe statki nijak nie mogły odpowiedzieć na atak z powietrza, wystarczyło zaledwie kilka sterowców zrzucających bomby z płonącą smołą, by zdewastować całą flotę.

Jednak najważniejszym aspektem ich wykorzystania w walce był ten czysto psychologiczny. Obecność sterowców onieśmiała wrogich żołnierzy i oznaczała, że nie ma dla nich ratunku, ponieważ każdy ich manewr obserwowany jest przez xańskich dowódców.

Miesiąc zajęło Maranie samo usprawnienie bazy powietrznej na górze Kiji, by znowu działała jak należy. A nie znalazł jej w dobrym stanie: bambusowe rury były połamane, skórzane zawory kruche i popękane, doki i statki wymagały napraw. Poprzedni zarządca bazy przywłaszczył sobie fundusze przeznaczone na konserwację, a za niewielką ich część zbudował luksusowe, rekreacyjne dwuosobowe sterowce dla swoich przyjaciół i ich kochanek.

Mógł uprawiać ów proceder, ponieważ zawsze pamiętał, by posyłać do Pan misternie rzeźbione modele sterowców. Cesarz Erishi wprost uwielbiał, gdy służki poruszały nimi za pomocą wachlarzy i rurek, przeprowadzając udawane bitwy nad modelem cesarstwa. Zadowolony z zabawek władca nie szczędził komplementów kasztelanowi Pirze i regentowi Crupo.

Marana natychmiast aresztował zarządcę, jego przyjaciół i ich kochanki, a potem kazał ich rozebrać do naga i zaprowadzić na brzeg jeziora Dako. Tam powieszono ich na drzewach jako dary dla sokołów Mingén. Tamtego dnia najadły się do syta przeżartym korupcją mięsem.



Były zarządca zwolnił najbardziej zdolnych inżynierów, jednak odzyskanie północnego Cocru pozwoliło Maranie zdobyć niezbędne fundusze na atrakcyjne pensje.

Teraz były poborca podatkowy przechadzał się po bazie, przyglądając się naprawom kadłubów starych sterowców oraz budowie nowych. Słuchał i kiwał głową, gdy inżynierowie wtajemniczali go w szczegóły przeprowadzanych prac.

Olbrzymie koła i dźwigary wzdłużne tworzyły na wpół sztywny szkielet sterowców. Na tym szkielecie wieszano jedwabne worki wypełnione gazem zebrany z jeziora Dako. Worki te dodatkowo opasywano siecią lin, które można było ściągać i popuszczać, w ten sposób zaciskając i rozszerzając worki, by zmienić wysokość – kiedy je zaciskano, zmniejszała się objętość gazu, a statek się obniżał, kiedy jednak pozwalano workom się rozszerzyć, gaz zabierał więcej przestrzeni i pozwalał sterowcowi wznieść się wyżej.

Później całość pokrywano jeszcze warstwą lakierowanego materiału, który stanowi ochronę przed strzałami wroga. W środku, wzdłuż worków powietrznych, umieszczano fotele dla członków obsługi silnika – zazwyczaj byli to chłopcy pańszczyźniani, niewiele lepsi niż niewolnicy. Poruszali oni gigantycznymi skrzydłami napędzającymi sterowiec. Skrzydła te wykonywano z piór, które zgubiły sokoły Mingén; były lekkie, mocne i dawały silny opór.

Gondola, zbudowana po części wewnątrz kadłuba i po części wystająca poniżej, służyła załodze oraz oficerom, którzy tam przebywali i przechowywali broń oraz zapasy. Największe sterowce mieściły pięćdziesiąt osób, z czego trzydzieści stanowiła załoga.

– Ile sterowców będzie gotowych do służby na koniec miesiąca? – zapytał Marana.

– Nasi ludzie pracują bez przerwy, marszałku. I nie możemy przyspieszyć zbiorów gazu, bo ten pojawia się wtedy, gdy mu się to podoba, tak jak zawsze od tysiąca lat. W ciągu miesiąca powinniśmy przygotować dziesięć, może dwanaście sterowców.

Marana kiwnął głową. Tyle być może wystarczy. Z pomocą statków powietrznych cesarska flota powinna być w stanie przebić się przez Arulugi i przywrócić całe Amu z powrotem do cesarstwa. Potem, gdy tyły zostaną zabezpieczone, imperium będzie mogło rozpocząć atak na ostatnie bastiony rebeliantów na południu Wielkiej Wyspy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

PRZED BURZĄ

ZUDI: SZÓSTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

– Jeszcze jedna kolejka? – zapytał Kuni. Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, już wołał obsługujące ich dziewczyny.

Mata jęknął. Nie dawało mu przyjemności picie gorzkiego piwa albo taniego, mocnego alkoholu z sorgo, które serwowali w Cudownej Urnie. Czuł się, jakby pił płyn, którego kiedyś używano do zdejmowania farby ze ścian w starych domach. A jedzenie było tłuste i ciężkie, chociaż niezbędne, jeśli się nie chciało, żeby alkohol przeżarł się przez żołądek. Czasami widok ludzi oblizujących palce przyprawiał go o mdłości – w knajpie nie dawali pałeczek.

Kiedy Mata dorastał, Phin trzymał go z dala od alkoholu, żeby mógł się skupić na nauce, zaś później pił tylko najlepsze wina przechowywane w suchych i chłodnych piwnicach zamku Zyndów w Tunoi. Brakowało mu ich teraz.

Westchnął jednak i wybaczył Kuniemu plebejskie podniebienie, tak jak wybaczał mu nieformalne maniery i prostą mowę. W końcu Kuni nie należał do szlachtetnego rodu – Mata wciąż nie potrafił pojąć idei „księcia przez proklamację”. Mata wytrzymywał to wszystko, ponieważ Kuni był po prostu... fajny.

Jako że Jia została w Çaruzie, a tradycja nakazywała powstrzymać się przed ogłoszeniem narodzin dziecka do czasu, aż przeżyje ono sto dni, Kuni nie słyszał żadnych wieści i niepokoił się. Aby podtrzymywać wysokie morale wśród ludzi, a także odwrócić swoją uwagę od wyrzutów sumienia spowodowanych tym, że nie może być przy żonie, Kuni każdego wieczoru organizował przyjęcia i zawsze zapraszał Matę.

W czasie tych suto zakrapianych wieczorów Kuni traktował swoich podwładnych bardziej jak przyjaciół, a Mata widział, że ci mężczyźni – urzędnik Cogo Yelu, osobisty sekretarz Rin Coda, dowódca piechoty Mün Çakri, specjalista od kawalerii Than Carucono, a nawet ten zdrajca porucznik Dosa – uwielbiają Kuniego. Ich lojalność wynikała z czegoś więcej niż tylko poczucia obowiązku.

Opowiadali sprośne dowcipy i flirtowali z ładnymi kelnerkami, a Mata, który nigdy wcześniej nie brał udziału w takich przyjęciach, doszedł do wniosku, że mu się to podoba. Były znacznie bardziej interesujące od sztywnych rautów organizowanych przez członków arystokratycznych rodów Çaruzy, gdzie wszystko było zgodne z etykietą i nikt nigdy nie mówił nic niegrzecznego, za to każdy miał uśmiech przyklejony do twarzy, natomiast wszelkie komplementy były ukrytymi obelgami, a w każdym słowie należało się doszukiwać drugiego i trzeciego znaczenia. Podczas tamtych wieczorów Mata cierpiał na bóle głowy i zastanawiał się, dlaczego nie pasuje do towarzystwa, podczas gdy w przypadku chwil spędzanych z przyjaciółmi Kuniego pragnął, by nigdy się nie kończyły.

A Garu zdawał się traktować rolę księcia Zudi bardzo poważnie – właściwie może nawet zbyt poważnie. Mata wciąż nie potrafił uwierzyć, z jakim zadowoleniem Kuni poświęca się najbardziej prozaicznym drobiazgom. Zastanawiał się nawet, na błyszczące włosy Kany i Rapy, nad sposobem zbierania podatków!

Mata nie znał nikogo takiego jak Kuni i uważał za wielką niesprawiedliwość, że człowiek ten nie urodził się arystokratą. W porównaniu z wieloma członkami szlacheckich rodów Kuni wydawał się o wiele bardziej godny podziwu.

„Tylko czasem jest nieco zbyt litościwy”, pomyślał Mata, zerkając z ukosa na porucznika Dose.

Jednak Matę i Kuniego łączyła wizja uwolnienia Dary raz na zawsze spod xańskiego jarzma. „Kuni ma wielkiego ducha”, uznał Mata. Może nie brzmiało to poetycko czy elokwentnie, ale to najbardziej szczery komplement, jaki Mata powiedział komukolwiek, bez względu na pochodzenie.

Dziewczyny przyniosły tace z dzbanami pełnymi tego palącego gardło trunku. Mata niechętnie pociągnął ze swojego i przekonał się, że napój jest dokładnie taki zły, jak go zapamiętał.

– Zagrajmy w coś – zaproponował Than Carucono. Pozostali hałaśliwie przystali na tę propozycję. Picie bez gier było jak picie samemu.

– Może lustro błazna? – zasugerował Kuni. Rozejrzał się dokoła i jego wzrok padł na wazę z bukietem kwiatów. – Jako temat wybieram kwiaty.

Była to gra popularna zarówno wśród arystokratów, jak i plebejuszy. Na początek wybierano kategorię – zwierzęta, rośliny, meble – a potem wszyscy po kolei porównywali się do jakiegoś obiektu z danej kategorii. Jeśli pozostali uznawali to porównanie za trafne, pili. Jeśli nie, pić musiał autor porównania.

Rin Coda postanowił spróbować jako pierwszy. Wstał chwiejnie i dla większej stabilności objął filar.

– Korpulentną dziewczkę sobie wzięłeś w ramiona – powiedział Than. – Ja wolę takie z węższą talią i bardziej wyraźnymi krągłościami.

Rin rzucił trzymane w ręku kurze udko w stronę Thana. Ten zrobił unik, omal przy tym nie upadając, i zaśmiał się.

– Przyjaciele – zaczął poważnie Rin. – Jestem kwitnącym nocą pałczakiem.

– Dlaczego? Bo zaliczasz raz w roku?

Rin zignorował szyderstwo.

– Pałczak nie zachwyca za dnia i większość ludzi myśli, że to martwy patyk wystający z ziemi. Jednak pod powierzchnią zbiera całą wilgoć i słodycz pustyni, by potem zmagazynować to wszystko w postaci dużego, soczystego owocu, który jest pyszny i uratował już wielu podróżujących. Tylko prawdziwi szczęściarze widzą kwiat pałczaka, który pokazuje się raz w roku, w środku nocy. Wspaniały biały kwiat, niczym upiorna lilia spowita blaskiem gwiazd.

Pozostałym na chwilę odebrało mowę. W końcu Than przerwał milczenie:

– Zapłaciłeś jakiemuś nauczycielowi, żeby napisał tę przemowę?

Rin rzucił w niego kolejne udko.

– Twoje zalety faktycznie są ukryte – oznajmił Kuni, uśmiechając się. – Wiem, że wiele

zrobiłeś, żeby, jakby to ująć, mniej ortodoksyjni biznesmeni z Zudi współpracowali ze mną i Matą w tym trudnym okresie. Inni być może nie zawsze cię doceniają, lecz wiedz, że ja dostrzegam i pamiętam twoje wysiłki.

Rin nonszalancko machnął ręką, jednak wszyscy widzieli, że jest wzruszony.

– Porównanie jest trafne – zawyrokował Kuni. – Napiję się za nie.

Następny był Mün Çakri, który natychmiast porównał się do kłującego kaktusa.

Wszyscy napili się bez dyskusji.

– To przez tę brodę, mój drogi Münie – powiedział Than Carucono. – Naprawdę wydaje mi się, że gdybyś kogoś chciał pocałować, zrobiłbyś mu tuzin dziur w ustach.

– To absurd! – zawołał Mün, krzywiąc się.

– A dlaczego twoim zdaniem tamten młody chłopak na murach miasta próbuje się chować za każdym razem, gdy przychodzisz tam z prezentami? Mógłbyś się czasem ogolić.

Na twarzy Müna rozlał się rumieniec.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Pół miasta wie, że masz do niego słabość – oznajmił Than. – Zdaję sobie sprawę, że jesteś rzeźnikiem, ale czy zawsze musisz tak wyglądać?

– Odkąd to jesteś specjalistą od spraw miłosnych?

– No już, dobrze – przerwał im Kuni, śmiejąc się. – Mün, a może przedstawię cię oficjalnie temu chłopakowi? Z pewnością nie ucieknie, skoro zaprosi go sam książę.

Rumieniec nie zniknął z twarzy Müna, jednak mężczyzna pokiwał głową, dziękując.

Następnie Cogo Yelu porównał się do wyrachowanej i cierpliwej muchołównki.

– Nie, nie – mówił Kuni, kręcąc gwałtownie głową. – Nie pozwolę, żebyś sam siebie tak obrażał. Jesteś krępy bambusem, który trzyma w ryzach urzędników Zudi. Jesteś silny, elastyczny, lecz w twoim sercu nie ma miejsca na samolubne myśli. Musisz się napić.

Przyszła kolej na Kuniego Garu. Wstał, złapał w pasie wdowę Wasu, która właśnie przechodziła obok z tacą pełną trunków, i kiedy ona się śmiała, wymykając mu się, wyciągnął mlecz zza jej ucha i pokazał wszystkim zebranym.

– Panie Garu, porównujesz się do chwastu? – zdziwił się Cogo Yelu, marszcząc czoło.

– Nie byle jakiego chwastu, Cogzy. Mlecz jest silnym, lecz nierozumianym kwiatem. – Wspominając początek znajomości z Jią, Kuni poczuł, jak w jego oczach pojawiają się ciepłe łzy. – Nie da się go pokonać: kiedy ogrodnik już myśli, że wygrał i wytepił mlecz ze swojego trawnika, deszcz przyniesie ze sobą nowe nasiona, z których wyrosną żółte kwiaty. Jednak mlecz nigdy nie jest arogancki, jego kolor i zapach nigdy nie przyćmiewają innych kolorów i zapachów. Ma szerokie zastosowanie praktyczne, jego liście są pyszne i leczą, a korzenie rozpulchniają zbitą glebę, więc zachowuje się jak pionier względem bardziej delikatnych kwiatów. Jednak najlepsze w jaskrze jest to, że żyje w ziemi, lecz marzy o niebie. Kiedy jego nasiona poniesie wiatr, mlecz dotrze dalej i zobaczy więcej niż rozpieszczona róża, tulipany czy nagietki.

– Doskonałe porównanie – zawyrokował Cogo i wypił swój trunek do dna. – Nie starczyło mi wyobraźni, żeby to pojąć.

Mata także się napił. Alkohol palił mu gardło.

– Twoja kolej, generale Zyndu – zachęcał go Than.

Mata zawahał się. Nie był dowcipny i nie miał ciętego języka, a w takich grach nigdy nie

szło mu dobrze. Spuścił jednak wzrok i zobaczył na butach herb rodu Zyndów, w lot rozumiejąc, co powinien powiedzieć.

Wstał. Chociaż pił cały wieczór, stanął pewnie jak dąb. Zaczął rytmicznie klaskać i zaśpiewał do melodii starej pieśni z Tunoi:

*Dziewiąty dzień dziewiątego miesiąca w roku:
Zanim zacznę kwitnąć, wszyscy inni giną.
Zimne podmuchy na ulicach Pan się wznoszą:
Fala złocista, świętynia złocista,
Mój wspaniały zapach dociera aż do nieba.
Jasnożółta zbroja chroni każde oczko.
Tysiące mieczy z lekceważącą dumą
Tnie w imieniu królów Dary, by zmazać grzech.
Szlachetne braterstwo, lojalne i szczere.
Kto by się bał zimy z tym kolorem?*

– Królowa Kwiatów – powiedział Cogo Yelu, a Mata kiwnął głową.

Kuni przez czas trwania pieśni do rytmu stukał palcem o blat. Przestał teraz, niechętnie, jakby wciąż chłonał tę muzykę.

– „Zanim zacznę kwitnąć, wszyscy inni giną”. Chociaż samotny to zaszczyt, jest wielki i heroiczny, idealnie pasuje do dziedzica marszałka Cocru. Pieśń chwali chryzantemę, nawet raz nie wspominając jej nazwy. Jest piękna.

– Członkowie mojego rodu zawsze porównywali się do chryzantemy – powiedział Mata. Kuni uklonił mu się i wypił swój trunek. Pozostali zrobili to samo.

– Jednak Kuni – rzekł Mata – nie zrozumiałeś tej pieśni do końca.

Kuni popatrzył na niego zdziwiony.

– Dlaczego miałyby chwalić tylko chryzantemę? Czy mlecz nie kwitnie w tym samym kolorze?

Kuni roześmiał się i chwycił Matę w ramiona.

– Bracie! Kto wie, jak daleko razem zajdziemy?

Oczy obu błyszczały w półmroku Urny.

Mata podziękował wszystkim i sam się napił. Po raz pierwszy w życiu nie czuł się samotny wśród ludzi. Miał wrażenie, że tu przynależy, a wrażenie to było tyle obce, co pożądane. Zaskoczyło go, że znalazło go ono tutaj, w tym ciemnym i obskurnym barze, gdy pił tanie wino i jadł niesmaczne posiłki, pośród ludzi, których jeszcze kilka tygodni temu uznaliby za plebejuszy udających panów jak Krima i Shigin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

BITWA O ZUDI

ZUDI: SZÓSTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Kiedy Krima i Shigin rozpoczęli rebelię w Napi, wielu zapragnęło do nich dołączyć, jednak drugie tyle postanowiło pozostać rzezimieszkami, by wykorzystać powstały chaos. Jeden z najbardziej bezlitosnych i budzących największy strach gang był dowodzony przez Pumę Yelu, chłopca, który stracił wszystko, kiedy cesarscy urzędnicy odebrali mu ziemię, by stworzyć tam teren łowiecki. Nie dali mu za to złamanego grosza.

Ludzie Yemu polowali na karawany kupieckie na traktach przecinających równinę Porin, jednak z czasem ich łupy stały się rzadkie i skromne. Handel zamierał i coraz mniej kupców wyruszało w drogę. Ryzyko było po prostu zbyt wielkie, kiedy cesarskie i rebelianckie siły maszerowały tam i nazad, a uzbrojeni mężczyźni uciekali z jednej i drugiej armii i nikt nie potrafił już zapewnić ochrony podróżującym. Gang Yemu musiał wędrować w poszukiwaniu ofiar coraz dalej i dalej. Pewnego dnia jego członkowie odkryli, że handel wciąż ma się dobrze w sennym mieście Zudi.

Najwyraźniej książę Zudi podszedł do swoich obowiązków na tyle poważnie, by trzymać rozbójników z dala od okolicznych terenów, a ci odważni kupcy, którzy nadal chcieli prowadzić interesy, zabierali swoje towary właśnie tam. Tak jak wilki idą za owcami do nowych oaz na pustyni, tak Yemu natychmiast zebrał swoich ludzi i przeniósł ich w góry Ér-Me.

Nie bał się księcia Zudi. Z jego doświadczenia wynikało, że rebelianci nie są tak dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani jak cesarscy żołnierze, poza tym zazwyczaj Yemu potrafił bez wysiłku pokonać ich dowódców już w pierwszej potyczce. Czasami oddział rebeliantów nawet dołączał do jego gangu po śmierci przywódcy. Yemu zamierzał wprowadzić stosowny, wysoki „podatek” dla głupich kupców wędrujących do Zudi i pławić się w bogactwach.



Było już popołudnie, kiedy gang złodziei schował się w zagajniku rosnącym niedaleko wierzchołka niewielkiego wzgórza.

Obserwowali poruszającą się wolno karawanę, która jechała krętą drogą na południe od miasta. Wozy poruszały się tak mozolnie, że musiały być obciążone towarem o ogromnej wartości. Yemu dał znak swoim ludziom głośnym zawołaniem i zaraz wszyscy zjechali ze wzgórza na koniach niczym wiatr wiejący po równinie, pewni, że zaraz się obłowią.

Wozy zatrzymały się. Woźnice odpięli swoje konie, porzucili wszystko i uciekli na widok złodziei. Puma Yemu roześmiał się. Rozbójnictwo w tych czasach było wręcz zbyt

łatwe!

Porzucone wozy stały na drodze jak stado dzikich gęsi drzemiących na brzegu. Kiedy jednak złodzieje zbliżyli się do karawany i zatrzymali między wozami, ściany tychże spadły jak kartki papieru i ze środka zaczęli wychodzić żołnierze w pełnym rynsztunku.

Podczas gdy jedni podjęli walkę z rozbójnikami, pozostali ustawili wozy w okrąg, żeby odciąć im ucieczkę. Kilku szybciej myślących złodziei, przeczuwając kłopoty, pogoniło konie i oddaliło się, jeszcze zanim żołnierze dokończyli dzieła, jednak reszta, w tym także Puma Yemu, znalazła się w pułapce.

Jakiś olbrzym, z rękami umięśnionymi jak końskie nogi i torsem szerokim jak u byka, wyszedł na środek kręgu. Yemu spojrzał mu w oczy i zadrżał. W każdym oku znajdowały się po dwie źrenice i nie dało się wytrzymać wzroku tego giganta.

– Złodzieju – powiedział olbrzym poważnie, niczym sędzia z jakiegoś koszmaru. – Wpadłeś w pułapkę zastawioną przez księcia Garu. – Wyciągnął zza pleców miecz dorównujący mu wielkością. – Poznaj Na-aroennę. Nie miej wątpliwości, że twoje dni jako wyjętego spod prawa już się skończyły.

„Cóż, zaraz się przekonamy”, pomyślał Yemu. Był pewien, że zwycięży w każdej potyczce. Może i ten olbrzym wyglądał imponująco, ale czuć było od niego, że jest wysoko urodzony. Yemu pokonał już wielu aroganckich, lecz bezużytecznych arystokratów. Wydawało im się, że są odważnymi wojownikami, a tymczasem nie mieli zielonego pojęcia o brudnej walce.

Pogonił konia i ruszył na Matę Zyndu. Uniósł miecz wysoko nad głową, żeby powalić przeciwnika jednym cięciem.

Mata pozostawał nieruchomy aż do ostatniej chwili, kiedy to uskoczył w bok szybciej niż to, zdaniem Yemu, możliwe w przypadku śmiertelnika. Mata wyciągnął lewą rękę i złapał konia rozbójnika za wodze. Jego prawica uniosła się, by zablokować atak z góry ogromnym mieczem.

Yemu nagle znalazł się na ziemi i nie mógł zaczerpnąć tchu. Przez mgłę oszołomienia i dzwonienie w głowie przebijały się tylko dwie myśli.

Po pierwsze, jakimś cudem Mata zatrzymał jego galopującego konia, a dokonał tego, nie przesuwając nóg choćby o centymetr. Kiedy koń stanął w miejscu, Puma nie stracił pędu i przeleciał przez głowę zwierzęcia, by wywinąć kozła i wyrznąć plecami o ziemię.

Po drugie, prawa ręka Maty bez wysiłku zablokowała cios Yemu, chociaż złodziej znajdował się wyżej, a jego uderzenie miało połączoną siłę silnego zamachu oraz pędu konia.

Yemu podniósł prawą rękę i zobaczył krew między kciukiem a palcem wskazującym. Nic nie czuł. Miecz ciął z taką siłą, że delikatne kości dłoni zostały zmiażdżone, zaś broń wytrącona z ręki.

Podniósł wzrok i zobaczył swój miecz, który nie zdążył jeszcze spaść. Właśnie osiągnął najwyższy punkt swojego lotu, zawisł na sekundę w powietrzu i zaraz runął na ziemię.

Yemu przeturlał się bez zastanowienia i ostrze wbiło się w piach zaraz obok niego aż po rękajeść. Minęło nogi złodzieja ledwie o centymetry.

– Poddaję się – powiedział Yemu i gdy patrzył w zimne oczy Maty Zyndu, w jego głosie nie było cienia wątpliwości.



Mata Zyndu chciał powiesić Pumę Yelu na palu przy wjeździe do miasta jako ostrzeżenie dla innych rozbójników, którym mogłoby się wydawać, że Zudi to łatwy cel. Jednak Kuni Garu nie zgodził się na to. Mata popatrzył na niego krzywo.

– Znowu opanowało cię współczucie? On jest złodziejem i mordercą, bracie.

– Też kiedyś byłem złodziejem – odparł Kuni. – To nie oznacza od razu, że Yemu zasługuje na śmierć.

Mata posłał mu zdumione spojrzenie.

– Tylko krótką chwilę. – Uśmiechnął się ze wstydem do Maty. – I zawsze staraliśmy się unikać rozlewu krwi. Nawet zostawialiśmy kupcom dość pieniędzy, by mogli wrócić do domu. Musiałem jakoś opłacać swoich ludzi, wiesz?

Mata pokręcił głową.

– Niepotrzebnie mi to powiedziałaś. Teraz już zawsze będę miał w głowie twój obraz, jak ubrany w więzienne łańcuchy stoisz za kratami.

– Świetnie – odparł Kuni, śmiejąc się. – W takim razie nie powiem ci ani słowa o tym, jak zarabiałem na życie wcześniej. Ale za bardzo zбочyliśmy z tematu. Ja widzę to w ten sposób: Yelu jest świetnym jeźdźcem i doświadczonym przywódcą. Wie, jak uciekać i schować się przed silniejszym przeciwnikiem, by poczekać na odpowiednią szansę do ataku. Mamy tyle koni, że Yelu by się nam przydał. Zwiadowcy mówią, że Namen jest już w drodze.



Oddziały Namena rozlały się po równinie jak dzika fala; bandy pokonanych rebeliantów uciekały przed nimi, błagając o litość. Wielu upadało i ginęło pod stopami maszerujących żołnierzy i kopytami koni. Kiedy Kuni patrzył na wznoszącą się na widnokręgu chmurę kurzu, w której od czasu do czasu błyszczała zbroja i wyciągnięty z pochwy miecz, żołądek podchodził mu do gardła, a w ustach robiło się sucho.

Zwlekał z zamknięciem bram miasta, tak by wpuścić jak najwięcej uciekających chłopów, jednak w końcu nie miał już innego wyjścia, ponieważ zaraz armia Namena mogła dopaść murów Zudi. Żołnierze musieli powstrzymać napływ ludzi mieczami i włóczniami, żeby móc zamknąć i zabezpieczyć bramy. Więcej niż kilku padło na ziemię z płaczem, słysząc krzyki i błagania dochodzące z drugiej strony muru.

– Panie Garu! Oni używają ognistych wozów!

– Panie Garu! Skończyły nam się strzały w wieży. Oni zaraz dostaną się na szczyt murów!

Jednak Kuni stanął jak zaczarowany. Błagania uchodźców odbijały się echem w jego głowie i nie chciały ucichnąć. Pomyślał o Hupé i Muru. Znów ludzie ginęli w wyniku podjętych przez Kuniego decyzji. Znów go to przytłoczyło i nie wiedział, co należało teraz zrobić.

Żołnierze Zudi, widząc, w jakim stanie jest księżę, zaczęli panikować.

Oddziały Namena przystawiły do murów wysokie drabiny. Pod osłoną chmary strzał wysyłanych przez łuczników żołnierze rozpoczęli wspinaczkę. Kilku już zdążyło dotrzeć na szczyt i właśnie walczyło z obrońcami miasta. Z kolei obrońcy, którzy dysponowali doświadczeniem zdobytym jedynie podczas ćwiczeń, niepewnie machali mieczami i cofali się pod wpływem zażartego ataku xańskich weteranów.

Jeden z nich stracił rękę. Wrzasnął i spadł, próbując sięgnąć po odcięty członek. Z twarzy otaczających go żołnierzy odpłynęła cała krew. Xańczycy wystąpili naprzód i uciszili krzyczącego żołnierza, a kilku jego kompanów rzuciło broń i uciekło.

Wkrótce do Xańczyków dołączyły kolejne oddziały Namena. Jeśli udałoby im się ustanowić pozycje na szczycie murów i przejąć wieżę strażniczą, mogliby otworzyć bramy, a wtedy miasto byłoby zgubione.

Mata Zyndu pokonał schody prowadzące na szczyt w kilku wielkich susach. Z Na-aroenną w prawicy i Goremawem w lewicy rzucił się w sam środek niewielkiej grupy Xańczyków.

Goremaw wbił się w głowę żołnierza, prysnęła krew i mózg. Atakujący wycofali się, oszołomieni. Mata otworzył usta i zlizął nieco posoki ze swojej pałki.

– Smakuje jak każda inna – powiedział. – Wszyscy jesteście śmiertelnikami.

Począł ciąć Na-aroenną i uderzać Goremawem bez opamiętania. Xańskie miecze i tarcze łamały się albo wypadały z rąk i po chwili wokół Maty Zyndu leżał tuzin ciał.

– Chodźcie! – zawołał do zestrachanych żołnierzy Zudi. – Chwałą jest walczyć!

I wtedy oni, nabrawszy po tym popisie nieco odwagi, zaczęli tłoczyć się wokół Maty i ciąć mieczami haczykowate zakończenia drabin, aż w końcu potrzaskali je i kopniakami odepchnęli od ścian, z przyjemnością wsłuchując się w pełne przerażenia okrzyki wciąż znajdujących się na szczeblach xańskich żołnierzy.

Kuni spojrzał na Matę stojącego na szczycie muru jak jakiś arogancki bohater Wojen Diaspory, nie przejmując się mknącymi w jego stronę strzałami. Jego serce napełniło się podziwem. W tym świecie każdy był śmiertelnikiem, jednak to do człowieka należał wybór, czy chce żyć jak Mata Zyndu i walczyć bez wątpliwości, czy ze strachu i niewiary popełniać błąd za błędem.

Kuni był księciem Zudi i miasto na nim polegało.

Ruszył na schody. Za plecami Maty kolejny xański żołnierz próbował wspiąć się na mur. Kuni wyciągnął miecz i ruszył do przodu. Odbił cios przeciwnika i wbił ostrze głęboko w jego szyję. Trysnęła karmazynowa krew. Mata, gdy znalazł się obok, pomógł odciąć hak drabiny i odepchnąć ją od muru.

Kuni poczuł na twarzy coś ciepłego. Wyciągnął rękę i dotknął tego czegoś, a potem spojrzał na swoje palce. Krew. Należąca do pierwszego człowieka, jakiego zabił.

– Posmakuj jej – powiedział Mata.

Kuni posłuchał. Okazała się słona, gęsta i gorzkawa. Z Matą u boku poczuł, jak odwaga napływa mu do żył, jakby właśnie wypił tuzin szklanek naparu z ziół Jii.

– Panie Garu, wozy ogniowe podpaliły bramę miasta!

Kuni spojrzał w tamtą stronę i spostrzegł, że przykryte skórą wozy zostały doprowadzone pod samą bramę. Skóry sprawiały, że strzały obrońców nie docierały do

ukrytych pod nimi żołnierzy, ci zaś zdążyli już podpalić grube dębowe drzwi.

Idąc za przykładem Kuniego i Maty, strażnicy na wieżach zdołali zniszczyć wozy, zrzucając na nie ciężkie kamienie, jednak ogień wciąż trawił bramę.

– Trzeba było przygotować więcej wody i piasku – mruknął Dosa.

Kuni przeklinał swój brak doświadczenia. Tak się skupił na przygotowaniach do oblężenia i gromadzeniu zapasów jedzenia i broni, że zaniedbał podstawy.

Ludzie Namena wycofali się spod murów. Wszyscy patrzyli na unoszący się dym, na języki ognia trawiące drewno. Jeszcze chwila i brama pęknie, a najeźdźcy wedrą się do środka.

– Powinniśmy ustawić żołnierzy na placu, zanim brama puści – powiedział Mata. – Gdy już przekroczą mury, będziemy walczyć z nimi na ulicach miasta aż do końca.

Kuni pokręcił głową. Mata, choć odważny i zacięty, nie miał szans przeciwko dziesięciu tysiącom wykwalifikowanych żołnierzy. Obliznął wargi. „Woda. Powinniśmy byli przygotować wiadra z wodą”.

– Chodźcie ze mną! – zawołał i pobiegł na wieżę strażniczą znajdującą się nad bramą. Zaczął poluzniać pas.

– Co robisz? – zapytał Mata.

– Ochraniaj mnie – krzyknął Kuni i wspiął się na szaniec. Odwrócił się, kucnął i zaczął sikać na zewnętrzną część muru.

Pozostali żołnierze natychmiast pojęli istotę planu. Niektórzy już sięgali do pasków, podczas gdy inni wyciągnęli tarcze, żeby ochraniać kucających kolegów. Ludzie Namena zareagowali równie szybko, posyłając w ich stronę strzały. Uderzenia grotów o tarcze przypominały odgłosy letniej burzy.

Strumienie uryny spływały po murze ku płonącej bramie. Płomienie syczały, w górę leciały obłoki pary.

– No dalej, bracie, musisz się przyłączyć! – wołał Kuni do Maty, śmiejąc się. Zakaszłał, bo dym i opary moczu podrażniły mu gardło.

Mata nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy wściekać. Jego zdaniem nie tak powinno się wygrywać wojny.

– Co, nie potrafisz przy ludziach? – zapytał Kuni. – Nie wstydź się. Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi.

Mata westchnął, wspiął się na szaniec, kucnął za tarczami i opróżnił pęcherz.



Już od dwóch tygodni Tanno Namen prowadził oblężenie Zudi ze swoją ponaddziesięcioletnią armią.

Nie spodziewał się tak silnego oporu. obrońcy Zudi w niczym nie przypominali hołoty, z jaką walczył w Dimu. Ten książę Zudi, o którym pierwszy raz słyszał, i generał Mata Zyndu, wnuk słynnego marszałka Cocru, Dazu Zyndu, zdawali się wiedzieć, co robią. Najwyraźniej przygotowali zapasy przed oblężeniem, a teraz czekali cierpliwie za murami, jak żółwie w skorupach.

Namen wolałby zostawić Zudi i pomaszerować do Çaruzy, gdzie rezydował król

rebeliantów, jednak zwiadowcy wysłani na latawcach bojowych powiedzieli mu, że Zudi jest pełne żołnierzy, a ich błyszczące klingi i proporce wojenne wypełniają wszystkie ulice miasta. Zapewne było ich tylu co w oddziałach Namena, a może i więcej. Gdyby spróbował ominąć Zudi, zaatakowałiby go od tyłu po drodze do Çaruzy.

Zabrał ze sobą niewiele maszyn oblężniczych, pamiętając, że rebelianci porzucają miasta i uciekają na sam widok xańskiej armii. Bardzo tego teraz żałował. obrońcy Zudi szybko poradzili sobie z tą garstką drabin, wozów ogniowych i taranów, jakie mu zostały. Teraz Namen nie miał już możliwości szybkiego zdobycia miasta: podkopanie się zajęłoby mnóstwo czasu, a skonstruowanie balist i katapult na pozbawionej lasów równinie Porin było niemożliwe bez transportowania drewna aż z gór Ér-Me.

Namen zmarszczył brwi. Długie oblężenie wydawało się jego jedyną szansą, jednak był pewien, że wytrzyma. W końcu mógł przywieźć zapasy z cesarskich spichlerzy, podczas gdy obrońcy miasta nie mieli nawet dostępu do otaczających je wiosek. Ile by mieszkańcy Zudi nie zebrali zapasów przed oblężeniem, w końcu się one skończą.



– Kuni, dlaczego robisz tyle hałasu o tych kilku żołnierzy? – zapytał Mata.

Kuni obstawał przy organizowaniu „zwycięskich uczt” każdego dnia na targowiskach miejskich, gdzie oddawano honory tym żołnierzom i cywilom, którzy dokonali wyjątkowo odważnych czynów. Było picie i tańce, a także uczta w postaci sycącej pieczonej wieprzowiny i świeżo wypiekanych placków chlebowych.

– W czasie oblężenia wszyscy są nerwowi – wyjaśnił Kuni po cichu.

Wstał i wygłosił kolejny toast, wspominając odważne czyny żołnierzy, które tego dnia celebrowano. Ta konkretna opowieść zawierała wiele szczegółów, w których prawdziwość Mata wątpił, zaś jej bohaterowie zaczerwienili się i śmiali, kręcąc głowami. Jednak tłum zdawał się to uwielbiać.

Kuni napił się i usiadł, podczas gdy tłum wiwatował. Uśmiechnięty pomachał zebrany i szeptem dokończył to, co miał do powiedzenia Macie:

– Bardzo ważne jest, by ludzie byli pewni siebie i optymistyczni. Publiczne świętowanie to także znak, że nie martwimy się o zapasy, więc ludzie nie czują potrzeby, by je chować albo nimi spekulować.

– Wiele wysiłku wkładasz w zachowanie pozorów – zauważył Mata. – Jednak to tylko na pokaz, nic z tego nie wynika.

– Ależ wynika – nie zgodził się Kuni. – Ubierając zwykłych ludzi w papierowe zbroje i dając im do rąk drewniane miecze, udało nam się oszukać zwiadowców Namena, którzy uwierzyli, że jesteśmy znacznie lepiej uzbrojeni niż w rzeczywistości. Właśnie dlatego wciąż tu jest, zamiast wyruszyć do Çaruzy. Każdy dodatkowy dzień jego pobytu tutaj daje marszałkowi kolejny dzień na przygotowanie silniejszego kontrataku.

Macie nie podobała się strategia Kuniego, którą uważał za rzecz godną teatru, a nie wojny. Musiał jednak przyznać, że przebiegłość księcia przynosi rezultaty.

– Na jak długo jeszcze starczy nam zapasów? – zapytał Mata.

– Zapewne wkrótce będziemy musieli zacząć je wydzielać – przyznał Kuni. – Miejmy

nadzieję, że Puma Yelu wykona swoje zadanie.



Plan Namena na przedłużone oblężenie nie działał tak, jak powinien.

Podczas gdy Garu i Zyndu zamknęli bramy miasta, nie zamierzając wychodzić naprzeciw cesarskim siłom, Namen musiał nieustannie odpierać ataki band rozbójników.

Ci bandyci, a raczej „szlachetni rozbójnicy”, jak woleli się nazywać, sabotowali cesarskie transporty zapasów z rzeki Liru. Nie stosowali się do praw, jakimi rządziła się wojna, i przyprawiali Namena o nieustanny ból głowy.

Za każdym razem, kiedy generał wysyłał za nimi oddział kawalerii, oni zwyczajnie uciekali – w przeciwieństwie do pogoni nie spowalniały ich ciężkie zbroje. Kiedy jednak ludzie Namena odpoczywali, często w środku nocy, tamci robili wielki hałas i markowali atak. Powtarzali to raz za razem, żeby żołnierze nie mogli spać i ze zmęczenia przestali reagować.

Po kilku rundkach takiej zabawy w kotka i myszkę w nocy żołnierze Namena przestali zwracać na nie uwagę. I właśnie wtedy najeźdźcy przypuszczali prawdziwy atak. Przetaczali się przez obóz jak tornado, podpalając wszystko na swojej drodze, uwalniając konie i wprowadzając chaos i zamęt. Nie zostawali jednak dość długo, żeby podjąć walkę – chcieli tylko złupić wozy pełne jedzenia i zaopatrzenia, a to, czego nie mogli zabrać, niszczyli, polewając ekskrementami albo zatrutą wodą. Regularnie też napadali na wozy skarbowe, w których przewożono żołąd.

Armia potrzebowała zapasów, a głodni żołnierze zaczęli się buntować. Namen zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w stanie utrzymać tak duże wojsko na wrogim terenie. Dotychczas oparł się łupieniu miejscowych, ponieważ wierzył, że jeśli cesarska armia będzie zbyt mocno uciskać chłopów, przeszkodzi to w późniejszym spacyfikowaniu Cocru. Jednak zapasy się kurczyły i generał zaczynał się martwić, że lada dzień nie będzie miał innego wyjścia.

Morale spadło, szerzyła się dezercja. Wysyłane do pojmania zbiegów oddziały zawsze były krok w tyle. A ponieważ rozbójnicy dzielili się częścią łupów z chłopami, kiedy ludzie Namena pojawiali się we wsi w poszukiwaniu złodziei, nikt nie chciał im pomóc. Gdy sfrustrowani żołnierze wyładowywali gniew na krnąbrnych wieśniakach, ci zasilali szeregi „szlachetnych rozbójników”.

Ci doprowadzali Namena do szału. Musiał jednak przyznać, że człowiek odpowiedzialny za tę taktykę był godnym przeciwnikiem.



– Podstępne sztuczki to domena słabeuszy. – Mata odrzucił propozycję Kuniego, nie kryjąc pogardy. – Prawdziwi wojownicy nie zniżają się do takich metod. Musimy stawić czoła Namenowi na otwartym terenie i zwyciężyć czysto i sprawiedliwie.

Kuni podrapał się po głowie.

– Lecz naszym zadaniem jest obrona mieszkańców Zudi. Chociaż jesteś doskonale wyszkolony, przeciwnicy są liczniejsi i bardziej doświadczeni niż nasi żołnierze. Właściwie to jesteśmy słabi, a ja nie chcę, by nasi ludzie ginęli bez potrzeby. Co jest „brudnego” w zwycięstwie?

Zajął mu to kilka godzin, jednak w końcu przekonał zmęczonego już Matę. Generał Zyndu zgodził się ułaskawić Pumę Yemu pod warunkiem, że zmieni swój gang w wojowników walczących po stronie Cocru.

– Dajmy mu coś jeszcze – rzekł Kuni.

– Czy nie wystarczy, że darujemy mu życie?

– Yemu jest dumny jak paw. Musimy użyć na nim kija i marchewki, żeby go zmotywować.

Mata niechętnie napisał do króla Thufiego z prośbą o nadanie Yemu tytułu markiza Porinu i przyobiecanie mu kawałka ziemi.

W taki oto sposób Puma Yemu został markizem Porinu, Biczem Xany i dowódcą Szlachetnych Rozbójników z Cocru.

– Poznanie Kuniego Garu było najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała – oznajmił Puma swoim ludziom, szczerze dzieląc się z nimi łupami. – Trzymajcie się mnie, chłopcy, a wiele jeszcze na tym skorzystacie. Patrzcie tylko, markiz Yemu! Pan, który wie, jak prowadzić ludzi, budzi dziesięć razy większy strach niż ten, który potrafi tylko wyprowadzać ciosy.



Namen stwierdził, że musi zakończyć oblężenie Zudi, zanim jego armia straci wolę walki. Przyjrzał się raportom złożonym przez dwóch dowódców Zudi i wymyślił plan. Skoro nie może zmusić przebiegłego księcia do walki na polu bitwy, spróbuje sprowokować młodego, porywczego Matę Zyndu, by zatańczył, jak mu zagra.

Zaczął od posłania latawców bitewnych nad mury miasta, by zrzucić pamflety pełne rysunków przedstawiających Kuniego Garu i Matę Zyndu ubranych w kobiece stroje i trzęsących się ze strachu.

„Kuni Garu i Mata Zyndu są zbyt przerażeni, żeby walczyć poza swoim buduarem – głosiły pamflety. – Cocru zamieszkują tchórze o niewieścich sercach”.

Żołnierze na latawcach gwizdali i wykrzykiwali kolejne szyderstwa:

– Kuni Garu to księżna Zudi, a Mata Zyndu to jej służka.

– Kuni Garu uwielbia się malować! Mata Zyndu woli ładne perfumy!

– Kuni i Mata boją się własnego cienia!

– Niech sobie gadają, co chcą – stwierdził Kuni. Zaśmiewał się, czytając pamflety. – Nawet dobrze wyglądam jako dziewczyna, chociaż chyba sugerują, żebym zrzucił kilka kilogramów. Muszę wysłać parę tych rysunków żonie. Pewnie przydałoby jej się trochę śmiechu, bo podejrzewam, że dziecko, które niech Bliźniaczki mają je w swojej opiece, daje jej teraz popalić.

– Co z tobą nie tak? – grzmiał Mata Zyndu i podarł kartkę. Rozbił stół, przy którym siedział, a potem jeszcze jeden, ten przed Kunim. Tupał, miażdżąc drewno na mniejsze

kawałki.

Jednak nie rozładował gniewu. Nawet trochę. Maszerował w kółko przed Kunim, posyłając kopniakami drzazgi we wszystkie strony. Służba uciekła w najdalszy kąt pomieszczenia.

– Co jest złego w byciu porównanym do kobiety? – zapytał Kuni. – Połowa naszego świata to kobiety.

Mata zgromił go wzrokiem.

– Czy ty nigdy nie czujesz wstydu? Gdzie ty masz honor? Tych szyderstw nie można tolerować.

Kuni nie podniósł głosu, lecz mówił jeszcze spokojniej:

– To są bardzo amatorskie karykatury. Mógłbym pokazać Namenowi parę sztuczek. Na przykład dałoby się to zrobić o wiele subtelniej i dowcipniej.

– Słucham? – Mata trząsł się z gniewu.

– Bracie, proszę, uspokój się. To jest dobry znak. Namen najwyraźniej nie może już znieść tego, że nie chcemy wyjść naprzeciw jego potężnej armii. Jesteśmy okopani i mamy duże zapasy, a on może tylko skakać jak pies koło jeża, nie mogąc nigdzie zatopić zębów. Przez Pumę Yemu jego zaopatrzenie się kurczy, za to rośnie desperacja. Dlatego właśnie próbuje cię sprowokować, żebyś walczył na jego warunkach.

– A jednak działa – zauważył Mata. – Muszę stanąć do walki. Nie mogę się dłużej chować. Jeśli ty nic nie zrobisz, nakażę otwarcie bram i wyprowadzę kawalerię.

Kuni zauważył, że Mata mówi poważnie. Myślał i myślał, po czym zaczął się uśmiechać.

– Mam pewien pomysł. Obronisz swój honor.



Mata czuł się jak orzeł, który włada niebem. Gdyby wiedział, że latanie jest tak cudowne, zdecydowałby się na to już dawno.

Domy i ulice Zudi z tej odległości wyglądały jak zabawki. Po drugiej stronie murów miejskich – które stąd wydawały się raczej niskimi pagórkami z błota pomiędzy poletkami ryżu – obóz Namena rozpościerał się jak ogromne malowidło. Mata zwrócił uwagę na ich rozmieszczenie i policzył maleńkie kropki, które były żołnierzami.

Zupełnie jakby wyrosły mu wielkie skrzydła z bambusa i jedwabiu. Ich łopotanie pod wpływem unoszącego go do chmur wiatru było wspaniałe. Przechylając się nieco w tę czy w drugą stronę, mógł się obracać, nurkować i wzbijać wyżej. Czuł się nieważki, wolny od trzech wymiarów, zdolny do przefrunięcia całej Dary.

Śmiał się głośno, radując się lataniem.

Jedynym, co psuło iluzję, był długi jedwabny sznur przyczepiony do jego uprząży i łączący go z ziemią, gdzie Théca Kimo i kilku innych żołnierzy obsługiwali wyciągarke umożliwiającą utrzymanie napięcia liny i poprzez to lot. Mata pomachał do maleńkich postaci widocznych w dole, a jedna z nich, zapewne Kimo, odpowiedziała w ten sam sposób. Następnie żołnierze popuścili jeszcze trochę liny i Mata wzniósł się wyżej. Wrócił do obserwowania cesarskiego obozu.

– Czy w armii sędziwej panny Namen jest ktoś gotowy stanąć ze mną do walki? –

krzyknął i wyciągnął miecz, wciąż ubrudzony krwią ostatnich dziesięciu jeźdźców na latawcach, których ściał w powietrzu.

Ogromny latawiec przytroczony do jego pleców – trzy razy większy od latawców służących do rekonesansu – był pomysłem Kuniego, podobnie jak sama idea pojedynków na niebie.

Kuni posłał herolda na mury miasta i ogłosił, że przyjmują wyzwanie Namena. Jednak na swoich warunkach.

– Ponieważ generał Namen obraził dobre imię księcia Garu i generała Zyndu, zniewadze należy odpowiedzieć w tradycyjny sposób – zawołał herold. – Jak głoszą nasze annały, od zarania dziejów najwspanialszy bohaterowie pojedynkowali się jeden na jednego, od czasów słynnych Wojen Diaspory aż po chwalebne dokonania marszałka Dazu Zyndu. Dlaczego plebejusze mieliby walczyć o honor szlachetnie urodzonych? Generał Zyndu wzywa generała Namena, by stanął do walki osobiście.

– No, właśnie tak to się powinno częściej odbywać – szepnął Dafiro do młodszego brata. – Kiedy oni zaczną rozwiązywać swoje spory w ten sposób, my będziemy mogli wrócić do obsiewania pól i czerpania radości z życia. Niech królowie i książęta wejdą na pole bitwy i walczą o swoje racje własnymi rękami. A my będziemy to oglądać i im dopingować.

– Daf, dlaczego wciąż jesteś taki prostacki? – Ratho patrzył na latającego Matę jak zaczarowany. – Czyżby nasz generał cię nie zainspirował? Chciałbym być taki odważny jak on.

– Moim zdaniem oni wszyscy są raczej głupi niż odważni. Wystarczyłoby celować w sznur i zaraz by było jednego mniej.

Ratho pokręcił głową.

– Nawet xański pies nie poważyłby się na tak niehonorowy postępek dla wygranej, a już z pewnością nie generał Zyndu. Nie oglądałeś uważnie starych teatrzyków z marionetkami? W pojedynkach najważniejszy jest honor, nieważne, czy rozgrywa się je na ziemi czy w powietrzu.

Dafiro chciał powiedzieć coś więcej, ale tylko pokręcił głową i ugryzł się w język.

Herold wytłumaczył, że ze względu na podeszły wiek generała Namena generał Zyndu jest skory przystać na pojedynek z wystawionym w jego imieniu wojownikiem. Ponieważ na ziemi mogłoby za bardzo kusić generała Namena do zaatakowania generała Zyndu licniejszą grupą, książę Garu zaproponował przeprowadzenie pojedynku w powietrzu nad murami miasta. Czy istnieje bardziej honorowe i szlachetne rozwiązanie sprawy?

Namen przeklinał bezwstydną trik Kuniego Garu. Wcale nie chciał się pojedynkować. Miał nadzieję, że Mata Zyndu i Kuni Garu dadzą się sprowokować do otwarcia bramy miasta i wyjścia Xańczykom naprzeciw na polu bitewnym przed murami, bowiem wtedy cesarska armia z łatwością by wygrała. Kuni jednak przekręcił jego słowa tak, by przywołać stare zwyczaje pojedynkowania się dwóch dowódców. Gdyby Namen odmówił, uznano by go za tchórza, co uderzyłoby w morale i tak już przygnębionych cesarskich żołnierzy.

Zazgrzytał zębami i zarządził, by wybrano najsilniejszych wojowników spośród tych, którzy zgłosili się na ochotnika. Jeden po drugim startowali w powietrze, by walczyć

z generałem Zyndu.

Latawce fruwały jak dwa sokoły Mingén, a kiedy tylko się do siebie zbliżyły, zaraz dało się słyszeć krótkie uderzenia stali o stal. Żołnierze obu stron wyciągali szyje, żeby obserwować podniebnych wojowników. W głowie się kręciło od samego patrzenia, jak obracają się i uciekają w powietrzu niczym ogromne ptaki.

Serce Maty Zyndu przepęłniała radość. „Wszystkie bitwy powinno się tak rozgrywać! Kuni przejrzał moją duszę na wylot”. Jego wzrok, ostrzejszy niż u każdego człowieka o jednej tylko źrenicy w każdym oku, wydawał się rejestrować przeciwnika w zwolnionym tempie. Mata blokował nieudolne ciosy bez trudu, a wytrąciwszy siłą broń z ręki drugiego wojownika, szybko kończył życie biedaka jednym zgrabnym pchnięciem Na-aroénny w szyję albo równie prędkim uderzeniem Goremawa w czaszkę.

Dziesięciu xańskich czempionów poszybowało w górę i na ziemię spadło dziesięć trupów. Odgłosy radości za murami miasta stawały się coraz głośniejsze, podczas gdy w obozie Namena zapadła cisza.



– Zupełnie jakby wcielił się w niego sam Fithowéo – oznajmił Ratho.

Dafiro tym razem nie odpowiedział żartem. Podziwiał generała bez słowa. Mata Zyndu faktycznie był bogiem pośród śmiertelników.



Podczas gdy Mata walczył pod niebem, Kuni stał obok Théki Kimo i z niepokojem obserwował pojedynki. Wierzył w siłę i odwagę Maty, jednak żołądek podchodził mu do gardła, kiedy Zyndu wykonywał jeden ryzykowny manewr za drugim, za każdym razem ocierając się o śmierć.

– Naciągajcie! – wołał do Théki i jego ludzi, chociaż wiedział doskonale, że nie potrzebują jego poleceń. Zdawali sobie sprawę, że muszą naciągać linę za każdym razem, kiedy ta się poluźniała – żeby latawiec nie spadł na ziemię – a potem powoli ją popuszczać.

Kuni, chociaż nie znali się z Matą zbyt długo, zaczynał go traktować jako jednego z najbliższych przyjaciół – niemal członka rodziny. Było w tym sztywnym, przywiązaniem do tradycji arystokracji coś, co przemawiało do serca Kuniego. Przy Macie Kuni chciał być lepszy, zasłużyć sobie na wyższą ocenę w oczach przyjaciela, stać się szlachetniejszym. Nie wyobrażał sobie, że mógłby go utracić.



Ponieważ żaden z Xańczyków nie wznosił się już w powietrze, ludzie Kuniego i Maty zaczęli wołać do oddziałów Namena z murów miasta:

– I kto tu teraz jest babą?

– Tanno Namen to starowinka lepiej znająca się na wyszywaniu niż walce mieczem!

– Namen, co na obiad?

– Może dziewczynki z Xany powinny wrócić do Pan, zanim będzie za późno.

Niektóre z kobiet niosących wojownikom kamienie i belki skrzywiły się.

Mata roześmiał się, chociaż czuł lekkie zażenowanie. Kuni machnął na mężczyzn, by się uciszyli.

– Na własne oczy widziałem odwagę xańskich wojowników – powiedział, i chociaż nie krzyczał, słyszał go dobrze nawet Mata. Żołnierze po obu stronach muru czekali na jego dalsze słowa. Kuni zdawał się mieć na ludzi ogromny wpływ.

Mata spojrzał na niego z konsternacją. „Czyżby Kuni szykował kolejny dowcip?” Jednak w tonie jego głosu i wyrazie twarzy nie dało się wyczytać nawet krztyny kpiarstwa.

– Znałem xańską matkę, która była gotowa znosić smagnięcia biczarządy pańszczyźnianego, byle uratować swojego syna. Znam kobietę z Cocru, która mimo błogosławionego stanu przemaszerowała wiele kilometrów przez góry pełne bandytów i zdołała ocalić mężczyznę wysłanego jej na ratunek. Kiedy my stoimy i naigrawamy się z siebie nawzajem jak banda dzieciaków, kto wysiewa nasze pola i przynosi nam pożywienie? Kto zszywa nasze tuniki i szykuje nasze strzały? Kto nosi kamienie na szaniec i opatruje rannych? Zapomnieliście, że kobiety z Zudi walczyły razem z wami w tej rebelii? Tradycja nakazuje, byśmy my dzierżyli miecze i nosili zbroje, jednak kto z was nie zna matki, siostry, córki, przyjaciółki, która więcej ma odwagi i hartu ducha niż wy? Przestańmy więc uważać porównania do kobiet za przyganę.

Zapadła tak głęboka cisza – zarówno przed murami, jak i wewnątrz nich – że dało się słyszeć tylko skrzypienie lin latawców.

Mata nie do końca się zgadzał z przemową Kuniego – odwaga kobiet nie równała się odwadze mężczyzn! Zwrócił jednak uwagę, że nawet ludzie Namena wydawali się poskromieni. Może właśnie myśleli o swoich matkach, siostrach i córkach, które zostały w dalekiej Xanie, i zastanawiali się, co tu właściwie robią. „Jeśli na tym polega plan obniżenia morale u przeciwnika, jest zaiste diabelski”.

– Muszę jednak powiedzieć, że nie dziwi mnie strach Namena. – Znajomy kpiarski ton i pewność siebie w głosie Kuniego znowu dały o sobie znać. – Czasem nawet trudno odróżnić Namena od Erishiego: obaj chcą, by im przed snem czytać bajki!

Dziki śmiech przetoczył się po murach Zudi, a ludzie Kuniego i Maty szybko podłapali nowy temat szyderstw.



Widok dziesięciu ciał, które spadły z nieba, nie miał dobrego wpływu na potencjalnych ochotników do podniebnej walki z Matą, wciąż dzierżącym Na-aroennę i Goremawa. Oficerowie Namena odsunęli się od niego, unikając jego pełnego bólu i wściekłości wzroku.

Odczekawszy dłuższą chwilę, Kuni dał znak bębniarzom i trębaczom, żeby rozpoczęli pieśń zwycięstwa. Obóz Namena trwał pogrążony w ciszy, jakby xańskie wojska przyznawały się do porażki.

Latawiec Maty powoli ściągnięto na ziemię. Kiedy generał gładko wylądował, w tłumie rozbrzmiał głos:

– Marszałek Cocru!

Faktycznie, na południu pojawiła się wielka chmura pyłu. Ledwo dało się w niej dostrzec postaci galopujących koni i krwistoczerwony proporzec Phina Zyndu, marszałka Cocru.

– Kawaleria przybyła! – krzyknął Kuni do Maty, kiedy ten zdejmował uprząż. – Twój wuj przybył z odsieczą. Udało nam się!

Mata złapał Kuniego za ramiona i przyciągnął go do siebie, by uścisnąć. Przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć, zaskoczony siłą swoich uczuć.

– Bracie – rzekł w końcu. – Oparliśmy się wspólnie cesarskiej powodzi.

– Bracie – odparł Kuni ze łzami w oczach. – To zaszczyt walczyć u twego boku.

– Otworzyć bramy – krzyknął Mata. – Zaatakujemy razem z marszałkiem i przegonimy Namena z powrotem do Pan!

Był to pogrom. Cesarscy żołnierze padli jak stado owiec zapędzone między dwie sfory wilków. Ci, którzy zdołali, porzucili wszystko – broń, złoto, zbroje, dodatkowe pary butów – poganiając konie, żeby szybciej niosły ich na północ, w bezpieczne strony. Setki z nich utonęły, próbując przekroczyć rzekę Liru na przeładowanych tratwach. Kuni i Mata, zostawiając miasto pod opieką Cogo Yelu, puścili się razem ze swoimi ludźmi w pogoń, a w miastach na południowym brzegu Liru znowu zawisły flagi rebeliantów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

UPADEK DIMU

DIMU: SIÓDMY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Cocruska armia najechała Dimu, ostatni cesarski bastion na południe od Liru.

Ponieważ wspomnienia tragicznej w skutkach okupacji króla Huno wciąż pozostawały świeże w pamięci mieszkańców miasta, starszyzna postanowiła postawić jednak na cesarstwo, a obywatele zgłaszali się na ochotnika, by pomóc żołnierzom w obronie miasta.

Mata Zyndu ogłosił, że za każdy dzień oporu pozwoli swoim ludziom łupić miasto jeden dzień dłużej, a także skaże na śmierć dodatkowych stu ważniejszych mieszkańców Dimu, kiedy już upadnie. Niestety ta deklaracja nie wywarła spodziewanego efektu i popularność armii Namena w mieście nie zmniejszyła się. Wręcz przeciwnie, ochotnicy zdawali się opierać rebeliantom jeszcze żarliwiej.

Pojawiły się także wieści o tym, że marszałek Marana płynie w stronę cieśniny Amu z wielką flotą i mógłby przybyć z odsieczą, gdyby obrońcy wytrzymali dostatecznie długo.

– Ta groźba nie była mądrym posunięciem – powiedział Kuni. – To zrozumiałe, że mieszkańcy Dimu nie chcą się przyłączać do rebelii po tym, przez co przeszli pod władzę Krimy.

– Bracie – odparł Mata. – Dimu zawsze należało do Cocru. Ten sojusz z cesarstwem przeciwko wyzwolicielom z ojczyzny pokazuje tylko, że mieszkańcy zostali zdeprawowani przez okupację. Zdradę należy zmazać krwią.

Kuni westchnął. Trudno było rozmawiać z Matą, kiedy wpadał w taki nastrój i wygłaszał piękne przemowy pełne abstrakcji. Mata potrafił być dumny i nieugięty w swojej nienawiści. Czasami widział świat z przerażającą i krwawą jasnością.



Ponieważ Kuni i Mata przybyli do Dimu drogą lądową, nie byli przygotowani na walkę na rzece i nie dysponowali żadnymi statkami. Nie mieli wyjścia i oddali cesarskim siłom brzeg oraz ujście Liru. Dlatego też oblężenie Dimu było niekompletne. Namen mógł bez kłopotów dostarczyć mieszkańcom zapasy, podczas gdy cesarskie statki nieustannie patrolowały rzekę, szdyząc ze stacjonujących na brzegu rebeliantów.

– Gdybym miał pięćdziesiąt tysięcy ludzi – mruknął Mata – każdemu kazałbym wziąć worek piachu i maszerować w górę rzeki. Jedno popołudnie zajęłoby nam ułożenie tamy. Potem weszlibyśmy prosto na pokłady tych statków, uwięzionych w suchym korycie jak bijące ogonami ryby, a każdego z tych marynarzy nauczyłbym manier.

– Gdybyś miał pięćdziesiąt tysięcy ludzi – odparł Kuni – mogliby się wspiąć na mury Dimu, stając jeden drugiemu na ramionach. Myślę, że nie potrzebujesz aż tak

skomplikowanego planu zemsty.

Uśmiechnął się szeroko, a Mata się roześmiała.

– Masz rację. Najlepiej działać prosto i bezpośrednio.

Dlatego dzień po dniu Mata posyłał swoją armię, by atakowała Dimu falami, dając obrońcom szansę na odpoczynek. Pojmał też chłopów z okolicznych wiosek, żeby razem z górnikami pracowali nad podkopaniem się pod murami miasta.



– Na bogów, ależ mnie bolą plecy. – Dafiro wyprostował się i przeciągnął. – Potrzebuję odpoczynku od tego całego kopania. Rat, usiądź ze mną na chwilę. – Wysypał ziemię z kosza przyniesionego z tunelu na kopiec i usiadł.

Ratho też pozbył się ciężaru, po czym spojrzał na brata i bez słowa ruszył z powrotem do wykopu.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Dafiro, kiedy Ratho znów wyłonił się z tunelu. – Pracujesz tak ciężko, że zaraz się zajedziesz. Posłuchaj, braciszku: Krima już nie jest naszym panem. Książę Garu nie każe cię wychłostać za chwilę przerwy.

– Nie odpocznę, dopóki generał Zyndu nie odpocznie.

Dafiro spojrzał na mury Dimu, chroniąc oczy przed słońcem otwartą dłonią. Widział wysoką postać Maty na czele oddziału żołnierzy na drabinach, trzymając ogromną pawęż, żeby chronić znajdujących się za nim ludzi przed strzałami padającymi gęsto jak krople deszczu. Zyndu zajmował się tym cały ranek i całe popołudnie, nie robiąc sobie nawet jednej przerwy, podczas gdy żołnierze pracowali w systemie zmianowym.

– Czy ten człowiek nigdy się nie męczy? – zastanawiał się głośno Dafiro.

– Generał Zyndu jest jak bohater z dawnych legend.

– Ostatnio ciągle o nim gadasz. Generał Zyndu to, generał Zyndu tamto. Może to jego powinieneś mieć za starszego brata?

Ratho roześmiał się.

– Daj spokój, Daf, nie wygłupiaj się.

– Jest takim samym arystokratą jak cała reszta – oznajmił Daf. – Już zapomniałeś, co się stało, kiedy Krima mianował się królem?

– Generał Zyndu w niczym nie przypomina Huno Krimy. – W głosie Ratho pobrzmiwała żarliwość i hardość i Dafiro wiedział, że lepiej się teraz nie spierać z młodszym bratem. – Jest przykładem dla swoich ludzi, a ja wolałbym umrzeć, niż go rozczarować. Będę kopał, dopóki mury nie upadną albo dopóki on mi nie każe przestać. Musimy zdobyć Dimu, zanim flota tu dotrze.

Dafiro westchnął i niechętnie wrócił do pracy.



Dziesiątego dnia udało się wreszcie wykonać podkop i mury miasta runęły.

Rebelianci nie okazali litości, wlewając się do Dimu jak potop i pokonując resztki

cesarskiej armii. Namen i kilkuset jego najbardziej lojalnych ludzi walczyli przez całą noc jak wilki zapędzone w kozi róg i wreszcie zdołali przebić się do doków, gdzie cesarski transport przechwycił ich i zabrał do Dimushi.

Z dziesięciu tysięcy cesarskich żołnierzy, którzy razem z Namenem przeprawili się przez Liru, wróciło z nim ledwie trzystu.



Wbrew poważnym obiekcjom Kuniego Mata spełnił swoje groźby.

– Groźba jest jak obietnica. Stracimy szacunek w oczach ludzi, jeśli jej nie dotrzymamy – oznajmił Mata.

– Okazując litość, zdobyłbyś więcej serc.

– Współczucie dla przeciwnika to okrucieństwo wobec własnych ludzi.

Kuni nie potrafił nic na to odpowiedzieć. Stał obok i patrzył bezradnie, jak cocruscy żołnierze gromadzą tysiąc ważnych mieszkańców miasta, uznanych za sympatyków cesarstwa, i każą im wykopać ich własny grób.

– Bracie, popełniasz błąd.

Jednak Mata wydał rozkaz i żołnierze Cocru wepchnęli lamentujących mężczyzn i kobiety do masowego grobu, a potem zaczęli grzebać ich żywcem.

– Lepiej nigdy nie walczyć przeciwko generałowi Zyndu – powiedział Ratho. Razem z Dafiro zatkali uszy, jednak nie dało się uciec przed krzykami umierających ludzi.

Mój najdroższy mężu,

wybacz mi, że piszę tak krótko. Wciąż jestem osłabiona, a nasz synek zajmuje mi większość czasu.

I proszę, oto ważne wieści. Jesteś ojcem!

Minęło sto dni, odkąd się urodził. Jest zdrow jak ryba. Nazywam go na razie Toto-tiką, dopóki nie osiągnie wieku rozumnego i nie zdecydujemy się na oficjalne imię.

Wygląda jak miniaturowa wersja Ciebie, niespodziewanie słodka – mam tylko nadzieję, że nie wyrośnie mu tak szybko brzuch piwny. Damy dworu króla Thufiego nie mogą się nim nacieszyć, lecz tylko w moich rękach nie zaczyna płakać po kilku minutach. Popijam napar zapewniający cudowne sny, żeby maleństwo też go trochę dostało przez mleko. Myślę, że to działa. Uśmiecha się we śnie!

Modlę się, by Kana i Rapa Cię chroniły i żeby Wam się z Matą powodziło. Musisz mi obiecać, że nie będziesz niepotrzebnie ryzykował. Wróć do mnie i do swojego synka cały i zdrowy.

Twoja kochająca żona

Jia

– Gratulacje, bracie! To wspaniała nowina, a teraz wiemy, kto będzie następnym księciem Zudi. Nie mogę się doczekać, kiedy go spotkam.

– Ponieważ urodził się w Roku Chryzantemy, będziesz musiał się nim opiekować jako

jego wujek!

Mata i Kuni wypili do końca wino z mango. Szczęśliwe wieści od Jii były promykiem nadziei wobec otaczającej ich śmierci i mordy.

Stali właśnie na dokach Dimu i patrzyli na cesarskie statki płynące w górę i w dół Liru, daleko poza zasięgiem strzał i katapult. Kiedy Mata wyładował swój gniew, Kuni szybko przywrócił porządek w Dimu i zarządził dyscyplinę wśród żołnierzy, by powstrzymać ich od łupienia mieszkańców. Minie trochę czasu, zanim miasto stanie znowu na nogi, ale przynajmniej ludzie nie są już tak przerażeni na widok „wyzwolicielei”.

Za statkami dostrzegali kolorowe budynki Dimushi leżącego na drugim brzegu rzeki i wyobrażali sobie, że ich wzrok sięga jeszcze dalej, za miasto, za żyzne pola półwyspu Karo, aż po fale wylewające się na brzeg cieśniny Amu, za którą znajdowała się wyspa Arulugi, z unoszącymi się na wodzie miastami i wiszącymi pałacami, imponującymi dokami i wspaniałymi statkami, z bogatymi tradycjami i doskonałymi manierami, które poeci nieśmiertelnili w dziesięciu tysiącach wierszy, a malarze na stu tysiącach obrazów.

– Amu ma dobrą flotę – powiedział Mata. – To od nich będzie zależeć, czy uda nam się powstrzymać armadę Marany, a potem przeprowadzić przez rzekę i przenieść wojnę na terytorium wroga.

– Módlmy się za ich sukces – odparł Kuni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

BITWA O ARULUGI

ARULUGI: SIÓDMY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Wyspa Arulugi – której nazwa w klasycznym ano znaczyła „piękna” – okazała się warta swojej nazwy: szerokie i białe plaże, delikatne i leniwe wydmy porośnięte nielicznymi kępami występującej tu odmiany trzciny, zielone wzgórza trawy *pili*, głębokie doliny zalesione banianem i namorzynem; korzenie powietrzne tego pierwszego zwisały z gałęzi jak u kobiety czeszącej włosy, a przypominające talerze korzenie drugiego wyrastały niczym zwierciadła z mądrego Ganu.

Wszędzie kwitły storczyki najprzeróżniejszych kształtów i kolorów: białe były bielsze od muszli, a czerwone czerwiejsze niż koralowiec. Żółte kolibry fruwały od jednego kwiatu do drugiego za dnia, zaś w nocy ustępowały miejsca delikatnym, eterycznym ćmom, których skrzydła srebrzyły się w blasku księżyca.

Koroną Arulugi było Müning, Miasto w Jeziorze. Zbudowane na wielu maleńkich wysepkach na jeziorze Toyemotika – młodszej siostrze jeziora Tututika – miasto przypominało diadem unoszący się na powierzchni wody: delikatne iglice świątyń i smukłe wieże pałacu były połączone przez sieć wąskich mostów o łukowym kształcie i zdawały się przeczyć prawu grawitacji.

Domy i wieże Müning zostały zbudowane tak, by wykorzystać do cna mocno ograniczoną przestrzeń wysepek. Wysokie i wąskie, z giętkimi ścianami, kołysały się pod wpływem wiatru jak zagajnik bambusowy. Kiedy mieszkańcom skończyło się miejsce na ziemi, niektóre budynki musiały jak nartniki unosić się nad powierzchnią wody, podtrzymywane przez długie wsporniki wpuszczone w dno jeziora.

Pływające wokół wysepek ogrody zaopatrywały mieszkańców miasta w świeże owoce i warzywa. Na wiszących między budynkami platformach wykonanych z desek z drzewa sandałowego i sznura w nocy kobiety i mężczyźni tańczyli w jedwabnych pantoflach i sączyli herbatę, podziwiając blask księżyca wschodzącego powoli nad morzem oraz portem Müningtozu, znajdującym się na brzegu ledwie kilka kilometrów na wschód od jeziora.

Jednak najwspanialszą ozdobą Müning była księżniczka Kikomi.

Miała siedemnaście lat, a jej oliwkowa skóra, błękitne oczy błyszczące jak dwa głębokie i spokojne oceany oraz gęste, jasnobrązowe włosy spływające kaskadą loków były niczym wyjęte wprost z legend i pieśni bardów. Księżniczka Kikomi była wnuczką króla Ponahu, ostatniego władcy Amu przed Zjednoczeniem, i jego jedyną spadkobierczynią. Jednak prawo sukcesji w Amu nie pozwalało kobietom na objęcie tronu, więc przywróconym do życia królestwem rządził Ponadomu, przybrany brat Ponahu i wuj

Kikomi.

W wiszących herbaciarniach Arulugi, z dala od zasięgu słuchu żołnierzy Ponadomu i szpiegów, czasami dało się słyszeć, jak ludzie szepczą między sobą o tym, jaka to szkoda, że Kikomi nie urodziła się chłopcem.



Sama w swojej komnacie, Kikomi patrzyła w lustro, wykańczając makijaż. Posypała jasnobrązowe loki złotym pyłem, żeby wyglądały na jaśniejsze, a wokół oczu wtarła niebieski puder, żeby podkreślić ich błękit. Celem było upodobnienie się do Tututiki, bogini Amu.

Nie wzdychała. Dziś miała być symbolem i rozumiała, że symbole nie wzdychają i nie kontemplują swojego losu. Kikomi będzie się uśmiechać, machać ręką i stać bez słowa obok wuja, gdy ten będzie męczył się z bezbarwną przemową, mającą zagrzewać żołnierzy do walki. Kikomi przypominałaby marynarzom, dlaczego walczą, jak wygląda ideał kobiecości w Amu, i zaznaczyła, że mogą liczyć na wsparcie Tututiki, że mieszkańcy Amu są dumni z bycia przykładem gracji, piękna, wycucia i kultury – z bycia przeciwieństwem brutalności barbarzyńskiej Xany.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że była nieszczęśliwa.

Odkąd pamiętała, wszyscy nieustannie powtarzali jej, że jest piękna. Nie w tym rzecz, że jej przybrani rodzice – lojalna jej biednemu, skazanemu na śmierć dziadkowi para, która wychowała ją jak własną córkę – nie chwalili jej intelektu, kiedy nauczyła się czytać i pisać jako pierwsza ze wszystkich dzieci w jej wieku, albo nie zwracali uwagi na to, że potrafi skakać wyżej, biegać szybciej i podnosić więcej niż przybrane rodzeństwo. Rzecz w tym, że wszyscy zdawali się te osiągnięcia uważać za tanie świedelka wobec prawdziwego klejnotu, jakim była fizyczna uroda Kikomi.

Im była starsza, tym ten klejnot stawał się cięższy. Nie pozwalano jej już spędzać letnich dni na bieganiu nad brzegiem jeziora Toyemotika z przyjaciółmi, na to, by potem wraz z nimi, z dudniącym sercem, zdartym gardłem i skórą błyszczącą od potu, rozebrała się i wskoczyła do chłodnej, odświeżającej wody. Zamiast tego mówiono jej, że słońce niszczy skórę, że bieganie bez butów prowadzi do brzydkich zgrubień na podeszwach stóp, że beztróskie nurkowanie w jeziorze może zaowocować trwałą blizną po skaleczeniu się o kamienie ukryte pod wodą. Pozwalano jej tylko na taniec w spokojnych i cichych salach, gdzie słońce docierało przefiltrowane przez jedwabne parawany, a podłoga była wyłożona miękkimi matami z trzciny.

Snute już od dzieciństwa plany podróży do Haanu, by tam pod okiem mędrców studiować matematykę, retorykę i pisanie, oraz do Toazy w dalekim Ganie, gdzie chciała założyć własny dom handlowy, Kikomi musiała odłożyć na bliżej niesprecyzowaną przyszłość. Zamiast tego wynajęto za duże pieniądze nauczycieli z domów mody z Müning, którzy mieli ją uczyć, jakie kolory, wzory i materiały sukien pasują na rozmaite okazje i w jaki sposób podkreślają różne aspekty jej ciała, raz po raz nazywanego pięknym. Instruowano ją też, jak ma chodzić, jak mówić, jak trzymać pałeczki, by z gracją pokazać, w jakim jest nastroju, jak się malować, by osiągnąć tysiąc różnych efektów, każdy

skomplikowany jak malowanie obrazu.

– Na co mi to wszystko? – pytała swoich przybranych rodziców.

– Masz nieprzeciętną urodę – odpowiadała matka. – A piękno trzeba rozwijać, by osiągnęło pełnię swego potencjału.

I w ten sposób zamiast studiować retorykę, studiowała dykcję; zamiast układać wiersze, nakładała makijaż – puder i złoty pył, farbki i pomady – a wszystko po to, by być piękniejszą.

Nieładnie było pięknej kobiecie pomstować na własną urodę, Kikomi o tym wiedziała, jednak nie oznaczało to, że nie postrzegала jej jako przekleństwa.

Kiedy doszło do rebelii i przywrócono dwór Amu, księżniczka pomyślała, że wreszcie się od tego wszystkiego uwolni. Jakież znaczenie ma piękno w czasie rewolucji i wojen, tworzenia armii i floty, spisywania nowych praw? Jako członkini rodu królewskiego Kikomi miała nadzieję pracować wspólnie z wujem, może nawet stać się jego zaufaną doradczynią. Była w końcu inteligentna i ani trochę zepsuta; znała wartość ciężkiej pracy. Przecież król i ministrowie musieli to dostrzegać.

Oni tymczasem kazali jej się ubierać w piękne suknie, twarz malować tak grubo, że ledwo mogła nią poruszać („z wdziękiem, pamiętaj, jakbyś tańczyła, jakbyś pływała”), i stać jak na wystawie. Nic nie mówić, jedynie wyglądać poważnie i skromnie – inspirować.

– Jesteś symbolem przebudzenia Amu – powiedział jej wuj, król Ponadomu. – Ze wszystkich królestw Tiro to my słynęliśmy z poświęcenia się esencji cywilizacji, wdziękowi i wytworności. Bycie piękną to najważniejsze, co możesz zrobić dla naszego ludu, Kikomi. Nikt inny tak nie przypomina im o naszych ideałach, o naszych wyobrażeniach i naszej bogini.

Zerknęła na suknię wiszącą przy oknie – błękitny jedwab w klasycznym kroju miał przywodzić na myśl Tututikę. Kikomi szykowała się na kolejny wieczór grania doskonale ubranego i doskonale wymalowanego posągu.

– Przypominasz jezioro Tututika – rzekł ktoś.

Kikomi odwróciła się gwałtownie.

– Spokojna na powierzchni, jednak w głębi pełna przeciwnych prądów i ciemnych jaskiń.

Osoba, która wypowiedziała te słowa, stała w cieniu przy drzwiach do komnaty. Kikomi nie znała jej, ale kobieta miała na sobie jedwabną suknię w kolorze zielonej paproci, uszytą w nowoczesnym stylu, typową dla wszystkich dam dworu. Może była żoną albo córką jednego z doradców króla.

– Kim jesteś?

Nieznamoma postąpiła krok do przodu, żeby światło padło na jej twarz. Kikomi zachwyciła się jej urodą: złote włosy, lazurowe oczy, skóra gładka jak polerowany bursztyn. Była najpiękniejszą kobietą, jaką księżniczka kiedykolwiek widziała, a zdawała się jednocześnie panią, dojrzałą kobietą i staruszką – jej wieku nie dało się określić.

Kikomi nie doczekała się odpowiedzi na pytanie, za to usłyszała coś innego.

– Chciałabyś, by doceniano cię za to, co zrobisz lub powiesz. I myślisz, że bycie mniej urodziwą byłoby łatwiejsze.

Księżniczka zarumieniała się, słysząc te bezczelne słowa, jednak coś w oczach kobiety – otwartych, miłych, spokojnych – sprawiło, że nie wierzyła, by miały ją obrażać.

– Kiedy byłam młodsza – powiedziała Kikomi – wdawałam się w dyskusje z braćmi i przyjaciółmi. Rzadko ze mną wygrywali, bo mieli leniwe umysły, nie próbowali nawet ich wyteńczyć. Często jednak, kiedy stało się jasne, że mam lepsze argumenty, śmieli się ze mnie i mówili: „Nie da się spierać z tak ładną dziewczyną”. Odmawiali mi w ten sposób zasłużonego zwycięstwa. Życie niewiele się zmieniło od tamtego czasu.

– Bogowie dają nam różne talenty i dary – odparła nieznajoma. – Myślisz, że paw zyskuje coś, narzekając na swój los ptaka, na którego poluje się dla jego pięknych piór? Albo ropucha, chwyтана tylko dla jej trucizny?

– Co masz na myśli?

– Bogowie mogą uczynić kogoś zwyczajnym albo pięknym, przysadzistym albo szczupłym, jednak od nas zależy, jaką obierzemy drogę dzięki darom, z którymi się urodziłyśmy. Ropusza trucizna może zabić tyrana i ocalić kraj, ale może też stać się narzędziem zbrodni opryszków. Pawie pióro może skończyć jako ozdoba hełmu generała, inspirując do walki tysiące serc, a może też trafić w ręce służki, która wachluje nim głupiego dziedzica wielkiego majątku.

– To zwykle sofizmaty. Paw nie ma żadnego wpływu na to, gdzie trafią jego pióra, podobnie ropucha nie decyduje o tym, co stanie się z jej trucizną. Ja jestem ledwie manekinem, który król i jego ministrowie ubierają wedle woli i stawiają na wystawie. Równie dobrze mogliby sięgnąć po posąg Tututiki.

– Wściekasz się, ponieważ myślisz, że uroda cię ogranicza. Jeśli jednak jesteś tak silna, odważna i inteligentna, jak ci się zdaje, zrozumiałabyś, że twoje piękno może być niebezpieczne i potężne, gdybyś tylko potrafiła je właściwie wykorzystać.

Kikomi wpatrywała się w nieznajomą, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Tututika – ciągnęła dalej kobieta – najmłodsza z bogów, również była uważana za najślabszą. Jednak w czasie Wojen Diaspory sama wystąpiła przeciwko Iluthanowi. Bohater, zauroczony jej wdziękiem opuścił gardę, a ona zdołała zabić go zatrutą spinką. W ten sposób uratowała Amu przed inwazją armii Iluthana, a kolejne pokolenia tego rodu wychwalają ją za tę interwencję.

– Czy piękna kobieta zawsze musi być uwodzicielką, nierządnicą, błyskotką wystawioną na pokaz, by odwróciła czyjąś uwagę? Czy tylko ta ścieżka jest dla mnie otwarta?

– To tylko etykiety, jakie mężczyźni nadają kobietom – odparła nieco ostrzej nieznajoma. – Mówisz, jakbyś ich nienawidziła, a jednak powtarzasz jak papuga słowa historyków, którym nigdy nie należy ufać. Pomyśl o Iluthanie, który zakradł się do łóżka królowej Écofi, który pogrywał z sercami Kany i Rapy, który pokazał swoje nagie ciało zebranyim księżętóm i księżniczkom z Wyspy Półksiężycowej, twierdząc, że wielbi tak samo mężczyzn, jak i kobiety. Myślisz, że historycy nazywają go uwodzicielem, nierządnikiem, błyskotką?

Kikomi rozważała te słowa, przygryzając dolną wargę.

– Uwodzicielka wygrywa raczej przebiegłością niż siłą, nierządnica dźwży swą cielesność jak czarownik magiczną laskę, a ktoś traktowany jak błyskotka może zdecydować się wystawić na pokaz, by poderwać serca i umysły tysięcy ludzi, czyniąc

z nich niepokonaną siłę. Kikomi, Amu jest w niebezpieczeństwie, które może zrównać Piękną Wyspę z ziemią. Jeśli myślisz trzeźwo i nie brak ci odwagi, sama dostrzeżesz, jak trudna przed tobą droga i jakiego wyboru musisz dokonać, by twoja uroda służyła tobie i twojemu ludowi, zamiast stawać się przekleństwem.



Kikomi stała w porcie Müningtozu i patrzyła na wypływającą flotę. Ubrana była od stóp do głów w błękit, kolor Amu, a z daleka wyglądała jak uosobienie bogini Tututiki.

Machała do marynarzy, młodych mężczyzn z twarzami wciąż wyrażającymi chłopięcą naiwność, którzy stali w równych rzędach wzdłuż doków. Niektórzy uśmiechali się do niej i również machali. Oficerowie stojący bliżej salutowali królowi i ministrom znajdującym się na brzegu. Dalej wielkie wiosła zanurzały się w wodzie, wiodąc statki z dala od lądu, niczym pełne wdzięku nartniki.

Nad widnokretem wisiało dziesięć owalnych kształtów cesarskich sterowców. Maleńkie pomarańczowe kule wydawały się mieć lekkie, opierzone skrzydła i wyglądały jak połączenie ćmy i świetlika. Owad ten czułby się jak w domu na pełnej storczyków Arulugi.

„Jak coś tak pięknego może nieść śmierć?”, pomyślała Kikomi.



W kokpicie Ducha Kijiego, statku flagowego cesarskiej armady, marszałek Kindo Marana patrzył na blask świateł Müning na horyzoncie. Dużo bliżej dostrzegał słabe, migoczące płomienie pochodni na pokładach floty Amu, płynącej im na spotkanie.

W przeszłości udał się do Müning na wakacje i podobały mu się tam piękna architektura oraz gościnność mieszkańców. Nigdzie indziej na całych Wyspach nie robili tak wspaniałe aromatycznej herbaty ze storczyków i kielków bambusa. Setki gatunków kwiatów pozwalały na stworzenie dziesięciu tysięcy różnych naparów, a człowiek mógł całe życie poświęcić na próbowaniu ich w wiszących herbaciarniach i wciąż nie poznać wszystkiego, co Müning miało do zaoferowania.

To smutne, że być może będzie zmuszony zniszczyć coś tak pięknego.

Osiem statków cesarskiej floty płynęło w formacji, a nad nimi leciało dziewięć sterowców cesarskich sił powietrznych. Sterowce napędzane były przez ogromne latawce bojowe, a statki miały pełne żagle, żeby oszczędzać siły wioślarzy. W czasie bitwy przyda się zwinność i prędkość, jaką mogła zapewnić tylko praca mięśni.

Oprócz statków na ciemnych wodach morza z falami walczyły ciężkie, okazałych rozmiarów transportowce przewożące dziesięć tysięcy nowych żołnierzy z Rui i Dasu, najnowszych terenów zdobytych przez cesarstwo.

Marana nie przestawał obserwować zbliżającej się armady. Wieści o sromotnej klęsce Namena w Cocru oznaczały, że muszą tutaj szybko zwyciężyć, żeby zdusić buntownicze zapędy Haanu, Rimy i reszty Dary.



Kiedy cesarska armada pojawiła się w zasięgu wzroku, admirał Catiro z floty Amu wydał rozkaz utworzenia formacji, wypuszczając dwa pomarańczowe lampiony. Małe latarenki, zrobione z papieru nałożonego na szkielet z plecionej trawy, uniosły się w powietrze dzięki nagrzanemu przez świece powietrzu.

Flota zgasiła wszystkie pochodnie, postawiła żagle i wysunęła długie wiosła bitewne.

Admirał Catiro pozwolił sobie na ostrożny uśmiech. Wyglądało na to, że cesarski poborca podatkowy ubrany w zbroję nie miał pojęcia o taktyce na morzu. Głupiec zarządził zbyt gęstą formację i niepotrzebnie ryzykował atak na Arulugi nocą. W związku z ograniczoną widocznością cięższe cesarskie statki będą się poruszać wolniej, inaczej na siebie powpadają. Lżejsze i szybsze statki Amu mogły wyrównać swoje szanse wobec liczniejszej floty, wbijając się między gęstą formację, łamiąc wiosła przeciwników i rzucając płonące bomby na ich pokłady.

Xański kapitan chyba pojął swój błąd. Cesarskie statki zwolniły, a po chwili zaczęły się cofać, uciekając przed zbliżającą się flotą Amu.

– Nie masz gdzie uciec, Marana. – Admirał Catiro wypuścił cztery jasnoczerwone lampiony, dając tym samym rozkaz ataku. Wszystkie czterdzieści statków zaczęło wiosłować zaciekle, goniąc wycofujące się cesarskie siły.

Wtedy jednak dziesięć wielkich sterowców naparło do przodu i zbliżyło się do floty Amu. Gdy tylko znalazły się bezpośrednio nad statkami, zaczęły zrzucać na ich pokład płonące ładunki.

Catiro był na to przygotowany. Łatwopalne żagle zostały wcześniej zdjęte, wszystkie obiekty z pokładu odstawione, same deski pokryte mokrym piaskiem, zaś marynarze schowali się we wnętrzu statku. Była to stara taktyka, jeszcze z czasów xańskich podbojów. Płonąca smoła na mokrym piasku syczała i pluła, ale ogień się nie rozprzestrzeniał. Po chwili sterowce zużyły całe zapasy bomb i zaczęły się wycofywać w ślad za armadą.

Cesarska flota, co dało się przewidzieć, pośpieszną ucieczką narobiła sobie kłopotów. Statkom brakowało czasu na efektywne manewry, więc wpadały na siebie i zwalniały jeszcze bardziej, stanowiąc idealne cele dla taranowców i pocisków z katapult. Kiedy odległość między flotami wyraźnie się zmniejszyła, niektórzy niecierpliwi kapitanowie kazali ciskać płonącą smołą i kamieniami w cesarskie siły, jednak większość pocisków lądowała w wodzie.

– Cierpliwości – szepnął Catiro. Nie miało to jednak znaczenia. Statki Amu poruszały się tak szybko, że jeszcze chwila i zmiążdżą siły cesarstwa. Po morzu będą niedługo pływać resztki potrzaskanych wiosł i trupy xańskich marynarzy i żołnierzy.

Nagle statek płynący obok statku flagowego Catiro gwałtownie skręcił w prawo, zaś jego wiosła zaczęły się poruszać chaotycznie. Coś je oplątało, tak że statek zaczął przypominać stonogę, która straciła panowanie nad połową odnóży. Jednostka zaczęła zbaczać w stronę Catiro.

– Z drogi! – wrzasnął admirał, jednak wtedy wiosłarze z lewej strony wydali pełen zdumienia okrzyk. Ich wiosła także, nie wiedzieć czemu, przestały się poddawać ich woli.

Najwyraźniej utknęły w czymś gęstym i lepkim, a im bardziej wiosłarze się wysilali, tym większy wiosła stawiały opór. Statki uderzyły o siebie z potężnym hukiem. Niektóre wiosła się połamały, inne wypadły wiosłarzom z rąk.

Kiedy spanikowani żołnierze zapalili pochodnie, żeby zobaczyć, co się stało, Catiro wyjrzał za burtę i dostrzegł małe łódki pełne ludzi rąbiących wiosła statku na drzazgi. Dopiero wtedy zrozumiał, co naprawdę uknuł Marana.

Cesarska armada, wycofując się, zostawiła za sobą małe łódki z ubraną na czarno załogą wyposażoną w sieci najeżone hakami. Gdy flota Amu ich mijala, zupełnie nie zdając sobie sprawy z ich obecności, ludzie ci zarzucili swoje sieci na wiosła wrogów. To sprawiło, że sternicy statków Amu zupełnie stracili nad nimi kontrolę.

Sterowce znowu pojawiły się na niebie i zaczęły zrzucać nową salwę śmiertelnych bomb smołowych, przez które żołnierze marynarki musieli albo się chować, albo z krzykiem wyskakiwać za burtę. Wspaniałe statki cesarskiej armady ruszyły teraz na rozbrojoną flotę Amu, gotowe do mordów.

Kikomi zamknęła oczy. Nie chciała ani patrzeć na statki Amu, z których teraz zostały unoszące się na wodzie płonące wraki, ani wyobrażać sobie rozpaczliwych wrzasków tonących ludzi.

Król Ponadomu bez słowa ruszył z powrotem do Müning. Nie miał wątpliwości: nadszedł czas, żeby zaplanować kapitulację.



Panadomu został rozebrany do naga i umieszczony w klatce. Mieli go zabrać sterowcem do Niepokalanego Miasta i tam paradować z nim po ulicach ku uciesze gawiedzi. Jednak Maranę o wiele bardziej interesowała Kikomi, Klejnot Amu.

– Wasza Wysokość, żałuję, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach.

Kikomi obrzuciła tego chudego człowieka z twarzą bez cienia humoru taksującym spojrzeniem. Wyglądał jak biurokrata, zupełnie jak setki innych, których zdążyła poznać w swoim życiu. A jednak był odpowiedzialny za śmierć tysięcy żołnierzy.

Kiedy on dzierżył wodze cesarskiej maszyny śmierci, ona nie miała nikogo prócz siebie samej. Mimo to zdawała sobie sprawę, jak działa na mężczyzn.

– Jestem twoim więźniem, marszałku. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz.

Maranie zabrakło tchu. Jej głos zdawał się mieć palce, którymi głaskała go po policzku i delikatnie szarpała za serce. Bezcelny ton sprawiał, że dwuznaczne stwierdzenie dało się interpretować tylko w jeden sposób.

– Dysponujesz wielką władzą, marszałku. Zdaje się, że nie ma drugiego takiego mężczyzny w całej Darze.

Marana zamknął oczy i rozkoszował się jej głosem. Mógłby zasnąć, słuchając go, i miałby wtedy piękne sny. Przypominał mu smak herbaty ze storczyków: był słodki, świeży i na długo zostawał w pamięci. Chciał słuchać jej już zawsze.

Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na ramiona. Nie protestował.



– Co teraz? – zapytała Kikomi, czesząc włosy przed lustrem. Poranne słońce przesączaające się przez zasłony sprawiało, że w oczach Marany loki księżniczki wyglądały jak złota poświata.

– Będę musiał zabrać więźniów do stolicy – powiedział, leżąc na łóżku.

– Tak szybko?

Marana się roześmiał.

– Nie mam czasu do stracenia. Inne królestwa nadal się buntują. – Zastanawiał się przez chwilę. – Jednak być może warto zostawić tu kogoś, komu ludzie ufają. Kogoś, kto jest rozsądny i gotowy do współpracy z cesarzem.

Dłoń księżniczki zwolniła na moment, jednak po chwili wróciła do czesania.

– Chciałabyś zostać księżną Amu? – zapytał Marana. – Mówi się, że lepiej pasujesz do objęcia tronu niż twój wuj.

Kikomi w dalszym ciągu zajmowała się lokami. Milczała.

Marana był zdziwiony. Właśnie okazał tej dziewczynie więcej szacunku niż jej własna rodzina i lud. Spodziewał się... wdzięczności.

– O czym myślisz?

Kikomi przestała się czesać.

– O tobie.

– A dokładnie?

– Wyobrażam sobie ciebie w stolicy, gdzie musisz kłaniać się ludziom, którzy nie zrobili nawet jednej setnej tego, co ty zrobiłeś ku chwale Xany. Chłopiec, który zawdzięcza ci wszystko, poklepie cię po ramieniu i każe odejść, gdy on sam będzie świętował twoje zwycięstwo.

– Uważaj na to, co mówisz. – Marana rozejrzał się, żeby mieć pewność, że nie słyszy ich nikt ze służby.

– Powiedziałeś, że lepiej się nadaję na władcę niż mój wuj. Być może. Świat bywa niesprawiedliwy. Zaszczyty nie zawsze stają się udziałem tych, którzy najbardziej na nie zasługują. Szkoda.

Jej odważne słowa coś poruszyły w Maranie. Wyobraził sobie siebie, jak wraca do Pan w kokpicie Ducha Kijiego. Jak jego oddziały wchodzą do miasta. Jak zbliża się do pałacu, swojego domu, a obok idzie jego małżonka, piękna księżniczka Kikomi.

Spojrzał w lustro, na odbicie dziewczyny. Patrzyła na niego, a jej wzrok wydawał się jednocześnie bezczelny i uległy. Był żywy, ambitny i uwodzicielski.

– Lecz czyż nie możemy uczynić go sprawiedliwszym? – zapytała. Jej głos znowu zdawał się owijać wokół niego, prowadzić do miejsc, których nie miał odwagi odwiedzać.

Spojrzał na małą szafkę przy łóżku, na którym leżała jego tunika; zanim położył się z księżniczką do łóżka, poświęcił chwilę na równe złożenie ubrań. Trafiło tam też kilka monet; wyciągnął rękę, by ustawić z nich równy rząd. Nie lubił bałaganu.

Monety uderzyły jedna o drugą, wywołując znajomy dźwięk. W odległym zakątku umysłu Marany pojawił się obraz starannego liczenia pieniędzy i schludnego uzupełniania księgi, gdzie każda rubryczka miała swoje miejsce. Marana zadrżał i czar księżniczki Kikomi

prysł.

Spojrzał na nią z niechęcią.

– Wystarczy. – Wziął głęboki wdech. Omal go nie schwytała. Jest bardzo mądra i odważna. Może się przydać. – Myślałem, że jesteś ambitna – powiedział. – Myliłem się jednak.

Kikomi odwróciła się do niego i posmutniała, rozumiejąc, że zawiodła.

– To nie tylko ambicja – oznajmił marszałek. – Kochasz tę ziemię i swój lud. Pragniesz ich aprobaty.

– Jestem córką Amu.

– Wasza Wysokość, złożę ci pewną propozycję. Jeśli się zgodzisz, zostawię Arulugi w spokoju. Życie tutaj będzie wyglądało jak wcześniej, nie licząc ściągania odpowiednich podatków oraz odnowienia przyrzeczenia lojalności wobec cesarza. Herbaciarnie w Müning nadal będą wypełnione słodkimi aromatami i pięknymi melodiami, a kobiety i mężczyźni nadal będą podziwiać wdzięk i elegancję tej filigranowej wyspy. Będiesz sławiona w pieśniach i legendach jako obrończyni swojego ludu.

– Myślałam, że mam zostać księżną Amu.

Marana roześmiał się.

– To było, zanim zrozumiałem, z jakim niebezpieczeństwem wiązałoby się powierzenie ci władzy w Amu.

Księżniczka Kikomi nic na to nie odpowiedziała. W roztargnieniu skubała palcami niebieską jedwabną suknię i zdawała się podziwiać duży szafir zdobiący pierścionek.

Żałowała, że nie była trochę bardziej cierpliwa, trochę bardziej przebiegła. Miała szansę namówić tego człowieka na zdradę cesarza, na najazd na stolicę, ale straciła ją, zbyt wierzając w siłę swoich kart.

– Jeśli jednak odmówisz – podjął Marana – zaprowadzę cię do najbardziej parszywego burdelu w stolicy, gdzie sprzedam cię za miedziaka. Na zawsze zapamiętaj cię jako dziwkę.

Teraz to księżniczka Kikomi się roześmiała.

– Myślisz, że mnie to wystraszy? Przecież już uważasz mnie za dziwkę.

Maran pokręcił głową.

– To nie wszystko. Każę także osuszyć jezioro Toyemotika, a Müning zrównać z ziemią. Rozsypię sól na polach, a jeden na dziesięciu mieszkańców Arulugi zginie na mój rozkaz. Zabiłem już tak wielu ludzi, że kilku dodatkowych nie robi mi różnicy. Przede wszystkim jednak rozpowiem, że ty, ty i nikt inny, byłaś odpowiedzialna za los Arulugi. Miałaś szansę ocalić swój lud i odmówiłaś.

Księżniczka Kikomi patrzyła intensywnie na marszałka. Nie miała słów, by opisać, co do niego czuła. Nienawiść zdawała się niedostateczna.



Króla Ponadomu i księżniczkę Kikomi wysłano do stolicy lekkim sterowcem. Razem z nimi odesłano też kilku innych arystokratów Amu i ważnych więźniów, w tym kapitana strażników pałacowych, Cano Tho.

Tylko najważniejsza załoga podróżowała razem z pojmanymi. W wewnętrznej sekcji gondoli na sterowcu znajdowało się kilka pomieszczeń wykorzystywanych jako magazyny oraz sypialnie. W jednym z nich umieszczono Kikomi i Ponadomu, nagich i zamkniętych w klatkach. Pozostali więźniowie byli ciasno związani sznurami i trzymeni w innych kabinach wzdłuż krótkiego korytarza.

Kiedy sterowiec wzniósł się już w powietrze, Cano Tho sprawdził, jak mocno trzyma lina na jego nadgarstkach. Strażnicy byli leniwi i nie postarali się, zaś sznur najlepsze lata miał już za sobą. Cano odczekał kilka godzin, żeby uwaga strażników zdążyła nieco osłabnąć. Zaczął pracować nad więzami, przestając za każdym razem, gdy człowiek pilnujący pomieszczenia przechodził obok. Tarł sznur dopóty, dopóki jego skóra nie pękła i nie poląła się krew. Skrzywił się z bólu, lecz pracował dalej. Krew namoczyła więzy i ułatwiła mu zadanie.

I tak oto uwolnił ręce.

W trakcie bitwy stał bezradnie w porcie i patrzył, jak ludzie Amu umierają w ciemnościach, skacząc z płonących statków w zimne wody cieśniny. Teraz jednak aroganccy wrogowie popełnili błąd, za który on każe im zapłacić.

Kiedy strażnik odwrócił się do Cano plecami, ten szybko rozwiązał sznur krępujący mu kostki. Gdy mijał go następnym razem, skoczył na równe nogi i powalił mężczyznę na podłogę. Szybko wyciągnąwszy dirk zza paska przeciwnika, poderżnął mu gardło.

Uwolnił towarzyszących mu więźniów, a ci sięgnęli po broń, którą znaleźli w pomieszczeniu, i ostrożnie wyjrzeli na korytarz. Mieli szczęście, nie było tam żywego ducha. Wszyscy inni strażnicy spali.

Mężczyźni poruszali się szybko i bezszelestnie. Tych kilku żołnierzy, którzy lecieli sterowcem, zginęło we śnie. W ciągu paru minut więźniowie przejęli kontrolę nad kokpitem, a piloci i wioślarze, robotnicy pańszczyźniani, praktycznie od razu się poddali.

Cano wszedł do pomieszczenia, w którym trzymano króla Ponadomu i księżniczkę Kikomi. Odwrócił wzrok, żeby nie poniżyć władców oglądaniem ich nagości. Otworzył klatki i podał im ubrania oraz bieliznę zabrane z kwater strażników.

– To cud, Wasza Królewska Mość i Wasza Wysokość! Jesteśmy wolni i przejęliśmy cesarski sterowiec.

Księżniczka Kikomi, dumna i wytworna mimo nagości, podziękowała Cano i owinęła się szorstkim prześcieradłem. Nie miała jedwabnej sukni, diademu, makijażu i klejnotów, a jednak Cano uważał ją za piękniejszą niż wszystkie dziewczyny, jakie kiedykolwiek poznał. Już od dawna podziwiał ją z daleka. Rzeczywiście była Klejnotem Amu.

Cano zobaczył radość i ulgę na twarzy księżniczki Kikomi, z pewnością spowodowane tym, że uwolnił ją i uratował przed poniżeniem, jakie zaplanował dla niej Marana. Niemal się cieszył, że los doprowadził ich w to miejsce i w te okoliczności. Księżniczka patrzyła teraz na niego z łagodnością, jej lodowato niebieskie oczy były zimne i ciepłe jednocześnie. Z radością by dla niej umarł, gdyby tylko o to poprosiła.

– Gdzie mamy teraz lecieć? – zapytał król. Bez swoich ministrów i z dala od bezpiecznego pałacu był zagubiony. Nie przyzwyczał się jeszcze do życia człowieka bez ojczyzny.

– Do Çaruzy. Król Thufi nam pomoże. – Głos księżniczki był spokojny i chłodny. Cano

widział, że poniżenie związane z uwięzieniem było już dla niej przeszłością. Teraz znowu była Jej Wysokością, Klejnotem Amu. Ludzie spodziewali się, że będzie podejmować decyzje, a ona – kapitan był tego pewien – stanie na wysokości zadania i poprowadzi ich, nie zważając na prawa sukcesji tronu.

Sterowiec zmienił kurs i poleciał na południe, w stronę Cocru.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

„TO RZECZYWIŚCIE KOŃ”

PAN: ÓSMY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Kasztelan Pira martwił się.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom mianowanie ministra skarbu marszałkiem Xany okazało się sprytnym posunięciem. Ten skrupulatny człowiek o analitycznym umyśle poradził sobie lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Wszyscy rozmawiali teraz o zwycięstwie pod Arulugi. Niektóre królestwa tiryjskie nawet wysyłały potajemnie swoich emisariuszy, żeby omówić warunki kapitulacji. Nad rzeką Liru sytuacja nie wyglądała najlepiej, jednak rebelianckie siły nie zdołały jeszcze przekroczyć koryta i dotrzeć do Géfiki, serca cesarstwa.

Crupo chwalił się tym błyskotliwym wyborem każdego dnia i kroczył dumnie po pałacowych korytarzach, jakby mógł się równać z samym Aruano, wielkim prawodawcą. Szybko stał się nie do zniesienia, najwyraźniej zapomniawszy, że bez Piry byłby nikim.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Crupo był ambitny. Już stał się najbardziej wpływowym człowiekiem w Pan, jednak Pira obawiał się, że któregoś dnia postanowi, iż nie potrzebuje dłużej Erishiego. Z poparciem Marany – którego zarobki zależały od humoru Crupo – zwyczajnie wkroczy do Wielkiej Sali Audiencyjnej i zapyta zebranych tam ministrów, kto ich zdaniem naprawdę jest cesarzem.

A ministrowie, którzy już raz przyznali, że regent przyprowadził konia, pokiwają potulnie głowami i potwierdzą, że prawdziwy cesarz oto stoi przed nimi i właśnie zadał im pytanie.

„Kim w takim razie jest ten chłopiec siedzący na tronie?” „Kto to wie? Z pewnością oszustem”. „A kim jest ten towarzyszący mu mężczyzna?” „Ledwie kamerdynerem, który ma zabawiać chłopca. Pogwałcił święte prawa Xany. Ściąć go!”

Pira pokręcił głową. Nie mógł na to pozwolić. Niegdyś zadowoliliby go jedynie upadek Xany, teraz jednak chciał więcej. Dostyc już wycierpiał z rąk tych idiotów Erishiego i Crupo.

To on, nie Crupo, powinien przejąć xański tron. Maing należy pomścić właściwie.



– Muszę się zobaczyć z cesarzem – rzucił Crupo.

– Rénga jest zajęty – odparł Pira.

– Zajęty zabawą, chciałeś powiedzieć. – Crupo coraz bardziej irytował się sytuacją w pałacu. To on podejmował wszelkie decyzje i dbał, by całe cesarstwo sprawnie funkcjonowało, a jednak co tydzień musiał stawiać się przed tym rozpieszczonym bachorem

jak zwykły służący.

Małoletni cesarz wydał dekret, w którym oznajmił, że każdy ubiegający się o audiencję musi najpierw zdobyć pozwolenie od kasztelana Piry – który w istocie był służącym – co stanowiło kolejne poniżenie dla Crupo. „Może nadszedł czas, żeby to zmienić”.

– Cesarz jest młody i szybko traci zainteresowanie – rzekł Pira. – Ale będę mu się przyglądał i powiadomię cię, kiedy będzie w odpowiednim nastroju.

– Dziękuję – odparł Crupo.

Kasztelan Pira był głupcem, przez co idealnie nadawał się na towarzysza cesarza. Jednak Crupo i Pirę na zawsze połączyła intryga, którą uknuli przed śmiercią poprzedniego władcy. Kasztelan wciąż był mu potrzebny, przynajmniej na razie.



– Chodź teraz. Szybko. Cesarz powiedział, że chciałby poznać szczegóły zarządzania cesarstwem. Musisz się z nim natychmiast zobaczyć.

Crupo poprawił swoje oficjalne szaty i nakrycie głowy, z którego zwisały jadeitowe i bursztynowe koraliki, symbole jego autorytetu, i pobiegł korytarzami pałacu do prywatnego ogrodu cesarza. Pira był krok za nim.

Wypadli za róg i znaleźli się w ogrodzie. Cesarz siedział właśnie na ławce; wydawał się głaskać spoczywającą mu na kolanach stertę ubrań; śmiał się i coś mówił.

Crupo podszedł bliżej.

– *Rénga*, chciałeś mnie widzieć?

Wystraszony piętnastolatek podniósł wzrok. Ubrania na ławce poruszyły się i z kolan cesarza podniosła się czerwona na twarzy dziewczyna, na próżno próbując przykryć piersi. Szybko skłoniła się regentowi, kasztelanowi i cesarzowi, a potem pobiegła ścieżką i znikła za krzakami.

– Jestem pewien, że nie – odparł wściekły i zarumieniony cesarz Erishi. – Wynoś się. Wynoś się!

Crupo wycofał się tak prędko, jak tylko potrafił.

Pira padł na ziemię i dotknął czołem zimnego kamienia.

– Przepraszam, *Rénga*! Wparował bez pytania. Nie mogłem go zatrzymać!

Cesarz kiwnął głową i niecierpliwie odprawił kasztelana. Wstał i ruszył ścieżką za dziewczyną.

Pira uśmiechnął się do siebie. Nic bardziej nie irytowało i nie poniżało chłopaka, jak przerywanie mu w takich chwilach. Teraz to nieprzyjemne wspomnienie powróci za każdym razem, gdy cesarz będzie widział regenta.



Później Pira przekupił kamerdynera Crupo, żeby zachował wszystkie zwoje, na których regent ćwiczył kaligrafię.

– Podziwiam sztukę regenta – powiedział skromnie. – Chcę zachować trochę tych

pięknych rzeczy, które wyrzuca jak zwykle śmieci.

Kamerdyner nie dostrzegł w tym nic złego i nawet zrobiło mu się żal kasztelana. Jakież smutne życie wiódł ten człowiek. Cała jego praca polegała na zabawianiu nastolatka, a w ramach własnych zainteresowań błagał o pozwolenie, by zbierać skrawki wyrzucone przez kogoś innego. Daleko mu było do regenta Crupo, naprawdę wielkiego człowieka.

Pira cierpliwie gromadził zwoje z logogramami. Kiedy już zebrał ich wystarczająco dużo, przystąpił do działania. Ostrożnie pocierał tylną stronę ciepłym czajnikiem, aż woskowe logogramy stały się wystarczająco miękkie, by dało się je zdjąć. Potem wybrał i ułożył potrzebne symbole na nowym zwoju i raz jeszcze rozgrzał je od tyłu, aż roztopiły się na tyle, by przykleić się w nowym miejscu.

W taki oto sposób stał się posiadaczem świeżego wiersza, utworzonego z pięknie wyrzeźbionych logogramów Crupo: wiersza, którego regent nigdy nie napisał, a jednak którego nie potrafiłby się wyprzeć.

Zostawił go, niedbale, na schodach prowadzących do Wielkiej Sali Audiencyjnej, gdzie ktoś mógł go odnaleźć i zanieść cesarzowi.

Jestem orłem, który nosić musi mysz.

Jestem wilkiem, który słuchać musi nornika.

Jednak pewnego dnia zdobędę właściwe mi miejsce,

A wtedy głupiutkie dziecko błagać będzie o litość.

– Pamiętasz jelenia, Rénga? – wyszeptał Pira wystraszonemu i wściekłemu Erishiemu. – Mam nadzieję, że wreszcie wszystko zrozumiałeś.



„Zdrada!” Crupo nie mógł w to uwierzyć. Strażnicy pałacowi przyszedli do jego kwatery w środku nocy, obudzili go i zakuli. Teraz znajdował się w cesarskich lochach i nikt nie chciał mu powiedzieć, jakie znaleziono przeciwko niemu dowody.

Cóż, będzie musiał udowodnić swoją niewinność. Któż tak jak on potrafił pisać przekonujące eseje. Uratuje swoje życie za pomocą pędzelka i atramentu, nożyka i wosku.

Pisał do cesarza petycję za petycją, list za listem, jednak nie przychodziła żadna odpowiedź.

Kasztelan Pira przyszedł odwiedzić dawnego przyjaciela.

– Coś ty narobił? – powiedział, smutno kręcąc głową. – Czy twoje ambicje nie mają granic?

Crupo do niczego się nie przyznał. Pira nakazał gestem, by strażnicy wystąpili do przodu.

Regent nigdy wcześniej nie doświadczył takiego bólu. Kości jego palców zostały połamane jedna po drugiej, a każdy złamany fragment złamano jeszcze raz. Crupo zemdlał.

Wylali mu na twarz zimną wodę, żeby go obudzić i torturować dalej.

Przyznał się do wszystkiego. Pędzelkiem trzymany w ustach podpisał każdy papier, który podetknął mu Pira. Jego palce wyglądały, jakby były wykonane z miękkiego wosku.



W celi pojawiło się trzech strażników pałacowych.

– *Rénga* wysłał nas, żeby sprawdzić, czy twoje zeznania są prawdziwe – powiedział jeden z nich. – Martwi się, że kasztelan Pira mógł być zbyt gorliwy. Czy byłeś torturowany?

Crupo podniósł głowę i spojrzał na strażników swoimi spuchniętymi oczami. Po Pirze nie było śladu.

„Wreszcie szansa na sprawiedliwość!”

Crupo zaczął gorliwie kiwać głową. Próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł – ludzie Piry poparzyli mu język rozgrzanymi pogrzebaczami. Podniósł ręce, żeby pokazać strażnikom, przez co musiał przejść.

– Zeznania były prawdziwe?

Crupo pokręcił głową.

„Pira, ty psie. Nie unikniesz kary”.

Strażnicy wyszli.



– Kazałem swoim ludziom przebrać się za strażników, żeby cię sprawdzić – powiedział kasztelan Pira chłodnym tonem. – Dowiedzieli się, że nie byłeś szczery w swoich zeznaniach. Wciąż zdajesz się myśleć, że patrzysz na jelenia, zamiast na konia, a ja mówię ci, że to koń. Rozumiesz?

Torturował go całą noc.



Kasztelan sprowadził do Crupo najlepszych lekarzy. Obandażowali mu dłonie i nasmarowali maścią język. Nakarmili go leczniczą zupą, a rany obłożyli pastą herbacianą. Jednak Crupo wzdrygał się pod ich dotykiem, przerażony, że to kolejna sztuczka Piry, by jeszcze go pognębić.

Pewnego dnia do celi weszli kolejni strażnicy.

– Cesarz chciałby się upewnić, że twoje zeznania są prawdziwe. Czy byłeś torturowany?

Crupo pokręcił głową.

– Zeznania były prawdziwe?

Crupo zaczął żarliwie przytakiwać. Mamrotał i jęczał, próbując każdym możliwym gestem pokazać, że to wszystko prawda, co do słowa. Crupo zdradził cesarza. Chciał jego śmierci. Było mu bardzo, bardzo przykro, jednak zasłużył sobie na swój los. Miał nadzieję, że tym przedstawieniem zadowoli kasztelana.



Cesarz Erishi wysłuchał raportu kapitana strażników pałacowych i napełnił go wielki

smutek. W głębi serca nie wierzył, by regent naprawdę chciał go zdradzić.

Jednak kapitan strażników pałacowych opowiedział o ich wizycie w celi Crupo. W bezpiecznym pomieszczeniu, z dala od kasztelana Piry, Crupo przekonywał przepytujących go strażników, że nie był torturowany. Bardzo żałował swoich postępów, jednak faktycznie je popełnił.

Cesarz był niepokieszony. Kasztelan Pira przyszedł podnieść go na duchu.

– Trudno zajrzeć w serce człowieka, choćby się nam wydawało, że doskonale go znamy.

Cesarz Erishi zarządził, by wycięto i przyniesiono mu serce Crupo, aby mógł spojrzeć w nie i się przekonać, czy było czerwone od lojalności, czy czarne od zdrady.

Kiedy jednak faktycznie przyniesiono mu narząd, chłopca obleciał strach; nie patrząc, kazał nakarmić nim swoje psy.



Kasztelan Pira cieszył się teraz tytułem premiera i swoją uwagę w całości skupił na rebelii.

Pewnego dnia ucieszy go widok cesarza błagającego go o życie: tego samego dnia odbierze mu imperium. Teraz jednak musiał się pozbyć rebeliantów.

Dowodzenie armią z daleka nie wydawało mu się trudne. Skoro Crupo temu podołał, on też da sobie radę.



Po upadku Amu zostały tylko trzy królestwa tiryjskie buntujące się przeciwko rządowi cesarstwa: nieustępliwe Faça na północy, z siłami liczącymi dziesięć tysięcy ludzi w ciemnych lasach Rimy; bogaty Gan na wschodzie, z kolejnymi dziesięcioma tysiącami żołnierzy piechoty i jedyną flotą rebeliantów na Wilczej Łapie; oraz wojownicze Cocru na południu, które postawiło się generałowi Namenowi nad rzeką Liru.

Kindo Marana nie darzył króla Faça, Shiluégo, zbyt wielkim poważaniem, bowiem jego zdaniem był on słaby i układny. Podobnie nie szanował króla Dalo z Ganu, który najchętniej zostałby na Wilczej Łapie i zapomniał o historycznych prawach do ziem Gėjiry na Wielkiej Wyspie. Marana planował połączyć siły swoje i generała Namena, by wspólnie zaatakować Cocru, jedyne królestwo stanowiące realne zagrożenie dla cesarstwa.

Jednak zanim zdołał rozpocząć realizację swoich zamierzeń, przybył posłaniec z Niepokalanego Miasta z wieściami o zdradzie i egzekucji regenta Crupo oraz rozkazie premiera Piry, by zebrać wszystkie siły cesarstwa i zaatakować Wilczą Łapę.

– Najpierw spacyfikuj Zewnętrzne Wyspy – przeczytał posłaniec na głos słowa Gorana Piry. – A wtedy Wielka Wyspa sama się podda.

Marana uważał to za złą strategię, jednak starał się nie okazywać swojej irytacji przed posłańcem. Cesarz i nowy premier zdawali się uważać, że wojna to gra rozgrywana na modelu cesarstwa z Wielkiej Sali Audiencyjnej, a Marana może i pełni funkcję marszałka

Xany, jednak w istocie jest tylko pionkiem, który można podnieść i przestawić w inne miejsce, jeśli tak sobie zażyczą jego zwierzchnicy.

Przez chwilę niemal żałował, że nie poddał się kuszącym sugestiom księżniczki Kikomi. Jednak tamtą szansę już stracił, a ścieżka zdrady stanu pozostanie na zawsze jedynie domeną wyobraźni. Był zbyt skrupulatny, zbyt przywiązany do swojej wiary w porządek i właściwe mu miejsce.

Westchnął i wysłał nowe rozkazy. Cesarska armada z dwudziestoma tysiącami żołnierzy popłynie na północ, okrążając Wielką Wyspę i mijając Faça, po czym skieruje się ku Wilczej Łapie.

Jednocześnie Namen zostawi niewielką grupę obrońców nad Liru i na skraju lasów Rimy. Następnie planował wziąć kolejne dwadzieścia tysięcy żołnierzy i przeprowadzić ich przez Thoco, przez łagodną Gójirę i jej bogate miasta pełne ogrodów i spokojne pola ryżowe, by spotkać się z armadą w miejscu, gdzie góry Shinané stykają się z brzegiem morza. Stamtąd cesarstwo rozpocznie atak na Wilczą Łapę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

OBIETNICA PRINCEPSA

ÇARUZA: DZIEWIĄTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Król Thufi wściekał się na zebranych ambasadorów i tiryjskich władców. Miał już serdecznie dosyć ich małostkowości. Dyskusje ciągnęły się miesiącami, mimo to nic jeszcze nie postanowili. Zamiast obmyślić wspólnie plan najazdu na stolicę cesarstwa, dygnitarze woleli kłócić się o podział zysków po zwycięstwie, którego jeszcze nie odnieśli.

Rima i Amu zniknęły, a Haan nigdy nie zdołał się uwolnić, nawet tymczasowo. Cesarstwo raz jeszcze podbije wszystkie królestwa, jedno po drugim, powtarzając dokonania Mapidérégo sprzed dekad. Rebelia znajdowała się na granicy porażki.

„Idea równości i niezależności królestw Tiro jest piękna – pomyślał Thufi – teraz jednak musimy zmierzyć się z rzeczywistością, a nie wyobrażeniami”.

– Koniec dyskusji – oznajmił twardo. – Nominuję siebie princepssem.

Wszyscy nagle zamilkli. Od setek lat nie było żadnego princepsa. Nikt jednak nie oponował, przynajmniej nie otwarcie. W końcu to Cocru miało najliczniejszą armię i jako jedyne potrafiło wygrać z cesarstwem na polu bitwy.

– Marana i Namen mobilizują wszystkie swoje siły do ataku na Wilczą Łapę, a my musimy odłożyć na bok nasze swady i zrobić, co w naszej mocy, żeby pomóc Ganowi. – W tym momencie ambasador Ganu zaczął kiwać żarliwie głową. – Faça i Cocru wyślą każdego człowieka, którego mogą, a reszta musi dorzucić jak najwięcej od siebie: pieniądze, broń, szpiegów. Sześć królestw musi wspólnie przeciwstawić się cesarstwu na Wilczej Łapie.

I faktycznie nie były to jedynie frazesy. Inne królestwa Tiro mogły realnie pomóc. Resztki rzymskiej armii, składające się z rozgoryczonych mężczyzn pragnących zemsty, dotarły już do Cocru. Kilka ocalałych po bitwie statków Amu popłynęło do Çaruzy, razem z królem Ponadomu i księżniczką Kikomi – sterowiec, na którym przylecieli, ucierpiał na skutek tajemniczego wycieku gazu. Bogaci arystokraci ze wszystkich podbitych ziem popędzili do Çaruzy, objuczeni skarbami, które można było spieniężyć na potrzeby armii.

Nawet Haan miał coś do zaoferowania. Król Cosugi wysłał Luana Zye na tajemną misję do Haanu, gdzie udało mu się założyć podziemny ruch, do którego zwerbował niezadowolonych młodych ludzi chętnych do sprawiania kłopotów cesarstwu w samym jego sercu.

– Jeśli przegramy na Wilczej Łapie, wyspy Dary znowu wrócą do czasów barbarzyństwa i tyranii. Jeśli jednak zwyciężymy, zdusimy ostatnie iskielki nadziei cesarstwa. Kindo Marana nie będzie w stanie znaleźć kolejnych mężczyzn gotowych do

oddania życia za cesarstwo na Rui i Dasu. Xańczycy wycierpieli niemal tak wiele jak my. Podniesiemy się albo upadniemy razem.

Thufi nie ufał królom i ambasadorom, z których każdy pilnował własnego interesu. Żeby poderwać ludzi do walki, musiał przemówić do nich bezpośrednio.

– Jeśli nam się uda, pójdziemy za ciosem i podążymy do Gėjiri, potem przez przełęcz Thoco, a następnie do cesarskiego pałacu w Pan. Jako princeps ogłaszam, że ten, który pojma cesarza Erishiego, czy to arystokrata, czy chłop, zostanie mianowany władcą nowego królestwa Tiro, obejmującego najbogatsze ziemie Géfiki.

Zebrani w sali zaczęli wiwatować bez przekonania, jednak żarliwość ich zachwytu wzrosła, gdy marszałek Zyndu zmierzył każdego po kolei zimnym wzrokiem.

Słowa potrafiły być o wiele bardziej przekonujące, gdy wspierała je siła miecza.

Król Ponadomu mruknął pod nosem, że princeps obiecuje ziemie prawnie przynależące do Amu, jednak ponieważ razem z księżniczką Kikomi byli zdani na jego łaskę, nie podnosił zbytnio głosu.



Dom wynajęty przez Jię znajdował się poza granicami Çaruzy, w małej wiosce zaraz przy plaży. Był to dom letniskowy pewnego bogatego cocruskiego rodu, któremu teraz nie wiodło się najlepiej. Budynek był duży, jednak raczej skromny, a czynsz ustalono w granicach rozsądku.

Na wschodzie, pod widnokrzem, widać było wyspy Tunoa. Mata Zyndu stał na plaży, rzucając połamane muszle i kamyki w fale i rozmyślając o domu. Potem schylił głowę i wszedł przez drzwi frontowe.

– Bracie Kuni i siostrze Jia! – zawołał. – Mam nadzieję, że nie przychodzę nie w porę.

Mata i Kuni wrócili do Çaruzy miesiąc temu, kiedy stało się jasne, że Marana i Namen nie zamierzają zaatakować Dimu. Kuni został z Jią i upajał się byciem ojcem, podczas gdy Mata pomagał wujowi przy jego obowiązkach w cocruskiej armii. Obaj jednak w napięciu oczekiwali, aż ambasadorowie i królowie zdecydują, co dalej z rebelią.

– Ach, mój brat Mata – powiedział Kuni, wstając jednocześnie z Jią. – Wiesz przecież, że ciebie zawsze witamy z otwartymi ramionami. Jesteś członkiem rodziny.

Otho Krin wszedł z tacą pełną przekąsek i herbatą.

– Ile razy mam ci powtarzać, że nie musisz się zachowywać jak służący? – rzuciła Jia. – Przyszedłeś tu ochraniać Kuniego, a nie we wszystkim mnie wyręczać.

– Nie przeszkadza mi to, proszę pani – odparł Otho, czerwony na twarzy. – Błagałem pana Garu, żeby mnie tu zabrał, i obiecałem, że się przydam albo do ochraniać go, albo do pomocy w domu. Nie ma niczego, czego bym nie zrobił dla pana Garu... i ciebie, pani.

– Jesteś jak dziecko, które nigdy nie dorasta – roześmiała się Jia. – Dziękuję, Otho.

Chłopak uklonił się niezgrabnie i odszedł.

Jia i Kuni powitali Matę i zasiedli na podłodze w pozycji *géüpa*. Jia naląła herbaty, podczas gdy Kuni podał dziecko Macie. Ten nie wiedział, co ma właściwie zrobić, więc trzymał ostrożnie malucha na swojej ogromnej dłoni jak kokos. Dziecko nie płakało i z ciekawością przyglądało się olbrzymowi. Kuni i Jia zaczęli się śmiać.

– Ma twoją figurę, Kuni – powiedział Mata, patrząc na pulchne nóżki i okrągły brzusek malucha. – Ale jest o wiele przystojniejszy.

– Widzę, że spędzasz z moim mężem zdecydowanie za dużo czasu – oznajmiła Jia z uśmiechem. – Nawet przejąłeś jego poczucie humoru.

Pili herbatę, przekąszając ją suszonymi chipsami z mango i paskami śledzia, a Mata opowiedział Kuniemu o ogłoszeniu króla Thufiego.

– Król Géfiki! – zachwycił się Kuni. – To z pewnością zachęci dowódców i żołnierzy.

– Zdecydowanie.

– Bracie, jak możesz zachowywać taki spokój? Z pewnością widzisz, że to zadanie jest stworzone dla ciebie!

Mata wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rebelia ma wielu bohaterów. Kto wie, komu będą sprzyjać bogowie w walce o tak wspaniałą nagrodę?

Kuni pokręcił głową.

– Nie musisz być taki skromny. Walcz o swoje przeznaczenie.

Mata się roześmiał, ciesząc się z tego, z jakim przekonaniem mówi o tym przyjaciel, jednak równocześnie poczuł się zażenowany.

– W tej chwili mam tylko nadzieję, że król Thufi mianuje mnie dowódcą połączonych armii na Wilczej Łapie, żeby wuj mógł pozostać w Çaruzie. Należy mu się odpoczynek, a król poczuje się bezpieczniej z marszałkiem dbającym o siły obronne królestwa.

– Pójdę z tobą. Dobrze nam idzie wspólna walka.

Mata uśmiechnął się. Faktycznie obecność Kuniego sprawiała mu przyjemność. Nie był może wielkim wojownikiem, ale zawsze miał mądre pomysły.

Kuni i Jia popatrzyli na siebie i posłali sobie nawzajem uśmiechy. Kuni pochylił się w stronę Maty.

– Wkrótce nasza rodzina może się powiększyć.

– Gratulacje raz jeszcze! Cóż, wyraźnie widać, że nie tracie czasu. – Mata wznosił toast za szczęśliwą parę.

– Garu są jak mleczko: rozmnażamy się nawet w trudnych czasach. – Kuni delikatnie pogłaskał Jię po plecach, a ona popatrzyła z zadowoleniem w oczy trzymanego w ramionach dziecka. Otaczające ich ściany były puste i nieszczelne, jednak Macie wydawało się, że jest tu cieplej niż w kamiennych salach pałacu króla Thufiego, pełnego służących i ozdobionego drogimi gobelinami.

Nigdy wcześniej nie myślał o dzieciach. Ostatnio jednak, gdy przebywał w towarzystwie księżniczki Kikomi, jego umysł wędrował w inne rejony niż strategię wojskowe i taktyki bitewne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

KIKOMI

ÇARUZA: DZIEWIĄTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Podczas gdy armia szykowała się do wymarszu na Wilczą Łapę, w Çaruzie plotkowano o Kikomi.

Piękną księżniczkę często widziano w towarzystwie młodego generała Maty Zyndu. Para robiła ogromne wrażenie: Mata wyglądał jak uosobienie Fithowéo, zaś Kikomi dorównywała swym pięknem wyobrażeniom o bogini Tututika. Nie dało się wymyślić lepszego duetu.

Mata nie uważał się za człowieka wrażliwego, jednak Kikomi sprawiała, że robiło mu się ciepło na sercu, a oddech przyśpieszał w sposób, jaki jemu zawsze wydawał się możliwy jedynie w starych wierszach. Gdy spoglądał w jej oczy, zdawało mu się, że czas się zatrzymuje. Marzył, by cały dzień móc po prostu na nią patrzeć.

Jednak najbardziej lubił jej słuchać. Kikomi mówiła tak cicho, że czasem musiał przysuwać się bliżej i wtedy do jego nosa docierał jej kwiatowy zapach – tropikalny, przywodzący na myśl luksus i bogactwo. Zdawała się pieścić go swoim głosem, który głaskał jego twarz, przeczesywał włosy, wnikał łagodnie do serca.

Opowiadała o dzieciństwie w Arulugi, o pełnym sprzeczności dorastaniu jako księżniczka pozbawiona swojego królestwa.

Została wychowana przez rodzinę lojalnego służącego jej dziadka i chociaż chciała myśleć o sobie jak o córce bogatego kupca, tak jak jej przybrane siostry, uczono ją, by pamiętać o obowiązkach wiążących się z błękitną krwią.

Mieszkańcy Amu wciąż uważali ją za swoją księżniczkę, nawet jeśli nie miała już tronu ani pałacu. Prowadziła tańce w czasie wielkich festiwali, pocieszała arystokrację opłakującą utraconą chwałę i razem z rodzeństwem chodziła do najlepszych szkół w Müning, gdzie czytała klasyków Ano i uczyła się śpiewu oraz grania na kokosowej lutni. Nosiła tytuł księżniczki jak stary płaszcz darzony sentymentem: zbyt zniszczony, by dawać ciepło, lecz zbyt drogi sercu, by go wyrzucić.

Potem wybuchła rebelia i z dnia na dzień Kikomi zaczęła wieść życie, które znała jedynie z bajek. Ministrowie jej się kłaniali, a ludzie ze spuszczonego wzrokiem nieśli ją do pałacu w Müning, gdzie wszystkie dawne rytuały i ceremonie stały się znowu prawdziwe. Dokoła Kikomi wyrosły niewidzialne ściany. Bycie księżniczką było wielkim zaszczytem, lecz także ogromnym ciężarem.

Mata rozumiał ten ciężar, to brzemień zaszczytów i obowiązków, dawno utraconej chwały i świeżych, trudnych do zrealizowania oczekiwań. Było to doświadczenie zupełnie niezrozumiałe dla kogoś takiego jak Kuni Garu, urodzonego w zwyczajnej rodzinie, która

nigdy nie utraciła swojej pozycji. Mata uważał Kuniego za brata, jednak to księżniczka Kikomi potrafiła zajrzeć w jego serce. Nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł mu być bardziej bliski, nawet Phin.

– Jesteś taki jak ja – powiedziała. – Całe życie wszyscy ci mówili, jaki powinieneś być, malowali przed tobą obraz, do którego powinieneś się upodobnić. Jednak czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, czego naprawdę pragniesz? Tylko ty, zwyczajny Mata, a nie ostatni z rodu Zyndu?

– Do tej pory nie – odparł.

Pokręcił głową i otrząsnął się z tego przypominającego sen stanu, w który często wpadał w towarzystwie Kikomi. Wierzył w dobre wychowanie i chciał pokazać, że ma czyste intencje. Zaprowadzi ją do swojego wuja, księcia Tunoi i marszałka Cocru, żeby prosić go o błogosławieństwo, a potem poprosi króla Ponadomu o jej rękę.



Kikomi podniosła się z *jiri* i patrzyła, jak Mata znika w korytarzu. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, a na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego żalu. Opłakiwała utraconą wolność.

Jakim głupcem był kapitan Cano Tho, myśląc, że to dzięki jego męstwu udała się „cudowna” ucieczka jej i króla Ponadomu.

„Zawarłam układ”.

Najbardziej bolało ją to, że naprawdę lubiła Matę, jego sztywne i nieporadne zachowanie; jego szczere, nieugładzone słowa; jego twarz, z której mogła czytać jak z księgi. Nawet jego wady widziała w korzystnym świetle: gorący temperament, kruchą dumę, wyolbrzymiony honor – z czasem dałoby się je nieco ostudzić, tworząc prawdziwie szlachetne cnoty.

„Czy nie poznałeś się na moim sztucznym uśmiechu? Czy nie przejrzałeś udawanego oddania?”

Nie знаła zbyt dobrze sztuki uwodzenia – właściwie to zawsze nią gardziła i dlatego zbyt prędko wykonała swój ruch w przypadku Kindo Marany. Teraz jednak radziła sobie doskonale. Powód był tak prosty, że musiała mu zaprzeczać za każdym razem, gdy pojawiał się w jej myślach: może wcale nie udawała. Ten fakt czynił jej postępek jeszcze bardziej parszywym.

Zacisnęła dłonie w pięści, wbijając paznokcie w skórę. Wyobraziła sobie Amu ogarnięte pożogą, Müning zrównane z ziemią.

Nie mogła pozwolić, by Mata ją przejrzał.

„Zawarłam układ”.



Phin Zyndu zawsze uważał, że kobiety tylko niepotrzebnie rozpraszają uwagę. Od czasu do czasu zapraszał do łóżka służącą, żeby zaspokoić swoją żądzę, nie pozwalając jej jednak

odwracać jego uwagi od prawdziwego celu: przywrócenia chwały rodowi Zyndów i królestwa Cocru.

Jednak ta kobieta, księżniczka Kikomi, była inna.

Silna jak młode drzewko jujuby. Chociaż Phin dowodził dwudziestoma tysiącami mężczyzn i nawet król Thufi polegał na nim we wszystkich sprawach militarnych, nie onieśmiał jej. Kikomi była księżniczką bez ziemi, a mimo to traktowała go jak równego sobie.

Nie prosiła spojrzeniem czy słowem o ochronę, tak jak robi to wiele kobiet. Przez to on tym bardziej chciał jej bronić. Pragnął przyciągnąć ją do siebie i wziąć w objęcia.

Mówiła o swoim podziwieniu dla niego i o żalu, jaki czuła na myśl o ofiarach poniesionych przez młodych mieszkańców Arulugi. Tak wiele arystokratek znanych Phinowi było głupiutkimi stworzeniami, których zainteresowania ograniczały się do czterech ścian buduaru i sal balowych. Jednak księżniczka szczerze opłakiwała zmarłych, którzy utonęli w ciemnych wodach cieśniny. Rozumiała, co sprawiało, że ludzie szli na pole bitwy po chwałę, lecz wiedziała też, że ich śmierć spadała na matki, żony i córki. Kikomi była warta ludzi, którzy za nią zginęli.

I była piękna, och, tak piękna.



Kikomi uśmiechnęła się skromnie.

W środku zaś chciała krzyczeć.

Marszałek zwyczajnie założył, że Kikomi pragnie i wymaga ochrony, a gdy zaczęła mówić o morskiej porażce Amu, zdradzając wiedzę i zorientowanie w temacie, był zdziwiony. Zwróciła uwagę, jakim protekcyjnym tonem chwalił jej wykształcenie, i jak zachichotał, gdy podziwiała bibliotekę w Çaruzie. Nie słuchał jej, gdy mówiła o cierpieniu i trudach kobiet pracujących w porcie Müningtozu, żeby przygotować statki do wojny, jednak jego oczy aż się zaświeciły zaraz po tym, jak zmieniła temat na marynarzy.

Naprawdę myślał, że ją komplementuje, wyróżniając ją spośród „tych głupiutkich arystokratek”, zakładając, iż ucieszy się z uznania jej za inną niż reszta jej płci.

To właśnie tacy mężczyźni uczynili z niej symbol.

Jednak w pewnym sensie ułatwił jej zadanie. Wiedziała dokładnie, co powiedzieć i co zrobić, a udawanie przed nim kobiety idealnej było dla niej przyjemnym wyzwaniem: w jego oczach była coś warta wtedy, gdy upodabniała się do mężczyzny, tak jak słonecznik do słońca.

„Zawarłam układ”.



Co znaczyły te porozumiewawcze spojrzenia między Kikomi i Phinem? Dlaczego skłaniała głowę, a on wyciągał rękę, by dotknąć jej ramienia? Czy tak wuj powinien witać wybrankę serca bratanka?

Jakimś cudem cała trójka unikała tematu powodu tego spotkania. Mata nie wiedział, co o tym myśleć. Nie powiedziano nic konkretnego ani niewłaściwego, a jednak z gestów i spojrzeń dało się wyczytać tak wiele.



Czy postępuje właściwie, żywiąc takie uczucia do kobiety o tyle od niego młodszej? Czy to właściwe, że uprzedził swojego bratanka? Zawsze traktował Matę jak syna, a jednak teraz był o niego zazdrosny – o jego młodość, siłę, nieuzasadnione roszczenia wobec niej.

Przecież Kikomi dała mu przyzwolenie na te uczucia, prawda? Te spojrzenia, te westchnienia...

Widział, że ceni jego dojrzałość i tę stałość uczuć, jaka łączyła się z wiekiem. Mata był młody i impulsywny, zakochał się w niej jak szczenię. Ona jednak go przejrzała. Pragnęła miłości bardziej męskiej, trwalszej i prawdziwszej.



Mata poprosił Kuniego, by go odwiedził.

Przygnębiony i odrzucony nalewał do dwóch czarek wina sorgowego i milczał. W palenisku z brązu zaraz obok stołu trzaskał ogień. Kuni usiadł naprzeciwko przyjaciela i napił się trunku. Był tani i mocny, palił w gardło.

Kuni, tak samo jak wszyscy inni, słyszał już plotki i taktownie nic nie mówił.

– Odsyła mnie – powiedział Mata. Osuszył czarękę i natychmiast zaczął głośno kaszleć, by ukryć, że w oczach stanęły mu łzy. – Zdecydował, że Pashi Roma, ten starzec zdolny jedynie do siedzenia przy bramie Çaruzy, zostanie głównym dowodzącym na Wilczej Łapie. Ja dostanę tylko tylną straż i mam wyjechać w ciągu tygodnia, żeby rozpocząć przygotowania do przekroczenia kanału Kishi. Nawet nie będę miał szansy na przeprowadę z głównymi siłami. Moim zadaniem jest granie zarządcy przystani i pilnowanie półwyspu Maji, w razie gdybyśmy musieli się wycofywać.

Kuni nadal nie odezwał się ani słowem. Uzpełnił trunek Maty.

– Powiedziała, że nie będzie wybierać między nami. I dlatego on postanowił wybrać za nią, usuwając mnie z drogi. W ten sposób pokazuje, jaką ma nade mną władzę, jak może mną pomiatać. Zabrał mi szansę na chwałę. – Mata splunął w płomień.

– Lepiej tak nie mów, bracie. Ty i marszałek jesteście filarami podtrzymującymi nieboskłon nad Cocru. Nieporozumienie, tak jak termyty w fundamentach, to plaga, którą należy wytepić, inaczej przyniesie zagładę nam wszystkim. Masz obowiązek, na którym musisz się skupić, i zadanie do wykonania. Od ciebie zależy życie wielu ludzi.

– To nie ja jestem wujem, który ukradł bratankowi kobietę, Kuni! To nie ja jestem tym, który zdradził! Mój wuj jest starym i słabym człowiekiem, zawsze liczył na to, że będę walczył za niego. Może nadszedł czas, żebym przestał.

– Wystarczy! Jesteś pijany i nie wiesz, co mówisz. Pojadę z tobą, Mata, na półwysep Maji. Zapomnij o tej niestałej kobiecie. Pogrywała sobie z waszymi uczuciami i nie jest

warta twojego gniewu.

– Nie waż się mówić o niej źle. – Mata wstał i spróbował uderzyć Kuniego, jednak stracił równowagę i nie trafił. Kuni zrobił unik, a potem podtrzymał przyjaciela, przekładając sobie przez ramię jego wielką rękę.

– Już dobrze, bracie. Więcej się na jej temat nie odezwę. Ale naprawdę żałuję, że ją poznaliście.



Ostatecznie Kuni nie mógł jechać z Matą. Cogo Yelu wysłał wieści z Zudi: zmarła matka Kuniego. W takiej sytuacji musiał on wrócić do miasta i zostać tam na trzydzieści dni żałoby. Co prawda zaproponował, że przełoży to w obliczu tak poważnego kryzysu, jednak Mata pokręcił głową. Nawet w czasie wojny zmarłym należy się szacunek.

Ponieważ Jia znowu była w ciąży, a podróżowanie z małym dzieckiem nastęczałoby kłopotów, postanowiła pozostać w Çaruzie. Mata obiecał, że wyśle odpowiedzialnych ludzi, którzy się nią zaopiekują.

Otho Krin zaproponował, że zostanie z Jią, a Kuni natychmiast się zgodził. Znacznie łatwiej byłoby mu opuścić żonę ze świadomością, że towarzyszy jej ktoś, na kim może polegać.

– Trochę mi niezręcznie zostawać pod jednym dachem z mężczyzną pod nieobecność męża – powiedziała Jia. – Chociaż nie obchodzi mnie plotki, lepiej nie dawać ludziom powodów do gadania.

– Mogłabyś mianować mnie swoim sługą i wtedy oficjalnie stałbym się członkiem gospodarstwa domowego.

Chociaż Jia protestowała, Kuni uznał, że tak będzie najlepiej.

– Dziękuję ci, Otho. To dla mnie zaszczyt, że jesteś gotowy zrobić tak wiele, by chronić Jię. Nigdy nie zapomnę twojej lojalności.

Otho wymamrotał podziękowania.

Tymczasem, chociaż większość żołnierzy Kuniego została włączona w oddziały wysyłane na Wilczą Łapę, Mata wybrał spośród nich pięciuset weteranów i kazał im się udać razem z Garu do Zudi.

Kuni mu podziękował i rozpoczął przygotowania do podróży.

– Bądź ostrożny, bracie. Skup się na swoim jedynym zmartwieniu: pokonaniu cesarstwa. Pamiętaj o swojej pieśni, pieśni o złotym braterstwie. Spodziewam się, że pewnego dnia zobaczę, jak paradujesz w Pan jako król Géfiki. Tłum będzie wykrzykiwał twoje imię, a ja obiecuję być u twojego boku, wiwatując najgłośniej.

Mata nie powiedział jednak ani słowa, zapatrzony w dal.



– Daf – rzekł setnik. – Obudź się i zbieraj swoje rzeczy. Wracasz z księciem Garu do Zudi. Dafiro i Ratho popatrzyli po sobie, ziewnęli i zabrali się do pakowania.

– A ty co robisz? – zapytał setnik Ratho. – Tylko twój brat, ty nie. Ty idziesz z nami na Wilczą Łapę.

– Ale zawsze wszystko robiliśmy razem.

– Mówi się trudno. Generał Zyndu kazał zebrać dla księcia Garu pięćdziesięciu mężczyzn z Trzeciej Kompanii i właśnie to robię. Daf idzie, ty zostajesz. – Setnik, młody mężczyzna o aroganckim wyrazie twarzy, uśmiechnął się złośliwie. Dotknął palcami naszyjnika z rekinich zębów, jakby prowokował Dafa i Rata, by sprzeciwili się jego żalosnemu autorytetowi.

– Mówiłem ci, żebyśmy nie wracali do armii – powiedział Dafiro. – Myślę, że musimy zdezerterować.

Jednak Ratho pokręcił głową.

– Generał Zyndu wydał ten rozkaz. Nie zamierzam mu się sprzeciwić.

W takiej sytuacji nie pozostało im już nic poza pożegnaniem się.

– To pewnie dlatego, że uważają mnie za lenia – stwierdził Dafiro. – Żałuję teraz, że nie pracowałem tak ciężko jak ty. Pieprzony wiatr. Oczy mi od niego łzawią – dodał, choć tego dnia było dość spokojnie.

– Hej, spójrz na to w ten sposób: jeśli nie wrócę z Wilczej Łapy, nie będziesz musiał dłużej się o mnie martwić i mną opiekować. Mógłbyś się ożenić z jakąś ładną dziewczyną i zadbać o następne pokolenie rodu Miro. Ha, kto wie, może nawet uda ci się złapać cesarza Erishiego. Księżę Garu zna wiele sztuczek.

– Dbaj o siebie, słyszysz? Nie wyrywaj się ciągle do pierwszego rzędu. Trzymaj się z tyłu i bądź uważny. Jeśli coś pójdzie nie tak, uciekaj.



W nocy rozżarzony krater góry Kana dało się dostrzec z odległości wielu kilometrów.

Zagrzmiało.

– Gdzie się wybierasz, Tazu z Ganu, ubrany jak setnik?

Dziki śmiech, chaotyczny jak zatonięcie statku, amoralny jak rekin płynący w ciemnym oceanie.

– Zaraz ściągniecie swoją przeklętą wojnę na moją wyspę, a ja nie mogę się trochę pobawić?

– Myślałam, że nie chcesz opowiadać się po żadnej ze stron.

– A kto mówił, że to robię? Ja się tylko chcę dobrze bawić.

– Dla ciebie rozdzielanie braci to zabawa?

– Śmiertelnicy zawsze rozdzielają wuja z bratankiem, męża z żoną. Ja tylko dodaję ich życiu odrobiny przypadkowości. Każdemu od czasu do czasu przyda się trochę Tazu.



Phin wmówił sobie, że chroni zarówno Matę, jak i Kikomi.

Mata zachowywał się coraz bardziej nieodpowiedzialnie, a Kikomi bała się, jak zareaguje,

jeśli go wprost odrzuci. Na Phina spadł obowiązek wybicia mu z głowy tego zauroczenia i ochrona wrażliwej i delikatnej Kikomi.

Poprosił ją, by została z nim na noc. Przez chwilę siedziała bez słowa, potem jednak kiwnęła głową.

Nalała mu wina z mango, a jej piękno dopełniało słodycz trunku tak wspaniale, że nie mógł przestać pić. Dzięki niej znowu czuł się młody i zdawało mu się, że mógłby walczyć z cesarstwem choćby w pojedynkę. Tak, to była dobra decyzja. Kikomi pasowała do niego.

Przyciągnął ją do siebie, a ona uśmiechnęła się skromnie i podniosła głowę do pocałunku.



Księżyc lśnił mocno. Srebrny blask spływał przez okno na podłogę wyłożoną matami z trawy i na łóżko, gdzie Phin Zyndu głośno chrapał.

Księżniczka Kikomi usiadła na brzegu pośłania. Była naga i drżała mimo ciepłej nocy.

Po raz setny odtworzyła w głowie słowa Kindo Marany.

„Poćwiczysz swoje kobiece sztuczki na Zyndu. Phin i Mata są sercem i duszą wojennej siły Cocru. Jeśli jednak skłócisz ich ze sobą swoimi udawanymi uczuciami, zazdrość i podejrzliwość sparaliżują cocruską armię. A kiedy nadejdzie odpowiedni moment, zabijesz jednego z nich: jeśli któraś z armii upadnie, Namen i ja szybko poradzimy sobie z drugą. Tak właśnie wygląda moja propozycja, Wasza Wysokość: oddaj się temu zadaniu, inaczej mieszkańcy Amu zapłacą za twoją porażkę”.

Kikomi wstała. Cicho i z wdziękiem, zgodnie ze wskazówkami nauczycieli tańca, podeszła do parawanu stojącego po drugiej stronie pomieszczenia. Sięgnęła do paska sukni, gdzie ukryto zakładkę, a w niej cienki sztylet. Musnęła palcami chropawą rękojeść, wbijając się w skórę jej dłoni.

„To Cierń Crubena. Niegdyś zabójca z Ganu próbował zamordować nim cesarza Mapidérégo, gdy ten nazywał się jeszcze Réon. Zostawię go w twojej kajucie. Został wyrzeźbiony w zębie crubena i w przeciwieństwie do stali nie da się go wykryć za pomocą magnetytu, który często umieszczają przy wrotach cierpiący na paranoję tiryjscy królowie. Idealna broń dla skrytobójcy”.

Dotknęła palcem czubka noża. Kropla krwi, która się pojawiła, w blasku księżyca wyglądała jak czarna perła. Strażnicy marszałka wymagali od Kikomi, cały czas ją przepaszając, by podobnie jak wszyscy prywatni goście przeszła przez krótki korytarz zbudowany z silnego magnetytu. Gdyby sztylet został wykonany z metalu, magnetyt przyciągnąłby jej pas, odkrywając prawdziwe intencje księżniczki.

Marana wszystko przewidział.

Cicho i z wdziękiem księżniczka wróciła do łóżka.

Uśmiechnęła się gorzko. Marana uważał ją za pawie pióro, chociaż była raczej kroplą ropuszej trucizny. Jednak miała wybór i choć był mocno ograniczony, postara się wycisnąć z niego jak najwięcej.

Myślała długo i intensywnie. Mata był młodszy, ale ciągle się rozwijał i dopiero osiągał pełnię swoich możliwości. Tymczasem Phin zaczynał przemijać.

Gdyby zabiła Matę, Phin mógłby jeszcze szybciej podążyć drogą ku nieuchronnemu upadkowi. Gdyby jednak zabiła Phina, porywczy Mata mógłby dać się ponieść wściekłości i chęci zemsty, a cesarstwo musiałyby stawić czoła potworowi, którego samo stworzyło.

Kikomi miała nadzieję, że dokonuje racjonalnego wyboru i nie poddaje się swoim uczuciom do Maty.

Spojrzała na nagie ciało Phina, na jego łysiejącą głowę, na wiotczące mięśnie. Żałowała, że musi to robić. Żałowała, że nie jest tylko córką bogatego kupca. Zaszczyty łączą się z odpowiedzialnością i czasami człowiek musiał wybierać między własnym życiem a życiem całej wyspy.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.

Podniosła brodę Phina, a kiedy on poruszył się przez sen, wbiła sztylet głęboko w miękką tkankę jego szyi. Trzymając rękojeść obiema dłońmi, przesunęła ostrzem w prawo i w lewo; krew trysnęła we wszystkie strony.

Phin zacharczał i w tej samej chwili się obudził. Złapał ręce Kikomi, w blasku księżyca widziała jego oczy wielkie jak spodki. Zaskoczenie, ból, wściekłość. Nie mógł nic powiedzieć, lecz ścisnął ją mocno, tak że sztylet wypadł jej z dłoni. Wiedziała, że ma połamane nadgarstki. Nie będzie mogła się zabić tak, jak to planowała.

Jęknęła i całą siłą wyrwała się z rąk Phina, a potem odsunęła się poza jego zasięg.

– Robię to dla mojego ludu – szepnęła do niego. – Musiałam wejść w układ. Przepraszam. Musiałam.

Marana obiecał jej, że zawsze będzie bliska sercom mieszkańców Amu, że następne pokolenia będą śpiewać pieśni o jej poświęceniu i opowiadać historie o jej heroizmie.

Czy zasługiwała na takie pochwały? Tak, uratowała swój lud. Jednocześnie jednak zabiła marszałka Cocru z zimną krwią i zagroziła rebelii, a poprzez to życiu rzeszy mieszkańców cesarstwa. Nie do końca tego żałowała; była córką Amu i mieszkańcy wyspy byli dla niej najważniejsi. Wybrała mniejsze zło, choć nadal było ono ogromne.

Jak jednak w zaświatach stanie oko w oko z Phinem Zyndu i tymi, którzy umrą przez Kindo Maranę? Musi się przygotować na ich oskarżycielskie spojrzenia.

Ciało Phina wierzgało wolniej i mniej gwałtownie.

Ból nadgarstków przestał przysłańać wzrok Kikomi. W zimnym blasku księżyca dziewczyna ujrzała świat jasno i wyraźnie. Zadrzała, gdy pojęła diabelskość planu Marany: jeśli Xana oszczędzi Amu w czasie wojny, a imię Kikomi zacznie być chwalone w pieśniach, Cocru uzna jej czyn za dowód, że Amu zdradziło rebelię, układając się z Xaną. Müning, to piękne i kruche miasto, może jeszcze spłonąć w ogniu gniewu Maty.

„Uwodzicielka wygrywa raczej przebiegłością niż siłą, nierządnicą dierży swą cielesność jak czarownik magiczną laskę, a ktoś traktowany jak błyskotka może zdecydować się wystawić na pokaz, by poderwać serca i umysły tysięcy ludzi, czyniąc z nich niepokonaną siłę”.

Marana liczył na jej próżność, na jej pragnienie zostania bohaterką dla swojego ludu, pragnienie bycia zapamiętaną za poświęcenie, na jakie się zdobyła. Jednak ta chwala przyniesie niekończący się konflikt między Cocru i Amu, a także zgubę Pięknej Wyspy.

Istniał tylko jeden sposób, żeby zniweczyć ten plan: powinna zniszczyć pamięć o sobie, by zapewnić przetrwanie swojemu ludowi.

Kiedy ciało Phina przestało się ruszać, Kikomi zaczęła krzyczeć:

– Zabiłam marszałka Cocru! Och, Kindo Marana, wiedz, że zrobiłam to z miłości do ciebie.

W korytarzu rozległy się odgłosy ciężkich kroków i brzęk mieczy. Kikomi podeszła chwiejnym krokiem do miejsca, gdzie leżał Phin, i usiadła.

– Marana, mój Marana! Wolę być twoją niewolnicą niż księżniczką Amu!

„Zabiją mnie – pomyślała. – Zaszlachtują jako dziwkę marszałka Xany, głupią dziewczuchę, która dała się tak oślepić miłości, że zdradziła rebelię i swój lud. I właśnie tak mnie zapamiętają. Jednak Amu będzie bezpieczne”.

Krzyczała, dopóki nie uciszyli jej ostrzami mieczy.



– Naprawdę mi przykro, siostrzyczko...

Chociaż sokoły Mingén od czasu do czasu pojawiały się na każdej z wysp Dary, od tamtej pory nie zbliżały się do Arulugi, domu Tututiki, najmłodszej spośród bogiń i bogów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

PLAN LUANA ZYI

ZUDI: DZIESIĄTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Po złożeniu kondolencji Féso Garu Luan Zya zatrzymał się w sali pogrzebowej, żeby pomodlić się za duszę zmarłej i zapalić świeczkę.

Jechał bez przerwy z Haanu do Çaruzy, a później do Zudi. Przez większość podróży, kiedy znajdował się na terytorium cesarstwa, musiał podróżować nocą i chować się za dnia, żeby nie natknąć się na szpiegów. Po tak wielu dniach spędzonych w siodle jego i tak dość mizerne ciało jeszcze wychudło, a szata pokryła się grubą warstwą błota i kurzu. Jednak jego oczy błyszcząły od ekscytacji jak nigdy.



Po śmierci Naré serce Féso wreszcie zmiękło i mężczyzna cofnął zakaz wstępu do swojego domu dla Kuniego.

Kuni Garu wstał, gdy Luan Zya wszedł do jego pokoju. Był ubrany cały na białą, na twarzy miał popiół, a na ramionach udrapowany szorstki wór. Jego oczy były zaczerwienione, wzrok zmęczony. Mężczyźni uściskali się na przywitanie i przez chwilę milczeli.

Luan przyjął pozycję *mipa rari*, prostując plecy i zginając nogi w kolanach.

– Miłość matki jest najsilniejszą nicią w gobelinie życia. Moje serce bije w rytmie twojego żalu.

Zamiast równie kwiecistym zwrotem, jak zrobiłaby większość wykształconych ludzi, książę odpowiedział prosto:

– Byłem wielkim rozczarowaniem dla mojej matki. Mimo to mnie kochała.

– Zawsze myślałem, że przyjemność, jaką czerpią rodzice z posiadania potomstwa, podobna jest do przyjemności, jaką czuje człowiek, wypuszczając dzikiego ptaka. Pozwolę sobie zgadywać, że pani Garu miała mnóstwo radości, nawet jeśli niewiele zdążyła zobaczyć z twojego dalekiego lotu.

Kuni Garu pochylił głowę.

– Dziękuję.

– Panie Garu, nie znamy się zbyt dobrze, a jednak w ciągu ostatnich miesięcy często o tobie myślałem. Wierzę, że jesteś jednym z niewielu, którzy pewnego dnia przemaszerują przez świat jak kolos i napiją się z bogami.

Kuni zaśmiał się cicho.

– Nawet w czasie żałoby cieszą mnie takie komplementy. Jakże dziwnym stworzeniem jest człowiek.

– Nie przyjechałem cię komplementować, panie Garu, lecz złożyć ci pewną propozycję.



Luan Zya prowadził w Haanie sekretną misję, mającą na celu zwerbowanie porywczych młodych mężczyzn, gotowych ryzykować życie i sabotować cesarstwo w samym jego sercu. Była to ciężka i mało obiecująca praca, jednak Luan podjął się jej bez słowa skargi. Jeśli człowiek kochał swoją ojczyznę dość mocno, nawet cień nadziei był wart zaangażowania, wbrew zdroworozsądkowym kalkulacjom i ostrożności.

Jednak pewnej nocy obudził go szelest papieru. Kiedy się podniósł, zobaczył w blasku gwiazd, że kartki *Gitré Üthu*, książki otrzymanej od rybaka, same się przewracają.

Podniósł się z łóżka i usiadł przy biurku, a wtedy przekonał się, że księga otworzyła się na sekcji, której nigdy wcześniej nie widział. Powoli puste kartki wypełniały się nowym krajobrazem słów i obrazów.

Znajdowała się tam mapa wysp Dary, wypełniona maleńkimi czarnymi i białymi symbolami, w których rozpoznał symbole armii cesarstwa i sił rebeliantów. Pod mapą zaczynał się długi traktat.

Luan czytał. Słońce wstało i zaszło raz jeszcze, a on dalej czytał, zapominając o głodzie i pragnieniu.

Trzy dni później wstał, zamknął księgę i się roześmiał.

Gitré Üthu po prostu pokazała mu to, czego nauczył się w czasie długich podróży po Wyspach. Zupełnie jakby jego umysł rozlał się na stronach, jednak w usystematyzowanej i jednolitej formie. Nowe spojrzenie na to, co już wiedział, podsunęło mu pewien pomysł. Całe jego życie, jak zdał sobie właśnie sprawę, było wstępem do tego momentu.

Nadszedł czas, żeby spełnił obietnicę złożoną ojcu.



Luan Zya najpierw przedstawił swój plan królowi Cosugi.

– Jestem już stary, Luanie. Takie ryzyko jest dla ludzi, którzy widzieli jeszcze zbyt mało świata, by stracić wiarę w siebie. Mnie wystarczy rola gościa króla Thufiego. Niech inni dokonują tych wspaniałych czynów, o których marzysz.

Następnie udał się do Maty Zyndu, który przebywał w Nasu na półwyspie Maji. Jednak generał, wciąż oplakujący śmierć wuja i księżniczki Kikomi, nie przyjmował żadnych gości, więc Luanowi nie udało się z nim porozmawiać.

Kuni Garu był jego ostatnią nadzieją. Nie był wspaniałym wojownikiem, a do tego przyszedł na świat jako zwykły plebejusz, jednak Luan Zya czuł, że coś się porusza niespokojnie w głębi serca tego człowieka – jakaś chęć, by dać się przekonać do podjęcia ryzyka.



– Król Thufi obiecał uczynić tego, kto pierwszy pojmie cesarza Erishiego, władcą nowego królestwa Tiro.

Kuni pokiwał głową. Myślał o Macie Zyndu. Jeśli ktoś miał dość odwagi i siły, by pomaszerować na Pan, to właśnie jego przyjaciel.

– Tanno Namen, wyruszając na Wilczą Łapę, zostawił Pan z minimalnymi siłami obrony. Uznał, że wystarczy, by cesarska flota panowała nad rzeką Liru i cieśniną Amu, tak by on mógł skupić oddziały sojuszu na Wilczej Łapie.

– Namen ma rację. Nie mamy w zasadzie żadnej floty na zachodnim brzegu Wielkiej Wyspy.

– Flota to nie tylko statki.

Kuni spojrzał na niego pytająco.

Luan wyjaśnił mu swój plan w kilku ogólnych zdaniach, starając się nie poddawać emocjom. Musiał pokazać, że jest spokojny i opanowany, nawet jeśli jego propozycja zdawała się szalona. Skończył, mówiąc:

– Aby pokonać bandę złodziei, musisz pochwyć ich przywódcę. Aby zabić wielkiego pytona, musisz odciąć mu głowę.

Kuni siedział przez chwilę w ciszy.

– Odważny plan – powiedział w końcu. – I niezwykle ryzykowny.

Luan popatrzył mu w oczy.

– Panie Garu, musisz dokonać wyboru: czy poszybujesz wysoko jak sokół Mingén, chociaż może przynieść ci to śmierć, czy może spędzisz długie życie na wybieraniu ziaren ryżu rozsypanych przez kogoś innego?

Wyraz twarzy Kuniego się nie zmienił. Luan nie miał pojęcia, czy udało mu się rozpałić w nim ambicje. W jego kalkulacjach największą niewiadomą była właśnie reakcja Kuniego.

– Nawet jeśli osiągnę sukces, jak mam utrzymać pozycję w Niepokalanym Mieście? To jak walka igłą przeciwko mieczowi.

– Pan Zyndu, twój przyjaciel, z pewnością ci pomoże. Jednak dopiero później; ten plan nie zadziała, jeśli dowie się o nim więcej osób niż to konieczne.

– A potem obaj zostaniemy królami – powiedział Kuni. – Bracia w wojnie, bracia w rządzeniu.

Luan kiwnął głową.

– Będziecie równie dobrze dobrani co tutaj, w Zudi.

– O ile oczywiście plan się powiedzie – rzekł po chwili Kuni. – Proponujesz mi czysty hazard.

Luan liczył się z odmową. Chociaż Kuni był kiedyś hazardzistą, zdążył już wiele osiągnąć. A sukces ma to do siebie, że zmniejsza ochotę na podejmowanie ryzyka.

– Powiedz mi, co Lutho myśli o twoim planie?

Luan nie odwrócił wzroku.

– Mój ojciec był głównym augurem Lutho, a o mnie mówiono, że jestem mistrzem wróżbiarstwa. Jednak prawda jest taka, panie Garu, że woli bogów nie jesteśmy w stanie ocenić. Nigdy nie widziałem znaku, którego nie dałoby się interpretować na wiele sposobów. Zawsze wierzyłem, że bogowie są jak wiatr i fale, prądy wielkiej mocy,

z którymi płynąć mogą tylko ci najdzielniejsi.

Kuni uśmiechnął się do niego.

– Ignorant mógłby uznać takie słowa w ustach syna augura za bezbożne.

– Moje zdanie podziela wielu spośród tych, którzy długo studiowali w Haanie. To nie przypadek, że szkoły w Ginpen, chociaż małe, wypuściły w świat większą niż inne królestwa liczbę matematyków, filozofów i prawników: wolimy liczyć to, co policzalne.

– Przepraszam za udawanie zdziwienia – odparł Kuni. – To był sprawdzian. Gdybyś obiecał wstawiennictwo Lutho, wiedziałbym, żeby ci nie ufać.

Luan się roześmiał.

– Doskonały z ciebie aktor, panie Garu.

– Nauczyłem się tego w czasach, gdy moje życie wypełniały drobne przestępstwa i hazard. Zapewne wiesz, że wśród nas, hazardzistów, połowa modli się do Lutho, a połowa do Tazu. Wiesz dlaczego?

Luan nie wahał się przed udzieleniem odpowiedzi:

– Ci modlący się do Lutho wolą grę opartą na umiejętnościach, wierząc, że przy odpowiedniej wiedzy i kalkulacji przyszłość da się przewidzieć. Ci modlący się do Tazu wolą szczęśliwy traf, uważając świat za równie przypadkowy co ścieżkę boskiego wiru, a przyszłość ich zdaniem równie dobrze może przynieść radość co rozczarowanie.

– Ja zawsze modliłem się do obu – odparł Kuni. – Opowiedz mi jeszcze raz, Luanie, o swoim planie i wiedzy, która kryje się za tym szaleństwem.

Luan wytłumaczył swoje rozumowanie, rysując mapy, wyłuszczając szczegóły obliczeń i ruchów armii i porównując charaktery xańskich dowódców. Kuni słuchał z uwagą, od czasu do czasu zadając pytania.

Kiedy Luan skończył, spojrzał z przestrachem na stertę kartek, jaka się przed nim zebrała. Jego plan wydawał się nedorzecznym, niemożliwym do spełnienia marzeniem. Szanse powodzenia były tak niewielkie, że wręcz nieistniejące. Zmuszając Luana do przedstawienia szczegółów, Kuni zdołał mu pokazać, że błądzi.

– Przepraszam, że zmarnowałem twój czas – powiedział Luan i zaczął się pakować.

– Nawet w grach opartych na umiejętnościach – rzekł Kuni – nie ma gwarancji wygranej. Zawsze znajdzie się dół, którego nie da się przeskoczyć wiedzą. Nawet po przekalkulowaniu wszystkich możliwości wciąż musisz rzucić kością, wciąż musisz zawierzyć szczęściu.

Podmuch wiatru przyniósł na podwórze nasiona dmuchawca.

Kuni odwrócił się, żeby na nie spojrzeć. Żałował, że nie żuje właśnie ziół od żony, tak jak w górach Er-Mé albo w Zudi, gdy Mata był u jego boku. Tym razem musiał samodzielnie podjąć decyzję. „Czy to jest ten moment, na który czekałem całe życie? Czy to w tej chwili podmuch wiatru zabierze mnie z domu i poniesie w świat?”

– Zawsze obiecywałem sobie interesującą przygodę – powiedział z uśmiechem. – W życiu każdego człowieka powinno być nieco Tazu.

Potem poszedł pożegnać się z duchem swojej matki i przeprosić, że musi odejść przed czasem.



Dafiro Miro ziewnął. Na drodze prowadzącej poza bramy miasta wciąż było zimno i ciemno. Spojrzał na gwiazdy i westchnął.

Nie miał pojęcia, dokąd się teraz udają, wiedział za to, że czekają ich dni szybkiego marszu i noce snu na twardej ziemi. Wielcy panowie nigdy nie mówili zwykłym żołnierzom, co się dzieje, a Dafiro przyzwyczał się, że ganiają go z miejsca na miejsce bez wyjaśnień. Zauważył jednak, że nie wysłano posłańców do Çaruzy i króla Thufiego – zadbał o dobre relacje z kurierami, wiedząc, że są jak czułki u owada: pierwsi wiedzą wszystko, o czym warto wiedzieć. Dziwne. Cokolwiek planował księżę Garu, miało pozostać tajemnicą dla króla Thufiego, generała Zyndu i całej reszty.

W mieście dowodzić miał Dosa, tymczasem wszyscy inni doradcy księcia ruszyli w drogę. Zatem szykowało się coś poważnego.

Życie Dafiro kręciło się wokół jedzenia, żołądka i zabijania zbyt długo trwającej nudy, którą od czasu do czasu przerywały krótkie epizody przerażenia i ogromnego wysiłku. Wojna nie służyła nikomu prócz tych u sterów.

Mimo to, jeśli już ktoś miał zostać żołnierzem, dobrze było służyć u księcia Garu. Naprawdę starał się nie ryzykować niepotrzebnie życiem swoich ludzi, co w oczach Dafiro czyniło go lepszym człowiekiem niż generał Zyndu. Rat miał obsesję na punkcie aroganckiej odwagi i bohaterskich czynów generała, jednak Dafiro widział, że Zyndu miał w nosie śmierć. Nie bał się niczego, a to nie była cnota, przynajmniej w ocenie Dafiro.

Pięciuset żołnierzy piechoty maszerowało drogą, udając karawanę kupiecką. Zawsze kierowali się na południowy zachód. Księżę Garu jechał na koniu na samym przodzie i tylko bogowie wiedzieli, gdzie znajdował się ich cel.



Dotarli do miasta portowego Canfin. Nowy doradca księcia Garu, tajemniczy Luan Zya, udał się sam w kierunku doków, podczas gdy pozostali rozbili obóz tuż za granicami miasta.

Dafiro patrzył na mury i myślał o tym, jak dziwnie wszystko się układa. Ponad rok temu razem z bratem mieli tutaj wsiąść na pokład statku płynącego do Pan, gdzie spodziewali się łańcuchów, biczy i niekończącego się znoju przy budowie Mauzoleum cesarza Mapidérégo. Nigdy jednak nie dotarli do Canfin, ponieważ ich kapitanowie, Huno Krima i Zopa Shigin, na zawsze zmienili ich życie.

I proszę, wreszcie tu przybył. Tylko dokąd teraz zmierzali?

Cesarska flota dręczyła wszystkie statki, jakie pływały po rzece, więc niewiele ich wyruszało w rejs. Jednak odpowiednia suma pieniędzy każdego przekona do podjęcia nawet takiego ryzyka. Luan Zya pokazał marynarzom w dokach bardzo dużo pieniędzy.

Ludzie księcia Garu weszli w nocy na pokład trzech statków kupieckich. Dafiro zaszył się w ciemnym magazynie i próbował zasnąć. Upchano ich dość ciasno, jak suszone ryby albo ubrania, zaś kołysanie się statku wielu z nich przyprawiło o mdłości, więc wszędzie śmierdziało wymiocinami.

Kiedy już wypłynęli na morze, mogli partiami wychodzić na pokład, by pooddychać

świeżym powietrzem. Dafiro próbował zgadnąć, dokąd się kierują, patrząc na słońce, gwiazdy i księżyc. W zasięgu wzroku nie znajdował się żaden ląd, więc najwyraźniej trzymali się z dala od brzegu. Czyżby płynęli do dzikiej Écofi, gdzie słonie przechadzały się po morzu trawy, a większość terenu pozostawała niezamieszкана? Czy książę Garu chciał założyć nową osadę? Dafiro nigdy wcześniej nie opuszczał Wielkiej Wyspy i zastanawiał się, co mógłby znaleźć na Écofi.

Jednak słońce wciąż pozostawało po prawej stronie statku, gdy płynęli na południe.



– Ziemia na horyzoncie!

Dafiro popatrzył na ciemne drzewa rosnące na brzegu, dziką puszcę, której nigdy nie trzeba było, by pozyskać drewno na statki, domy, maszyny oblężnicze i pałace.

Przy płynięciu do Tan Adü, ziemi dzikich kanibali. Dafiro złapał za rękojeść miecza. Dlaczego książę Garu ich tu przyprowadził? To nie było dobre miejsce dla cywilizowanych ludzi. Przez lata różne królestwa Tiro niezliczoną ilość razy próbowały podbić tę wyspę, jednak nigdy się to nie udało.

Statki zrzuciły kotwice w płytkiej zatoce, a ludzie popłynęli na brzeg na małych łódkach. Następnie statki podniosły kotwice i odpłynęły, zostawiając księcia Garu i jego towarzyszy w zupełnej dzicz.

Zmierzchało i Cogo Yelu oraz Mün Çakri kazali żołnierzom rozbić obóz na plaży. Luan Zya udał się na sam brzeg obozu i wziął mały lampion. Uzupełnił wiszący woreczek na paliwo suchą trawą, podpalił i puścił. Kiedy pomarańczowa kropka odpłynęła w ciemne niebo, powiódł za nią wzrokiem, dopóki nie zniknęła między gwiazdami.

Później zaczął zawodzić w ten sam sposób co wiele lat temu, kiedy próbował zabić cesarza Mapidérégo, a jego głos, przywodzący na myśl wycie wilka, niósł się z wiatrem w głąb ciemnego lasu.

Dafiro zadrżał.



Nad ranem obóz otoczyły setki ciemnoskórych i jasnowłosych wojowników Tan Adü. Z napiętymi łukami i uniesionymi włóczniami patrzyli beznamiętnie na cocruskich żołnierzy.

– Rzućcie broń! – krzyknął Luan Zya na zdenerwowanych ludzi. – Podnieście ręce do góry.

Żołnierze zawahali się, jednak książę Garu powtórzył rozkaz. Dafiro niechętnie odłożył miecz i uniosł ręce. Popatrzył na wyglądających groźnie Adüanów. Ich nagie ciała i misterne tatuaże – nawet na twarzach, przez co trudno było odczytać ich wyraz – przerażały go. Przypomniał sobie wszystkie historie, które słyszał na temat tych ludzi. Nie jadł jeszcze śniadania – i z całą pewnością nie chciał stać się czymś śniadaniem.

Tubylcy rozstąpili się, by utworzyć przejście, a wtedy przeszedł między nimi stary

wojownik, który miał tak wiele tatuaży, że pokrywały większą część jego skóry.

Popatrzył na księcia Garu i jego doradców, a potem kolejno na żołnierzy. Zatrzymał się, gdy jego wzrok padł na Luana. Wytatuowane linie na jego twarzy poruszyły się i zadrżały, a mężczyzna pokazał białe zęby. Dafiro z zaskoczeniem zauważył, że wojownik się uśmiecha.

– *Toru-noki, xindi shu’ulu akiia skulodoro, nomi nomi* – powiedział.

– *Nomi, nomi-uya, Kyzen-to* – odparł Luan Zya, również się uśmiechając.

Potem obaj ruszyli do przodu, dotknęli się czołami i złapali nawzajem za ramiona.



Kiedy wódz Kyzen negocjował z Luanem Zyą i Kunim Garu, ludzie z Cocru i Tan Adü próbowali się nawzajem poznać.

Mün Çakri zaprosił jednego z większych Adüanów, Domudina, do walki. Wszyscy zebrali się wkoło i położyli na ziemi drobiazgi będące walutą w zakładach. Było co oglądać. Domudin ważył więcej od Müna o dobre dwadzieścia kilogramów, ale lata siłowania się ze świniami w błocie sprawiły, że Mün miał lepsze umiejętności. Kiedy wreszcie przyspilił przeciwnika do ziemi, a Domudin położył swe wielkie dłonie na piasku w geście poddania się, obie strony wiwatowały. Mün pomógł Domudinowi wstać, a wszyscy wkoło podawali sobie orzechy kokosa pełne lambanogu.

Dafiro wygrał woreczek ze skóry rekina, który przyczepił sobie do pasa. Zrobiło mu się jednak żal człowieka, który go utracił, więc dał mu dwie miedziane monety. Mężczyzna ten, którego imię brzmiało jak „Huluwen”, kiwnął głową i się uśmiechnął. Dafiro próbował go namówić, żeby wyjaśnił mu znaczenie tatuaży, więc tamten zaczął rysować na piasku.

„Ach, to wszystko przez kobiety”, pomyślał Dafiro, patrząc na rysunki Huluwena. Wziął patyk i zaczął rysować sylwetkę dziewczyny, podkreślając zaokrąglone kształty piersi i bioder. Inni podeszli podziwiać artyzm Dafiro, a ten upajał się poświęcaną mu uwagą. „Jak na bandę kanibali nie są tacy źli”.

Zbliżała się pora obiadowa, więc do obozu przyszły kobiety Adüanów, żeby przygotować posiłek. Książę Garu upominał żołnierzy, by zachowywali się przyzwoicie, więc teraz patrzyli na przybyszki, równie wytatuowane jak mężczyźni, nie wykonując przy tym żadnych gestów ani nie wydając dźwięków. Dafiro nagle przypomniał sobie swój rysunek i z ulgą zauważył, że Huluwen zdążył już dyskretnie wszystko zetrzeć. Spojrzeli po sobie i roześmiali się.

Zjedli pieczone dzikie kolokazje. Zjedli mięso dzika owinięte w liście bananowca i pieczone pod ziemią na rozgrzanych kamieniach. Zjedli jaja dzikich ptaków i mięso rekinów oraz wielorybów. Niewiele w tym było przypraw poza solą morską, jednak jedzenie było świeże, dziwne i pyszne. I wszyscy pili dużo lambanogu.

Po posiłku, gdy Adüanie tańczyli razem z pijanymi żołnierzami, Mün Çakri odciągnął Dafiro na bok.

– Jesteś dobrym pływakiem, kolego?

Dafiro kiwnął głową. Razem z bratem spędzili wiele godzin w rzeczce przecinającej ich wioskę, a czasami na leniwe miesiące po zniwach zatrudniali się u rybaków łowiących

przy brzegu Cocru. Wiedział, jak poruszać się w wodzie.

– Świetnie. Ja i książę Garu zdecydowanie wolimy stały ląd. Chciałbym, żebyś jutro trzymał się blisko księcia i miał na niego oko.

– Wyruszamy na morze?

Mün kiwnął głową, jego oczy radośnie błyszczały.

– Pojutrze będziesz miał niesamowite historie do opowiadania.



– Czyli chcecie obalić tego tyrana, wodza wszystkich wysp?

Kuni kiwnął głową.

– I sam zostaniesz wodzem wszystkich wysp?

Kuni się uśmiechnął.

– Raczej nie. Mieszkańcy Dary kochają wolność i nie chcą, żeby rządził nimi wódz wszystkich wysp. Zamiast tego będziemy mieli znowu kilku wodzów, a ja być może zostanę jednym z nich.

– Rozumiem. Na Tan Adü też jest wiele plemion i bynajmniej nie chcemy, by rządził nimi jeden wódz. – Kyzen zmrużył oczy. – Ale czy kochacie wolność? To dziwne, skoro ludzie Dary kochają z nami walczyć i zmuszać do takiego życia jak wasze.

– Nie wszyscy mieszkańcy Dary myślą w ten sam sposób, tak jak nie wszystkie ryby płyną w tym samym kierunku.

Kyzen chrząknął.

– Co zaoferujesz w zamian za pomoc?

– A czego chcieliby Adüanie?

– Jeśli zostaniesz jednym z wodzów, możesz obiecać razem z pozostałymi zostawić nas w spokoju na zawsze? Zabronić ludziom Dary podróżować do Tan Adü?

Kuni Garu zastanowił się nad tymi słowami. Przez lata marzenie o podboju Tan Adü wciąż pozostawało żywe. Wszyscy królowie i książęta Cocru, Amu i Ganu próbowali, w takim czy innym okresie, opanować te ziemie. Nawet cesarz Mapidéré wysłał dwie ekspedycje, chociaż nic to nie dało. Kuni rozumiał, dlaczego Adüanie mieli tego dosyć.

Luan Zya powiedział mu, że król Sanfé z Cocru, pradziadek króla Thufiego, wysłał tu kiedyś armię dziesięciu tysięcy żołnierzy. Cocruskie wojsko zdołało zabezpieczyć kolonię o powierzchni mniej więcej stu trzydziestu kilometrów kwadratowych i próbowało nauczyć pojmanych Adüanów pisania, uprawy i tkania, w nadziei, że pokazując im zalety cywilizacji, skłonią ich do zaprzestania walki. Jednak Adüanie, chociaż zauważyli, że cocruskie metody i narzędzia pozwalają zdobyć więcej jedzenia, chronić się przed złą pogodą oraz przekazywać swoją mądrość następnym pokoleniom dokładniej niż za pomocą ustnych opowieści, odmówili ich stosowania, nawet gdy zmuszano ich do tego siłą. Tak bardzo cenili swoją wolność.

– Mogę to obiecać, ale to nie będzie miało wielkiego znaczenia.

Twarz wodza stężała.

– Twierdzisz, że twoje słowo nie jest nic warte?

– Jeśli zostanę wodzem i będę mógł wydawać dekrety, mogę spróbować przekonać

innych wodzów, żeby zrobili to samo. Nie mogę się jednak spodziewać, że wszyscy będą przestrzegać takiego dekretu, chyba że wsadzę ich do więzienia. Dopóki Tan Adü istnieje, dopóty mieszkańcy Dary będą chcieli tu przy płynąć. Nie mogę wymazać z ich serc chęci zobaczenia tego, czego jeszcze nie widzieli.

– W takim razie rozmowa z tobą jest bezużyteczna.

– Wodzu Kyzen, łatwo byłoby mi skłamać i powiedzieć, co chcesz usłyszeć, jednak nie zrobię tego. Czy możesz mnie zapewnić, że żaden chłopiec z waszej wyspy nigdy nie zastanawiał się, jak by to było mieszkać w Darze? Ubierać się w szaty z delikatnych materiałów, jeść z porcelanowych naczyń, zabiegać o względy kobiet, jakich nigdy wcześniej nie widział? Czy możesz przyrzec, że żadna dziewczyna nie wyobrażała sobie, jak by to było zostać kobietą Dary? Zakładać jedwab i farbowaną bawełnę, śpiewać i pisać poezję, wyjść za mężczyznę innej rasy, innej narodowości?

– Nie ma takich bzdur w sercach naszych dzieci.

– Czyli w ogóle nie znasz swoich ludzi, wodzu Kyzen. Młodzi często pragną tego, czym starzy gardzą i czego się boją. Nie można im zabrać chęci poznania czegoś nowego, czegoś innego, czego cień pojawia się w opowieściach i legendach. Chyba że zamroziś ich serca i uwięzisz umysły. A jednak twierdzisz, że chcesz, by pozostali wolni.

Wódz Kyzen prychnął, słysząc te słowa, jednak Kuni widział w jego oczach zrozumienie.

– Nie mogę powstrzymać kupców przed pojawianiem się na waszym brzegu; oni dla zysku zaryzykują wszystko. Nie mogę powstrzymać ludzi przed podróżowaniem w te strony, jeśli wierzą, że dla zobaczenia czegoś, czego w Darze nigdy nie zobaczą, warto to zrobić. Nie mogę też powstrzymać kapłanów, jeśli uważają, że pokazanie wam, co jest sprawiedliwe i cnotliwe, należy do ich obowiązków. Mogę za to przyrzec, że jeśli zostanę jednym z wodzów, nie pozwolę swoim ludziom podróżować tu zbrojnie. I zrobię wszystko, by zniechęcić do tego także innych wodzów. Jeśli mieszkańcy Dary tu przybędą, ich celem będzie przekonywanie, a nie zmuszanie. I dopóki ich nie skrzywdzicie, żadna armia nie pojawi się tu, by ich bronić lub pomścić.

– Ta pokojowa inwazja waszych kupców i kapłanów może przynieść znacznie większe szkody niż miecze. Wasze bogactwa, odmienne zwyczaje i fantastyczne rzeczy mogą się okazać zbyt kuszące dla tych, którzy są zbyt młodzi, by pojąć łączące się z nimi niebezpieczeństwo. Jeśli wasi ludzie zatrują serca naszej młodzieży, będziemy zgubieni. Jak sam mówiłeś, młodzi często pragną tego, co im szkodzi, ponieważ brakuje im doświadczenia. Jako chłopiec miałem wiele myśli, które teraz przeklinam, i wiele pragnień, których się wstydzę.

– Jeśli wolność i styl życia, który tak cenisz, są warte tej miłości, zdobędziesz serca młodych znacznie łatwiej niż przybysze z Dary. Jednak musisz pozwolić im dokonać samodzielnego wyboru. Muszą sami zdecydować, że chcą być jak wy. To jedyna nadzieja dla Tan Adü.

Wódz Kyzen wypił duszkiem swój lambanóg, a potem rzucił kokosową czarękę i roześmiał się.

– Łatwiej byłoby po prostu mnie okłamać, Kuni Garu. A gdybyś obiecał mi dokładnie to, o co prosiłem, wiedziałbym, że nie jesteś wart, żeby ci pomagać.

„Sprawdzian”. Kuni zerknął na Luana i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Kiedy Luan poszedł już spać, Kuni Garu i wódz Kyzen nadal pili, mimo późnej pory, a każdemu oczy błyszczały pewnością, że znalazł pokrewną duszę.



Wyruszyli w morze wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca.

Długie kanu, wyrzeźbione z pojedynczego pnia drzewa, były zaskakująco stabilne i mieściły po trzydziestu ludzi. Dafiro ledwo się zdążył obudzić i bardzo się zdziwił. Czyżby zamierzali dopłynąć w tych łódkach aż do Wielkiej Wyspy?

Po dwóch godzinach rytmicznego wiosłowania niebo na wschodzie przybrało białą barwę brzucha ryby. Wódz Kyzen podniósł rękę i kanu zatrzymały się. W oczach cocruskich żołnierzy ta część morza wyglądała jak każda inna.

Wódz wyjął długą trąbkę z kości wieloryba i włożył jej czarę pod powierzchnię wody. Następnie w nią zadął, a trąbka wydobyła z siebie zaskakująco głośny dźwięk, który dało się wyczuć przez kadłub kanu. Melodia przypominała wielorybią pieśń, pełną żalu i majestatu. Kilku Adüanów zaczęło uderzać rytmicznie wiosłami o powierzchnię morza.

Gdy słońce wyszło nad horyzont, wielki czarny cień o kształcie gładkiego czółenka, tak lubianego przez gańskie prządki, wynurzył się z wody jakąś milę na wschód, nakreślił łuk na tle słońca i wpadł z powrotem do wody. Chwilę później do uszu wojowników w kanu dotarło potężne dudnienie.

Był to cruben, ogromny wieloryb pokryty łuskami i obdarzony pojedynczym rogiem, władca mórz: długi na sześćdziesiąt metrów i tak wielki dla słonia jak słoń dla myszy. Jego oczy były tak ciemne, że wsysały całe światło niczym głębokie studnie, a kiedy to wspaniałe stworzenie wypuszczało powietrze przez nozdrza, fontanna sięgała trzydziestu metrów.

W pobliże kanu przypląnęły kolejne crubeny: jeden, dwa, pięć, dziesięć. Łódki kołysały się, a Adüanie walczyli, by utrzymać je na powierzchni.

– Widzę, że nasze statki są już gotowe – powiedział Mün Çakri, a Dafiro zdał sobie sprawę, że już jakiś czas temu opadła mu szczęka.



Adüanie płynęli w swoich kanu zaraz obok wielkich ruchomych wysp pokrytych błyszczącą łuską. Ludzie księcia Garu byli zbyt zszokowani, żeby mówić, i siedzieli bardzo spokojnie.

Kiedy Adüanie wspięli się na grzbiety ogromnych stworzeń i przypięli do łusek siodła, a do powiek nad wielkimi oczami przyczepili wodze, Mün wytłumaczył Dafiro, czego dowiedział się od Luana.

Adüanie wierzyli, że crubeny są równie inteligentne co ludzie, jednak ich długie życie, spędzane w bezkresnych morzach zamiast na maleńkich wysepkach, w niczym nie przypomina życia człowieka. Crubeny miały własną cywilizację, nieustępującą w niczym królestwom Tiro, jednak ich zmartwienia były zupełnie obce ludzkim umysłom,

a wrażliwość nieznaną ludzkiemu sercu. Mieszkańcy Dary, podziwiając fizyczne atrybuty crubenów, robili to z oddalenia, tymczasem Adüanie przez ponad setkę pokoleń nauczyli się z nimi porozumiewać.

Poprosili crubeny o małą przysługę dla swego przyjaciela, Kuniego Garu. Olbrzymy zastanowiły się i przystały na tę propozycję. Nie chciały żadnej nagrody. Co mieliby im dać ludzkie? Niczego nie potrzebowały. Postanowiły zrobić to dla własnej przyjemności.

Zanim Dafiro wspiał się na głowę crubena płynącego na przodzie, podał swój miecz Huluwenowi, który płynął w kanu wraz z nim.

– Jeśli nie przeżyję dzisiejszego dnia, będzie należał do ciebie – powiedział, mając nadzieję, że Adüanin go rozumie.

Huluwen złapał za rękojeść, zbadał ciężar broni i podał Dafiro swoją maczugę, w której grubszym końcu tkwiły ostre kawałki kości i kamieni. Przywodziła na myśl Goremawa, pałkę Maty Zyndu.

Dafiro ścisnął maczugę w dłoni i żałował, że jego brat nie widzi tego wszystkiego. Rat nie uwierzy w opowieść brata, jednak maczuga pozwoli jej dowieść przynajmniej częściowo.

– Nazwę cię Kąsicielem – powiedział Daf. Cóż, nie była to szlachetna nazwa pochodząca z klasycznego ano, jednak i tak w tamtej chwili Dafiro czuł się jak bohater z legend.



Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że śni, gryzł się w język, a ból rozwiewał jego wątpliwości. Za każdym razem, kiedy był pewien, że nie śni, rozglądał się i obrazy, które widział, wydawały mu się niemożliwe.

Przed sobą widział sześciometrowy róg, niczym bukszpryt wielkiego statku wojkowego. Był tak gruby u podstawy, że dwóm mężczyznom nie starczyłoby rąk, żeby go objąć. Czubek zaś był bardziej ostry niż czubek miecza i groził zniszczeniem wszystkiego, co stało na jego drodze.

Wysokie fale uderzały o róg i obrośnięte pąklą czoło poniżej, zmieniając się w gęstą mgłę, która moczyła ubrania Dafiro i czasami nie pozwalała otworzyć oczu. Gdzie nie spojrział, promienie słońca malowały w słonych kropelkach wspaniałe tęcze.

Fale rozstępowały się przed crubenem, a Dafiro ze swojego miejsca prawie ich nie zauważał. Czuł tylko delikatny i powolny falujący ruch ogromnej masy płynącego pod nim ciała – ciężkiego, silnego, składającego się z czterystu ton mięśni i ścięgien.

Siedział w siodle przyczepionym do dwóch łusek, z których każda mierzyła trzydzieści centymetrów. Łuski miały granatowy kolor i błyszczały jak skropiony deszczem obsydian, jak niebo tuż po zmierzchu. Pokrywały całe ciało crubena, od głowy z rogiem do znajdującego się sześćdziesiąt metrów dalej ogona, składającego się z dwóch szerokich na piętnaście metrów płetw. Te wynurzały się z wody i zaraz uderzały w nią z powrotem, wydając przy tym rumor jak tsunami.

Za Dafiro, w innym siodle, siedział książę Garu. Również był cały mokry i mocno trzymał się chłopaka, żeby nie spaść. Chociaż Daf wyczuwał strach w mocnym uścisku

Kuniego, to gdy się obracał, dostrzegł na jego twarzy największy uśmiech, jaki kiedykolwiek u niego widział.

– Nie cieszysz się, że przypłynąłeś tu z nami? – krzyknął Kuni, kiedy zobaczył, że Dafiro odwraca się w jego stronę.

Dafiro kiwnął głową i raz jeszcze ugryzł się w język, żeby mieć pewność, że nie śni.

Płynęli na grzbiecie crubena, a wokół siebie widzieli jeszcze dwadzieścia innych. Oddziały księcia Garu zmierzały do cieśniny Amu na grzbietach władców mórz.

Poruszali się szybciej niż najszybszy statek, niż najszybszy sterowiec, niż cokolwiek stworzonego przez człowieka.



Kiedy flota crubenów zbliżała się do cieśniny Amu, jeźdźcy podnieśli czerwone cocruskie flagi z dwoma krukami.

W oczach patrolujących te wody cesarskich marynarzy musiała być to scena z mitów, legend, miraży. Wspaniały cruben był symbolem princepsa albo cesarza, a jednak dosiadali go cocruscy żołnierze. Niemożliwe. To się nie mogło wydarzyć.

Jeden z cesarskich statków zbyt wolno usuwał się z drogi i cruben postanowił staranować go swoim rogiem. Twarde drewno kadłuba i dębowe maszty łamały się jak gałązki, na które nadepnął olbrzym, a ludzie zostali wyrzuceni w powietrze, gdy pokład pod ich nogami eksplodował milionem drzazg.



Crubeny podpłynęły do Rui, jednej z xańskich wysp. Zebrały się blisko brzegu, powoli okrążając wyspę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Ludzie na ich grzbietach machali flagami Cocru i krzyczeli, że cesarstwo upadło, a Mata Zyndu wkroczył już do Niepokalanego Miasta i właśnie podpala pałac. Książę Garu przybył zaś, by skłonić Rui do poddania się, a kto odmówi, zginie zabity przez władców mórz.

Mieszkańcy Rui stali i patrzyli oniemiałymi na crubeny i cocruskich żołnierzy. Nikt nigdy wcześniej nie słyszał o ludziach dosiadających te wspaniałe zwierzęta, a co dopiero zobaczył to na własne oczy. Z pewnością był to znak, że bogowie są po stronie rebeliantów.

Xańscy żołnierze nie zbliżyli się do crubenów, gdy te podpłynęły do brzegu, by jeźdźcy mogli bezpiecznie zejść na ląd. Stali na baczność, gdy morskie olbrzymy wróciły do wody i odpłynęły. Odłożyli broń, kiedy książę Garu nie niepokojony ruszył ulicą, niosąc cocruską flagę czerwoną jak krew.

Kuni udał się do bazy powietrznej na górze Kiji. Inżynierowie i zarządcy przywarli do ziemi, witając zdobywcę Rui.

– Daleką przebyliśmy drogę – powiedział Luan Zya z uśmiechem na twarzy.

– Jeszcze kawałeczek – odparł Kuni, również z uśmiechem.

Potem pięciuset żołnierzy wzniosło się w powietrze na pokładzie dziesięciu sterowców, by udać się nad Wielką Wyspę, nad Pan.



Kiedy sterowce leciały nad polami i wioskami Haanu i Géfiki, ludzie zatrzymywali się, patrzyli w górę, a potem wracali do pracy. Marszałek Marana przygotowywał się do zmiżdżenia rebeliantów na Wilczej Łapie, a te nowe sterowce z pewnością wiozły ze sobą dodatkowe siły. Cesarstwo zatriumfuje, jak zresztą wszyscy się spodziewali.

Zbliżając się do Niepokalanego Miasta, sterowce zwolniły i zaczęły opuszczać się nad pałacem. Strażnicy popatrzyli na nie bez niepokoju. Czyżby cesarz postanowił, że przeleci się jednym z nich, by zostać świadkiem śmierci tysięcy rebeliantów?

Wylądowali na środku Wielkiego Placu, otwartej przestrzeni przed Wielką Salą Audiencyjną, gdzie przed cesarzem Erishim zbierali się strażnicy i gdzie czasem chłopiec bawił się, polując na koniu na zwierzęta, które wcześniej narkotyzowano, by wolniej się poruszały i były spokojniejsze.

– Zostaw ze mną dwudziestu ludzi – powiedział Luan. – Będziemy pilnować jednego ze sterowców. Jeśli nie zdobędziecie pałacu w ciągu godziny, wróćcie tutaj i uciekniemy.

– Zawsze przygotowujesz plan na wypadek porażki, nawet wtedy, gdy sukces jest w zasięgu ręki? – zapytał Kuni.

– Tak nakazuje rozsądek.

– Gdybyś nie brał pod uwagę możliwości porażki, być może twój zamach na cesarza Mapidérégo by się powiódł. Ponieważ planowałeś ucieczkę do Zudi, nie chciałeś nadto obciążać swojego latawca. Tymczasem mogłeś wziąć ze sobą więcej ładunków albo podlecieć bliżej przed ich wypuszczeniem.

Luan przystanął, ważąc te słowa.

– Czasami rozsądek nie jest cnotą – zauważył Kuni. – Jestem młodszy, ale wiele razy ryzykowałem i mogę ci powiedzieć, że Tazu daje więcej radości niż Lutho. Jeśli chcesz zagrać, będziesz się lepiej bawił, przed niczym się nie cofając.

Luan się roześmiał.

– W takim razie posłuchajmy dziś twej rady. Powalczę u twego boku i nikt nie zostanie w odwodzie.

Uzbrojeni żołnierze wyskoczyli ze sterowców i przypuścili szturm na pałac, z Kunim i Luanem na czele.

Luan poprowadził Kuniego i pozostałych z dala od głównego wejścia, gdzie znajdowały się drzwi z magnetytu. Mapidéré paranoicznie bał się zamachowców, jego wszyscy goście musieli być więc nieuzbrojeni. Gdyby ktoś przypadkiem wszedł do pałacu z bronią, magnetytowe drzwi wyszarpanełby ją z rąk. Luan wskazał drzwi boczne, zarezerwowane dla strażników i służących.

W Wielkiej Sali Audiencyjnej przebiegli po modelu Wysp, którego budowę Erishi nadzorował z takim oddaniem. Kiedy zmiżdżyli kruche rury, nie przywiązując do tego wielkiej wagi, niemal mimochodem, w drodze do innych części pałacu, wino trysnęło na posadzki.

Strażnicy pałacowi wreszcie się obudzili i pobiegli na Wielki Plac. Było już jednak za późno. Ogień płonął wszędzie, a w korytarzach rozbrzmiewały krzyki i zawodzenia umierających ministrów oraz służących.



Żeby efektywnie przeszukać ogromny pałac, Luan i Kuni podzielili żołnierzy między sobą. Luan miał się zająć zachodnią stroną, a Kuni wschodnią.

Dafiro Miro szedł krok w krok za księciem. Mün Çakri powiedział mu, że jego zadaniem jest ochrona księcia Garu. Pewnie, może i Mün miał na myśli, by Dafiro nie pozwolił mu spaść z grzbietu crubena, ponieważ księżę nie potrafił pływać, jednak Dafiro zamierzał potraktować te instrukcje bardzo dosłownie i nie opuszczać Garu nawet na chwilę.

Księżę nie chciał umrzeć, a inni z pewnością będą go próbowali ratować, gdyby coś poszło nie tak. „Dlatego też najbezpieczniej w czasie bitwy trzymać się księcia”, myślał Dafiro. Od zawsze był bardzo praktyczny.

Biegli korytarzami, badając każdy zakręt i dzieląc się na mniejsze grupy przy każdym rozwidleniu. Kuni pojmał służącego i kazał mu prowadzić. Dafiro i pozostali podpalali wszystko, co spotykali na swojej drodze. Chcieli stworzyć jak największy chaos i zamieszanie.

Po pewnym czasie dotarli na korytarz, który kończył się drzwiami ze złota. Kuni próbował je otworzyć, lecz okazały się zamknięte od wewnątrz. Dafiro i pozostali podnieśli ciężki kamienny posąg Kijiego, który znaleźli w jednym z zaułków, i zaczęli taranować nim drzwi.

Łup, łup, łup.

Słyszeli pełne strachu wrzaski i gorączkowe szepty. Ludzie znajdujący się w środku nie mieli jak uciec.

Łup, łup, łup.

Krzyki i ciężkie kroki odbijały się echem w korytarzu. Kuni i reszta odwrócili się i zobaczyli, że pędzi ku nim grupa strażników. Kilku żołnierzy puściło posąg, żeby powstrzymać napierających przeciwników, lecz Dafiro i księżę nadal próbowali wyważyć drzwi.

Strażników było wielu, zbyt wielu dla tej garstki żołnierzy, która została z Kunim. W dalszej części korytarza Mün Çakri, Than Carucono, Rin Coda i ich ludzie cięli przeciwników, próbując przedrzeć się do Garu. Niestety dzielił ich zbyt duży dystans.

Drzwi wreszcie puściły.

Kuni i Dafiro wpadli do dużej sypialni i zobaczyli na łóżku płaczącego chłopca, który próbował schować się pod pościelą. Miał na sobie jedwabną szatę z haftami przedstawiającymi śpiące crubeny.

Stary mężczyzna stał w nogach łóżka, a jego twarz wyrażała jednocześnie żal i triumf. Wystąpił naprzeciw mężczyznom, którzy wtargnęli do środka.

– Jestem Goran Pira, premier cesarstwa. Jeśli odłożycie broń i mnie posłuchacie...

Dafiro rozbił mu głowę jednym uderzeniem Kąsiciela. Nie mógł marnować czasu na kogoś stojącego mu na drodze do nagrody, nawet premiera. Zaraz pochwyci chłopca.

„Ten, który pojma cesarza Erishiego jako pierwszy, czy to arystokrata, czy chłop, zostanie mianowany władcą nowego królestwa Tiro, obejmującego najbogatsze ziemie Géfiki”. Usta Dafiro ułożyły się w uśmiech. Oczywiście nie spodziewał się, że zostanie królem, jednak z pewnością książę Garu wynagrodzi go za pomoc.

Jednak Kuni poruszał się jeszcze szybciej. Jednym susem skoczył na łóżko, przyciągnął do siebie chłopca i przystawił mu ostrze miecza do gardła.

– Nakaż strażnikom zaprzestania walki – powiedział i lekko drasnął szyję Erishiego. Po bladej skórze popłynęła cienka strużka krwi.

– Przestańcie! Przestańcie walczyć! – zawołał cesarz z płaczem; jego czerwoną twarz zmoczyły łzy i wydzielina z nosa.

Strażnicy zawahali się, nie wiedząc, co począć.

„Szkoda, że chłopiec nie leżał bliżej tej strony łóżka – pomyślał Dafiro. – Cóż, nie da się wygrać wyścigu z księciem. Jest zbyt cwany”.

– Rozwalę ci łeb jak temu głupiemu starcowi, jeśli nie przestaną. – Dafiro pomachał groźnie Kąsicielem.

Chłopiec był zbyt wystraszony, żeby mówić. W całym pokoju zapadła cisza.

Potem wszyscy usłyszeli odgłos kropli spadających na marmurową podłogę.

Pęcherz cesarza Erishiego nie wytrzymał.

Strażnicy opuścili broń.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

BITWA NA WILCZEJ ŁAPIE

WILCZA ŁAPA: DZIESIĄTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW
SZLACHETNEJ SIŁY

Wilcza Łapa znajdowała się po drugiej stronie kanału Kishi względem półwyspu Itanti. Północna i wschodnia część wyspy, wychodząca na bezkresny ocean, była zdominowana przez poszarpane klify, gdzie niełatwo było znaleźć bezpieczną przystań. Wybrzeża znajdujące się od strony zachodniej i południowej, wychodzące na kanał, opadały łagodnie do morza i tam znajdowało się wiele portów. To tutaj mieściło się serce dawnego Ganu, które oprócz Wilczej Łapy obejmowało też równiny i gęsto zaludnione miasta Gėjiry na Wielkiej Wyspie.

Najbardziej znaczącą częścią Wilczej Łapy była Toaza, stolica Ganu, zwana portem, który nigdy nie zasypiał. Schowane za południowym brzegiem wyspy i ogrzewane przez ciepłe prądy, wody Toazy nigdy nie zamarzały, nawet w czasie największych mrozów. To stąd nieustraszeni kupcy z Ganu wyruszali na wszystkie wyspy Dary, a stworzonej przez nich sieci handlu morskiego nie mogło się równać żadne inne królestwo Tiro. W każdym ważniejszym mieście portowym Dary dało się znaleźć kwatery pełne marynarzy i kupców mówiących z gańskim akcentem, który przez mędrców, z pogardą odnoszących się do pieniędzy, porównywany był do brzęku brudnych monet.

Kupcy z Ganu uśmiechali się i uznawali to za komplement. Niech Haan buja w obłokach i dalej filozofuje, niech Amu wdzięczy się i obnosi swoją wytwornością, a tymczasem mieszkańcy Ganu dobrze wiedzą, że prawdziwe bezpieczeństwo i władzę daje błysk złota.



Jednak przewóz towarów przez Kishi był ryzykownym przedsięwzięciem ze względu na boga Tazu.

Mówiło się, że Tazu pojawia się na świecie jako szeroki na piętnaście kilometrów wir wodny, który wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu, wsysa na samo dno morza. Wir wędrował w górę i w dół kanału jak wściekłe dziecko kręcące się w kółko po swoim pokoju. Nikt nigdy nie był w stanie odnaleźć prawidłowości w tym ruchu; wir był kapryśny jak wola Tazu, legendarnego łajdaka. Pojmane przezeń statki nie miały szans uciec, a przez lata niezliczona ich ilość, czasem obładowanych skarbami, czasem ludźmi, stała się ofiarą dla nieustannie głodnego boga.

Jedyne bezpieczne i dostępne przez cały rok szlaki wodne wiodące do Wilczej Łapy wymagały znacznego nadkładania drogi i podejścia do wyspy od południa. To oznaczało,

że większość portów na Wilczej Łapie, wyłączając Toazę, była bezużyteczna dla transportu dalekosiężnego, chociaż co odważniejsi, skuszeni wizją krótszych podróży i szybszego zysku, czasami ryzykowali przeprawę przez kanał, grając przeciwko Tazu. I czasami wygrywali.



Mata Zyndu siedział w swoim obozie w Nasu, na wschodnim brzegu półwyspu Maji, i dumał.

Zdrada Kikomi najpierw wzbudziła w nim wściekłość, a potem pozbawiła wszelkich uczuć. Przypominał teraz kanał Kishi po przejściu Tazu – spokojne lustro wody poznaczone pozostałościami statków, a niżej, w głębinach, śmierć.

Winił głupotę swoją i wuja. Dali się oszukać kobiecie oślepionej miłością.

Jak mogła się zbuntować przeciwko własnej szlachetnej krwi? Postępować wbrew powinności wobec ludu? Amu potrzebowało przywódcy, który dałby mu siłę niezbędną, by opierać się cesarstwu, a jednak ona bez słowa sprzeciwu popełniła zabójstwo dla Kindo Marany, ponieważ się w nim zakochała.

Kiedy Mata rozmyślał nad tym, co zrobiła Kikomi, drżał z wściekłości i wierzył, że mógłby ją udusić własnymi rękami, gdyby jeszcze żyła.

A jednak nie mógł zaprzeczyć, że nawet wiedząc o tym, jak fałszywe były jej słowa i uczucia, tęsknił za nią. Sięgnął głęboko do serca i wyciągnął stamtąd coś bardzo ważnego, by podarować to Kikomi. A ona podarła to na kawałki i rozrzuciła na wietrze, tak że przepadło na zawsze. Jednak nie chciał tego odzyskać. Chciał tylko móc dać jej to jeszcze raz. I jeszcze.

Jednocześnie czuł ogromne wyrzuty sumienia z powodu swego zachowania wobec wuja. Phin jako jedyny ocalały członek rodziny Maty był mu ojcem, którego nigdy nie miał. To przez niego Mata marzył o przeszłej chwale rodu Zyndu i dzięki niemu naśladował chwalebne czyny przodków. Phin Zyndu był świątynią, do której Mata zawsze się porównywał, to jego opinie o powinności i honorze cenił ponad wszystkie inne. Tylko on był łącznikiem Maty z przeszłością i zaufanym przewodnikiem w drodze w przyszłość.

A jednak przez Kikomi był gotów z nim walczyć, jak szaleniec albo plebejusz trawiony zazdrością. Wstyd ciążył Macie tak mocno, że nie miał sił podnieść głowy.

Pragnął się zrehabilitować poprzez walkę na polu bitwy, zmyć z siebie wstyd krwią i chwałą wojownika.

Po śmierci Phina stał się księciem Tunoi i ostatnim członkiem rodu Zyndu. Spodziewał się, że zostanie mianowany marszałkiem Cocru i obejmie dowództwo nad siłami na Wilczej Łapie. Jednak mijały dni i ani król Thufi, ani generał Roma, dowódca oddziałów na wyspie, nie wezwali go do siebie, by zaproponować mu funkcję pasującą do jego stanu.

Wciąż pozostawał jedynie dowódcą odwodu składającego się z dwóch tysięcy żołnierzy pozostających w Nasu. Jego zadaniem było czekanie, aż przyjdzie mu bronić rebeliantów po zarządzeniu odwrotu, gdyby nie udało im się odeprzeć ataku cesarstwa.

W jego oczach cisza ze strony Toazy i Çaruzy była jak potwarz, jak nagana. Smucił się, pił i dumał.

Théca Kimo, teraz pełniący obowiązki adiutanta, przychodził do niego co godzinę, żeby przekazać mu najnowsze raporty na temat sytuacji na Wilczej Łapie, lecz Mata prawie go nie słuchał.



Torulu Pering, taktyk i doradca rebeliantów, gdy tylko wszedł do sali audiencyjnej, od razu wiedział, że coś jest nie tak. Generał Pashi Roma, dowódca sił sojuszu na Wilczej Łapie, patrzył ze ściągniętymi brwiami na leżący na stoliku przed nim raport zwiadowców i nerwowo stukał palcami.

Pering postanowił od razu przejść do sedna.

– Złe wieści z wysp Ogé?

Roma podniósł wzrok.

– Bardzo złe.

– Ile straciliśmy statków?

– Prawie wszystkie. Tylko dwa wróciły do portu.

Pering westchnął ciężko. Roma wysłał flotę rebeliantów, żeby przechwycili armadę przy wyspach Ogé, archipelagu na północ od Wilczej Łapy, podobno utworzonego przez krople potu boga Rufizo. Pering od początku sprzeciwiał się temu planowi.

Jako stary nauczyciel klasyków, który zaimponował zarówno królowi Thufiemu, jak i Phinowi Zyndu swoją wiedzą na temat starych ksiąg o strategii wojskowej – większość z nich spalono na rozkaz cesarza Mapidérégo – właściwie rozpoczął swoją karierę jako kupiec kursujący między Wielką Wyspą a Wilczą Łapą. Znał morze i wyzwania, jakie stawia ludziom.

Roma, który dorosłe życie przepracował w armii cocruskiej sprzed Zjednoczenia, zajmując się logistyką, miał niewielkie doświadczenie w walce poza obroną samej Çaruzy. Dlatego wszystkie przedsięwzięcia wojskowe pojmował jako taką czy inną odmianę obrony miasta. Postrzegając wyspy Ogé jako odpowiednik bram do Wilczej Łapy, wierzył, że statki rebeliantów mogłyby się rozproszyć między małymi wysepkami, tym samym wprowadzając w błąd odnośnie do prawdziwych rozmiarów floty, by zaskoczyć armadę, zupełnie jak widok niechronionych bram miasta mógł skusić wroga, którego w konsekwencji czekał prysznic z kamieni i płonącej smoły.

Jednak Pering wiedział, że ukrywanie statków w niczym nie przypominało ukrywania ludzi. Bez wsparcia z powietrza nie dało się przeprowadzić zasadzki pod okiem cesarskich sterowców. Mimo to nie uważał, by był to odpowiedni moment na stwierdzenie: „A nie mówiłem?”.

– W tej chwili armada opływa wschodni brzeg Wilczej Łapy, żeby zaatakować Toazę – powiedział grobowym głosem Roma. – Już po nas!

– Wciąż mamy połowę floty w porcie Toazy – odparł Pering. – Jeśli będziemy ją trzymać blisko brzegu, wesprą ją pociski katapult i balist z lądu, a płytkie wody i ukryte rafy zadziałają na niekorzyść większych statków armady, którym zostanie mało miejsca do manewrów.

– I na co nam się zdadzą te sztuczki wobec sterowców Marany? – warknął Roma.

Pering zdusił chęć złapania Romy za szatę i potrząśnięcia nim. Stary generał gładko przeszedł z przesadnej pewności siebie w rozpacz. Wcześniej zignorował siłę sterowców, teraz jednak uznawał je za niepokonane.

– Sterowce może i są przydatne – Pering starał się mówić spokojnie – jednak da się je pokonać. Floty wszystkich sześciu królestw znalazły na nie sposoby. Na przykład moglibyśmy pokryć pokłady statków warstwą ochronną ze skór naciągniętych na drewniane ramy jak w bębnach, żeby pociski z płonącej smoły odbijały się od nich.

Roma popatrzył na Peringa sceptycznie.

– Ale nadal będą mogli zrzucić je na Toazę. Nie można pokryć skórami całego miasta.

– Jeśli spróbują, nie będą mogli zrzucić bomb zbyt długo. Pojemność sterowców jest bardzo ograniczona, a kilka takich ataków nie spowoduje dużych zniszczeń.

– Jeśli jednak skoncentrują się na pałacu, król Dalo straci cały zapas do walki.

– To prawda, lecz mam pewien plan.



Cesarska armada podpłynęła do południowego brzegu Wilczej Łapy.

W czasie bitwy o port Toazy, która wybuchła chwilę potem, flota rebeliancka, wspierana przez pociski z lądu, zdołała wytrzymać trzy dni nieustannego powietrzno-wodnego ataku armady, tracąc sześć statków.

Zgodnie z przewidywaniami Romy Kindo Marana zmienił taktykę i rozkazał bombardowanie Toazy, skupiając się na pałacu króla Dalo.

Kiedy sterowce nadleciały nad miasto, mieszkańcy wypuścili tysiące lampionów z papieru i bambusa.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – zapytał Marana pilota Ducha Kijiego, sterowca flagowego.

Pilot pokręcił głową.

– Lepiej rozkaż ludziom, żeby ich unikali.

– Ale jest ich zbyt wiele, żeby je wyminąć. Poza tym są tak małe, że wątpię, by zdołały wzniecić pożar zagrażający naszym sterowcom.

Jednak dla pewności Marana rozkazał Duchowi Kijiego zatrzymać się i przepuścić pozostałe sterowce.

Te płynęły między lampionami jak wieloryby przez ławicę ryb. Lampiony zdawały się lgnąć do kadłubów jak remory.

Wtedy Marana usłyszał odgłos małej eksplozji, a po nim tysiące kolejnych. Jasne rozbłyski pojawiały się na kadłubach pozostałych sterowców, a w powietrzu między nimi zapłonęły fontanny iskieł z wybuchających lampionów.

– Odwrót! Zarządzić odwrót! – krzyknął Marana i jego oficerowie nerwowo zamachali z gondoli proporcami do wysyłania sygnałów.

Było już jednak za późno. Wiosła niektórych sterowców wisiały bezużytecznie, ponieważ obsługujących ich ludzi zabiły szrapnele; pozostałe zaczynały tracić wysokość, gdyż z przebitych zbiorników uciekał gaz. Płomienie lizały kadłuby i gondole.

Pomysł na lampiony pojawił się w głowie Peringa. Zebrał resztki prochu z magazynów

króla Dalo – ten luksusowy towar był zarezerwowany na ważne ceremonie i świętowanie nadejścia Nowego Roku – a następnie wciśnięto go do bambusowych rurek razem z gwoździami, żeby zwiększyć siłę rażenia. Tak powstałe ładunki przyczepiono do lampionów z wolno palącym się paliwem, a te pokryto jeszcze warstwą lepkiej smoły drzewnej.

Duch Kijiego uciekł przed rojem śmiertelnie groźnych lampionów nad bezpieczne morze, zaś resztkę ocalałych z pogromu sterowców ruszyła jego śladem. W sumie stracili cztery latające statki, a z dwóch kolejnych uleciało tyle gazu, że ledwo utrzymywały się nad ziemią i nadawały się już tylko jako rezerwa dla pozostałych.

Chociaż marszałek Marana wierzył, że cesarska armada mogłaby ostatecznie przetrwać – zapas fajerwerków w rękach rebeliantów musiał być ograniczony – zwycięstwo wymagałoby poniesienia dużych strat. Dlatego też postanowił wycofać się z Toazy.

Miasto przystąpiło do świętowania triumfu, a generał Roma i król Dalo nie szczędzili pochwał dla Torulu Peringa, Zbawcy Wilczej Łapy, nazywając go mistrzem taktyki i prawdziwym Lutho pośród śmiertelników.

Jednak Roma odmówił ruszenia w pościg za wycofującą się armadą. Wszystkie pozostałe statki rebelianckie miały zostać w porcie Toazy. Mimo zwycięstwa Roma był pod wielkim wrażeniem siły cesarskiej floty i chciał mieć pod ręką jak najwięcej statków, żeby w razie porażki móc ewakuować oddziały z Wilczej Łapy.



Generał Pashi Roma wezwał wszystkich dowódców i doradców sił rebelii.

– Najnowszy plan Marany najwyraźniej obejmuje próbę zejścia na ląd na gorzej bronionym północnym brzegu Wilczej Łapy, skąd ruszyłby na Toazę drogą lądową – powiedział. – Co radzicie?

Dowódcy z różnych królestw Tiro popatrzyli po sobie, lecz żaden nie zabrał głosu.

Torulu Pering spojrział na nich z pogardą. Nie chcieli mówić, bo traktowali to zebranie jak polityczną grę, zonglowanie posadami. Kto przemówi pierwszy, zostanie skrytykowany przez pozostałych, więc o ile nie miał idealnego planu, pozycja reprezentowanego przez niego królestwa zostanie osłabiona.

Pering wyszedł przed szereg.

– Północny brzeg Wilczej Łapy jest słabo zaludniony i nie ma dobrych portów, więc Marana będzie musiał transportować swoje oddziały na małych tratwach, które nie mają szans w starciu ze statkami bojowymi. Tradycyjna taktyka sugerowałaby użycie floty, żeby nie dopuścić do zejścia na ląd.

Niektórzy z doradców już chcieli zgłaszać obiekcje, lecz Pering podniósł rękę, żeby ich uciszyć.

– Jednak ponieważ nie mamy tam żadnych fortów, nasze statki nie wygrają starcia z armadą.

– Właśnie – przytaknął Roma. – Najwyraźniej nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

Pering pokręcił głową.

– To, że jedne drogi są zablokowane, nie oznacza, że nie ma innych, nawet lepszych. Proponuję oddać im plaże i walczyć na lądzie. Właśnie tak od samego początku wyglądał plan króla Thufiego.

– Oddać im plaże! – ryknął Huye Nocano, dowódca Ganu. – Jakim prawem człowiek z Cocru dyktuje Ganowi, jak ma rozporządzać swoimi ziemiami?

– Poza tym Kindo Marana ma ze sobą dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a Tanno Namen niedługo sprowadzi ich jeszcze więcej – powiedział Owi Ati, dowódca z Faça. – Mają miażdżącą przewagę liczebną. Panie Pering, to, że wygrałeś z siłami powietrznymi i morskimi w porcie Toazy, nie oznacza, że wiesz wszystko o walce na lądzie. Pozwolenie im na zejście na ląd nie jest łatwą decyzją. Strategie z ksiązek to nie to samo co prawdziwe życie.

Pering uśmiechnął się. Właśnie takich teatralnych wybuchów się spodziewał – ci ludzie nie mieli własnych pomysłów, za to bez mrugnięcia okiem odrzucali propozycje innych.

– Nie twierdzę, że mamy pozwolić im na zejście w dowolnym miejscu – wyłumaczył cierpliwie. – Powinniśmy trzymać nasze oddziały wzdłuż północnego i wschodniego brzegu, lecz zostawić wolny Wielki Paluch.

Wielki Paluch był najdalej wysuniętym na północ półwyspem Wilczej Łapy, który wystawał wyraźnie z głównej części wyspy.

– Ale Wielki Paluch jest dość duży, żeby bez wysiłku pomieścić wszystkie oddziały Marany – zauważył Pashi Roma. – Po co dawać im miejsce na tak dobrą bazę?

– Właśnie o to chodzi, generale. Wielki Paluch wyda się Maranie idealny, a jeśli zostawimy go bez obrony, marszałek nie powstrzyma się przed połknięciem haczyka. Jednak na Wielkim Paluchu armie będą zmuszone do walki na wąskim pasie lądu, a wtedy przewaga liczebna na nic się cesarstwu nie zda. Jeśli ustawimy obronę warstwami, wzgórze przesmyku będą nie do przejścia. Wielki Paluch stanie się pułapką dla Marany i Namena, a my będziemy ich mieli w potrzasku do czasu, aż w końcu zostaną zmuszeni do odwrotu, nie mając więcej zapasów do wyżywienia takiej liczby żołnierzy.



Zgodnie z przewidywaniami Peringa Marana zszedł na ląd na Wielkim Paluchu. Do tego czasu dwadzieścia tysięcy weteranów Namena zdążyło przejść Wielką Wyspę i dotrzeć do gór Shinané na brzegu. Statki dostawcze Marany nieustannie transportowały ich na Wielki Paluch. Dodawszy do tego dwadzieścia tysięcy świeżych rekrutów, którzy przybyli tutaj z armadą, cesarstwo dysponowało czterdziestoma tysiącami żołnierzy czekających w obozie na Wielkim Paluchu, by przysięść atak.

Na wzgórzach przesmyku na południe od nich dziesięć tysięcy cocruskich żołnierzy okopało się za mocnymi fortyfikacjami obronnymi. Faça przysłało pięć tysięcy ludzi, którzy teraz stacjonowali za oddziałami Cocru jako druga linia obrony. Pozostałe armie Ganu, Rimy i innych królestw tworzyły ostateczną linię wokół Toazy, gańskiej stolicy.



– Na co oni czekają? – pytał swoich doradców generał Roma. – Minał już miesiąc, odkąd Marana i Namen zeszli na ląd, a oni tylko obozują na Wielkim Paluchu i nie robią nic prócz przejadania zapasów. Nawet cesarstwo z pewnością nie może sobie zbyt długo pozwalać na takie wydatki.

I znowu odpowiedział mu Torulu Pering:

– Marana musi wieźć zapasy wiele kilometrów, a żołnierze walczą daleko od domu. Nie ma innego powodu dla takiego oczekiwania jak obmyślanie podstępu albo sztuczki. Nie czekajmy, tylko atakujmy pierwsi i wygońmy ich na morze.

Jednak Roma był człowiekiem ostrożnym. Przez większość swojej kariery zdobywał kolejne rangi raczej jako inżynier niż żołnierz. Zajmował się naprawianiem murów Çaruzy, dbaniem o groble i wały wzdłuż Liru, budowaniem mocnych mostów i gładkich dróg dla cocruskiego wojska – a po Zjednoczeniu dla xańskiego garnizonu. Roma był człowiekiem, który nie zwracał uwagi na szybko zmieniające się warunki w boju.

Roma wolał reagować, zamiast działać. Dumął przez długie godziny, prosząc o opinię każdego doradcę z osobna, a potem jeszcze raz wszystkich. Godziny zmieniły się w dni, a te w tygodnie.

Trzy razy omal nie podjął decyzji o ataku na cesarski obóz, jednak zmienił zdanie.

Wciąż czekał.



Sekretny wysłannik Marany przedstawił królowi Faça, Shiluému, takie rozumowanie: cesarz zdawał sobie sprawę, że wywołanie rebelii to głównie sprawka Cocru. Faça i pozostałe królestwa Tiro zostały przymuszone do współpracy, a w najgorszym wypadku ich udział był niewielki.

Cesarz był gotowy przyobieczać Faça ograniczoną autonomię po nieuniknionej klęsce rebelii, jeśli oddziały Faça pozostaną neutralne w trakcie bitwy na Wilczej Łapie.

– Dlaczego façańscy chłopcy mieliby ginąć za Gan albo Cocru? – szeptał posłaniec Marany królowi Shiluému. – Nawet teraz Gan woła, że wyspy Ogé należą do nich, a nie do Faça. Gdyby król był gotów przystać na propozycję, cesarz poparłby w tym sporze króla Shiluého.

Król kiwał głową, zamyślony.



Tuż za granicami Toazy król Dalo z Ganu spotkał się z emisariuszem Marany. Przebrani za kupców zasiedli w taniej gospodzie do posiłku składającego się ze smażonej ośmiornicy w pikantnym sosie i wina śliwkowego, z dala od zasięgu wzroku szpiegów generała Romy.

– Wasza Wysokość, pozwól mi mówić wprost. Twój kraj znajduje się w tej chwili pod okupacją Cocru. Chociaż zbliżająca się bitwa rozegra się na terenie Ganu, większa część żołnierzy na Wilczej Łapie należy do Cocru, zaś dowódcą jest cocruski generał. Nawet jeśli rebelianci dokonają niemożliwego i zatriumfują w bitwie przeciwko znacznie

licniejszym siłom cesarstwa, wyobrażasz sobie, królu, by Roma albo Thufi opuścili gańskie ziemie z własnej woli? Łatwo jest zaprosić do siebie obcą armię, jednak trudniej nakłonić ją do odejścia bez walki.

Król Dalo już wcześniej niepokoił się tym, że król Thufi ogłosił się princepsem w tak karykaturalny sposób. Gan był jedynym królestwem Tiro, które zdołało pokonać tę podobno niezwyciężoną cesarską flotę w porcie Toazy – nawet Marana okazał Dalo dość szacunku, by pokornie wysłać do niego emisariusza i negocjować. A jednak ten cocruski dowódca, generał Roma, zwyczajnie dyktował plan obrony wyspy bez żadnych konsultacji. Jego ministrowie ostrzegali już niejednokrotnie przed kosztami wykarmienia armii Cocru i Faça, a Roma nawet raz nie wspomniał, że Cocru dołoży się do ich pokrycia.

Było wiele prawdy w tym, co miał do powiedzenia Marana.

– Tylko cocruscy szaleńcy wierzą, że mogą się równać z wolą cesarza i geniuszem taktycznym marszałka Marany – kontynuował emisariusz. – Marszałek rozumie, że Gan nie może się oficjalnie wycofać z sojuszu i przysiąc lojalność cesarstwu. Gdyby jednak w trakcie bitwy oddziały Ganu zwyczajnie wycofały się do Toazy bez walki, marszałek mógłby się zająć cocruskim problemem w imieniu Waszej Wysokości, a później wstawić się za Ganem przed cesarzem. Kto wie, może Gan zostanie nawet nagrodzony za akt odwagi i zyska wyspy Ogé.



– Nie jestem głównym dowódcą – powiedział Mata Zyndu.

– A jednak los Cocru i wszystkich innych królestw Tiro znajduje się teraz w twoich rękach – odparł Torulu Pering. – Przybyłem do Nasu, ponieważ uważam Romę za zbyt starego i strachliwego, a każdy dzień zwłoki zwiększa szanse Marany na zwycięstwo.

– A co to ma wspólnego ze mną? Jeśli król Thufi i generał Roma uważają, że powinienem się zajmować odwozem, będę się nim zajmował.

Torulu Pering westchnął. Mata brzmiał jak nadąsane dziecko.

– Jestem już stary i żaden ze mnie wojownik. Jednak swego czasu patrzyłem, jak ludzie u władzy wznoszą się i upadają, a to nauczyło mnie, że ci naprawdę wielcy nie czekają, aż inni zauważą ich wielkość. Jeśli pragniesz szacunku, musisz go zdobyć i pokonać każdego, kto zechce ci go odebrać. Jeśli chcesz być księciem, zachowuj się jak książę. Jeśli chcesz być głównym dowódcą, zachowuj się jak główny dowódca.

W tego rodzaju przemowę młodszy Mata Zyndu, przekonany o tym, że każdy miał przypisane mu miejsce na świecie, by nie uwierzył. Teraz jednak z zaskoczeniem zauważył, że jest inaczej.

Czy Kuni Garu nie został księciem właśnie dzięki temu, że zaczął się zachowywać jak książę? Czy Huno Krima nie został królem tylko dlatego, że się nim ogłosił? Mata Zyndu, potomek najszlachetniejszego rodu na Wyspach, był lepszym wojownikiem niż oni obaj razem wzięci, a jednak siedział tutaj, nieszczęśliwy, bo inni nie przyszli prosić go, by ich poprowadził.

Kiedy wyobraził sobie siebie na czele armii rebeliantów, zdał sobie sprawę, że nie tęskni już za księżniczką Kikomi i nie dręczą go wyrzuty sumienia dotyczące Phina.

Właśnie tak wygląda jego przeznaczenie: powinien pisać historię swego życia krwią i śmiercią w siodle Réfiroi, dzierżąc Na-aronénnę i Goremawa. Mężczyźni będą padać mu do stóp, a kobiety walczyć o choćby jedno jego spojrzenie, jeden dotyk.

„Tylko głupiec siedzi i rozpacza, kiedy czeka wojna”.



W jednej chwili w obozie cesarskiej armii panowały cisza i spokój, a w następnej wzgórza wypełniły się białymi proporcami z sokołem Mingén.

Cocruscy żołnierze rzucili się na barykady, na szańce z ubitej ziemi i drewniane palisady, i szybko wypuścili w stronę napastników całe naręcza strzał.

Jednak Marana i Namen mądrze wykorzystali trwające miesiąc wahanie generała Romy. W głębi własnego obozu, pod osłoną namiotów i parkanów, w sekrecie podkopali się pod cocruskie fortyfikacje. Pomysłowy Marana wykorzystał doświadczenie podbitych górników Rimy, jak zwykle jednocześnie grożąc im śmiercią i obiecując nagrody.

Kiedy cesarscy żołnierze wyciągnęli krokwie znajdujące się głęboko pod ziemią, setki cocruskich wojów wpadły do tuneli, gdzie zginęły, zanim zdążyły pojąć, co się dzieje. Wszystkie fortyfikacje, które budowano z takim mozołem, rozpadły się w kilka sekund.

Z podkopów na powierzchnię wyszły chmary przeciwników. W połączeniu z atakiem od strony obozu wywołało to w cocruskich obrońcach taki szok, że mimo mobilizacji ze strony generała Romy cała linia upadła pod naporem cesarskich najeźdźców.

– Odwrót! – wołał Roma. Mieli się cofnąć na drugą linię, gdzie czekało na nich wsparcie ze strony Faça.

Ku ich ogromnemu zaskoczeniu, kiedy dotarli na miejsce, przywitały ich puste pozycje, opuszczone już przez sprzymierzeńców. Armia Faça wycofała się na wschód, z dala od fali cesarskich żołnierzy, gdzie rozbiła obóz na wzgórzu.

Generał Roma wysłał jeźdźca z rozkazem, by oddziały Faça dołączyły do niego i trzymały linię obrony, jednak posłaniec wrócił z wiadomością, że Owi Ati, dowódca Faça, woli poczekać i zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja.

Roma wiedział, że bitwa jest już przegrana. Królestwa Tiro padną jak domino, jedno po drugim, ponieważ nie potrafiły wspólnie walczyć.

Zrozpaczony wydał rozkaz odwrotu do Toazy, która miała zostać ich ostatnim bastionem.



Jednak Toaza już została opuszczona. Jeszcze zanim pierwsze wieści o porażce Romy dotarły do stolicy, król Dalo dawno przystąpił do rozbrajania floty i zamiany statków bojowych na transportowe. Te ledwo unosiły się na wodzie, obładowane skarbami z królewskiego pałacu.

Gańscy żołnierze wbiegli na okręty, spychając tłum cywilów błagających o miejsce na pokładzie. Armia przejęła każdy statek kupiecki i łódkę rybacką. Zrozpaczeni mieszkańcy zbijali naprędce tratwy z drzwi i kawałków mebli, a potem spławiali je w porcie, nie

poświęcając nawet minuty na zastanowienie się, jak zamierzają na nich dotrzeć na odległy brzeg Wielkiej Wyspy. Pomniejsi arystokraci, którzy nie mieli dość szczęścia, by się załapać na miejsce na okrętach króla, obiecywali żołnierzom niebotyczne sumy, jeśli tylko pozwolą im wejść. Niektórzy skakali do wody i zaczęli płynąć w stronę okrętów i tratw, które oddalały się już od portu, a kiedy prosili o wciągnięcie ich na pokład, odpychano ich wiosłami.

Potem ktoś krzyknął, że widziano, jak flota płynie w stronę portu w Toazie – armada! – i chaos przerodził się w czystą panikę.



Generał Roma patrzył na zdradę króla Dalo z mieszaniną gniewu i rozgoryczenia. Żałował, że nie posłuchał Torulu Peringa i nie zaatakował wcześniej, nie dając tym samym Kindo Maranie czasu na rozbitcie sojuszu. Teraz nie było już strategii. Została brutalna siła, strach i pragnienie ucieczki.



Tą „armadą” okazał się Mata Zyndu z dwoma tysiącami żołnierzy na dwudziestu statkach.

Mata z obrzydzeniem patrzył na zamieszanie w porcie. Kazał statkom ustawić się w szerokim łuku i zablokować doki. Wszystkie uciekające okręty zmusił do powrotu.

Ten z królem na pokładzie próbował się sprzeciwić, lecz Mata natychmiast nakazał Kimo go staranować.

– Odważysz się zaatakować królewski transport? – krzyczeli gańscy marynarze do Kimo z przestraczem i odwagą jednocześnie.

– Zabiłem już kiedyś króla – odparł Kimo. Jego wytatuowana, roześmiana twarz przerażała gańskich marynarzy. – Z radością posłę waszego na spotkanie z królem Huno.

Marynarze nie opierali się, kiedy uzbrojeni ludzie Kimo weszli na podkład. Przypięli łańcuchami królewski transportowiec do statku Kimo i zaciągnęli z powrotem do Toazy.

Pozostali uciekinierzy ruszyli ich śladem.



Zebrani na dokach gańscy żołnierze pokrzykiwali w zamieszaniu, podczas gdy puste okręty, na których przyplłynęły tu oddziały Maty, unosiły się na wodzie zaraz obok. Słyszeli dochodzący z oddali hałas towarzyszący zbliżającym się siłom cesarstwa, zaś na wschodzie dało się zauważyć sterowce eskortujące armadę okrążającą Wilczą Łapę. Jedynie pamięć o iglanych bombach Peringa zmuszała ich do tej ostrożności – gdyby nadlecieli w tej chwili nad port w Toazie i zrzucili ładunki, rebelianci byłiby skończeni.

– Doskonała robota – powiedział generał Roma. Z radością przywitał Matę Zyndu, który przybył wypełnić swój obowiązek i uratować głównego dowodzącego. – Ewakuujmy naszych ludzi, zostawmy zdradziecki Gan, żeby sam stawił czoła Maranie.

Mata pokręcił głową.

– Musimy natychmiast zarządzić kontratak.

Roma patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie ma żadnego kontraktaku, głupcze! Przegraliśmy tę bitwę.

Mata raz jeszcze pokręcił głową.

– Nawet jeszcze nie zaczęliśmy walczyć.

Roma spojrział mu w oczy. Pamiętał plotki o okrucieństwie Maty w Dimu. Pamiętał opowieści o jego brawurze i porywczym charakterze. Mata chciał krwi. Wyłącznie krwi. „To dlatego król Thufi i marszałek Zyndu mnie uczynili głównym dowódcą zamiast tego człowieka”, pomyślał.

Roma wyprostował się i powiedział z taką pewnością siebie, na jaką było go stać:

– Rozkazuję ci odwrot. Twoim jedynym zadaniem jest bezpieczny transport oddziałów na Wielką Wyspę.

Mata wyciągnął Na-aroénnę z pochwy i jednym ruchem ściął Romie głowę. Pogromczyni Wątpliwości nie tolerowała dowódcy, który wahał się i nie miał serca do walki.

Cisza i spokój powoli rozeszły się od miejsca, w którym stał Mata, niczym zmarszczki na powierzchni wody, aż w końcu wszyscy obecni na dokach Toazy patrzyli z podziwem na potężnego mężczyznę. On tymczasem nakazał swoim żołnierzom podpalić wszystkie statki, tratwy i łodzie – w tym także te, na których sami przyплыli. W ciągu kilku chwil morze stanęło w ogniu.



– Wszystkie łodzie zostały spalone, a z nimi także zapasy. Nie ma odwrotu. Macie tylko to jedzenie, które zostało wam w brzuchach. Jeśli ktoś z was jest głodny, musi zabić cesarskiego żołnierza i odebrać mu racje.

Mata, siedząc na grzbiecie Réfiroi, uniósł miecz nad głowę, żeby wszyscy zobaczyli jego zakrwawiony czubek.

– Oto Na-aroénna, Pogromczyni Wątpliwości. Nie wróci do pochwy, dopóki wynik tej bitwy nie zostanie przesądzony, a wszelkie wątpliwości rozwiane. Zwycięzimy dzisiaj albo wszyscy zginiemy.

Odwrócił się w stronę cesarskich oddziałów i pognął konia. Jechał sam, krzycząc, ile powietrza w płucach.

Ratho był jednym z pierwszych, który pobiegł jego śladem, wrzeszcząc równie głośno. „Całe życie to jedna wielka gra” – czyż nie tak mawiał Tazu, bóg tej krainy?

Kilku żołnierzy również ruszyło, za nimi kolejni i wreszcie mała strużka przerodziła się w prawdziwy potop, a dwa tysiące ludzi, których Mata zabrał ze sobą na Wilczą Łapę, maszerowały zbite w gromadę, by wyjść naprzeciw jeszcze liczniejszym oddziałom cesarskich żołnierzy.

Mata Zyndu roześmiał się, a zaraz po nim śmiechem wybuchnęli jego ludzie.

Nie mieli praktycznie szans powodzenia, ale co z tego? Nie było już potrzeby wymyślać strategii i sztuczek. W swoich umysłach już byli martwi, wolni od nadziei na ratunek albo

ucieczkę. Nie mieli absolutnie nic do stracenia.

Ratho Miro ruszył na cesarskiego żołnierza i nie próbował nawet parować ciosów czy się chronić. Zwyczajnie zaatakował.

Odciął rękę przeciwnikowi w chwili, gdy miecz innego wgrzył się w jego własne ramię. Jednak żądza krwi sprawiła, że nic nie poczuł. Zawył, wyciągnął ostrze i ściął kolejnego żołnierza.

Wiedział, że Daf uznałby to za głupotę, jednak byłby też z niego dumny.

„Walczę jak generał Zyndu”, pomyślał, wspominając moment, kiedy Mata leciał wysoko nad murami Zudi i pojedynkował się tak długo, aż żaden Xańczyk nie miał już odwagi stanąć przeciwko niemu. Teraz Ratho wiedział, jak musiał się wtedy czuć, i faktycznie wspaniałe było to uczucie.



Wbili się w szeregi przeciwnika jak grot strzały w ciało. Czubkiem grotu był sam Mata Zyndu.

Réfiroa skoczył, Mata zrobił zamach Na-aroénną, a żołnierze padali jak muchy. Réfiroa rzucał się w bok, Mata miażdżył i ciął, a Goremaw miażdżył wszystko, co stało mu na drodze. Réfiroa, poddając się duchowi walki, otworzył pysk i wygryzał kawałki ciała z potoku piechoty, tocząc czerwoną pianę. Nie minęło wiele czasu i Mata cały był unurzany w posoce. Chwilami musiał ocierać oczy z krwi, żeby cokolwiek widzieć. „Więcej, więcej, więcej śmierci!”

Cesarskim żołnierzom cocruscy przeciwnicy wydawali się nieludscy. Nie zwracali uwagi na ból i nie próbowali nawet się bronić. W każdy swój cios zdawali się wkładać całą siłę. Nie chcieli przetrwać, jedynie zabijać. Jak ludzie mogą tak walczyć? Xańczycy nie mieli szans w starciu z szaleńcami.

Powoli szanse się odwróciły. Siły cesarskie najpierw zwolniły, potem się zatrzymały, a w końcu zaczęły się cofać. Dwa tysiące żołnierzy Maty całkiem zostały otoczone przez czterdzieści tysięcy przeciwników, będących jednak jak pyton, który połknął jeża niewiedzącego, co to śmierć czy kapitulacja. Cesarskie siły zaczynały się cofać, łamać szyk, a potem całkiem uciekać przed oślepienymi wściekłością wojownikami.

Pozostali cocruscy żołnierze, którzy stali jeszcze na brzegu, wreszcie jakby się otrząsnęli z szoku po śmierci generała Romy. Z krzykiem rzucili się za braćmi. Zaczął się pogrom.



Teraz, gdy stało się jasne, że cesarstwo przegra, Huye Nocano, dowódca Ganu, odnalazł serce do rebelii. Nakazał swoim ludziom dołączyć do bitwy.

– Cocruscy sojusznicy nas potrzebują!

Teraz, gdy stało się jasne, że Marana nie będzie w stanie dotrzymać obietnicy, Owi Ati, dowódca Faça, na nowo znenawidził cesarstwo. Wydał rozkaz odcięcia Xańczykom odwrotu.

– Faça także uderzy w cesarstwo!



Dwadzieścia tysięcy cesarskich żołnierzy zginęło w czasie bitwy o Wilczą Łapę. Kolejne dwadzieścia się poddało. Dziewięć razy próbowali się podnieść i dziewięć razy berserkowie Maty przedarli się przez ich szeregi. Bitwa trwała dziesięć dni, chociaż jej wynik był przesądzony już pierwszego.

Cesarska flota nie mogła wpłynąć do portu Toazy, gdzie wciąż płonęły statki. Xańczycy kręcili się dokoła, zdezorientowani, do czasu aż stało się jasne, że walka na lądzie została przegrana. Armada wycofała się na wschodni brzeg Wilczej Łapy w nadziei na przegrupowanie się na Wielkim Paluchu.

Sterowce próbowały wylądować i uratować przynajmniej część wyższych rangą żołnierzy, jednak ludzie Zyndu nie spuszczali z oka uciekających Xańczyków i żadne takie podejście nie powiodło się. Przejęli nawet pięć sterowców, gdy te próbowały wznieść się w powietrze mimo ściągających je w dół spanikowanych żołnierzy, którzy chwyтали się gondoli i nawzajem swoich nóg, przez co wyglądali niczym łańcuch kotwicy zrobiony z ludzi.

Kiedy armada dotarła do obozu na Wielkim Paluchu, było już za późno, żeby cokolwiek ratować. Młodzi mężczyźni, którzy poszli za Maraną i Namanem na drugi koniec cesarstwa, albo zginęli, albo klęczeli jako więźniowie przed rebeliantami.

Statki armady, teraz lekkie i puste, popłynęły bez celu na północne wody. Ocalałe sterowce po zrzućeniu kilku pocisków ze smołą na triumfującego przeciwnika – był to czczy gest – opuściły Wilczą Łapę i poleciały za armadą.



Tanno Namen i Kindo Marana mieli nadzieję świętować swój największy triumf blisko miejsca bitwy, dlatego nie wsiedli na pokład sterowca.

Żałowali teraz swojej decyzji. Rebelianci okrążyli ostatni cesarski oddział, a Namen i Marana patrzyli z tęsknotą na odległe sylwetki uciekających statków powietrznych.

Namen pomyślał o czekającym na niego wiernym psie i zastanawiał się, jak Tozy radzi sobie przy tej zimnej pogodzie.

– Stary przyjacielu – powiedział Marana – byłoby lepiej, gdybym nigdy nie pojawił się u ciebie w domu na brzegu zatoki Gaing. Teraz zamiast zbierać wilcze jagody i pływać na łódce rybackiej, ostatnie lata spędzisz jako jeńiec. Nie rozumiem, dlaczego dzisiaj przegraliśmy... Naprawdę przepraszam.

Namen szorstko odtrącił przeprosiny Marany.

– Całe życie walczyłem, żeby Xana została wywyższona ponad inne królestwa Tiro. To był prawdziwy zaszczyt móc jeszcze raz, w podeszłym wieku, służyć memu krajowi. Żyjemy jednak zdani na łaskę bogów. Bieg wygrywają nie zawsze najszybsi, a bitwę najsilniejsi. Walczyliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy, a reszta pozostaje już tylko kwestią

szczęścia.

– Jesteś zbyt miły, nie winiąc mnie. – Marana rozejrzał się dokoła i westchnął. – Powinniśmy się przygotować do kapitulacji. Nie ma sensu posyłać na niepotrzebną śmierć kolejnych ludzi.

Namen kiwnął głową.

– Marszałku, zanim wydasz rozkaz poddania się, wyświadczysz mi pewną przysługę? – zapytał po chwili.

– Oczywiście.

– Jeśli będziesz miał jeszcze szansę, zajrzyj do mojego domu i zadbaj o opiekę dla mojego psa, Tozy'ego. Lubi, jak mu się od czasu do czasu daje do żucia jagnięcy ogon.

Marana zobaczył uśmiech na twarzy starego wojownika. Próbował znaleźć jakieś słowa, by odwlec ten moment, jednak wiedział, że jest już za późno.

– Dziękuję, że zaspokoiliś resztki mojej próżności. Nigdy się nie poddałem.

Namen wyjął miecz i przejechał jego ostrą krawędzią po swojej pomarszczonej szyi. Padł jak wielki, stary dąb. Przez kilka minut jego silne serce wypompowywało jeszcze krew z jego ciała, a ta tworzyła rosnącą kałużę.

Marana klęknął obok i płakał, dopóki serce, które tak bardzo kochało Xanę, nie przestało bić.



Marana i jego ludzie zostawili ciało Namena w miejscu, gdzie zmarł. Zamierzali wrócić po nie później, po oficjalnej ceremonii kapitulacji.

Padł na nich wielki cień. Marana zadarł głowę. Na niebie zaroiło się od skrzydeł sokołów Mingén: były ich dziesiątki, nie, setki. Nikt nie przypominał sobie, by te wspaniałe ptaki widziano w takiej liczbie tak daleko od brzegów jeziora Arisuso na górze Kiji.

Sokoły sfrunęły niżej. Nie poruszały się jak na samotne drapieżniki przystało, raczej jak stado szpaków, z których każdy był częścią większej całości. Zanurkowały jednocześnie i zabrały ciało Tanny Namena, a potem poleciały na zachód, gdzie zniknęły za horyzontem.

Marana i jego ludzie zwrócili się w tamtym kierunku i złożyli pokłon. Według legendy synowie Xany, którzy zmarli po dokonaniu wielkich czynów na polu bitwy, zabierani są przez pana Kijiego, boga wszystkich ptaków, by zażyć wiecznego spokoju w niebiosach.



Mata stał pośród resztek cesarskiego obozu na Wielkim Paluchu. Właśnie zajadał się owsianką przygotowaną z racji przeciwników. Wciąż miał na sobie krew, podobnie jak jego ludzie. Nikomu nie chciało się umyć.

– Pierwszy za mną ruszyłeś – powiedział do Ratho Miro.

Ratho kiwnął głową.

Mata wyciągnął ręce i złapał chłopaka za ramiona.

– Będziesz w przyszłości moim przybocznym.

Ratho wiedział, że później, kiedy jego serce wreszcie się uspokoi, a mgła podniecenia bitwą opadnie, raz jeszcze ogarnie go podziw dla tego człowieka. Teraz jednak czuł się równy wspaniałemu generałowi i cieszył się tym uczuciem.

Żałował tylko, że Dafiro nie mógł go w tym momencie zobaczyć.



Przyprowadzili Maranę przed oblicze Maty. Marszałek Xany klęknął, podniósł miecz obiema rękami i spuścił wzrok. Czekał, aż Mata podejmie decyzję względem losu jego i całej armii.

Mata patrzył na niego, rozczarowany. Marana był ledwie biurokratą, który władał mieczem nie lepiej niż chłop przebrany za żołnierza, zaś Namen – starcem nie dość odważnym, by stanąć do pojedynku przeciwko niemu. Walczyli dobrze swoim intelektem, lecz ten przegrywał starcie z jego ideałami. Czy to wszystko, co miała do zaoferowania Xana? Gdzie przeciwnik prezentujący wojenny splendor godny samego Maty?

Za plecami Marany klęknęli także Owi Ati i Huye Nocano, dowódcy armii Faça i Ganu, a także król Dalo. Oczy wszystkich, pełne podziwu pomieszanego z przestraczem, zwrócone były ku Macie, jakby zamiast niego stał tam sam Fithowéo.

Pośród wszystkich rebeliantów nie było wspanialszego człowieka od Maty Zyndu, nie mógł się z nim równać nawet król Thufi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Władca Pan

PAN: JEDENASTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Cesarz Mapidéré wybrał miejsce na wybudowanie stolicy, Niepokalanego Miasta, nie dlatego, że chciał tam zamieszkać, lecz by tam umrzeć.

Chciał, żeby Cesarski Grobowiec łączący się z jego Mauzoleum czerpał energię z wielkich wulkanów: gór Kana, Rapa i Fithowéo. Uważał, że witalność tych szczytów – wiecznie młodych, ponieważ nieustannie odnawiały się za pomocą świeżej lawy buchającej przy silnych eksplozjach – w podobny sposób da nową siłę i żywotność cesarskiej rodzinie, a poprzez to także całemu imperium.

Duch Mapidérégo, o ile wciąż gdzieś się tu kręcił, musiał się zastanawiać, dlaczego jego plan się nie powiódł.

Kuni Garu przyjął kapitulację Erishiego, kiedy ten leżał skulony w łóżku, a jego ubrania i pościel były mokre od moczu.



Luan Zya przyszedł się pożegnać.

– Nie zostaniesz ze mną? – zapytał Kuni. – Bez ciebie nie zdobyłbym Pan.

Kuni podziwiał Luana jeszcze jako dziecko, kiedy zobaczył go wysoko na niebie jako asasyna. I nie wierzył, by gdziekolwiek w całej Darze istniał człowiek zdolny wymyślić tak śmiały plan podbicia stolicy cesarstwa.

Kuni uwielbiał zawierać przyjaźnie z utalentowanymi ludźmi, a Luan stanowił jeden z najcenniejszych „okazów”.

– Panie Garu, osiągnąłeś to, co zaplanowali dla ciebie bogowie. Czyż nie zabiłeś jednym ciosem wielkiego białego pytona w górach Er-Mé, jak głoszają legendy plebejuszy? Czy nie otaczała cię tęczowa poświata nawet wtedy, gdy byłeś uciekinierem? Dzisiaj płynąłeś na grzbiecie crubena i sprawiłeś, że cesarz drżał u twoich stóp. Jesteś dobrym władcą, jednak nie potrzebujesz już mojej pomocy. Chciałbym służyć Haanowi. To małe i słabe królestwo, które ze wszystkich sześcioro odzyska wolność jako ostatnie, jednak to właśnie tam jest mój dom.

Zanim Luan ruszył w drogę, napili się jeszcze z Kunim wódki sorgowej. Zgodzili się, że ich łzy wycisnął mocny trunek.



Luan wrócił do Ginpen, stolicy Haanu.

Wieści o upadku Pan dotarły już do miasta, a na ulicy kręciło się mnóstwo młodych ludzi, z podnieceniem rozprawiających o nowej erze. Żołnierze z xańskiego garnizonu schowali się w swoich barakach, bojąc się zmiany nastroju groźnie nastawionych do nich mieszkańców.

Niezaczepiany przez nikogo Luan wrócił do dawnych posiadłości rodu Zya, gdzie po raz ostatni widział swojego ojca, i złożył przyrzeczenie, które determinowało jego dotychczasowe życie.

Nie było już korytarzy wyłożonych marmurowymi kafelkami o cudownej geometrii, nie było sal ze ścianami pokrytymi tabliczkami, na których razem z ojcem spisywali swoje równania i dowody, nie było prywatnych bibliotek pełnych starych ksiąg ze wszystkich zakątków Dary, nie było skąpanych w słońcu laboratoriów z przyrządami do obserwacji gwiazd, czasu i przemijania naturalnego świata.

Zamiast tego zostały wypalone do cna kamienie, porośnięte teraz chwastami.

– Ojciec – powiedział Luan, klękając pośrodku ruin. – Wróciłem, ponieważ xańskie imperium upadło. Król Cosugi niedługo wróci, a ja pomogę mu odbudować Haan, naszą ojczyznę, i przywrócić należną mu chwałę. Dotrzymałem swojej obietnicy. Jesteś zadowolony? Czy twoja dusza zazna wreszcie spokoju?

Podmuch wiatru zaszeleścił liśćmi. Samotny ptak zaśpiewał w oddali.

Luan klęczał bardzo długo, nasłuchując. Słońce zaszło i wstał księżyc, a on wciąż próbował poznać wolę bogów i wieloznaczne odpowiedzi od dawno zmarłych przodków.



Kuniego martwiły tysiące cesarskich żołnierzy w Pan, którzy zostali tam po kapitulacji. On sam miał ze sobą raptem pięciuset mężczyzn, a jeśli zwolennicy cesarstwa doszliby do wniosku, że mogą poświęcić Erishiego dla dobra kraju, z łatwością by wygrali.

Kuni zebrał swoich wszystkich doradców.

– Nie możemy jeszcze rozgłaszać wieści o upadku Pan – powiedział Cogo Yelu. – Jeśli dowódcy cesarscy z pozostałych terenów Géfiki dowiedzą się, jak małą mamy armię, ruszą na stolicę i wszyscy zginiemy.

– W takim razie musimy natychmiast zamknąć miasto na cztery spusty – oznajmił Kuni. – Co jeśli ktoś już zdążył wysłać wiadomość gołębiem pocztowym?

– Już się tym zająłem – odparł Rin. – Pieczone gołębie są pyszne, zwłaszcza odpowiednio posolone.

Kuni się roześmiał.

– Dobrze, że wszyscy za mnie myślicie. Naszym priorytetem jest teraz zawiadomienie mojego brata, Maty Zyndu, i poproszenie go, by jak najszybciej przybył nam z pomocą.

– Najlepiej byłoby skorzystać ze sterowców – stwierdził Cogo. – Niestety, ponieważ nie chciałeś zostawić Luana na straży, Xańczycy je zniszczyli.

– Ja się zajmę zawiadomieniem generała Zyndu – powiedział Rin. – Potrafię tak posłać wiadomość, by cesarskie patrole jej nie pochwytyły.

Kuni kiwnął głową, wdzięczny, że był dość przewidujący, by nakłonić Rina do

utrzymania kontaktów z mniej praworządną częścią społeczeństwa.

– Jednak woda z daleka nie ugasi pożaru trawiącego dom – rzekł. – Jak zadbamy o to, by żołnierze cesarscy w mieście nie zwrócili się przeciwko nam?

Rin Coda wyszeptał swoją sugestię. Była zbójcka i niehonorowa, a Mün Çakri i Than Carucono stanowczo zaprotestowali. Kuni Garu już miał powiedzieć „nie”, kiedy odezwał się Cogo Yelu:

– Prawdopodobieństwo buntu jest duże, panie Garu, i musimy zrobić wszystko, żeby zachować owoce naszej dotychczasowej walki.

Mimo to Kuni nadal się wahał.

– Cogzy, naprawdę uważasz, że musimy w ten sposób wkupić się w łaski żołnierzy?

– Czasami wielcy ludzie muszą być także wielkimi okrutnikami.

Kuniemu nie podobała się argumentacja Cogo, jednak zawsze był gotów słuchać jego rad. Niechętnie, lecz przystał na plan Rina.



Pan zasługiwało na swój status stolicy cesarstwa za sprawą liczby mieszkańców, szerokości ulic (szesnaście wozów mogło jechać nimi jeden obok drugiego), wspaniałości architektury i różnorodności dóbr sprzedawanych na targowiskach, a także z wielu innych względów. Przybywali tu szukać szczęścia przeróżni oportuniści i kupcy i często mówiło się, że lepiej być myszą w Pan niż słoniem w Écofi.

Cesarcy żołnierze z miasta szeptali między sobą, że Kuni Garu w zamian za lojalność pozwoli im złupić Pan – pod jednym tylko warunkiem: że nikogo nie zabiją. Kilku odważniejszych wyszło na ulice, żeby się przekonać, czy plotka jest prawdziwa. Ludzie Kuniego patrzyli, lecz nie reagowali. Nim nastąpiło popołudnie, dawne baraki stały puste.

Żołnierze przejęli Pan, traktując je tak, jakby zostało przez nich podbite, chociaż przysięgali go bronić. Włamywali się do bogatych willi stojących wzdłuż ulic, zabierali, co im się żywnie podobało, a znalezionych w środku ludzi traktowali, jak mieli ochotę – dbali o to, by nikogo nie zabić, jednak istnieje wiele form zadawania cierpienia, które nie prowadzą do śmierci.

Przez dziesięć dni Pan stało się piekłem na ziemi, a mieszkańcy chowali się po piwnicach i drżeli, słysząc płacz i wrzaski tych, którym nie dopisało szczęście. Niepokalane Miasto splamiło się krwią, przerażeniem, chciwością i żądzą.

W tym czasie Kuni trzymał własnych ludzi w pałacu, z dala od chaosu panującego na ulicach. Cogo Yelu zabrał jednak kilku ze sobą, po czym udał się do Cesarskich Archiwów, gdzie trzymano księgi podatkowe i spis ludności, a także wszystkie inne dokumenty administracyjne.

– Zamknijcie drzwi i nie wpuszczajcie tu żadnych szabrowników – rozkazał.

– A co nas obchodzą te stare zwoje i papiery? – zapytał Dafiro, a potem szepnął: – To tutaj cesarz trzymał swoje najcenniejsze skarby? Cwany był, chowając je tam, gdzie nikt by ich nie szukał. Może... moglibyśmy potem zajrzeć tu i tam?

Cogo się roześmiał.

– Nie znajdziesz tu złota ani klejnotów.

– Może jakąś sztukę? – Dafirow był troszeczkę rozczarowany. Wiedział, że dzieła sztuki bywają bardzo cenne, jednak nieszczególnie interesowały go obrazy, chyba że znajdowały się na nich piękne kobiety.

– W pewnym sensie – odparł Cogo. – Polityka to najwyższa ze sztuk i pewnego dnia może to zrozumiesz.



Kiedy byli żołnierze cesarscy szaleli na ulicach Pan, Kuni musiał uciec od koszmaru, który sam rozpełtał. Postanowił pospacerować po cichych korytarzach i pustych salach pałacu.

Otoczający go splendor zapierał dech w piersi. Każde pomieszczenie miało przynajmniej piętnaście metrów wysokości. Każdą ścianę zdobiły misterne żłobienia i złote filigrany. Na podłodze leżały poduszki z poszewkami z jedwabiu i adamaszku wypchane puchem z piór tysięcy kaczątek i miękką wełną rocznych jagniąt. Na ścianach wisiały bezcenne obrazy i zwoje z kaligrafią zabrane z podbitych ziem.

Gdzie Kuni nie spojrzeł, jego wzrok padał na wymyślne meble, zabawki, dekoracje: murale z pereł i koralu z Ganu, rzeźby z drewna sandałowego z Rimy, jadeitowe posągi z Faça, stoliki z żółwich skorup z Haanu, puszyste gobeliny z Amu, a także złoto, niezliczone sztaby złota otrzymane dzięki krwawicy martwych już chłopów pańszczyźnianych z Cocru. Wszystkie te przedmioty mówiły o władzy, władzy cesarza Mapidérégo nad Darą, władzy namacalnej teraz dla Kuniego.

Przypomniał sobie, jak się czuł jako dzieciak, patrząc na pochód Mapidérégo na drodze niedaleko Zudi: tę mieszaninę podziwu i strachu, drzenie w obecności tak ogromnego majestatu. Zachwycił się tym, jak zmieniła się jego sytuacja od tamtego czasu.

– Cesarz, król, generał, książę – wyszeptał sam do siebie. – To tylko etykiety.

A jednak te etykiety zmieniały ludzkie zachowanie. Przyzwyczał się już do bycia księciem Zudi, a teraz zaczynał się oswajać z wizją siebie jako króla Géfiki. Czy przyzwyczai się także do innej etykiety? Czy spowszednieje mu bycie obiektem podziwu i zachwytów... a może także strachu i nienawiści?

Zwierzęta w cesarskim zoo i akwarium wołały o jedzenie. Były piękne i samotne, a zamknięte w klatkach nie miały żadnego wpływu na swój los.

W jednej z klatek przechadzał się niecierpliwie wspaniały i dumny jeleni. A jednak plakietka nazywała go koniem. Zdziwiony Kuni popatrzył na zwierzę, które odpowiedziało tym samym.

– Kto pochwyli jelenia? – zapytał Kuni samego siebie. – Czy łowy mają się ku końcowi?

Udał się do małych domków na tyłach pałacu: ukrytych kwater kobiet. To tutaj mieszkały żony i kochanice cesarza Mapidérégo oraz Erishiego. Były wystraszone i niepewne swojej przyszłości. Kiedy jednak zobaczyły Kuniego, pomalowały twarze i stanęły przed swoimi domami odziane jedynie w lubieżne uśmiechy. Te ponętne, choć żalosne stworzenia nie różniły się w jego oczach od zwierząt w zoo.

Kuni był zmęczony. Zdawało mu się, że od lat tylko walczy i ucieka. Chociaż ciągle przebywał daleko od żony, nigdy wcześniej nie uległ pokusie i nie poddał się wdziękom

innych kobiet. Miał jednak swoje potrzeby, a otarcie się o śmierć wyostrzyło jego apetyt. Ponętne ciała, które miał na wyciągnięcie ręki, nie mogły i nie powinny zostać zignorowane.

Czyż nie zasługiwał na nagrodę? Nie zasługiwał na chwilę relaksu?

– Odważnemu człowiekowi należy się to, co najpiękniejsze – powiedziała jedna z kobiet.

Kuni nigdy nie widział tak cudownie wyglądającej dziewczyny, a miała na sobie jedynie sznur rekinich zębów. Ta dziwna, barbarzyńska ozdoba wydawała mu się idealna. Uśmiech kobiety przyciągał go – przez moment zdawało mu się, że widzi, jak w miejscu jej twarzy miga zarys gołej czaszki, gdy jednak zamrugał, wizja zniknęła.

Tamtą noc spędził w kwaterach kobiet. Następną też. Nie wychodził stamtąd przez dziesięć dni.



Odnalazł go Rin Coda. Znał go, jeszcze zanim został księciem Garu, nawet jeszcze zanim był strażnikiem więziennym, zanim ktokolwiek spodziewał się po nim, że cokolwiek osiągnie.

Takiemu przyjacielowi wolno było powiedzieć coś, co byłoby nie do pomyślenia dla zwyczajnych podwładnych.

– Kuni – rzekł Rin. – Już czas, żebyś przestał.

Kuni go usłyszał, lecz zaraz o nim zapomniał. Właśnie masowały go dwie kobiety, które uznał za swoje ulubione. Jedna z nich pochodziła z Haanu, a jej ciemna skóra wyglądała jak wypolerowany lakier i była ciepła jak kamień do pieczenia. Uda miała tak silne i jędrne, że czuł nieustanną potrzebę ich dotykania. Jej oczy obiecywały przyjemność i zrozumienie.

Ta druga pochodziła z Faça i skórę miała tak jasną, że dało się przez nią widzieć krew przepływającą przez żyły, gdy dziewczyna rumieniła się i śmiała. Jej włosy były rude i przywodziły na myśl eksplozję wulkanu (właściwie, jak się nad tym zastanowić, zupełnie jak u Jii). Jej piersi były tak jędrne i pełne, że Kuni odnosił wrażenie, iż pięści brzoskwinie pełne słodkiego jak miód nektaru.

– Kuni – powiedział Rin jeszcze raz, głośniejsz. – Spójrz na mnie. Zapomniałeś już, po co tu przylecieliśmy?

Kuni zmarszczył brwi. Rin psuł jego sen na jawie. Kuni wyobrażał sobie, że zostanie tu na zawsze. Rozumiał teraz, dlaczego cesarz Erishi nie chciał opuszczać swojego pałacu i nie interesowało go nic, co działo się na zewnątrz.

Chciał żyć jak cesarz. Chciał jeść ze złotych misek jadeitowymi łyżkami. Chciał w fajce z koralu palić tytoń, który suszyły i przesiewały stokrotnie specjalnie wyszkolone małpy, potrafiące wspinać się na klify, gdzie rósł ów tytoń, czerpiąc wodę z rosy. Chciał pić herbatę z najdelikatniejszych liści, zbieranych przez dzieci z palcami dość zwinnymi, by nie łamać pączków i zbyt wcześnie nie uwalniać smaku. Każdej nocy chciał zapraszać do swego łóżka inną kobietę, jednak te dwie zawsze będzie trzymać blisko, gdyby nowych miał już dość.

– Powinieneś zwracać się do mnie per „panie Garu” – odparł Kuni. – A może nawet Wasza Wysokość.

„Nasiono mlecza w końcu odnalazło właściwą glebę. Orzeł wreszcie wzniósł się dostatecznie wysoko”.

Rin, zdesperowany, spróbował jeszcze raz.

– Kuni, wyobraź sobie, co poczułaby Jia, widząc cię teraz.

– Cisza! – Kuni wyskoczył z łóżka w jednej chwili. – Jesteś bezczelny, Rinie. Jia żyje w moim sercu, ale muszę teraz zaspokoić swoje potrzeby. Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

– To nie ja zapomniałem, kim jesteś.

– Nie chcę cię więcej widzieć.

Rin Coda pokręcił głową i wyszedł, żeby poszukać pomocy.



Cogo Yelu wszedł z dużą miską. Zgodnie z jego instrukcją Mün Çakri i Than Carucono wyrwali z objęć Kuniego dwie dziewczyny. Z kolei Cogo wylał na nagie ciało Kuniego całą zawartość miski, czyli zimną wodę z kawałkami lodu, zabranymi z piwniczki na wino.

Kuni zawył i wyskoczył z łóżka. Po raz pierwszy od dziesięciu dni był w pełni obudzony i miał ogromną ochotę, by nakazać skrócenie Cogo Yelu o głowę.

– Co to wszystko ma znaczyć?! – wrzasnął.

– Co ma znaczyć to? – zapytał Cogo, pokazując na łóżko, teraz pokryte mokrym jedwabiem i koronkami, na puste kielichy po winie na podłodze, sterty obrazów i skarbów, które Kuni zabrał z całego pałacu i rozrzucił bezmyślnie po pokoju.

– Cogzy, chciałem przez chwilę dobrze się bawić. Na Bliźniaczki, zasłużyłem sobie!

– Zapomniałeś już o ludziach, którzy zginęli w Wielkich Tunelach? Zapomniałeś o dzieciach, które padły z głodu? Zapomniałeś o matkach i synach siłą rozdzielonych przez zarządców, żeby cesarz mógł dołożyć kolejne kamienie do swojego Mauzoleum? Zapomniałeś o wszystkich mężczyznach, którzy zginęli w walce o zmiany, o wszystkich oplakujących ich kobietach? Zapomniałeś o swojej żonie, która codziennie modli się o twoje bezpieczeństwo, marząc o tym, że zdołasz dokonać wielkich rzeczy i przyniesiesz spokój całej Darze?

Kuni nie potrafił na to odpowiedzieć. Zdawało mu się, że obudził się ze snu; snu, po którym brzydził się samym sobą. Zadrżał, raz jeszcze wyraźnie czując na sobie wodę i lód.

– Wstyd mi, że na to patrzę, panie Garu – oznajmił Cogo i odwrócił wzrok od nagości Kuniego. Than Carucono i Mün Çakri zrobili to samo.

Kuni patrzył intensywnie na Cogo.

– Jak śmiesz mnie pouczać? To ty doradziłeś mi, żebym pozwolił cesarskim żołnierzom zmienić Pan w piekło na ziemi. To ty zachęcałeś, żebym był wielki pod każdym względem, także w okrucieństwie i apetycie, by utrzymać władzę. Zwyczajnie czerpię przyjemność z roli, którą mi narzuciłeś.

Cogo pokręcił głową.

– Bardzo się mylisz, panie Garu. Doradziłem ci sięgnąć po władzę, żebyś z jej pomocą

zdziałał coś dobrego, a nie żebyś wykorzystał ją dla własnej przyjemności. Jeśli nie widzisz różnicy, w takim razie ja byłem ślepy.

Kuni Garu usiadł na łóżku i przykrył się pościelą. „To był przyjemny sen, dopóki się nie obudziłem”, pomyślał.

– Przepraszam, Cogo. Proszę, przynieś mi jakieś ubranie. – Po chwili dodał: – Nie mówcie o tym mojej żonie.

Rin Coda podał Kuniemu jego starą szatę; to Jia o nią dbała i zszywała rozdarcia. Materiał był poplamiony i pełen łatek.

– Dziękuję – rzekł Kuni. – I przepraszam za to, jak się zachowywałem. Starzy przyjaciele są jak stare ubrania: pasują najlepiej.



Książę Garu ogłosił, że łupienie Pan ma się natychmiast zakończyć i że od teraz miasto będzie rządzone łagodnie: wszystkie okrutne i skomplikowane prawa cesarstwa zostaną zniesione, zaś profesja płatnego znawcy prawa zlikwidowana. Ludzie przyjęli to z dziką radością. Nie będzie więcej pańszczyzny, a podatki zostaną zredukowane do jednej dziesiątej.

Od tej chwili tylko trzy prawa kryminalne obowiązywały pod rządami księcia Garu: morderców czekała egzekucja, sprawcy pobicia lub okaleczenia musieli zapłacić swoim ofiarom rekompensatę, zaś złodzieje zwrócić łup i ponieść karę pieniężną.

Na ulicach rozpoczęło się radosne świętowanie, a Kuni Garu był wychwalany jako Wyzwoliciel.

– Panie Garu, widzisz teraz, jak zadziałała sugestia Rina – zauważył Cogo. – Nie tylko czas łupienia zapewnił nam lojalność cesarskich żołnierzy, lecz także uczynił ich wrogami mieszkańców miasta. Gdyby teraz chcieli podburzyć lud do buntu, nie mieliby żadnego poparcia. Dawni żołnierze, wiedząc, że Pan ich nienawidzi, nie mają innego wyjścia, jak popierać cię i bronić. Nie zorientowali się, że zapędziłeś ich w kozi róg. Zaś teraz dzięki łagodnym rządóm jesteś jak wiosna po mroźnej zimie, strumień świeżej wody po gwałtownym pożarze. Gdybyś od początku tak ich traktował, w twojej litości widzieliby oznakę słabego charakteru. Teraz jednak, po dziesięciu dniach cierpień, dziesięć razy bardziej doceniają twoją dobrą wolę.

– Jesteś okrutnym manipulatorem, Cogo – powiedział Kuni. Uśmiechnął się i pomachał do gapiów, gdy razem ze swoimi ludźmi paradował po ulicach miasta, jednak jego spojrzenie pozostało poważne.

– Plebejusze są jak nieposłuszne dzieci. Jeśli ciągle będziesz im dawał słodczy, będą uważać, że należy im się ich jeszcze więcej. Jeśli jednak wymierzysz im siarczysty policzek, a potem wręczysz słodkości, padną ci do stóp i zaczną lizać po rękach.

– Porównujesz mnie do mężczyzn, którzy traktują swoje żony jak psy, najpierw je bijąc, a potem głaszcząc.

– Wiem, że to brzmi surowo i nieprzyjemnie – przyznał Cogo – jednak świat jest pełen surowych i nieprzyjemnych rzeczy, które należy zrobić, zwłaszcza jeśli chciałbyś wzbić się wysoko jak orzeł.

– Zapewne masz rację, Cogo – odparł Kuni po chwili milczenia. – Jednak zbyt dużo zrobiono w moim imieniu, bym mógł przez jakiś czas spojrzeć sobie w oczy w lustrze.

Cogo Yelu westchnął. Zauważył, że książkę przestał zwracać się do niego „Cogzy” i brakowało mu tego zdrobnienia. Mówiąc o tym, jaki świat jest naprawdę, nie zawsze zaskarbiasz sobie sympatię tych, którym służysz.



Kuni zarządzał Pan z taką samą starannością, z jaką zarządzał Zudi.

Każdego dnia długie godziny poświęcał na zajmowanie się najbardziej trywialnymi sprawami – chciał w ten sposób przywrócić miastu względną normalność po chaosie podboju i późniejszego szalbierstwa. Przeorganizował oddziały żołnierzy i poznał ich dowódców. Spotkał się ze starszyzną miasta i okolicznych wiosek, żeby posłuchać, o czym myślą i czym się martwią.



Tymczasem Rin Coda postanowił zbadać nieco bardziej grząski grunt i, jak miał to w zwyczaju, poznać mroczne, przestępcze podziemie Pan.

– Razem z królem będziemy potrzebować wsparcia wszystkich przedsiębiorców, zwłaszcza waszego – powiedział Rin, wznosząc toast za mężczyzn, którzy zebrali się w jadalni najbardziej luksusowej gospody w mieście. Byli to przywódcy gangów przemytników, sekretnych towarzystw, nawet „praworządni” biznesmeni, którzy większość dochodów osiągnęli w sposób nieco mniej praworządny.

– Dopóki król będzie rozsądny, my też będziemy rozsądni – powiedział mężczyzna, który kazał się nazywać Skorpionem. Twierdził, że jest właścicielem najbardziej dochodowych szulerni w Pan. Z jego uszu zwisały dwa kolczyki z rekinich zębów. – Dlaczego jednak król nie zabezpieczył przełęcz Thoco?

Rin kiwnął na niego, pokazując tym samym, że chce usłyszeć więcej.

– W mojej branży – rzekł Skorpion tak cicho, żeby wszyscy musieli wstrzymać oddech i nadstawić uszu – większość dochodów zapewnia mi dotrzymywanie obietnic. Na przykład ktoś może mi obiecać, że spłaci wszystko w ciągu dnia, jeśli tylko pożyczę mu kolejne sto tysięcy sztuk złota na następny zakład.

Rin kiwnął głową, zastanawiając się, czy ta historia ma jakąś puentę.

– Lubię wierzyć, że ludzie dotrzymują obietnic, zawsze jednak lepiej mieć pewność. A najlepszy sposób, żeby ją mieć, to zadbać o to, by ten człowiek zrozumiał, że mogę go bardzo skrzywdzić, jeśli mnie zawiedzie.

– Czarująca porada, panie Skorpion – odparł Rin, starając się nie okazać zniecierpliwienia. – Ja i król postaramy się wziąć ją sobie do serca.

Skorpion się uśmiechnął.

– Król Thufi, princeps, obiecał, że ten, który pojma cesarza Erishiego, stanie się królem Géfiki, nowego królestwa Tiro. Mnie się jednak wydaje, że jeśli król Kuni chce, by

obietnica została spełniona, musi pokazać innym swoje zęby. Wszystkie roszczenia stają się bardziej zasadne, kiedy zyskują poparcie siły. A armia, która chciałaby dotrzeć do Géfiki, musi najpierw pokonać przełęcz Thoco.

Następnego dnia Rin Coda w sekrecie wysłał oddziały do przełęcz Thoco.

Oczywiście Kuni poprosił go, by jak najszybciej rozkazał posłańcom zaprosić Matę Zyndu do Pan, by wspólnie z nim móc świętować zdobycie stolicy i by jego ludzie pomogli jej bronić, jednak Rin zawsze wierzył, że należy polegać głównie na sobie: po co prosić o pomoc innych, gdy się jest w stanie samemu zadbać o swoje?

Poza tym Pan było już bezpieczne, dzięki jego planowi, a dlaczego Mata miałby grzać się w blasku chwały, która należała się wyłącznie Kuniemu i jego ludziom? Czy nie lepiej, żeby Kuni sam został władcą Géfiki? Człowiek, który w pierwszej kolejności nie myślał o sobie, nie był ulubieńcem bogów.

Rin był pewien, że Kuni by się z nim zgodził.



– Podobała ci się wspólna noc z Kunim Garu, o Nieobliczalny Tazu?

– Ach, zauważyłeś, Lutho. Byłem śliczny, nieprawdaż?

– Trudniej go skusić, niż ci się wydawało, czyż nie? Zauważyłem, że nie wybrał cię na swoją ulubienicę.

– Winię wyłącznie jego zły gust. Cóż, dobrze się bawiłem i tylko to się liczy.

– A gdzie są Kiji Władca Burz, Bliźniaczki Lodu i Ognia oraz Waleczny Fithowéo? Myślałem, że to oni najbardziej interesują się tą wojną?

– Trzy ptaszki i dziki pies się smucą. Kiedy ich czempioni zajęci są gdzieś indziej, ten ktoś przyszedł znikąd i zgarnął całą pulę.

– Na tym polega niebezpieczeństwo prowadzenia śmiertelników.

– Nie udawaj świętoszka, ty stary przebiegły żółwiu. Od lat to planowałeś. Zastanawiałem się, kiedy twój człowiek wreszcie wykona swój ruch.

– Gdy chcesz złapać dużą rybę, musisz wypuścić długą żyłkę.

– To nie koniec, wiesz? Sama wygrana przychodzi łatwo, prawdziwą sztuką jest pozostać na szczycie.

– Dobrze powiedziane, jednak wszystko zależy od tego, co rozumiesz przez wygraną.

– Ruszam do domu, na Wilczą Łapę. Tam będę miał więcej zabawy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

MASAKRA

WILCZA ŁAPA: JEDENASTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW SZLACHETNEJ SIŁY

Admirał Filo Kaima z cesarskiej armady potrafił myśleć tylko o tym, by odpłynąć jak najdalej od tego szaleńca Maty Zyndu. I w dzień, i w nocy nawiedzały go obrazy obłąkanych rebeliantów pojawiających się na horyzoncie jak rój krwawych demonów.

Minęło kilka dni, zanim zdał sobie sprawę, że właściwie to ma przewagę.

Ponieważ Zyndu kazał spalić wszystkie statki w porcie Toazy, rebelianci nie posiadali już żadnej floty i nie mogli się wydostać z Wilczej Łapy. Co mieli niby zrobić? Popłynąć wpław, by walczyć z nim na morzu?

Kaima, teraz najwyższy rangą oficer w cesarskiej armii, zebrał pozostałe statki i sterowce wraz z ich niechętną do walki załogą i nakazał powrót. Zamierzał ustawić blokadę wokół północnego i południowego brzegu Wilczej Łapy. Ponieważ wielki wir Tazu sprawiał, że kanału Kishi nie dało się pokonać, taka blokada wystarczyłaby do unieruchomienia wszystkich ludzi znajdujących się na wyspie.

Cesarstwo może i przegrało na lądzie, mogło jednak przeprowadzić oblężenie całej wyspy i uwięzić na niej Matę Zyndu i rebeliantów, dopóki z Pan nie przybędą nowe oddziały.

„Zyndu chciał zagrać, stawiając na szali życie podległych mu ludzi? A zatem niech gra”.



Mata Zyndu zaczął nazywać się marszałkiem Cocru. Torulu Pering spisał oświadczenie i żaden z królów ani możnych na Wilczej Łapie nie sprzeciwił się nawet słowem.

Mata nie czekał na rozkazy od króla Thufiego. Ten pastuszek byłby nikim bez niego i jego wuja. Sama Réfiroa była warta tyle co dziesięciu takich jak Thufich. To Mata, a nie Pashi Roma, uratował rebeliantów przed pewną śmiercią. To Mata, nie Thufi, pobił niezwyciężonego Kindo Maranę. To Mata, i tylko on, pokonał armię czterdziestu tysięcy żołnierzy za pomocą dwóch tysięcy owładniętych furją wojowników. Nie uciekał się do żadnych sztuczek i podstępów – wygrał dzięki czystej odwadze i zewowi bitwy.

Było to najsprawiedliwsze i poprzez to najpiękniejsze zwycięstwo na świecie.

Thufi był figurantem i Mata go nie potrzebował. Torulu Pering miał rację: wszystko, czego chciał i co mu się należało, Mata musiał brać sam. Użalanie się nad sobą było głupotą: świat szanował człowieka, który szanował sam siebie.

Brzydził się otaczającymi go słabymi i pochlipującymi mężczyznami. Ci zdrajcy i tchórze nie zasługiwali na szlacheckie tytuły. Może i urodzili się we właściwych

rodzinach, jednak nie mieli jednej dziesiątej odwagi jego strażnika, Ratho Miro, zwykłego plebejusza, i jednej setnej ducha jego brata, Kuniego Garu, syna rolnika.

Mata wyrzucił króla Dalo z pałacu w Toazie i przejął władzę. Owi Ati i Huye Nocano, dowódcy z Faça i Ganu, którzy przybyli Macie z pomocą dopiero wtedy, gdy zwycięstwo było przesądzone, zostali skazani na areszt domowy do czasu, aż Mata osądzi ich za zdradę stanu. Nie dał się omamić ich niechętnemu wsparciu, które nadeszło w chwili, gdy zdążył już wygrać.

Jednak Namena i Maranę potraktował godnie. Jego zdaniem nie byli wielkimi wojownikami, jednak szanował ich pozycje. To żaden wstyd, jeśli człowiek stara się wypełnić swoje obowiązki, lecz przegrywa z racji niedostatku umiejętności – zresztą, jak mogli wygrać w potyczce z nim, inkarnacją samego Fithowéo? Urządził mieczowi Namena – ponieważ ciała już nie było – pogrzeb godny księcia, zaś Maranie pozwolił nawet zachować broń. Niewielkie gabaryty Marany go zaskoczyły i nie rozumiał, dlaczego Kikomi wolała tego słabego człowieka o ziemistej cerze zamiast niego – był to kolejny dowód na to, że nie umiała właściwie ocenić sytuacji, a także być może na to, że brakowało jej prawdziwej szlachetności. Stanąwszy przed człowiekiem o tak wielu niedostatkach, Mata z zaskoczeniem zauważył, że nie potrafi czuć zazdrości wobec tego „rywala” o uczucia Kikomi – nie umiał zniżyć się do tego poziomu. Może nawet pewnego dnia pozwoli Maranie sobie służyć – tak jak legendarni herosi pokonanym wrogom – ale starał się nie wybiegać myślami tak daleko w przyszłość.

„Jestem teraz princepsem – pomyślał – pierwszym pośród równych”. Nie, to nie była do końca prawda. Czy jakiś inny śmiertelnik mógł dorównać mu męstwem i siłą? Pomaszeruje do Pan i zmiażdży stopą kark cesarza Erishiego. Stanie się największym bohaterem rebelii. To on był Zdobywcą, Hegemonem, to jemu należą się tytuły z legend i mitów.

Dopiero wtedy ród Zyndu wreszcie zostanie pomszczony.

Najpierw jednak musi wydostać swoją armię z Wilczej Łapy i przewieźć do Gójiry, skąd będzie mógł pomaszerować przez przełęcz Thoco i dalej, do Niepokalanego Miasta.

Oblężenie wyspy przez armadę to niewielki problem. Nakazał swoim ludziom budowę statków i wkrótce wzgórze na wyspie zostały ogołoczone z drzew.



Staruszka chciała się zobaczyć z marszałkiem Zyndu. Szła, podpierając się laską, a jej włosy były całkiem białe. Jednak twarz, widniejąca ponad szyją ozdobioną szalem z rekiniej skóry i wisiosem z rekinich zębów, emanowała zdrowiem i wigorem.

– Mogę rozmawiać z Tazu – oznajmiła drżącym, przeszywającym głosem, a wszyscy dokoła się skrzywili.

Kapłani Tazu krzyknęli gniewnie.

– To my jesteśmy posłańcami Tazu.

– To oszustka, wiedźma zwodząca łatwowiernych wieśniaków!

– Zrzucić ją z klifu i niech porozmawia z Tazu bezpośrednio!

Jednak Mata uciszył ich machnięciem ręki. Z perwersyjną przyjemnością słuchał, jak wydzierają się niczym małe dzieci przy najmniejszej sugestii podważenia ich autorytetu.

W oczach Maty kapłani byli jak słabi i chciwi arystokraci i królowie, którymi teraz gardził.

Tymczasem ta staruszka miała odwagę. Stała przed najpotężniejszym rebeliantem i spojrzała mu prosto w oczy. Macie się to podobało.

– Jaką wiadomość posyła mi Tazu? – zapytał.

– Tazu może pomóc ci opuścić Wilczą Łapę. Najpierw jednak wymaga ofiary.

Nie chciała podać żadnych szczegółów, dopóki Mata nie odesłał wszystkich osób obecnych w sali audiencyjnej. Potem wyszeptała mu do ucha instrukcje, a Mata szeroko otworzył oczy.

– Kim jesteś?

– To niemądre pytanie – odparła. Nie brzmiała już jak staruszka. Jej głos był głęboki i donośny, a ściany sali drżały, gdy mówiła. Brzmiała jak fale uderzające o wał nadmorski i silne prądy wirujące w głębinach.

Stała wyprostowana, a laskę dzierżyła jak broń. Uśmiechała się, lecz jej twarz była groźna jak u rekina.

– Znasz już odpowiedź.

Mata wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Prosisz o zbyt wiele. – Chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać, cały drżał.

– Nie, to ty prosisz o zbyt wiele – rzekła staruszka. – Ja jestem po prostu głodna.

Mata nie odwracał od niej wzroku. Pokręcił głową.

– Nie mogę. Nie zrobię tego.

Staruszka zachichotała.

– Zastanawiasz się, co by pomyślał o tobie Kuni Garu, gdybyś zrobił to, o co cię proszę?

Mata nic na to nie odpowiedział.

Staruszka wzruszyła ramionami.

– Nic więcej nie mam do dodania. Zrób, jak uważasz.

I nagle znowu stała się krucha i stara. Powoli poczłapała w stronę wyjścia.



Cała flota została zbudowana w ciągu dwudziestu dni. Statki kołysały się na wodach portu w Toazie, błyszczące od świeżej farby, ich kile były stabilne, a kadłuby ciasno zbite i gładkie. Armia Maty pracowała równie wytrwale, co walczyła.

– Marszałek Zyndu jest mistrzem skutnictwa! Czy jest coś, w czym nie przewyższa tysiącokrotnie każdego innego śmiertelnika?

– Jak śmiesz porównywać go do zwykłych ludzi? Przecież to generał wysłany nam przez bogów!

– Sugerujesz, że marszałek Zyndu to śmiertelnik?! To wcielenie Tazu, władcy mórz i fal!

Marszałek Zyndu jednym uchem słuchał arystokratów i dworzan, którzy prześcigali się w komplementach. Wiedział, że to głupcy, jednak nie potrafił się oprzeć przyjemności, jaką sprawiały mu ich słowa. Łechtały jego serce i sprawiały, że czuł się, jakby latał.

– Wystarczy – powiedział, a trajkotanie natychmiast ucichło. – Jutro wyruszamy na Wielką Wyspę. Niech Kaima wystąpi przeciwko nam na morzu, a zmiażdżymy go z taką samą łatwością jak Namena i Maranę na lądzie!

Wszyscy zaczęli wiwatować.



Tamtej nocy przez port w Toazie przeszedł największy sztorm, jaki pamiętano w tej okolicy.

Ryk uderzających w siebie nawzajem podmuchów wiatru sprawił, że mieszkańcy domów najbliższych brzegowi ogłuchli. Fale były tak wysokie, że zalały pałac. Ulice Toazy zmieniły się w kanały, a nad ranem pływały nimi rekiny, obserwowali je mieszkańcy zebrani przed oknami na ostatnim piętrze.

Flota nowych statków zniknęła. Zostało tylko kilka połamanych masztów i potrzaskanych desek. Tysiąc mężczyzn, którzy zdążyli już wejść na pokład, został zabity.

Kiedy wieści dotarły do Maty, rozkazał znaleźć staruszkę, która przyszła z nim porozmawiać. Jednak choć przeczesali całe miasto, nie było po niej śladu.



– Czy to kara za sprzeciwienie się bogom? – Mata zapytał sam siebie zamiast tchórzliwych dworzan. – Czy może przypomnienie o ciężarze historii? – Podniósł głos: – Jeśli statki zostały zniszczone, musimy zbudować następne.

Wydał nowe rozkazy.

Cesarskich żołnierzy było zbyt wielu, by trzymać wszystkich ich jako więźniów. Obiecał im wolność, o ile dołączą do jego armii.

Jeńcy natychmiast przyjęli propozycję.

Pierwszym zadaniem nowej, większej armii było wybudowanie kolejnych statków na miejsce tych utraconych.

Wielu byłych żołnierzy służyło jako zarządcy przy pełnych rozmachu projektach cesarza, gdzie dyscyplinowali robotników pańszczyźnianych, zaś po cocruskiej stronie znajdowało się mnóstwo takich właśnie robotników albo ich przyjaciół lub członków rodziny.

Teraz, gdy mieli walczyć wspólnie z dawnymi ciemiężycielami, postanowili zemścić się na nich poprzez fundowanie mniejszych lub większych nieprzyjemności. Obowiązek czyszczenia latryn zawsze spadał na byłych imperialistów, podobnie jak gotowanie, sprząatanie i stróżowanie w nocy. Natomiast w ciągu dnia, gdy Xańczycy pracowali ciężko nad budową statków, ci z Cocru stali dokoła i ich poganiali. Morale wśród ludzi Maty wzrosło mimo utraty pierwszej floty: dręczenie imperialistów stanowiło wystarczający instrument wymierzania sprawiedliwości.

Także Ratho czerpał ogromną przyjemność z rozkazywania Xańczykom. A miał wśród nich duży posłuch: słowo przybocznego samego marszałka było dla nich niepodważalne.

Ulubioną zabawą Ratho było nakazywanie im znoszenia z gór ciężkich dębowych konarów. Wysyłał szesnastu mężczyzn do jednego drzewa i mówił im, że przez całą drogę nie mogą nawet raz położyć go na ziemi, by zrobić sobie przerwę. Kiedy ci, zupełnie wykończeni, ostatecznie upuszczali konar przed dotarciem do celu, kazał im go zostawić

i wrócić po następny. Nigdy mu się to nie nudziło.

– Po tym, co wycierpiał mój ojciec przez was, xańskie pomioty – wołał, smagając ich biczem – właściwie jest to dla was jak masaż.



– Podbici żołnierze bardzo narzekają – powiedział Ratho. – Wielu oficerów uważa, że tamci mogą się zbuntować.

– Niech narzekają – odparł cicho Mata Zyndu.

– Darowałaś im życie! Powinni każdego dnia dziękować ci za to na kolanach.

– Rat, czasami jest zbyt późno, by dziękować bogom, a zbyt wcześnie, by dziękować ludziom.

Ratho nie miał pojęcia, o czym mówi marszałek Zyndu. Wiedział tylko, że Xańczycy byli niewdzięczni.

– Żadna świnia nie przestanie kochać błota – mruknął po nosem.



Armia byłych więźniów Maty Zyndu z wielkim poświęceniem zdołała zbudować nową flotę w czasie o połowę krótszym niż poprzednio: w zaledwie dziesięć dni.

Tym razem jednak niechętnie podejmowany wysiłek dręczonych mężczyzn zaowocował powstaniem okrętów ciężkich, wolnych i zбитych byle jak. Doświadczeni marynarze z Ganu patrzyli na nie z konsternacją. Przypominały im wielkie pudła sklecone bez pomysłu, niestabilne i niezdolne do manewrów.

– To będzie cud, jeśli te statki nie rozpadną się same po wypłynięciu na otwarte morze – rzekł Torulu Pering. – Nie rozumiem, jak mają się przeciwstawić armadzie.

Mata zbył go niecierpliwym machnięciem ręki.

– Mam już dość tych wątpliwości.

Bojąc się gniewu marszałka bardziej niż gniewu morza, podwładni milczeli.

– Czyż nie zwyciężył już raz w obliczu pewnej porażki? – szeptali żołnierze. – Może samo jego pragnienie sukcesu wystarczy, żeby bogowie przestraszyli się i zaczęli czynić dla niego cuda. Nawet Tazu nie odważy się walczyć z naszym marszałkiem.

Kiedy Mata wydał rozkaz do wejścia na pokład, nikt mu się nie przeciwstawił.

Ogromne ładownie nowych statków zdawały się lepiej przystosowane do transportu zboża albo ryb niż ludzi. Gdy żołnierze wchodzili do środka, strażnicy na schodach pchali ich do czasu, aż nie starczało już miejsca, by mogli się obrócić. Kiedy doszli do wniosku, że nie zmieści się już nikt więcej, zamknęli drzwi.

Statki wypłynęły z portu, a mężczyźni w ciemności ładowni wstrzymywali oddech, czekając na atak armady. Jednak ten nie przychodził, a oni płynęli dalej. Czyżby imperialiści tak bali się Maty Zyndu, że poddadzą się bez walki?

Kołysanie powoli uspiło tłoczących się mężczyzn i posnęli oni na stojąco, opierając się o siebie nawzajem.

Minęły długie godziny, zanim obudziło ich nagłe szarpnięcie. Było bardzo cicho. Pokład nad ich głowami skrzypiał, jednak nie dało się słyszeć żadnych kroków. Czyż drzwi nie powinny pozostać otwarte, tak by do ładowni docierało świeże powietrze?

Ci najbliżej wyjścia zaczęli uderzać o drewniane deski. Nie doczekali się odpowiedzi.

– Nie tylko zaryglowali drzwi. Oni całkiem je zablokowali! – krzyknął ktoś, kto wyjrzał przez szpary między deskami. Po drugiej stronie ustawiono ciężkie skrzynie, żeby nie dało się otworzyć drzwi, choćby pchali je z całej siły.

– Czy jest tu ktoś z Cocru? Czy ktoś z was służył wcześniej marszałkowi Zyndu?

Nikt się nie zgłosił. Statek był wypełniony byłymi imperialistami.

– Kto steruje statkiem? Jest tam ktoś na górze?

Znowu cisza.

Marynarze już dawno odpłynęli na łódkach. Ster zablokowano, by trzymał kurs. Skrzypiące, przeciekające statki z dwudziestoma tysiącami Xańczyków kierowały się na północ, w stronę kanału Kishi.

Rozwarła się przed nimi głodna paszcza wiru Tazu.



Tazu, teraz najedzony i posilony ofiarą, stał się jeszcze bardziej gwałtowny. Wypłynął z kanału Kishi, okrążył Wielki Paluch i wessał w swój bezdenny żołądek połowę cesarskiej armady.

Nie robiąc chwili przerwy, ruszył wzdłuż wschodniego brzegu Wilczej Łapy i w ciągu kilku godzin opłynął całą wyspę. Na południe od Toazy, w zasięgu wzroku ludzi stojących na lądzie, dogonił resztę armady. Admirał Filo Kaima i jego ludzie dołączyli do martwych kompanów na dnie morza.

Z samego środka wiru wytrysnął słup wody i sięgnął nieba. Przypominał język ropuchy łowiącej ważki. Ostatnie cesarskie sterowce próbowały uciec, jednak zostały złapane i ściągnięte do wielkiego wiru, gdzie rozpadły się z cichym pyknięciem, pękając pod naporem fal jak bańki mydlane.

Tazu wrócił do kanału Kishi. Jego zadanie zostało wykonane.



W szarym, przytłaczającym świetle poranka z chmur wystrzeliły pioruny, z ogłuszającym rykiem uderzając w zburzone fale. Kiji, porywczy bóg Xany, wściekał się na morzu na północy od Wilczej Łapy.

– Wyjdź i walcz ze mną, Tazu! Złamałeś pakt między bogami. Krew Xańczyków musi zostać pomszczona! Wybiję ci każdy jeden ząb.

Jednak wir Tazu pozostawał poza zasięgiem piorunów. Tańczył po morzu, nie przejmując się niczym, jak dobrze nakarmiony rekin.

– Bracie, niesłusznie się gniewasz. Każdego dnia wędruję po tych wodach. Jeśli śmiertelnicy chcą stawać na mojej drodze, mam prawo robić to, co zrobiłem.

– Nie będę słuchał takich sofizmatów!

Wtedy do rozmowy wtrącił się Rufizo, bóg uzdrowiciel z Faça. Przemawiał kojącem i łagodnym głosem:

– Kiji, wiesz, że Tazu ma rację. Chociaż gardzę jego metodami, pozostawały w zgodzie z naszym paktem. On tylko przekonał Matę Zyndu do złożenia ofiary.

Sztorm nie cichł jeszcze przez długie godziny, wreszcie jednak, gdy wstało słońce, wiatr rozgonił burzowe chmury.



– Nie podoba wam się – powiedział Mata swoim doradcom. Specjalnie mówił cicho i spokojnie, żeby wszyscy nadstawiali uszu.

Nie licząc Torulu Peringa, który uśmiechnął się zimno, wszyscy spuścili wzrok, bojąc się spojrzeć marszałkowi w oczy.

– Uważacie, że źle postąpiłem, zabijając tak wielu żołnierzy, którzy zdążyli już się poddać.

Zebrani w sali nadal milczeli, a każdy starał się odдыchać jak najciszej.

– Kiedy litościwie pozwalaliśmy im żyć, byliśmy uwięzieni na wyspie. Nadszedł sztorm i zabrał młodych ludzi, którzy powinni byli zginąć śmiercią chwalebną, na polu bitwy, a nie na morzu. Jednak nasze zwycięstwo stało się pewne, kiedy posłuchałem staruszki, posłańca Tazu, i złożyłem mu ofiarę zdolną nasycić jego pragnienie. Bogowie do nas przemówili, czy tego nie widzicie? Byłem zbyt litościwy. Może pozwoliłem, by Kuni Garu, mój łagodny brat, miał na mnie zbyt silny wpływ. W końcu nie jest wielkim wojownikiem. Musiałem sobie przypomnieć, że okazywanie litości wrogom to okrucieństwo wobec własnych ludzi. Tazu pragnął krwi, więc nie miałem innego wyjścia, jak mu ją dać. Niektórzy z was mogą się wzdygać na myśl o zabiciu tak wielu xańskich więźniów, jednak ja wiem, że jest w tym święta sprawiedliwość. Wiele lat temu mój dziadek, Dazu Zyndu, przegrał wojnę przeciwko Xanie z powodu zdrady. Ten xański pies Gotha Tonyeti pochował później żywcem cocruskich jeńców. Dopiero teraz dług krwi został spłacony.



Kiedy armada przestała stać im na drodze, flota statków kupieckich i łodzi rybackich przyплыnęła z Cocru, żeby zabrać Matę i armię – jego armię: nie było już sensu udawać, że żołnierze słuchali kogokolwiek innego.

Król Thufi przysłał posłańców z gratulacjami, jednak Mata wyrzucił wiadomości bez ich czytania.

Był Matą Zyndu, Rzeźnikiem z Wilczej Łapy. Zabił dwadzieścia tysięcy ludzi mieczem i kolejne dwadzieścia wodą. Nie obchodziły go opinie zwykłych śmiertelników pokroju króla Thufiego. Był bogiem śmierci i tworzył własne wojenne prawa.

A teraz wróci na Wielką Wyspę i przemaszeruje przez przełęcz Thoco do Pan, gdzie zmiażdży cesarza Erishiego i weźmie to, co do niego należy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

GOSPODYNI

OKOLICE ÇARUZY: DWUNASTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU RZĄDÓW
SZLACHETNEJ SIŁY

Jia czuła się przyłoczona.

Ponieważ nie pochodziła z rodziny arystokratycznej, nie potrafiła się przebić do śmietanki towarzyskiej Çaruzy. Kuni był zbyt ordynarny i praktyczny dla większości prawdziwych arystokratów, królów i ambasadorów, co miało wpływ na to, jak traktowali Jię. Dopóki żył Phin, specjalne względy, jakimi ją darzył, podnosiły w pewnym stopniu jej status, jednak po jego śmierci te kilka wysoko urodzonych kobiet, które uważała za swoje koleżanki, szybko zaczęło odnosić się do niej chłodno i z dystansem.

Chociaż Mata zapraszał ją od czasu do czasu i dbał o to, by jej i dzieciom niczego nie brakowało, nie obchodziło go raczej jej życie osobiste – był sztywny i powściągliwy, zaś u dworzan wzbudzał raczej strach niż sympatię.

Jia, zaciskając zęby, poszła kilka razy na przyjęcie w Çaruzie, jednak nie mogła się oprzeć wrażeniu, że damy dworu patrzyły na nią z góry i naigrawały się z jej zbyt głośnego śmiechu, prostej mowy córki kupca, a także nie najlepszych i mało wytwornych manier.

Dlatego trzymała się z dala od dworu i szukała pocieszenia w towarzystwie dziecka.

Jednak Toto-tika był słaby i chorowity, a kiedy czuł się gorzej, płakał bez ustanku, dopóki całkiem wykończonego nie morzył go sen. Jia wykorzystała całą swoją wiedzę i umiejętności, żeby przywrócić mu zdrowie i utrzymać przy życiu. Poza tym znowu była w ciąży, a nowe dziecko również zaczynało drenować ją z sił, ponieważ nie dawało jej w nocy spać i czyniło ją wiecznie zmęczoną i zirytowaną. „To chyba ma nawet sens – pomyślała – skoro ma się urodzić w Roku Jelenia, a już podryguje w moim łonie jak rozbrykany jelonek”.

Dzieci wymagały od niej tyle uwagi, że czasami widziała w nich podobieństwo do legendarnych upiorów z pustyni Gonlogi, które wysysały całą krew z pechowych podróżników, aż zostawały z nich suche skorupy. Wiedziała, że takie myśli nie przystają matce, jednak przestała się tym przejmować.

Miała liczną służbę, jednak służki były w większości sierotami, które przyjęła z litości. Były młode i same wymagały opieki. Czasami Jia czuła się jak jedna z tych kobiet, które przygarniają ranne pisklęta i bezdomne koty – cieszyła się, że jej towarzyszą, jednak jej empatia bywała ciężarem.

Dziękowała bogom za Otho Krina, który był dla niej wielką pomocą i ostoją, a wszystkim, co robił, chciał zasłużyć sobie na jej przychyłność. Och, kogo próbowała oszukać? Jia doskonale wiedziała, czego naprawdę pragnie chłopak, i uznawała to za komplement. Szczerze mówiąc, czasami podziwiała jego szczupłe ramiona i ładne – choć

nieśmiała – oczy i wyobrażała sobie ich sekretną schadzkę, lecz zaraz gromiła się w myślach i czerwieniła z poczucia winy.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że chłopak był dobry w zarządzaniu lokajami i stajennymi, do tego zajmował się wszelkimi naprawami, dzięki czemu przynajmniej to miała z głowy. Niestety był tylko mężczyzną i nie mógł pomóc jej w tysiącu drobnych spraw, które przytłaczały ją każdego dnia.

Zapadła noc. Dziecko już spało i w domu wreszcie zrobiło się cicho. Jia dotknęła pustego miejsca obok niej na łóżku i zabolą ją serce. Zamknęła oczy i próbowała sięgnąć myślami daleko i jeszcze dalej, do Kuniego.

Listy od męża były rzadkie i krótkie, jak wszystkie pewne wieści z frontu; nie usłyszała od niego słowa, odkąd nagle opuścił Zudi, nie mówiąc nikomu o celu swojej podróży. Zdała sobie sprawę, że było to w jego przypadku raczej normą niż wyjątkiem: chociaż wzięli ślub, by wieść razem ekscytujące życie, przez większość czasu Kuni wyjeżdżał, by przeżywać przygody, a ona zostawała w domu, z dzieckiem i trywialnym ciężarem codzienności. Gdzie jest ta „najbardziej interesująca rzecz” dla niej? „Co planujesz, mój mężu? Myślisz o mnie?”

Za kilka godzin będzie musiała znowu wstać i się uśmiechać, i cały dzień podtrzymywać radosne rozmowy. Wszyscy jej potrzebowali; wszyscy na niej polegali; właśnie ona musiała być silna i rozsądna – nie miała wątpliwości, że pewnego dnia zostanie do cna pozbawiona energii i po prostu padnie tam, gdzie stała.

Czuła się taka samotna. Coraz częściej nawiedzała ją myśl, że nienawidzi Kuniego za zostawienie jej samej sobie. Natychmiast ogarniały ją wyrzuty sumienia i próbowała walczyć z tym poczuciem, jednak wówczas stawało się ono jeszcze silniejsze.

„Wiedziałam, że będzie ciężko. Jednak nie taką drogę wybrałam”.

Zaczęła płakać, z początku cicho, potem coraz głośniejsze. Zagryzła poduszkę, żeby zagłuszyć dźwięki i nie pozwolić im wydostać się na korytarz. „Dlaczego czuję się tak bezsilna?”

Uderzyła mocno w poduszkę – tak mocno, że zabolą ją ręka po spotkaniu z twardym wypełnieniem z kokosa, zakopanym w nasionach i ziołach, które miały pomóc jej spać. Ból, co zaskakujące, naprawdę sprawił, że poczuła się lepiej.

Wymierzyła poduszcze jeszcze kilka ciosów, celując w miejsce, gdzie znajdowały się ostre krawędzie kokosowych łupin. Skrzywiła się. Przesunęła ręce nieco w bok, żeby trafiać pięścią w nasiona i zioła – tak było lepiej. „Przynajmniej nad tym mam jakąś kontrolę”. Uśmiechnęła się gorzko, ze łzami w oczach. Miała kontrolę nad tym, ile bólu kosztowało ją bicie poduszki.

Nagle jej uśmiech zamarł, a w głowie zakwitła jasna myśl: „Pozwoliłam sobie stracić kontrolę”.

Znalazła się na środku morza podczas sztormu i mogła w każdej chwili utonąć. Musiała znaleźć dryfującą gałąź, żeby się jej przytrzymać. Potem wespnie się na nią i ruszy w kierunku brzegu.

Musiała znowu sama podejmować decyzje, poczuć, że jest panią swojego losu.

Otworzyła drzwi i cicho wyszła z pokoju. Korytarzem udała się do frontowego skrzydła, a potem przesunęła kolejne drzwi, wydając przy tym ledwie słyszalne skrzypienie.

Dotknęła ramienia leżącej w ciemności postaci. Ta poruszyła się, mruknęła coś i wróciła do spania.

Klepnęła mocniej ramię śpiącego i szepnęła:

– Obudź się, Otho.

Otho Krin odwrócił się w jej stronę i przetarł oczy.

– Która... która godzina?

– To ja, Jia.

Otho natychmiast się wyprostował.

– Pani Jia! Co pani tutaj robi?

Jia wzięła głęboki wdech i otoczyła Otho ramionami. Cały zeszywniał.

– Spokojnie – powiedziała, a jej głos nabierał pewności. – Postanowiłam zrobić coś, co mnie uszczęśliwi, co sama sobie wybrałam.

– Tak? – odparł Otho zduszonym głosem.

Jia zaśmiała się cicho. Paradoksalnie, przestała czuć niechęć do Kuniego. Miała wrażenie, że jej życie wróciło na właściwe tory, że znowu ma nad nim kontrolę. Zdawało jej się, że złapała za dryfującą gałąź, zobaczyła promyk nadziei.

Usiadła i zaczęła po ciemku rozbierać Otho.

– Nie! – zaprotestował, ale zaraz przestał się opierać. – To musi być sen – mruknął. – Czy pani Rapa wynagradza mnie wspaniałym snem?

– To nie sen – odparła Jia. – Wytłumaczmy to sobie następnym razem. Teraz wystarczy powiedzieć tyle, że czasami musimy trzymać się siebie nawzajem tak mocno, jak się tylko da, by znowu poczuć, że żyjemy, że jesteśmy panami swojego losu, czego by nie wybrali dla nas bogowie.

Położyli się razem w mroku, ich ciała poruszały się rozpaczliwie, ich spragnione usta szukały w pasją jednocześnie czasu i bezczasu.



– Rozgłoś w mieście, że szukam gospodyni – oznajmiła Jia.

– Gospodyni? – zapytał Otho Krin. Zauważył, że Jia tego ranka była jakaś inna, co tylko potwierdzało prawdziwość zdarzeń minionej nocy.

Popatrzyła mu w oczy i nie było w jej spojrzeniu żadnego wstydu, żadnego zakłopotania. Uśmiechnęła się.

– Czuję się ostatnio zbyt samotna. Potrzebuję towarzyszki, kogoś, kto może mi pomóc w kobiecych pracach, kto będzie moją przyjaciółką.

Otho Krin kiwnął głową. Właśnie w takiej Jii się zakochał, taka Jia go zachwyciła i pokazała mu, jakie możliwości daje świat. Zawsze będzie lojalny wobec niej i dyskretny, jednak dzielił z nią łożo. Naprawdę. Radości w jego sercu nie dało się opisać.

Uklonił się i wyszedł.



W drzwiach stała kobieta w średnim wieku, która emanowała schludnością od czubka koka na głowie – każdy jeden kosmyk znajdował się na swoim miejscu – po czubki haftowanych butów – każdy szew był ciasny i równy jak szereg maszerujących mrówek.

– Nazywam się Soto – oznajmiła.

– Masz doświadczenie w prowadzeniu dużych gospodarstw?

– Wychowałam się w bardzo dużym domu – odparła Soto. – Znam parę sztuczek. – Obrzuciła Jię taksującym spojrzeniem.

Chociaż próbowała mówić jak plebejusz, Jia zauważyła jej szlachetny akcent i wytworność: kobieta nie kłaniała się przymilnie jak prawdziwy sługa przed obliczem przyszłej pani.

Z miejsca polubiła Soto.

– Çaruza jest pełna szlachetnych domów – zauważyła. – W wielu z nich patrzy się na nas z pogardą. Kto pragnie w przyszłości lepszej posady, nie powinien zaczynać u nas.

– Gdybym chciała mieszkać w domu prowadzonym przez rozpieszczone dzieci, które są zbyt stare, by im dać klapsa – odparła beznamytnie Soto – zapukałabym do innych drzwi.

Jia roześmiała się, a na twarzy Soto pojawił się cień uśmiechu. Pogarda gospodyni dla arystokratów z Çaruzy mogła świadczyć o tym, że była córką jakiegoś pomniejszego rodu, któremu źle się ostatnio powodzi.

– Zatem witaj w domu księcia Garu. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze dogadywać z Otho Krinem. Ja już zaczynam wariować.



Soto okazała się pracowitą, lecz przyjazną gospodynią i wkrótce dom Jii działał jak dobrze naoliwiona maszyna.

Kobieta wzięła najbardziej odpowiedzialne służki i kazała im na zmianę zajmować się dzieckiem za dnia, żeby Jia miała wolne ręce. Dziewczyny uczyły się wykonywać użyteczne prace domowe, dzięki czemu ich szanse na znalezienie dobrej posady w przyszłości rosły, zaś stajenni i lokaje doceniali łagodność Soto i jej oko do szczegółów. Zajmowała się rzeczami, którym Otho Krin nigdy nie poświęcał uwagi – na przykład pilnowaniem, by w dni świąteczne każdy dostał dodatkowe jajko.

Opowiadała też cudowne historie z czasów sprzed Zjednoczenia. Nawet Jia czasami słuchała jej jak zaczarowana, gdy zabawiając służbę z kuchni, snuła jedną ze swoich opowieści o starej arystokracji Cocru. Zdaniem Jii większość z nich Soto wymyślała, jednak potrafiła je doprawić tyłoma pysznymi i skandalicznymi szczegółami, że aż się chciało, by były prawdziwe.

Spacerowały razem po wsiach, plaży, równinach i wzgórzach. Soto interesowała się kolekcją ziół Jii i zadawała mądre pytania, a Jia z radością pokazywała jej różne wodorosty, kwiaty, trawy i krzewy i opowiadała o ich szerokim zastosowaniu. Soto poprosiła ją też o historię jej znajomości z Kunim, a Jia z przyjemnością opowiadała jej o mniej znanych przygodach męża. W zamian za to Soto podzieliła się wieloma opowieściami z przeszłości Cocru, które były tragiczne, poważne i romantyczne – na przykład ta o premierze Lurusénie, słynnym poecie, który utopił się w Liru, ponieważ król

Thoto nie chciał słuchać jego rad, mówiących, by nie ufać xańskim obietnicom pokoju.

Świat jest pijany, jam jeden trzeźwy.

Świat śpi, jam jeden obudzony.

Opłakuję nie ciebie, królu Thoto,

lecz cocruski lud.

– Jakiż to był wspaniały i lojalny człowiek! – powiedziała Jia, wzdychając. Wciąż pamiętała kreatywną interpretację Kuniego i przez jej usta przemknął uśmiech.

– Wiesz, że on w ogóle nie chciał się mieszać do polityki? – zauważyła Soto. – Zamierzał zostać pustelnikiem, żyć w górach i pisać wiersze.

– Co sprawiło, że zmienił zdanie?

– Jego żona, pani Zy, była znacznie większą patriotką i zachęcała go, żeby wykorzystał swój talent do czegoś poważniejszego niż zwykła rozrywka. „Polityka to najwyższa ze sztuk”, mówiła, a on w końcu jej posłuchał i napisał pełne pasji poematy, w których wzywał Cocru do walki z Xaną, zanim będzie za późno. Kiedy król Thoto go odwołał i udał się na podpisanie traktatu pokojowego z Xaną, Lurusén i jego żona rzucili się razem w wody Liru w ramach protestu.

Jia przez chwilę nic nie mówiła.

– Gdyby jej nie posłuchał, może oboje żyliby w górach długo i szczęśliwie.

– I zginęli zupełnie nieznani – odparła Soto. – Dziś jednak każde cocruskie dziecko potrafi recytować wiersze Luruséna i czci jego imię. Nawet Mapidéré nie miał dość odwagi, by zakazać czytania jego twórczości, chociaż Lurusén na każdej stronie przeklinał Xaną.

– Więc myślisz, że mógł być wdzięczny żonie?

– Lubię myśleć, że razem podejmowali decyzje i razem stawiali czoła ich konsekwencjom – powiedziała Soto.

Jia się zamyśliła. Soto także zamilkła i odtąd spacerowały w ciszy.

Jia zastanawiała się, kim naprawdę była jej gospodyni – Soto umiejętnie unikała odpowiedzi na pytania o jej przeszłość, a Jia nie chciała być wścibska. Mimo to lubiła swoją gospodynię, bo wydawała się rozumieć, że jej pani czasami potrzebuje, by ktoś jej towarzyszył, siedł obok i przeganiał samotność. W jej obecności Jia mogła narzekać głupio i samolubnie albo śmiać się głośno i niegrzecznie, a Soto nigdy nie dawała jej odczuć, by uważała to za niewłaściwe.



– Twojego męża nie ma już bardzo długo – zauważyła któregoś ranka Soto, gdy przyszła po instrukcje.

Jia znowu poczuła ukłucie w sercu.

– Tak, bardzo długo. I pewnie nie wróci na czas narodzin drugiego dziecka.

Gdy mówi się o czymś na głos, nadaje się temu wyraźniejszy kształt, czyni prawdziwszym. Kiedy Kuni powiadomił ją, że opuszcza Zudi i wyrusza na misję, o której

nie może nic powiedzieć, gniewała się na jego nieodpowiedzialność – choć czy sny wywoływane ziołami nie powtarzały jej zawsze, że życie z Kunim nierozzerwalnie będzie się łączyć z pewną dozą cierpienia? Nie powinna się dziwić.

Kiedy mijały dni i nie nadchodziły żadne nowe wieści, ogarniał ją coraz większy niepokój. Ponieważ Phin zmarł, a Mata wyjechał na Wilczą Łapę, nie miała już dobrego źródła informacji. Król Thufi i pozostali arystokraci prawie jej nie znali.

– Rozumiem, że on i Mata Zyndu są dobrymi przyjaciółmi – zauważyła Soto.

– Tak. Marszałek Zyndu i ksiązę Garu walczyli razem i są sobie bliscy jak bracia.

– Przyjaźnie między mężczyznami często nie są w stanie przetrwać kaprysów losu – odparła Soto. Zamilkła na moment, jakby zastanawiała się, czy powinna kontynuować. – Co myślisz o Macie Zyndu?

Jia zdziwiła się tonem Soto. Zyndu zwyciężył bitwę na Wilczej Łapie, był zmorą cesarstwa i największym wojownikiem Dary. W tej chwili maszerował przez Gójirę i zmiatał resztki cesarskich żołnierzy stawiających opór w gańskich miastach. Nawet król Thufi mówił o marszałku z wielkim szacunkiem. A jednak dla Soto jego imię było zwyczajne, jakby Mata był dzieckiem. Czyżby istniały jakieś powiązania między jej rodziną a rodem Zyndu?

– Marszałek Zyndu jest niewątpliwie najważniejszym rebeliantem – odparła ostrożnie Jia. – Bez niego nie pokonalibyśmy przebiegłego Marany i zaciętego Namena.

– Czyżby? – zapytała żartobliwie Soto. – To słowa krzykaczy z miasta, którzy powtarzają je codziennie, jakby się bali, że jeśli nie będą tego robić, natychmiast przestaniemy w nie wierzyć. Ja wiem tylko tyle, że zabił wielu ludzi.

Jia nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc wstała.

– Nie mówmy więcej o polityce.

– Nie możesz ciągle przed nią uciekać, Jia. W końcu jesteś żoną polityka, czy tego chcesz, czy nie. – Po tych słowach Soto ukłoniła się i wyszła.



Pokój przydzielony Soto znajdował się niedaleko pokoju Jii, a gospodyni miała dość lekki sen.

Słyszała, jak drzwi Jii otwierają się już po tym, jak wszyscy położyli się spać, i wiedziała, że otworzą się jeszcze raz, zanim wstanie słońce.

Widziała, jak Otho Krin patrzy na Jię, kiedy zdawało mu się, że nikt nie widzi. Widziała, jak nieco zbyt długo stał blisko niej, trzymając wodze koni jej powozu. Widziała też, jak Jia ukradkiem odpowiada na jego uśmiechy i uważnie słucha, gdy on przedstawia jej stan finansów gospodarstwa.

Jednak najwięcej powiedziało jej to, jak skrupulatnie starają się unikać zbytniej bliskości, gdy tylko ktoś jest w pobliżu.

Soto leżała w ciemności i myślała.

Przyszła do domu Garu, ponieważ zaintrygowały ją śmiałe historie o Macie Zyndu i Kunim Garu, marszałku i bandycie, ich niespodziewanej przyjaźni i niezwykłych wyczynach przeciwko Tanno Namenowi, które zainspirowały tysiące rebeliantów.

Tworzono na ich temat pieśni, a wielu mówiło o sympatii, jaką muszą darzyć ich bogowie.

Soto chciała na własne oczy zobaczyć prawdę stojącą za legendami, poznać Kuniego takim, jakiego znała go jego żona. Choćby w oczach świata mężczyzna był olbrzymem, w oczach żony zawsze będzie zwykłym, a może nawet mniej niż zwykłym człowiekiem. Niespodziewanie polubiła Jię, chociaż miała jej ona tylko posłużyć do osiągnięcia celu: poznania natury Kuniego poprzez poznanie kobiety, którą kochał.

Jia mogła się stać siłą zdolną do przeprowadzenia zmian, do ukształtowania przyszłości rebelii tak, by jej owoce były słodkie dla kogoś więcej niż dla ludzi pokroju Maty Zyndu – wielbiących ideał przeszłości, lecz ślepych na skomplikowaną rzeczywistość. Soto miała nadzieję pchnąć Jię na ścieżkę, która była jej przeznaczona, to jednak wymagałoby od niej wyznania prawdy o własnej przeszłości. Teraz jednak, gdy poznała tę plamę na życiorysie Jii, musiała się zastanowić, co oznacza.

Niektórzy idealizują obraz miłości, traktują ją jak fetysz. Słowa poetów czynią ją trwałą niczym żelazny pręt prosto z kowalskiego pieca, wiecznie rozżarzony do czerwoności. Soto nie podzielała tej romantycznej wizji.

Mężczyzna zakochiwał się w kobiecie, żenił się z nią, a łącząca ich pasja traciła na mocy. Potem on wychodził do świata, spotykał inne kobiety, znowu się zakochiwał, żenił się z nimi, a ta nowa namiętność także powszedniała. We wszystkich królestwach Tiro mężczyźni mogli się żenić wielokrotnie, jeśli tylko wszystkie ich żony się na to godziły.

Jeśli jednak mężczyzna był dobrym człowiekiem, jego namiętność zmieniała się w żarzący się węgiel, w każdej chwili gotowy, by na nowo buchnąć płomieniem. Jak pisał dawno temu wielki Kon Fiji: „Dobry mąż kocha wszystkie swoje żony, jednak bycie dobrym wymaga pracy, a większość mężczyzn jest leniwa”.

Podobnie było z samotną żoną żyjącą z dala od małżonka, która szukała pocieszenia w ramionach kochanka. A jednak nie skłamałaby, mówiąc, że wciąż kocha swojego męża.

Soto uważała, że zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet miłość przypomina raczej jedzenie. Jednostajność czyni danie nudnym, a różnorodność staje się przyprawą.

Świat tolerował zdrady u mężczyzn, lecz nie u kobiet. Jednak świat się mylił. Kaprysy serca należało traktować tak samo u obu płci.

Jia nie dała się stłamsić konwenansom w sprawach sercowych. Soto miała nadzieję, że z równą odwagą co swoją namiętność, wykorzysta swoją pozycję. Liczyła na to, bo od tego zależało szczęście nie tylko jej samej, ale też całego cocruskiego ludu – a nawet całej Dary.

Wróciła do snu, a nazajutrz nie powiedziała na temat swego odkrycia ani słowa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

PRAWDZIWY WŁADCA PAN

GÉJIRA: PIERWSZY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU
PRYNCYPATU

Teraz, gdy cesarstwo zostało pozbawione przywódcy na miarę marszałka Kindo Marany albo generała Tanno Namena, pozostałe oddziały cesarskiej armii w Gėjirze padały przed Matą na kolana. Wiele garnizonów poddawało się bez walki.

Jednak sporo miast wciąż się opierało, a inni dowódcy rebeliantów rywalizowali między sobą i proponowali Macie różne strategie podboju, żeby udowodnić swoją wartość. Szczególnie mizerny człowieczek o nazwisku Gin Mazoti upierał się przy każdej okazji, by spotykać się z Matą.

– Jeśli dasz mi pięćdziesięciu ludzi, możemy wejść do miasta w przebraniu kupców długo przed twoim przyjazdem i w odpowiednim momencie otworzyć ci bramy.

– Kanały wychodzą do morza, moglibyśmy się dostać do miasta właśnie tędy.

– To dziwne, że z Pan w dalszym ciągu nie ma żadnych wieści. Dlaczego regent nie mianował nowego dowódcy, który zaprowadziłby wojsko do Gėjiry? Marszałku, coś jest nie tak, musimy wysłać do Géfiki dwa razy więcej szpiegów.

Mata z pogardą go odsyłał. Tacy jak on woleli polegać na sztuczkach niż prawdziwej walce. Niegodni.

Po podbiciu każdego opierającego się miasta czystą siłą Mata pozwalał swym żołnierzom przez trzy dni robić z mieszkańcami, co im się żywnie podobało. Na dodatek postanowił zniszczyć przemysł w Gėjirze, żeby żadne z podbitych terytoriów nie zbuntowało się po jego odejściu. Młyny wodne na Sonaru zrównano z ziemią, a te irygacyjne na polach spalono jak olbrzymie pochodnie.

Król Dalo, którego Mata Zyndu ciągnął ze sobą jako więźnia, czasami próbował wstawiać się za Gėjirą, która przed Zjednoczeniem należała do Ganu. Nawet Marana, teraz będący „gościem” marszałka, od czasu do czasu dołączał się do królewskich próśb o litość.

Ludzie tak chętnie dawali mu rady. Mata miał już tego dosyć.

– Rozumiesz, oczywiście, że przykładnie karząc te miasta, zniechęcam resztę Gėjiry do oporu, by w ten sposób uratować więcej ludzi, zwłaszcza moich żołnierzy?

Dalo nie potrafił na to odpowiedzieć. Marana miał w sobie tyle wstydu, by się zarumienić, ponieważ kiedyś sam kierował się podobną logiką.

Jednak w oczach Maty mieszkańcy Gėjiry byli także tchórzami i zdrajcami, ponieważ nie przeciwstawili się cesarstwu w chwili, gdy rebeliantom przydałaby się ich pomoc. W pewnym sensie uważał, że brutalność, jaką okazywali tutejszym miastom żołnierze, jest sprawiedliwa.

Po wydarzeniach na Wilczej Łapie postanowił, że nigdy nie pozwoli, by przez jego litość ginęli ludzie.

Chociaż nadal podtrzymywano fikcję, że pozostałe królestwa Tiro wciąż mają swoich własnych dowódców, Owi Ati i Huye Nocano coraz bardziej przypominali marionetki. Ich oddziały znalazły się pod ścisłą kontrolą Maty. Thufi czasami także próbował wysłać marszałkowi swoje „sugestie”, on jednak czytał je jedynie pobieżnie i zaraz wyrzucał.

Praktycznie rzecz biorąc, Mata Zyndu stał się nowym princepsem – nie, więcej niż princepsem: hegemonom – i wszystkie królestwa tiryjskie to rozumiały.

Géjira została ostatecznie spacyfikowana w ciągu miesiąca, jednak trudno było o godne zaufania wieści na temat tego, co działo się w Géfice, sercu cesarstwa. Kupieckie karawany przestały jeździć przez przełęcz Thoco, a żaden ze szpiegów Maty nie wracał. Pozostali imperialiści najwyraźniej przyczaili się w Niepokalanym Mieście i nie zamierzali przyjść Géjirze z odsieczą.

Także z Zudi posłańcy wracali z pustymi rękami: książe Garu zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Mata nie martwił się szczególnie – chciał mieć Kuniego u swego boku, szykując się do ostatecznego ataku, jednak wiedział, że jego przyjaciel jest przebiegły i potrafi o siebie zadbać.

Kiedy nastał nowy rok, Mata zaprowadził armię rebeliantów do przełęczy Thoco, gdzie mieli rozpocząć marsz na Pan i małoletniego cesarza Erishiego.

„Wreszcie – pomyślał – marzenie o uwolnieniu Dary się spełni”.

Poczuł się lekki jak piórko i podekscytowany jak dziecko.



Ośnieżone szczyty i strome zbocza gór Shinané i Wisoti tworzyły dwie ściany, które pokonać potrafiły jedynie ptaki i górskie kozły.

Jedyną drogę ze znajdującej się po wschodniej stronie pasma górskiego Géjiry do Géfiki po stronie zachodniej stanowiła przełęcz Thoco, ciągnąca się trzydzieści kilometrów dolina między górami Kana i Rapa na południu a górą Fithowéo na północy. Była wąska, ciemna i porośnięta drzewami, które wyciągały gałęzie ku niebu, jak mogły najwyżej, by łapać promienie słońca przesączające się między stromymi szczytami. Pomruki niespokojnych wulkanów po obu stronach od czasu do czasu zwiastowały lawiny kamieni, które blokowały przejście do czasu, aż ktoś je usunie. Idealne miejsce na zasadzkę.

Przez lata różne królestwa tiryjskie walczyły ze sobą o serię fortów strzegących przełęczy Thoco. Kto miał kontrolę nad nimi, miał kontrolę nad kręgosłupem Wielkiej Wyspy.

Jeśli szło się od wschodu, pierwszym napotkanym fortem była Goa, ogromna kamienna cytadela zbudowana ponad dwieście lat wcześniej. Armia marszałka Zyndu ostrożnie się do niej zbliżyła i wysłała kilku zwiadowców. Jako ostatnia bariera przed Pan, przełęcz Thoco powinna mieć silną obronę.

Doru Solofi, kapitan zwiadowców, wrócił z zaskakującymi wieściami: na cytadeli Goa wisały czerwone flagi Cocru.

Mata Zyndu wziął ze sobą kilku osobistych strażników i podjechał pod bramy.

– Otwierać! – zawołał Ratho. – Przybyliśmy z marszałkiem Zyndu, głównym dowódcą rebeliantów. Kto dowodzi wami?

Żołnierze wyjrżeli ostrożnie zza murów.

– Bez rozkazu księcia Garu nie wpuszczamy nikogo.

– Księcia Garu? Macie na myśli Kuniego Garu, księcia Zudi?

– Właśnie tego. Chociaż teraz, gdy pojmał cesarza Erishiego, zostanie królem Géfiki!

Mata ruszył do przodu.

– Co takiego zrobił? Otwierajcie natychmiast i prowadźcie mnie do niego!

Obrońcy cytadeli wcześniej służyli cesarstwu i teraz chcieli okazać gorliwą lojalność wobec nowego pana. Posłali w stronę Maty i jego przybocznych strzały, śmiejąc się z aroganckiego mężczyzny, który myślał, że może tak po prostu wparować do miasta i rozmawiać z księciem.

Ratho podniósł swoją tarczę przed Matą, jednak ten wyrwał mu ją z ręki i odrzucił na bok. Strzała wbiła mu się w ramię, lecz zdawał się tego nie zauważać.

Ratho poczuł, jak krwawi mu serce – jak księżę Garu mógł wystąpić przeciwko swojemu przyjacielowi, i to po tym wszystkim, co razem przeżyli?



– Musiało dojść do jakiejś pomyłki – powiedział Mata Zyndu.

„Czyż Kuni nie mówił mi kiedyś, że tylko ja mam dość siły i odwagi, by podbić Niepokalane Miasto i zdobyć nagrodę obiecaną przez króla Thufiego? – myślał. – Nie rozmawiałem z nim na temat mojego snu o szalejącej w stolicy burzy złota, złożonej z płatków chryzantemy i, jak miałem nadzieję, mlecza? Czyż nie jesteśmy braćmi, którzy przyrzekali wspierać się we wszystkim, walczyć o te same cele, a nie o samolubne korzyści?”

Mata Zyndu nie potrafił tego pojąć. Jak mógł Kuni zakraść się do Pan jak złodziej, kiedy jego przyjaciel walczył o przetrwanie całej rebelii na Wilczej Łapie? I jak mógł wystąpić przeciwko niemu niczym bandyta broniący swojego terytorium? Niemożliwe. To musiał być jakiś oszust podający się za Kuniego Garu.

– Wszyscy mnie zdradzają – mruknął. – W ludziach pokroju Kikomi i Kuniego Garu nie ma krztyny honoru. – Choć Mata darzył ich zaufaniem, ostatecznie go zdradzili w wyjątkowo nikczemny sposób.

Jednak Torulu Pering poinformował go, że człowiek Kuniego Garu, mężczyzna o imieniu Ro Minosé, uciekł z Goa i przyszedł się poddać. Zobaczył liczebność armii Maty i zdecydował, że lepiej do niego dołączyć.

– Opowiedz mi o sukcesach księcia Garu – rzekł Mata Zyndu. Z całych sił starał się zachować obojętny wyraz twarzy i spokój w głosie.

Ro opowiedział o podróży do Rui na grzbietach crubenów, niespodziewanym ataku na Pan i przemyślanej manipulacji nastrojami imperialistów, o łagodnych rządach później i szacunku ludu Géfiki, na jaki sobie zasłużył.

– Ludzie kochają księcia Garu. Uważają, że bogowie ich błogosławili, jego czyniąc zdobywcą Pan zamiast...

– Kontynuuj.

– Zamiast ciebie, marszałku. Ludzie księcia Garu często mówią o tym, co się stało w Dimu, a dezercerzy z armii cesarskiej rozgłosili plotki o wypadkach z Wilczej Łapy i Gėjiry. Niektórzy chcą, by Garu został nie tylko ich królem, ale może nowym cesarzem.



Gniew Maty Zyndu był nagły, potężny i nieokiełznany.

Mata chodził w kółko w swoim namiocie jak zwierzę w klatce. Wszystko, co znajdowało się w środku, zostało przez niego połamane i leżało w kawałkach w błocie, a Mata, maszerując, deptał po odłamkach.

„Kiedy ja i moi żołnierze ryzykowaliśmy życie, by powstrzymać potop cesarskiej armii na Wilczej Łapie, Kuni zakradł się przez niepilnowane drzwi jak złodziej. Kiedy ja, czystą odwagą i siłą, osiągnąłem najwspanialsze zwycięstwo w historii świata, Kuni ukradł zaszczyty i nagrody, jakie należały się mnie. A teraz? Teraz? Ten złodziej nie ma nawet dość przyzwoitości, żeby stanąć przede mną i się wytłumaczyć. Kuni Garu, niegdyś bliski mi jak brat, zamknął przede mną drzwi niczym złodziejasek, który chce zachować sobie większą część łupu”.

– Prędzej umrę, niż pozwolę mu zostać królem Géfiki! – zawył Mata Zyndu. Wściekał się także, myśląc o swoich żołnierzach, młodych mężczyznach, chłopcach raczej, którzy szli za nim od Tunoi i walczyli nieustraszenie u jego boku. Zasługiwali na to, by świat docenił ich męstwo.

„To nie do pomyślenia, by ludzie uważali, że to Kuni Garu wykończył cesarstwo”.

Pozostali arystokraci i dowódcy, trzymając nisko głowy, jeden po drugim, krok po kroku wycofali się w stronę wyjścia, mruknęli słowa pożegnania i szybko uciekli.

Torulu Pering jako jedyny pozostał na miejscu.

– Marszałku, uspokój się i przemyśl to.

– Przemyśl? My musimy działać! Trzeba natychmiast atakować Goa, żeby dostać się do Pan i złapać tego oszusta Kuniego Garu. Chcę spojrzeć w oczy temu zdrajcy, chociaż pewnie nie ma dość wstydu, żeby w ogóle zrozumieć, jak bardzo mnie uraził.

– Marszałku, Kuni Garu może i pochwycił cesarza Erishiego jak przebiegły sęp, kiedy ty niczym samotny wilk walczyłeś z cesarstwem. Jednak to on dosłownie wypełnił warunki obietnicy króla Thufiego i światu nie spodoba się, jeśli zawalczysz z nim jak zazdrosne dziecko. Chociaż cesarstwo upadło, otwarty konflikt między wielkimi przywódcami rebelii przyniesie nam wszystkim hańbę.

– On na to nie zasługuje! Ukradł tytuł, który należy się mnie!

– Może lepiej pozwolić mu myśleć, że go zdobył – powiedział Torulu Pering – a ty przystajesz na jego uzurpację. Zbliź się do niego, a kiedy przestanie się pilnować i oddali od swoich ludzi, możesz go złapać i obnażyć jego sztuczki przed światem. Wtedy i tylko wtedy będziesz mógł należycie wystąpić o przyznanie ci tronu nowego królestwa Tiro w Géfice.



Marszałek Zyndu wysłał posłańców do cytadeli Goa, żeby pogratulować strażnikom fortu służby u takiego wspaniałego pana jak król Kuni z Géfiki. Może mogliby zanieść wiadomość do swojego króla?

Marszałek Zyndu chciałby pogratulować swojemu staremu przyjacielowi wspaniałego zwycięstwa nad Pan i bardzo skromnie prosi, by Jego Wysokość przyjęła go na audiencji.

Oczywiście Mata nie potrafił skreślić słów „Wasza Wysokość”. Próbował pod wpływem rady Torulu, jednak z gniewu tak mocno ścisnął woskowy patyk, że rozpuścił się w jego dłoni.

Skoczył na równe nogi i kazał Torulu dokończyć wiadomość za niego.

– Idę na polowanie – oznajmił. – Muszę natychmiast kogoś albo coś zabić.



Kuni zbladł, czytając sarkastyczną wiadomość od Maty.

– Kto wymyślił, żeby nie wpuścić Maty Zyndu do przełęczy Thoco? – zapytał drżącym głosem. – Co się stało z posłańcami, których wysłałem z zaproszeniem dla marszałka, by świętował ze mną nasze wspólne zwycięstwo w Pan?

Rin Coda postąpił krok do przodu.

– Marszałek Zyndu słynie z okrucieństwa. Starałem się powstrzymać wieści o naszym zwycięstwie przed rozprzestrzenieniem się na wschód i umocniłem obronę na przełęczy Thoco. Uznałem, że dzięki temu zyskamy czas, żeby zabezpieczyć naszą pozycję w Pan i uzyskać wsparcie mieszkańców.

– Och, Rin, coś ty narobił? – Cogo Yelu z frustracji pokręcił głową. – Wystąpiłeś otwarcie przeciwko marszałkowi, jakbyśmy byli wrogami, a nie sojusznikami! Teraz nawet jeśli wiadomość od pana Garu dotrze, nikt nie uwierzy w jego dobrą wolę. Mata Zyndu ma dziesięć razy więcej żołnierzy niż my i silną reputację. Wszystkie królestwa Tiro go wielbią, a pan Garu nie zdobędzie tronu Géfiki bez jego wsparcia. Gdybyśmy otwarcie zaprosili go do Pan, moglibyśmy udawać, że niespodziewany atak na stolicę od początku był częścią planu Maty Zyndu i w ten sposób zdobyć jego wsparcie...

– Nie tylko udawać – przerwał mu Kuni. – Wspólne zwycięstwo z moim bratem naprawdę od początku było moim zamiarem.

– Teraz to już niemożliwe – lamentował Cogo. – Trudno będzie naprawić ten błąd.

Do Haanu natychmiast zostali wysłani szybcy jeźdźcy, żeby sprowadzić Luana Zyę. Kuni potrzebował jego rady.



– Zwycięstwo okazało się mniej słodkie, niż się spodziewałem – powiedział Kuni.

Luan kiwnął głową, myśląc o samotności i niepokoju, jakich doświadczył w ruinach posiadłości jego rodu w Ginpen, kiedy czekał na znak od ducha ojca.

– Kaprysy serca człowieka są równie trudne do przewidzenia co wola bogów.

Nie mieli czasu na filozofowanie. Ludzie Kuniego wycofali się z Goa, a armia Maty maszerowała tuż za nimi.

Luan Zya i Cogo Yelu starannie zaplanowali odwrót sił Kuniego z Pan. Zabezpieczyli pałac i odłożyli na miejsce wszystkie kosztowności. Cogo załadował księgi cesarstwa na wozy ciągnięte przez woły i zabrał je do Kuniego – Dafiro był teraz przekonany, że został między nimi ukryty jakiś skarb, jednak gdy zaczął wypytywać Cogo, ten tylko kręcił smutno głową.

Potem Kuni zabrał cocruskich żołnierzy i wszystkich Xańczyków, którzy chcieli iść za nim, piętnaście kilometrów na wschód, żeby rozbić obóz nad jeziorem Tututika.

Starszyzna Pan towarzyszyła mu przez sporą część drogi. Podobały im się łagodne rządy Garu, które dawały wytchnienie po srogim prawie i okrutnych karach Erishiego. Reputacja marszałka Zyndu – zabarwiona krwią Dimu, Wilczej Łapy i Gójiry – zniechęcała ich do nowego zdobywcy. Błagali Kuniego Garu, żeby został.

– Doszło do pewnego nieporozumienia między marszałkiem Zyndu i mną – odparł Kuni. – Jeśli zostanę, tylko pogorszę sytuację. – Pamiętał jednak agonialne krzyki mieszkańców Dimu i dręczyły go wyrzuty sumienia.

Popatrzył na olbrzymie jezioro Tututika. Woda sięgała aż do widnokrzęgu, jak morze, była jednak spokojna i płaska jak lustro.

– Teraz musimy poczekać i się przekonać, jak potraktuje nas Mata. Mam nadzieję, że wciąż pamięta naszą przyjaźń i wybaczy mi tę rzekomą zniewagę.



Kiedy Mata Zyndu wmaszerował do stolicy, zarządził wielkie plądrowanie. Swoim ludziom obiecał niegdyś bogactwa Pan i nie zamierzał pozbawiać ich tej przyjemności. Nie zachęcał do mordowania mieszkańców, którzy starali się go godnie przyjąć, z drugiej jednak strony tego nie zakazał.

Zacinał zimny deszcz, a kiedy przerażeni mieszkańcy biegli przez mokre, śliskie ulice, uciekając przed mieczami, woda w rynsztoku przybrała rudą barwę.

Kiedy Kuni Garu i jego ludzie opuszczali miasto, cesarz Erishi pozostał w pałacu.

– Proszę, zabierzcie mnie ze sobą – błagał chłopiec. – Nie zostawiajcie mnie na pastwę tego rzeźnika.

Kuni wtedy westchnął i powiedział, że nic nie może zrobić. Mata Zyndu mianował siebie hegemonem wszystkich królestw Tiro, los cesarza znajdował się w jego rękach. Kuni podważył palce chłopca mocno ściskającego jego szatę i odepchnął go, by odejść, jednak długo jeszcze słyszał żałosny płacz Erishiego.

Ludzie Maty Zyndu wywieźli z pałacu wszystkie skarby, następnie zamknęli wszystkie drzwi, zostawiając w środku cesarza i jego kilku wiernych służących.

Marszałek głośno wymienił wszystkie grzechy cesarstwa popełnione wobec sześciu

królestw Tiro i podpalił pałac. Chłopca ostatni raz widziano, jak skakał z najwyższej wieży, dokąd wcześniej uciekł przed szalejącą pożogą. Płomienie rozprzestrzeniały się, a mieszkańcom Pan zabroniono ich gaszenia. W końcu spłonęło całe miasto, a ogień tlił się przez trzy miesiące. Popiół i dym, unoszący się jak czarna włócznia godząca w niebo, dało się dojrzeć nawet z Haanu.

Niepokalanego Miasta już nie było.

– Wraz ze śmiercią cesarza Erishiego umiera także cesarstwo – ogłosił Mata. – Nadszedł pierwszy rok Pryncypatu.

Wiwaty tłumu wydawały mu się przygaszone i mało entuzjastyczne. Nie podobało mu się to.



Mata Zyndu wysłał swoich ludzi także do Mauzoleum cesarza Mapidérégo. Niemal każdy rebeliant miał rodzinę albo przyjaciół, którzy zostali zmuszeni do pracy w tym miejscu – wielu z nich zmarło jako robotnicy pańszczyźniani. Wyglądało na to, że wszyscy pragną zniszczyć miejsce spoczynku cesarza w akcie zemsty, a Mata uznał to za idealne rozwiązanie.

Mauzoleum było podziemnym miastem zbudowanym w środku wydrążonej skały w górach Wisoti.

Ludzie Maty Zyndu szybko rozbili wejście do miasta, wykonane z najczystszej, najbielszego marmuru. Za nim znajdował się labirynt tuneli pokrytych misternymi rytami. Wiele odnóg prowadziło do ślepych zaułków albo pułapek, więc z tłumu żołnierzy, którzy wpadli do środka z pochodniami i kilofami, spora część została raniona, a nawet zginęła.

Tylko kilka tuneli prowadziło do samego podziemnego miasta, gdzie wypełnione rtęcią i wyłożone jadeitem okopy oraz jeziora udawały morza i rzeki Dary, a rzeźbione sterty złota i srebra symbolizowały Wyspy. Na nich zaś najważniejsze cechy ukształtowania terenu oznaczono jadeitem, perłami, koralem i klejnotami.

Na środku modelu Wielkiej Wyspy znajdowało się podium, a na nim sarkofag z ciałem cesarza Mapidérégo. Wokół znajdowały się mniejsze trumny, gdzie złożono ciała ulubionych żon i służących cesarza, których uduszono i pochowano razem z nim, by towarzyszyli mu w życiu pozagrobowym. Kolejne błyszczące klejnoty przytwierdzono do sufitu podziemnego miasta, aby odtworzyć gwiazdne konstelacje, a lampy wypełnione parującym powoli olejem, wydobytym z głębi ziemi, miały oświetlać wnętrze przez tysiące lat.

Kiedy rebelianci wydłubali już wszystkie kamienie szlachetne i rozbili na kawałki każdą rzecz, jakiej nie mogli ze sobą zabrać, wyciągnęli ciało cesarza Mapidérégo z sarkofagu i rzucili je na środek placu Kijiego, pustej przestrzeni w centrum Pan. Następnie ogarnięty gorączką tłum rozerwał je na tysiąc części.

Tymczasem żołnierze Maty Zyndu kontynuowali swoje łowy wśród mieszkańców wiosek położonych w pobliżu Pan. Nie miał kto wysłuchać krzyków rozpacz i błagań o litość.



Mata Zyndu jechał tym, co zostało po ulicach Pan, i oglądał zniszczenia. Słodycz wymierzenia sprawiedliwości gorzkiała pod wpływem rozczarowania zdradami, jakich doświadczył z rąk Phina, księżniczki Kikomi i Kuniego Garu, którego uważał za brata. Radość z bycia panem miasta była pusta. Zostało mu подарowane przez Kuniego, a powinien był podbić je samodzielnie. Nic nie cieszyło go tak, jak to sobie wyobrażał.

Zwolnił, słysząc dźwięki pieśni żałobnej. Kobięcy lament był na porządku dziennym na ulicach Pan, jednak ta konkretna pieśń zwróciła jego uwagę, ponieważ powędrowała znajomą ścieżką od jego uszu do serca: słyszał ją często w dzieciństwie.

Ratho Miro, który zawsze towarzyszył Macie, przyprowadził płaczącą kobietę przed jego oblicze.

– Kobięto, czyżbyś pochodziła z Tunoi?

Wysoka i szczupła nieznajoma odgarnęła brudne i sklezione w strąki włosy, żeby spojrzeć na Matę. Jej ciemna karnacja go zdziwiła – wyglądała jak mieszkanka Haanu, jednak mówiła jak ktoś pochodzący z Tunoi.

– Nazywam się Mira – odparła. – I rzeczywiście jestem córką Tunoi. – Patrzyła na niego odważnie, jakby go prowokowała, by spróbował zwątpić w jej słowa. – Moi rodzice zarabiali na życie, łowiąc ryby w Haanie, dopóki pewnego dnia w sieci mojego ojca nie zaplątała się dyrana. Dowódca miejscowego garnizonu Xany uznał, że mój ojciec popełnił świętokradztwo, ponieważ dyrana to święta ryba pani Dathy, zmarłej matki cesarza Mapidérégo. Aby zadośćuczynić bogom, rodzice musieli zapłacić mu dziesięć sztuk złota. Uciekli przed długiem do Tunoi, gdzie nie powitano ich z otwartymi ramionami. Ja i mój brat urodziliśmy się na Wyspie Winorośli, najmniejszej i najdalej wysuniętej wysepce Tunoi.

Mata pokiwał głową. Rybacy z tamtych terenów, podobnie jak przywiązani do tradycji rolnicy z Cocru na Wielkiej Wyspie, podejrzliwie podchodzili do obcych i niewątpliwie z pogardą patrzyli na rodzinę, która uciekła przed długiem – nawet jeśli niesłusznie egzekwowanym. Domyślał się, że dzieci, dorastając z dala od domu, musiały znosić przytyki ze strony rówieśników.

– Jak się tu znalazłaś i czyją śmierć oplakujesz?

– Mój brat udał się za tobą za morze – odparła. – Nazywał się Mado Giro. – Kiedy nie zauważyła, by Mata rozpoznawał to imię, jej ciemne oczy, które chwilę wcześniej rozbłysły promykiem nadziei, przygasły. – Jako pierwszy w naszej wiosce dołączył do rebeliantów. Chodził od domu do domu i mówił wszystkim rodzicom, że powinni wysłać swoich synów razem z nim, ponieważ jesteś jeszcze wspanialszym człowiekiem niż twój dziadek i przywrócisz Cocru chwałę. Szesnastu młodych mężczyzn poszło z nim do Farun.

Mata kiwnął głową. Czyli brat dziewczyny był jednym z Pierwszych Ośmiuset, którzy przepłynęli z nim i jego wujem morze, żeby poznać Huno Krimę i Zopę Shigina. Uwierzyli w niego, gdy jeszcze był nikiem, kiedy rebelia zdawała się skazana na klęskę.

– Czekałam na niego w domu, ale listy dochodziły rzadko. Był dumny z tego, co osiągnął, jednak najwyraźniej nie zasłużył na uznanie w twoich oczach, chociaż jestem pewna, że walczył równie dzielnie jak wtedy, gdy bronił mnie w dzieciństwie przed innymi

dziećmi.

Powinien chyba pamiętać coś na temat tego człowieka, który z pewnością wyróżniał się spośród żołnierzy, zważywszy na jego haańskie pochodzenie. Jednak Mata nic sobie nie przypominał – ani twarzy, ani rangi, ani imienia.

Tak się skupiał na własnym męstwie, na własnych dokonaniach i chwale, jaką przywróci rodowi Zyndu, że nie poświęcił czasu, żeby poznać ludzi, którzy mu zaufali i którzy dla niego ryzykowali życie. Zawstydzony, unikał wzroku Miry.

– Zostałam w domu, żeby opiekować się rodzicami, jednak Kana zabrała ich oboje zeszłej zimy. Mieszkałam sama, dopóki nie dostałam kolejnego listu od Mado, w którym pisał, że wreszcie dotarliście do Pan i wojna się skończyła. Spakowałam się i poszłam go szukać.

Jednak zamiast szczęśliwego spotkania czekał ją widok zwłok brata, owiniętych w całun i złożonych w masowym grobie. Był jednym z żołnierzy, którzy chcieli się przebić do Mauzoleum. Kilka strzał z pułapki pozbawiło go życia, chociaż błąd Mado pozwolił jego kamratom wejść głębiej i zabrać część skarbów z bocznej komory grobowej.

– niesprawiedliwy los – mruknął Mata.

Żałował tej kobiety mocniej, niż się spodziewał. Może chodziło o jej akcent, który przypominał mu spokojniejsze czasy spędzane w domu. Może o jej twarz, którą uważał za piękną mimo brudu i zaschniętych łez. Może o poczucie obowiązku, rodzące się ze wstydu, że nie pamięta człowieka, który tak długo był mu lojalny. Może wreszcie o empatię, jaką czuł do martwego żołnierza, dość odważnego, by porwać się na wielkie ryzyko, którego profity przypadły w udziale komuś innemu.

Poczuł, jak w jego oczach wzbierają łzy.

– Kobieto, powinnaś zostać u mojego boku. Zajmę się tobą i nigdy niczego ci nie braknie. Twój brat był jednym z pierwszych, którzy odpowiedzieli na moje wezwanie, kiedy nie było wcale jasne, że wygram. Powinienem urządzić mu godziwy pogrzeb.

Mira ukloniła się nisko, a potem poszła bez słowa za wszystkimi aż do obozu Maty.



W zaułku nieopodal żebrak i zakonnica cicho obserwowali całą rozmowę Maty i Miry.

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Gdy w Pan umarło tylu ludzi, wędrowni mnisi i zakonnice zeszli się do miasta, by udzielić ostatniego namaszczenia, a żołnierze Maty uczynili wielu mieszkańców bezdomnymi, którym zostało już tylko żebrać.

Zakonnica miała na sobie habit nieznanego zgromadzenia, twarz widoczna pod kapturem nie zdradzała jej wieku. Za jej plecami na szczycie muru przysiadł duży czarny kruk i władczo obserwował ulicę.

– Podoba mi się twoje nowe przebranie – powiedziała do żebraka. – Oplakujesz utracone imperium? – Głos był nieprzyjemny, ostry, smętny i ochrypły.

Chociaż brud pokrywał każdy widoczny skrawek skóry żebraka – w tym jego łąsą głowę – mężczyzna miał na sobie dziwacznie wyglądającą na tym tle idealnie białą pelerynę. Gdyby ktokolwiek mijający zaułek zwrócił na nich uwagę, zauważyłby, że dłoń trzymająca laskę ma tylko cztery palce.

Żebrak wycofał się o krok i spojrzał na zakonnicę zimnymi, bladoszarymi oczami.

– Wojna nie potoczyła się po mojej myśli – powiedział. – Jednak to nie twój czempion zadał ostateczny cios. Wszyscy zostaliśmy oszukani.

Na twarzy zakonnicy chyba na moment pojawił się rumieniec, chociaż trudno było to ocenić ze względu na cień jej kaptura.

– Garu może jest synem Cocru, ja jednak umywam do niego ręce. To moja siostra Rapa zdaje się go lubić.

Kąciki ust żebraka uniosły się w złośliwym uśmiešku.

– Czyżby jakieś nieporozumienia między Bliźniaczkami i Fithowéo? Może wojna jeszcze się nie skończyła?

Nie połknęła haczyka.

– Trzymaj się z dala od Maty – rzekła. – Wiem, że pragniesz zemsty za Xańczyków, którzy zginęli na Wilczej Łapie, jednak Mata miał swoje powody.

– Gdyby liczyła się tylko krew za krew, historię pisałoby się banalnie łatwo. Ale nie martw się, to nie ja pierwszy złamię nasz pakt.

– Możesz się powstrzymać przed bezpośrednim skrzywdzeniem śmiertelnika, lecz kto wie, kiedy podmuch wiatru postanowi przewrócić słaby maszt w jego pobliżu? Albo kiedy przelatujący nad nim orzeł pomyli jego głowę z kamieniem i zrzuci na nią żółwia?

Żebrak roześmiał się bez cienia radości.

– Siostro, jestem rozczarowany tym, że spodziewasz się po mnie takich niskich zagrywek. Nie jestem Tazu. Ale pilnuj tego swojego Maty jak kwoka, jeśli chcesz.

Żebrak odszedł, jednak zanim całkiem zniknął za rogiem, odwrócił się i rzucił jeszcze:

– Wiele się nauczyłem, obserwując śmiertelników.

WILK W KLATCE

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

UCZTA

PAN: TRZECI MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

Teraz, gdy Mata Zyndu ostatecznie położył kres cesarstwu, nadszedł czas, żeby odpowiednio nagrodzić rebelianckich dowódców. Marszałek ogłosił, że organizuje ucztę.

– To szansa, żeby skonfrontować się z księciem Zudi – zauważył Torulu Pering.



Doradcy Kuniego starannie przyjrzeni się zaproszeniu Maty.

– Nie myślisz chyba poważnie, żeby wziąć w tym udział – powiedział Than Carucono. – Marszałek Zyndu przez cały ten czas odmawiał spotkania z tobą, więc wyraźnie wciąż gniewa się za to, że podbiłeś Pan przed nim. Ta ucztą to pułapka. Jeśli pójdziesz, nie wrócisz.

– Książę Garu nie ma wyjścia – zauważył Cogo Yelu. – Jego odmowa będzie odebrana przez wszystkich jako zniewaga dla Maty Zyndu i przyznanie się do wystąpienia przeciwko niemu. Jeśli potem Zyndu ogłosi księcia Garu zdrajcą, poprą go wszystkie królestwa Tiro.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy. To książę Garu pierwszy zdobył Pan i pojmał cesarza. Dlaczego król Thufi nie dotrzyma swojego przyrzeczenia? – zapytał Rin Coda.

– Twoim zdaniem możemy pokonać Matę Zyndu na polu bitwy? – zapytał Luan Zya.

– Nie.

– W takim razie obietnica króla Thufiego nic nie znaczy. W tym świecie jedyną walutą jest czysta siła. Pan Garu musi iść na ucztę, ponieważ jest na słabej pozycji, a Mata Zyndu dyktuje warunki. Jeśli jednak wymyślimy sposób na przedstawienie naszego stanowiska przed arystokracją na ucztę, pan Garu wyda się światu tak dobry i lojalny, że Zyndu nie będzie miał innego wyjścia, jak mu wybaczyć. Inaczej jesteśmy skończeni.

Kuni przysłuchiwał się tej dyskusji, nie zabierając słowa. W końcu jego doradcy ucichli.

– Mata i ja jesteśmy braćmi – rzekł Kuni cicho i ponuro. – Nie zrobiłem nic złego. Dlaczego mówicie, jakbym musiał wymyślać historię, by usprawiedliwić swoje poczynania? Przecież mogę powiedzieć prawdę.

– A o jakiej prawdzie mówisz? – zapytał Cogo Yelu. – Każdy czyn można interpretować na wiele sposobów i liczy się ich odbiór, a nie intencja.

– I czy faktycznie możesz przyznać, że nigdy nie myślałeś o zostaniu królem Géfiki? – zapytał Luan Zya. – Nigdy cię nie kusilo? Nawet raz?

Kuni pomyślał o swoich poczynaniach w pałacu i westchnął.

– Luan Zya ma rację – oznajmił. – Nie mam wyjścia. Pojadę pokornie przeprosić Matę Zyndu. Miejmy nadzieję, że się uda.



Aby pokazać, że rzeczywiście jest skruszony i w żaden sposób nie zagraża Macie, Kuni zabrał ze sobą jedynie Luana Zyə i Müna Çakriego.

– Wybrałeś rozum i siłę – rzucił Mün, roześmiany. – Nie potrzebujesz nikogo więcej.

Kuni zostawił obóz nad jeziorem Tututika pod pieczę Cogo Yelu, uprzedzając go, że jeśli nie wróci do wieczora, Cogo ma zebrać wszystkich i wyruszyć do Zudi.

Obóz Maty znajdował się zaraz za granicami Pan, na wzgórzu przy rzece przecinającej miasto. Wielki ogień w Pan nadal posyłał dym w stronę obozu, co psuło radosny nastrój.

Żołnierze w nowych mundurach stali w szeregu przed wejściem, z błyszczącymi dzidami i niewyrobnymi łukami, dopiero co zabranymi z cesarskiej zbrojowni. Patrzyli na przybyszów z pogardą, przyprawiając Kuniego o gęsią skórkę. Instynkt podpowiadał mu, żeby natychmiast wracał nad jezioro Tututika i kazał wszystkim wsiadać na konie i ruszać.

Jednak Luan Zya położył mu dłoń na ramieniu. Kuni wziął głęboki wdech i kontynuował długi marsz do wejścia do obozu Maty Zyndu.



Największy namiot w obozie został przekształcony w miejsce uczy. Niskie stoły ustawiono w rzędach i dostawiono do nich siedzenia dla wszystkich arystokratów i dowódców z Sześciu Królestw. W jednym końcu namiotu na podium znajdował się specjalny stół dla marszałka Zyndu i jego najbardziej cenionych gości. Król Thufi wysłał ambasadora, by wziął udział w uczcie w jego imieniu, jednak w ostentacyjny sposób usadzono go w dużo mniej eksponowanym miejscu.

Kuni przekonał się, że dla niego i Luana przewidziano siedzenia blisko wyjścia z namiotu, tak daleko od honorowych gości, jak się tylko dało. Z kolei Mün w ogóle nie miał gdzie usiąść. Spodziewano się po nim, że zajmie miejsce na zewnątrz, z przybocznymi i mniej znaczącymi towarzyszami przybyłych.

– Mata Zyndu nie bawi się w subtelności, prawda? – zauważył Luan.

Kuni posłał mu bezradny uśmiech i usiadł w pozycji *thakrido*. Martwił się, lecz nie należał do ludzi, którzy pozwalali, by niepokój przeszkadzał im w czerpaniu przyjemności z ucztowania. Nie minęło wiele czasu, kiedy zaczął pić z innymi arystokratami i z radością pochłaniać soczyste mięso, zupełnie jak na każdym przyjęciu w Zudi.



– Szanowni panowie Dary. – Mata podniósł swoją czarę do pierwszego toastu. – Przez półtora roku żyliśmy w siodłach i spaliśmy pod gwiazdami. W końcu jednak pokonaliśmy zło, jakim było cesarstwo, dokonując rzeczy niemożliwej!

– Hurra! Hurra!

Mata jednym haustem wypił zawartość czary i rzucił nią o ziemię.

– A jednak nie wszyscy walczyli po tej samej stronie. Kiedy razem z moimi braćmi przyjęliśmy najsilniejszy cios cesarskiej armii, inni pośród nas zachowywali się jak myszy, podkradające ze stołów, gdy goście zajęci są rozmową. Co mamy zrobić z takimi ludźmi?

Arystokraci zamilkli. Nikt nie miał dość odwagi, by spojrzeć na Kuniego Garu.

Kuni wstał.

– Bracie, pozwól, że pogratuluję ci wspaniałego zwycięstwa. Wilcza Łapa będzie żyć we wspomnieniach ludzi jako synonim męstwa i dzień, w którym bóg zstąpił na ziemię. Twojej chwały nikt nie doścignie. Moje serce się raduje, gdy wspominam, jak razem staliśmy na murach Zudi.

Służący przyniósł nową czarę wina dla Maty, jednak on po nią nie sięgnął. Kilku gości zaczęło unosić swoje czary, lecz zaraz je odłożyło, przekonawszy się, w którą stronę wieje wiatr. Kuni stał i czekał z zakłopotaniem, a potem wypił sam.

– Kuni Garu – rzekł Mata Zyndu. – Czy pojmujesz swój błąd?

– Jeśli cię skrzywdziłem, bracie, daj się przeprosić pokornie przed zebranymi gośćmi. Twój sukces na Wilczej Łapie pozwolił mi uderzyć cesarstwo w samo serce w niespodziewanym ataku. Zrobiłem to, co zrobiłem, żeby pomóc rebelii i tobie.

– Nie nazywaj mnie bratem! Skuszony sławą i skarbami wykorzystasteś fakt, że siły cesarstwa zajęte były walką z moją armią i zakradłeś się do Pan dzięki podłym sztuczkom. Wzięłeś kosztowności z pałacu jak swoje i manipulowałeś sercami mieszkańców Pan i Géfiki, by wsparli twoje marzenie o objęciu tronu. Chciałeś przywłaszczyć sobie owoce rebelii, zabierając innym, znacznie odważniejszym i wartościowszym, zasłużone nagrody. A potem miałeś czelność wysłać żołnierzy do przełęczu Thoco, żeby powstrzymać siły rebeliantów, jakbyś był pierwszym spośród równych. Zaprzeczasz któremukolwiek z tych zarzutów?

Torulu Pering stworzył tę listę. Mata w pierwszym odruchu chciał od razu aresztować Kuniego i w rozmowie w cztery oczy zapytać go o powody zdrady. Jednak Pering wytłumaczył mu, że najlepiej jest przedstawić całą sprawę przed dowódcami rebelii i przekonać świat, że Mata Zyndu ma słuszość, a Kuni Garu zawinił. W końcu to on pojmał cesarza i wszyscy wciąż pamiętali obietnicę króla Thufiego. Należało podważyć roszczenia Kuniego.

Kuni spojrział na Luana, który wskazał na swoje oczy. „Liczy się odbiór czynu, a nie jego intencja”.

Kuni zrozumiał wtedy, że nie ma innego wyjścia, niż zagrać, chociaż ta gra może oznaczać koniec jego przyjaźni z Matą. Nie skłamię, nie wprost, jednak marzenie o tym, by razem z Matą dzielić jego chwałę, zostanie zaprzepaszczone. Serce bolało go, jakby ktoś wbił w nie sztylet.

– Marszałku Zyndu, obawiam się, że źle ci doradzono. – Głos Kuniego pozostawał spokojny, zaś twarz wyrażała smutek i pokorę.

Torulu Pering powiedział Macie, żeby nie słuchał żadnych wyjaśnień Kuniego, jednak marszałek nie potrafił się powstrzymać.

– Jak to?

– Ukaranie mnie za moje czyny zmrozi serca wszystkich odważnych ludzi. Prawda jest taka, że wiedziałem, czego pragniesz, i podążałem za twoimi marzeniami. Moje czyny miały na celu przyniesienie ci jak największej chwały. Jestem jedynie mleczem rozmiękczejacym zbitą i jałową ziemię, żeby przygotować ją dla chryzantemy.

Słyszac to, Mata zlagodniał.

– Mów jaśniej.

– Wszedłem do Pan z pięcioma setkami ludzi nie po to, by wykorzystać ofiarę złożoną na Wilczej Łapie, lecz by nadać jej większe znaczenie. Zastanów się. W Pan i Géfice stacjonowała śmietanka cesarskiej armii, najlepsi z najlepszych. Wielki z ciebie śmiałek, marszałku Zyndu, jednak czy nie uważasz, że spacyfikowanie tego regionu zajęłoby ci wiele czasu i wymagałoby wielu ofiar?

Mata zastanowił się i niemal niezauważalnie kiwnął głową.

– Moim celem była dekapitacja cesarstwa jednym szybkim cięciem i zmniejszenie liczby dobrych ludzi, którzy musieliby umrzeć. Chociaż wiedziałem, że mógłbyś pokonać imperialistów sam, czyż nie postąpiłem słusznie, próbując uratować wielu twoich lojalnych sług z Tunoi? Jeśli moje czyny mogły uratować choćby jednego syna, jednego męża, jednego brata, czyż moim obowiązkiem nie było podjąć próby?

Mata przypomniał sobie pieśń żałobną Miry i opuścił go cały gniew.

– Kiedy znaleźliśmy się w Pan, naszym celem była ochrona skarbów w pałacu przed twoim przybyciem, choć zezwoliliśmy na niewielkie szalbierstwo, ponieważ nie można go było odmówić zwycięskim żołnierzom. Mój sługa, Cogo Yelu, zadbał o cesarskie archiwa, żebyś mógł później efektywnie zarządzać miastem. Nie zabraliśmy niczego ze skarbcza, ani jednej sztuki broni ze zbrojowni, nic a nic od mieszkańców Pan, a wszystko to, by należycie przygotować stolicę na świętowanie twojego triumfu. Wycofaliśmy się, gdy tylko dotarły do nas wieści, że nadchodzisz. Zrobiliśmy to wszystko w twoim imieniu i wybrukowaliśmy drogę dla twojej chwały. Jeśli myślisz, że cierpię na przerost ambicji, niesłusznie mnie oceniłeś.

Ostatnie słowa wypowiedział łamiącym się głosem, po czym przełknął głośno ślinę i dyskretnie wytarł powieki.

Torulu Pering przewrócił oczami. Ten cały Kuni Garu to doskonały aktor i kłamca. Jego tłumaczenie, że podbił Pan w imieniu Maty Zyndu, było groteskowe. Kuni podkupywał serca ludzi, kładąc fundament pod porównania do późniejszej surowej i brutalnej okupacji miasta przez Matę. Garu stawiał na fakt, że Mata nie zna się tak dobrze jak on na politycznych gierkach.

Pering wiedział, że Kuni Garu jest znany z przekonujących przemówień. Z biegłością płatnego prawnika potrafił tworzyć pokrętne argumentacje i wmawiać słuchaczom, że czarne jest białe. Mata Zyndu nie miał szans wygrać z nim słownej potyczki. Pering zgromił się w duchu za to, że nie przewidział, jak publiczne wystąpienie przeważy szalę na korzyść Garu.

– Żołnierze stacjonujący w Goa w przełęczu Thoco otrzymali rozkazy, by powstrzymać rozsiane oddziały cesarskie przed powrotem do Pan – ciągnął Kuni. – Tak gorliwie bronili owoców rebelii, które, jak wszyscy wiemy, należą się przede wszystkim tobie, że nie zrozumieli istoty ich zadania i nie powitali cię należycie. Odpowiedzialnych za ten błąd

zdążyłem już ukarać.

Marszałek Zyndu nadal nie był przekonany.

– Ale twój człowiek, Ro Minosé, przyszedł do mnie i powiedział, że planujesz obwołać się królem, może nawet cesarzem. Twój żołnierz roznosił złośliwe plotki, sącząc truciznę do serc mieszkańców Pan, podburzając ich przeciwko mnie.

Torulu Pering żałował, że nie może w jakiś sposób nakazać Macie Zyndu ciszy. Wspomnienie nazwiska Ro Minosé było jak namalowanie mu na plecach tarczy strzeleckiej, zachęcanie lojalnych sług Kuniego do zemsty. I kto zechce w przyszłości odejść od Kuniego i dołączyć do Maty, wiedząc, że Mata nie liczył się z nimi na tyle, by chronić ich tożsamość?

– Jeśli Ro Minosé zdradził mnie, dlaczego miałby nie zdradzić ciebie? – Kuni rozłożył ręce. – Nigdy nie należy wierzyć w słowa zdrajców, bo gotowi są kłamać dla własnych korzyści.

Torulu prychnął, słysząc te słowa, lecz Mata Zyndu zdawał się je rozważać.

– Przrzekasz, że powiedziałeś prawdę?

– Przrzekam na wszystkie księgi Kona Fijiego.

– W takim razie przepraszam, panie Garu, że w ciebie zwątpiłem. A teraz napijesz się ze mną?

Służący podał marszałkowi czarę wypełnioną po brzegi, a Mata wznosił toast za Kuniego.

Kuni wypił cały swój trunek. „Wciąż jednak nie nazwał mnie bratem”, pomyślał. Paliło go w gardle, chociaż wino miało najdoskonalszą jakość. Rozumiał, że już nigdy nie będzie mógł w pełni otworzyć swego serca przed Matą. „Liczy się odbiór czynu, a nie jego intencja”.

Pozostali goście z ulgą przyjęli to pojednanie i dołączyli do toastów. Nie minęło wiele czasu i wino lało się strumieniami, a w namiocie na powrót nastał radosny nastrój.



Kuni usiadł i otarł brew.

– Było blisko – powiedział do Luana.

Luan kiwnął głową. Nie był pewien, czy niebezpieczeństwo minęło. Nie spuszczał wzroku z Torulu Peringa. Pośród świty marszałka tylko on zdawał się patrzeć na tę sprawę w szerszym kontekście. Ciągłe próbował zwrócić na siebie uwagę Maty. Kiedy ten wreszcie na niego spojrzał, złapał ozdobę ze środka swojego stołu, wielkie jadesitowe naczynie na trzech nogach w klasycznym anio zwane *kunikin*, i udał, że roztrząsa je ją o ziemię.

Mata pokręcił głową i odwrócił wzrok. Pering poczekał, aż marszałek znowu popatrzył w jego stronę, i raz jeszcze podniósł *kunikin* nad głowę, miarkując rzut. Mata ponownie odwrócił wzrok. Powtórzyło się to jeszcze kilkakrotnie, jednak Mata Zyndu za każdym razem kręcił głową.

Pering westchnął. Jaśniej nie mógł się już wyrazić. Widząc Kuniego w akcji, zrozumiał, że Garu mógłby skutecznie zakwestionować autorytet Maty. Trzeba go było natychmiast

zabić, inaczej stanie się groźnym przeciwnikiem. Pering wolałby, żeby Zyndu uczynił Kuniego zdrajcą w oczach arystokracji, jednak ponieważ talent oratorski księcia Zudi uratował go od tego, Pering był gotowy uciec się do zwykłego morderstwa.

Przyjrzał się uważnie strategii zastosowanej przez Garu w Pan i nie miał wątpliwości, że to człowiek ambitny, który nie spocznie, dopóki nie zniszczy Maty Zyndu. Ponieważ jednak marszałek nie potrafił odłożyć na bok współczucia, musiał podjąć decyzję za niego.

Wstał i powoli zbliżył się do Ro Minosé, po drodze wypijając toasty z różnymi gośćmi. Odciągnął Ro na bok i szepnął:

– Marszałek Zyndu ma dla ciebie specjalne zadanie. Ponieważ zdradziłeś Kuniego Garu, nie ma drugiego człowieka, którego by tak nienawidził jak ciebie. Marszałek Zyndu chce, byś udowodnił, że twoje oskarżenia były prawdziwe i zademonstrował swoją lojalność.

Ro, który jeszcze przed chwilą z rozpaczą rozmyślał o swoim losie, aż się wzdrygnął.

– Marszałek Zyndu pragnie śmierci Kuniego Garu?

Pering kiwnął głową.

– Kuni Garu oszukał gości swoimi mądrymi słowami, dlatego otwarte zabójstwo nie wchodzi w grę. Potrafisz sprawić, by wyglądało to na wypadek?

Ro zawahał się. Nie podobała mu się sytuacja, w jakiej się znalazł. Marszałek Zyndu naraził go na odwet ze strony ludzi Kuniego Garu. Jednak słowa księcia sprawiły, że nawet marszałek zaczął wątpić w Ro. Mężczyzna znalazł się w pułapce między dwiema stronami i musiał coś zrobić, żeby wyjść z tego cało.

– Jeśli to zrobię, czy marszałek nie będzie ratować swojego honoru, całą winę zwalając na mnie? Potrzebuję jakiegoś zabezpieczenia.

– Jak śmiesz się targować! – wyszeptał ostro Pering. – Sługa nie może mieć dwóch panów. Musisz dokonać wyboru i się go trzymać. Zaufaj marszałkowi, inaczej nikt cię nie uratuje przed gniewem Kuniego Garu.

Ro zacisnął zęby i pokiwał głową.

Kiedy Pering wrócił na swoje miejsce, Ro podniósł się i udał, że się chwieje.

– Szanowni panowie, nudno tak jeść i pić bez żadnych rozrywek. Mieszkańcy Cocru lubują się w pokazach tańca z mieczem. Jeśli wybaczycie mi moje mizerne zdolności, chciałbym zaprezentować taki taniec.

Zebrani goście zaczęli klaskać i gwizdać, a Pering kazał muzykom grać. Kokosowa lutnia i bębny obciążone wielorybią skórą tworzyły synkopowy, porywający rytm, a Ro wyciągnął swój miecz i zaczął tańczyć. Skakał, parował, unosił ostrze nad głowę, a światło odbijało się od stali, tworząc jasne kręgi przywodzące na myśl kwiat chryzantemy. Powoli też zbliżał się do stolika Kuniego Garu.

Goście wiwatowali, a Pering szepnął coś do ucha Maty Zyndu. Na twarzy marszałka pojawiła się niepewność, jednak nie odzywał się, chociaż zimny podmuch od miecza Ro był coraz bliżej i bliżej księcia Zudi.

Ratho przyglądał się występowi i zmarszczył brwi.

Znał taki taniec, jednak Ro znajdował się tak blisko pana Garu, że ostrze często przecinało powietrze zaledwie kilka centymetrów od niego. Pan Garu miał wymuszony uśmiech i podniósł się, żeby móc uchylać się niezgrabnie przed wirującym mieczem Ro.

Coś tu było nie tak. Ratho służył pod księciem Garu w Zudi i go lubił. Daf często

opowiadał o tym, że księżę Garu sprawia wrażenie człowieka szczerze zainteresowanego pragnieniami przeciętnego żołnierza, a Ratho cieszył się, że przemowa Garu przekonała marszałka. Nigdy nie wierzył w jego zdradę.

Teraz jednak Ro Minosé, który zdrajcą był na pewno, najwyraźniej usiłował zabić Kuniego Garu. Gdyby mu się to udało, niemądrzy ludzie mogliby zacząć plotkować, że Mata Zyndu pozwolił na ten haniebny czyn, zazdroszcząc przyjacielowi odwagi – wyobraźcie sobie, podbić Pan z zaledwie pięcioma setkami żołnierzy!

Ratho musiał bronić reputacji marszałka.

Wstał i wyciągnął swój miecz.

– Ja także pochodzę z Cocru – powiedział. – Jeden tancerz to zdecydowanie za mało. Mógłbym dołączyć?

Jego miecz zawirował w rytm muzyki i w ciągu kilku sekund Ratho zbliżył się do Ro. Ich bronie zderzyły się ze sobą raz i drugi, a Ratho starał się trzymać Ro z dala od pana Garu.

Jednak Ratho był tylko zwykłym żołnierzem, zaś Ro znacznie lepiej posługiwał się mieczem.



Luan Zya wstał, przeprosił siedzących obok gości i wyszedł z wielkiego namiotu, żeby znaleźć siedzącego na zewnątrz Müna Çakriego.

– Musisz coś zrobić. Pan Garu zaraz zginie w wyniku „nieszczęśliwego wypadku”.

Mün kiwnął głową, stał rękawem tłuszcz z warg, po czym podniósł tarczę i krótki miecz. Tarcza, wykonana przez niego własnoręcznie, była niezwykła. Z zewnętrznej strony przytwierdził do niej rzeźnicze haki, żeby ułatwić chwytanie broni przeciwnika i wytrącanie mu jej z ręki.

Mün pośpieszył do głównego namiotu, a Luan Zya biegł krok za nim. Strażnicy przy wejściu próbowali go zatrzymać, ale Mün obrzucił ich spojrzeniem pełnym furii. Mężczyźni zawahali się na moment i wtedy Mün ich wyminał.

Wszedł do namiotu i zbliżył się do stołu Kuniego Garu. Stał w rozkroku i wrzasnął, ile sił w płucach – tak jak kiedyś, gdy przekrzykiwał kwik wieprzy.

– Stop!

Zebranych gościom zdawało się, że na chwilę ogłuchli. Ro i Ratho zachwiali się i odskoczyli daleko od siebie. Muzyka ucichła. W namiocie zapadła absolutna cisza.

– Kto to? – zapytał Mata Zyndu, który jako pierwszy odzyskał głos.

– Mün Çakri, lojalny sługa Kuniego Garu.

Mata wrócił myślami do Zudi.

– Pamiętam cię. Jesteś odważnym człowiekiem i dobrym wojownikiem. – Odwrócił się do służącego. – Przynieś temu mężczyźnie mięso i napitek.

Mün nie usiadł, tylko wziął talerz z jedzeniem i stał tam, gdzie wcześniej. Sięgnął po stek i nabił go sobie na hak przytwierdzony do tarczy, a potem zaczął odcinać kawałki ostrzem miecza. Jadł z apetytem i popijał dużymi łykami wina z czary innego gościa. Pozostali dziwili się witalnością tego człowieka. Poczuli się słabi, mali i apatyczni, bowiem wyglądał jak barbarzyńca z innej epoki.

– Marszałku Zyndu, dziwię się, że wciąż mnie pamiętasz. Myślałem, że całkiem już zapomniałeś o swoich przyjaciółach z Zudi.

Mata zarumienił się i nic nie powiedział.

– Może i pan Garu wszedł przed tobą do Pan, ale wszyscy walczyliście po jednej stronie, przeciwko cesarstwu. Zrobił wszystko, żeby cię uhonorować i wyjaśnić swoje postępowanie, a jednak ty wciąż go naciskasz, nawet pozwalasz innym go krzywdzić. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jesteś zazdrosny o sympatię, jaką pan Garu wzbudza u ludzi.

Mata Zyndu odpowiedział wymuszonym śmiechem.

– Dobry z ciebie człowiek, a ja zawsze szanuję lojalnego sługę, który mówi szczerze w obronie swojego pana. Pan Garu i ja doszliśmy do porozumienia i nie musisz się już martwić.

Nakazał gestem Ro i Rathowi, by usiedli, po czym goście wrócili do świętowania. Dało się jednak wyczuć, że radosna atmosfera jest nieco nienaturalna.



Luan szepnął coś do Kuniego, a ten kiwnął głową. Po kilku minutach wstał, przytrzymał się za brzuch i poprosił służącego, żeby pokazał mu, gdzie jest toaleta. Mün Çakri wyszedł z nim na zewnątrz.

– Pan Garu nie czuje się dość bezpiecznie, by udać się samemu za potrzebą? – zaśmiał się Pering, a siedzący w jego pobliżu goście zachichotali.

– Pan Garu trochę zbyt szybko jadł i pił – odparł beznamyślnie Luan Zya. – Mün po prostu nie może usiedzieć w namiocie. Woli być na zewnątrz, z innymi żołnierzami.

Pering szeptem przekazał Ro i paru innym strażnikom instrukcje. Wyszli, żeby się przygotować.

Mata Zyndu miał zbyt miękkie serce, by uwierzyć w to, że jego dawny przyjaciel był dla niego groźny, jednak Pering nie zamierzał pozwolić Garu umknąć. Teraz, gdy przebywał z dala od lojalnych sług i żołnierzy, mieli najlepszą okazję, żeby się go pozbyć. Kiedy jego głowa zostanie wbita na pal, jego ludzie nie będą mieli innego wyjścia, jak się poddać.



Pół godziny później Pering zaczął się niepokoić. Kuni Garu i Mün Çakri nie wrócili. A po Ro, który poszedł sprawdzić, co porabiają, nie było śladu.

– Luanie Zyo, gdzie podziewa się pan Garu? – zapytał Mata Zyndu.

Luan wstał i nisko się uklonił.

– Muszę prosić o wybaczenie w imieniu pana Garu za jego niegrzeczne odejście. Niestety nie czuje się najlepiej i wrócił już do swojego obozu. Zostawił dary dla Maty Zyndu i ja je teraz przedstawię.

Luan Zya przyniósł tace pełne klejnotów i antyków, a Mata uśmiechnął się i podziękował. Tak naprawdę jednak był zirytowany. Odejście Kuniego śmierdziało

strachem, jakby nie ufał Macie. Po przemówieniu Müna Mata obawiał się, że pozostali naprawdę mogą podejrzewać go o zazdrość.

Torulu Pering popadł we frustrację. Podniósł się i złapał za stojący przed nim *kunikin*, by rzucić nim o ziemię.

– Już za późno! – powiedział. – Ten błąd będzie nas wiele kosztował.

Luan Zya pożegnał się i wyszedł.



Dwa dni później żołnierze czyszczący latryny znaleźli ciało Ro Minosé. Najwyraźniej za dużo wypił i kiedy poszedł do toalety, wpadł do brudnej wody i utonął.



Zaraz po powrocie Kuniego Garu i Müna Çakriego przeniesiono obóz znad brzegu jeziora na wzgórze, żeby już z daleka można było dostrzec jakikolwiek ruch od strony miasta. Przyszykowano konie i każdy był gotowy do ewakuacji, gdyby okazało się, że Mata Zyndu postanowił zaatakować.

To jednak nigdy nie nastąpiło. Marszałek najwyraźniej zadowolili się przeprosinami Kuniego Garu, zaś wybuch Torulu Peringa został potraktowany jedynie jako chwila słabości starego, pijanego człowieka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

NOWY ŚWIAT

PAN: PIĄTY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

Mata Zyndu siedział w swoim namiocie, wpatrując się w nowe pieczęcie, które powinien rozdać.

Sięgnął po jedną z nich i pogładził palcami jej chłodną jodeitową powierzchnię i misterne zdobienia, które odbite w wosku tworzyły logogram władzy, symbol autorytetu nowego królestwa Tiro. Nie potrafił się z nią rozstać, jakby była częścią jego samego.

Westchnął i odłożył ją, a potem sięgnął po następną.



Król Thufi wyłożył swoje zdanie na ten temat w liście do marszałka: mimo relatywnie mizernego wkładu Kuniego Garu w sukces rebelii w istocie wypełnił on założenia obietnicy Thufiego, dlatego też król miał nadzieję, że marszałek Zyndu uszanuje przyrzeczenie i stworzy nowe królestwo Tiro w Géfice i odda je we władanie Kuniemu.

Mata z odrazą odrzucił zwój Thufiego i wbijał go w ziemię do czasu, aż wszystkie woskowe logogramy odpadły i wymieszały się z błotem. Nie zamierzał dłużej słuchać tego pastucha. Z tego też względu odrzucił tytuł marszałka Cocru. Pokonał cesarstwo, a to czyniło go hegemonem. Dlatego też nagrodzi ludzi tak, jak sam uważa.

A skoro miał stworzyć jedno nowe królestwo Tiro, dlaczego nie dwa? Dlaczego nie dziesięć albo dwadzieścia?

Na Wilczej Łapie wszyscy królowie Sześciu Królestw okazali się niegodni szacunku, jakim ich darzono, dlaczego więc mieliby korzystać z osiągnięć Maty Zyndu? Przez lata krew arystokratów została zanieczyszczona i dlatego tak wielu członków szlachejnych rodów zachowywało się niegodnie.

Teraz przyszłość Dary znajdowała się w rękach Maty, więc zamierzał oczyścić szeregi możnych i przywrócić honor dawnym tytułom. Uczyni świat doskonalszym. Skąd te roszczenia? Czy nie wystarczy fakt, że ma największą armię? Jeśli ktoś będzie niezadowolony, niech się mu przeciwstawi na polu bitwy.

Władcy Sześciu Królestw prowadzili niekończące się debaty, podczas gdy ich ziemie płonęły, a lud umierał. On nie popełni tego błędu. Nie zawaha się przed działaniem.

Zacznie od podzielenia Dary na nowe terytoria i rozdania ich tym, którzy naprawdę na nie zasłużyli. Błąd Mapidérégo polegał na tym, że zaufał ludziom, którym brakowało odpowiednich cech. Mata przypomni zamierzchłe czasy, kiedy powstawały fundamenty świata. Jak Aruano, wielki prawodawca Ano, on także stworzy nowy porządek, który

przetrwają tysiące lat. Serce podpowie mu, jak wymierzyć świat, a każdemu władcy przypadnie w udziale teren nie mniejszy i nie większy niż taki, na jaki zasługuje.

– Powinieneś zostawić sobie Géfikę – powiedział Torulu Pering. – Ma najpłodniejszą ziemię w całej Darze, a jezioro Tututika daje mnóstwo wody do irygacji. Łatwo bronić tego terytorium, dzięki przełęczom Thoco oraz rzekom Miru i Liru, łatwo też stąd atakować, jeśli zawładniesz morzem. Ten, kto ma kontrolę nad Géfiką, będzie mógł wyżywić większą armię i w ten sposób zyska przewagę nad pozostałymi królestwami Tiro.

Jednak Mata czuł, że w ten sposób straci w oczach pozostałych. Nie chciał, żeby Kuni dostał Géfikę, więc branie jej dla siebie mogłoby zostać odebrane jako chciwość. Pragnął władzy umożliwiającej kreślenie nowych granic, lecz z drugiej strony chciał także być odbierany jako mądry i szczodry.

– Pochodzę z Cocru – powiedział Peringowi. – Po to wyjechałem dokonywać wielkich czynów na świecie, bym mógł pewnego dnia powrócić i cieszyć się należnym mi szacunkiem w ojczyźnie. Géfica jest zbyt daleko od Tunoi.

Pering westchnął. Doradzanie hegemonowi było często frustrujące. Tak wielką przywiązywał wagę do zaszczytów, a tak małą do prawdziwych fundamentów władzy.

Mata postanowił, że zamiast zatrzymać sobie Géfikę, podzieli ją na trzy części – północną, centralną i południową – a nowymi władcami uczyni Thekę Kimo, który także pochodził z Tunoi i dzielnie walczył na Wilczej Łapie, Nodę Miego, który bardzo dobrze radził sobie z dostarczaniem armii zapasów, oraz Doru Solofiego, przywódcę zwiadowców, którzy jako pierwsi odkryli zdradę Kuniego Garu.

– To nie ma sensu, panie Zyndu – zaproponował Pering. – Żaden z nich nie ma doświadczenia w rządzeniu, zaś ty zdajesz się nagradzać ich za lojalność wobec ciebie, zamiast sprawiedliwie ocenić wkład dowódców ze wszystkich królestw Tiro. Dowódcom rebelii się to nie spodoba.

Mata Zyndu zignorował Peringa. Jeśli im się nie spodoba, trudno. Najważniejszymi ludźmi rebelii byli ci, którzy mu pomogli, i tyle.

Xańską wyspę Rui również przekształcił w nowe królestwo, zaś jej przywódcą postanowił mianować Kindo Maranę. Nagrodzenie w tak szczodry sposób największego dowódcy sił cesarstwa i obiektu uczuć księżniczki Kikomi zostanie uznane za niezwykle szczodry gest i wzmocni jego reputację człowieka wielkodusznego i empatycznego. Uznał to za sprawiedliwe i słuszne – Torulu Pering ciągle mu opowiadał o tym, jak Kuni próbuje wkupić się w serca ludzi; w ten sposób pokaże ludowi, kto jest bardziej honorowym panem.

– Tak nie może być – powiedział Pering. – Marana jest utożsamiany ze znienawidzonym cesarstwem, zaś mieszkańcy Rui nie szanują go, bo przegrał wojnę, zwłaszcza że wielu młodzieńców, którzy odpowiedzieli na jego wezwanie, leży teraz na dnie morza i służy za posiłek rekinom Tazu.

– To jego problem, nie mój.

Natomiast w sprawie władców Sześciu Królestw Tiro Mata Zyndu postanowił zmniejszyć ich terytorium i ograniczyć władzę. Wciąż kipiał ze złości po zdradzie Kikomi, miał jednak do niej pewien sentyment, w dodatku niesłusznie byłoby karać Amu za to, co uczyniła księżniczka z głupiej kobiecej miłości. Wybrał kompromis, przywracając króla

Ponadomu na tron w Müning, jednak pozbawiając Amu wszystkich terytoriów na Wielkiej Wyspie i zamykając je na Arulugi.

Podobnie uczynił z królem Dalo, tchórzem, oddając mu pod władanie tylko ziemie na Wilczej Łapie. Jakby tego było mało, zabrał Ganowi wyspy Ogé i utworzył z nich nowe królestwo, na czele którego miał stanąć... ach, Huye Nocano, gański dowódca, który postanowił dołączyć do walki na Wilczej Łapie dopiero wtedy, gdy zwycięstwo było pewne. Jego wkład był niewielki, więc miał dostać niewielkie terytorium. To sprawiedliwe. A poza tym niemiłosiernie zirytuje Gan – cudownie.

Mata zaśmiał się z własnego dowcipu.

Torulu Pering pokręcił głową, lecz powstrzymał się od komentarza.

I tak oto Zyndu wziął się do ponownego rozrysowywania granic Dary i nagradzania każdego, kogo zechciał.

Kiedy rezultaty jego pracy zostały ogłoszone, wielu szeptało, że podjął decyzje dziwne, kapryśne i pozbawione sensu. Jednak Mata dostrzegał w tym wszystkim głębszy sens, którego inni zwyczajnie nie zauważali. Na przykład część uczonych kręciła głowami, kiedy zobaczyła, że chociaż rebelia rozpoczęła się dzięki odwadze Huno Krimy i Zopy Shigina, hegemon w żaden sposób nie nagroził ich rodzin ani zwolenników. Lecz Mata wiedział, że zrobiwszy to, zachęciłby do następnych buntów w przyszłości. Czasami ci, którzy skrzęsali pierwszą iskrę wielkiej pożogi, muszą spłonąć razem z nią, inaczej ogień nie zgasłby nigdy.

Inni narzekali, że chociaż król Jizu z Rimy wykazał się niezwykłą odwagą, jego królestwo zostało podzielone na sześć maleńkich części, z których wszystkie przyklejone były do Na Thion jak wieprze do koryta. Jednak Mata wiedział, że z Jizu uczyniono kogoś na kształt świętego – symbol, który mógłby jednoczyć ludzi. Takie symbole były najbardziej niebezpieczne, ponieważ można im nadać dowolne znaczenie. Mata musiał zdusić kult Jizu w zarodku, zanim wymknie się spod kontroli. Ponadto uważał, że Haan nie zrobił nic konstruktywnego dla rebelii. Właściwie nawet jej zaszkodził, ponieważ Luan Zya przyczynił się do podboju Pan. Dlatego postanowił posadzić króla Cosugi na tronie nowego Haanu, składającego się wyłącznie z Ginpen i szerokiego na jakieś osiemdziesiąt kilometrów pasa ziemi o półksiężycowatym kształcie. Nawet część plaży Lutho nie należała teraz do tego maleńkiego państwa, za to znalazła się na terytorium trzech nowych królestw, które powstały z Géfiki.

„To szaleństwo – pomyślał Pering. – Te sztucznie utworzone granice będą nieustannie sprawiać kłopoty”.

Z kolei król Shilué z Faça – ambitny, lecz tchórzliwy, chciwy, lecz niezdecydowany – już dawno temu rozpoznał w Macie człowieka impulsywnego i zacieklego. Prawienie mu komplementów do niczego nie prowadziło. Shilué uznał, że najlepszą strategią będzie zejście mu z drogi i trzymanie się poza zasięgiem jego wzroku. Dlatego też od czasu bitwy na Wilczej Łapie starał się nie wychylać, a kiedy emisariusze Maty Zyndu przybywali z kolejnymi prośbami – o więcej ludzi, więcej pieniędzy, więcej jedzenia – spełniał je wszystkie. Strategia się opłacała, ponieważ Mata nie przypominał sobie na jego temat ani nic szczególnie dobrego, ani złego. Postanowił zostawić Shiluégo na tronie Faça.

Wielu jednak znało liczne zdrady i knowania Shiluégo przeciwko oficjalnym

sojusznikom. To on ze swojej osnutej mgłą stolicy, Boamy, wywierał naciski na króla Jizu. To on próbował odebrać Ganowi Ogé nawet wtedy, gdy przetrwanie Sześciu Królestw Tiro pozostawało jeszcze niepewne. Tym osobom wydawało się teraz, że Shilué został nagrodzony za swoją podstępność. Pering zwrócił uwagę, że brak kary dla Shiluégo ochłodzi serca przyjaciół i wywoła jeszcze większe niezadowolenie pośród sojuszników. Mata nie miał jednak ochoty, by służyć rad. Ludzi pokroju Shiluégo uważał za nieinteresujących, a więc niegroźnych.

Mata Zyndu większość terenów Cocru zostawił sobie, mianując się nowym królem Cocru i hegemonem wszystkich królestw Tiro. Żeby zrekompensować te zmiany Thufiemu, postanowił uczynić go władcą dalekiej i słabo zaludnionej wyspy Écofi. Ponieważ król Thufi zaczynał jako pasterz, dlaczego nie miałby zostać wysłany w miejsce, gdzie jest mnóstwo miejsca na otwieranie nowych hodowli? Mata roześmiał się ze swojego dowcipu.

Oczywiście sytuacja, w której były marszałek Cocru dyktuje warunki swojemu dawnemu królowi, była nieco kłopotliwa, jednak hegemon Zyndu uznał, że kiedy król Thufi wyprowadzi się z Cocru, nikt nie będzie o nim pamiętał.

Wciąż pozostawał problem Kuniego Garu. Człowieka, który wszedł do Pan i pojmał cesarza. Mata musiał dać mu coś więcej niż samo Zudi – tylko co?

Wzrok hegemonu wędrował po mapie, aż w końcu spoczął na wyspie znajdującej się w najdalszym zakątku Dary względem Wielkiej Wyspy.

Maleńkie Dasu nie miało do zaoferowania nic poza pikantnym jedzeniem. Żyli tam prości rybacy i chłopci niewiele lepsi od dzikusów. Terytorium znajdowało się nie tylko daleko, ale też dostęp do Wielkiej Wyspy blokowało mu Rui, skąd król Kindo Marana będzie niczym pies obronny obserwował każdy ruch Kuniego Garu. Idealnie. Dasu stanie się więzieniem dla byłego strażnika więziennego, a Kuni Garu zostanie na swojej miniaturowej wysepce do końca swoich dni.

Jię i dzieci Kuniego Mata postanowił zatrzymać w pobliżu Çaruzy. Och, nie zamierzał ich źle traktować – po prostu posłużą mu za idealnych zakładników, gwarantujących poprawne zachowanie Kuniego. Skończą się sztuczki Garu, skończą się niespodziewane ataki.

Torulu Pering nie przestawał smęcić o tym, jak groźna jest ambicja Kuniego Garu. Cóż, dzięki tej „nagrodzie” jego ambicja przestanie być problemem. Pering musiał przyznać, że przynajmniej w tym względzie hegemon okazał się przebiegłym człowiekiem.



Chociaż Mata powiedział Mirze, że nie musi się czuć do niczego zobligowana, ona nie potrafiła tak po prostu nic nie robić. Czowała się dziwnie, siedząc cały dzień w małym namiocie, w którym zostawił ją Mata, rozbitym raz obok jego własnej tymczasowej siedziby. Tamtego dnia, kiedy ją tu przyprowadził, wysłał jej pudełko pełne złota, srebra i klejnotów – było tam więcej kosztowności, niż widziała przez całe życie – jednak potem zostawił ją zupełnie samą, by zająć się własnymi sprawami.

Służki i pokojówki traktowały ją, jakby była kobietą Maty: zwracały się do niej

z przesadną grzecznością i podawały jej wymyślne dania. Kiedy zapytała, czy ma pomóc przy pracy w obozie, tylko ukłękły przed nią i przerażone zaczęły pytać, czy ich służba w jakiś sposób jest niezadowolająca.

Mira się dusiła. Dlatego postanowiła zwyczajnie zacząć robić różne rzeczy w obozie. Nie знаła intencji Maty, jednak nie zamierzała być utrzymanką. Chciała być użyteczna.

– Pozwólcie mi przynajmniej pomóc – prosiła osobistego kucharza Maty.

Kucharz ukłonił się nisko i odsunął się od pieca, pokazując gestem, że jest do usług Miry.

Chociaż kiedyś był dumny z tego, że potrafił zadowolić nawet tak wybrednego smakosza jak cesarz Erishi, teraz, gdy gotował dla Maty, większość jego starannie przygotowanych dań pozostawała nietknięta. Od czasu, który hegemon spędził w towarzystwie Kuniego Garu w Zudi, wolał proste racje i pałace gardło trunki spożywane przez zwykłych żołnierzy. Były kucharz pałacowy martwił się o swoją przyszłość, więc propozycja Miry bardzo go ucieszyła. Jeśli humorzastemu Zyndu nadal nie będą smakowały posiłki, przynajmniej teraz wina spadnie na więcej osób.

Jedynie dania, jakie potrafiła przygotować Mira, pochodziły z Tunoi. Były to: pasta z solonej ryby na dwukrotnie gotowanym ryżu, marynowane warzywa owinięte plackiem z nieoczyszczonej mąki z sorgo i pstrąg źródłany pieczony na deskach z perełkowca, doprawiany jedynie dymem i odrobiną morskiej wody – to ostatnie w istocie było połączeniem tradycji haańskiej i cocruskiej. Były kucharz pałacowy patrzył na te domowe specjały i marszczył nos. Erishiego przyprawiłyby o odruch wymiotny, a on nie wyobrażał sobie, jak człowiek porównywany do boga mógłby jeść plebejskie dania.

Jednak służący, którzy zanieśli Macie posiłek na drżących nogach, wrócili zdumieni.

– Hegemon zjadł wszystko i poprosił, by następnym razem podać mu większe porcje.

To tylko utwierdziło mieszkańców obozu w przekonaniu, że Mira zna sekretną ścieżkę do serca Maty. Hegemon nie tknął żadnej z żon i kochanek cesarza Erishiego, jednak poprosił Mirę, by zamieszkała zaraz obok jego namiotu – chociaż nie wydawała się szczególnie ładna ani nie pochodziła ze szlacheckiego rodu, jakimś sposobem zdobyła serce najpotężniejszego człowieka na świecie. Wszyscy jej zazdrościli.

Lecz Mira pamiętała, jak tamtego dnia, kiedy się poznali i zapytał ją, czy pochodzi z Tunoi, w jego oczach na chwilę pojawiła się tęsknota. Rozumiała, że pragnął nie jej, lecz domu.



Mira wyszła na plac Kijiego. Wzięła ze sobą jedzenie przygotowane przez byłego kucharza pałacowego, na wypadek gdyby hegemonowi nie posmakowały jej dania. Kucharz chciał je wyrzucić, ona jednak poprosiła, by rozdać je żebrakom w Pan. Służący i dworzanie zebrani wokół obozu Maty szybko spełnili jej życzenie.

Patrzyła, jak chochlami rozlewali wykwintne, egzotycznie doprawiane dania w miseczki biedaków, i poczuła wyrzuty sumienia – tak niewiele jedzenia, tak wiele potrzebujących. Gdyby nie spotkała Maty, zapewne teraz zasilaby ich szeregi.

Podszedł do niej żebrak w białej pelerynie – zapewne żył na ulicy dopiero od niedawna.

– Dziękuję za posiłek, panienko. To bardzo miłe z twojej strony.

Akcent zdradzał jego xańskie pochodzenie. Mira sztywno kiwnęła głową. Wiedziała, że większość xańskich żołnierzy cierpi biedę i niewygody, tak jak niegdyś ona i jej brat, jednak trudno zignorować wieloletnie animozje.

– Jesteś blisko hegemoną – powiedział żebrak. To nie było pytanie.

Mira poczuła, że się czerwieni.

– Jestem po prostu kobietą, która wzbudziła w nim współczucie – odparła i pomyślała: „Czy wszyscy w Pan znają moją kłopotliwą sytuację?”. – Nie wierz w plotki.

– Nic nie wiem na temat plotek – odparł żebrak.

Mira pomyślała, że to dziwny człowiek. Zaskakująco odważny, jakby uważał się za kogoś lepiej urodzonego od niej. W dodatku w jego aurze było coś, co przyciągało uwagę.

– Lecz może nie wyraziłem się dość precyzyjnie. Powinienem powiedzieć, że będziesz blisko hegemoną.

– Przewidujesz przyszłość czy rozkazujeś? – zapytała Mira. Zuchwałość żebraka zaczynała ją irytować. Zastanawiała się, czy nie wezwać kogoś z dworzan; oni tylko czekali, by powiedziała im, co mają robić.

– Ani jedno, ani drugie. Przepowiednie często okazują się czymś innym, niż wydawały się na początku. Dlatego wolę się trzymać historii: Mata Zyndu jest odpowiedzialny za śmierć twojego brata.

Mira zbladła.

– Kim ty jesteś? Mam już dosyć twoich obelg!

– Posłuchaj swojego serca. Przecież wiesz, że oskarżenie jest słuszne. Twój brat nadal by żył, silny i odważny, gdyby nie dał się skusić obietnicom Maty Zyndu. A co zyskał po przemaszerowaniu tysiąca kilometrów i życiu na ostrzu miecza, by zbudować reputację Maty? Hegemon nawet nie pamięta jego imienia!

Mira odwróciła twarz.

– To ludzie tacy jak twój brat pokonali cesarstwo i zapewnili triumf, który teraz przypisuje sobie Mata. Nie jest lepszy od Kuniego Garu, którego nienawidzi.

– Wystarczy – rzuciła Mira. – Nie chcę już z tobą rozmawiać. – Odwróciła się i uciekła z placu.

– Chciałem tylko, żebyś pamiętała o swoim bracie – zawołał za nią żebrak. – Pamiętaj o nim, gdy znajdziesz się w pobliżu hegemoną.



Następnego dnia Mira postanowiła posprzątać w namiocie Maty.

Legends na temat Zyndu urosły do tego stopnia, że pokojówki szeptały między sobą z przestrachem, iż jedna położona w złe miejsce poduszka może kosztować życie odpowiedzialną za ten błąd osobę. Dlatego też nikt nie miał dość odwagi, żeby się tym zająć, chociaż bycie blisko tak potężnego człowieka wydawało się dobrym sposobem na zdobycie jego przychylności. Jednak Mira nie czuła strachu: jej brat opuścił dom, by podążyć za Zyndu, wierząc, że może przywrócić światu ład, uwolnić go od niesprawiedliwości. Mira nie zamierzała urągać pamięci Mado, bojąc się Maty.

Zobaczyła, że w namiocie panuje prawdziwy bałagan. Na kilku biurkach leżały sterty papierów, a w miarę zapełniania się poprzednich wciąż wstawiano kolejne. Różnego rodzaju poduszki do siedzenia wały się po podłodze, nieuprzątane po zwoływanych naprędce spotkaniach z doradcami. Łóżko zaś wyglądało, jakby od kilku tygodni nikt nie zmieniał na nim pościeli.

Mata siedział przed jednym z biur, plecami do Miry, z nogami złożonymi w *géüpa*. Nie odwrócił się do niej, myśląc zapewne, że wszedł jeden z jego przybocznych, by pomóc mu się przygotować do snu, ponieważ żadna pokojówka nie miała dość odwagi.

Mira powoli zajęła się swoim zadaniem: zebrała poduszki do jednego kąta, biurka ustawiła w rzędzie, żeby można było łatwo dostać się do wszystkich papierów, zmieniła pościel, a na koniec zamiotła podłogę.

„W jego obecności strach i tchórzostwo czmychają jak ciemność przed światłem – pisał Mado po bitwie na Wilczej Łapie. – Przywróci porządek na tym postawionym na głowie świecie”.

„Mado umarł, ponieważ uwierzył – pomyślała Mira. Niczego nie żałował, poświęcając swoje życie. Nie mogę plamić wątpliwościami pamięci o nim”.

Jednak hegemon miał widoczne problemy z przywracaniem ładu w przestrzeni mieszkalnej. Także jego przyboczni zdawali się nie mieć pojęcia o porządkach. Mira uśmiechnęła się nieznacznie.

Od czasu do czasu podnosiła wzrok na Matę, który się nie poruszał. Nawet teraz jego postawa przywodziła na myśl potęgę rodem z innego świata. Mira rozumiała, dlaczego Mata zrobił takie wrażenie na jej bracie – sama czuła, jak ją przyciąga.

Hegemon w dalszym ciągu przyglądał się czemuś, co trzymał w dłoni; obsesyjnie to głaskał i tarł.

– Jeśli ciągle będziesz tak tarł, wygładzisz wszystkie krawędzie – powiedziała Mira, nie mogąc się powstrzymać.

Mata odwrócił się i zamarł. Nie spodziewał się jej.

Odłożył pieczęć, którą tak podziwiał. Gdyby uwaga pochodziła od któregoś z doradców, zwłaszcza tego dziecinnego Peringa, który zdawał się krytykować każdy jego pomysł, wzburzyłaby go. Jednak nie zamierzał gniewać się na Mirę. Co ona mogła wiedzieć o sprawach świata?

– Zastanawiam się nad nagrodą, którą zaraz przyznam komuś, kto na to w istocie nie zasługuje. Niewielu jest ludzi godnych szlacheckich tytułów.

Mira pamiętała, że szlachetność była ważna dla Mado. Pisał do niej o niedoścignionej szlachetności Maty Zyndu, która inspirowała wszystkich dokoła: „Nie potrafię ci opisać moich uczuć. Jednak przez chwilę jakby dotknęli mnie bogowie, jakbyśmy ruszając w ślad za nim, przenieśli się do wyższej rzeczywistości. Jest oceanem, który unosi nas wszystkich”.

Słowa żebraka zdawały się walczyć o uwagę Miry ze słowami Mado. Przygryzła wargę i pokręciła głową. „Mado nie był głupi. Dostrzegł dobro w tym człowieku, więc i ja tak zrobię”.

Kontynuowała zamiatanie. Kiedy skończyła, wyniosła śmieci i tacę pustych naczyń, w których wcześniej podano Macie obiad. Następnie wróciła z dzbanem wody, którą

skropiła odkryty kawałek ziemi w namiocie, żeby nie unosił się kurz. Nuciała przy tym starą pieśń z Tunoi:

*Wróc do mnie, kochanie, łodzią wróc do mnie;
Wróc przed świtem, żonę księcia być nie chcę.
Wrócę do ciebie, morska różo, zanim wstanie słońce;
Nie opuszczę cię, póki łódź nasza nie utonie.*

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Mata się w nią wpatruje. Zaczerwieniła się. Nie wiedziała, co powiedzieć, i wtedy zauważyła, że trzymany przez hegemoną przedmiot lśnił delikatnym blaskiem jadeitu.

– Trudno jest oddać skarb, prawda? – rzuciła bez zastanowienia, a potem przeklęła się w duchu za tak niemądrą uwagę i wróciła zaraz do pracy.

Mata zmarszczył czoło. Nagle wydało mu się bardzo ważne, by zasłużyć na podziw w oczach tej kobiety. Jej sugestia sprawiła, że poczuł wstyd, jakby sam nie był wart nagrody.

– Nie zachowałem dla siebie zbyt wielu skarbów z pałacu cesarza – powiedział sztywno. – Większość rozdałem rodzinom żołnierzy, którzy zginęli, walcząc dla mnie. – Nie dodał, że zrobił to dopiero po ich spotkaniu, kiedy to zdał sobie sprawę, jak niewiele w tej materii uczynił.

– Jesteś szczodrym panem – odparła Mira po chwili wahania.

Znowu zapadła niezręczna cisza, a dziewczyna próbowała ukryć skrępowanie, znów nucąc i pracując jeszcze szybciej.

– Chciałabyś jej dotknąć? – zapytał Mata, podnosząc jedną z pieczęci.

Mira zdawała sobie sprawę, że to symbol władzy królewskiej, a odbicie pieczęci może wysłać sto statków, dziesięć tysięcy żołnierzy i setki tysięcy strzał na niekończącą się rzeź. Wróciły do niej słowa żebraka. „Hegemon nie pamięta nawet jego imienia”. Przed oczami znowu stanęło jej ciało Mado, owinięte w całun jak tysiące innych, na dnie dołu, który miał służyć żołnierzom za miejsce wiecznego spoczynku. „Czy tak wygląda ta twoja szlachetność? Czy właśnie za to zginąłeś?”

Mira pokręciła głową i cofnęła się przed pieczęcią jak przed rozgrzanym węglem.

– Jest piękna – powiedziała. – Nie uważam jednak, by była równie piękna lub wartościowa co życie mojego brata.

Dokończyła pracę, ukloniła się i wyszła z namiotu.

Mata bez słowa patrzył na jej oddalającą się postać. Potem ostrożnie odłożył pieczęć.



– Jesteś pewien, że nie chcesz jechać ze mną? – zapytał Kuni.

– Wasza Wysokość – odparł Luan Zya. – Jestem Haańczykiem i teraz, gdy hegemon uczynił moją ojczyznę jeszcze mniejszą i słabszą, król Cosugi będzie potrzebował całej pomocy, jaką mogę mu ofiarować.

Wypili na pożegnanie po czarce lebanogu i uśmiechnęli się na wspomnienie Tan Adü.

– Mata Zyndu uczynił Dasu moim więzieniem – powiedział smutno Kuni. – Przyjedź do mnie czasem w odwiedzin.

– Nie rozczarujesz wodza Kyzena, królu Kuni. Jestem tego pewien. Wilk w klatce to niebezpieczne zwierzę. Dasu nie zatrzyma cię zbyt długo.

Kuni nie był pewien, czy podziela optymizm Luana. Miał w rękę słabe karty. Po pierwsze, Dasu było małe i biedne. Po drugie, Jia i dzieci, a także jego brat i ojciec, zostali w Cocru, a Mata dał jasno do zrozumienia, że zamierza trzymać ich jako zakładników gwarantujących lojalność Kuniego. Po trzecie, Mata zamierzał wysłać dziesięć tysięcy żołnierzy pod dowództwem Kindo Marany, którzy mieli „ Eskortować ” Kuniego i jego ludzi do Dasu, żeby ochronić ich przed Rui. Musiałby się zdarzyć cud, żeby Kuni zdołał uniknąć swego kłopotliwego położenia.

– Mam dla ciebie ostatnią radę, królu Kuni. Spal wszystkie swoje statki po przybyciu do Dasu.

– Wtedy nie będę mógł nigdy opuścić wyspy.

– Twoim priorytetem jest przekonanie hegemon, że nie jesteś ambitny. Gdy spalisz statki, przestanie dostrzegać w tobie zagrożenie. Skup się na razie na zarządzaniu Dasu i dobrym panowaniu, a czas niech zajmie się resztą.



Ratho i Dafiro wreszcie mieli szansę spotkać się po raz pierwszy od swego rozstania w Çaruzie. Ludzie Kuniego nie mogli opuszczać swojego obozu, a żołnierze Maty z pewnością nie byli tu mile widziani.

Jednak nadszedł ostatni dzień Kuniego w Pan i wreszcie pozwolono jego żołnierzom na swobodne przemierzanie ulic miasta. Chociaż każdy z braci starał się nie rozplakać, obaj mieli mokre oczy.

– Słyszałem, co zrobiłeś na Wilczej Łapie. Mogłeś zginąć!

– I kto to mówi! Ten, który płynął na grzbiecie crubena!

– Jestem starszy i mogę postępować niemądrze.

Daf pokazał bratu Kąsiciela, a Rat z podziwem machnął nim kilka razy w powietrzu.

– Nie zostawisz pana Garu? – zapytał.

Daf pokręcił głową.

– Nawet jeśli odejdę, ty nie opuścisz hegemon. Równie dobrze mogę spróbować robić karierę u pana, który docenia strategiczne leniwość.

– Ach, a ja myślałem, że wreszcie nauczyłeś się czegoś o honorze i dlatego nie chciałeś dezerterować.

Roześmieli się i padli sobie w objęcia.

– Szkoda, że pan Garu i hegemon nie pozostali braćmi.

Pili wspólnie, dopóki słońce całkiem nie zaszło, a potem każdy poszedł w swoją stronę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

DASU

DASU: SZÓSTY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

Marana i jego żołnierze patrzyli zdumieni ze swoich statków, jak Kuni Garu i jego ludzie podpalają transportowce, którymi przyплыnęli na wyspę. Marana zmarszczył czoło, ponieważ widok ten przypominał mu sztuczkę na Wilczej Łapie.

Jednak słowa Kuniego szybko zmieniły jego tok myślenia.

– Te statki są zbyt duże, żeby je utrzymywać, a ja nigdzie się na razie nie wybieram – krzyknął Garu, zwijając dłonie w trąbkę. Uśmiechając się przymilnie, pomachał do ludzi Marany. – Przekaż moje pozdrowienia hegemonowi, Wasza Wysokość. I nie wahaj się przyjechać w odwiedziny! – Ukłonił się kilkakrotnie niczym sługa, który chce się przypodobać swojemu panu.

Marana odwrócił wzrok z pogardą. Dlaczego hegemon tak się bał tego człowieka? Kuni nie był lepszy od zwykłego bandyty, złodziejaska, któremu wystarczy maleńka wysepka i parę ruder. Marana uznał, że to jedno „zwycięstwo” Garu musiało być dziełem przypadku.

Były cesarski dowódca stawał już przed znacznie godniejszymi przeciwnikami. Na przykład księżniczką Kikomi. Każdemu jej wspomnieniu towarzyszyły skomplikowane uczucia. Chociaż był mistrzem przebiegłości, ona mu w tym nie ustępowała. Ostatecznie udało jej się przechytryć i jego. Tak jak omal nie zdołała skusić go wizją rebelii, tak on omal nie skusił jej obietnicą wiecznej chwały. Księżniczka była gotowa na zawsze stać się haniebną postacią na kartach historii, byle ocalić swój lud – Marana mimo wszystko podziwiał jej wielkiego ducha. Zastanawiał się też, czy w pewnym sensie swojego aktualnego położenia nie zawdzięcza zagmatwanym uczuciom, jakimi darzył Kikomi sam Mata. Los czasami prowadzi dziwnymi ścieżkami.

Wydał rozkaz, by obrać kierunek na północny brzeg Rui, gdzie mieszkał niegdyś Tanno Namen. Miał obietnicę do spełnienia.

– Mamy jakieś jagnięce ogony? – zapytał.

Nawet pies Namena zdawał się mieć więcej ambicji i honoru niż płaszczący się Kuni Garu.



Kiedy Kuni Garu zadomowił się już w Dasu, postanowił rozdać swoim najwierniejszym ludziom tytuły. Cogo Yelu i Rin Coda zostali książętami, zaś Than Carucono i Mün Çakri markizami. Rozdał te kilka skarbów, które zatrzymał sobie z Pan – w końcu był kiedyś

złodziejem – i zorganizował wystawne przyjęcie dla trzech tysięcy żołnierzy, którzy udali się za nim do Dasu.

– Teraz jestem tak samo biedny jak wy wszyscy. – Podniósł swoją pustą sakiewkę i puścił, a podmuch wiatru zaniósł jedwabny woreczek nad morze. Kuni pomachał szerokimi rękawami, żeby pokazać, że także są puste. Żołnierze roześmieli się. – Ponieważ mam bardzo niewiele skarbów, mogę nagradzać was jedynie szumnymi tytułami. Mam nadzieję, że pewnego dnia będą coś znaczyć. – Potem przybrał poważną minę, pochylając głowę w geście przeprosin. – Poszłście za mną i wiele przeze mnie wycierpieliście. Przykro mi, że nie mogę dać wam więcej.

Zebrani wyburczeli słowa pociechy, lecz czuli w sercach ciepło.

Kuni i jego doradcy udali się do Daye, największego miasteczka na północnym brzegu skalistej wysepki. To tam miała powstać stolica królestwa Kuniego. Jego „pałacem” został zaledwie dwukondygnacyjny drewniany dom, niewiele większy od pozostałych.

– Panie Garu, wyglądasz na zmęczonego – zauważył Cogo.

Teraz, gdy nie musiał już udawać przed tłumem, Kuni nie krył rozpaczy i braku sił.

– Co ja wyprawiam, Cogo? Czyżbym popełnił błąd, którego nie da się już naprawić? Jaką przyszłość mogę dać rodzinie i swoim ludziom? Moje królestwo ma wielkość zagrody dla owiec i znajduje się tak daleko od ośrodków władzy, że dalej się już nie da. Mata zapewne nigdy nie pozwoli mi wrócić do domu albo przywieźć tu Jii, chyba że oddam swoje ziemie. Czy przepadnę dla świata i umrę zapomniany? Zaryzykowałem wszystko i nic z tego nie mam.

Cogo nigdy wcześniej nie widział przyjaciela tak przygnębionego, odkąd został księciem Zudi.

– Siła rodzi się w sercu, panie Garu. Jeśli twoje serce nie ma swojego środka, będziesz błędził bez celu.

Kuni po chwili milczenia kiwnął głową.



Jia odebrała list od cocruskiego żołnierza, jednak zachowała lodowaty wyraz twarzy na wzór posągu Rapy.

Żołnierz stał chwilę, zakłopotany, dopóki nie zdał sobie sprawy, że nie ma co liczyć na podziękowania.

Jia zamknęła drzwi. Adres na kopercie był zapisany znajomym, zamaszystym pismem Kuniego. Oczywiście ktoś już ją wcześniej otwierał.

Odkąd Mata wysłał oddział żołnierzy, by obozowali przed jej domem, upierali się, by wszędzie za nią chodzić i sprawdzać każdą rzecz, jaką wnoszono lub wnoszono z domu. A wszystko to „dla jej bezpieczeństwa”.

– Kiedyś nazywałam Matę Zyndu bratem! – wołała Jia do cocruskiego kapitana. – Powiedz mu, żeby przyszedł do mnie osobiście i wyjaśnił, dlaczego zostałam więźniem w moim własnym domu.

Kapitan mruknął coś o tym, że hegemon jest zbyt zajęty, a potem odskoczył na bok, gdy Jia rzuciła w jego stronę czajnikiem.

Spoglądając na list, czuła jednocześnie radość i gniew. Litery zyndari, pełne szerokich zawijasów i mierzących wysoko kresek, zdawały się wyskakiwać ze swoich miejsc i przypominały jej beztroski uśmiech Kuniego. Jednak wiadomość była namacalnym dowodem na to, że zamiast być tutaj z nią i dziećmi, utknął na dalekiej wyspie, gdzie udawał króla.

Żałowała, że jej mąż nie stoi przed nią, by mogła go najpierw przytulić i pocałować, a potem kilka razy mocno uderzyć.

Wieści o wydarzeniach w Pan wprawiły ją w zdumienie. Jak Kuni i Mata, serce i dusza rebelii, mogli wystąpić przeciwko sobie? I kiedy Jia zobaczy męża?

Moja kochana,

Wszystko jest cudowne. Proszę, pozdrów ode mnie Matę.

*Twój kochający mąż
Kuni*

Pozostała część kartki była pusta.

Jia musiała się powstrzymać przed porwaniem listu na strzępy. Tylko tyle miał jej do powiedzenia po wielu tygodniach zmartwień i braku wieści?

Potem zobaczyła, że Kuni w lewym górnym rogu kartki z grubego i szorstkiego papieru narysował mlecz. Przysunęła list bliżej i powąchała go; tak, teraz, gdy szukała tego zapachu, rozpoznała woń mlecza, słabą, ale wyczuwalną dla jej wytrenowanego nosa.

Kuni musiał przewidzieć, że jego wiadomość zostanie przeczytana przed doręczeniem. Jia uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, co mówiła mu o wykorzystaniu mlecza.

Szybko poszła do swojej pracowni. Sięgnęła po zmielony suchy grzyb o nazwie ucho kamienia, wymieszała go z wodą i tak powstałą pastę rozsmarowała na grubej kartce. Potem poczekała, aż papier całkiem nasiąknie, a następnie delikatnie splukała miksturę.

Na pustej części strony pojawiły się litery zyndari, ciemniejac powoli jak statki we mgle. Kuni prawdziwą wiadomość napisał sokiem mlecza, do tej pory niewidzialnym.

Wracam do domu, kochana, środka mojego serca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

WIZYTA W DOMU

POBLIŻE ÇARUZY: SIÓDMY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

W Daye pojawiły się plotki, że król Kuni zaniemógł i leży w łóżku. Kiedy wysłannicy Kindo Marany pojawili się w Dasu, żeby wypytać o zdrowie Kuniego, przyjął ich udręczony Cogo Yelu.

– Nasz biedny król myśli o hegemonie każdego dnia – powiedział. – Często mówi mi, że chciałby zacieśnić z nim więzi, a jego zdaniem tę chorobę zesłali na niego bogowie, by przemyślał swoje postępowanie.

Marana wysłał swój raport do Maty Zyndu: „Kuni pozostaje w odosobnieniu. Ani śladu ambicji. Ten żalosny chwast najwyraźniej postanowił zapaść korzenie”.



Pewnego chłodnego, letniego poranka w jednym z domów tuż za granicami Çaruzy pojawił się żebrak.

Miał siwe włosy i poznaczoną bliznami twarz. Kulał, a ubrany był w szmaty i buty ze słomy. Przepasał się ciasno słomianą liną.

Jia niegdyś poinstruowała Otho Krina, żeby każdego żebraka, który pojawi się w domu, nakarmić. Dlatego zaniósł mężczyźnie miseczkę owsianki.

– Moja pani gotuje tę owsiankę ze specjalnego przepisu – wyjaśnił Krin. – Jest pożywna i doprawiona mocnymi ziołami, które nie tylko wypełnią twój żołądek, lecz także chronić będą cię przed chorobami. Przez resztę dnia nie poczujesz głodu.

Jednak żebrak, zamiast podziękować mu wylewnie, spojrział na niego z błyskiem w oku.

– Nie rozpoznajesz mnie? – zapytał.

Krin przyjrzał mu się dokładnie, a potem wydał z siebie cichy okrzyk. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy żołnierze hegemonia nie patrzą, i zaraz szybko wprowadził żebraka do domu. Następnie uklonił mu się nisko.

– Dobrze cię widzieć, panie Garu!



Ciepła kąpiel zmyła błoto z ciała Kuniego i pomogła usunąć sztuczne blizny z jego twarzy. Włosy zostały rozjaśnione, więc potrzebowały czasu, by odrosnąć w naturalnie ciemnym kolorze. Kuni był szczęśliwy, że wreszcie uwolnił się od słomianej liny, która miała ukryć jego duży brzuch.

Wszedł do sypialni żony, żeby się przebrać. Na stoliku przy oknie stał mały wazon pełen

świeżych mleczy. Na wieszaku nieopodal wisało kilka nowych szat, które Jia zszyła własnoręcznie. Kuni przycisnął do nich nos i wciągnął zapach świeżych ziół, które zawsze dodawała do prania. Łzy, bez zaproszenia, napłynęły mu do oczu.

Usiadł na łóżku i pogładził poduszkę żony, myśląc o tych wszystkich nocach, które spędziła tutaj, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Przysięgł sam przed sobą, że jej to wynagrodzi.

Na poduszce leżało kilka włosów. Podniósł je z uczuciem i zamarł.

To nie były rude loki jego żony, lecz proste, czarne włosy mężczyzny.



– Zaciągnąłem się jako marynarz na statek kupiecki w Dasu – wyjaśnił Kuni. – Tylko w ten sposób mogłem uciec przed szpiegami Kindo Marany. Kiedy przedostałem się na Wielką Wyspę, musiałem powoli pokonywać kolejne etapy podróży, co kilka dni zmieniając przebranie.

Toto-tika nie rozpoznał Kuniego i płakał, kiedy ojciec próbował go przytulić, zaś Rata-tika, noworodek, dołączyła do brata. Wtedy także i Kuni, i Jia zaczęli płakać. W domu pełnym rozemocjonowanych ludzi tylko Soto potrafiła zadbać o obowiązki. Postawiła jedzenie na stole i zabrała dzieci.

Otho Krin stał nieopodal, nie wiedząc, co ze sobą począć. Kuni spojrzał na niego, zwracając szczególną uwagę na jego proste, czarne włosy.

Poklepał Otho Krina po plecach.

– Otho, kiedy ostatni raz cię widziałem, byłeś chudziutkim chłopaczkiem. Dziękuję, że zadbałeś o moją rodzinę. Wiem, że zawsze byłeś wierny i szczerzy, na swój sposób.

Otho wzdrygnął się, a twarz Jii zamarła między radością a przerażeniem. Nastąpiła chwila kłopotliwego zawahania, dopóki Soto nie popchnęła delikatnie Otho. Kuni zdawał się niczego nie zauważać.

– Cała... cała przyjemność po mojej stronie – odparł Otho. Razem z Soto dyskretnie wymknęli się z pokoju, zamykając za sobą drzwi.



Kiedy Kuni i Jia zostali sami, Jia rozplakała się w ramionach męża.

– Och, tak cię przepraszam – powiedział Kuni, głaszcząc ją po głowie. – Mogę sobie tylko wyobrazić, co myślisz o tym wszystkim, co się wydarzyło, a jeszcze cała Çaruza pewnie patrzy na ciebie spode łba.

– Jesteśmy w beznadziejnej sytuacji, prawda? – Jia wytarła oczy. – Tak się wściekłam, kiedy usłyszałam, co zrobiłeś i jak zareagował Mata. Jak masz cokolwiek osiągnąć jako więzień na tej maleńkiej wysepce? Przecież kiedy tylko czegoś spróbujesz, Mata zaraz zagrozi mnie i dzieciom. Moja rodzina nie chce ze mną rozmawiać, tak są przerażeni tym, co pomyśli sobie hegemon.

Kuni przycisnął ją mocno. Każde jej słowo sprawiało mu ból, jakby ktoś wbijał mu

sztylet prosto w serce.

Pod wpływem impulsu złapała go za ręce i spojrzała na niego rozgorączkowanym wzrokiem.

– Kuni, a może będziemy błagać Matę o wybaczenie? Porzuć swój tytuł. Niech uczyni cię jednym ze swych ministrów, a może nawet zupełnie nikim. Możemy wieść szczęśliwe życie w Zudi z naszymi dziećmi. Nasze rodziny ucieszą się, gdy tam wrócimy. Może twoje ambicje są zbyt wielkie?

Kuni odwrócił wzrok.

– Myślałem o tym.

Jia czekała, aż powie coś jeszcze, lecz kiedy wciąż milczał, szturchnęła go.

– I?

– Pomyślałem o innych rodzinach.

– Innych rodzinach?

– Musiałem podróżować z dala od dużych miast i szerokich dróg, więc miałem szansę się przekonać, jak zła zapanowała sytuacja. Mata może i jest wielkim wojownikiem, jednak na rządzeniu się nie zna. Dawne królestwa Tiro były skłonne do współpracy wyłącznie pod wpływem strachu przed cesarstwem, teraz jednak wraca dawna wrogość; Mata jeszcze pogorszył sytuację swoim dzieciennym przerysowywaniem mapy, zaś mianowani przez niego nowi królowie Tiro nie mają żadnego autorytetu. Wszystkie królestwa szykują się do wojny: podniesiono podatki na potrzeby armii, więc na targach wzrastają ceny. Chociaż rebelia się skończyła, życie zwykłych ludzi nie stało się lepsze.

– A co to ma wspólnego z nami i naszymi dziećmi? – Gdy słuchała przemowy męża, gotowało się w niej od rozpacz i gniewu. – Wolisz zmienną miłość tłumu niż bycie dobrym mężem dla mnie i dobrym ojcem dla naszych dzieci? Jak możesz nas zaniedbywać, jednocześnie gadając od rzeczy o „ratowaniu” ludzi? Twoim zmartwieniem powinien być nie świat, lecz rodzina. Nie pomyślałeś, że to cierpienie, jakiego byłeś świadkiem, jest czymś powszechnym i nieodzownym? Że kto by nie został cesarzem albo hegemonem, wojna i śmierć są nieuniknione? Dlaczego uważasz, że jesteś lepszy w rządzeniu niż on?

– Nie wiem tego, Jia. Właśnie dlatego przybyłem posłuchać twojej rady. Lecz co się z tobą stało? Kiedyś byłaś gotowa mocować się z całym światem, wyobrażałaś go sobie inaczej.

– Życie się stało, Kuni! Jestem zwyczajnym człowiekiem, matką. Co w tym dziwnego, że chcę bezpieczeństwa dla moich dzieci i że są dla mnie ważniejsze niż obce? Co w tym złego, że chcę mieszkać z mężczyzną, który obiecał trwać u mego boku, a zamiast tego każdego dnia ryzykuje swoim zdrowiem i życiem?

– Mężczyzna u twego boku? – rzucił Kuni. – Śmiesz mówić mi o mężczyźnie u twego boku?

Jia wzięła głęboki wdech, a potem spojrzała mężowi w oczy.

– Nie było cię tutaj, Kuni. Zrobiłam to, by przetrwać, by wiedzieć, że znowu potrafię zapanować nad swoim życiem. Nigdy jednak nie przestałam cię kochać.

– Nigdy bym nie pomyślał, że będzie nam tak trudno o zaufanie – odparł, a potem tylko stał, zdumiony. Nie chciał wypowiadać na głos swoich podejrzeń; chciał odnaleźć tu schronienie i zachętę, jednak wizyta przebiegała zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażał.

Wyrósł między nimi niewidzialny mur, oboje to wyczuli. Byli sobie bliżsi w snach i wyobrażeniach niż teraz, w prawdziwym życiu. W czasie rozłąki każde z nich za wzór stawiało sobie wyidealizowaną wersję siebie, jaką zdawało im się, że widzi ta druga osoba. Prawda jednak była taka, że oboje się zmienili.

Czas, który Jia spędziła w odosobnieniu, sprawił, że bardziej ceniła stabilność i uroki zwyczajnego życia. Jednak ambicje Kuniego, teraz znacznie wyższe, uczyniły go człowiekiem, który nie miał cierpliwości do rzeczy jego zdaniem trywialnych. Z łączącej ich niegdyś pasji zostały ledwo żarzące się węgielki.



– Napij się, mężu – powiedziała Jia, stawiając przed Kunim mdłą herbatę, która uspokajała nerwy i serce. Nieraz już podawała podobną miksturę parom zbyt zmęczonym, by kontynuować swoje spory.

Kuni chętnie wypił.

Jego wizyta przestała sprawiać im przyjemność, a małżonkowie zachowywali się teraz jak obcy ludzie goszczący w jednym domu.

Oboje skupili się na dzieciach – kotwicach latawców unoszonych przez dwa różne wiatry.



– Widzę, że macie z Jią problem – zauważyła Soto.

Kuni właśnie zajmował się udoskonalaniem pracowni żony. Ceramiczne słoiki i szklane butelki pełne ziół stały dosłownie wszędzie i ledwo można było wejść do pomieszczenia. Właśnie przybijał nowe półki do ścian, wstawiał do środka drabiny zapewniające lepszy dostęp do tych położonych wyżej i konstruował niską bramkę, żeby dzieci nie wchodziły do środka.

– Zbyt długo byliśmy rozdzieleni – przyznał.

Chociaż wciąż nie znał Soto zbyt dobrze, lubił z nią rozmawiać. Dzieci uwielbiały poważną, ale serdeczną gospodynię, dzięki której działało sprawnie całe gospodarstwo, podobnie jak dzięki Cogo całe Dasu. Soto nie bała się Kuniego jak pozostali służący, których olśniewał jego królewski tytuł i legendy, jakie narosły wokół jego skomplikowanych relacji z hegemonem. Zamiast tego traktowała go jak kogoś równego sobie, a czasami nawet bywała wobec niego szorstka i niecierpliwa, zwłaszcza kiedy nie potrafił zająć się dziećmi. W jej obecności czuł się bardziej jak dawny beztroski i wolny Kuni.

– Oboje przyzwyczailiście się do obrazu tej drugiej osoby zamiast rzeczywistości – oznajmiła. – Na tym polega niebezpieczeństwo tworzenia ideałów. Nigdy nie jesteście tak doskonali, jak chcieliby inni.

Kuni westchnął.

– Masz pełną rację.

– Zawsze uważałam, że aby być naprawdę szczęśliwym, należy brać pod uwagę cudze niedoskonałości. Wiara jest silniejsza, gdy nie ucieka od wątpliwości.

Kuni popatrzył na Soto i podjął decyzję.

– Nie jestem ślepy, Soto. Domyślam się, co się stało. Otho zawsze lubił Jię, a ja dawno temu postanowiłem, że wolę im zaufać, niż grać rolę zazdrosnego pana z pieśni ludowych. Może jednak byłem głupcem.

– Ani trochę. Nie wściekałeś się ani nie dąsałeś, a to dobrze o tobie świadczy. Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie zniknąłeś z serca żony.

Kuni pokiwał głową.

– Nie zareagowałem tak, jak można by się tego spodziewać, ponieważ... sam zrobiłem coś, z czego nie jestem dumny.

– Rzadko się zdarza, by mężczyzna równie surowo oceniał siebie co żonę – rzekła Soto. – Cieszę się, że nie myliłam się co do ciebie. Myśliciele i klasycy Ano mówią, że wierność jest czym innym dla męża, a czym innym dla żony, jednak ty najwyraźniej nie należysz do ludzi przyjmujących bezkrytycznie czyjeś mądrości.

Kuni zaśmiał się cicho.

– Zawsze uważałem za nonsens wiarę w prawdziwość czegoś tylko dlatego, że zostało zapisane dawno temu w jakiejś księdze. To Mata uznaje przeszłość za doskonałą, ja za to jestem zdania, że musimy udoskonalać teraźniejszość z myślą o przyszłości. Wierzę, że Jia zrobiła to, co zrobiła, ponieważ uznała to za konieczne, a ja nie zamierzam być hipokrytą.

– Wielcy ludzie nie dają się ograniczyć formom, które przyjmuje ich miłość – powiedziała Soto. – Ty i Jia możecie kochać innych, jednak dla siebie nawzajem zawsze będziecie pierwszymi pośród równych.

– Ale to nigdy nie będzie podróż po spokojnym morzu i w słońcu, prawda?

– A czy to nie byłoby zbyt nudne?



– Gniewasz się na swojego męża – oznajmiła Soto.

Razem z Jią właśnie zajmowały się szyciem w cieniu jadalnianej wnęki, podczas gdy Kuni bawił się z dziećmi na podwórzu: szukał dmuchawców i pomagał Toto-tice je zdmuchiwać. Rata-tika, zbyt mała, by brać w tym udział, trzymała ojca za szyję i patrzyła, co robi, krzycząc z radości.

– Gniewam się o to, że bycie królem traktuje poważniej niż bycie mężem – odparła Jia.

– A dla ciebie bycie żoną jest twoją najważniejszą rolą? Słyszałam, jak drzwi do twojej sypialni otwierają się i zamykają w nocy.

Jia zastygła z igłą w powietrzu.

– Uważaj, co mówisz – powiedziała, patrząc na Soto. Ręce jej się trzęsły.

Jednak Soto nie przerwała swojej pracy, precyzyjnej i starannej; każdy jej szew był prosty i napięty, jakby mierzony torem lotu strzały. Jej dłonie nie drżały.

– Źle mnie zrozumiałaś, pani. Kochasz swojego męża?

– Oczywiście.

– Jak więc godzisz to z posiadaniem kochanka?

– To coś zupełnie innego. – Jia mówiła cicho, zarumieniła się. – Otho dał mi coś, czego potrzebowałam... dla siebie, żeby nie zwariować, żeby poczuć, że nie umarłam. Zrobiłam to, żeby znowu zapanować nad swoim życiem, by móc znowu być panią Jią dla tych, którzy mnie potrzebowali. Nie żałuję tego, nawet jeśli mędracy Ano nie pochwaliliby mojego postępu. Nie uznaję tego za zdradę, ponieważ Kuni nigdy nie opuścił mojego serca.

– Myślisz, że Kuni to rozumie?

– Nie wiem. Jeśli jednak jest taki, jak myślę, że jest, powinien. Nigdy nie udawałam doskonałej, zawsze jednak starałam się robić to, co słuszne.

– Właśnie o to mi chodzi, Jia. Miłość nie jest prosta, a my jesteśmy zdolni obdarzać nią wielu ludzi, nawet jeśli wmawia się nam, że powinniśmy od tego stronić. Możesz być dobrą żoną i jednocześnie dobrą matką, chociaż czasami potrzeby twojego męża stoją w opozycji do potrzeb twoich dzieci. Możesz być lojalna wobec małżonka i jednocześnie wziąć dla swego dobra kochanka, chociaż poeci uczą, że to niewłaściwe. Dlaczego jednak powinniśmy wierzyć, że poeci rozumieją nas lepiej niż my sami? Nie uciekaj w konwenanse tylko dlatego, że się boisz. Jak sama się domyślasz, mąż może rozumieć cię lepiej, niż ci się wydaje.

– Jesteś zagadkowa, Soto.

– Nie bardziej niż ty, Jia. Wściekasz się na Kuniego, ponieważ widzisz konflikt między obowiązkiem zapewnienia ci bezpiecznego domu a jego pragnieniem uczynienia Dary lepszym miejscem dla wszystkich. Lecz czy jego serce nie może pomieścić jednego i drugiego? I czy nie dostrzegasz, że potrafisz pomóc mu osiągnąć oba cele?

Jia zaśmiała się gorzko.

– Bez względu na to, co myślę, co mam niby zrobić? Nie jestem mężczyzną, jestem tylko żoną człowieka, który szuka szczęścia w wojnie.

– Nie możesz się uciekać do komunałów o bezsilności, kiedy ci to pasuje. Twój mąż jest królem, równym każdemu innemu królowi Tiro. Naprawdę myślisz, że jesteś równie bezsilna co każda cocruska wdowa, której mąż rolnik został wysłany do walki, by oddał życie za Kuniego i Matę?

– To Kuni podejmuje decyzje w tych sprawach, nie ja.

– Brak miecza i zbroi nie zwalnia cię z obowiązku odpowiedzialności za to, jak się wszystko potoczy.

– A jaka jest alternatywa? Nie chcę być znana jako kobieta, która manipuluje swoim mężem, by zaspokoić głód władzy; nie chcę być posądzana o zdobywanie w sypialni tego, co zdobywać powinno się wyłącznie na polu bitwy lub poprzez uczciwe studia. Dostatecznie znam klasyków Ano, żeby zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą kobiece mieszanie się w sprawy wagi państwowej.

– A co z panią Zy?

– Nie zamierzam porównywać się do tej legendarnej kobiety.

– A jednak ona niegdyś też była tylko żoną, która wierzyła, że może skłonić męża do zrobienia tego, co słuszne. Choćbyś pilnie się uczyła, jak chcesz zostać urzędnikiem? Choćbyś była niezwykle odważna, jak masz stanąć na polu bitwy? Żyjemy w świecie, w którym te ścieżki są dla kobiety zamknięte, a jednak nie chcesz poznać innych dróg, które mogłyby odmienić twój los i los wielu innych, ponieważ boisz się języków plotkarzy

i ostrych nożyków skrybów zmyślających fakty historyczne dla własnych celów. Konwencjonalne życie „dobrej żony”, definiowane przez dworskich skrybów, znajduje się poza twoim zasięgiem. Sprzeciwiłaś się rodzinie i wyszłaś za nieudacznika, ponieważ łączyło was marzenie. Poszłaś za nim w góry. Wierzyłaś w niego, gdy nikt inny nie wierzył...

– Nie o to... nie o to chodzi... Po prostu chciałabym, żeby moja rodzina była bezpieczna...

– Już na to za późno, Jia. Niektórzy wierzą, że świat to potrząsane przez los sito, które rozdziela ludzi według ich wrodzonych cech. Inni uważają, że sami kształtujemy swoje przeznaczenie za pomocą szczęścia i umiejętności. Tak czy inaczej ci na wyższych stanowiskach mają bardziej odpowiedzialne obowiązki, ponieważ dzierżą większą władzę. Jeśli tak ważne jest dla ciebie bezpieczeństwo, nie powinnaś była zgadzać się tamtego dnia, gdy Kuni poprosił, byś przywiązała swój los do jego losu. Małżeństwo to wóz z dwoma woźnicami i nie możesz pozwolić, żeby tylko on wybierał dla was drogę. Zaakceptuj swoją rolę politycznej żony, a może przestaniesz się czuć taka bezsilna.



Kiedy znowu padli sobie w ramiona, ich namiętność była surowa i niezgrabna, jak pierwszego dnia.

– Z tobą nigdy nie będzie łatwo, prawda? – zapytała. – Będziesz się wciąż zmieniał, tak jak ja.

– Wolałabyś, by było inaczej? – odparł. – Bezpieczeństwo to iluzja, tak jak wiara bez pokus. Jesteśmy niedoskonalni, w przeciwieństwie do bogów, jednak możemy sprawić, że pozazdrozczą nam tej niedoskonałości.

Wtedy oboje poczuli, jak ich serca się powiększają, by pomieścić wiele miłości.

Po wszystkim leżeli w mroku, ciasno objęci.

– Musisz wrócić do Dasu – rzekła Jia. – I nigdy więcej nie wspominaj o kapitulacji przed Matą.

Kuni poczuł, jak jego serce przyspiesza, by doścignąć serce żony.

– Jesteś pewna?

– Niewiele masz, lecz choćbyś oddał wszystko, nie jest wcale pewne, że Mata zostawi nas w spokoju. Dopóki jednak pozostajesz królem, możesz działać. Bandyta, który został księciem i poleciał sterowcem, by pojmać cesarza, nigdy nie jest w sytuacji bez wyjścia.

Kuni przytulił ją mocniej.

– Wiedziałem, że znajdę u ciebie to, czego potrzebowałem.

Jia pocałowała go.

– I musisz pojąć drugą żonę.

Kuni zamarł.

– Słucham? Jeśli to twój pomysł na zapewnienie równowagi w naszym małżeństwie...

– Królowie powinni mieć wiele żon, żeby zapewnić sobie wielu następców...

– A odkąd to mam być jak inni królowie?

– Och, proszę cię, Kuni, przestań się zachowywać jak dziecko. Wiem, że moje miejsce

w twoim sercu jest równie bezpieczne co twoje w moim. Ponieważ jestem matką twojego pierworodnego syna, Mata myśli, że dopóki jestem jego więźniem, ma cię w szachu. Musisz go przekonać, że podoba ci się twoje aktualne położenie, że jesteś szczęśliwy, a może nawet więcej niż szczęśliwy, będąc królem maleńkiej, dalekiej wysepki. Nie ma lepszego na to sposobu niż wzięcie drugiego ślubu, by pokazać mu, że zadomowiłeś się w Dasu jak prawdziwy, chciwy i pożądlivy król tiryjski, gotowy zapuścić tam korzenie niczym chwast. Jeśli będziesz wystarczająco przekonujący, może nawet w końcu pozwoli mi do ciebie pojechać.

– Ale, Jia, nie mogę po prostu pojąć jakiejś dziewczki za żonę jak kukły.

– Wcale cię o to nie proszę. Wiem, że dla ciebie ożenek nigdy nie mógłby się stać zimnym, czysto politycznym aktem. Będziesz jednak daleko ode mnie, a ja wiem, jak samotność niszczy uczucie i namiętność. Musisz ożenić się z kobietą, którą pokochasz i która będzie ci towarzyszką oraz zaufaną doradczynią. Potrzebujesz kogoś takiego u swego boku, zwłaszcza w chwilach zwątpienia.

Kuni przez chwilę milczał.

– Jeśli to zrobię, któregoś dnia ta kobieta może stać się twoją rywalką na dworze.

– Albo mnie zastąpi, jeśli Mata uzna, że nie jestem mu już potrzebna żywa.

Kuni aż się podniósł.

– Słucham? Nigdy bym na to nie pozwolił.

Jednak głos Jii pozostawał spokojny.

– Potrzebujesz następcy. Kto potrafi przewidzieć, w którą stronę zawieje wiatr? Nasz plan jest ryzykowny i musimy być gotowi na porażkę. Kiedy pani Zy przekonała męża, by potępił Mapidéręgo, wiedziała, że któregoś dnia być może zapłaci za to życiem.

– Nie wiem, czy powinienem cię podziwiać, czy się ciebie bać.

Jia chwyciła go za rękę.

– Mówię o tym, bo jestem roztropna. Możliwe, że Mata uwierzy w twoją zażyłość z nową żoną i to, paradoksalnie, uczyni mnie bezpieczniejszą.

– Mówisz o ryzykowaniu życia jak o pogodzie.

– Nie jestem tak naiwna, by uważać, że to będzie łatwe – odparła. – Jednak naszego zaufania do siebie nawzajem nie ograniczają konwenanse. Bez względu na to, kto da przyjemność twoim zmysłom i zajmie miejsce w twoim sercu, wiem, że będziesz szczęśliwszy, niż uciekając ze mną.

Kuni pocałował ją.

– A ja wiem, że bez względu na to, kogo zaprosisz do swojego łóżka pod moją nieobecność, zawsze będziesz najszczęśliwsza wtedy, gdy razem ze mną wzniesiesz się wysoko, tak jak w twoim śnie.

– Mój mąż ma prawdziwie otwarty umysł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

RISANA

POBLIŻE ÇARUZY: SIÓDMY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

Kuni poprosił Soto, żeby zabrała go ze sobą do Çaruzy.

– Potrzebujesz kogoś, kto będzie nosił twoje zakupy – powiedział.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, żebyś się pokazywał w Çaruzie – odparła. – Powinieneś leżeć chory w Dasu.

Nie dało się go jednak przekonać. Pogodzenie się z żoną napełniło go nową energią. Czuł się gotowy podbić cały świat; chciał popatrzeć na miasto i z bliska obserwować szlachetność stolicy Maty. W ten sposób zamierzał zagrać na nosie hegemonowi, który skazał go na więzienie na maleńkiej wysepce. I tak oto, przebrany za służącego, udał się z Soto do miasta.

Gospodyni kupiła ryż, ryby, warzywa, żeberka wieprzowe i inne produkty. Koszyk przywiązany do pleców Kuniego stawał się cięższy i cięższy, jednak Garu nie narzekał. Widoki i dźwięki tętniącej życiem Çaruzy, znacznie bardziej kosmopolitycznej i wytwornej niż Daye, pozwoliły mu zrozumieć, jak bardzo tęskni za Wielką Wyspą.

– Wstawaj, ty bezwartościowy, leniwy psie – krzyczał cocruski pięćdziesiątnik, bicząc chudego młodzika, który leżał na ziemi. Chłopiec próbował się podnieść, lecz ze słabości zaraz znowu upadał. Nie dało się nie zauważyć, że jest niedożywiony i ktoś już wcześniej go bił. Tłum rozstąpił się, dając obu wiele miejsca.

– Co tu się dzieje? – zapytał Kuni, gdy przepchnął się już bliżej.

Soto wzruszyła ramionami.

– Hegemon uczynił wielu xańskich więźniów robotnikami w armii, właściwie niewolnikami.

– Ten chłopiec wygląda na nie więcej niż czternaście lat.

– Hegemon powiedział, że więźniowie zasłużyli sobie na swój los, ponieważ walczyli dla cesarza. Większość poddanych się z nim zgadza.

– Nigdy nie będzie końca cierpieniu, jeżeli „zasłużyli sobie” wystarczy ludziom za usprawiedliwienie zadawania bólu.

Soto obrzuciła Kuniego taksującym spojrzeniem i pokiwała głową, wyraźnie zadumana.

Kuni spojrział na półżywego chłopca leżącego na ziemi i skrzywił się.

Po chwili się roześmiał i pomaszerował w stronę rozwścieczonego oficera.

– Panie! Panie! Mogę prosić o przysługę?

Oficer zatrzymał się i otarł pot z czoła.

– Czego chcesz?

– Nienawidzę tych xańskich psów tak samo jak hegemon. Lubię wymyślać skomplikowane gry, żeby dręczyć proste umysły xańskich niewolników. Ponieważ ten

wyraźnie stał już się bezużyteczny, może mógłbym go od ciebie odkupić? Mam kilka nowych gier do wypróbowania.

Mówił gładko i potoczyście, jego oczy emanowały radością na myśl o wymierzaniu komuś tortur. Nawet pięćdziesiątnik zadrżał. Potem jednak kiwnął na Kuniego i wyszeptał mu do ucha ofertę.

– Ach – odparł Kuni, krzywiąc się. – Nie mam przy sobie dość pieniędzy. Proszę, oto dziesięć sztuk srebra, tylko tyle mogę teraz dać. – Zmarszczył brwi i poklepał się po rękawach, a jego oczy znów się rozpromieniły. – Ale za to wziąłem ze sobą pieczęć.

Kuni poszedł do sklepu znajdującego się przy ulicy i wrócił stamtąd z kartką papieru, którą zaraz podał żołnierzowi.

– Pokaż to lokajowi w domu pana Peringa i powiedz mu, że pan Kunikin, czyli ja, jest ci winien pieniądze. Jestem prywatnym nauczycielem w jego domu i zapłacę ci tam na konto mojej przyszłej pensji. Tutaj jest moja pieczęć.

Pięćdziesiątnik podziękował i rozwinął papier. Nie czytał zbyt szybko i musiał przyglądać się każdej literze i logogramowi, poruszając powoli ustami.

– Zabierzmy chłopca do domu i umyjmy go – szepnął Kuni do Soto.

– Ty i Jia jesteście do siebie bardzo podobni – odparła Soto, również szeptem. – Nie potrafisz się powstrzymać przed pomaganiem ludziom. Pamiętaj, by doceniać potencjał tej cechy.

Kuni rozważał przez moment te słowa.

– Dziękuję.

Cocruski żołnierz zamarł, kiedy jego wzrok padł na niewyraźny odcisk pieczęci.

– To ty! – krzyknął. – Fin Crukédori!

Kuni, Soto i chłopiec znajdowali się niecałe dwadzieścia kroków dalej. Stojący najbliżej nich ludzie zaczęli się na nich gapić.

– O czym on mówi? – zapytała Soto.

Kuni uśmiechnął się gorzko.

– O przeszłości, która mnie dogoniła.

Pięćdziesiątnik ruszył w stronę Kuniego. Młoda kobieta sprzedająca mrożoną zupę z kwaśnych śliwek przewróciła się, próbując zejść mu z drogi, a niesione przez nią lodowe bloki upadły na ziemię; żołnierz poślizgnął się na jednym z nich i też upadł, potem próbował wstać i upadł raz jeszcze.

– Muszę iść – powiedział Kuni do Soto.

– Poczekaj! – zawołała. – Teraz, gdy już wiem, jakim jesteś człowiekiem, zdradzę ci mój sekret. – I przyciągnęła go do siebie, by wyszeptać mu coś na ucho. Kuni otworzył szerzej oczy, a potem spojrzał na Soto i na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Zrób, co musisz, w dalekim Dasu – rzekła kobieta. – Kiedy nadejdzie czas, będę czekać tutaj.

Odwrócił się i zniknął w tłumie zdumionych ludzi.



– Dlaczego, siostrze? Dlaczego pomogłaś uciec temu oślizgłemu węgorzowi? Nie widzisz,

że knuje przeciwko ulubionemu synowi Cocru?

– To twój ulubieniec. Ja wolę Jię. Ma dziewczyna... charakter. To nie jest odpowiednia chwila, by kogoś opłakiwała.

– Myślę, że dałaś się zwieść udawanym cnotom jej przebiegłego męża. To aktor, oszust.



Kuni poganiał konia, którego ukradł, żeby jak najszybciej dostać się jak najdalej od Çaruzy. Zwierzę było jednak stare, słabe i już toczyło pianę z pyska. Kuni widział za sobą sylwetki ścigających go jeźdźców i wzbudzone przez nich tumany kurzu.

Przeklinał swojego pecha. Ze wszystkich cocruskich żołnierzy musiał natrafić akurat na tego, który był z Zudi. I ze wszystkich żołnierzy z Zudi musiał natrafić na tego, który znał jego starą sztuczkę.

Pięćdziesiątnik natychmiast wezwał wsparcie. Mata Zyndu dał jasno do zrozumienia, że Kuni Garu nie może opuszczać Dasu. A wszyscy ludzie hegemonu wiedzieli, że za pojmanie Kuniego należy się nagroda, gdyby król Garu bez pozwolenia powrócił z wygnania.

Przed Kunim wyrosła mała chatka. Zeskoczył z konia i pogonił go, a sam przypadł do drzwi, gdzie młoda kobieta wyskubywała groszek z łupiny.

– Siostró, potrzebuję twojej pomocy. – Kuni zdawał sobie sprawę, jakie musi robić wrażenie: spod wybielonych włosów przebijały ciemne odrosty, a ubrany był jak jeden ze służących jego żony. Fałszywe blizny na twarzy i pot czyniły go podobnym do zdesperowanego uciekiniera, którym właściwie był.

Młoda kobieta, której oliwkowa cera oraz jasne włosy i oczy sugerowały, że jej przodkowie pochodzili nie z Cocru, lecz z Amu, wstała i spojrzała w dal, na tumany kurzu.

– Jeśli uciekasz przed hegemonem, chyba nie jesteś taki zły.

Kuni westchnął z ulgą. Mata nigdy nie przejmował się opinią plebsu i nie widział sensu w próbie zaprzyjaźnienia się z jego przedstawicielami. Kuni mógł sobie tylko wyobrazić, jak arystokracja, generałowie i poborcy podatkowi traktowali mieszkańców. Jednak byli oni jak morze: mogli sprawić, że mocno obciążony statek popłynie, lecz mogli go też zatopić.

– Chodź ze mną. – Kobieta poprowadziła Kuniego do studni za chatką i kazała mu spuścić się powoli na linie. Kiedy Kuni był już w wodzie, powiedziała mu, żeby trzymał się liny i założył sobie na głowę wiadro jak hełm. Jeśli ktoś zajrzy do studni, pomyśli, że wiadro unosi się na wodzie.

Sama wróciła do chaty i rozpałała w kuchni. Ponieważ wcześniej namoczyła drewno, pomieszczenie wypełniło się dymem, który zaczął się wydobywać przez otwarte drzwi.

Cocruscy żołnierze zwolnili, mijając chatę. Pięćdziesiątnikowi zdawało się, że widział, jak jeździec zsiadał z konia w tej okolicy. Wysłał połowę ludzi w pościg, gdyż w oddali widać było tuman kurzu, i razem z pozostałymi podszedł do chaty.

Powitała ich kobieta z twarzą mokrą od łez i czarną od sadzy.

– Widziałaś uciekiniera? – zapytał pięćdziesiątnik. – To wróg hegemonu, bardzo groźny człowiek. – Nie powiedział swoim ludziom, że szukają Kuniego Garu, na wypadek gdyby

się okazało, że się pomylił.

Kobieta pokręciła głową. Była zdenerwowana i machała rękami, żeby przegonić dym. Jednak ten zamiast się rozwiać, zdawał się naśladować jej ruchy i gęstniał. Nie minęło wiele czasu i ciemne kłęby pochłonęły ją, pięćdziesiątnika i jego żołnierzy. Wszyscy zaczęli kaszleć, łzy leciały im z oczu.

Pięćdziesiątnik wyteżał wzrok, żeby zajrzeć do chaty, jednak trudno było mu cokolwiek dostrzec. Przepchnął się obok kobiety i wszedł do środka. Z gęstego dymu zdawały się wyskakiwać cienie, niewyraźne sylwetki i potwory z ognistymi oczami. Pięćdziesiątnik się wystraszył i stracił orientację. Nagle poczuł się bardzo gruby i powolny. Zupełnie jakby dym wypełnił jego głowę.

– Nie ma tu mężczyzny, którego szukacie – powiedziała kobieta.

– Nie... ma – powtórzył niemrawo pięćdziesiątnik.

W tym dymie nie mógł się na niczym skupić. Wycofał się na zewnątrz i znów mógł myśleć klarownie.

„Oczywiście, że go tu nie było. Jakież jestem głupi. Dlaczego Kuni Garu miałyby się chować w chłopskiej chacie? Każdy mieszkaniec Cocru wie, że Kuni Garu zdradził wspaniałego hegemonu Zyndu i nikt nie odważyłby się mu pomóc”.

Wymamrotał przeprosiny i poprowadził swoich ludzi w dalszą drogę. Jeśli nie złapią uciekiniera, postanowił, że nic nikomu nie powie. Hegemonowi nie spodobałoby się, gdyby jeden z jego oficerów znalazł Kuniego Garu i pozwolił mu uciec. Może nawet podejrzewałby go o udzielenie Kuniemu pomocy.



Woda w studni była zimna i kiedy młoda kobieta pomogła Kuniemu się stamtąd wydostać, cały się trząsł. Gdy wyszedł już na światło i spojrzał nieznajomej w twarz, teraz skąpaną w delikatnym blasku zachodzącego słońca, zauważył, że pod warstwą sadzy i popiołów kryje się prawdziwe piękno.

– A co to, nigdyś nie widział cocruskiej kobiety? – spytała, śmiejąc się.

– Jestem Kuni Garu – odparł. Nie miał pojęcia dlaczego. Było w niej coś takiego, w jej subtelnych ruchach rąk, którymi odganiała wciąż kłębiący się na podwórzu dym, że poczuł chęć mówienia prawdy.

– Ja jestem Risana, zwyczajna zaklinaczka dymu.



Postawiła na stole tacę ze słodkimi przekąskami i gorzką herbatą. Kuni podziękował.

– O co chodzi z tobą i... dymem?

Risana wstała i zapaliła kadzidło, po czym postawiła je także na stole.

– Patrz.

Zaczęła poruszać dłońmi, a ich śladem podążyły długie, obszerne rękawy. Prądy powietrza w pomieszczeniu zmieniły się, a dym, przed chwilą unoszący się w prostej linii,

zaczął się spiralnie skręcać. Risan przestała się poruszać, lecz dym nie zmieniał swojego kształtu, jakby się zestalił.

– Niesamowite – rzekł Kuni. – Jak to zrobiłaś?

– Moja rodzina pochodzi z Arulugi, Pięknej Wyspy. Nie znałam swojego ojca, wychowywała mnie tylko matka. Była zielarką, która poznała sekret tworzenia dymu poddającego się rzeźbieniu jak glina. Wymaga pewnych składników, które podczas spalania wytwarzają niezwykle rodzaj dymu. Wędrowaliśmy od miasteczka do miasteczka i zarabialiśmy godziwe pieniądze, zabawiając gości w herbaciarniach. Moja matka udoskonaliła technikę i tworzyła jeszcze bardziej skomplikowane dymne przedstawienia. Potrafiła skonstruować labirynt, a klient płacił za możliwość zgubienia się w nim. Za to, by się tam śmiać i krzyżeć, i poczuć ekscytację strachu przed wyimaginowanym niebezpieczeństwem.

Kuni usłyszał w jej głosie nuty smutku.

– Potem coś się stało, prawda?

Kiwnęła głową.

– Matka zdała sobie sprawę, że dym ma też wpływ na umysły ludzi, czynił ich łatwiej podatnymi na sugestie. Dlatego labirynty tak świetnie działały: matka potrafiła stworzyć zarysy potworów poruszających się za kłębam dymu, a klienci znajdujący się w środku wierzyli, że są prawdziwe.

Kuni kiwnął głową. Słyszał kiedyś o takich dziwach. Uliczni artyści potrafili wprowadzić ochotników w półsen. Ci robili wówczas różnego rodzaju głupie rzeczy, o których normalnie by im się nie śniło: nieśmiali wygłaszali porywające przemowy, odważni bali się byle czego, wytworni państwo gdakali jak kury i szczekali jak psy. Prawdziwe szaleństwo.

– Pewnego dnia księżę znany ze swojego męstwa przybył sprawdzić dymny labirynt. Moja matka, chcąc zapewnić mu rozrywkę, otoczyła go gęstą mgłą i zasugerowała, że gonią go potwory z płonącymi językami. Zamierzała je wycofać, gdy księżę dobędzie miecza, żeby poczuł satysfakcję z potyczki z mitycznymi kreaturami. Jednak księżę, chociaż znany był jako dobry wojownik, okazał się tchórzem. Gdy zobaczył potwory, które włożyła mu do głowy moja matka, rzucił miecz i wybiegł z krzykiem z labiryntu, po drodze brudząc sobie bieliznę. Król Ponahu nie był tym ucieszony i kazał aresztować moją matkę za odprawianie czarów. Skazano ją na egzekucję, jednak przekonała strażników, żeby podali jej zioła na kobiece problemy, a ona spaliła je, tworząc dym, i uciekła. Potem udała się do Cocru i od tamtej pory starałyśmy się żyć tutaj, nie wychylając się za bardzo.

– To smutna historia – rzekł Kuni. – Król Ponahu uważał zdolności twojej matki za czary, ale czy rządzenie nie jest swego rodzaju zaklaniem, tyle że nie dymu, a ludzi? Wymaga przygotowania sceny i scenariusza występu, a polega na sile sugestii.

Risana przechyliła głowę i wpatrywała się w Kuniego tak długo, że zawstydził się pod wpływem spojrzenia jej jasnobrzązowych oczu.

– Powiedziałem coś nie tak?

– Nie, ale żałuję, że moja matka już nie żyje. Spodobałbyś się jej.

– Czyżby?

– Zawsze powtarzała, że na świecie nie zapanuje ład, dopóki ci u władzy nie zaczną

zabiegać, by zapewnić rozrywki tym bezsilnym, zamiast odwrotnie.

Kuni roześmiał się, lecz po chwili przybrał poważny wyraz twarzy.

– Jest wiele prawdy w słowach twojej matki i warto się w nie wsłuchać.

– To było jej zawodowe motto: zabawiać i prowadzić.



Towarzystwo Risany przypomniało mu dzieciństwo, kiedy życie było łatwiejsze, i dzięki temu się rozluźnił.

Nie zdawał sobie sprawy, że polityka na stałe zagościła w jego codziennym życiu. Każde jego słowo, każdy gest, każdy grymas mogły zostać zinterpretowane na różne sposoby i musiał zwracać na to uwagę. Cogo nauczył go, że król zawsze jest obserwowany, że zawsze przemawia, nawet kiedy milczy. Ludzie ciągle będą doszukiwać się znaczenia w tym, jak trzyma ręce, jak uważnie słucha, jak pije herbatę albo powstrzymuje ziewnięcie. W ich umysłach zawsze będą się rodzić spiski, intrygi i konfabulacje.

Musiał przyznać, że w pewnym sensie nawet mu się to podobało i był w tym dobry.

Jia, na swój własny sposób, także była mistrzynią tej sztuki. Pozostawała w centrum uwagi, inni zabiegali o jej zainteresowanie i akceptację. Chociaż ich serca połączyły się do tego stopnia, że rozumieli się jak nikt inny, w swojej obecności wciąż kontynuowali tę grę, przyjmowali role, analizowali nawzajem swoje słowa i gesty.

Tymczasem przy Risaniu Kuni nie czuł żadnej presji. Ta kobieta mówiła to, co myślała, i potrafiła przejrzeć każdą jego nieszczerłość. Machnęła rękami, a mgła zaraz czmychała z jego umysłu. Nie było sensu ani prawić komplementów, ani oszukiwać, ani kłamać. Risana nie była zainteresowana tego rodzaju mentalnymi gierkami, w które oboje z Jią się wplątali. Ponieważ potrafiła tak łatwo przejrzeć każdego człowieka, sama zawsze zdawała się szczerą.

Będąc z Risaną, Kuni zdał sobie sprawę, jak męczące stało się jego życie. Nie było już w nim miejsca dla tego młodego człowieka, który czuł się przeszczęśliwy i podekscytowany, patrząc na samotnego mężczyznę frunącego przez niebo.



Risana nie powiedziała Kuniemu całej prawdy o swoim talencie, który był podobny do talentu jej matki, lecz jednocześnie zupełnie różny.

Podczas gdy jej matka potrafiła otumanionym przez dym klientom wkładać do głowy sugestie, Risana najlepiej radziła sobie z czymś przeciwnym: przeganiała mgłę z umysłów, oczyszczając myśli. To ona wyprowadzała innych z labiryntu, ona pokazywała im, że widziane przez nich potwory nie były prawdziwe.

Jeśli chciała, potrafiła manipulować dymem w sercach i umysłach ludzi, sprawiając, że widzieli coś, czego nie było, zaczynali wątpić, choć przed chwilą mieli pewność. O wiele bardziej lubiła jednak dawać im klarowność.

Nawet bez pomocy dymu z ziół zawsze łatwo przychodziło jej rozmawianie z innymi –

miała talent zagładania do ich serc przez mgłę i dym samooszustw i ich pragnienie, by wydawać się lepszymi i bardziej wartościowymi, niż byli w rzeczywistości. Większość czasu wolała udawać, że daje się nabrać; często była to cena, jaką płaciła za ich sympatię.

Czasami jednak, kiedy wydawało jej się, że rozmówca tego potrzebuje, wybierała inną drogę. Słowem, piosenką albo roztropnie wymuszoną ciszą pokazywała mu, co dostrzegła, wręczając najcenniejszy prezent: akceptację prawdy.

Kiedy ludzie zdawali sobie sprawę z jej zdolności, często odsuwali się od niej ze strachu. Nie podobało im się, że zostali obnażeni.

Jednak jej umiejętności miały swoje ograniczenia.

Risana odkryła, że serca niektórych ludzi są niedostępne dla jej spojrzenia, jak zamknięte pudełko. Nie potrafiła ocenić, czego takie osoby chcą i czego się boją, nie wiedziała, czy ma do czynienia z przyjacielem, czy wrogiem.

– Boję się o ciebie – powiedziała niegdyś jej matka, kiedy Risana próbowała zrozumieć istotę tej swojej ślepoty.

– Dlaczego? – zapytała Risana.

– Nigdy nie nauczyłaś się szukać drogi w ciemności, tak jak my wszyscy.

A potem wzięła córkę w ramiona i nie tłumaczyła już nic więcej.



Z początku Risana myślała, że serce Kuniego jest przed nią zamknięte. Potem jednak zrozumiała, że za mało się starała.

Kuni był niezwykle skomplikowanym człowiekiem. W jego sercu znajdowało się tyle warstw, że wydawało się nieprzejryste. Przypominał kapustę, gdzie jeden liść zarastał drugi, każda na wpół wykreowana idea zawierała się w innej; chęci, podejrzenia, żale i ideały oplatały się ciasno, nie pozwalając sobie nawzajem na wzrost. Rozwijała się w nim ambicja i ogromne pragnienie bycia lubianym. A jednak Risana znalazła też smutek i dręczące wątpliwości co do tego, czy wybrał właściwą ścieżkę, czy faktycznie jest tak dobrym człowiekiem, jak mu się wydaje.

Intrygował ją. Z jej doświadczenia wynikało, że ludzie u władzy zazwyczaj nie mają tylu wątpliwości. Kuniego pochłaniała chęć bycia dobrym dla innych, jednak nie wiedział, czym właściwie ma być to „dobro” i czy jest właściwą osobą na właściwym miejscu.

Risana zdała sobie sprawę, że Kuni zamiast się oszukiwać, tak w siebie wątpił, że nie potrafił już spojrzeć na siebie obiektywnie. „I co powinnam zrobić? – pytała samą siebie. – Co zrobić, widząc króla, któremu potrzeba rady? Zabawiać i prowadzić”.



Kuni został u Risany dwa tygodnie. Z początku wmawiał sobie, że ukrywa się przed żołnierzami Maty. Jednak w jej towarzystwie nie potrafił się okłamywać.

Dlatego zapytał, czy pójdzie z nim. A ona już wcześniej wiedziała, że się zgodzi.

I w taki oto sposób Kuni wziął sobie drugą żonę, Risanę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

LISTY

DASU I POBLIŻE ÇARUZY: DZIEWIĄTY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

Moja kochana,

jak zwykle zaczynam od przeprosin za to, że bazgrzę w zyndari jak dziecko, niestety będziesz musiała mi wybaczyć do czasu, aż wynajdę sposób na to, jak pisać ładnie niewidzialnym atramentem; chociaż, z moimi zdolnościami, może i lepiej, że nie mogę tu używać logogramów.

Masz wszystko, czego ci trzeba? Jeśli brakuje ci pieniędzy, daj mi znać – jestem pewien, że zdołam Ci je wysłać, a Mata będzie zbyt dumny, żeby wtrącać się w takie sprawy. Z pewnością nie jest Ci łatwo prowadzić dom, nawet z pomocą Soto i Otho. Modłę się, by Toto-tika i Rata-tika nie sprawiali Ci dużo kłopotów.

Z ogromną radością przyjąłem Twoje prezenty i list z gratulacjami dla mnie i Risany. Kazała mi powiedzieć Ci, że bardzo jej się podoba pudełko z ziołami, które jej wysłałaś. Nie chciała mi jednak zdradzić, co się w nim znajduje; uśmiechnęła się tylko chytrze.

Tacy jesteśmy niedoskonalni, że mogę jedynie obiecać nigdy niczego nie zakładać, nie trzymać się kurczowo ideałów oraz być zawsze szczerym i odkrywać przed Tobą serce. Risana jest inna niż Ty i kocham Was obie.

Zorganizowaliśmy naprawdę wystawny ślub, chociaż cieplej wspominam nasz w Zudi – mogłem swobodnie mówić, co tylko mi przyszło do głowy. Królowie z całej Dary przysłali nam podarunki, które z pewnością wspomogą skarbiec Dasu. Od Maty dostaliśmy doskonałe wina z posiadłości rodu Zyndów.

Kindo Marana przybył osobiście, a ja udawałem przed nim, że w Dasu czuję się doskonale i że z zapałem korzystam z jego uroków: świeżego morskiego powietrza, pikantnego jedzenia, nowej żony i ludu, który uważa mnie za wytwornego.

– Nie tęsknisz za domem, panie Garu? – pytał, machając swoimi pałeczkami, żeby odmówić dokładki ostrzych pierożków; narzekał, że ma wrażliwy żołądek.

– Dom jest tam, gdzie serce twoje – odparłem, spoglądając na Risaną. Mam nadzieję, że mój występ był przekonujący.

Cóż to za gra, której się podjęliśmy, Jia. Niech bogowie mają nas w swojej opiece.

Twój kochający mąż, grający rolę życia



Kuni,

nie martw się o pieniądze. Chociaż Mata nas nieustannie pilnuje, przynajmniej zapewnia nam wszystko, czego potrzebujemy. Od Twojego wyjazdu Toto-tika nauczył się kilku słów i zaczął sam chodzić, a Rata-tika piękniejsza już być nie może. Tęsknię za swoim ojcem, a ja za mężem.

Jestem ciekawa Twojej nowej żony. Twoje serce zdobyła inna kobieta... Cóż, nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Mata przyszedł w odwiedziny, sam i bez broni.

– Kuni zadomowił się w Dasu – powiedział. – U niektórych trudniej o lojalność niż u innych.

– Niektórzy mężczyźni traktują kobiety jak ubrania – odparłam, ocierając łzy. – Im nowsze, tym lepsze.

Spojrzał na mnie i przez chwilę wydawał się tym Matą, którego niegdyś znałam; człowiekiem, który trzymał w rękach mojego syna i żartował z moim mężem. A potem jego twarz stężała i wyszedł.

Mam nadzieję, że dokładnie przejrzałeś moje podarunki. Mapy i plany młynów wodnych i wiatraków, o które prosiłeś, schowałam w podszewce pościeli; ślub to faktycznie dobra okazja do przemytu. Rin wpadł na ten pomysł, prawda? Mam nadzieję, że niczego mu teraz nie brakuje, by odpowiednio wypełnić swoje obowiązki.

Odwagi, mój mężu, i wiary.

Twoja Jia, grająca niezwykle interesującą rolę szpiega



Moja kochana,

teraz, gdy minęło trochę czasu od mojego powrotu na wyspę, przemyślałam sobie dobrze własne ambicje. Nieporozumienie między mną a Matą może się wydawać kwestią wyścigów o zaszczyty, honory i pustą sławę. Jednak jego korzenie sięgają znacznie głębiej. Teraz, gdy widziałem więcej świata, chciałbym go zmienić, podobnie jak hegemona. Tylko podczas gdy on chciałby przywrócić go do dawnego stanu, ja wolałbym nadać mu kształt, jakiego nikt jeszcze nie widział.

Może nie jestem wielkim wojownikiem, jednak zawsze starałem się postępować tak, by ludziom, którzy za mną poszli, którzy na mnie liczą, było jak najlepiej. Widziałem, jak cierpią biedacy, gdy arystokracja goni za ideałami. Widziałem, jak bezsilni umierają, gdy książęta wierzą w spełnienie swoich snów. Widziałem, jak zwykłym ludziom zabiera się pokój i wysyła ich na wojnę, kiedy królowie pragną sprawdzić czystość swoich wizji.

Doszedłem do wniosku, że cesarz Mapidéré został źle zrozumiany. Pozwól, że skończę, Jia.

W Pan na własne oczy zobaczyłem potworność szaleństwa Mapidérégo: kości jego ofiar były wbudowane w każdą ścianę, a wdowy i sieroty płakały na ulicy. Jednak dostrzegłem coś jeszcze, coś, co znalazłem w ocalonych przez Cogo z Cesarzkich Archiwów dokumentach, które przywiózł tutaj w sekrecie.

Szczegóły administracji cesarskiej pokazują, że chociaż Mapidéré zrobił tak wiele złego, kilka pomysłów miał dobrych. Dzięki niemu zwiększył się przepływ towarów, ludzi i idei. Nawet najmniejszy, odizolowany zakątek Dary został włączony do wielkiego świata. Cesarz zrobił wszystko, by zniszczyć arystokrację Siedmiu Królestw, dawne ośrodki władzy. Chciał, żeby w całej Darze mieszkał jeden naród.

Dlaczego ma być tak wiele królestw, Jia? Dlaczego ma być tak wiele wojen? Ciągłe zmieniające się granice są rysowane przez ludzi, nie bogów, więc dlaczego nie moglibyśmy na zawsze zetrzeć ich z map?

Wciąż jeszcze nie znam właściwej odpowiedzi, jednak wierzę, że powrót do przeszłości niq nie jest. Czuję ciężar nowej odpowiedzialności. Aby spełnić obietnicę rebelii i pomóc zwykłym ludziom, muszę znaleźć nową drogę.

Tymczasem utknąłem na tej wyspie i muszę się czymś zająć. Lecz wbrew temu, co mogłaś słyszeć, Dasu jest całkiem przyjemnym miejscem. Jest tutaj tak niewielu arystokratów poza tymi, których sam mianowałem, że nie organizuje się nudnych przyjęć i nie rozpowiada absurdalnych plotek. Pracuję nad tym, by przestali mnie nazywać „Waszą Wysokością”. Nie lubię, jak się przy tym jkają, a sam nie czuję się jak król. Cogo nie cierpi mojego braku przywiązania do protokołu, a sama wiesz, jaki potrafi być uparty. Cóż, ja też.

Daye ma podobną wielkość co Zudi, chociaż jest o wiele biedniejsze i mieszka tu mniej ludzi. Obawiam się jednak, że do stolicy Cocru się nie umywa.

Niewielu tu dociera kupców, ponieważ w zamian za ich towary oferujemy tylko ryby. Jak tu kiedyś przy płyniesz, przygotuj się na jedzenie dużej ilości surowych ryb i krewetek. Kraby i homary nie są tak duże jak te, które łapie się w zatoce Zathin, za to smakują o wiele lepiej.

Najbardziej w Daye lubię widoki. Ponieważ znajdujemy się na północnym brzegu, z dala od Rui i innych wysp, patrzymy na niekończący się ocean. Woda jest krystalicznie czysta i rzadko widać jakiegokolwiek pływające śmieci. Zacząłem rankami pływać w zimnej wodzie, jeszcze przed wschodem słońca. To naprawdę świetnie budzi i daje energię na resztę dnia. W nocy rozpalamy ogniska na plaży, pijemy i opowiadamy sobie historie. Tak, rozrywki w Daye są nieco ograniczone.

Miejscowi mówią, że za oceanem, za rozproszonymi wysepkami, na których czają się piraci, istnieją inne wyspy, pełne ludzi zupełnie różnych od nas. Starsi opowiadają o dziwnych szczątkach i wrakach, które fale przyniosły na brzeg wiele lat temu, o nieznannej w całej Darze konstrukcji. Powtarzamy sobie te opowieści przy ognisku, żeby się nawzajem nastraszyć, lecz czasem się zastanawiam: czy nie byłoby to ekscytujące, kochanie, znaleźć dalekie kraje, których żadne z nas nie

widziało?

Cogo, jak zwykle, wynalazł świetne sposoby na poprawę warunków życia ludzi, lecz jest na tyle łaskawy, by pozwalać mi podawać się za pomysłodawcę, żeby uważano mnie za mądrego króla. Ha!

Na przykład jego zdaniem powinniśmy wykorzystać do cna to, z czego Dasu słynie: naszą kuchnię. Cesarz Mapidéré zmusił swego czasu wielu ludzi do przeprowadzki do różnych części Dary, a najbardziej kosmopolityczni mieszkańcy pozostałych wysp polubili pikantną kuchnię Dasu. Teraz Cogo oferuje restauratorom specjalny baner, który można zakupić po zakończeniu odbywającego się w Daye kursu gotowania, żeby każdy z nich mógł tytułować się Autentycznym Kucharzem Dasu.

Ja wymyśliłem wzór baneru: mały skaczący wieloryb, który zupełnie przypadkiem znajduje się też na fladze nowego królestwa Dasu. Już zdążyło się do nas zgłosić około pięćdziesięciu właścicieli restauracji z Arulugi i Wielkiej Wyspy, a to dobre źródło pieniędzy. Cogo mówi, że najważniejszym walorem tego programu jest przyzwyczajenie ludzi z całej Dary do powiewających wszędzie flag Dasu i do kojarzenia jej z dobrymi rzeczami – na przykład z pyszną kuchnią. Ten Cogo to cwana bestia.

Wprowadził także nowe uprawy – na przykład gatunek kolokazji z Tan Adü, która zdaje się radzić sobie lepiej niż tutejsze odmiany. Rolnicy, którzy już je wypróbowali, są pod wrażeniem.

Cogo eksperymentuje również z nowym, łatwiejszym systemem podatkowym, chociaż mnie on nadal wydaje się skomplikowany. Kiedy jednak rozmawiam z przedsiębiorcami z Daye i starszyzną z wiosek, ciągle chwalą geniusz księcia Yelu. (A ja przypominam im, że jestem jeszcze większym geniuszem, ponieważ pozwalam Cogo robić, co tylko zechce).

Udało mu się też zdobyć sympatię Kindo Marany, który podobno miał obserwować każdy nasz krok. Osiągnął to, skromnie płynąc na Rui małą łódką rybacką, żeby wypytać o rady dotyczące podatków. Jeden Kiji wie, jak oni mogą tygodniami rozmawiać o podatkach, ale Marana zdaje się nie uważać nas już za zagrożenie. Kiedyś jego statki patrolowały nasze porty, wzbudzając strach w rybakach, zaś sterowce krążyły codziennie nad Daye, co bardzo radowało dzieci. Ostatnio jednak zmniejszyła się częstotliwość tych szpiegowskich misji.

Na froncie rekrutacyjnym nie jest już tak różowo. Chociaż Rin przez naszą sieć szpiegów – zwerbowanych głównie dzięki jego powiązaniom z gangiem przemytników – rozpuścił na inne wyspy wieści, że szukamy zdolnych mężczyzn, niewielu się zgłosiło. Dasu jest zwyczajnie zbyt biedne i zbyt odległe, żeby ludzie uważali je za naprawdę atrakcyjne.

Praktycznie każdego dnia kilku moich żołnierzy dezerceruje, ponieważ tęskni za domem albo zwyczajnie nie widzi tu dla siebie przyszłości. Nocami kradną łódki rybackie i płyną na Rui, gdzie dostają się na większe statki kierujące się na Wielką Wyspę. Inni odeszli, żeby dołączyć do piratów na północy. Wszystko to jest odrobinę przygnębiające.

Wciąż jednak powtarzam sobie, że to tymczasowe problemy. Mata nie ma cierpliwości do nużących detali zarządzania, a nowe królestwa Tiro już kłóćcą się o ustalone przez niego granice i walczą o lepszą pozycję. Może się oszukuję, myśląc, że wciąż mam szansę uciec z mojego wygnania, jednak nadzieja jest smacznym daniem, jeszcze lepszym z przyprawami z Dasu.

Nade wszystko jednak nie martw się. Znajdę wyjście. Obiecuję.

Twój kochający mąż



Kuni,

muszę Cię prosić, byś nie traktował mnie jak kruchego kwiatu, który musisz chronić, i uzmysłowił sobie, że nie musisz sam szukać na wszystko rozwiązania. Zakochałam się w Tobie nie tylko dlatego, że spodziewałam się po Tobie wielkich rzeczy, lecz także ze względu na Twoją umiejętność słuchania moich rad, zamiast ganienia mnie za „wtrącanie się”, choć skrybowie i ministrowie zawsze ostrzegali arystokratki z Çaruzy, by nie ingerowały w poważne sprawy swoich mężów, braci i synów.

Och, jestem pewna, że Cię to nie zaskoczy, lecz postanowiłam nie chodzić więcej na przyjęcia organizowane przez arystokrację Çaruzy. Czuję się na nich obrażana i wcale nie wydaje mi się, by cokolwiek udawało mi się osiągnąć. Na ostatnią ucztę Mata sam wysłał mi zaproszenie; chyba na podstawie mojego zachowania chciał wy badać Twoje ambicje. Tymczasem na miejscu jakiś głupiec, jakiś hrabia czy inny książę z Ganu, udawał, że nie ma pojęcia, gdzie leży Dasu, i nazwał Cię „królem pułapki na homary”. A inni goście śmiali się z tego jak z najlepszego żartu. Musiałam wrócić do domu, inaczej zrobiłabym coś, czego bym potem żałowała. Przepraszam, ale Twoja żona nie jest zbyt dobrą dyplomatką – mam nadzieję, że Risanie bardziej się powiedzie, dla dobra nas wszystkich – nigdy nie potrafiłam sprawić, by moja twarz wyrażała coś, czego nie czuję.

Trudno mi tutaj samej. Miałam nadzieję, że moja rodzina wreszcie się z nami pogodzi po Waszych sukcesach z Matą – i faktycznie, przez jakiś czas dalecy kuzyni i wujowie, których nigdy na oczy nie widziałam, pisali do mnie i zapowiadali wizyty. Teraz jednak wszyscy naciskają moich rodziców, żeby trzymali się ode mnie z daleka, ponieważ nie ma drugiego tak nie lubianego przez hegemonia człowieka jak Ty. Och, mam ochotę wydrapać oczy tym dalekim „krewnym”.

Soto w dalszym ciągu jest wspaniałą towarzyszką, a dzieci ją uwielbiają. Chociaż wyraźnie interesuje się polityką, dziwi mnie, że robi wszystko, by unikać arystokratów z Çaruzy. Znika za każdym razem, gdy któryś z nich pojawia się u nas i udaje, że interesuje się zdrowiem moim i dzieci, choć w rzeczywistości liczy wyłącznie na materiał do plotek. Nawet kiedy niedawno Mata osobiście nas odwiedził – a była to niezręczna wizyta, uwierz mi – schowała się w kuchni i nie

chciała wyjść. Musi skrywać jakiś sekret.

Mimo to lubię z nią rozmawiać... i chociaż żadna ze mnie pani Zy, chciałabym wspomnieć Ci o kilku rzeczach, mój drogi mężu, które moim zdaniem zaniedbujesz.

Wspominasz o tym, że trudno jest znaleźć zdolnych mężczyzn, którzy by Ci służyli. Ale co z kobietami, Kuni? Pamiętaj, że jesteś na słabej pozycji, a ci, którzy mają ambicję, by odnieść łatwy sukces, wolą się trzymać hegemonia i jego nowych królów Tiro. Jednak Mata wierzy w tradycję, w znane sposoby działania. Ci, którzy nie mogą liczyć na jego uwagę – ci słabi, biedni, bez wykształcenia czy dobrego urodzenia – mogą chcieć zaryzykować z Tobą. Nie jest naszym zwyczajem szukanie talentu u kobiet, więc kto wie, może właśnie na tym polu ci się powiedzie?

Nie dziw się mojej sugestii. Nie twierdzę, że powinieneś wywrócić świat do góry nogami i zrobić wszystko to, przed czym przestrzegali nas mędrcy Ano w swoich starych księgach. Rozważ jednak moją sugestię, a może znajdziesz szansę, którą wcześniej przeoczyłeś.

Ach, mam jeszcze wieści o naszych dawnych znajomych. Pamiętasz Pumę Yemu, dowódcę Jeźdźców Tornado? Wiele pomógł Tobie i Macie w czasie bitwy o Zudi, lecz Mata nigdy go nie lubił ze względu na jego kryminalną przeszłość i nie nagroził go po odebraniu Ci stolicy. Wręcz przeciwnie, kiedy wysłał króla Thufiego z dala od Cocru, pozbawił też markiza Yemu tytułu i uczynił go zwykłym setnikiem. Yemu tak się wściekł, że odszedł z armii i znowu stał się bandytą!

Raptem przedwczoraj pojawił się u mnie w tajemnicy i przyniósł ze sobą bardzo dobrą herbatę, którą ukradł z karawany jadącej do Çaruzy. Możesz w to uwierzyć? Taki wspaniały wojownik zmuszony znowu zajmować się złodziejstwem. Zasługuje na coś więcej. Rzuciłam mu kilka aluzji o powrocie do służenia Tobie, jest bardzo zainteresowany.

Dbaj o siebie.

Twoja Jia, zmęczona, ale szczęśliwa



Moja kochana,

jesteś najmądrzejsza, jesteś moją lepszą połówką. Przekazałem Cogo Twoje pomysły i przyznał, że są genialne. Natychmiast zaczęliśmy się zastanawiać, jak dotrzeć do kobiet z ukrytymi talentami.

Twoja wiadomość o Pumie Yemu sprawiła, że zacząłem się zastanawiać, kto jeszcze mógł się narazić Macie – gdybyś potrafiła się z takimi ludźmi skontaktować, bardzo byś nam pomogła. Tylko bądź ostrożna i nie pozwól, by Mata Cię zaczął podejrzewać.

Obawiam się jednak, że mam też potworne wieści. Cogo Yelu mnie opuścił. Wybacz, jeśli ten list wyda Ci się bez ładu i składu. Nie potrafię się skupić.

Cogo nie pojawił się dzisiaj rano na naszym codziennym spotkaniu. Wysłałem po niego Dafiro Miro, kapitana naszych strażników pałacowych (czyli oprócz niego

jeszcze dwóch innych żołnierzy, ale ja nie żałuję nikomu tytułów, bo tylko tytuły mogą dawać), a on wrócił z paskudną wiadomością: premier Cogo Yelu ostatni raz był widziany, jak opuszczał swój dom nocą na koniu i kierował się w stronę południowego brzegu Dasu.

Bojąc się, że doszło do niefortunnego wypadku, wysłałem tam natychmiast jeźdźców, a potem resztę poranka łąziłem w kółko po swojej komnacie jak mrówka biegająca po rozgrzanym piecu. Przed chwilą wrócili, bez Cogo. Nikt nie wie, gdzie się podział.

Jestem zrozpaczony. Jeśli nawet Cogo postanowił, że nie warto być po mojej stronie, jestem skończony, zupełnie skończony. Odkąd zostałem rebeliantem, Cogo był moją prawą ręką. Bez niego nie wiem nawet, jak po pijaku wrócić do domu. Jak mam się zająć jego nowymi uprawami? Jak mam rozdawać certyfikaty Autentycznych Kucharzy Dasu? Jak mam zbierać podatki, nie czyniąc ludzi nieszczęśliwymi?

Już na zawsze utknę na małej skale na morzu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy opuściło mnie wielu żołnierzy, w tym oficerów, jednak ta dezercja jest dla mnie czymś zupełnie innym. Jestem zbyt zaniepokojony, żeby się na niego wściekać.

Twój zrozpaczony Kuni



Moja kochana,

zapomnij o ostatnim liście. Cogo wrócił!

Minął tydzień, odkąd odszedł, a ja przez cały ten czas mało jadłem i źle spałem. Ale dzisiaj rano, kiedy już miałem się udać do latryny, zobaczyłem Cogo, który szedł ulicą, jakby nic się nie wydarzyło.

Nawet nie ubrałem się do końca, tylko wybiegłem na zewnątrz, bosy, i złapałem Cogo za ramiona.

– Dlaczego, ach, dlaczego mnie zostawiłeś?

– Etykieta, panie Garu, pamiętaj o etykiecie – powiedział, ale uśmiechał się, jakby to wszystko bardzo go bawiło. – Nie uciekłem. Próbowałem gonić kogoś, kogo nie mogłeś pozwolić sobie utracić.

– Kogo goniłeś?

– Kaprala, który zwie się Gin Mazoti.

Puściłem go z obrzydzeniem.

– Cogo, teraz zwyczajnie kłamiesz. W ciągu ostatnich miesięcy opuściło mnie ze dwudziestu kaprali i kto wie ilu setników, a nawet kapitanów. A ciebie nie było przez cały tydzień, bo goniłeś jakiegoś Gina Mazotiego? Co w nim takiego szczególnego?

– Gin Mazoti to sekret podniesienia się Dasu.

Byłem bardzo sceptyczny. Nigdy wcześniej nie słyszałem o tym człowieku. Lecz tak jak Than Carucono potrafi powiedzieć, który żrebak wyrośnie na wspaniałego

wierzchowca, tak Cogo w mig rozpoznaje talent u ludzi. Wiedziałem, że musiał mieć dobry powód, by puścić się w pogoń za tym człowiekiem, więc powinienem go poznać.

Jednak zamiast przyprowadzić go do mnie, Cogo powiedział, że powinienem spotkać się z nim w jego domu, gdzie Gin Mazoti tymczasowo przebywał.

– Gin wątpi, by w przyszłości darzono go odpowiednim szacunkiem w Dasu. Kiedyś służył Macie Zyndu, lecz Mata nigdy nie słuchał jego sugestii ani nie powierzał mu zbyt wielu zadań. Dlatego kiedy my wyjechaliśmy do Dasu, Gin odszedł od Maty i dołączył do nas. Teraz jednak, kiedy minęło kilka miesięcy, a on nadal nie dostał awansu, postanowił odejść mimo moich próśb, by był cierpliwy i poczekał, aż go tobie przedstawię. Dlatego nie miałem czasu z tobą porozmawiać i musiałem gonić go w środku nocy.

– W środku nocy!

– Właśnie tak. Nie zdążyłem nawet założyć dobrych butów i ruszyłem w kapciach.

– I dogoniłeś go?

– Ach – odparł Cogo, głaszcząc się po brodzie i uśmiechając tak szeroko, że jego oczy niemal całkiem zniknęły. – Naprawdę dopisało mi szczęście. Gin chciał wynająć łódź rybacką i ruszyć na Rui przed świtem, a gdyby mu się to udało, nie miałbym szans: musiałbym użyć przebrania, inaczej szpiedzy Maty zauważyliby, że coś się dzieje. Zanim jednak Gin wsiadł na łódkę, zatrzymał go lekarz i poprosił o pomoc.

– Jakiego rodzaju pomoc?

– Gin wszystko mi później opowiedział. Lekarz chciał, żeby Gin potrzymał parę gołębi, podczas gdy on zamierzał zapisać skomplikowany przepis na miksturę dla pewnego pacjenta.

– Gołębie!

– Właśnie tak. Miałem okazję zobaczyć je na własne oczy i były niezwykle: trzy razy większe niż te widywane na co dzień, z tak inteligentnym spojrzeniem, że mógłbyś przysiąc, że potrafią mówić. Lekarz, chudy młody człowiek w zielonym płaszczu, powiedział Ginowi, że przez ich gruchanie nie mógł się skoncentrować. „Weź moje gołębie i zajmij je czymś, żeby były cicho, bo zwyczajnie nie mogę myśleć. Kiedy skończę, zabiorę przepis do mojego pacjenta”. I tak Gin czekał i czekał, a lekarz się zupełnie nie śpieszył. Co napisał jedną literę zyndari, to robił przerwę na zastanowienie się i dopiero po chwili pisał następną. Wreszcie Gin powiedział, że musi już iść, i zapytał, ile jeszcze czasu mu to zajmie. A ten na to: „Czekałeś już tak długo, więc może poczekaasz jeszcze trochę? Nie chciałbyś, żeby pacjent dostał niepełny przepis, prawda? To mu z pewnością nie pomoże”.

– Jaki to lekarz? – zapytałem. – Brzmi trochę jak oszust.

– Oszust czy nie, panie Garu, wiele mu zawdzięczamy. Przez to niespodziewane opóźnienie Gin pozostał w wiosce nad morzem do czasu, aż ja tam dotarłem. Natychmiast zacząłem go błagać, by wrócił. Z początku był niechętny. „Pan Garu nie spotkał się ze mną, choć czekałem kilka miesięcy. Szaleństwem byłoby tutaj zostać”. Wtedy jednak wtrącił się lekarz. „Czy przestałbyś pić lekarstwo po

tygodniu, jeśli rezultaty pojawiają się dopiero po dziesięciu dniach?” Gin popatrzył na niego zmrużonymi oczami. „Kim jesteś?”, spytał. Lekarz odłożył pędzelek i kartkę, a potem uśmiechnął się do Gina. „Myślę, że już wiesz”. Ponieważ Gin się na niego gapił, ja też popatrzyłem. I zdałem sobie sprawę, że lekarz jest niezwykle, niemal nadnaturalnie przystojny. Gin zapytał go wtedy, czego od niego chce. A tamten odparł: „Całe życie żałowałem tego, co zrobiono w moim imieniu. Dlatego miałem cię na oku. Próbowałem jednak trzymać się z dala, ponieważ pierwszą zasadą leczenia jest nie szkodzić”. Gin na to: „Dlaczego więc pokazujesz mi się teraz?”. „Obawiam się, że gdybyś odszedł z Dasu, nigdy byś nie powrócił, a to byłaby wielka szkoda”. Gin odparł: „Jeśli to wszystko prawda, musisz znać też prawdę na mój temat. Jakie są szanse, że ktoś taki jak ja zyska szacunek władcy o tak wielkiej sławie jak Kuni Garu?”. „Pan Garu szuka utalentowanych – odparł lekarz. – Rozgląda się wszędzie: między bandytami, złodziejami, dezertierami, mędrkami, którzy nie przeszli cesarskiej weryfikacji, a nawet kobietami”. Gin odwrócił się wtedy do mnie i zapytał, czy to prawda. Kiwnąłem głową.

Byłem taki zdezorientowany, Jia, że aż przerwałem mu tę opowieść.

– Oni się znają? Kim tak naprawdę jest ten lekarz?

Cogo pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Po swojej przemowie zabrał gołębie i odszedł, a Gin pogrążył się w myślach. Kiedy lekarz zniknął na plaży, Gin odwrócił się do mnie i powiedział, że zgadza się wrócić.

– To naprawdę interesująca historia, Cogo. Ale po czym wnosisz, że ten Gin jest taki wspaniały?

– Zdradził mi sposób na wydostanie się z tej wyspy.

Cóż, kochanie, jak z pewnością potrafisz sobie wyobrazić, natychmiast ruszyliśmy do jego domu. Gin Mazoti okazał się niskim, szczupłym i żyłastym mężczyzną. Ma ciemną skórę, czarne włosy obcięte zaraz przy skórze i ciemnobrązowe oczy, które są w ciągłym ruchu, bowiem przygląda się wszystkiemu dokoła.

Cogo zwrócił mi uwagę, żebym potraktował kaprala z szacunkiem, więc nie zachowywałem się jak król, lecz jak człowiek szukający wielkiego wojownika. To było akurat łatwe, bo ciągle tak robię. Dlatego ukloniłem mu się nisko i zapytałem, czy mam zaszczyt spotkać tego sławnego Gina Mazotiego.

– Właściwie to Gin Mazoti. – I wtedy odpowiedziała ukłonem w kobiecym jiri, z rękami złożonymi na piersi. – Wróciłam po części dlatego, że podobno jesteś gotowy skorzystać z talentów słabszej płci. Jeśli chcesz mnie wysłuchać, powinnam przynajmniej zdradzić ci prawdę na swój temat.

Cóż, wyobraź sobie nasze miny. (Ach, jaka się okazałaś przewidująca, moja żono!).

Buziaki dla Toto-tiki i Rata-tiki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

GIN MAZOTI

DIMUSHI: DAWNO TEMU

Nikt nigdy nie nazywał jej Gin-tika. Jej matka była prostytutką i umarła w trakcie porodu, a ojciec pozostawał nieznany. „Mazoti” było tylko nazwą domu indygo, w którym Gin się urodziła.

Dorastanie w burdelu oznaczało, że Gin stanowiła własność domu. Przynosiła wodę i witała gości, zmywała podłogi i opróżniała nocniki. Bito ją, gdy była zbyt wolna („Myślisz, że karmię cię, żebyś poruszała się jak ślimak?”), a czasami też, gdy była zbyt szybka („Myślisz, że możesz tak po prostu nic nie robić, gdy już wypełnisz swoje obowiązki?”). Jako dwunastolatka podsłuchiwała, jak właścicielka burdelu mówi o sprzedaniu jej dziewictwa na aukcji. W nocy Gin wydostała się z szafy, w której ją zamykano, zabrała wszystkie pieniądze, jakie znalazła, i uciekła na ulice Dimushi.

Pieniądze szybko się skończyły i Gin stanęła przed wyborem: mogła albo zacząć się sprzedawać, albo kraść. Zdecydowała się na to drugie.

Została przyjęta do gangu złodziei.

– W tej profesji młode dziewczyny mają pewne zalety – stwierdził Szara Łasica, przywódca gangu.

Gin nic nie odpowiedziała, ponieważ całą swoją uwagę skupiała na ciepłej owsiance, która wypełniała jej żołądek. Nie jadła od trzech dni.

– Jesteś szybka i nie wyglądasz groźnie – ciągnął Szara Łasica. – Wielu ludzi na widok grupki chłopców instynktownie ucieka na drugą stronę ulicy, jednak nad samotną żebraczką się litują, bo nie spodziewają się zagrożenia. Możesz uwolnić ich od ciężaru kosztowności, jednocześnie uśmiechając się i prosząc o kupienie kwiatka.

Gin pomyślała, że ma miły głos. Może dlatego, że był pierwszym mężczyzną, który kiedykolwiek spojrział na nią jak na ucznia, pracownika, człowieka, a nie kawałek ciała.

Oczywiście nie zawsze było tak łatwo i Gin nauczyła się także walczyć – czasami ktoś próbował ją okraść, czasami ją łapano i konstable nie mieli litości. Gang nauczył ją, że ponieważ jest dziewczyną, musi jak najlepiej wykorzystywać swoje skromne zalety.

Największym atutem Gin pozostawał fakt, że nikt nie spodziewał się po niej ataku, chociaż to dawało jej tylko chwilową przewagę, w dodatku jednorazową. Nie mogła przybierać póz, drwić, chwalić się i dokazywać jak chłopcy. Musiała się zachowywać tak, jakby była bezsilna, i dopiero potem zadać ten jeden cios, w którym skupiała pełnię swojej furii. Celowała w oczy, w krocze, w miękką tkankę pod wybrzuszeniem na gardłach mężczyzn. Nie bała się używać paznokci, zębów, ukrytych sztyletów. Mogła postanowić nie walczyć i się poddać albo wyprowadzić jeden śmiertelnie mocny cios. Nie było nic pomiędzy.

Pewnego dnia jej gang napadł na karawanę, która zatrzymała się przed tanią gospodą. Ich łupem padło złoto, biżuteria i wóz pełen kilkunastu wystraszonych chłopców i dziewczynek, z których żadne nie miało więcej niż sześć lat.

– Wygląda na to, że ten „kupiec” szmugluje dzieci – powiedział Szara Łasica, patrząc w zadumie na maluchy. – Zapewne ukradł je rodzicom gdzieś daleko stąd.

Dzieci zostały zabrane do domu Szarej Łasicy, jednocześnie meliny złodziei. Podano im jedzenie i położono spać. Gin została w pokoju i opowiadała im historie, aż ostatni chłopiec zasnął niespokojnym snem.

– Bardzo ładnie je uspokoiliś – pochwalił ją Szara Łasica, obracając w zębach wykałaczkę. – Byłem pewien, że część z nich spróbuje uciec przy pierwszej okazji. Ale ty masz do nich rękę.

– Też jestem sierotą.

Nad ranem Gin obudziły krzyki dzieci. Wybiegła z domu. Na podwórzu zobaczyła, jak kilkoro z nich leży na ziemi i płacze. Jedno miało zakrwawioną bandaż owiniętą wokół kikuta prawej ręki, inne siedziało z obandażowaną głową, z dwiema powiększającymi się czerwonymi plamami w miejscach oczu. Trzecie straciło stopy i czołgało się powoli, zostawiając za sobą mokry ślad na trawie. Pozostałe dzieci, wciąż całe i zdrowe, były przytrzymywane przez członków gangu przy ścianie. Krzyczały, kopały i gryzły, jednak mężczyźni stali niewzruszeni jak posągi, nie wypuszczając ich ze swojego żelaznego uścisku.

Na środku podwórza stał pieńek używany do rąbania drewna. Przywiązali do niego dziewczynkę i położyli na nim jej lewe ramię. Była tak przerażona, że jej głos nie brzmiał już jak głos człowieka, przypominał ryk dzikiego zwierzęcia.

– Proszę, proszę! Nie. Nie!

Szara Łasica stał obok z zakrwawioną siekierą w ręku. Jego wyraz twarzy był równie spokojny co głos, jakby ten poranek niczym się nie różnił od innych.

– Nie będzie długo bolało, obiecuję. Utnę ci rękę tylko do łokcia. Ludzie nie potrafią się oprzeć dawaniu pieniędzy takim pięknym okaleczonym żebraczkom jak ty.

Gin podbiegła do niego.

– Co ty wyprawiasz?

– A na co ci to wygląda? Dokonuję ulepszeń. Każdego ranka będę je rozwoził po mieście i zabierał wieczorem. Dużo zarobię na zebraniu. Współczucie czasem bywa bardzo cennym łupem.

Gin stanęła między nim a dziewczynką.

– Mnie nigdy czegoś takiego nie zrobiłeś.

– Widziałem w tobie złodziejski potencjał. – Oczy Szarej Łasicy zwięzły się. – Lepiej, żebym nie pożałował tej decyzji.

– Uratowaliśmy je!

– No i?

– Powinniśmy oddać je rodzicom.

– Kto wie, skąd pochodzą? Przemytnicy nie prowadzą ksiąg, a dzieciaki są zbyt małe, żeby nas zaprowadzić do domu. A poza tym skąd wiesz, że rodzice ich nie sprzedali, bo nie mieli na ich utrzymanie?

– W takim razie powinieneś je wypuścić!

– I pozwolić innemu gangowi je złapać i wykorzystać coś, co powinno być moją własnością? A może zaraz każesz mi je karmić za darmo? Mam porzucić swoją profesję i jak wyznawca Rufizo zająć się działalnością charytatywną? – Roześmiał się, pchnął Gin na bok i zrobił zamach.

Krzyk dziewczynki zdawał się trwać wiecznie.

Gin rzuciła się na Łasicę z zamiarem wydrapania mu oczu. Mężczyzna wrzasnął i posłał ją na ziemię, lecz dopiero dwóch mężczyzn zdołało ją unieruchomić. Szara Łasica wymierzył jej siarczysty policzek, a potem zmusił do oglądania, jak pozostałe dzieci, jedno po drugim, pozbawia różnych części ciała. Po wszystkim kazał ją wychłostać.

Tamtej nocy Gin odczekała, aż wszyscy zasną, a potem wstała i na palcach poszła do pokoju Szarej Łasicy. Przez okno wpadał blask księżyca, spowijając wszystko bladą bielą. Zza ściany dało się słyszeć bolesne jęki dzieci.

Powoli, bardzo powoli, sięgnęła po stertę ubrań obok łóżka i wyjęła stamtąd sztylet, który Szary Łasica zawsze trzymał blisko siebie. Jednym szybkim jak piorun ciosem wbiła ostrze w jego lewe oko. Wrzasnął, a Gin wyciągnęła sztylet i wbiła je w miękką tkankę pod grudą na jego gardle. Krzyk skończył się krwawym charkotem.

Gin biegła, dopóki nie padła z wycieńczenia w dokach na brzegu Liru.

To był pierwszy człowiek, którego zabiła.

Życie w pojedynkę było o wiele trudniejsze. Musiała unikać członków gangu, którzy rozpuścili wieści, że jej szukają. Ukrywała się w piwnicach starych świątyń i wychodziła tylko wtedy, gdy musiała coś zjeść.

Pewne małżeństwo przyłapało ją, gdy próbowała ukraść torebkę kobiety na targowisku. Jej mąż, wierny wyznawca Rufizo, postanowił, że zamiast posłać młodą złodziejkę do więzienia, wykonają dobry uczynek i zabiorą ją ze sobą, żeby spróbować dać jej dom.

Niestety wychowywanie i nawracanie na dobrą drogę młodej kryminalistki okazało się zupełnie inne, niż się mężczyzna spodziewał. Gin nie ufała swoim opiekunom i próbowała uciec. Przypinali ją łańcuchami i w porze posiłków czytali jej święte księgi, mając nadzieję, że otworzy swoje serce i zacznie żałować złych uczynków. Ona jednak przeklinała i pluła im w oczy. Dlatego bili ją, ogłaszając, że to dla jej dobra, ponieważ zło wnikało w jej serce, a ból był konieczny, by otworzyć je na Rufizo.

Wreszcie ten eksperyment ich znudził. Zabrali ją ze swego domu w Dimushi, założyli opaskę na oczy i przejeżdżając przez przypadkową wieś, wypchnęli z powozu.

Gdy Gin u nich mieszkała, ogolili jej głowę (jak mówili, by uleczyć ją z próżności) i ubrali w proste bawełniane szmaty, które miały za zadanie ukryć jej młode, jędrne ciało (rzekomo by wyleczyć ją z pożądlivości). W związku z tym Gin z początku mylono z chłopcem i przekonała się, że ma to swoje zalety. Kiedy udawała twardego młodzieńca i pokazywała przypięty do pasa krótki miecz ukradziony z chatki myśliwego, mogła uniknąć niechcianego zainteresowania.

Nocami kradła jedzenie na polach, a w ciągu dnia wędrowała wzdłuż brzegu Liru i próbowała łapać ryby.

Praczkę cały dzień pracowały nad rzeką, uderzając kijami w prześcieradła i koszule rozłożone na kamieniach. Gin siedziała nieco wyżej niż one i łowiła ryby. Nic nie udało jej

się złapać, więc po pewnym czasie zrezygnowała i po prostu patrzyła na praczki. Kiedy te zasiadły do posiłku, obrzuciła je złaknionym spojrzeniem i przełknęła głośno ślinę.

Starsza kobieta dostrzegła parę głodnych oczu wyglądających zza drzewa, należąca do wychudzonego, brudnego chłopca w łachmanach. Zaoferowała, że podzieli się z nim jedzeniem. Gin podziękowała.

Następnego dnia Gin znowu się pokazała, a praczka raz jeszcze podzieliła się z nią posiłkiem.

Sytuacja powtarzała się przez kolejne dni. Gdy minęło ich dwadzieścia, Gin uklękła i dotknęła czołem ziemi.

– Babciu, jeśli kiedyś mi się uda, wynagrodzę ci tę dobroć stokrotnie.

Staruszka splunęła.

– Głupi dzieciaku! Myślisz, że dzielę się jedzeniem, bo spodziewam się nagrody? Robię to tylko dlatego, że mi cię szkoda, a Tututika powiedziała, że wszystkie żywe stworzenia mają prawo jeść. Nie postąpiłabym inaczej z bezdomnym psem albo kotem. – Po chwili jednak jej głos złagodniał. – Karmię cię, żebyś nie musiał kraść. Człowiek, który kradnie, to człowiek, który stracił całą nadzieję, a ty jesteś zbyt młody, żeby nie mieć nadziei.

Wysłuchawszy tej przemowy, Gin płakała po raz pierwszy od niepamiętnych czasów i nie chciała wstać z klęczek przez wiele godzin, bez względu na prośby staruszki.

Następnego dnia nie wróciła nad rzekę. Udała się do wiecznie zatłoczonego portu w Dimushi. Tam najęła się jako chłopiec na posyłki pracujący dla zarządcy i załóg zajmujących się transportem towarów. Jej kariera złodziejki była skończona.



Gin ceniła sobie wolność, jaką zapewniało jej przebieranie się za chłopca. Zawsze obwiązywała sobie ciasno piersi, a włosy ścinała na krótko.

Była też agresywna, a każda, nawet najmniejsza zniewaga szybko wzbudzała jej gniew. Plotki o tym, jak dobrze używa miecza, z każdą opowieścią stawały się coraz bardziej przesadzone, dlatego pozostawała bezpieczna bez potrzeby częstego stawania do walki – a jeśli jednak musiała to zrobić, uderzała bez ostrzeżenia i często ze skutkiem śmiertelnym.

Pewnego razu zarządca i kapitan mieli problemy ze zmieszczeniem całego ładunku na statku. Gin, która akurat znalazła się w pobliżu, zaproponowała kilka rozwiązań, dzięki którym wszystkie skrzynki dało się ułożyć na małej przestrzeni. Od tamtej pory zarządca i kapitanowie często konsultowali się z nią w podobnych sprawach. Gin przekonała się, że ma talent do dostrzegania sposobów ułożenia różnych rzeczy, do tworzenia wzorów i kształtów oraz do rozmieszczania nietypowych rozmiarowo towarów na ograniczonej przestrzeni.

– Masz bogatą wyobraźnię – powiedział zarządca. – Powinieneś być dobry w grach.

Nauczył ją grać w *cüpa*. Wykorzystywało się do niej czarne i białe kamyki ułożone na planszy, zaś jej celem było okrążenie kamyków przeciwnika swoimi i przejęcie kontroli nad planszą. Była to gra wymagająca dostrzegania potencjalnych dróg i wykorzystywania szans.

Chociaż Gin szybko nauczyła się zasad, nigdy nie potrafiła pokonać zarządcy.

– Grasz dobrze – rzekł mężczyzna – ale jesteś niecierpliwy. Dlaczego przy każdym ruchu stawiasz mi wyzwanie, atakujesz, zanim zdołasz odkryć mój prawdziwy słaby punkt? Dlaczego walczysz nieustępliwie o każdy najmniejszy skrawek planszy, nie dbając o większą nagrodę, którą jest dominująca pozycja?

Gin wzruszyła ramionami.

– Grasz w *cüpa* tak, jak zachowujesz się po dokach: jakbyś nie mógł znieść myśli, że ktoś choć przez chwilę mógłby uznać cię za słabeusza. Grasz, jakbyś miał mi coś do udowodnienia.

Gin unikała wzroku zarządcy.

– Jestem mały, więc wszyscy zawsze traktowali mnie jak popychadło.

– A ty tego nie znosisz.

– Nie mogę sobie pozwolić na słabość.

– Marzysz, by któregoś dnia stanąć bez strachu przed kimś większym od siebie, lecz nie nauczyłeś się cierpliwości – rzekł poważnym tonem zarządca. – Upierając się, by brać udział w każdej walce, jaka ci się napatoczy, nadal pozwalasz się traktować jak popychadło, tylko inaczej. Umrzesz młodo i głupio.

Gin siedziała nieruchomo, zamyślona. Potem kiwnęła głową.

Po dwóch tygodniach zaczęła wygrywać z zarządcą.

Zarządca, będąc pod wrażeniem, podarował jej kilka starych książek o *cüpa*.

– Wyjaśniają pochodzenie gry jako symulacji wojny. Jeśli przeczytasz je wnikliwie, zrozumiesz zależności między *cüpa* a historią wojskowości i strategią militarną.

– Nie umiem czytać – odparła Gin ze wstydem.

– W takim razie najwyższy czas się nauczyć. – Spojrzenie i głos zarządcy były łagodne. – Moja siostra nigdy nie nauczyła się czytać i nie rozumiała, że została zdradzona przez swojego małżonka, kiedy kazał jej podpisać umowę pozbawiającą ją prawa do posagu. Musisz nauczyć się czytać, żeby się chronić. Nauczę cię.



Pewnego dnia, kiedy Gin przechadzała się po dokach, zatrzymał ją wysoki nieznajomy.

– Nie mogę znieść widoku takiego chuderlaka, który łązi z mieczem. Słyszałem, że ponoć niezły z ciebie wojownik, ale ja w to nie wierzę. Albo staniesz przeciwko mnie, a ja zaszlachtuję cię jak brudnego wieprza, albo przeczołgasz się między moimi nogami, a ja pozwolę ci żyć.

Dla mężczyzny z Géfiki czołganie się między nogami innego mężczyzny było nieznośnym upokorzeniem. Inni obecni na dokach otoczyli parę, spodziewając się przedstawienia.

Gin popatrzyła na nieznajomego: był wysoki i szeroki w ramionach, a jego aroganckie spojrzenie mówiło, że jest przyzwyczajony do dręczenia innych dla własnej satysfakcji. Jednak jego twarz była gładka i pozbawiona blizn, co oznaczało, że nie spędził zbyt wiele czasu w ciemnych alejkach Dimushi. Nie wiedział, jak naprawdę walczyć. Gin mogła go zabić, zanim zdążyłby się zorientować, co się dzieje.

Wtedy jednak musiałyby porzucić to życie, które dopiero co zaczęła budować. Nie mogłyby dokończyć lekcji czytania u zarządcy. Mogła przyjąć zniewagę albo zabić

nieznajomego. Znow miała tylko dwa wyjścia – nie było nic pomiędzy.

Powoli położyła miecz na ziemi i zaczęła czołgać się między nogami mężczyzny.

Tłum zaczął buczeć, nieznajomy się roześmiał, a Gin poczuła, jak czerwienią się jej uszy.

Ciemność urosła w jej sercu, nakłaniając ją do sięgnięcia po miecz i wbicia go w brzuch stojącego nad nią mężczyzny. Zdusiła jednak tę chęć. „Upierając się, by brać udział w każdej walce, jaka ci się napatoczy, nadal pozwalasz się traktować jak popychadło, tylko inaczej”.

Po wszystkim Gin w każdej wolnej chwili czytała książki o *cüpa* i strategii militarnej, marząc o niemożliwym.



Potem wybuchła rebelia, wywracając świat do góry nogami. Doki w Dimushi wypełniły się okrętami, spekulantami i przemytnikami, a kupcy się stamtąd wynieśli. Było coraz mniej pracy.

Pewnego dnia zarządca zawołał do siebie Gin.

– Jestem już na to za stary. Odchodzę do mojej rodzinnej wioski. – Zamilkł na chwilę i uśmiechnął się do Gin. Potem wręczył jej woreczek ze złotem. – Powinno ci wystarczyć na lepszy miecz i jakąś zbroję. Dbaj o siebie, córko.

Gin popatrzyła na niego. „Córko”? Próbowwała coś powiedzieć, jednak zabrakło jej słów.

– Wiedziałem od samego początku – wyjaśnił. – Bardzo dobrze się ukrywałaś, ale ja miałem wiele sióstr. Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz żyć w świetle, w którym nie trzeba się bać być kobietą.



Gin zdobyła lepszy miecz i skórzaną zbroję. Aby uniknąć wciągnięcia jej do cesarskiej marynarki, opuściła Dimushi, żeby dołączyć do wędrownego gangu. Przemierzali wioski, dzierżąc taką flagę, jaka akurat im pasowała. Kiedy pojawiała się cesarska armia, zostawali lojalnymi xańskimi rezerwistami, którzy stają do walki, by wesprzeć cesarza. Kiedy pojawiali się rebelianci, zaczęli udawać odważnych wojowników o wolność Amu albo Cocru.

Po jakimś czasie Gin odkryła, że ma talent do przewodzenia. Ograniczona przez mikrą posturę nie nadawała się zbytnio do walki na polu bitwy, jednak miała analityczny umysł, dzięki któremu podążający za nią wojownicy wielokrotnie wygrywali w zaskakujący sposób.

A jednak, ze względu na jej fizyczne braki, mężczyźni przypisywali sukces jej planów raczej szczęściu niż umiejętnościom. Gdy inni bandyci walczyli o władzę, ją zawsze ignorowano.

Gin przemierzyła Haan, przemierzyła Rimę i Faça, służąc krótko w różnych armiach

w nadziei, że uda jej się awansować. Jednak oficerowie nie traktowali poważnie sugestii ze strony mężczyzny tak drobnej postury. Zakładali, że Gin nie ma pojęcia o strategii militarnej, ponieważ nie zabiła zbyt wielu ludzi własnymi rękami.

Nawet wielki marszałek Zyndu, którego manewr na Wilczej Łapie bardzo podziwiała, nie dał jej szansy. Przekupiła strażników, żeby móc się z nim spotkać i przedstawić mu strategię szybkiego i w miarę bezkrwawego wyeliminowania ostatnich bastionów sił cesarskich w Gejirze, jednak marszałek Zyndu nazwał jej pomysły niehonorowymi.

Następnie Gin dołączyła do armii Kuniego, bardziej przypominającej przypadkową zbieraninę, kiedy Garu i jego ludzie wyruszali do Dasu. Słyszała, że jest on dobrym panem, który szuka utalentowanych osób, jednak nie wiedziała, jak się do niego dostać. Frustracja tak dała jej popalić, że Gin wdała się w pijacką bójkę w restauracji w Daye i ją zdemolowała. Tym samym złamała surową dyscyplinę, jaką Than Carucono i Mün Çakri utrzymywali w armii Kuniego. Została wtrącona do więzienia i skazana na publiczną chłostę.



Akurat tamtego ranka Cogo Yelu przechodził obok pręgierza.

– Czy król Kuni pragnie wielkiego wojownika? – krzyknął mężczyzna, którego właśnie karano.

Cogo Yelu zatrzymał się i spojrzał na człowieka przywiązanego do pręgierza. Był w samej tylko podkoszulce, a po mundurze Cogo poznał, że ma do czynienia ze zwykłym kapralem.

– Nie wyglądasz mi na wielkiego wojownika.

– Człowiek, który zabił mieczem kilku ludzi, jest jedynie żywą bronią. Wielki wojownik potrafi uśmiercić tysiące samym umysłem.

Udało mu się zaintrygować Cogo. Rozkazał uwolnić więźnia, niejakiego Mazotiego.

W domu Cogo stała plansza do gry w *cüpa*, a na niej kamyki ułożone w słynny wzór. Było to odwzorowanie gry, którą dwieście lat wcześniej rozegrali dwaj mistrzowie *cüpa*: hrabia Soing, słynny strateg z Amu, grający białymi kamykami, oddał pole księciu Fino, znanemu doradcy na cocruskim dworze.

– Grywasz? – zapytał Cogo.

Mazoti kiwnął głową.

– Zawsze uważałem, że Soing nie powinien był się poddawać. Wciąż istniała szansa na wygraną.

Cogo sam nie grał znowu tak wspaniale, lecz był pasjonatem historii tej gry i wykorzystywanych w niej strategii. Stwierdzenie Mazotiego nie miało sensu. Większość planszy zajmowały czarne kamyki. Nieliczne białe pozostawały ściśnięte na środku. Każdy grający w *cüpa* wiedział, że Soing nie miał możliwości wydostać się z tego beznadziejnego położenia.

– Chciałbyś pokazać mi jak? – zapytał Cogo. Usiedli do gry i Cogo natychmiast przypuścił atak.

Mazoti postawił kamyk daleko od swojej armii, w rogu planszy. Cogo ocenił sytuację

i nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Bezsensowny ruch.

Białe kamyki zdawały się uciekać przed czarnymi. Zamiast walczyć o wygraną, Mazoti tylko pogarszał swoją pozycję.

– Jesteś pewien? – zapytał Cogo.

Mazoti jeszcze raz pokiwał głową. Przybrał nieokreślony wyraz twarzy.

Cogo utworzył nową kolumnę czarnych kamyków, żeby odciąć przeciwnikowi odwrot. Ginowi pozostała już tylko walka o wyniszczenie na środku planszy, gdzie Cogo miał ogromną przewagę.

Pewny siebie Cogo położył kolejny kamyk.

Następnym ruchem Mazoti zadziałał na swoją niekorzyść, zdejmując własny kamyk. Takiego błędu nie popełniłby nawet początkujący.

Cogo westchnął i pokręcił głową. Zadał ostateczny cios i zabrał połowę białych kamyków. Tam, gdzie wcześniej była biała armia, teraz znajdowały się puste pola, będące dowodem na to, że przeciwnik popełnił błąd.

Cogo był gotowy przyjąć rezygnację. Żaden gracz nie byłby w stanie odrobić tak wielkiej straty. Jednak Mazoti milczał i położył kolejny kamyk w rogu. Dwa białe kamyki wyglądały jak dwóch samotnych zwiadowców bez wsparcia.

Cogo nie miał innego wyjścia jak przejąć kontrolę nad środkiem planszy i wypełnić puste miejsce po białych kamykach.

Mazoti dołożył kolejny pionek w rogu. Trzy białe kamyki wyglądały nieco mniej żałośnie niż dwa, lecz nadal sytuacja była beznadziejna.

Kiedy Cogo przejął pusty obszar na środku, zmarszczył czoło i się zawahał. W jakiś dziwny sposób, kiedy na planszy zabrakło dawnych białych pionków, ustawionych w sztywne szeregi i kolumny, trzy nowe zdawały się tworzyć luźną formację, której nie dało się zinterpretować. Za każdym razem, kiedy Cogo wydawało się, że znalazł sposób, by zdusić armię przeciwnika, kapral wymuszał na nim nowe przejście. Powoli mała grupka białych kamyków w rogu przeradzała się w coraz silniejszy oddział.

Zbyt późno Cogo zdał sobie sprawę, że był zbyt chciwy, przejmując środek. Armia kaprała zaczęła wbijać się w miękkie podbrzusze formacji Cogo, a kiedy temu udawało się zatkać jedną dziurę, przeciwnik znajdował dwie kolejne. Teraz to czarne kamyki, zablokowane w nieporęcznych formacjach i szeregach bez życia, zostały zmuszone do ucieczki.

Mazoti postawił kolejny kamyk, a Cogo bezsilnie patrzył, jak armia przeciwnika kończy swój marsz do przeciwległej strony planszy, dzieląc czarne pionki na odizolowane od siebie grupy. Tylko kwestią czasu pozostało, kiedy zostaną całkiem rozproszone i wyeliminowane z gry.

Cogo odłożył swoją miseczkę z kamykami.

– Pan Garu musi się z tobą zobaczyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

MARSZAŁEK

DZIESIĄTY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU PRYNCYPATU

Kuni Garu zamknął usta i zachowywał się, jakby nie stało się nic niezwykłego.

Znowu się uklonił.

– Proszę o wybaczenie, pani Gin Mazoti. Zamieniam się w słuch.

Usiedli na podłodze wokół stolika, przyjmując pozycję *mipa rari*. Kuni Garu zajął się nalewaniem herbaty.

Gin była pod wrażeniem. Król jej usługiwał. Chociaż wiedział, że jest kobietą, traktował ją jak wspaniałego stratega, za którego się podawała. Może wreszcie znalazła pana, któremu mogłaby służyć.

Najpierw jednak musiała go jeszcze raz sprawdzić.

– Panie Garu – powiedziała, zwracając się do niego tak, jak wiedziała, że zwracają się do niego jego najbardziej zaufani ludzie. – Jakie stanowisko mi zaproponujesz?

– Ilu żołnierzy mogłabyś poprowadzić?

– Jeśli dasz mi dziesięciu, pode mną zawalczą jak pięćdziesięciu. Jeśli dasz mi stu, będą walczyć jak tysiąc. Jeśli dasz mi ich tysiąc, mogę podbić Rui w pięć dni.

Kuni Garu się zawahał. Istniała cienka granica między ogarniętym złudzeniami arogiem a geniuszem, a jemu zdawało się, że siedzącej przed nim kobiecie bliżej do tego pierwszego typu. Jednak Cogo Yelu nigdy się nie mylił, Kuni nauczył się słuchać rad tych, którym ufał.

– Czyli im więcej tym lepiej?

Gin kiwnęła głową.

– W takim razie muszę cię uczynić marszałkiem Dasu.

Gin z wrażenia wciągnęła głośno powietrze. Kobieta na stanowisku marszałka nie mogłaby istnieć nawet w bajkach. Garu faktycznie był inny.

– Panie Garu, będę szczerą. Uważam, że jesteś na słabszej pozycji. Hegemon więzi twoją rodzinę. Masz nie więcej niż trzy tysiące żołnierzy, podczas gdy przeciwnik może powołać pięćdziesiąt tysięcy własnych i kolejne pięćdziesiąt z innych królestw Tiro. Po twojej stronie stoją odważni dowódcy, jednak żaden z nich nie ma możliwości urzeczywistnienia twojej wizji. Większość uznałaby, że nie masz szans.

Kuni Garu kiwnął głową.

– A jednak jesteś zdania, że możesz pokonać Matę Zyndu?

– Nie mogłabym wystąpić przeciwko niemu w bezpośredniej, pojedynczej bitwie i nigdy nie zdobyłabym się na taki akt odwagi jak podczas walki powietrznej nad Zudi. Mata Zyndu jest impulsywny i polega na brutalnej sile zamiast na taktyce. Nie rozumie sztuki czerpania siły z ludzkich serc, czyli polityki. Może zapłakać, gdy ginie cenny

wierzchowiec, jednak nie pojmuje, że zabieranie chłopom siłą racji żywnościowych osłabia jego pozycję. Powołał nowe królestwa Tiro w bardzo ryzykowny sposób, ignorując zasłużonych, a nagradzając tych, którym się to nie należy. Jest jak strzała pod koniec swojego lotu: pozorna siła zwiastuje śmiertelny upadek.



Kuni i Mazoti zostali w domu Cogo na trzy dni i trzy noce. Jedli z tego samego talerza, debatując, i spali na materacach obok siebie, omawiając strategię, a Kuni osobiście trzymał wodze, gdy nabrawszy ochoty na pooddychanie świeżym powietrzem, wsiadali do powozu, by udać się na przejażdżkę po mieście.

Pałac wydał oficjalne ogłoszenie, że król Kuni postanowił nadać tytuł marszałka Dasu. W całej armii aż huczało od plotek, kogo mianuje na to stanowisko. Najbardziej prawdopodobnymi kandydatami wydawali się Mün Çakri i Than Carucono i ich zwolennicy obstawiali zakłady.

Kiedy wyznaczonego dnia żołnierze Dasu zebrali się za granicami miasta, zobaczyli podium, a na nim flagę z niebieskim wielorybem na czerwonym morzu. Król Kuni wraz z ministrami i żołnierzami zmówił modlitwę do Kijiego, patrona tej wyspy, a potem poprosił nowego marszałka Dasu o powstanie.

Żołnierze wyciągali szyje, żeby zobaczyć świeżo upieczonego najwyższego dowódcę sił Dasu. Po chwili przecierali oczy ze zdumienia. Czy to możliwe? Jak to?

Oto na podium stanęła kobieta w jasnoczerwonej sukni. Niezbyt ładna kobieta, z pewnością, z ogoloną głową i chuda, ale niewątpliwie kobieta. Nowym marszałkiem Dasu nie został mężczyzna.

Król Kuni uklonił jej się trzykrotnie, tak jak wymagał tego rytuał królów Tiro.

– Oddaję armię Dasu w twe ręce, Gin Mazoti – powiedział. – Od tego dnia czego nie postanowisz w sprawach wojskowych, nikt, nawet ja, tego nie zakwestionuje.

Odpiął swój miecz i podał go Gin.

– Nie władam dobrze mieczem, lecz ten jest prezentem od mojego przyjaciela. Niegdyś zabiłem nim wielkiego białego węża i była to pierwsza broń, która sprawiła, że cesarza Erishiego obezwładnił strach. Niech ten miecz w twoich rękach okaże się równie szczęśliwy co w moich.

Gin ukloniła się i przyjęła podarunek.

Dotychczas żołnierze zdawali zachować milczenie, patrzyli tylko w osłupieniu, teraz jednak zaczęli szeptać między sobą.

– Żołnierze Dasu. – Gin Mazoti podniosła głos, by dało się ją słyszeć. – Kiedy świat mnie zobaczy, będzie równie zdezorientowany co wy. A wtedy my zadamy śmiertelny cios.



Kindo Marana omal nie opluł się herbatą, kiedy usłyszał, jakiej płci jest nowy marszałek Dasu.

– I co? Teraz żołnierze Dasu będą brać lekcje wyszywania, a przed walką nakładać makijaż? – zaśmiał się i spróbował napić, lecz ogarnęła go taka wesołość, że nie był w stanie.

Nie potrafił sobie wyobrazić, jak ten głupiec Kuni Garu w ogóle zdołał wkroczyć do Pan i pojmać cesarza. Musiał mieć kiedyś szczęście, lecz ono już nie wróci. Kuni Garu był skazany, by umrzeć na swojej maleńkiej wysepce.



Than Carucono i Mün Çakri usiedli wspólnie przy stole. Aż się w nich gotowało.

– Panowie – zaczęła Gin. – Nie jestem tak głupia, by nie rozumieć, że nie podoba wam się mój awans.

Wcześniej Than i Mün naciskali Kuniego prywatnie, żeby wyjaśnił im swoją decyzję:

– Szliśmy za tobą jeszcze wtedy, gdy byłeś zwykłym bandytą!

– Czym ona się wsławiła? Niczym!

Kuni jednak unikał wyjaśnień, mówiąc tylko, że nie wydaje mu się, by istotne było, z jakiego królestwa pochodzi, kim się urodziła i w co się ubiera utalentowana osoba. Nie sposób było się z tym nie zgodzić, poza tym taka rozmowa nie przynosiła żadnych wymiernych korzyści.

Thanowi trudno było patrzeć na nowego marszałka i odnosić się do niego z należyтым szacunkiem. Nawet siedząc, Mün przewyższał Gin. Wyglądała jak kobieta, lecz jednocześnie nie jak kobieta: jej ogolona głowa, poznaczona bliznami twarz, wyraźnie zarysowane mięśnie ramion i zrogowaciała skóra na palcach silnie kontrastowały z jedwabną suknią, cichym głosem i... piersiami.

Do tego patrzyła im prosto w oczy, zamiast skromnie spuścić wzrok.

– Kobieta często jest słabsza fizycznie od mężczyzny – ciągnęła. – A to oznacza, że musi wykorzystywać inne techniki, jeśli chce pokonać silniejszego przeciwnika. Musi obrócić jego siłę przeciwko niemu, zmęczyć go, sprawić, by pokonał sam siebie, wytrącić go z równowagi. Kobieta nie może się wstydzić sięgnąć po każdy rodzaj przewagi, jaki tylko może, i łamać zasady walki ustanowione przez mężczyzn.

Mün i Than niechętnie pokiwali głowami. Przynajmniej jej słowa miały jakiś sens.

– Dasu jest znacznie słabsze niż pozostałe królestwa Tiro i z pewnością słabsze niż Cocru pod władzą Zyndu. A jednak nasz król marzy, by zwyciężyć i pewnego dnia, być może, zasiąść na cesarskim tronie. Wydaje mi się, że będąc kobietą, mam lepsze pojęcie, jak trudne decyzje trzeba podjąć, żeby Dasu pokonało swoje słabości. Nie mogę inspirować żołnierzy własną walecznością i dokonaniem na polu bitwy, dlatego do zrealizowania swojego planu potrzebuję waszego wsparcia i wiary.

Mün i Than napili się herbaty. Zorientowali się, że nie są tak wściekli, jak im się wydawało.

– W księgach historycznych znajduje się pełno przykładów młodych dowódców, którzy zdobywali posłuch u szeregowych za pomocą terroru i dyscypliny. Kazali oddziałom wykonać jakieś niemądre zadanie, by potem batożyć albo skracać o głowę tych, którzy okazali nieposłuszeństwo. A jednak, ponieważ jestem kobietą, gdybym miała zrobić to

samo, nazwano by mnie małostkową harpią, złością, której trzeba silnej męskiej ręki. Zamiast zdobyć szacunek, wzbudziłabym animozje. Właśnie tak działa świat. Dlatego potrzebuję waszych pomysłów i pomocy, panowie, żeby podbić serca naszych żołnierzy.



Zgodnie z radą Müna i Thana marszałek Mazoti natychmiast zakazała musztry.

– Umiejętność paradowania z gracją jest bezużyteczna na polu bitwy – ogłosiła, a zebrani żołnierze wiwatowali.

Od tamtej chwili szkolenie przybierało formę głównie ćwiczeń wojennych. Armia Dasu była dzielona na oddziały różnej wielkości, które angażowały się w symulowane walki według różnych scenariuszy: atak na plaży, obrona albo atak na fortecę, przygotowania do zasadki na wzgórzach albo w lasach. Ostrza mieczy i groty strzał owijano grubym materiałem, żeby uniknąć wypadków, poza tym jednak oficerów i żołnierzy zachęcano do zachowywania jak największego realizmu.

Marszałek Mazoti powiedziała oficerom, że ich zadaniem jest nie tylko przekazywanie rozkazów podwładnym, lecz także improwizacja na podstawie zmieniających się warunków bitwy. Każdy oficer, jak wyjaśniła, licząc od niej aż do najniższego kaprała dowodzącego małym oddziałem, musiał myśleć samodzielnie jak głowa żywego organizmu walczącego o przetrwanie, a każdą chwilową przewagę należało wykorzystać. Jeśli wymagało to nieszablonowego myślenia, które łamało pisane czy niepisane zasady wojny, trudno.

– Na wojnie naszym jedynym celem jest wygrać.

Mazoti organizowała lekcje gry w *cüpa* i promowała tę rozrywkę w całej armii. Niezależnie od tego, czy pomogło to rozwinąć talenty strategiczne żołnierzy, czy też nie, sama inicjatywa pokazywała, że siła i męstwo to nie wszystko, że musi im towarzyszyć myślenie taktyczne na wszystkich poziomach hierarchii wojskowej.

Ćwiczenia wojenne zebrały swoje żniwo pośród żołnierzy. Wszyscy mieli siniaki, a więcej niż kilku mężczyzn połamało sobie kości, wpadając do pułapek zastawionych przez przeciwników. Czasami udawane bitwy przegrywano wtedy, gdy drugiej stronie udawało się oszukać „wrogów” przebranych za cywilów.

Przez większość czasu żołnierze nie narzekali: nagradzano ich za myślenie i męstwo w czasie ćwiczeń. Otrzymywali bonusy albo obcinano im żołd, w zależności od tego, jak im poszło, a oficerów awansowano lub degradowano na podstawie ich osiągnięć taktycznych.

Jednak nawet najbardziej realistyczne ćwiczenia wojenne nie mogły się równać z prawdziwą walką. Aby dalej rozwijać umiejętności swoich ludzi, Mazoti wysyłała małe oddziały do przystani pirackich na dalekiej północy. Dzięki nim żołnierze zdobywali doświadczenie w prawdziwej walce. Mogli też zatrzymać każdy łup, jaki udało im się zdobyć.

Marszałek nie tylko uczyła oficerów i żołnierzy piechoty – pokazywała im też, jak uczyć innych. Armia Dasu musiała znacznie urosnąć, jeśli miała pokonać hegemonia, a Mazoti chciała przekazać swoim podwładnym wartości i praktyki, które w późniejszym okresie

będą mogli oni przekazać dalej.

Szkolenie nie było jej jedynym zajęciem – zgodnie z sugestią Thana i Müna organizowała także spotkania z niewielkimi grupami zwykłych żołnierzy, żeby wysłuchać ich skarg. Za wzór stawiała sobie administracyjne metody króla Garu i premiera Yelu, które w wojsku okazały się równie efektywne. Zadbala, by jej ludzie otrzymywali lepsze jedzenie, i poprosiła Kuniego o podwyższenie pensji wypłacanej rodzinom rannych i poległych w bitwie. Gdy jeden z mężczyzn poskarżył się na brak odpowiednich butów do maszerowania w trudnym terenie, przez kilka miesięcy przyglądała się różnym wzorom obuwia używanego przez inne armie tiryjskie – w końcu jej wojsko składało się z dezertersów z całej Dary – i po wybraniu najlepszego uczyniła go podstawowym wyposażeniem całej armii Dasu.



Do Dasu przybywało wielu weteranów rebelii, odrzuconych przez dotychczasowych dowódców. Jako że stracili na wojnie ręce albo nogi, uznawano ich za bezużytecznych. Jednak Kuni, wspominając Muru i innych wyrzutków, przyjmował ich do armii, jeśli chcieli kontynuować karierę wojskową, i był gotowy spierać się o to z Gin, gdyby oponowała; nie chciał ingerować w decyzje marszałka, jednak w tym przypadku jego zdaniem chodziło o zasady.

Ku jego zaskoczeniu Mazoti tylko kiwnęła głową, kiedy poruszył ten temat.

– Nie przejmujesz się ich ułomnościami? – spytał.

– Każdego z nas kształtują nasze doświadczenia – odparła i nie mówiła już nic więcej.

Pracowała z rzemieślnikami i wynalazcami, których Cogo sprowadził do Dasu, żeby stworzyć nowe uprząże i urządzenia mechaniczne zdolne do zastąpienia utraconych części ciała. Mechaniczne dłonie z bambusa owiniętego materiałem można było dopasować za pomocą byczych więzadeł, aby umożliwić właścicielom dobywanie miecza, a żołnierze bez nóg mogli odzyskać część mobilności dzięki sztucznym nogom ze sprężynami, które automatycznie dopasowywały się do terenu. Protezy te były drogie i każdą należało wykonać według indywidualnego projektu, jednak Mazoti uważała to za wydatek wart przedłużenia kariery wojskowej doświadczonych weteranów. Ci natomiast podziwiali ją i przysięgali oddać życie za Dasu.



Do Mazoti przyszła Risana.

Gin nie była pewna, co myśleć o tej wizycie. Wiedziała, że żona Kuniego jest też jego zaufaną doradczynią, a on podobno brał pod uwagę jej zdanie, gdy otrzymywał wykluczające się porady. Jednak Gin widziała ją tylko kilka razy, gdy tańczyła z Kunim po obiedzie. A już z pewnością nigdy nie słyszała, by Risana wyrażała swoje zainteresowanie wojną.

Ku jej uldze żona króla nie próbowała zaczynać rozmowy od uwag na temat pogody

tylko od razu przeszła do sedna.

– Marszałku, myślę, że powinnaś wykorzystać kobiety z Dasu.

Spora liczba kobiet przybyła do królestwa Kuniego, odpowiadając na jego apel, wiele z nich miało rozliczne umiejętności: były zielarkami, kosmetyczkami, tancerkami, tkaczkami, szwaczkami, artystkami i tak dalej. Niektóre przyjechały razem z mężami, inne były niezależne i samotne – z wyboru ponieważ straciły rodziny w czasie rebelii.

Gin nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Wykorzystam. Piechota przyciąga je naturalnie, jak padlina sępy. – Była to aluzja do obecności nieoficjalnych towarzyszek żołnierzy, których armia potrzebowała i które tolerowała: praczek, kucharek, prostytutek i tak dalej.

Jednak Risana pokręciła głową.

– Nie o to mi chodziło.

Gin popatrzyła na nią chłodno.

– Niewiele kobiet ma dość krzepy, by naciągnąć typowy łuk albo walczyć mieczem ważącym dwa i pół kilograma. Jaki w tym sens?

Zamiast odpowiedzieć, Risana podeszła do kąta, gdzie stał oparty o ścianę bambusowy kij. Chwyciła go i położyła między biurkiem a parapetem. Potem wskoczyła na niego z gracją czyżyka lądującego na gałęzi. Stojąc w miejscu, odwróciła się na palcach. Cienki bambus ledwo się pod nią wygiął.

– Lekkość może być zaletą – powiedziała – zwłaszcza jeśli trzeba wzbić się w powietrze.

Mazoti zdawało się, że rozwiała się w jej umyśle jakaś mgła. Pomyślała o tym, że lżejsze ciała przytoczone do latawców bitewnych wznoszą się wyżej, że lżejsze balony lecą dłużej, a sterowce docierają dalej i przenoszą więcej broni...

Ukloniła się Risanie w *jiri*.

– Otworzyłaś mi oczy na rzecz, na jaką wszystkie królestwa Tiro były ślepe. Wstyd mi, że nawet ja wcześniej tego nie dostrzegalam.

Risana zeskoczyła z bambusa i odpowiedziała Gin ukłonem.

– Nawet umysł geniusza czasami potrzebuje tępego kamienia, by się naostrzyć.

Gin uśmiechnęła się do niej.

– Jednak tylko niektóre kobiety nadają się do tego zadania. Myślę, że masz jeszcze inne sugestie.

– Kobiety z Dasu mogą się poszczycić wieloma umiejętnościami. Armia nie tylko walczy – istnieje jeszcze to wszystko, co dzieje się przed bitwą i po niej.

Gin zastanowiła się nad tym, po czym kiwnęła głową.

– Dasu ma szczęście, że jesteś jego królową.



Mazoti nie tylko wezwała drobne i zwinne kobiety żądne przygody, by służyły w siłach powietrznych Dasu – na razie ograniczających się jedynie do latawców i balonów – lecz także zaczęła rekrutować kobiety do oddziałów posiłkowych w ramach samej armii.

Zielarki i szwaczki doskonale nadawały się na pielęgniarki i chirurgów polowych – te

pierwsze pomagały łagodzić ból, a te drugie dzięki umiejętności zszywania jedwabiu i koronki mogły zszywać rany; kosmetyczki i tkaczki pomagały przy kamuflażu, zaś artystki i tancerki wymyślały nowe pieśni marszowe i hymny bitewne, które podnosiły morale i szerzyły wizję Kuniego. Dołączenie kobiet do armii oznaczało też pojawienie się dodatkowych rąk do naprawy i konserwacji zbroi, wytwarzania łuków i strzał, jednym słowem niezliczonych zadań, które należało wykonać w armii.

Kobiety z oddziałów posiłkowych zajmowały się też innymi kwestiami: zielarki sugerowały kucharzom, jak gotować zdrowsze potrawy, tak by zapobiegać częstym w wojsku chorobom; szwaczki i tkaczki dzieliły się wskazówkami ze zbrojmistrzami, żeby usprawnić produkcję zbroi, szat, butów i tak dalej.

Oprócz tego Gin kazała też kobietom przejść podstawowe szkolenie w walce, żeby mogły się obronić i w razie kłopotów wesprzeć mężczyzn. Jeśli przeciwnik nie będzie spodziewał się po nich waleczności, zaskoczenie będzie mogło zapewnić Dasu przewagę.

Choć wciąż podśmiewano się z marszałek Mazoti, żartom coraz częściej towarzyszyło uczucie, nie pogarda. Kiedy oficerowie jej salutowali, w ich oczach pojawił się prawdziwy szacunek.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Z MLECZA RODZI SIĘ DMUCHAWIEC

DASU: SZÓSTY MIESIĄC DRUGIEGO ROKU PRYNCYPATU

Minął już rok, odkąd Kuni przybył do Dasu, i Cogo wreszcie zaczynał dostrzegać owoce jego wysiłków, by przyciągać na wyspę utalentowanych mężczyzn i kobiety. Po całej Darze krążyły opowieści, że w Dasu ciężko pracujący człowiek może liczyć na niskie podatki i sprawiedliwe prawo, że interesujące propozycje zostaną tam wysłuchane, a nawet kobieta jest traktowana z szacunkiem i ma szansę udowodnić swoją wartość.

Przybywali inwestorzy z nowymi wynalazkami, wojownicy o wielkiej sile, magicy z (jak sami twierdzili) nową wiedzą, zielarki z nowymi przepisami, artyści ze świeżymi występami – Cogo witał ich wszystkich i wśród szarlatanów starał się odnaleźć diamenty.

– Opracowałem metodę przemiany ołowiu w złoto – ogłosił alchemik z białymi włosami i brodą sięgającą aż do ziemi. – Potrzebowałbym potężnych funduszy, by zbudować laboratorium.

Cogo pokiwał głową i zachęcił alchemika do pozostania w Dasu i zabiegania o pieniądze z prywatnych źródeł. Następny.

– Umieję przyrządzić miksturę z silnych ziół, która zmiękcza kamienie tak, by kruszyły się przy najdelikatniejszym dotyku – wyjaśniła staruszka z Faça. – Przez lata używałam ich w sztuczkach magicznych.

– Zgłaszałaś się z tym pomysłem do górników, pani? – zapytał Cogo.

Staruszka pokiwała głową.

– Twierdzą, że nie są zainteresowani, ponieważ mogą znaleźć całe mnóstwo ludzi, którzy chętnie sięgną dla nich po młoty i kilofy.

– Nie wspominając już o prochu – zauważył Cogo.

– Ale proch wymaga saletry, której zasoby są ograniczone. Nie mówiąc już o tym, że zabawy z prochem są niezwykle niebezpieczne. Wiem, że jest w tym potencjał, gdybym dobrze nad tym popracowała.

Cogo nie był pewien, o jakim potencjale mówi kobieta, jednak nie uważał pomysłu za zupełnie bezużyteczny.

– Z radością przyjmujemy cię jako gościa samego króla.

– Wiem, jak pozyskiwać energię z żaru wulkanicznego – powiedział mężczyzna w średnim wieku z jedną tylko ręką. – Posiadam prototyp, który wykorzystuje ciepło ziemi do zagotowania wody, zaś powstała w ten sposób para może napędzać koło.

Cogo nie był pewien, w jaki sposób to się przyda, lecz idea wydała mu się interesująca. Grzecznie poprosił mężczyznę, by pozostał w Dasu i zbudował prototyp do demonstracji.

– Napisałem traktat o związkach bogów z ludźmi i o tym, jak stworzyć właściwy model państwa na podstawie układu rzek i kierunku wiatrów – zadeklarował młody uczonec

o płomiennym spojrzeniu. – Będę potrzebował bezwzględnej uwagi króla.

Oczy Cogo zabłyśły, kiedy rozwinął zwój. Logogramy były kolorowe i naniesione niezwykle misternie, a litery zyndari gęste jak muchy na plastrze miodu. Ostrożnie zwinął manuskrypt i zaproponował mężczyźnie posiłek.

– Król Kuni jest w tej chwili zajęty nieco mniej podniosłymi sprawami – powiedział. – Mam jednak przeczucie, że ta praca mogłaby się spodobać hegemonowi. Mogę napisać list z rekomendacją.

Wiele się wtedy działo w Daye.



Luan Zya wrócił do Dasu zmęczony i zniechęcony.

– Są pewne sprawy, które chciałbym przedyskutować z królem – rzekł do Cogo, który go powitał. – Nie mów mu jednak jeszcze, że przyjechałem.

– Król i tak wyjechał na krótko razem z Risaną na wschodni koniec wyspy, żeby porozmawiać ze starszyzną tamtych terenów.

– Widzę, że jak zawsze interesuje się detalami administracji. Gdyby inni królowie tiryjscy byli tak pracowici.

– Lecz jesteście z królem starymi przyjaciółmi – zauważył Cogo. – Dlaczego nie chcesz od razu się z nim zobaczyć?

– To prawda, że znamy się od dawna – odparł Luan. – Lecz moja wizyta tym razem nie jest powodowana wyłącznie sympatią.

– Ach – powiedział Cogo, wreszcie rozumiejąc. – Doszedłeś do wniosku, że chciałbyś mu służyć.

– A jakiz jest lepszy sposób, by oszacować wartość pana, jeśli nie poznając najpierw jego ludzi?

– W takim razie przedstawię cię marszałek.



Luan przyjrzał się ogolonej głowie Gin, bliznom na jej twarzy, podobnym do jego własnych, oraz cienkim, lecz silnym rękóm. Jej prosta suknia idealnie leżała na smukłej i umięśnionej sylwetce. Przypominała dzikiego rysia – cała jej energia i furia były pod ścisłą kontrolą. Polubił ją.

– Tak, jestem kobietą – powiedziała Gin, zauważywszy, jak Luan się w nią wpatruje. – Zaskoczony?

Luan zaśmiał się.

– Wybacz mi. Słyszałem plotki, lecz trudno czasem ocenić, w jakim stopniu można im wierzyć. Chociaż, znając Kuniego, niczemu nie powinienem się dziwić. Kiedy przedstawiłem mu swój plan przepłynięcia cieśniny Amu na grzbietach crubenów, zapewniał mnie, że wcale nie zwariowałem.

Złapali się za łokcie i każde poczuło przez cienkie rękawy ciepło tego drugiego. Gin

cieszył silny uścisk Luana. Nie pobrażał jej.

Przez kilka kolejnych dni zabierała gościa ze sobą, by mógł obserwować ćwiczenia wojenne. Zrobiły na nim duże wrażenie. Nigdy wcześniej nie widział, by ktokolwiek w Darze w ten sposób szkolił żołnierzy.

On sam pokazał Gin plany konstrukcji machin oblężniczych, składających się z łatwych do przewiezienia i złożenia elementów; Gin natychmiast zwróciła uwagę na ich wady – Luan może i był inteligentny, lecz rysowanie maszyn na papierze to zupełnie co innego niż konstruowanie ich i używanie na polu bitwy.

Luan poczuł się zniechęcony.

– Cóż – powiedziała szorstko Gin. – Podstawowe pomysły nie są złe. Prawdopodobnie będę w stanie pomóc ci je poprawić.

Potem Cogo zabrał Luana, by pokazać mu najbardziej interesujące wynalazki, które miał ocenić Kuni. Obaj mężczyźni z ekscytacją dyskutowali o ich zaletach.

Wieczory spędzali we troje, do późna rozmawiając, pijąc i śpiewając w niewielkim domu, który udawał pałac. Ich śmiech i głosy harmonizowały ze sobą, jak zwykle u ludzi, którzy podziwiali i szanowali się nawzajem jako doskonałych rzemieślników z różnych dziedzin. Pochodnie rzucały migoczące cienie na papierowe okna i czasami można było odnieść wrażenie, że wspólnie tworzą triadę duchów, trzy filary podtrzymujące dach pałacu.



– Królu Garu, jak twoim zdaniem za tysiąc lat ludzie będą wspominać cesarza Mapidérégo?

Gdyby pytanie zadał ktoś inny, Kuni uznałby je za zaproszenie do potępienia tyrana. Jednak Luan Zya nie był zwyczajnym człowiekiem.

– Wiele razy zmieniałem swoje zdanie na jego temat – przyznał. – Łatwo powiedzieć, że był tyranem, który nie zrobił nic dobrego. Lecz byłoby to nieprawdą. Byłem przecież chłopcem z prowincji, a jednak, dzięki wymuszonym przesiedleniom mieszkańców całej Dary, mogłem zobaczyć wspaniałości wszystkich starych królestw tiryjskich. Często mówimy o setkach tysięcy ofiar wojen Mapidérégo, lecz rzadko wspominamy o wielu istnieniach, które być może udało się uratować poprzez powstrzymanie niekończących się wojenek między królestwami Tiro. Często mówimy o udręce niezliczonych robotników pańszczyźnianych w Mauzoleum, lecz rzadko wspominamy o rzeszach tych, którzy umarliby z powodu chorób albo głodu, gdyby nie spichlerze i drogi wybudowane za rządów cesarza. Tylko bogowie wiedzą, na co historycy położą nacisk, a co przemilczą, gdy kształtować będą opinie następnych pokoleń. Trudno przewidzieć spuściznę danego człowieka. Zwłaszcza gdy emocje wciąż są silne i łatwiej mówić o nim źle niż dobrze.

Luan pokiwał głową. Siedzieli obok siebie na plaży w Daye, przy wielkim ognisku, za którym rozpościerał się bezkresny mrok otwartego oceanu. Nad nimi, na dziewiczym niebie gwiazdy mrugały jak oczy bogów.

– Rzadko zdarza się, by można było łatwo osądzić człowieka, który wiele zrobił, by zmienić świat. – Luan zaciągnął się fajką, zbierając myśli. – Masz rację, że pod wpływem

czasu opinie ludzi się zmieniają. Kiedy w Darze pojawili się pierwsi osadnicy Ano, uchodźcy z zalanego Kontynentu Zachodniego, wszystkie te wyspy były zasiedlone przez rdzennych mieszkańców podobnych do Tan Adü. Dla Adüanów nasi ojcowie założyciele byli mordercami i tyranami, pozbawionymi jakichkolwiek cech, które by ich usprawiedliwiały. A jednak dzisiaj chadzamy po podbitych przez nich ziemiach i świętujemy w ustanowione przez nich święta. Niewielu z nas zastanawia się nad krwawym długiem, jaki ciąży na nas wszystkich. Cesarz Mapidéré tłumaczył swoje wojny potrzebą zjednoczenia skłóconych królestw tiryjskich pod jednym władcą i przetopieniem wszystkich mieczy w pługi. I faktycznie, po Zjednoczeniu chciał skonfiskować całą broń, stopić ją i z uzyskanej stali odlać osiem boskich posągów, które miały stanąć na środku Pan. Ostatecznie plan porzucono, uznając go za zbyt trudny, lecz wielu uważało, że chciał zwyczajnie pozbawić ludzi możliwości oporu przed władzą. Jednak słowa cesarza nie miały charakteru jedynie propagandowego. Liczni uczeni tiryjscy wspierali jego wizję pokoju przez unifikację i podbój. Krwawe, niekończące się wojny między poszczególnymi królestwami, przyspieszane przez wynajdowanie coraz skuteczniejszych rodzajów broni i tworzenie coraz liczniejszych armii, u wielu osób wzbudzały strach i uważano, że wojna kończąca wszystkie wojny mogłaby być lepsza od nieustannych konfliktów. Gdyby Mapidéré wykazał się cierpliwością i przeznaczył więcej czasu na skonsolidowanie swoich rządów zamiast gonienie za mirażem nieśmiertelności, gdyby więcej uwagi poświęcił zwykłym sprawom administracyjnym i budowaniu trwałych instytucji zamiast marnotrawić energię na megalomańskie projekty inżynierskie, bardzo możliwe, że cesarstwo przetrwałoby dłużej niż dwa pokolenia. A gdyby tak się stało, to za sto lat, gdy po ludziach pamiętających dawne królestwa Tiro nie byłoby już śladu, ich potomkowie nie znalazłby nic prócz pokoju pod xańskimi rządami. Wspomnienia śmierci i cierpienia nigdy nie trwają dłużej niż trzy pokolenia, a ludzie zapamiętaliby cesarza Mapidérégo jako wizjonera, który uwolnił nas od wojen.

Kuni Garu dorzucił drewna do ogniska.

– Jesteś heretykiem, Luan. Niewielu starcza odwagi na takie myśli.

– Czasami zastanawiam się, czy nie oszalałem. Całe swoje życie pragnąłem zemścić się na Mapidéré i przywrócić dawne królestwa Tiro. Zniszczyć jego dzieło. Kiedy jednak wreszcie przyszedł moment zwycięstwa, nagle zaczynam go żałować, ponieważ spędziłem dużo czasu na przyglądaniu się jego działaniom i rozumiem go lepiej niż jego własni ministrowie i dzieci. Być może przyczyniłem się do upadku Xany, jednak Mapidéré w pewnym sensie zdołał doprowadzić do upadku moich przekonań. Po twoim przybyciu do Dasu wróciłem do Haanu, żeby pomóc królowi Cosugi odbudować kraj. Pracowałem bez wytchnienia, by przywrócić Haanowi siłę, jednak gdzie nie spojrzałem, widziałem tylko powrót dawnych konfliktów i odwiecznej wrogości. Kiedy cesarz Mapidéré podbił Haan, odebrał władzę arystokracji i elitom, a na ich miejsce ustanowił nową elitę biurokratów i kupców, którym się wiodło. Gdy król Cosugi wrócił na tron, wyrzucił nowe elity i przywrócił stare. Ich biegli w polityce przedstawiciele świetnie sobie radzili, podczas gdy inni stracili wszystko, co posiadali. Mimo to życie większości ludzi – rybaków, chłopów, prostytutek, żebraków i robotników portowych – się nie zmieniło. Cierpią tak samo jak kiedyś: urzędnicy pozostali skorumpowani, poborcy podatkowi okrutni, zarządcy

pańszczyźniani uciążliwi, a groźba wojny wciąż wisi nad wszystkimi. Usłyszałem w Haanie taką przyspiewkę:

Kiedy Haan upada, ludzie cierpią.

Kiedy Haan powstaje, ludzie cierpią.

Kiedy Haan jest biedny, ludzie są biedni.

Kiedy Haan jest bogaty, ludzie są biedni.

Kiedy Haan jest silny, ludzie umierają.

Kiedy Haan jest słaby, ludzie umierają.

– Czego by nie głosili arystokraci i królowie, zawsze traktują ludzi jak kamienie na planszy do gry w *cüpa* – rzekł Kuni.

W jego stwierdzeniu nie było żadnej ironii. W sercu wciąż czuł, że jest plebejuszem, człowiekiem, który nie ma nic prócz nazwiska i musi prosić przyjaciół o miejsce do spania.

Luan popatrzył na niego. W jego oczach przeglądały się płomienie z ogniska.

– Król Cosugi nie widział nic złego w powołaniu wojska do podbicia dawnych haańskich ziem na terenie północnej Géfiki, w powołaniu nowych robotników pańszczyźnianych do odbudowy pałacu w Ginpen oraz w podniesieniu podatków na potrzeby zorganizowania uroczystej koronacji. Ja sam udałem się na ruiny mojej rodowej posiadłości i modliłem się do duszy zmarłego ojca. Chociaż zdawało mi się, że osiągnąłem to, co mu obiecałem w dniu jego śmierci, moje serce nie potrafiło zaznać spokoju. Kiedy wzeszedł księżyc, jego blask podświetlił cytat z klasyków Ano wyryty w jednym z potrzaskanych nadproży: „Całe życie to jeden wielki eksperyment”.

– Idealny cytat dla mędrca z Haanu – rzekł Kuni.

Luan uśmiechnął się.

– Idealny dla każdego mieszkańca Dary. Zrozumiałem wtedy, że moja wizja była ułomna. Myślałem, że moim obowiązkiem jest przywrócić Haanowi świetność, jednak Haan to nie król Cosugi ani spalony pałac czy ruiny dawnych posiadłości należących do martwych arystokratów i ich spadkobierców walczących o chwałę. To tylko części eksperymentu polegającego na stworzeniu mieszkańcom Haanu życia. Skoro eksperyment się nie udał, trzeba szukać nowego sposobu, nowej ścieżki. Nie mogłem znieść powrotu na dawną drogę: na drogę, która nie służyła już Haańczykom. Dlatego przybyłem do ciebie. Dla Maty Zyndu nie ma innego prawa nad prawo siły i wznioślejszego ideału od chwały wojownika, zaś świat, który stworzył, jest odbiciem jego umysłu. Kiedy król Thufi zmarł „tajemniczą” śmiercią w drodze do Écofi, powiadano, że jego ostatnie słowa brzmiały: „Powiniennem być zostać pasterzem”. Rebelia miała zmienić świat, lecz nic się tak naprawdę nie zmieniło.

Kuni popatrzył na Luana, serce zabiło mu szybciej.

– Myślisz, że jesteśmy słowami zapisanymi w boskiej księdze, że zawsze będą bogaci i biedni, silni i słabi, arystokraci i plebejusze? Myślisz, że wszystkie nasze marzenia są skazane na klęskę?

Luan wstał i podszedł nad brzeg oceanu. Jego ciemna postać drgała w blasku tańczących

płomieni, a głos mieszał się z trzaskaniem ognia.

– Nie chcę uwierzyć w daremność prób wprowadzenia zmian, ponieważ widziałem, jak zwyczajny mlecz z czasem potrafi przebić się przez najtwardszy bruk. Panie Garu, dokończysz realizować wizję cesarza Mapidérégo, unikając jednak jego błędów? Potrafisz zjednoczyć wyspy Dary pod jedną koroną i zaprowadzić trwałą pokój, jednocześnie zmniejszając cierpienie ludzi?

Risana po cichu wyszła z mroku, by usiąść razem z nimi przy ognisku. Zająła miejsce obok Kuniego i położyła mu dłoń na ramieniu. Jej skóra błyszcząca w blasku płomieni, a Kuni poczuł, jak jego myśli stają się klarowne, a w głowie pojawia się gotowość mówienia o trudnych prawdach. Nie był idealny; nie był bogiem; zaakceptuje to.

– Nie wiem, jak ci odpowiedzieć, Luan. Zawsze sobie powtarzałem, że kocham ludzi. Jednak jak mam mówić o miłości, kiedy nie mogę nawet wychować własnych dzieci? Zawsze powtarzałem sobie, że jestem władcą pełnym współczucia, jednak jak mam mówić o współczuciu, skoro tylu zabiłem, a wielu kolejnych zdradziłem? Nie mogę powiedzieć, że jestem dobrym człowiekiem. Jedynie, że staram się nim być. Chciałbym wierzyć, że ludzie będą mnie dobrze wspominać, lecz wiem też, że nie można tego przewidzieć. Nie wiem, czy wypełnię zadanie, o którym marzysz, ponieważ to pytanie należałoby zadać naszym spadkobiercom za tysiąc lat.

Luan roześmiał się.

– Panie Garu, właśnie dlatego ci służę. Właściwej ścieżki nie wskazują nam bogowie czy dawni uczeni, musimy ją znaleźć sami poprzez eksperymentowanie. Brak ci pewności i dzięki temu zawsze będziesz poszukiwał pytań, zamiast uważać, że posiadasz wszystkie odpowiedzi. A ten, który frunie z nasieniem dmuchawca, wylądował tam, gdzie ono. Utalentowanych ludzi osądzi się wedle osiągnięć tych, którym służyli.

– *Géüdeü co loteré ma, pirufénrihua nélo.* Całe życie to jeden wielki eksperyment – rzekł Kuni. – Wszyscy jesteśmy jak muchy lecące w czasie burzy i jeśli wylądujemy bezpiecznie, zawdzięczać będziemy to po równo szczęściu i umiejętnościom.

Zapadła cisza, a Risana zaczęła śpiewać klasyczną pieśń Ano:

Cztery Spokojne Morza są tak szerokie jak lata długie.

Dzika gęś leci nad jeziorem, za nią jej głos na wietrze sunie.

Człowiek przemierza świat, a zostaje po nim tylko imię.

Cała trójka siedziała bez słowa, póki płomienie całkiem nie wygasły i nie nastał ranek.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

PIERWSZE UDERZENIE

RUI: SIÓDMY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU PRYNCYPATU

Już od ponad roku raporty z obserwacji poczynionych na sterowcach sunących nad Dasu wyglądały podobnie. Gin Mazoti wciąż prowadziła dziwne gry wojenne, zamiast uczyć żołnierzy musztry, a Cogo w dalszym ciągu budował nowe przetwórnice rybne, drogi, mosty i inne nieistotne z punktu widzenia wojska konstrukcje.

Kindo Marana mógłby przysiąc, że Kuni Garu jest zadowolony ze swojego nowego domu i zachowuje się raczej jak ogrodnik pielęgnujący działkę niż ambitny wojownik planujący podboje.

Ostatnio jednak szpiedzy donieśli, że Mazoti coś knuje. Na południowym brzegu Dasu, po drugiej stronie Kanału Dasu od Rui, dwustu mężczyzn pracowało nad budową statków. Działali powoli, ponieważ brakowało im rąk do pracy i wyszkolonych szkutników. Marana zwiększył częstotliwość lotów w tamtych rejonach, a z zebranych informacji wywiadowczych wynikało, że Mazoti przymusza robotników do bardziej wyętej pracy za pomocą batów.

Żołnierz z Dasu uciekł do Rui na małej łódce rybackiej. Kindo Marana przesłuchał go osobiście.

– Gin Mazoti to okrutna, pozbawiona serca kobieta – powiedział Maranie Luwen, bo tak brzmiało jego imię. – Rozkazała nam zbudować dwadzieścia statków transportowych w ciągu trzech miesięcy. Kiedy zwróciłem jej uwagę, że to niemożliwe, poleciła powiesić mnie za kciuki i batożyć do utraty przytomności. – Luwen podniósł koszulę, żeby pokazać rany na plecach, i nawet Marana wzdrygnął się na ich widok. – Zapowiedziała, że jeśli nie wypełnimy planu, czeka mnie egzekucja ostatniego dnia trzymiesięcznego okresu. Nie miałem innego wyjścia jak uciec.

Marana pokręcił głową. Typowa kobieta, myśląca życzeniowo i pozbawiona podstawowego zrozumienia skali przedsięwzięć. Naprawdę w jej oczach budowa statku transportowego równa się budowie stodoły? Dwustu robotników w trzy miesiące nie skończy nawet dwóch statków, a co dopiero dwudziestu. Kuni Garu był głupcem, powierzając swoją armię kobiecie, która zdawała się zdolna jedynie do wyładowywania gniewu na nieszczęsnych żołnierzach, zamiast logicznie planować.

Nakazał podać Luwenowi solidny posiłek i czym prędzej wezwać do niego lekarza.



Nadeszła północ. Mieszkańcy maleńkiej wioski o nazwie Phada, leżącej na północnym

brzegu Rui, smacznie spali.

Obudziła ich potężna eksplozja. Kiedy wybiegli ze swoich domów, ich oczom ukazał się widok rodem z legendy. W ziemi pojawił się ogromny krater, skąd wychodzili mężczyźni w pełnej zbroi, z obnażonymi mieczami.



Kindo Maranę obudził jego kasztelan. Wszędzie dało się słyszeć larum.

– Panie, armia Dasu otoczyła Kriphi.

Marana nie potrafił zrozumieć, co się do niego mówi. Jakim cudem Mazoti zbudowała tyle statków? A nawet jeśli jej się to udało, jak mogła przepłynąć Kanał Dasu nie niepokojona, omijając patrole Marany?

Ubrał się i wszedł na mury miasta, żeby zobaczyć to na własne oczy.

– Kindo Marana! – krzyknęła Gin Mazoti w blasku pochodni. – Poddaj się. Przejeliśmy twoją bazę powietrzną na górze Kiji. Wszystkie inne garnizony na Rui skapitulowały i zostałeś tylko ty.

SZEŚĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Kiedy sterowce Marany płynęły po niebie nad Dasu, a jego marynarka patrolowała Kanał Dasu, prawdziwa praca dokonywała się poniżej, pod dnem morza.

Wizja cesarza Mapidérégo o wybudowaniu Wielkich Tuneli już dawno została porzucona. Na wpół wykończone tunele, głębokie dziury sięgające w głąb ziemi, które kończyły się ślepych zaułkami, można było znaleźć w całej Darze. Przez lata na skutek erozji i powodzi większość z nich zmieniła się w głębokie studnie, nieme relikty minionej ery.

Wejście do porzuconego tunelu wiodącego z Dasu do Rui znajdowało się wiele kilometrów od tymczasowej stoczni Mazoti, gdzie dwustu mężczyzn markowało prace, by skupić na sobie uwagę sterowców Marany.

Tymczasem nad wejściem do porzuconego tunelu wybudowano spichlerz i dało się zobaczyć wozy wjeżdżające do środka, najwyraźniej transportujące ziarno z głębi wyspy. Szpiedzy Marany zwrócili uwagę na tę aktywność, jednak uznali to tylko za próbę zmagazynowania zapasów na wypadek słabych plonów.

Załoga sterowców nie mogła zobaczyć, że wozy wjeżdżające do spichlerza były o wiele lżejsze od tych, które z niego wyjeżdżały. Nie wwoziły ładunku do środka, lecz wywoziły go na zewnątrz. Zamiast ziarnem napełniano je ziemią i kamieniami wydobytymi z dna morza.

Luan Zya dużo wcześniej przeczesał dziwne wynalazki zebrane przez Cogo Yelu i kilka z nich szczególnie go zainteresowało. Na przykład metoda rozłupywania kamieni. Wodę wymieszaną z pewnymi solami pozyskanymi z ziół zebranych i przygotowanych przez wynalazczynię, starą zielarkę z Faça, wylewano na kamienne powierzchnie, a ta wpływała

do wszystkich szczelin, większych i mniejszych. Odczekawszy odpowiednio długo, polewano ten sam kamień innym roztworem soli, a gdzie obie mieszaniny się spotkały, tam tworzyły się kryształki.

Jak lód zimną, miliony maleńkich kryształków wytrącających się w szczelinach rozrywały granit i łupek od środka, a twarde skały przybierały miękką konsystencję sera.

Drugim wynalazkiem wybranym przez Luana była metoda pompowania powietrza za pomocą ręcznych miechów do szczelnego zbiornika do czasu, aż woda z powodu ogromnego ciśnienia nie wytryśnie w postaci wąskiego strumienia, który mógł być wykorzystany do uderzenia z ogromną siłą w dowolną powierzchnię. Kiedy tym strumieniem polano rozmiękczone przez solne mikstury skały, te rozpadały się jak mokry piasek.

Połączenie obu tych wynalazków pozwoliło drążyć tunele z prędkością wręcz niewyobrażalną. Najlepsze zaś było to, że użycie prochu przestało być konieczne, więc cały proces był bezpieczny i niemożliwy do wykrycia przez sterowce Marany.

Przez sześć miesięcy armia Dasu pracowała w sekrecie, spełniając marzenie cesarza Mapidérégo, by wybudować podmorskie przejście między Dasu a Rui.

RUI: SIÓDMY MIESIĄC TRZECIEGO ROKU PRYNCYPATU

„Budowanie statków było zwykłą sztuczką – pomyślał Marana. – Dałem się oszukać w tak banalny sposób”. Zawsze zachowywał ostrożność, lecz zbyt mocno skupiał się na tym, co da się zobaczyć i zmierzyć, co zapisywano w notatkach zwiadowców latających nad Dasu. Umknęło mu coś, co znajdowało się poniżej, ukryte przez ułudę powierzchni, przez morskie fale.

Wyobrażał sobie armię Dasu wychodzącą spod dna morza, niekończący się potok ludzi wypływających z ziemi jak świeża lava. Sam użył tej sztuczki na Wilczej Łapie przeciwko wahającemu się generałowi Romie. Mazoti nie wstydziła się skopiować sukcesu wroga.

Czuł się, jakby jego porażka była niezasłużona, jakby ktoś wykorzystał kruczek w prawie podatkowym.

Luwen, żołnierz Dasu, który się poddał, podszedł do Marany.

– Obaj daliśmy się nabrać – rzekł Marana. – Jesteśmy tylko pionkami w jej grze. Kazała cię wychłostać nie po to, byś pracował ciężiej, lecz by ukryć swe prawdziwe plany.

Luwen uśmiechnął się szeroko i po chwili zastanowienia Marana się skrzywił, wreszcie w pełni rozumiejąc podstęp.

Jednym gładkim ciosem Luwen skrócił Maranę o głowę. Potem zeskoczył z muru, trzymając ją za włosy.

Znajdujący się niżej żołnierze byli na to przygotowani i złapali bezpiecznie Luwena w napięty na tyczkach materiał. Na murach Kriphi wybuchł chaos, a dowódcy, wciąż pogrążeni w szoku po stracie króla Kindo, debatowali, czy mają się natychmiast poddać, czy próbować negocjować lepsze warunki.

Marszałek Mazoti podeszła do mężczyzny, który właśnie schodził z trampoliny.

– Witaj z powrotem, Daf.

Usta Dafa rozciągnęły się w uśmiechu.

– Trudno przewidzieć, jak potoczy się czyjeś życie. Kiedy nasz mały gang robotników pańszczyźnianych dołączył do rebelii, razem z bratem myśleliśmy, że nigdy więcej nie poczujemy bata na plecach.

Mazoti złapała go za ramiona.

– Król Garu i ja nigdy nie zapomnimy o twoim poświęceniu. Mam nadzieję, że twoje rany się wygoiły.



Wieści o podboju Rui przez Dasu rozprzestrzeniły się po wyspach Dary z prędkością tsunami. Mazoti była dopiero drugim dowódcą, który zdołał pokonać wielkiego Kindo Maranę. Wszystkie pozostałe królestwa tiryjskie, już od jakiegoś czasu chętne do wojny, zaczęły walczyć ze sobą o różne terytoria, spodziewając się, że hegemon skupi całą uwagę na Dasu.

Zyndu natychmiast nakazał, by królowie Haanu i Géfiki zwiększyli czujność i do cieśniny Dasu wysłali floty na pomoc resztkom marynarki Marany. Darował sobie wysyłanie do Garu posłańca z pytaniem o wyjaśnienia. Co tu wyjaśniać? Człowiek, którego niegdyś traktował jak brata, zbuntował się przeciwko niemu, przeciwko hegemonowi. To ostatecznie potwierdzało zdradę w Pan – Kuni Garu był zdrajcą w każdym calu.

Dasu nie miało w zasadzie żadnej marynarki. Rui również znajdowało się dalej od Wielkiej Wyspy niż Dasu od Rui, więc sztuczka z tunelami była nie do powtórzenia. Podobnie jak Mata Zyndu znalazł się swego czasu w pułapce na Wilczej Łapie, tak teraz złapie w taką pułapkę Kuniego na Rui. To wciąż wyspa więzienie, po prostu większa.

Za to uda się z wizytą do rodziny Kuniego.



Mira wędrowała bez celu po ulicach Çaruzy. Przeglądała towar na straganach – miała dość pieniędzy, by kupić sobie wszystko, co zechce, jednak nic nie zwróciło jej uwagi. Zwyczajnie grała na zwłokę, nie chcąc wracać do pałacu. Przynajmniej tutaj, na ulicach, w odpowiedniej sukni, mogła być anonimowa i udawać zwyczajną cocruską kobietę wysokiego stanu, zamiast...

Zamiast kogo?

Wściekała się na siebie, na Matę, na dworzan i niezliczonych służących, którzy otaczali hegemonia. Odkąd wróciła z Pan do Çaruzy, jej pozycja na dworze stała się jeszcze bardziej kłopotliwa. Kim była? Wciąż pilnowała przygotowywania posiłków Maty i sprzątała jego sypialnię, lecz ministrowie i dworzanie nazywali ją panią Mirą. Mata nie zaprosił jej do łóżka, a jednak wszyscy zakładali, że odwiedza je regularnie.

„Chyba powinnam wrócić do domu”, pomyślała. Nigdy jednak nie poruszyła tego tematu. Teraz, gdy zobaczyła już kawałek świata i przyzwyczała się do towarzystwa królów, książąt i generałów, nie była pewna, czy zdołałaby znieść spojrzenia wieśniaków,

którzy znowu traktowaliby ją jak kogoś obcego.

To prawda, że kiedy wędrowała po ulicach miasta, ludzie Maty pilnowali jej z daleka, wiedziała jednak, że nie traktują jej jak więźnia. Mata powiedział, że o nią zadba, i dotrzymałby tej obietnicy nawet po jej wyjeździe. Jego słudzy mieli ją chronić, ponieważ wierzyli, że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony wrogów hegemonu, którzy mogliby ją skrzywdzić, by w ten sposób skrzywdzić jego.

„Czy mają rację? Czy jestem dla niego tak ważna?”

Właściwie to nie była pewna, co czuje do Maty – i czy w ogóle go zna, choć minęło tyle czasu. Wciąż pozostawał dla niej niezwykle uprzejmy i każdego dnia pytał ją o samopoczucie. Próbował spełnić każdą jej zachciankę.

Kiedyś wspomniała, że tęskni za domem, a potem w ciągu kilku dni jej stara chatka – w której mieszkała razem z rodzicami i Mado na wyspie Vinesa – znalazła się na podwórzu pałacowym przed wejściem do używanych przez nią pomieszczeń: każdy kamień z fundamentów, każda deska, każda warstwa błota w ścianie była na swoim miejscu, zaś dach pokryto świeżą strzechą. W środku znajdował się każdy jeden mebel, każdy wgięty garnek, każdy wyszczerbiony kubek, talerz czy miska, wszystko ustawione dokładnie tak, jak zostawiła je tamtego dnia, gdy wyruszyła na poszukiwania Mado.

Innym razem zupełnie niezobowiązująco pochwaliła śpiew ptaków i już na drugi dzień obudziła ją cudowna ich pieśń. Mira po wyjściu z pokoju zobaczyła setki klatek wiszących na gałęziach drzew, a w nich ptaki ze wszystkich zakątków Dary.

– Kiedy zostanie ogłoszona data? – chichotały dworzanki. – Nie zapomnij o nas, kiedy już zostaniesz oficjalnie wywyższona! – Siedziały w pokoju gościnnym Miry, dotrzymując jej towarzystwa podczas haftowania.

Mira nie zamierzała udawać, że nie wie, o czym mówią.

– Hegemon jest dla mnie uprzejmy ze względu na służbę mojego brata. Wolałabym, żebyście uszanowały go i nie plotkowały o rzeczach, które nie istnieją.

– Czyli to ty go zwodzisz? Dlaczego? Chcesz, by obiecał ci miano Pierwszej Żony?

Mira odłożyła swoją obręcz.

– Nie ciągnijcie tego tematu na próżno. Niczego nie knuję ani nie spiskuję, wbrew temu, co się wam może wydawać. Zwyczajnie nie ma żadnego ognia tam, gdzie wyobrażacie sobie dym.

– Powinnaś wykorzystać okazję, o której marzy każda cocruska kobieta. Hegemon jest zakochany! Wszyscy to widzą.

„Lecz czy ja widzę?”

Opuściła pałac w złym humorze. Wszyscy chcieli jej mówić, co powinna robić. Postanowiła przegnać nieprzyjemne myśli spacerem po ulicach miasta.

Czasami wydawało jej się, że widzi Matę takim, jakim musiał widzieć go jej brat: jako kogoś wywyższonego ponad innych dzięki jego przymiotom, dyranę pośród zwykłych ryb. Czasami jednak dostrzegała w nim samotnego człowieka, który nie miał sobie równych, lecz nie miał też przyjaciół. Myślała wtedy, że jej serce się ku niemu wyrzywa, a gdyby poprosił ją, by przysłała, chybaby się zgodziła.

Wtedy jednak przypominało jej się ciało brata owinięte w całun. I to, że Mata nie rozpoznał jego imienia.

Śniło jej się, że Mado znówu żyje i pyta: „Siostró, czy generał Zyndu naprawił świat?”. Starła się unikać odpowiedzi na to pytanie, próbowała uciec przed faktem, że świat pozostawał w stanie wojny, że Mata nie poprawił warunków życia mieszkańców Tunoi i że nie pamięta Mado. W końcu jednak oczywiście musiała mu wszystko powiedzieć, a wtedy na jego twarzy pojawiało się rozczarowanie. Obudziła się z sercem tak ciężkim od bólu i smutku, że odbierało jej dech.

Tymczasem dotarła na koniec rzędu straganów i westchnęła, myśląc, że przejdzie teraz na drugą stronę ulicy i zacznie przeglądać bez celu kolejne towary.

– Pani Miro, proszę na słówko. – Mira odwróciła się i jej oczom ukazał się uśmiechnięty żebrak w białej pelerynie. – Dawno cię nie widziałem.

Cofnęła się o krok.

– Co ty tu robisz?

Nie poruszył się.

– Mam coś dla ciebie.

– Nie chcę tego.

– Obserwują nas strażnicy Maty – powiedział żebrak. – Jeśli zbliżę się do ciebie, uznają to za zagrożenie i może nigdy już nie będę miał szansy cię spotkać. Proszę, podejdź bliżej, zrób to ze względu na Mado.

Kiedy wspomniał o jej bracie, Mira nieco złagodniała. Zrobiła krok w stronę żebraka, a on podał jej małe zawiniątko.

– Co to?

– To Cierń Crubena. Mata niegdyś omal nie zginął raniony właśnie nim. Chciałbym, żebyś osiągnęła sukces tam, gdzie pierwszy właściciel zawiódł.

Mira omal nie upuściła zawiniątka.

– Odsuń się ode mnie.

– Mata jest zbyt dobrym wojownikiem, żeby zginąć na polu bitwy – rzekł żebrak. – I dlatego musi zostać raniony bronią, której się nie spodziewa. Proszę cię, żebyś się zastanowiła nad tym nie dlatego, że tysiące ludzi straciły życie w jego niepotrzebnych wojnach i tysiące kolejnych również zginą, jeśli Mata nie zostanie powstrzymany. Proszę cię, byś przez wzgląd na swojego brata zastanowiła się, czy Mata jest tym człowiekiem, którego zdawał się widzieć w nim Mado.

– Jak śmiesz plamić pamięć o moim bracie, spiskując przeciwko temu, dla którego poświęcił życie?

Żebrak roześmiał się.

– Twoja odpowiedź daje mi nadzieję, ponieważ nie wygłosiłaś tyrady o przymiotach hegemonia, lecz zwróciłaś się ku pamięci o bracie. Twoje serce nie należy do Maty, nawet jeśli wszyscy myślą inaczej.

– Jeśli nie odejdziesz natychmiast, zacznę wołać o pomoc.

Żebrak cofnął się o krok.

– Spokojnie. Pozwól staruszkowi powiedzieć jeszcze tylko kilka słów. Zawsze uważałem twojego brata za męznego człowieka. Bał się, a mimo to walczył. Ryzykował życie bez obietnicy chwały i bez arogancji starego, wysokiego rodu. Myślał, że walczy o lepszy świat, a nie taki, w którym jeden tyran zastępuje drugiego. Przypomnij sobie swój

sen. Och, tak, znam twoje sny, nawet jeśli nikomu ich nie zdradziłaś. Zastanów się, co bardziej godzi w pamięć po Mado: śmierć Maty czy jego wygodne życie na tronie zbudowanym z kości twojego brata i jemu podobnych. Zobacz go takim, jakim jest naprawdę, Miro. Tylko o to cię proszę. – To rzekłszy, żebrak odwrócił się i zniknął w tłumie, zostawiając Mirę samą z zawiniątkiem w ręku. Czuła przez materiał szorstką rękoność i ostrze przypominające cierń. „Jedni chcą, bym za niego wyszła, inni, bym go zabiła – pomyślała. – Wszyscy myślą, że mogą mnie wykorzystać. W ich oczach moją jedyną wartością jest bliskość Maty. Ale ja nawet nie wiem, kim on jest. Jak mam zdecydować, czego chcę?”



Mata poprowadził swoich strażników do domu Jii, mieszczącego się tuż za granicami Çaruzy. Zamierzał zemścić się za ten akt buntu i zdradę bezwzględnego Kuniego, którego ambicji nie potrafił poskromić nawet strach o rodzinę. Jia i dzieci zapłacą za grzechy Kuniego.

Jednak w progu domu stanęła kobieta w średnim wieku i nie chciała wpuścić strażników do środka. Pokazała im spinkę w kształcie chryzantemy z godła rodu Zyndu i zażądała rozmowy z Matą. Jako że spinka była wyraźnie stara i cenna, strażnicy nie usunęli kobiety siłą z drogi, tylko wrócili do hegemonu.

Mata podszedł do wariatki.

– Rozpoznajesz mnie, Mato?

Mata Zyndu przyjrzał się jej dokładnie. W pomarszczonej twarzy kobiety dostrzegł cień podobieństwa do Phina i siebie samego.

– Jestem twoją ciotką. Nazywam się Soto Zyndu.

Mata krzyknął z radości i rozłożył ręce, żeby objąć ciotkę. Od czasu śmierci Phina dręczyły go koszmary, w których wuj ganił go za to, że nie przywrócił rodowi Zyndu należnej mu chwały. Został ostatnim z klanu, samotny i pełen wyrzutów sumienia. Nagłe pojawienie się ciotki wydawało mu się znakiem od bogów, drugą szansą na wypełnienie woli rodu.

Jednak ona go odepchnęła.

– Zbyt wiele było już śmierci, Mata. Rządzi tobą urażona duma. Całe życie wyznawałeś pewne ideały na temat lojalności, honoru i sprawiedliwych nagród. Kiedy jednak świat nie okazał się tak czarno-biały, jak sobie tego życzyłeś, postanowiłeś go zmienić. Na swój sposób jesteś jak cesarz Mapidéré. Obaj, stanąwszy na wyboistej drodze, postanowiliście, że należy wybrukować ogród.

Mata Zyndu był zdumiony.

– A co to za porównanie? Zapomniałaś już historię swojej rodziny?

Soto stanowczo pokręciła głową.

– To ty ją źle zrozumiałeś. Myślałeś, że skoro dziesięciolecia temu Gotha Tonyeti kazał spalić żywcem dwadzieścia tysięcy cocruskich żołnierzy pod dowództwem twojego dziadka, ty musisz utopić tyle samo Xańczyków, którzy jeszcze się nawet nie urodzili w czasie, gdy dokonano tamtej potworności...

– Musiałem uspokoić rozgniewanego boga...

– Wymówki! Myślisz, że twój dziadek nigdy nie zabił niewinnego człowieka? Myślisz, że twój ojciec walczył tylko w szlachetnych wojnach? Chcesz patrzeć, jak za dwadzieścia kolejnych lat twój postępek zostanie powtórzony na cocruskich chłopcach? Rozlew krwi zawsze pociąga za sobą kolejny...

– Swoimi ostrymi słowami psujesz radość naszego spotkania! Jak udało ci się przeżyć?

– Kiedy umarł dziadek Dazu, zamknęłam drzwi do naszego domu na wsi i podpaliłam, żebym mogła dołączyć do niego w zaświatach. Jednak bogowie mieli dla mnie inne plany i obudziłam się po wszystkim w miejscu ochronionym przez powalone kamienne dźwigary i kolumny. Przez wiele lat żyłam w ukryciu, próbując choć w małym stopniu zadośćuczynić grzechom, jakie popełnił ród Zyndu. Przyszłam służyć tej rodzinie ze względu na dobre serca gospodarzy. Chciałam się przekonać, czy wielcy przywódcy mogą obrać inną drogę. Kiedyś nazywałeś Kuniego swoim bratem, lecz teraz jesteś gotowy skrzywdzić jego żonę i dzieci. Ambicja uczyniła cię szaleńcem. Zakończ to, Mato. Połóż temu kres.

– Kuni Garu zabijał tak samo jak ja – powiedział Mata Zyndu, a w jego głosie brzmiał po równo żal i gniew. – Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby przywrócić porządek świata i chwałę naszej rodzinie. Kuni jest nikczemnym gryzoniem, który kradnie okruchy ze stołu. Nie jest wart twojej ochrony. Wróc ze mną do pałacu i znów żyj w dostatku.

Soto pokręciła głową.

– Jeśli w akcie zemsty skrzywdzisz kobietę i jej dzieci, żadne zasługi nie zmażą tej plamy na twoim honorze. Nie pozwolę ci zbecześcić rodu Zyndów w ten sposób. Po moim trupie.

Soto ostrożnie zamknęła mu drzwi przed nosem. Mata mógłby je roztrzaskać gołymi rękami, lecz tylko stał dłuższą chwilę, zupełnie bez ruchu.

Wspominał swoje dzieciństwo z Phinem i jego opowieści o heroicznym czynach ich przodków. Pomyślał o księżniczce Kikomi i śmierci wuja. Pomyślał o radosnych przyjęciach z Kunim i jego przyjaciółmi. Pomyślał o Mirze i Mado.

Wreszcie odwrócił się i skierował wzrok za plażę, za ciemne morze, ku niedostrzegalnym stąd wyspom Tunoi, skrytym przez fale. Westchnął i wycofał się razem ze strażnikami.



– Pani Soto, przyjdiesz napić się herbaty z panią Jią? – zapytał Otho Krin.

Odkąd zdradziła swoją prawdziwą tożsamość, Jia nie pozwalała jej dłużej traktować jak służącej. Soto próbowała zignorować Jię i nadal pracować w domu, lecz pozostali służący odnosili się do niej jak do wielkiej damy i Soto musiała uznać swoją porażkę. Mieszkała teraz u Jii jako jej gość i towarzyszka.

Soto ruszyła korytarzem za Otho. Dzieci właśnie drzemały, a na zewnątrz powietrze było przyjemne, wypełnione słodkim zapachem kwiatów śliwy. Na całym podwórzu słychać było bzyczenie pracowitych pszczół.

Otho przyniósł tacę z herbatą. Klęknął, postawił ją na stole, delikatnie dotknął ramienia Jii i wyszeptał jej coś do ucha. Jia na chwilę położyła dłoń na jego dłoni. Otho wstał,

uśmiechnął się i z szacunkiem wycofał, zostawiając kobiety same.

– Soto, czy Mata odpowiedział na twoją prośbę o pozwolenie mi na odwiedziny u rodziców i teściów?

– Jeszcze nie. W tej chwili jest zajęty wojnami, jakie wybuchły między królestwami Tiro.

– Możemy się jednak domyślać, jaką da odpowiedź. Mądrym posunięciem będzie przetrzymywanie mnie i dzieci jako więźniów, by coś na tym ugrać.

Soto upiła łyk herbaty.

– Prawda. Chociaż warto było spróbować. Zaczynasz być równie pomysłowa co twój mąż.

Jia się roześmiała.

– Niczego nie mogę przed tobą ukryć. Wydawało mi się, że może uda mi się łatwiej skontaktować z większą liczbą zwolenników Kuniego w Zudi, gdyby pozwolono mi wyruszyć w podróż.

– Miałabyś większe szanse, gdyby udało ci się namówić rodziców albo teściów, by udawali jakąś chorobę albo śmierć w rodzinie... Mata szanuje stare tradycje i zapewne pozwoliłby ci wyjechać na pogrzeb. Jeśli chcesz w przyszłości odnosić sukcesy w polityce, będziesz musiała dokładniej planować swoje ruchy.

Jia zarumieniła się. Soto miała cięty język i oko do szczegółów, jednak Jia właściwie uważała ją za pokrewną duszę. W końcu porzuciła życie córki bogatego kupca, żeby wyjść za człowieka, przed którym nie rysowała się żadna przyszłość, zaś Soto zrezygnowała z rodowej chwały, by zostać czyjąś gospodynią. Obie wiedziały co nieco o adaptowaniu się do różnych sytuacji. Krytyka Soto miała być pomocna. W końcu Jia postanowiła brać czynny udział w polityce, prawda? W takim razie musiała się do tej roli należycie przygotować, czy będzie to przyjemne, czy nie.

Soto uratowała życie jej i dzieciom, a Jia była za to wdzięczna. Jednak skrywała też wiele tajemnic. Dzisiaj Jia postanowiła je zbadać.

– Nie chciałabyś czasem – zagadnęła – żeby to Mata wygrał, a nie Kuni? W końcu to członek twojej rodziny.

– Nie wiem, co dokładnie oznacza wygranie na wojnie, pani Jia. Co by się nie wydarzyło, wielu ludzi będzie cierpieć. Wydaje mi się jednak, że Kuni będzie łagodniej rządził niż Mata.

– To wszystko? Nie chciałabyś nic dla siebie?

Soto odstawiła herbatę.

– Mów wprost, Jio.

– Zdradziłaś Kuniemu swoją tożsamość przed jego odejściem, prawda?

Soto popatrzyła na nią, zupełnie zdumiona.

– Kuni lubi ryzykować, ale nie jest beztroski i nie naraziłby mnie i dzieci, dokonując inwazji na Rui, o ile nie miałby pewności, że jesteśmy bezpieczni. Musiał wcześniej wiedzieć, kim jesteś. Dobiłaś z nim jakiegoś targu? Mata nie lubi, gdy kobiety mieszają się w politykę, lecz Kuni jest znacznie bardziej elastyczny.

Soto zachichotała.

– Widzę, że próbowałam dawać rady komuś, kto jest wyczulony na niuanse. Masz rację

w tym, że zdradziłam Kuniemu swoją tożsamość przed jego wyjazdem, żeby nie bał się wykonać zdecydowanego ruchu, kiedy nadejdzie czas.

– A przede mną udawałaś, ponieważ nie byłaś pewna, czy będę w stanie nadal grać zakładniczkę. Gdybym nabrała zbyt dużej pewności siebie w swoich kontaktach z hegemonem, mógłby podejrzewać, że już się go nie boję. Tym samym pozbawiłabym Kuniego przykrywki, jaką dawała mu iluzja, że jestem skazana na łaskę Maty.

Soto kiwnęła głową.

– Wybacz mi to oszustwo. Zawsze miałam nadzieję, że nabierzesz sił, lecz nie byłam pewna, czy jesteś gotowa. Zapewniam cię jednak, że nie zamierzam pociągać za sznurki ukryta za tronem Kuniego. To, co powiedziałam Macie, było prawdą: uważam, że należy skończyć z zabijaniem, i prędzej osiągnie to Kuni niż Mata.

– Jak Kuni cię do siebie przekonał?

– Ty mnie do niego przekonałaś. A gdy tu przebywał, jego słowa i czyny potwierdziły, że jest wart mojej lojalności.

– Nie podejrzewałaś nas o udawanie? Wielcy możni często są dobrymi aktorami, tak jak w historyjkach, które opowiadasz dzieciom.

Soto zastanowiła się nad tym.

– Jeśli to maska, jest bardzo dobra. Jak możesz w istocie poznać czyjeś serce? Ty i twój mąż jesteście urodzonymi aktorami, jeśli jednak gracie, graliście także przed służbą, przed ludźmi pozbawionymi władzy, najniżej urodzonymi. Czasami nie ma istotnej różnicy między rolą a prawdą.

Jia popatrzyła na nią.

– Dość już tajemnic, pani Soto. Chcę mieć przynajmniej jedną prawdziwą przyjaciółkę w pałacu. Jak mówiłaś, muszę wiele się nauczyć o polityce, a tej w przyszłości będzie dużo więcej.

Soto pokiwała głową, a potem dopiły z Jią herbatę, rozmawiając o nieistotnych sprawach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

CRUBEN W GŁĘBI MORZA

ÇARUZA: PIERWSZY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU
PRYNCYPATU

Wyrzucając wszystko, co stanowiło zbędny balast – broje, broń, dodatkowe racje i wodę, nawet materace w kwaterach sypialnych dla załogi – marszałek Mazoti przerobiła kilka ukradzionych z góry Kiji sterowców w prawdziwe demony prędkości. Zgodnie z wizją jej i Risany w środku znalazła się w pełni kobieca załoga.

Nic nie mogło dorównać szybkości i zwrotności sterowców Dasu, więc z łatwością wyminęły sterowce hegemonia i przeleciały nad wyspami Dary; ich ciężsi prześladowcy byli wolniejsi i nie mogli zbyt długo pozostawać w powietrzu.

Kiedy sterowce leciały nad miastami, załoga zrzucała z pokładu ulotki, w których wyliczano Macie Zyndu jego grzechy: masakrę mieszkańców Dimu, zamordowanie więźniów z Wilczej Łapy, zniszczenie Pan mimo kapitulacji i złożenia broni, zdradę i odebranie zasłużonych nagród przywódcom rebelii, przejęcie tronu Cocru, morderstwo króla Thufiego...

Przemądrzały ton, drastyczny język, mylące ilustracje – to wszystko sprawiało Kuniemu problem, gdy Cogo pierwszy raz pokazał mu ulotki.

– Oskarżenia może i są słuszne, lecz dlaczego próbujemy przedstawić je jak historie szeptane w herbaciarniach?

– Panie – odparł Cogo. – Tylko w ten sposób zainteresujemy zwyczajnych ludzi.

– Wiem o tym. Tylko wydaje mi się, że trochę... przesadziliśmy. Też dokonaliśmy kilku rzeczy, z których nie jesteśmy dumni, a i w przyszłości możemy mieć sporo na sumieniu. Jeśli potępimy Matę, ludzie uznają nas za hipokrytów.

– Hipokryzją martwią się tylko ludzie nieszlachetni – oznajmił Rin Coda.

Kuniego to nie przekonało, lecz zawsze słuchał porad swoich przyjaciół. Niechętnie pokiwał głową.



Torulu Pering, który miał znaczne doświadczenie w walce przeciwko sterowcom, obmyślił plan. Kiedy jeden ze statków powietrznych Dasu zbliżał się do Çaruzy, nakazał cocruskim sterowcom przygotować zasadzkę. Wystartowały w ostatniej minucie, by podlecieć do przeciwników od wschodu. Dzięki temu mogły wykorzystać wschodzące słońce, które tymczasowo miało oślepić pilotów z Dasu. Gdy wróg wreszcie zda sobie sprawę z niebezpieczeństwa, cocruskie sterowce znajdą się już zbyt blisko. Będzie musiało dojść do walki, a sterowce Dasu, słabo uzbrojone i mniej liczne, nie będą miały szans.

Był jednak środek zimy i kiedy już sterowce miały wypuścić naręcze płonących strzał, z nieba spadły ciężkie, lodowato zimne krople deszczu. Pokład pokrył się grubą warstwą lodu, którego ciężar powoli ściągnął sterowiec w dół. Statek powietrzny Dasu został zmuszony do lądowania, nawet jeśli nie został zniszczony.

Luan Zya, który obserwował zmiany pogody na wyspach Dary w czasie swoich licznych podróży, był na to przygotowany. Doradził Gin, żeby zaopatrzyła załogę w długie tyczki, którymi kobiety będą mogły zerwać lodowe płyty. Dzięki temu sterowiec Dasu podniósł się, bez szwanku, a potem zrzucił grube pliki pamfletów na stolicę Cocru.



– Rapo, moja druga połowo, naprawdę zamierzasz teraz działać przeciwko synowi cocruskiej ziemi?

– Kuni też jest synem Cocru; podobnie jak Thufi i niezliczone rzesze innych, którzy zginęli. Wybrałaś swojego ulubieńca, więc pozwól wybrać i mnie.

– Nie spodziewałam się, że doczekamy dnia, w którym pośród bogów siostra wystąpi przeciwko siostrze.

– Przykro mi, Kano, jednak nasze serca są tak samo porywcze i różne jak u śmiertelników.



Mata czytał pamflet i z każdą liniijką stawał się coraz bardziej wściekły. „Kłamstwa, to wszystko kłamstwa”. Przecież kiedy zabijał, zabijał tylko tchórzy, zdrajców i wrogów. Zawsze był wielkoduszny i szczodry dla prawdziwych przyjaciół.

Kuni Garu był zdrajcą, który mimo parszywych sztuczek i otaczania się bandą chuliganów pysznił się i paradował przed tłuszcą jak święty. Tymczasem nawet własna ciotka Maty traktowała go jak jakiegoś tyrana. Na tym świecie nie istniała sprawiedliwość.

Jego własny pokój zdał mu się więzieniem. Mata wyszedł na podwórze, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Dostrzegł tam Mirę, siedzącą w cieniu drzewa oliwnego i zajęętą wyszywaniem. Znajdujące się nad jej głową kępki bladożółtych kwiatów rosnące na wiecznie zielonych gałęziach wydzielały słodki, gryzący zapach. Mata podszedł bliżej, żeby zobaczyć, nad czym pracuje Mira.

Okazało się, że nad jego podobizną. Haft był doskonały. Mira skorzystała tylko z czarnych nitek, dzięki czemu uzyskała efekt jak na obrazie malowanym atramentem.

Nie oddała wiernie jego twarzy czy ciała. Matę reprezentował grubo ciosany diament o wydłużonej sylwetce, z głową w postaci owalu z dwiema trójkątnymi łatkami zamiast oczu. A jednak w tych poszarpanych liniach i odważnych wzorach geometrycznych Mira zdołała uchwycić wizerunek Maty Zyndu w locie, przytroczonego do latawca i dzierżącego miecz. Podobizna ta nie oddalała się przesadnie od natury – operując miękkimi zaokrągleniami i światłocieniami – jednak jednocześnie zdawała się jej wypierać, jakby

pokazywała szkielet znajdujący się pod miękkimi tkankami świata. Przedstawiony na hacie Mata Zyndu był samym duchem i energią.

– Wspaniałe – powiedział, chwilowo zapominając o swoim gniewie.

– Zrobiłam takich już wiele – odparła – jednak żaden nie wydaje mi się właściwy. Nie potrafię do końca cię przedstawić.

Mata Zyndu usiadł. W towarzystwie Miry czuł się spokojny, jak chłodna bryza wczesną jesienią. Nigdy nie rozmawiała z nim o sprawach wagi państwowej, nigdy nie przymilała się, by zdobyć jego poparcie dla tej czy innej sprawy. Kiedy za czymś tęskniła, były to rzeczy proste: dom, kwiat zapamiętany z dawna, śpiew ptaków nad ranem.

Żałował, że innych nie można zadowolić tak łatwo.

– Jak to jest? – zapytał dla zabicia czasu. – Wyszywać takie wzory? Wydają się wymagać wiele pracy. I są takie... misterne.

Mira nie przerywała haftowania, nie uniosła wzroku.

– Sądzę, że nie jest to znowu tak różne od tego, czym sam się zajmujesz.

Mata Zyndu roześmiał się.

– Jestem hegemonem całej Dary. Kiedy tupnę nogą, tysiące ludzi drżą. Porównywanie tego do twoich bezmyślnych kobiecych zajęć jest jak porównywanie życia crubena w oceanie do życia mrówki. – Kiedy mówił, położył obutą stopę na mrówce i zgniół ją, tak że została tylko plamka.

Mira spojrzała na mrówkę, a potem na Matę. Coś zdawało się w niej zmieniać, przestawiać. Kiedy znowu się odezwała, jej ton był inny.

– Kiedy prowadzisz armię na pole bitwy, tworzysz w głowie obraz. Ja podnoszę igłę, ty miecz. Ja rysuję nicią, ty ludzkimi ciałami. Ja zostawiam za sobą postać na kawałku materiału, ty zostawiasz nowy układ władzy na świecie. Ostatecznie twoje dzieło powstaje na większym płótnie, jednak nie wydaje mi się, byśmy czerpali z naszej pracy różną satysfakcję.

Mata nie potrafił nic na to odpowiedzieć. Słowa Miry wzbudziły w nim gniew, a jednak nie potrafił wskazać jego dokładnej przyczyny. Łatwo byłoby ją zignorować jako kobietę, która nie pojmuje powagi jego misji, lecz uparcie próbował ją jej przedstawić. Zawsze potrafił ją uszczęśliwić, prawda?

– To niemądre porównywać twoje uczucia do moich. Ja zmieniam życie każdego mieszkańca tych wysp, ty zaś przebywasz w małym, ciasnym kręgu kobiecych spraw.

– To prawda – odparła Mira. – A jednak w oczach bogów oboje jesteśmy niewiele więksi od mrówek. Poza tym ja mogę się pocieszać, że moje zajęcie nie powoduje niczyjej śmierci ani cierpienia; kiedy umrę, nikt nie podskoczy z radości. I pamiętam imiona oraz twarze wszystkich, którzy dla mnie coś znaczą.

Mata wstał i podniósł rękę. Gdyby użył całej swojej siły, mógłby odebrać Mirze życie w jednej chwili.

Na polu bitwy wiele razy znajdował się w tej pozycji, gotowy do zadania wrogowi ostatecznego ciosu Na-aroénną albo Goremawem. Zawsze dostrzegał coś w oczach przeciwnika: rozpacz, przerażenie, sprzeciw, niedowierzanie. Jednak Mira patrzyła na niego z niezmaconym spokojem; jej spojrzenie nie niosło nawet cienia strachu.

– Chcę cię zrozumieć, Mata. Myślę jednak, że ty sam siebie nie rozumiesz.

Opuścił rękę, wstał i odszedł.

PLAŻA LUTHO: TRZECI MIESIĄC CZWARTEGO ROKU PRYNCYPATU

Królestwa tiryjskie, stare i nowe, rzuciły się na siebie jak dzieci, a arystokraci obudzili się w świecie pełnym świeżo powołanych szlacheckich rodów.

Królowie siedzieli niespokojnie na swoich tronach. Przecież Zyndu odesłał króla Thufiego i zabrał koronę Cocru dla siebie, ponieważ miał lojalność armii. Tym samym stworzył precedens, który kusił pozostałych generałów i przerażał królów.

Mata nie próbował temu przeciwdziałać i w kilku miejscach dokonano zamachu stanu, a ambitni generałowie zajęli miejsca niedawnych władców. Czasami te zmiany zachodziły bezkrwawo.

Cocruskie statki krążyły wokół Rui i Dasu, blokując wyspy niczym pływająca ściana z drewna. Garstka okrętów Dasu kryła się w portach. Kuni Garu nie wykonywał żadnych ruchów, żeby zbudować flotę i wyzwąć hegemonia na pojedynek. Z kolei inwazja z powietrza byłaby niepraktyczna, zwyczajnie dlatego, że sterowce nie mogły zbyt wiele unieść.

Brak aktywności Kuniego po zrzuceniu pamfletów przyczynił się do powstania plotek, że może jego ambicje ograniczały się do zamiany celi więziennej na nieco większą, w której mógłby rozprostować nogi. Z czasem dyscyplina w cocruskich szeregach nieco się rozluźniła. Marynarze podczas nieustannych patroli spędzali czas na grze w karty i łowieniu ryb, żeby wprowadzić nieco różnorodności do swej monotonnej diety, opartej głównie na starych sucharach. Czasami widywali wielkie grzbiety crubenów przepływających pod kadłubami statków między Rui a Wielką Wyspą. Widok crubena był szczęśliwym znakiem, więc większość się cieszyła. Może bogowie pokazywali w ten sposób, że Mata Zyndu jest ich faworytem, a żołnierze niedługo będą mogli wrócić do domu?



Na wyludnionym fragmencie plaży Lutho w samym środku nocy na ląd wypłynęło stado crubenów.

Jeden, drugi, trzeci... dziesięć crubenów przebiło swoimi rogami morskie bałwany i zaległo na piasku, gdzie musiały oczekiwać naprawdę wysokiej fali, która pozwoliłaby im wrócić do morza. Odgłos, jaki się wówczas rozległ, był dziwnie metaliczny i przywodził na myśl nie poruszające się zwierzęta, lecz brzęk broni sunącej po kamiennej podłodze.

Nagle crubeny ziewnęły, rozdziawiając paszcze. Ich szczęki nie zatrzymały się jednak, dopóki połowa głowy każdego zwierzęcia nie odsunęła się tak mocno do tyłu, że aż zetknęła się z grzbietem.

Z głębi ciała pokrytego łuskami wymaszerowały setki ludzi. Żołnierze chowający się wewnątrz mechanicznych crubenów nosili mundury Dasu. Już od wielu dni płynęli podwodnymi łodziami i teraz z ulgą odetchnęli świeżym, słonym powietrzem.

Potem szybko wtopili się w mroki nocy, by dołączyć do swoich towarzyszy, którzy zbudowali tymczasowe baraki w znajdujących się nieopodal jaskiniach. Puste łodzie zamknęły paszcze i poczekały na wyższą falę, a potem wróciły do morza i na wyspę Rui, skąd miały zabrać kolejnych pasażerów.

Gdyby ktoś spojrział na niesione przez nich flagi, mógłby zauważyć pewną drobną zmianę: wieloryb na czerwonym tle został pokryty czarno-niebieskimi łuskami, a na jego czole wyrósł róg. Godłem Dasu stał się teraz cruben wypływający z morza krwi.

Mechaniczne crubeny – „podwodne łodzie” – stanowiły największą dumę zarówno Luana Zyi, jak i Gin Mazoti. Kiedy próbowali znaleźć sposób na ominięcie blokującej łąd floty, żeby dokonać inwazji na Wielką Wyspę, Gin zażartowała sobie, że Kuni mógłby znowu wezwać crubeny, tak jak w czasie legendarnej wyprawy do Pan.

W oczach Luana pojawił się błysk.

– Nie musimy wzywać crubenów. Możemy je sami skonstruować.

Złapał Gin za rękę, a ona mu na to pozwoliła, ciesząc się ciepłem jego dotyku.

Podczas budowy łodzi, która mogłaby pływać pod wodą, należało zastosować rozwiązania pozwalające sterowcom unosić się w powietrzu i zaadaptować je do znacznie gęstszego medium. Luanowi podobało się to wyzwanie.

Łodzie zbudowano w tajemnicy, w nadmorskich jaskiniach na Rui, z dala od wzroku szpiegów Zyndu. Z cienkiej, lecz wytrzymałej stali wykuto pierścienie, którymi następnie otoczono deski z twardego popiołu – tak jak podczas robienia beczki z miedzi i drewna. Następnie te sztywne sekcje połączono krótkimi łańcuchami, żeby ciało crubena nadać elastyczność żywego zwierzęcia. Aby zapewnić konstrukcji szczelność, obito ją rekinami i wielorybimi skórąmi. Z przodu zamontowano naostrzony bukszpryt z twardego drewna, który imitował róg crubena.

Dzięki zbiornikom pławnym na dnie łódź mogła się unosić lub opadać, w zależności od tego, czy napełniło się je wodą, czy powietrzem wdmuchiwanym przez miechy. We wnętrzu znajdowało się mnóstwo miejsca dla załogi oraz transportowanych żołnierzy i towarów. Oczy, zrobione z grubych kryształów, pozwalały wyglądać na zewnątrz. Inne, mniejsze okienka wykonano po bokach, żeby doświetlić wnętrze.

Ponieważ potencjalny wróg najprawdopodobniej miał oglądać łódź od góry, grzbiet musiał jak najdokładniej przypominać grzbiet prawdziwego crubena. Artystki z oddziałów posiłkowych armii Dasu namalowały łuski na gładkich skórach, a ich praca była tak szczegółowa, że spoglądający ze statku albo sterowca obserwator nie potrafiłby odróżnić sztucznych łusek od prawdziwych.

Kiedy podstawowy plan łodzi był już gotowy, należało rozwiązać jeszcze trzy bardzo poważne problemy.

Pierwszy wiązał się z tym, że woda, w przeciwieństwie do powietrza, wywierała ogromne ciśnienie. Jak bardzo nie próbowaliby uszczelnić łodzi, przeciekały jak szalone i zapadłyby się, gdyby zanurzyły się zbyt głęboko. Ten problem nie przekreślał całego projektu, ponieważ mechaniczne crubeny musiały tylko przepłynąć pod statkami tworzącymi blokadę i schować się przed sterowcami. Przez większość czasu mogłyby płynąć blisko powierzchni, nurkując głębiej tylko w razie potrzeby.

Druga sprawa dotyczyła oddychania ludzi znajdujących się na pokładzie. Gin, doskonała

pływaczka i nurek, przekonała się, że niektórzy młodzi mężczyźni w Dasu, żeby obserwować piękne rozgwiazdy i koralowce w płytkich lagunach, pływali z głowami pod wodą, oddychając przez trzymane w ustach słomki, których drugi koniec znajdował się nad powierzchnią. Bazując na tym pomysle oraz na naturalnym zachowaniu crubenów, Gin zaprojektowała tubę do oddychania. Jeden jej koniec znajdował się wewnątrz łodzi, a drugi, przytwierdzony do pływającej boi, mógł wystawać ponad powierzchnię wody. Następnie miechy mogły wypompowywać wodę z tuby, żeby wpuścić powietrze, a będący rezultatem wytrysk wody wyglądał zupełnie jak ten u żywego crubena.

Trzecim poważnym problemem był napęd i rozwiązanie tej kwestii okazało się znacznie trudniejsze. Luan z początku chciał, by załoga znajdująca się w środku łodzi poruszała ogonem jak gigantycznym wiosłem, naśladując w ten sposób naturę. Jednak okazało się to zbyt męczące i niepraktyczne w przypadku podróży z Rui na Wielką Wyspę.

Wtedy Luan przypomniał sobie jednego z ekscentrycznych wynalazców Cogo, który zaprezentował maszynę zdolną poruszać koło za pomocą pary tworzącej się z wody pod wpływem gorąca wulkanu. W czasie swoich podróży po wyspach Luan dowiedział się, że na dnie morza między Rui a Wielką Wyspą znajdują się podwodne wulkany, których szczyty sięgają blisko powierzchni wody. Skały je tworzące były nagrzane do czerwoności. Luan i Gin wyszkolili załogę mechanicznych crubenów, by unosiły się nad tymi wulkanami i zebrały metalowymi ramionami rozgrzane węgle do specjalnych zbiorników mieszczących się pod łodziami.

Dzięki tym kamieniom woda w zbiornikach zaczynała wrzeć, a para uciekała przez system rur i poruszała kolejnymi tłokami, przekładniami i korbami połączonymi z ogonem crubena i bocznymi płetwami. Inżynierowie wewnątrz mechanicznego zwierzęcia zbierali tyle rozgrzanych kamieni, ile potrzeba było, żeby dotrzeć do następnego wulkanicznego komina. W ten sposób, wznosząc się po świeże powietrze i nurkując po gorące skały, flota podwodnych łodzi płynęła przez morze jak stado prawdziwych crubenów. Dopóki maszyny trzymały się drogi wyznaczonej przez podwodne wulkany, mogły płynąć przez długie dni.

Powoli i w tajemnicy przed cocruskimi żołnierzami mechaniczna flota przetransportowała armię Dasu na Wielką Wyspę.



Kiedy ostatnie oddziały bezpiecznie dotarły na plażę Lutho, Gin Mazoti wydała rozkaz.

Marynarze w bocianich gniazdach na statkach z Północnej Géfiki, Haanu i podbitej Rui znowu zobaczyli przepływające pod nimi crubeny. Załoga wychylała się przez burzę, żeby spojrzeć na niesamowite zwierzęta. Jednak crubeny zwolniły i znalazły się bezpośrednio pod kadłubami statków, zaczęły się podnosić.

Kapitanowie wykrzykiwali rozkazy pośpiesznej ucieczki, lecz było już za późno. Przy akompaniamencie głośnego trzasku i pełnych zaskoczenia wrzasków marynarzy mechaniczne crubeny wypłynęły na powierzchnię. Ich ogromne rogi wybiły dziury w kadłubach, połamały kile. Okręty ze spanikowaną załogą wpadały na siebie nawzajem, blokując wiosła, zaś łodzie podwodne zanurkowały i znowu wypłynęły, siejąc jeszcze większe spustoszenie.

Flota opływająca Rui została zniszczona w ciągu kilku godzin, a na powierzchni morza unosili się nieliczni rozbitkowie, trzymający się resztek wraków.

Dasu rządziło morzem z głębi wody.



Ginpen upadło zupełnie bezkrwawo. Król Cosugi na widok wystawionych do walki dzid i strzał przed murami miasta od razu się poddał. Marszałek Mazoti pozwoliła mu zostać w świeżo wybudowanym pałacu na prawach gościa Dasu.

Gin ogłosiła, że armia Dasu nie będzie nękać haańskiego ludu, i poprosiła wszystkich, by wrócili do swoich zwyczajnych zajęć. Z początku mieszkańcy nie dali wiary jej słowom, wkrótce jednak nabrali odwagi, ponieważ żołnierze Dasu naprawdę zdawali się dotrzymywać obietnicy marszałka.

– Czyli znalazłeś sobie lepszego pana – powiedział Cosugi do Luana, nie kryjąc goryczy. Luan ukłonił mu się.

– Wciąż służę haańskiemu ludowi – odparł.

Flagi z crubenem powiewały na wietrze. Król Kuni powrócił na Wielką Wyspę.

CHMURY PŁYNA PO NIEBIE

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

DASU I COCRU

WILCZA ŁAPA I WIELKA WYSPA: SZÓSTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU PRYNCYPATU

Mata Zyndu powrócił na Wilczą Łapę. Nie chciał tu być, jednak ten stary tchórz, król Dalo, nie dał mu innego wyboru.

Kiedy Mata kazał mu wracać na wyspę, król Dalo pogrążył się w depresji. Całe dni spędzał na oglądaniu aktorów grających sztuki o chwale sprzed wieków i ogromnych bogactwach z przeszłości Ganu, lamentując z powodu upokorzenia, jakiego zaznał za sprawą hegemonia.

Mocri Zati, jeden z jego generałów, nie potrafił spokojnie na to patrzeć. Zachęcony przez przykład, jaki dał sam Mata Zyndu, zmusił króla Dalo do abdykowania i oddania mu pieczęci Ganu. Dalo prawie w ogóle się nie opierał. Ogłosił, że panowanie nie pasowało do jego temperamentu, i zajął się pielęgnowaniem swojej hodowli złotych rybek.

Uznawszy, że Mata jest zajęty sprawiającym coraz większe problemy Kunim Garu, król Mocri natychmiast rozpoczął przygotowania do wojny i rewolty przeciwko hegemonowi. Choć słynął ze swoich zdolności bojowych, w czasie bitwy na Wilczej Łapie był przykuty do łóżka ze względu na chorobę i nie mógł obserwować militarnych zmagania Maty. Zawsze uważał, że opowieści o męstwie hegemonia są przesadzone, a zwycięstwo zawdzięcza on raczej korupcji w szeregach cesarskiego dowództwa niż prawdziwym umiejętnościom.

Aby podnieść morale wśród ludu, Mocri ogłosił, że odzyska terytoria na Wielkiej Wyspie, które Mata zabrał Ganowi. Następnie od razu najechał wyspy Ogé, rządzone przez króla Hoye, byłego gańskiego dowódcę, który dołączył do Maty w ostatniej fazie bitwy na Wilczej Łapie i otrzymał ten niewielki obszar w ramach nagrody. Hoye został szybko pokonany, co nie dziwiło, zważywszy na fakt, że całe jego królestwo miało mniej mieszkańców niż miasto Toaza. Jednak Mocri świętował swoje zwycięstwo, jakby już pobił samego hegemonia, i paradował na ulicach Toazy przez dziesięć dni.

– Mocri to głupiec – powiedział Torulu Pering Macie. – Twoim prawdziwym problemem jest Kuni Garu. Jedź na zachód, hegemonie, i zmiądz go, zanim podburzy przeciwko tobie wszystkie królestwa tiryjskie.

Matę irytowało mieszanie się Peringa w jego sprawy. Kuni może i wylądował na Wielkiej Wyspie, ale zdobył tylko maleńki Haan. Trzy świeżo utworzone królestwa w Géfice były rządzone przez ludzi, którzy swoją pozycję zawdzięczali Macie Zyndu, więc to z pewnością wystarczy, by powstrzymać tchórzliwego Kuniego i jego dziewczynskiego marszałka. Z kolei Mocri był dobrym wojownikiem i stanowił o wiele większe niebezpieczeństwo.

Nie chcąc pozwolić, by jego świat się rozpadł, Mata był zmuszony chwycić miecz

i wsiąść na konia. Nie miał nikogo zaufanego, komu mógłby powierzyć rozprawienie się z Mocrim. Kunim zajmie się później, po spacyfikowaniu wschodu.

Królowie Dary zauważyli, że muszą wybrać stronę. Mogli albo wrócić pod pieczę Maty Zyndu z Cocru, największego wojownika, jakiego widział świat, albo przyłączyć się do Kuniego Garu z Dasu, człowieka, który zdawał się dysponować niewyczerpanymi pokładami szczęścia.

Król Północnej Géfiki, Théca Kimo, walczył u boku Maty od dnia, w którym zabił Huno Krimę. Wszyscy zawsze zakładali, że jest zwolennikiem Maty. Lecz zanim został królem, zanim został generałem, zanim został rebeliantem, był awanturnikiem z Tunoi, kryminalistą parającym się złodziejstwem. Został skazany na roboty za okaleczenie innego mężczyzny. Na twarzy wciąż miał straszliwe tatuaże, które wykonali strażnicy więzienni na mocy cesarskich praw, żeby wszyscy wiedzieli, co ma na sumieniu. Tak jak Mata, Théca był człowiekiem o imponującej tężyznie i doskonale radził sobie w walce. Jednak w przeciwieństwie do Maty nigdy nie uważał się za kogoś służącego wyższemu ideałom.

Kulturę ciemnych zaułków i nocnego życia rozumiał znacznie lepiej niż dyplomatyczne niuanse i dworskie intrygi. W jego oczach życie arystokraty nie różniło się niczym od życia zwykłego rzeźmieszka. Kuni Garu i Mata Zyndu byli jak bossowie dwóch rywalizujących ze sobą gangów, którzy walczyli o kontrolę nad targowiskami w mieście, by pobierać od kupców pieniądze za ochronę. A on sam był zwyczajnie pomniejszym bossem pośrodku. Kierował się dewizą: „Wybierasz silniejszy gang albo przegrywasz”.



Théca przyjechał w tajemnicy do Ginpen, żeby spotkać się z Kunim Garu. Ubrał się prosto i nie wziął ze sobą żadnych strażników. Spotkanie odbyło się w starej, niczym niewyróżniającej się gospodzie.

Kiedy pojawił się o umówionej godzinie, znalazł Kuniego wylegującego się w łóżku z dwiema prostytutkami. Théca uznał to za całkowicie zrozumiałe: właśnie tak sobie wyobrażał wielkiego bossa, który ma wszystko.

Kuni odesłał kobiety. Wydawał się rozproszony.

– Myślę, że Mata Zyndu jest przeszłością, zaś ty, wielki królu Kuni, jesteś przyszłością.

Kuni ziewnął, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

Théca nie wiedział, co o tym myśleć. Przybył dyskutować o potencjalnym sojuszu, jednak Kuni zachowywał się, jakby Théca w ogóle go nie interesował.

Cogo Yelu wszedł do środka i zaprosił Thécę na obiad. Podano mu zimny i nieszczególny posiłek, taki jak wszystkie podawane w gospodzie. Pałeczki były krzywe i byle jak zrobione. Niepokój Théki rósł.

Kuni Garu traktował go w ten sposób, ponieważ razem z marszałek Mazoti już wymyślili sposób na podbicie Północnej Géfiki. Wielki boss znalazł sposób na przejęcie jego terytorium bez zawierania sojuszu. Théce tak jak biednemu Cosudze groziła utrata ziemi i tronu, a może nawet gorzej – życia.

Chłodne przyjęcie Kuniego było ostrzeżeniem.

Théca błagał premiera Yelu, by porozmawiał z królem. Zamiast proponować sojusz

równych sobie partnerów, teraz prosił o pozwolenie na podporządkowanie się Dasu. Był gotowy oddać Północną Géfikę i walczyć w imieniu Dasu w zamian za obietnicę przydzielenia mu nowego terytorium po zakończeniu wojny.

Cogo kiwnął głową i powiedział, że robi, co w jego mocy.

Kiedy Théca ruszył w drogę powrotną, Cogo i Kuni uścisnęli dłonie i roześmiali się.

– Połknął haczyk, linkę i ciężarek! – zawołał Kuni.

– Panie, wielki z ciebie aktor – odparł Cogo.

– Nigdy nie wążp w rzezimieszka z Zudi.

To Cogo wpadł na pomysł, by tak chłodno potraktować Thécę, jednak Kuni dopracował plan w szczegółach, żeby wykorzystać to, co wiedział o przeszłości tego człowieka. Czasami sprytna sztuczka mogła zdziałać więcej niż cała armia.

– Cogo, będę za tobą tęsknił – powiedział Kuni i złapał przyjaciela za rękę, zupełnie jak za dawnych czasów, w Zudi, gdy często pracowali we dwóch do późnej nocy i rechotali nad cwanyimi planami związanymi z zarządzaniem miastem: czymś, co znudziłoby każdego innego.

Cogo Yelu pojechał do Ginpen, żeby pomóc w ustanowieniu władzy okupacyjnej w oparciu o dokumenty, które swego czasu zabrał z Cesarskich Archiwów, teraz jednak musiał wracać do Daye, gdzie miał zadbać o to, by wyspy Dasu i Rui pracowały wydajnie i wspierały działania wojenne na Wielkiej Wyspie.

– Jestem zaszczycony – rzekł Cogo i zamilkł na chwilę, wzruszony łamiącym się głosem Kuniego. – Wiedz, że Mata ma swój miecz i pałkę, lecz ty zawładnąłeś sercami wszystkich swoich ludzi.



Kiedy generałowie przejęli pełną kontrolę nad Północną Géfiką, Mazoti wysłała Théce Kimo – teraz noszącego tytuł księcia Arulugi – rozkaz ataku na króla Ponadomu, uwięzionego na pięknej wyspie pływających miast. Ponadomu był przerażony reakcją hegemonu i odmówił nawet spotkania z posłańcami Kuniego.

Mazoti uznała, że najlepszym sposobem, by zagwarantować entuzjazm i lojalność Théki, będzie wysłanie go na nowe, bezpieczne terytorium; marszałek musiała skupić swoją uwagę na pozostałej części Wielkiej Wyspy.

Królestwa Środkowej i Południowej Géfiki padły w starciu z siłami marszałek Mazoti jak przeżarte przez korniki bale pod ciężką siekierą. Dwóch królów, Noda Mi i Doru Solofi, zaniedbali przygotowania wojskowe, myśląc, że to w Thékę uderzy większa część armii Dasu. Nie mieli innego wyjścia jak uciec na drugi brzeg Liru i szukać schronienia w Cocru.

Kiedy przekroczyli koryto, spalili wszystkie statki, jakie mogli znaleźć w miasteczkach wzdłuż północnego brzegu rzeki, w nadziei, że szerokie, lecz płytkie wody Liru – zbyt płytkie dla mechanicznych crubenów – powstrzymają siły Dasu. Wydali rozkaz, by wszystkie pozostałe statki na rzece pozostały z opuszczonymi kotwicami w miasteczkach i portach wzdłuż południowego brzegu, gdzie będą ich pilnować garnizony. Zostawili flotę okrętów wojennych w Dimu, żeby pomogły przejść kontrolę nad Liru, lecz większość

marynarki – a raczej to, co z niej zostało po atakach mechanicznych crubenów – posłali na patrole wzdłuż zachodniego brzegu Cocru, wyposażając je w sieci do głębokiego zanurzenia, by w ten sposób nie dopuścić do kolejnego ataku z głębin.

Mazoti zatrzymała się w Dimushi, gdzie ujrzała latawce bojowe, balony i sterowce patrolujące rzekę Liru, wypatrujące najmniejszych sygnałów świadczących o tym, że Dasu próbuje przekroczyć rzekę. Próbowwała zbudować tratwy z różnych kawałków drewna – drzwi, belek z porzuconych świątyń, kół wozów, nawet potrzaskanych mebli – jednak patrole ostrzegły Nodę Miego i Doru Solofiego, którzy natychmiast rozkazali, by sterowce zbombardowały place budowy, gdy tylko żołnierze zaczną zbierać drewno. Te kilka małych tratw, które ludziom Mazoti udało się jednak pozbić w sekrecie, okazało się zbyt słabych, żeby oprzeć się prądowi rzeki i rozpadło się jeszcze przed dotarciem na środek koryta.

Gin Mazoti rozkazała sterowcom Dasu udanie się nad Liru i zajęcie się przeciwnikami. Chociaż były szybkie i zwrotne, te cocruskie były lepiej przystosowane do walki. Starcia w powietrzu były zażarte, a wynik niemożliwy do ustalenia.

Mi i Solofi wreszcie odetchnęli z ulgą. Ponieważ marszałek Mazoti nie mogła przetransportować armii na drugi brzeg rzeki, jedni i drudzy przystali na nieokreśloną przerwę w walce.



Mocri był wściekły. Okopał się na Wilczej Łapie i sprawił, że hegemon musiał płacić wysoką cenę za zdobycie każdego skrawka ziemi. Mata lubił krwawe walki z godnym przeciwnikiem, jednak niepokoiły go raporty od posłańców z Cocru.

Bezczelny Kuni połączył siły ze swoim starym przyjacielem, bandytą Pumą Yemu – Mata podejrzewał, że Jia również maczała w tym palce. Raz jeszcze Puma został „markizem Porinu” i poprowadził swoją bandę złodziei, „Jeźdźców Tornado z Dasu”, by napadać konwoje i transporty ziarna. Mata nienawidził stosowanych przez nich praktyk, pozostawał jednak bezsilny do czasu powstrzymania rebelii Mocriego. Podwoił wysiłki i przelał jeszcze więcej krwi.



Pałac w Toazie, który Mata odebrał z rąk Mocriego, został przerobiony na tymczasową kwaterę. Dworzanie szeptali między sobą, jednak nikt nie miał dość odwagi, by zbliżyć się do hegemonu.

Mata zmarszczył czoło.

– O co chodzi?

Jeden z dworzan nieśmiało podniósł rękę i pokazał w stronę kwater kobiet.

Wściekły Mata udał się w tamtą stronę. Jedna z żon Mocriego musiała narobić kłopotów, może rozgłaszała jakieś oszczerstwa. Po zdobyciu pałacu Mata zostawił kwatery kobiet w spokoju, jednak, jak już nieraz miał okazję się przekonać, za uprzejmość często odpłacano czymś zupełnie przeciwnym.

Kiedy kobiety zobaczyły, że się zbliża, pokazały mu, gdzie powinien iść, a potem rozpięzły się jak wystraszone zajęce. Mata sam musiał otworzyć sobie drzwi.

Wreszcie dotarł do jednego z pokoi i stanął w progu.

Mira siedziała przy ścianie i haftowała.

Minęły miesiące od ich ostatniej rozmowy. Dworzanie nie wiedzieli, co mają robić, niepewni, czy straciła jego sympatię. Kiedy pomaszerował z armią na Wilczą Łapę, zostawił Mirę w Çaruzie.

Podniosła na niego wzrok i przyjrzała się jego zdziwionej twarzy. Uśmiechnęła się.

– Widzę, że postanowili nic nie mówić i pozwolić ci się przekonać na własne oczy. Nie byli pewni, czy ucieszysz się na mój widok, więc takie znaleźli sprytne rozwiązanie.

Jej radosny nastrój uspokoił Matę. Zachowywała się, jakby nigdy nie przestali ze sobą rozmawiać.

– Nie stój tak – rzekła. – Zasłaniasz mi światło. Usiądź, proszę. Chciałabym powiedzieć ci kilka rzeczy.

Mata zdał sobie sprawę, że coś się w niej zmieniło. Podjęła jakąś decyzję.

– Odchodzisz ode mnie? – rzucił.

Gdy to powiedział, zrozumiał, że jego pytanie jest absurdalne: dlaczego miałoby go to obchodzić? Mógł przebierać w kobietach, wiele z nich było młodszych i piękniejszych od Miry, a jednak chciał, by to ona darzyła go podziwem i sympatią. By przychodziła do jego łóżka z własnej woli, przeprosiła za swoje zuchwalstwo i ignorancję, a także przyznała, jak wielkim jest człowiekiem i jak wielką pozostawi po sobie spuściznę.

Prawda była taka, że od tamtego dnia, kiedy powiedziała mu, co myśli o jego wspaniałych czynach, nie potrafił patrzeć na nie inaczej niż jej oczami: swoje dokonania postrzegał jako okrutne, niepotrzebne, nieeleganckie i trywialne.

– Nie, skądże.

Przyjął te słowa z ulgą i usiadł na poduszce obok niej.

– Pierwsza rzecz jest o moim bracie – oznajmiła.

Czekał.

– Nawiedzały mnie niegdyś koszmary, w których Mado pytał, czy urzeczywistniłeś swoją wizję.

Twarcz Maty zadrżała.

– Ostatnio jednak przestał mi się śnić. Pomyślałam, że może jego duchowi brakowało energii, więc poprosiłam kupca jadącego do Pan, żeby spalił na jego grobie trochę kadzidła. Wrócił i powiedział mi, że tablica na grobie Mado jest największa spośród wszystkich na cmentarzu, a ty rozkazałeś żołnierzom kłaść tam każdego dnia świeże chryzantemy. Właściwie to samo kazałeś zrobić z grobami każdego z ośmiu setek twoich pierwszych zwolenników z Tunoi. To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

Mata nic nie odpowiedział.

Mira odłożyła obręcz.

– Druga sprawa dotyczy tego. – Wstała i podeszła do małej skrzyni podróżnej, która stała w kącie, i przyniosła zawiniątko.

– Co to?

Nie odpowiedziała.

Rozwinął materiał i popatrzył na kościany sztylet. Już go kiedyś widział – leżał obok martwego ciała jego wuja. Thufi wytłumaczył mu ponurym tonem, że właśnie on posłużył księżniczce Kikomi, kochance Marany, do zabicia Phina.

– Twoi wrogowie chcą, żebym go użyła.

Mata patrzył na nią intensywnie. Nie wiedział, co powinien czuć. Czy zdrada nigdy nie zniknie z jego życia?

– Ja jednak mam dosyć bycia narzędziem w czyichś rękach – rzekła. – Chcę żyć na własny rachunek.

Upuścił sztylet i wyszedł z pokoju na niepewnych nogach.



Mira zajęła się znowu wyszywaniem.

Jej hafty były coraz bardziej abstrakcyjne, bardziej polegały na oddaniu energii i sugestii niż reprezentacji rzeczywistości. Kilka odważnych nitek, ledwie cień zarysu – tak wyglądała postać Maty na tle kilku złamanych linii i chaotycznych plam koloru: światła, który tak starannie poskładał i który teraz się rozpadał. Wokół Maty wyszyła promienie wybuchających gwiazd – w równych częściach wirujące ostrza i kwitnące chryzantemy. Czuła, jakby Mata sam rozpadał się w jej dłoniach, stając się raczej legendą niż rzeczywistością.

Każdą z wyhaftowanych chusteczek kazał starannie obramować i rozdawał je jako nagrody dla tych, którzy sprawili mu przyjemność albo zrobili coś wartościowego. Jego dowódcy i doradcy walczyli o te chustki, będące symbolem szacunku w oczach hegemonia. Mira zdawała się tym raczej rozbawiona i nie zwracała uwagi na to, co się dzieje z jej pracami.

Pewnego dnia, gdy Mata wrócił do pałacu po kolejnym krwawym dniu na polu bitwy, zmęczony wysiłkiem fizycznym i widokiem bólu i cierpienia, wciąż brudny i śmierdzący śmiercią, udał się wprost do kwatery zajmowanej przez Mirę.

Spokojna jak zawsze kobieta zapytała go, czy chce zostać i zjeść z nią obiad.

– Poproszę pokojówkę, by przygotowała dla ciebie kąpiel. Planowałam ugotować na parze karpia, którego kupiłam na targu. Już dawno nie jadłeś posiłków z kuchni Tunoi, prawda?

W jej pytaniu nie było nic ze służalczości czy próby kuszenia. Nie interesowała się jego dokonaniem na polu bitwy ani nie wychwalała jego męstwa i siły. Jak zawsze, zwyczajnie proponowała mu proste rzeczy, którymi mogli się wspólnie cieszyć.

Zdał sobie sprawę, że traktuje go jak przyjaciela. Nie jak hegemonia całej Dary.

Podszedł do niej i przysunął do siebie. Poczł, jak jej serce bije tuż przy nim, niczym serce zaskoczonego ptaka. Dłonie, które dopiero co trzymały igłę i obręcz, opuściła wzdłuż boków. Pocałował ją, a ona oddała pocałunek.

Odsunął się i popatrzył jej w oczy. Odwzajemniła spojrzenie. Oprócz Kuniego Garu tylko ona zdawała się swobodnie patrzeć w jego podwójne źrenice.

– Rozumiem cię teraz – powiedziała. – Wiem, dlaczego nigdy nie mogłam wyszyć twojego portretu.

– Powiedz.

– Jesteś wystraszony. Wystraszony legendami, którymi obrosłeś, tym cieniem siebie żyjącym w umysłach ludzi. Wszyscy się ciebie boją, więc zaczynasz wierzyć, że powinieneś budzić strach. Wszyscy ci schlebiają, więc zaczynasz wierzyć, że powinno ci się schlebiać. Wszyscy cię zdradzają, więc zaczynasz wierzyć, że na to zasługujesz. Jesteś okrutny nie dlatego, że chcesz, lecz dlatego, że ludzie się tego po tobie spodziewają. Robisz to, co robisz, nie z chęci, lecz z wiary w to, że Mata Zyndu z ich wyobrażeń by tego chciał.

Mata pokręcił głową.

– Twoje słowa pozbawione są sensu.

– Uważasz, że świat powinien wyglądać w określony sposób, i jesteś rozczarowany, gdy nie przystaje do twojej wizji. Jednocześnie sam jesteś częścią tego świata i boisz się, że twoje śmiertelne ciało nie przystaje do twojej wizji samego siebie. Dlatego stworzyłeś sobie nową postać; postać, którą wydaje ci się, że mógłbyś być, postać pełną okrucieństwa i krwiożerczości, niosącą śmierć, zemstę i cierpienie. Wymazałeś siebie i zastąpiłeś tymi słowami, słowami skopiowanymi ze starych i martwych ksiąg.

Mata pocałował ją jeszcze raz.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ale nie jesteś złym człowiekiem. Nie musisz się bać. Istnieje w tobie pożądanie i współczucie, jednak zamknąłeś je gdzieś głęboko, jakby były oznaką słabości, twojego podobieństwa do istot, które uważasz za niższe. Dlaczego to robisz? Żebyś mógł wpłynąć na kształt świata? Nawet jeśli twoje dzieło rozpadnie się po twojej śmierci? Niegdyś nie byłam pewna, czy słusznie obdarzam cię uczuciem, kiedy cały świat zdaje się ciebie bać, a tysiąc głosów mówiło mi, jak należało postąpić. Jednak Mado miał rację: wszystko, co ważne na tym świecie, należy mierzyć wiarą we własnym sercu. Jednak nasze śmiertelne serca są małe, nie pomieszczą zbyt wiele. Jaką radość miała mi dać wiadomość o tysiącu mężczyzn żyjących w chwale, jeśli w moim sercu mieścił się tylko żal po straconym bracie? Jakież znaczenie ma, czy dziesięć tysięcy uważa, że kocham tyrana, skoro ja widzę go w innym świetle? Nasze życie jest zbyt krótkie, żeby się martwić, jak zostaniemy osądzeni przez innych, a co dopiero historię. Moje hafty uważasz za błahostkę, a jednak wszystko, co robi człowiek, w oczach bogów musi być właśnie błahostką. Nie musimy się bać.

Pocałowała go i przyciągnęła do siebie, a Mata zdał sobie sprawę, że już się nie boi.



Męski głos, twardy jak obsydian i ostry jak miecz uderzający o tarczę:

– Mój bracie, mądrym pomysłem było skopiowanie sztuczki Kindo Marany, lecz nie powiodło ci się. Cierń Crubena nie posmakuje krwi drugiego Zyndu.

Inny męski głos, pełny gniewu burzy:

– Na śmiertelnikach nigdy nie można polegać.

Kobiecy głos, zachrypnięty, zniekształcony, jak rozgrzane powietrze nad lawą:

– Zakończ te bzdurne intrygi, Kiji. Powinieneś współpracować ze mną i Fithowéo

w walce przeciwko prawdziwemu wrogowi. Naprawdę chcesz, żeby wygrał ten oszust, ten złodziej z Niepokalanego Miasta?

– Niech jeden i drugi upadnie.



Gin Mazoti spoglądała na szerokie koryto Liru. Z każdym dniem jej frustracja rosła.

Zbudowanie statków zabierze zbyt dużo czasu. Musi wymyślić jakiś sposób na przekroczenie rzeki. I to szybko.

Rozesłano wieści wzdłuż Liru, że marszałek oferuje wysokie nagrody dla właścicieli statków w Cocru, jeśli sprzeciwią się hegemonowi i przepłyną na północny brzeg. Kilku odważnych kupców zaryzykowało, jednak ich statki były zupełnie nieprzygotowane do walki przeciwko sterowcom. Płonące wraki, martwe ciała i rozliczne dobra – skrzynie pełne materiałów, słoiki oliwy, beczki z jedzeniem, winem, mąką – płynęły teraz w dół rzeki jako wymowne ostrzeżenie dla tych, którzy zastanawiali się nad zdradzeniem hegemonu.

Mazoti zostawiła większość oddziałów w Dimushi, naprzeciw cocruskich obrońców rozmieszczonych wzdłuż szerokiego ujścia Liru. Udała się w górę rzeki, do Coyeca, małego miasteczka słynącego z wyrobów garncarskich: dzbanów, donic, naczyń i tak dalej. Występowały we wszystkich kształtach i rozmiarach; niektóre były tak wielkie, że dało się w nich ugotować całego rekina, w innych tylko zaparzyć herbaty.

Założyła perukę i ubrała się jak zamożna dama z Pan, która przyjechała na wycieczkę, by pozwiedzać i wybrać kilka rzeczy do swojego nowego domu, mającego powstać w miejscu tego zburzonego w czasie okupacji przez hegemonu Zyndu. Przechadzała się po targowiskach, z wyraźną przyjemnością badając gliniane naczynia.

Dafiro, który udawał służącego, przyglądał się z zaskoczeniem jej zachowaniu. Wcześniej nie poświęcała elementom życia domowego najmniejszej uwagi.

W miasteczku zaczęły się pojawiać małe karawany kupieckie, by nabyć duże garnki, donice, słoje i amfory. Warsztaty w Coyeca z radością przyjęły ten wzrost zainteresowania rodzimymi wyrobami. Miasteczko zawsze polegało na przepływie towarów w górę i w dół Liru, teraz jednak, gdy Cocru zamknęło granice i przegnało statki kupieckie, interesy bardzo podupadły. Karawany z dalekiej północy witano z otwartymi ramionami.

Potem, ciemną nocą, kupcy z różnych karawan, ich służący i piechurzy, woźnice i chłopcy na posyłki, zebrali się na brzegu za granicami miasteczka. Wyładowali gliniane naczynia, po czym zdjęli z wozów mundury i zbroje.

Marszałek Mazoti stanęła przed nimi. Znów miała na sobie szaty bojowe, a na jej twarzy zagościł wyraz satysfakcji z idealnie wypełnionego planu.

– Panowie, zawsze powtarzałam, że musimy wykorzystać każdą przewagę, jaką mamy. Dzisiaj zastosujemy tę zasadę w praktyce. Mi i Solofi myślą, że są bezpieczni, ponieważ zniszczyli wszystkie łodzie w czasie desperackiej ucieczki na drugi brzeg Liru, lecz my nie potrzebujemy łodzi. Myślą, że mogą nas złapać za każdym razem, gdy będziemy budować tratwy, lecz my kupowaliśmy tratwy pod samym ich nosem.

Rozkazała swoim ludziom zatkać i uszczelnić puste naczynia. Potem powiązali je ze sobą mocną liną. Aby zwiększyć wyporność, opróżnili i zatkali również swoje bukłaki i także przywiązali je do tratw.

Cocruski sterowiec sunął nad spowitą w blasku księżyca Liru. Czujki wychylali się za gondolę, wyglądając jakichkolwiek łodzi czy tratw na powierzchni wody. Zobaczyli podskakujące na falach śmieci – jakieś słoiki, dzbany i inne naczynia zbite w kupę, objające się o siebie. Najwyraźniej jakiś chciwy kupiec próbował uciec na północny brzeg, a cocruski sterowiec szybko zajął się zdrajcą. Szkoda, że zmarnował się dobry towar.

Sterowiec odleciał.

W ciemności, nienękani przez nikogo, żołnierze Dasu przepłynęli na drugi brzeg Liru. Mężczyźni trzymali się swoich tratw rękoma i odpychali, machając nogami w wodzie; mieli na głowach duże garnki, żeby nikt nie przejrzał podstęp. Kilka tratw rozpadło się, a niektórzy żołnierze nie zdołali dopłynąć z powrotem do północnego brzegu i utonęli, jednak większość z trzech setek wojowników wybranych przez Mazoti do tej sekretnej misji bezpiecznie pokonała rzekę Liru.

Po zejściu na cocruski brzeg podzielili się na małe oddziały i ruszyli na zachód wzdłuż koryta rzeki. Bez problemu pokonali małe garnizony stacjonujące w maleńkich miasteczkach i uwolnili tamtejsze statki, posyłając je w stronę północnego brzegu – nie wahali się użyć każdej metody przekonywania właścicieli.

Nawet cocruskie sterowce nie mogły powstrzymać zmasowanej ucieczki.



Mata wreszcie zapędził Mocriego w kozi róg, a Mocri wyzwał go na pojedynek.

Od wschodu do zachodu słońca walczyli równo, cios za cios, uderzenie za uderzenie. Pot spływał po ich ciałach, oddechy przyśpieszały. Na-aroenna nieustannie przesywała powietrze jak płetwa crubena powierzchnię wody, a tarcza Mocriego spotykała się z jej ostrzem jak wieczne, nieustępliwe morze; Goremaw bił jak pięść Fithowéo, zaś Mocri parował każdy cios jak heros Iluthan w walce z wilkiem. Kiedy słońce wreszcie zniknęło za horyzontem, a na czarnym niebie zamrugały gwiazdy, Mocri cofnął się i rozłożył ramiona.

– Hegemonie! – Jego ciężki oddech brzmiał jak dyszenie wiekowego miecha; jego suchy język nie potrafił nawet odpowiednio formować sylab. Mocri chwiał się i musiał opierać się na mieczu. – Walczyłeś kiedykolwiek z kimś takim jak ja?

– Nigdy – przyznał Mata. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zmęczony, nawet w czasie bitwy na Wilczej Łapie. Ale jednocześnie jego serca nigdy nie napełniała taka radość. – Jesteś najlepszym przeciwnikiem, jakiego kiedykolwiek miałem. – Zrobiło mu się żal rywala. – Poddaj się. Walczyłeś dzielnie i pozwolę ci rządzić Ganem, jeśli przysięgniesz mi lojalność.

Mocri się uśmiechnął.

– Cieszę się i smucę jednocześnie, że się spotkaliśmy. – A potem podniósł miecz i tarczę

i zaszarżował.

Gwiazdy krążyły nad ich głowami, gdy niczym dwa wielkie cienie walczyli w zimnym, słabym świetle. Żołnierze patrzyli na swoich panów oniemiałi. Kiedy ruchy obu wojowników stały się wolniejsze pod wpływem zmęczenia, zdawali się oni raczej tańczyć, niż walczyć. Taki taniec niewielu śmiertelników miało zaszczyt oglądać.

Wreszcie, kiedy słońce na powrót wstało, uderzenie Goremawa roztrzaskało tarczę Mocriego, a wtedy Mata postąpił krok do przodu i wbił Na-aroénnę w pierś przeciwnika.

Włożył Pogromczynię Wątpliwości do pochwy i zachwiał się. Ratho Miro, jego przyboczny, podbiegł, żeby go podeprzeć, jednak Mata go odepchnął i sięgnął po miecz Mocriego: wiekowy, zniszczony, pozbawiony ozdób, z wyszczerbionym ostrzem i rękojeścią mokrą od potu. Była to broń godna króla.

Odwrócił się do Ratho.

– Rat, potrzebujesz lepszego miecza, a ten nie zasługuje, by zginąć w zapomnieniu.

Ratho nieśmiało przyjął podarunek, przytłoczony tym zaszczytem.

– Jak go nazwiesz? – zapytał Mata.

– Prostota – odparł Ratho.

– Prostota?

– Odkąd zacząłem ci służyć, moje życie stało się jasne i proste jak pieśni, które śpiewała mi niegdyś matka. Moje najszczęśliwsze wspomnienia pochodzą z dzieciństwa i z okresu służby u ciebie.

Mata roześmiał się.

– Dobry wybór. Teraz najrzadsza jest właśnie stara, dobra prostota.



Po powrocie do Toazy Mata rozkazał wyprawić Mocriemu pogrzeb godny króla.

Ogłosił także, że jego rodzina zostanie oszczędzona i traktowana jak arystokraci – chociaż odtąd będzie musiała mieszkać w Çaruzie. Ci do końca walczący po stronie Mocriego mieli zostać ułaskawieni, a jeśli przysięgną lojalność hegemonowi, zachować także swoje rangi.

Ludzie Maty byli zdezorientowani. Spodziewali się, że Mata potraktuje Mocriego i jego żołnierzy ostro, ponieważ go zdradzili.

– Rozumiecie dlaczego? – zapytał Mata.

Tylko Mira miała odwagę odezwać się w ciszy, która zapadła po tych słowach.

– Mocri walczył z tobą bez uciekania się do sztuczek, wierząc, że wystarczy mu czysta siła fizyczna, żeby cię pokonać. W jego przegranej nie było żadnego wstydu. Jest bohaterem, który przegrał nie dlatego, że czegoś mu brakowało, lecz ponieważ bogowie postanowili postawić przeciwko niemu ciebie.

Mata miał nadzieję, że pewnego dnia świat zrozumie go tak dobrze, jak rozumiała go Mira.



Armia Dasu przekroczyła Liru na olbrzymiej flotyli skradzionych statków. Kiedy dotarła do Dimu, miasto okazało się wyludnione.

Ponieważ wspomnienie upokarzającej porażki w Géfice wciąż pozostawało żywe w pamięci żołnierzy Miego i Solofiego, uciekli zaraz po tym, jak otrzymali wieści o dotarciu marszałek Mazoti na ląd. Może to tylko kobieta, ale też czarownica, która potrafiła wyczarować statki z powietrza. Jaki był sens stawiania oporu? Równie dobrze mogą od razu się poddać albo, nawet lepiej, zdezerterować i znaleźć sposób, by jakoś wrócić do Géfiki i zająć się uprawą roli. Mówiło się, że Kuni Garu to dobry władca, który nie zabierał ludziom wszystkiego w podatkach.

Noda Mi i Doru Solofi szykowali się do popełnienia w Dimu samobójstwa, akurat kiedy Mazoti wkroczyła do miasta i ich pojmała. Potraktowała ich dobrze, zgodnie z życzeniami Kuniego.

Gin kontynuowała swój marsz na południe od Liru. Armia Dasu dotarła do Zudi, znajdującego się na granicy równiny Porin. Dowódca tamtejszego garnizonu, kapitan Dosa, zawsze był wdzięczny Kuniemu za uratowanie mu życia; razem ze starszyzną miasta otworzyli szeroko bramy i podnieśli wyblaganą od licencjonowanych kucharzy flagę Dasu. Widniejącemu na niej wielorybowi ręcznie domalowano łuski i róg, by zmienić go w crubena.



Kilku lojalnych hegemonowi ludzi uciekło z Zudi i zaniósł na Wilczą Łapę wieści o zwycięstwach Dasu. Po wysłuchaniu raportu Mata przez długi czas siedział nieruchomo na tronie. Nikt nie odważył się odezwać. Na jego twarzy tańczyły cienie rzucane przez płonące pochodnie. „Torulu Pering miał rację: muszę wreszcie raz na zawsze pozbyć się Kuniego Garu”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

KONTRATAK MATY

ZUDI: ÓSMY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU PRYNCYPATU

Powrót Kuniego do Zudi wycisnął łzy z oczu jego ojcu – który wreszcie uznał, że czas stanąć po stronie syna – oraz wywołał dziką radość wśród mieszkańców.

Z innych dobrych wieści, Puma Yemu zdołał wyprowadzić Jię i dzieci spod nosa cocruskich żołnierzy dzięki śmiałej akcji w Çaruzie. Rodzina Garu wreszcie mogła ponownie się zjednoczyć.

Kuni czekał przy bramie miasta od rana do wieczora, wypatrując Pumy Yemu. Wreszcie na horyzoncie pojawiły się światła pochodni jego ludzi eskortujących powóz z Jią i dziećmi.

Toto-tika i Rata-tika nie pamiętały ojca, więc cofnęły się, gdy wyciągnął do nich rękę. Dziewczynka złapała dłoń Jii, a chłopiec chwycił szatę Otho Krina.

– Kim jest ten pan, wujku Otho? – zapytał Toto-tika, zanim Soto zdążyła go uciszyć. Otho niezręcznie się odsunął.

– Och, ty musisz być o-ojcem – powiedziała Rata-tika, jękając się przy wymawianiu nieznanego słowa.

– Dzieci szybko znowu cię pokochają – rzekła Soto do Kuniego, który uklonił się jej nisko. Chwilowy wyraz bólu na jego twarzy zniknął. – Ja i moja rodzina jesteśmy twoimi dłużnikami.

Soto odpowiedziała niskim *jiri*.

Potem Kuni odwrócił się do żony. Ich uścisk w bramach miasta trwał bardzo długo, a mieszkańcy Zudi klaskali, gwizdali i śmiali się.

Całując Jię raz po raz, Kuni wyszeptał jej do ucha:

– Przepraszam za wszystko, co przeze mnie wycierpiałaś. Wiem, że wydaje ci się, że tego nie rozumiem, ale to nieprawda. Każdego ranka żułem gorzkie zioła, żebym mógł poczuć choć ułamek tego co ty, gdy byłaś sama: przerażona, otoczona przez wrogów i cały ten czas próbująca wychować dwójkę dzieci.

Jia, która zawsze zachowywała stoicki wyraz twarzy w obecności innych ludzi, wreszcie się złamała. Uderzyła Kuniego w pierś kilka razy, a potem przyciągnęła do siebie i pocałowała żarliwie. Śmiała się i płakała na przemian.

Kuni wyciągnął z kieszeni mały, zwiędły bukiet mleczy.

– Dziś rano były jeszcze świeże – rzekł przepraszająco.

– Zakwitną nowe – odparła Jia. – Życie kołem się toczy.

– Chcę, żebyśmy byli sobie tak bliscy. Zawsze.

– W takim razie musimy cieszyć się każdą chwilą, jaką mamy, bo kto wie, co przyniesie jutro.

Kuni pokiwał głową. Jego twarz też była mokra od łez.

Tłum nie przestawał dopingować obejmującej się i powoli kołyszącej w blasku księżyca pary.



Rodzina Garu przeniosła się do domu burmistrza, a ich spotkanie było tyleż radosne, co niezręczne. Choć Kunięgo i Jię łączyło porozumienie, zdawali sobie sprawę, że emocje i namiętności obierają drogę, jakiej nikt nie potrafi przewidzieć.

Kuni przedstawił Jię i dzieci Risanie, która była w zaawansowanej ciąży. Soto i Otho Krin zabrali dzieci, żeby się pobawiły. Wtedy Kuni nagle jakby nie wiedział, co powiedzieć.

Mün Çakri cały czas opowiadał o geniuszu taktycznym marszałek Mazoti, a Jia z uprzejmości w odpowiednich momentach mówiła: „Naprawdę?” i „Ojej!”. Po jakimś czasie Mün poczuł, że Rin Coda ciągnie go pod stołem za rąbek szaty. Zamilkł. W pokoju zapanowała cisza.

– Marszałek Mazoti zastanawia się nad przeprowadzeniem inwazji na Rimę. Mün, Rin i ja musimy... – Than Carucono zawahał się na moment – iść gdzieś, żeby jej pomóc.

Wstali we trzech i wyszli, dyskretnie zamykając za sobą drzwi. Kuni został sam ze swoimi dwiema żonami.

– Szanowna Starsza Siostró – powiedziała Risana – moje serce się raduje, że wreszcie mogę cię poznać.

– Powinnam ci podziękować, Młodsza Siostró – odparła Jia – za opiekowanie się moim mężem przez cały ten czas. W listach nigdy nie wspomniał o tym, jaka jesteś piękna.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie.



„Nie widzę”.

Risana chodziła w kółko po sypialni, którą jej przydzielono. Serce Jii okazało się dla niej twarde jak obsydian. Nie wiedziała, czy druga żona Kunięgo ją lubi, czy jej nienawidzi, czy jest szczerą, czy też próbuje ją obrazić.

Risana nie miała pojęcia, co robić. Wszyscy inni, których serca pozostawały dla niej nieprzejryste, szybko znikali z jej życia. Nigdy nie musiała żyć z kimś, czyje obawy i pragnienia musiałaby odgadywać.

„Nigdy nie nauczyłaś się szukać drogi w ciemności tak, jak my wszyscy”.

Jia była wytworna, arystokratyczna, a Kunięgo znała jeszcze w czasach, gdy był nikim. Zdawała się przyzwyczajona do wydawania poleceń, posiadania pieniędzy i służących. A kim była Risana? Artystką, która musiała zarabiać na życie tworzeniem iluzji ku uciesze klientów herbaciarni.

„Zabawiać i prowadzić” – te słowa wydawały się jej teraz żartem. Zajrzała w swoje własne serce. Zmusiła się do zachowania spokoju. Nie zamierzała się doszukiwać

potworów tam, gdzie ich nie ma.

Czyż nie było jej talentem to, że akceptuje prawdę na swój temat? W takim razie pogodzi się ze swoimi ograniczeniami i postara się zaprzyjaźnić z Jią. Obok Kuniego musi się pojawić ktoś, kto będzie mówił w imieniu takich jak ona i jej matka: bezsilnych, którzy pragnęli pokoju. Pokonała daleką drogę i znalazła dla siebie miejsce; Jia mogła być silną sojuszniczką.

Ruszy na niepewnych nogach przez mgłę, licząc na to, że nagle nie wyrośnie przed nią ściana.



– Opowiedz mi o Risanie – poprosiła Jia Ronę, pokojówkę drugiej żony Kuniego.

Przydybała czternastolatkę w kuchni, gdzie właśnie przygotowywała tacę z przekąskami dla swej pani.

– Jest bardzo miła – odparła dziewczyna.

– Ale jaka jest dla króla? Co robią razem?

Pokojówka się zarumieniła.

– Nie, nie pytam o plotki z alkowy, głuptasie. O czym rozmawiają?

– Pani Jio, ja nie wiem nic. Kiedy spędzają razem czas, zazwyczaj mnie odsyłali.

Cóż, jedno było pewne: Risana wiedziała, jak zapewnić sobie lojalność wśród służby. Jednak Jia знаła inne sztuczki.

– Słyszałam plotki, że król Kuni nigdy się nie śmieje w towarzystwie Risany – rzekła.

– To nieprawda! – oburzyła się pokojówka. – Czasami słyszę, jak po obiedzie król gra na kokosowej lutni, a wtedy pani śpiewa. Ma piękny głos, a jak jest zabawna piosenka, to wtedy się śmieje, i zaraz król śmieje się jeszcze głośniej. Innym razem śpiewa smutne piosenki i płacze, a król płacze razem z nią.

– To prawda, że Risana nie umie tańczyć?

– Och, wręcz przeciwnie. Zakłada suknię z bardzo długimi rękawami i rozpuszcza włosy. Potem wiruje, kłania się w pas i skacze wysoko, z plecami wygiętymi w łuk. Jej rękawy i włosy płyną w powietrzu i rysują zamaszyste półkola, jak trzy tęczowe na niebie, jak trzy rzeki opływające Wielką Wyspę, jak trzy pasma jedwabiu na wietrze...

Jia odesłała pokojówkę.



Wierciła się i kręciła w ciemności. Kuni spał obok, swoim zwyczajem głośno chrapiąc. Już o tym zapomniła. Otho Krin spał po cichu.

Wyobrażała sobie Kuniego i Risanę razem i wbrew sobie poczuła, jak rośnie w niej gniew. Tuż po ślubie łatwo się dogadywali, ciągle sobie żartując. Jednak Jia nie śpiewała i nie pamiętała, by Kuni kiedykolwiek śmiał się lub płakał tak, jak to opisywała pokojówka. Jia nie tańczyła, nigdy tego nie potrafiła, nie jak Risana. Nagle poczuła, że jej młodość przeminęła. Odeszła ruda dziewczyna, która niegdyś zainspirowała przyszłego

króla swoją opowieścią o mleczu.

Nawiedziło ją kilka wizji: Risana roniąca nienarodzone dziecko; Risana niepotrafiąca urodzić; Risana tracąca względy króla. Wiedziała, jak sprawić, by te wizje okazały się prawdziwe: kiedy pracowała nad lekarstwem na własne problemy z zejściem w ciążę, odkryła przepisy na mieszanki ziół o działaniu dokładnie odwrotnym. Jak to często bywa w naturze, substancje o przeciwnych zastosowaniach były ze sobą silnie powiązane – truciznę od leku oddzielała cienka granica.

Jia zadrżała, czując odrazę do samej siebie. Miała nadzieję, że to tylko chwilowa słabość. Jaka rozpacz by jej nie ogarnęła, nigdy nie uciekłyby się do takich metod, bowiem oznaczałoby to oddanie się chaosowi, zatracenie siebie.

Wstała i podeszła do szafy, skąd wyciągnęła zawiniątko z listami od Kuniego. Nie zapaliwszy światła, przejrzała je, palcami przesuwając po pustych stronach, przypominając sobie wersy zapisane niewidzialnym atramentem. Ile by Kuni nie miał na głowie, zawsze znajdował czas na pisanie listów.

Jia otarła łzy. Była matką jego najstarszego syna, przyszłego księcia koronnego. Zawsze będzie jego pierwszą miłością – tą, która przyjęła go, kiedy był jeszcze nikim, kiedy nikt w niego nie wierzył. Nie mogła go winić, skoro sama namówiła go na powtórny ożenek. Zrobiła to, by zapewnić mu sukces, a teraz nie zamierza obrócić tej ofiary wniwecz.

Może Soto miała rację. Niemądrze jest czynić z miłości fetysz – lepiej zaakceptować, że uczucie jest jak jedzenie, a każdy posiłek okazuje się smaczny na swój sposób. Serce z pewnością ma dość miejsca, by pomieścić więcej niż jeden smak.

Niedługo Jia poprosi Kuniego o nadanie ich synowi imienia, skoro Toto-tika miał już cztery lata i tym samym osiągnął wiek rozumny. Nadszedł czas, by zabezpieczyć jej pozycję i przygotować się na walkę z rywalkami pałacowymi, które z pewnością nadejdą.



– A może Timu? – zapytał Kuni.

– „Łagodny władca”? – odparła Jia, tłumacząc z klasycznego ano.

Zastanawiała się przez chwilę. Imię było godne króla i nawiązywało do wersu z poematu Kona Fijiego: „Łagodny władca rządzi, jakby nie rządził”. Jednak Jia miała nadzieję na coś odrobinę bardziej oryginalnego – na coś, co odnosiłoby się do przebiegłości ojca i zaciętości matki. Już miała zaprotestować, kiedy przypomniała sobie następny wers: „Swój lud szanuje tak jak własną matkę”. Uśmiechnęła się. Czy Kuni mógł lepiej wyrazić swoje uczucia?

– Idealne – odparła. – Od tej pory Toto-tika będzie znany jako książę Timu.

– Możemy też od razu nadać imię naszej córce – powiedział Kuni z uśmiechem. – Jest trochę za mała, ale myślę, że mądrością prześciga swojego brata i ma całkiem spory rozumek. Może Théra, czyli „ta, która przegania smutki”? Chociaż wiemy, że jej życie, jak nasze, zapewne będzie pełne radości i smutku, wzlotów i upadków, to może będzie umiała przeganiać wszystkie troski i śmiać się wbrew nim, tak jak próbowali jej rodzice.

– Oczywiście – odparła Jia. – Księżniczka Théra.

Jej serce naprawdę się radowało.



Mata wrócił na Wielką Wyspę i przekonał się, że jego imperium może za chwilę upaść. Puma Yemu uniemożliwił bezpieczny transport zbóż na całym terenie Cocru. Kuni wrócił do Zudi i krążyły plotki, że planuje lada moment wkroczyć do Çaruzy. Opowieści o zwycięstwach marszałek Mazoti wystraszyły ludzi Maty, którzy wierzyli, że ta tajemnicza kobieta potrafi stwarzać żołnierzy z niczego.

Mata nie rozpaczał. Wręcz przeciwnie, z radością przyjął wieści. Od czasu upadku cesarstwa życie wydawało mu się nudne, jakby straciło smak. Mocri okazał się godnym przeciwnikiem, jednak nie myślał perspektywicznie. Z kolei Kuni Garu był wrogiem wartym poświęcenia mu pełnej uwagi.

Im bardziej rozpaczliwa zdawała się sytuacja, tym większy ogarniał go spokój. Pokona Kuniego tak, jak pokonał wszystkich swoich przeciwników: siłą i honorowo.

Poprosił o pięć tysięcy najlepszych jeźdźców i piętnaście tysięcy koni.



Kiedy marszałek Mazoti udała się na północ, żeby zająć się Rimą, większość armii Dasu zostawiła w Zudi. Pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn i dziesięć tysięcy koni, zbyt wiele na garnizon mogący stacjonować w mieście, obozowało na równinie Porin. Ta armia była większa nawet niż połączone siły Tanno Namena i Kindo Marany na Wilczej Łapie. Cogo Yelu, jak zawsze staranny i przewidujący, zadbał o płynny przepływ racji żywnościowych.

W południe sterowce zwiadowcze pojawiły się w Zudi z wieściami o Macie Zyndu i jego pięciu tysiącach wojowników jadących konno w stronę miasta, którzy mieli pojawić się u bram przed wieczorem. Główna część armii hegemonu wciąż schodziła na ląd w Nokida, na północnym brzegu półwyspu Itanti, gdzie powracała z Wilczej Łapy. Mata i jego pięć tysięcy żołnierzy jechali bez przerwy przez trzy dni, a wiele ich koni padło z wycieńczenia.

Ludzie Kuniego ustawili się przed bramą miasta.

Spoglądając na swoją armię, Kuni przekonał się, że jego ludzie z niepokojem oczekują z murów potyczki z legendarnym hegemonem.

Piechota stanęła w falandze, a na przodzie znaleźli się żołnierze uzbrojeni w piki, by rzucić jeźdźców z koni. Po bokach łucznicy szykowali się do wypuszczenia swoich śmiertelnych strzał. Zaś na skrzydłach czekała już kawaleria, gotowa do okrążenia sił Maty Zyndu, by odciąć mu odwrót.

Armia Kuniego przewyższała liczebnością atakujące oddziały hegemonu dziesięć do jednego.

– Przemówisz do żołnierzy? – zapytał Than Carucono.

Kuni pokręcił głową i odwrócił się od rysujących się przed nim równych szeregów.

– Coś cię trapi, panie Garu? Myślisz, że źle się przygotowaliśmy?

Kuni znowu pokręcił głową.

– A jednak wyglądasz... – Carucono zawahał się. – Wybacz, lecz wydajesz mi się

smutny.

– Myślę o innych czasach – odparł Kuni. – Może lepszych. – I nie chciał mówić już nic więcej.

Oto nadszedł dzień upadku potężnego hegemonu.



I nadjechali, w tumanach kurzu oraz z głośnym dyszeniem i rzeniem tysięcy koni. Pięć tysięcy atakujących, zgodnie z zasadami Maty Zyndu, nie zmieniło kierunku i wjechało w sam środek formacji obronnej Kuniego Garu, czyli gęstej falangi piechoty.

Kiedy jeźdźcy znaleźli się w zasięgu żołnierzy Dasu, ci dzierżący długie łuki i dzidy wypuścili swoje pociski, a niebo pociemniało, gdyż słońce na chwilę zakryła chmura z drewna i stali. Wiele strzał i dzid trafiło w cel, a niektórzy jeźdźcy spadli z koni pozbawieni życia. Jednak inni zignorowali groty, które przebiły się przez ich zbroje, i nie przerywali ataku.

Byli coraz bliżej. Ziemia się trzęsła, lecz uzbrojeni i zamaskowani jeźdźcy byli dziwnie cisi. Nie dało się słyszeć żadnych okrzyków bitewnych. Parli nieustępliwie, nie bojąc się lasu śmiercionośnych pik, które podnieśli żołnierze na przodzie, wbijając trzonki głęboko w ziemię, a groty pochylając do przodu, gotowi wykorzystać pęd wroga przeciwko niemu.

Jeźdźcy Maty Zyndu wpadli na falangę Kuniego Garu jak fala rozbijająca się o skały otulonego we mgle façańskiego wybrzeża. Powietrze przeszyło rzenie umierających koni nabitych na piki.

Mężczyźni spadali na ziemię, jednak ci znajdujący się za nimi jechali dalej, nie przerywając ataku. Przeskakiwali nad ciałami martwych kamratów albo tratowali je, używając trucheł do wybicia się z ziemi. Środek formacji sił Kuniego Garu został zmuszony do powolnego wycofania się, zaś żołnierze porzucili piki i wyciągnęli krótkie miecze, by dołączyć do innych w walce.

Skrzydła piechoty zaczęły otaczać jeźdźców jak miękkie ciasto oplatające kulę nadzienia. Kawaleria Kuniego jechała za ostatnimi ludźmi hegemonu, by zamknąć okrąg. Wróg nie miał gdzie uciec.

Mata stanął przeciwko siłom dziesięciokrotnie liczniejszym i jego męstwo tym razem nie mogło go uratować. Nawet gdyby każdy jego żołnierz walczył z siłą trzech mężczyzn, wciąż byłby skazany na śmierć. Ludzie Kuniego radowali się i krzyczeli, spodziewając się zwycięstwa.

W pewnej chwili ci znajdujący się najbliżej otoczonych cocruskich jeźdźców zdali sobie sprawę, że coś jest nie tak. Żołnierze na koniach nawet nie próbowali się bronić. Wystarczył jeden cios i przeciwnik padł, nie podniósłszy nawet miecza, a dziesięciu innych zaraz wbiło swoje ostrza w powalone ciała.

Żołnierze Kuniego wyciągnęli broń z truchła i nie zobaczyli krwi. Kiedy przewrócili trupa, znaleźli przyczynę: nie walczyli przeciwko cocruskim mężom, lecz kukłom z siana i szmat.

Zapanowała dezorientacja i niedowierzenie.

Słońce ponownie zostało przysłonięte. Ludzie Kuniego spojrzeli w górę i zobaczyli flotę pięćdziesięciu sterowców w cocruskich barwach. Zatrzymały się nad Zudi, a z każdego statku zaczęli zeskakiwać żołnierze; ich lot spowalniały duże jedwabne balony, które otwierały się nad ich głowami.

DWIE GODZINY WCZEŚNIEJ

Mata nie do końca pojmował otaczający go świat, był on dla niego niewyraźną mieszaniną światła i dźwięku. Jechał bez przerwy przez dwa dni i dwie noce, przemierzając cocruskie równiny. Nie czuł się zmęczony. Świat go rozpraszał; Mata potrzebował tylko wąskiej drogi przed sobą i kontaktu z ciałem pędzącego pod nim wierzchowca, by w harmonii z nim wznosić się i opadać. Przybędzie do Zudi i zwycięży albo zginie. Nic innego się nie liczyło. Jego życie było proste.

Jednak coś blokowało mu drogę. Ściągnął lejce i po raz pierwszy od dwóch dni kazał swojemu wielkiemu czarnemu koniowi zwolnić. Ponad jego głową płynęła flota sterowców. Jeden z nich wylądował bezpośrednio na drodze, a stał przed nim Torulu Pering.

– Bez dostępu do góry Kiji – wyjaśnił – sterowce nie mogły uzupełnić gazu. Nie będziemy mogli zbyt długo utrzymywać naszej floty powietrznej, chyba że poświęcimy jedne, by napełnić drugie.

Mata pokiwał głową.

– Dziś w Zudi zamierzam zwyciężyć.

– Szanse masz niewielkie, lecz istnieje sposób, by je wyrównać.

Mata wysłuchał planu Peringa i roześmiał się. Spodobała mu się jego bezczelność i pewna równowaga. W przeciwieństwie do chytrego Kuniego Pering opracował plan honorowy i męski. Wspaniały.



Kiedy Mata wyskoczył ze sterowca i w ciągu kilku sekund pokonał setki metrów, potrafił myśleć tylko o tym, jak bardzo ten lot przypomina mu lot orła, jego nurkowanie ku ziemi, w stronę bezsilnej ofiary.

A potem rozwinął się balon zaprojektowany przez Peringa i rozpostarł się z głośnym trzepnięciem. Hegemonem szarpnęło, po czym zaczął opadać ze znacznie mniejszą prędkością. „A teraz jestem sokołem Mingén”, pomyślał.

Podniósł wzrok i zobaczył jasną jedwabną płachtę, która pochwyciła powietrze. Popatrzył w dół i jego oczom ukazały się maleńkie domki i równe ulice Zudi, a także zdeorientowane twarze ludzi patrzących na podniebne dziwy.

Mata roześmiał się. Obrońcy miasta skupili swoją uwagę na walce z kukłami, on tymczasem zada ostateczny cios z powietrza, tak jak kiedyś. Chociaż tamte czasy, kiedy walczyli z Kunim ramię w ramię, wydawały się bardzo odległe.

Domy, ulice i twarze stawały się większe i większe. Mata wyciągnął Na-aroénę z pochwy i poczuł, jak zew bitewny zaczyna krążyć w jego żyłach.

Wydał okrzyk bojowy. Tym razem nie będzie żadnych wątpliwości.



Atak powietrzny z zaskoczenia okazał się całkowitym sukcesem. Cocruscy żołnierze szybko pokonali niewielkie siły stacjonujące wewnątrz miasta i wykorzystali mury Zudi przeciwko armii Dasu.

Ponieważ bramy zostały zamknięte na głucho, armia składająca się z pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn mogła tylko krążyć wokół miasta, podczas gdy ludzie Maty podpalali kolejne domy w poszukiwaniu Kuniego. Ledwie kilka tuzinów żołnierzy Dasu zdołało wrócić na teren miasta dzięki użyciu latawców bojowych. Wśród nich znaleźli się Mün Çakri i Than Carucono, którzy nie mogli znieść myśli o porzuceniu swojego pana. Jednak ich walka przypominała gaszenie pożaru za pomocą filizanek i Dasu wkrótce musiało się poddać.

Kapitan Dosa, Mün Çakri, Rin Coda oraz Than Carucono pośpieszyli do domu burmistrza, gdzie znajdował się Kuni i jego rodzina. Przekazali im złe wieści.

– Panie, Zudi upadło! Ludzie Maty niedługo tu będą. Mamy jeden sterowiec pocztowy, który zostawiła nam marszałek Mazoti na wypadek pilnej potrzeby. Czeka na podwórzu, gotowy do odlotu. Musicie natychmiast do niego wsiąść.

– Spróbuję ich zatrzymać na ulicach tak długo, jak się da – rzekł kapitan Dosa, po czym wyszedł wraz ze swoimi żołnierzami.

Kuni puścił się pędem w poszukiwaniu najbliższych. Sterowiec pocztowy był mały, więc musieli zostawić całą służbę. Na pokład wsiedli ojciec Kuniego, sam Kuni z Jią i dziećmi, Risana, Soto, Otho, Mün, Rin i Than. Zostało tak mało miejsca, że ledwo można się było obrócić.

Sterowiec nie chciał wznieść się w powietrze.

– Jest nas zbyt wiele – oznajmił Mün.

– Mata przez cały ten czas mnie nie nękał, więc raczej nic mi nie grozi. Jeśli mam gdzieś zginąć, wolę tutaj, w domu – rzekł Féso Garu i wysiadł wbrew protestom Kuniego. Jednak sterowiec nadal twardo trzymał się ziemi.

– Chyba zapomnieliśmy wcześniej sprawdzić poziom gazu – powiedział Than.

Zaczynały docierać do nich odgłosy walki. Ludzie Maty byli już niedaleko.

Than, Rin i Mün zeszli na ziemię. Sterowiec nadal się nie podnosił.

Soto była następna.

– Mata nigdy by mnie nie skrzywdził – rzekła. – Nie martwcie się.

Jia i Otho spojrzeli sobie w oczy. Otho uśmiechnął się i wysiadł bez słowa. Jia spuściła powieki, serce waliło jej jak młotem.

Oboje wiedzieli, że ten dzień niegdyś nastąpi. Może i serce ma dość miejsca na więcej niż jedną miłość, jednak kobieta wciąż musiała podejmować decyzje, jakich mężczyzna nie musiał. Jia odwróciła wzrok.

Sterowiec drgnął, lecz zaraz znowu osiadł.

Risana i Jia popatrzyły na siebie. Risana odwróciła się i pocałowała Kuniego, by ruszyć do wyjścia. Poruszała się powoli i z trudem ze względu na zaawansowaną ciążę.

– Nie, nie – powiedziała Jia. – Ty leć z Kunim i dziećmi. Ja zostanę z Soto i Otho. Umiem już sobie radzić z Matą. Nic mi nie będzie.

Twarz Kuniego wykrzywiła się z niepokoju i bólu.

– Nie, tak nie może być. Obie polecicie, a ja zostanę i osobiście porozmawiam z Matą.

Wtedy wszyscy zaczęli protestować. Głos Müna zabrzmiał najdonioślej:

– Nie ma sensu, żeby ktokolwiek z nas leciał, jeśli ty się nie wydostaniesz. Panie Garu, musisz uciec, żebyś mógł nas uratować albo pomścić.

Kuni popatrzył na Jię, potem na Risanę, potem znowu na Jię i raz jeszcze na Risanę. Nagle odwrócił się do dzieci i klęknął.

– Timu i Théra – powiedział, zwracając się do nich ich oficjalnymi imionami, co rzadko robił. – Musicie zrobić dla mnie coś odważnego, dobrze?

Zaniósł dzieci do wyjścia i poprosił Soto, żeby je zabrała.

– Oszalałeś! – krzyknęła Jia. – Jak mogło ci to przyjść do głowy?

– Mata nie skrzywdzi dzieci – rzekł Kuni. – A ja nie mogę cię zostawić, choćby nie wiem co. Nie będzie innej ciebie, a dzieci zawsze może przyjść na świat więcej.

– Jia ma rację – powiedział Rin Coda. – To szaleństwo. – Zatarasował drzwi i wepchnął dzieci z powrotem na pokład. Kuni w dalszym ciągu wołał Soto i wypychał dzieci na zewnątrz, a Rin wciągał je z powrotem do środka. Soto stała i patrzyła na to beznamiętnie.

– Starczy już tych wygłupów – rzuciła Jia i mocno pchnęła Kuniego w kierunku pokładu, a potem schyliła się i pocałowała dzieci. Następnie powiedziała do Risany: – Młodsza Siostrzo, zajmij się nimi.

Risana pokiwała głową, a Jia pewnie zeszła z pokładu sterowca.

– Mama! Mama! – wołali Timu i Théra, a Risana musiała je przytrzymać, kiedy Kuni, ze łzami w oczach, zamykał drzwi sterowca.

Teraz, gdy pokład obciążali tylko Kuni, Risana i dwójka małych dzieci, statek zdołał powoli wzbić się w powietrze. Rin Coda zadbał o to, by obłożyć go czarnym materiałem. W ten sposób trudniej było go wypatrzyć zarówno z nieba, jak i ziemi. Sterowiec uniósł się wysoko, aż w końcu był tylko małym cieniem na tle gwiazd. Obrął kierunek na północ i odleciał bezpiecznie do Géfiki.

Przez krótką chwilę Jia żałowała, że sprawia wrażenie takiej silnej, bowiem Kuni uwierzył, że naprawdę jest w stanie sama o siebie zadbać. Soto posłała jej znaczące spojrzanie i powiedziała cicho:

– Bardzo ładny teatrzyk odstawiliście z Kunim.

Jia aż poczerwieniała z gniewu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Soto przewróciła oczami.

– Kuni udawał, że kocha was obie tak samo mocno i jest nawet gotowy oddać za was dzieci. Ponieważ mało który mężczyzna ceni żony ponad potomków, próbował zyskać w ten sposób w twoich oczach. Poza tym w Darze bardzo się spodoba ta historia.

Jia uśmiechnęła się smutno.

– Kuni zawsze był przebiegły.

– Nie tak przebiegły jak ty. Zostając tutaj i oddając dzieci pod opiekę Risany, czynisz

ich oboje twoimi dłużnikami. Teraz Risana zawsze będzie myślała, że uratowałaś jej życie, a Kuni nigdy nie pozbędzie się wyrzutów sumienia. Położyłaś fundamenty pod przyszłe intrygi pałacowe. Ta inwestycja kiedyś może ci się stokrotnie opłacić.

– W twoich oczach musimy się wydawać zimnymi i wyrachowanymi ludźmi – odparła Jia. – Czy nie możesz po prostu wiązać naszych czynów z miłością?

Soto roześmiała się i po chwili Jia do niej dołączyła. Szczerze mówiąc, sama nie była pewna, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Nie chodziło tylko o jej pozycję względem Risany, ale też nie zachowała się całkowicie bezinteresownie. Czasami trudno ocenić, gdzie kończy się teatr, a gdzie zaczyna prawdziwe życie – lecz czym jest „prawdziwe” życie, jeśli nie szeregiem występów? „Miłość to skomplikowana sprawa”, pomyślała.

– Jediną osobą, której mi żal, jest Risana. Nie ma pojęcia, z kim przyszło jej się mierzyć – rzekła Soto.

Ich krótka chwila radości został przerwana krzykami mężczyzn i brzękiem mieczy. Brama została otwarta i na teren posiadłości burmistrza chwiejnym krokiem wszedł kapitan Dosa, jego ciało przeszywały strzały.

Mata już do nich dotarł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

SPOTKANIE NA RZECE LIRU

DIMU I DIMUSHI: DZIEWIĄTY MIESIĄC CZWARTEGO ROKU PRYNCYPATU

Niespodziewane zwycięstwo Maty Zyndu w Zudi wkrótce stało się legendą w całej Darze.

– Każdy żołnierz walczył z siłą dwudziestu i właśnie tak hegemon pokonał siły dziesięciokrotnie większe.

– Mata Zyndu to wcielenie Fithowéo. Kiedy machnie ręką, z nieba spadają żołnierze, by walczyć w jego imieniu.

– Kuni Garu może i płynął na crubenie, lecz Mata Zyndu na obiad zjada steki z crubena.



Kiedy Kuni bezpiecznie uciekł do Dimushi, natychmiast wezwał do siebie marszałek Mazoti.

– Co teraz? – zapytał.

– Najpierw muszę odtworzyć armię, którą straciłeś.

Kuni skrzywił się, jednak Mazoti nigdy nie owijała w bawełnę.

– Myślę, że po upadku Zudi większość żołnierzy uciekła do Géfiki, niewątpliwie wielu zdezerterowało. Będzie trzeba popracować nad podniesieniem morale po tym upokorzeniu. Jia została więźniem. Jednak „szlachetni rozbójnicy” markiza Yemu wciąż sprawiają kłopoty hegemonowi w Cocru, więc nie może on najechać Géfiki, dopóki nie zapewni bezpiecznych dostaw zaopatrzenia.

– A co z innymi królestwami Tiro?

– Wiele z nich uważa teraz, że mądrzej jest stanąć po stronie Maty. Mimo to księżę Théca Kimo pozostaje twardo w twoim obozie. Spacyfikował Arulugi, a jego los wyraźnie zależy od twojego sukcesu. Prosił o pozwolenie na marsz na Wyspę Półksiężycową i Écofi, których opanowanie ze względu na niewielką liczebność tamtejszych mieszkańców powinno być łatwe.

– Pozwól mu.

– Nie martwisz się, że stanie się zbyt silny i zadeklaruje niezależność, jak Mocri na Wilczej Łapie?

– Słabością Maty jest jego brak zaufania do swoich ludzi, więc oczywiście wszyscy go w końcu zdradzają. Ja nie zamierzam powtarzać tego błędu.

Mazoti w zamyśleniu pokiwała głową.



Cocru i Dasu znowu stanęły po obu stronach rzeki Liru.

Mata zabrał do Dimu więźniów pojmanyh w Zudi. W zamian za wypuszczenie Nody Miego i Doru Solofiego przystał na zwrócenie Kuniemu Müna Çakriego, Rina Cody i Thana Carucono. Mimo wielu próśb nie zgodził się wypuścić rodziny Garu.

Postanowił w pełni wykorzystać psychologiczną przewagę. Na dużej, płaskiej łodzi – wolnej i pływającej na płytkich wodach, więc niebędącej zagrożeniem wojskowym – podpłynął na środek rzeki Liru i zawołał Kuniego.

Kuni wypłynął na podobnej łodzi. Usiedli obaj w formalnej *mipa rari* każdy na swoim pokładzie i patrzyli na siebie znad srebrzystej powierzchni wody.

– Bracie – wypluł z siebie Mata jak przekleństwo. – Miałem nadzieję zobaczyć cię w Zudi, lecz najwyraźniej za bardzo się wstydziłeś.

– Bracie. – Kuni westchnął. – Szkoda, że już się nie przyjaźnimy. Moglibyśmy tego wszystkiego uniknąć, gdybyś nie był tak zazdrosny i pełny gniewu, kiedy wkroczyłem do Pan przed tobą. Mogliśmy odbudować wspólnie Darę z ruin cesarstwa.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, kontemplując to, co mogło być, a nie jest.

– A jednak słusznie cię oceniłem. Zbuntowałeś się przeciwko mnie.

Kuni pokręcił głową.

– To nie z tobą walczę, lecz z ideą, którą reprezentujesz. Chcę odtworzyć wizję cesarza Mapidérégo, tylko tym razem urzeczywistnić ją jak należy. Ty wolisz pozostawić świat podzielony między królestwa Tiro, pogrążony w niekończących się konfliktach, mających służyć pustej chwale wielkich arystokratów. Chcę z tym wszystkim skończyć, żeby dać zwykłym ludziom szansę na spokojne życie. Mata, nie stój mi na drodze. Abdykuj i oddaj mi pieczęć Dary.

– Jesteś równie ambitny co ja, tylko ty ubierasz to w kłamstwa. Jeśli dać wiarę twoim pięknym słówkom, dlaczego nie rozwiążemy naszego konfliktu w walce jeden na jednego? Niech nikt inny nie ginie przez nasz spór. O naszym losie zdecydujemy tylko ty i ja, i nasze miecze. Ten, który wygra, uczyni ten świat takim, jakim chce.

Kuni roześmiał się.

– Zbyt dobrze mnie znasz, żeby myśleć, że przystanę na coś podobnego. Nie mam z tobą szans w walce, jednak wojen nie wygrywa się siłą jednego tylko człowieka.

Mata dał znak swoim ludziom, a oni weszli pod pokład i przynieśli dużą deskę do krojenia.

Kuni patrzył, zdezorientowany.

Po chwili przyboczni Maty przynieśli gar dość duży, by ugotować w nim całego rekina. Ustawili go na ogniu płonącym w otwartym palenisku na pokładzie i zagotowali w nim wodę.

Kuni poczuł, jak ściska mu się serce.

Znowu zniknęli i zaraz wrócili z nożem kuchennym tak wielkim, że przypominał ogromną siekiere. Nawet silny mężczyzna musiałby dzierżyć go oburącz.

Kuni podniósł się. Chciał powiedzieć Macie, żeby przestał.

Ludzie Zyndu zeszli pod pokład po raz kolejny, prowadząc nagiego mężczyznę, zakneblowanego i związanego jak wieprza. Kuni rozpoznał w nim swojego ojca. Féso Garu wybałuszał oczy ze strachu.

Położyli go na desce do krojenia, a przysadzisty mężczyzna sięgnął po ogromny nóż i przytrzymał go nad Féso jak kat.

– Kuni, poddaj się. Inaczej ugotuję twojego ojca i zjem na twoich oczach.

Z twarzy Kuniego odpłynęła cała krew, omal nie zemdleł. Mimo to przytrzymał się poręczy i postarał przybrać kamienny wyraz twarzy. Nie mógł pokazać Macie, jak poważnie traktuje tę groźbę. To tylko taka gra, jak w karty, tylko tym razem stawka była znacznie wyższa.

– Jeśli się poddasz, Kuni, pozwolę ci zająć Dasu i Rui, a wszyscy twoi ludzie zostaną ułaskawieni i nie skażę ich za nielojalność wobec mnie.

„On kłamie – pomyślał Kuni. – Mata nienawidzi zdrady. Nigdy by nie wybaczył ani mnie, ani nikomu. Jeśli się poddam, wszyscy zginiemy”.

Usiadł, układając nogi w luźne *thakrido*. Roześmiał się.

– Śmiało, hegemonie. Ugotuj go. Ugotuj naszego ojca.

Mata Zyndu zmrużył oczy.

– Słucham?

– Nazywałeś mnie kiedyś bratem, więc mój ojciec jest także twoim ojcem. Jeśli chcesz dzisiaj ugotować naszego ojca, nie będę cię powstrzymywał. Tylko upewnij się, żeby zostawić trochę dla mnie. Też chcę spróbować.

– Co z ciebie za syn?

Kuni całą swoją uwagę skupił na mięśniach twarzy, języka i gardła. „Graj!”

– Myślisz, że jeśli zamierzam cię zastąpić, powstrzyma mnie strata jednego człowieka? Najechałem Rui, kiedy Jia znajdowała się w twoich rękach; byłem gotowy zostawić swoje dzieci w Zudi. Nie doceniasz mnie, Mata, a ja jestem równie groźny i bezlitosny co ty. Widziałem śmierć wielu ludzi. A teraz pośpiesz się i go zabij.

Mata patrzył na Kuniego ze smutkiem w oczach. Przygotował to przedstawienie jako test, a przemowa Kuniego potwierdziła tylko, że słusznie nie ufał temu mężczyźnie, ponieważ był zupełnie zimny, wyrachowany i pozbawiony zasad moralnych. „Jak mógł choć przez moment uwierzyć, że mógłbym zabić i zjeść jego ojca? Ma o mnie tak złe zdanie, ponieważ sam jest nieodwracalnie zepsuty. Nie istnieje granica, której nie jest gotowy przekroczyć; pochłonęła go ambicja. I pomyśleć, że kiedyś nazywałem go bratem! Nie da się zajrzeć do serca człowieka”. Ostatnia iskra nadziei w umyśle Maty zgasła.

Kuni pochylił się do przodu, zaglądając Macie w oczy.

– Ugotuj go! Ugotuj go, żebym mógł skupić się na tym, jak kiedyś ciebie włożyć do garnka.

Mata pokręcił głową. Zamierzał zademonstrować Kuniemu swoją wyższość moralną i zawstydzić go jego brakiem szacunku do ojca – nawet jeśli wątpliwe jest, by Kuni był w stanie odczuwać wstyd. Właśnie na tym polegał jego problem: całkowity brak honoru.

Mata nakazał ugasić płomienie i zabrać Féso Garu.

– Ludzie w końcu pokazują swoją prawdziwą twarz. Jesteś pozbawionym serca zbirzem, Kuni, a mieszkańcy Dary przejrzą twoją grę.

Odpłynął z powrotem do Dimu, a Kuni poczekał, aż Mata zniknie z pola widzenia, i zaraz opadł na pokład. Jego ubrania były mokre od potu, a on sam czuł się, jakby ktoś wyrwał mu serce.



To, że Kuniemu udało się zablokować, nie oznaczało, że sztuczka Maty nie zadziała na innych. Rin Coda natychmiast zasugerował, żeby Kuni wykorzystał pomysł Maty na własny użytek.

– Kilka królestw Tiro przystało na sojusz – powiedział. – Nie szkodziłoby zdobyć jakieś zabezpieczenie tego układu. Poza tym jak ci wszyscy książęta i księżniczki będą się kręcić po naszym dworze, może uda mi się podsłuchać to i owo.

– Ach, Rinie – odparł Kuni z gorzkim uśmiechem. – Zaczynam mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiłem, czyniąc cię dowódcą szpiegów. Przebywasz z ludźmi, którzy zbyt długo uciekali się do niegodziwych metod.

– Godziwe czy niegodziwe, liczy się, by były skuteczne.

Kuni wysłał swoim sojusznikom wiadomości, w których wyrażał zaniepokojenie bezpieczeństwem ich rodzin. Być może, jak pisał, rozsądnym byłoby sprowadzić je do Dimushi, gdzie mogłyby liczyć na ochronę armii Dasu. „Gdy wasze rodziny znajdą się u mego boku, będziecie mogli kontynuować walkę z hegemonem, nie martwiąc się o swoich najbliższych”.

Królowie Tiro niechętnie wysłali Kuniemu zakładników.

TRZECI MIESIĄC PIĄTEGO ROKU PRYNCYPATU

Na rzece Liru dokonano się nieformalne zawieszenie broni. Ludzie mieszkający wzdłuż brzegu próbowali żyć jak dawniej, chociaż znajdowali się na terenie, gdzie w każdej chwili mogło dojść do bitwy. Statki kupieckie i rybackie pływały w górę i w dół rzeki. Negocjowano strefy kontroli i bezpieczne przeprawy dla łodzi cywilnych. Od czasu do czasu Kuni i Mata wysyłali do siebie posłów, by omówić te kwestie.

Pewnego dnia w porcie w Dimushi pojawił się posłaniec Maty. Przywitał go Luan Zya.

– Witaj, witaj! Przybyłeś z wiadomością od pana Peringa? Jak się miewa?

Posłaniec, który nazywał się Luing, był zdezorientowany.

– Wiadomość od pana Peringa?

– Och, oczywiście. – Luan popatrzył na niego i mrugnął konspiracyjnie. Udając nonszalancję, spojrział na dwóch strażników, którzy towarzyszyli posłańcowi. – Zbyt wiele uszu. A jak tam zdrowie hegemonu?

Luing raz po raz powtarzał w głowie komentarz Luana. „Co miał na myśli, wspominając Peringa? I dlaczego witał mnie z taką radością?”

Luan zabrał Luinga do najlepszej restauracji w Dimushi, gdzie zamówił drogi obiad składający się z trzydziestu dań. Na stole leżały połączane pałeczki z kości słoniowej. Pracownica lokalu przysłała zapalić kadzidła, które wypełniły pomieszczenie gęstym, pachnącym dymem.

– W Dasu modnie jest jeść w kłębach dymu – wyjaśnił Luan. – Oczyszcza podniebienie i wydobywa smak potraw.

Posiłek trwał kilka godzin. Luingowi zakręciło się w głowie i poczuł się senny. Po chwili towarzyszący mu strażnicy wydawali się mieć problem z utrzymaniem równowagi.

– Za dużo wypili – powiedział ze śmiechem Luan. Wezwał służących, by zaprowadzili dwóch mężczyzn na dół, do prywatnego pokoju. – Teraz, gdy zostaliśmy sami, możesz śmiało przekazać mi wiadomość od pana Peringa.

– Nie mam żadnej wiadomości od pana Peringa – odparł zdumiony Luing. – Przybyłem z rozkazu hegemonu, by omówić prawa do łowienia ryb w rejonie Kidimy.

– Nie przysłał cię Torulu Pering? – zapytał Luan, nie dowierzając.

– Nie – potwierdził Luing.

Luan westchnął, pokręcił głową i przewrócił oczami, a potem zmusił się do uśmiechu.

– Mówię bzdury, chyba się upiłem. Zapomnij o wszystkim, co dzisiaj ode mnie usłyszałeś. To pewnie te zioła, które zażywam na podagrę, robię się od nich nieprzytomny. Proszę mi wybaczyć... Muszę... muszę wyjść.

Wstał i popędził na dół.

Chociaż kłęby dymu z kadzideł wciąż unosiły się w fantastycznych, zmieniających się kształtach – prężących się pierścieni, pulsujących kopuł, półprzezroczystych bąbli – powietrze w pomieszczeniu zdawało się bardziej przejrzyste, a Luing poczuł, że znowu myśli trzeźwo. Zastanawiał się i zastanawiał, aż wreszcie doszedł do dość odważnych wniosków, jakby we mgle pojawił się zarys potwora. Potrzebował jednak więcej dowodów.

Weszli służący, by pokazać Luingowi jego pokój w gospodzie. Kiedy Luing zapytał, kiedy będzie mógł porozmawiać z posłami króla Kuniego na temat rybołówstwa, oni odpowiedzieli, że nie mają pojęcia.

Następnego dnia pomniejszy urzędnik Dasu, mężczyzna o imieniu Daco Nir, przyszedł się spotkać z Luingiem. Był niemiły i chłodno potraktował posłańca hegemonu, zaś negocjacje utknęły w martwym punkcie. Kiedy przyszła pora obiadu, Daco podał Luingowi kilka miedzianych monet i kazał mu kupić sobie jedzenie na ulicznym straganie.

– Chyba nie dogadamy się, prawda? Jestem zajęty przez resztę dnia, więc raczej nie będę mógł cię odprowadzić do portu. Życzę bezpiecznej podróży – rzucił i zniknął.

Luan Zya, Risana i „Daco Nir” patrzyli przez okno magazynu, jak mała łódka z emisariuszem hegemonu wypływa z doków.

– Twoje zdolności są niesłychane – powiedział Luan Risanie. – Widział wczoraj dokładnie to, co chciałaś mu pokazać.

Risana lekko skłoniła głowę.

– Jesteś zbyt pochlebny. To tylko sztuczka jarmarczna – odparła i odwróciła się z uśmiechem do Rina Cody. – Ale spójrz na siebie! Miałaś dzisiaj tak lodowaty wyraz twarzy, że spodziewałam się w każdej chwili usłyszeć, jak w herbacie posła stukają kostki lodu.

– Dużo ćwiczyłem. Kiedy przybieram taką minę, ludzie więcej mi płacą za to, by ich dopuścić do króla.

Luan pokręcił głową i cała trójka wybuchnęła śmiechem.



Luing porównał to, jak został potraktowany dzisiaj, z tym, jak przyjęto go dzień wcześniej.

Luan, najbliższy doradca Kuniego Garu, odnosił się do niego jak do honorowego gościa, ponieważ uważał go za wysłannika Torulu Peringa. Dzisiaj jednak jakiś pomniejszy biurokrata rozmawiał z nim arogancko i lekceważąco, ponieważ ludzie Kuniego zorientowali się, że Luing przybył w imieniu hegemonu. Fakty mówiły same za siebie.



– Hegemonie, nie widzisz, że to tylko sztuczka Kuniego Garu?

Mata popatrzył chłodno na trzęsącego się Torulu Peringa. Zawsze uważał go za niegodnego zaufania.

Mężczyzna nie był wojownikiem, tylko doradcą; człowiekiem, który naturalnie zbliżał się do ludzi pokroju Kuniego Garu, polegających na brudnych podstępach. Nie doceniał szlachetnych cnót, które zrozumieć można było jedynie dzięki prawdziwej walce. Chociaż miał kilka dobrych pomysłów, ogólnie we wszystko się wtrącał i często stawał hegemonowi na drodze. Mata był gotowy uwierzyć, że w sekrecie dogadał się z Kunim Garu.

– Luan Zya spodziewał się wiadomości od ciebie. Zamierzałeś mi zaproponować szczegóły mojego planu walki? A może chciałeś przekupić moich oficerów? Albo zaserwować Kuniemu moją głowę na tacy?

Torulu Pering drżał nie ze strachu, lecz gniewu. Służył lojalnie Macie Zyndu przez cały ten czas, próbując namówić go na mądrzejszą strategię, żeby miał jakieś szanse w starciu z przebiegłym Kunim Garu. A jednak Mata dawał się nabrać na trik tak banalny, że przejrzałyby go nawet pięciolatek.

– Jeśli naprawdę mi nie ufasz – odparł Pering – składam swoją rezygnację. Chciałbym wrócić do domu, na rodzinną farmę pod Çaruzą, i zająć się uprawą jamsów. Nie będę służył komuś, kto nie odróżnia przyjaciela od wroga.

– Przyjmuję twoją rezygnację. Wracaj do domu, starcze.

Torulu szedł wzdłuż ulicy, jednak w jego głowie panował chaos, a serce biło niespokojnie.

Przepełniały go żal i wściekłość z powodu własnej porażki. Nie udało mu się nauczyć Maty Zyndu wartości strategii. Nie udało mu się pokazać, jak niebezpieczny i przebiegły jest Kuni Garu. Zawiódł jako doradca. W podzięcie za oddaną służbę został zlekceważony i nazwany pogardliwie „starcem”.

Jednak Torulu faktycznie był już stary i nieprzyzwyczajony do podróżowania na własnych nogach, bez wygodnego wozu i służących. Bolał go brzuch, w głowie mu się kręciło, jednak był zbyt rozgniewany i smutny, żeby się zatrzymać, odpocząć, napić wody. Szedł dalej.

Mijający go ludzie ostrzegali, że powinien zawrócić i uciekać.

– Bandyci! Bandyci jadą!

Torulu ich nie słyszał. Wciąż roztrząsał, co mógł zrobić inaczej. „Głupi Mato, wiedz, że mogłem doprowadzić cię do zwycięstwa!”

Obok przejechali Jeźdźcy Tornada z Dasu. Zupełnie beztrąsko i jakby od niechcenia jeden z nich zamachnął się mieczem i Pering przestał się nad sobą użalać, przestał w ogóle

myśleć. Jego głowa zatoczyła łuk i upadła na ziemię.



Luan i Kuni świętowali wspólny sukces.

– Teraz Mata nie ma już żadnego doradcy.

Kuni napił się, lecz dręczył go żal. Torulu Pering był mądrym człowiekiem, który uratował rebelię w krytycznym momencie i zasługiwał na coś lepszego. Kuniemu nie podobało się to, ile krwi przelewa w drodze po zwycięstwo. Czy cel zawsze uświęca środki? Pomyślał, że chciałby usłyszeć od bogów jasną odpowiedź.

– Nie ma jasnych odpowiedzi – rzekł Luan Zya.

Kuni zdał sobie sprawę, że zawahał się w połowie osuszania czarki. Zaśmiał się cicho i wypił do końca.

– Poznanie przyszłości pozbawia cię wyboru – ciągnął Luan. – Stajesz się słowami zapisanymi przez kogoś innego. Możemy tylko robić to, co uważamy za słuszne, i mieć nadzieję, że jakoś się wszystko ułoży.

– Wiem – odparł Kuni. – Ludzie myślą, że widzę przed sobą jasno wytyczoną ścieżkę, tymczasem ja też potykam się w mroku.

– Może to samo czynią bogowie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

GAMBIT MARSZAŁKA

RIMA I FAÇA: TRZECI MIESIĄC PIĄTEGO ROKU
PRYNCYPATU

Kiedy siły Cocru i Dasu po obu stronach rzeki Liru się zrównały, Luan Zya i Gin Mazoti zaprezentowali Kuniemu Garu zmianę w tej równowadze sił.

Na północy Faça i przywrócona na mapy Rima – po której wszyscy się spodziewali, że słucha façańskiego władcy – zmieniały kilkakrotnie swoje sojusze, dzięki czemu długo unikały najazdu. Ostatnio jedno i drugie królestwo ogłosiło lojalność hegemonowi, ponieważ Kuni od dawna nie odnosił żadnych sukcesów militarnych.

Mogły stać się przykładem dla innych królestw.

Zabierając ze sobą jedynie niewielkie siły, zaledwie pięć tysięcy żołnierzy, marszałek Mazoti wymaszerowała z Dimushi i ruszyła na brzeg zatoki Zathin, w pobliże Rimy. Tam pożegnała się z Luanem, który przebrał się i samotnie popłynął na małej łódce w stronę spowitej mgłą Boamy, stolicy Faça.

W granicach terytorium starej Rimy Mata Zyndu stworzył sześć nowych królestw Tiro. Po roku nieustannych wojen większość z nich zniknęła, a cały teren został zjednoczony pod kontrolą Zato Ruthiego, który był jednym z nauczycieli króla Jizu, gdy ten po raz pierwszy pojawił się w pałacu w Na Thion. Później Zato unieśmiertelił ofiarę Jizu, żeby uratować Na Thion przed armią Namena, tworząc pean, który potrafiło wyrecytować każde rimskie dziecko.

Sukces Zato Ruthiego był rezultatem wielu wypadków, na których powtórzenie istniały niewielkie szanse. Zato był prawdziwym uczonym – z gatunku tych, którzy wolą książki od realnego, chaotycznego świata.

Jako dziecko zamiast bawić się z przyjaciółmi, Zato uczył się na pamięć cytatów słynnego twórcy epigramów z epoki Ano, Ra Ojogo. Jako młody mężczyzna zamiast chadzać do barów, zostawał w domu i czytał wszystkie komentarze do traktatu o idealnym społeczeństwie autorstwa Kona Fijiego, filozofa moralności. Gardząc egzaminami do służby cywilnej, ponieważ przeszkadzały w czystej kontemplacji idei, odmówił szukania dobrego zatrudnienia i powędrował do wiekowego lasu Rimy, żeby uczyć się w małej, zbudowanej przez siebie chatce. W wieku trzydziestu lat był już uważany za jednego z największych w całej Darze znawców starożytnej mitologii, rywala samych Tana Féüjiego i Lügo Crupo, chociaż nigdy nie studiował w słynnych akademiach w Haanie.

Tanno Namen oszczędził Zato po upadku Na Thion, a on podróżował między stolicami nowych królestw Tiro, które Mata Zyndu stworzył na terenach dawnej Rimy, nauczając i wykładając.

Wojny niszczyły jedno królestwo po drugim, a nowi władcy zawsze prosili Zato, by

„pobłogosławił” nową administrację, ogłaszając jej zgodność z moralnymi zasadami Kona Fijiego. W pewnym sensie Zato Ruthi rozumiał, że jest wykorzystywany jako narzędzie propagandy, jednak doceniał poświęcaną mu uwagę i lubił, gdy moiżni uważali jego opinie za istotne.

Ostatnie dwa królestwa, jakie zostały na terytorium dawnej Rimy, również wystąpiły przeciwko sobie, co nikogo nie zaskoczyło. Żadna ze stron nie mogła wygrać, a kiedy ich armie walczyły ze sobą w całej Rimie, lud cierpiał.

Wtedy król Shilué z Faça postanowił, jak miał to w zwyczaju, raz jeszcze wtrącić się w rzymskie sprawy i wysłał swoje oddziały do Na Thion, żeby zwiększyć panujący tam chaos.

W obliczu jeszcze jednego okupanta miasto ogarnęły gniew i rozpacz. Pewnego dnia studenci tamtejszej akademii wyszli na ulice, domagając się, by Shilué wrócił do domu i zabrał swoich żołnierzy, dwóch królów Rimy przestało wojować, a ludzie mogli wreszcie żyć w spokoju.

Kupcy, którzy przez wojnę nie mogli prowadzić interesów; rolnicy, którzy nie mogli uprawiać roli; robotnicy, którzy nie mieli zajęcia – wszyscy oni dołączyli do protestujących. Studenci zaprowadzili cały tłum pod pałac, gdzie Shilué właśnie negocjował z ambasadorami dwóch królów Rimy. Nieśli na ramionach Zato Ruthiego, którego ogłosili swoim przywódcą.

– Nauczycielu! Nauczycielu! Zawsze chciałeś zbudować państwo na wzór zasad moralnych Kona Fijiego. Teraz masz szansę! – wołali przed wejściem do pałacu i zanim Zato Ruthi zdążył pojąć, co się dzieje, znalazł się na skleconym na szybko podium i przemawiał do tysięcy wściekłych ludzi.

Raz jeszcze opowiedział o obowiązkach władcy wobec ludu, o wadze powściągliwości, szacunku i praworządności, o prawie do jedzenia, o potrzebie harmonijnych relacji między wszystkimi ludźmi, a także o niesprawiedliwości, jaką jest interwencja obcej armii.

Nie mówił nic nowego i nic szczególnego, a jednak tłum wiwatował i klaskał, a Zato poczuł się, jakby unosił się na głosach ludzi, na sile ich woli. I wtedy jego własne słowa stały się gwałtowniejsze. Wezwał zebranych do zniszczenia pałacu w imię walki o harmonię i sprawiedliwość.

Znajdujący się w środku Shilué i ambasadorzy drżeli ze strachu, jednak król Faça dostrzegł w tym szansę dla siebie. Zmusił królów Rimy nie tylko do przerwania wojny, lecz także do abdykowania na rzecz Zato Ruthiego, który miał stanąć na czele zjednoczonej Rimy.

– Lud przemówił – powiedział – i nie wasze skanduje imiona.

W rzeczywistości Shilué uznał, że Zato, zwykły uczonec bez doświadczenia w rządzeniu, będzie łatwiejszy do kontrolowania niż którykolwiek z pozostałych królów. Dlatego dał jasny znak, że oddziały Faça były gotowe „wesprzeć rzymski lud w jego wyborze”.

W ten właśnie sposób Zato Ruthi został królem Rimy.



Marszałek Mazoti trzykrotnie wzywała króla Zato do poddania się. Za każdy razem

posłańcy wracali z odmową i listem napisanym przez Zato, zaadresowanym do Mazoti:

Każde dziecko w Darze wie, że wszystkie królestwa Tiro są sobie równe i żadne nie może się wynosić nad inne. Król Kuni pogwałcił tę zasadę, ustanowioną przez nieomylnego Aruano i potwierdzoną przez mądrego Kona Fijiego. Hegemon z pewnością ukarze króla Kuniego za to wykroczenie przeciwko moralnym pryncypiom.

Gorzej nawet, król Kuni uczynił kobietę żołnierzem i wywyższył ją ponad mężczyzn. Uczynek ten stanowi jawne pogwałcenie zasad rządzących harmonijnymi relacjami między płciami, które Kon Fiji tak elokwentnie wyeksplikował już wieki temu. Rima wyraża nadzieję, iż król Kuni wkrótce zawróci z błędnie obranej drogi i przeprosi za niegodziwe uczynki. To jedyny sposób, by Dasu odzyskało utracony honor.

Mazoti przewróciła oczami. Słowa Zato były równie zatechłe i trącające myszką co stare księgi, których nikt nie czytał. Gdyby ich autorem był ktokolwiek inny, można by je uznać za sarkastyczne obelgi, jednak Mazoti wiedziała, że Zato pisał je zupełnie poważnie. Naprawdę wierzył, że relacjami między królestwami Tiro rządziły „moralne pryncypia” i nie postrzegał tego jako kodyfikacji logiki złodzieja, której używali silniejsi, by narzucić swoją wolę słabszym.



Kiedy oddziały Mazoti przedzierały się przez porośniętą drzewami Rimę, nie napotykały żadnego oporu. Drwalom i myśliwym powiedziano, że żołnierze Kuniego Garu pozostawiają cywilów w spokoju, o ile ci nie wystąpią przeciwko nim. Miejscowi stali więc przed chatami albo schodzili ze szlaku, kiedy armia Dasu maszerowała na południe przez gęsty las.

Czasami jakiś żołnierz i mieszkaniec lasu wymieniali znaczące uśmiechy.

Wojny przynosiły korzyści jedynie arystokracji i najlepiej, gdyby trwały możliwie krótko, żeby nie dręczyć nadmiernie zwykłych ludzi. Król Kuni przynajmniej starał się trzymać tej zasady.

Armia Dasu dotarła do brzegu płytkiej rzeki, szerokiej na jakieś piętnaście metrów. Nadeszła już wiosna, śnieg stopniał i rzeka wezbrała, jej wody były zimne i wartkie. Mazoti widziała po drugiej stronie obrońców Rimy. Nie stacjonowali na brzegu, lecz znajdowali się jakiś kilometr dalej.

– Dlaczego odsunęli się tak daleko? – zapytał jeden z ludzi Mazoti. – Nie wspięli się na żadne wzgórze, a ich pozycja nie ma zalet taktycznych.

Mazoti spojrzała na powiewające w oddali czarne flagi Rimy. Ta znajdująca się pośrodku, ze złotym obramowaniem, była większa niż pozostałe.

– Jest z nimi król Zato. To by wyjaśniało ich dziwną pozycję. Kon Fiji pisał w swoich księgach, że zaatakowanie wroga, który nie przekroczył do końca rzeki, byłoby niemoralne. Obrońcy muszą dać przeciwnikowi dość miejsca, by przeprowił się na drugi brzeg

i ustawił w formacji na lądzie, żeby walka była sprawiedliwa.

– Kon Fiji pisał o taktyce wojskowej?

– Ten stary oszust pisał o wielu rzeczach, o których nie miał pojęcia. Ale powinniśmy mu dziękować. Ponieważ Zato jest wiernym uczniem Kona Fijiego, podczas przeprawy nic nam nie grozi.

Pięciuset żołnierzy Mazoti przekroczyło rzekę i ustawiło linię obrony na drugim brzegu, na wypadek gdyby rzymskie oddziały jednak zaatakowały. Aby wartki nurt nikogo nie porwał, mężczyźni złapali się za ręce. W najgłębszym miejscu woda sięgała im do piersi. Zarówno oficerowie, jak i żołnierze obawiali się, że obrońcy mogą przystąpić do szturm w chwili, gdy większość sił Dasu będzie wciąż znajdować się na północnej stronie rzeki albo na środku koryta. W wodzie nie mieliby szans.

Jednak zgodnie ze słowami marszałek ludzie Zato odczekali, aż armia Dasu bezpiecznie się przeprowi.

– Niesamowite – powiedział zarządca obozu, kiedy żołnierze rozkładali do wyschnięcia swój sprzęt na porośniętym trawą brzegu. Rzymskie oddziały nadal nie wykonały żadnego ruchu.



Oficerowie wokół króla Zato rwali włosy z głów.

– Panie, musimy natychmiast atakować, póki wróg nie przekroczył rzeki!

– Nonsens. Mamy trzy razy więcej ludzi. Poza tym Mazoti to kobieta. Kon Fiji pisał, że armia szlachetnych pokona armię niemoralnych. Jak atakowanie wroga, który nie jest jeszcze gotowy się bronić, miałyby być szlachetne?

– Panie, musimy natychmiast zarządzić szturm, zanim przeciwnicy z powrotem założą zbroje!

– Chcesz splamić honor naszej armii? Co by na to powiedział król Jizu, Władca o Czystym Sercu? Nie, musimy czekać. Poza tym spójrzcie, jak ona ustawia żołnierzy! Kon Fiji nauczył nas, że przed rzeką nigdy nie można ustawiać piechoty plecami do koryta, ponieważ nie będzie mieć miejsca do manewrów. Zostawiliśmy im duży teren, żeby przyjęli odpowiednią formację, a ta Mazoti ustawia ludzi wzdłuż brzegu. Ciekawe, czy kiedykolwiek czytała mądre księgi Kona Fijiego i czy w ogóle potrafi czytać. Biedni żołnierze Dasu! Zaiste, tragiczny to los służyć takiej ignorantce!



– Czyżbyś naśladowała Matę Zyndu? – zapytał zarządca. Obrócił się, by spojrzeć na ludzi stojących wzdłuż rzeki. Nie zostało miejsca na odwrót. Mogli już tylko przeć do przodu.

– Zawsze powtarzałam, że powinniśmy wykorzystać każdą dostępną przewagę – odparła spokojnie Gin Mazoti. – Mata Zyndu miał dobry pomysł na Wilczej Łapie. Dlaczego nie miałabym go naśladować? Stawianie swoich własnych ludzi w sytuacji, w której zginą w wypadku porażki, jest dobrą taktyką. Tylko nie można jej nadużywać.

Czekali, aż rzymskie oddziały wreszcie ruszą w ich stronę.



Żołnierze króla Zato szli w nadziei zepchnięcia pięciuset przeciwników prosto do wody. Jednak oni zaparli się i walczyli z zaciętością, wobec której rzymscy obrońcy nie mieli szans.

Bitwa trwała całe popołudnie i nim zapadł zmierzch, mniej liczne siły Mazoti zdobyły wyraźną przewagę. Wreszcie szeregi króla Zato rozpadły się i ocalili żołnierze z Rimy rozpierzchli się po lesie.

Mazoti starła krew z twarzy i pogratulowała swoim ludziom. Może jej zwycięstwo nie było tak imponujące jak Maty na Wilczej Łapie, lecz dla jej armii był to sukces, którego bardzo potrzebowała po upokarzającej porażce w Zudi.



Tymczasem, daleko na północy, łódka Luana Zyi dopłynęła do portu w Boamie, stolicy Faça.

Faça była krainą skalistych brzegów i wysokich gór na północy, gdzie większość mieszkańców hodowała zwierzęta, oraz głębokich dolin i słonecznych wzgórz na południu, gdzie głównie rosły sady. Faça szczyciła się najgęstsza wełną, bydlęm z najtłustszym mięsem oraz jabłkami tak soczystymi i słodkimi, że ich smak długo pozostawał w ustach.

Zaciekli wojownicy z Faça byli równie surowi, co krajobraz na północy. Potrafili poruszać się po górach szybciej niż jeźdźcy na koniach, a do tego umieli wykorzystać przeciwko wrogom każdą wystającą skałę i kapryśną pogodę, przez którą nad Faça nieustannie unosiła się mgła. Tradycyjne techniki walki mieczem różniły się od tych cocruskich, jednak nie były ani trochę mniej efektywne: façańscy żołnierze podkreślali wagę działania z zaskoczenia, nieprzewidywalności oraz szybkiej pracy nogami.

Faça rzadko bywała atakowana. Podbój Mapidérégo polegał raczej na skrytobójstwach i intrygach, a ostateczne zwycięstwo było okupione śmiercią wielu Xańczyków, którzy wygrali tylko dzięki ogromnej przewadze liczebnej.

Luan nie chciał, żeby Kun i Gin zapłacili równie wysoką cenę we krwi Dasu, dlatego też postanowił przybyć do Boamy w tajemnicy i spróbować przekonać chciwego, chytrego i biegłego w politycznych sztuczkach króla Shiluégo do poddania się.

„O ile to w ogóle możliwe”, myślał.



Pałac w Boamie zbudowano zaraz przy brzegu, na klifie wyrastającym prosto z morza. Mgła unosiła się nad podwórzami i pod portykami, przez co budowla zdawała się płynąć na chmurze.

– Król Kuni zawsze był szczodry dla swoich sług – zaczął Luan. – Czyż nie słyszałeś, że wynegocjował powrót swoich generałów, Müna Çakriego i Thana Carucono, jeszcze zanim poprosił o zwrócenie mu rodziny? Czyż nie słyszałeś, że Théca Kimo jest teraz księciem trzech wysp: Arulugi, Wyspy Półksiężycowej i Écofi? Czyż nie słyszałeś, jak markiz Puma Yemu, łapiąc w jego imieniu, ma teraz skarbiec większy niż wielu królów Tiro? Król Kuni zawsze nagradza tych, którzy dla niego walczą.

Shilué, siedzący naprzeciwko Luana, starannie przeżuwał ostrygi i słuchał bez słowa. W przesączaającym się przez mgłę świetle trudno było odczytać wyraz jego bladej twarzy, którą niczym woal spowijały blond włosy.

– Z kolei Mata Zyndu – ciągnął Luan – podchodził do swoich ludzi kapryśnie i z zazdrością. Czyż nie słyszałeś, że pozbawił Pumę Yemu tytułu i ziemi? Czyż nie słyszałeś, jak oskarżył Nodę Miego i Doru Solofiego o utratę Géfiki, łącząc ich okrutnie i naigrawając się z nich, aż odeszli od niego ze wstydem? Czyż nie widziałeś, jak wahał się przy wydawaniu pieczęci władzy i ze smutkiem rozstawał z bogactwami, choć miały być nagrodą dla tych, którzy ryzykowali dla niego życie i zdrowie? Mata Zyndu nie jest panem, na którego można liczyć.

Shilué nadal przeżuwał, przełykał i słuchał.

– Théca i Puma to prostacy, którzy służą królowi Kuniemu, stawiając na szali własne życie – powiedział. – Co jednak może Kuni obiecać komuś cywilizowanemu, kto nie zamierza umierać?

„Ach, chce mieć wszystkie korzyści z kapitulacji, niczym nie ryzykując”, pomyślał Luan. I znowu przemówił.



Podczas pościgu za resztkami rzymskiej armii Mazoti i jej żołnierze natrafili na kolejną rzekę, tym razem węższą. Król Zato wreszcie się czegoś nauczył. Ustawił linię obrony tuż przy południowym brzegu, nie dając Mazoti szansy na przeprawę.

– Skoro nie możemy przyjść do niego, zmusimy go do przyjścia do nas – powiedziała i kazała kilkuset żołnierzom przemknąć w tajemnicy przez ciemny las. W górze rzeki ścięli kilka dużych drzew i zbudowali tamę, żeby zatrzymać wodę i tym samym stworzyć duże sztuczne jezioro.

Kiedy woda w dole rzeki skurczyła się do rozmiarów małego strumienia, ludzie Mazoti udali przerażenie. Porzucili swoje garnki z jedzeniem i broń, wycofując się w pozorowanej panice.

Król Zato nakazał swojej armii przekroczyć koryto i ścigać przeciwników.

– Fithowéo i duch szlachetnego króla Jizu są z nami! Jak inaczej wytłumaczyć nagłe spływanie rzeki? Spójrzcie, jak ludzie Dasu uciekają przed naszą szlachetną siłą! Musimy przekroczyć rzekę i ukarać najeźdźców.

Dowódcy powiedzieli, że to może być sztuczka, i poprosili króla Zato, żeby został na miejscu z połową oddziałów, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Jednak król Zato tylko prychnął.

– Kon Fiji nauczał, że zwycięzca powinien rzucić się w pogoń całym oddziałem, żeby

pokazać, że się nie boi. Szlachetna armia nie musi się uciekać do zdradzieckich sztuczek, ponieważ obronią ją bogowie. Jeśli Mazoti jest szlachetna i szanuje prawa wojny, da nam czas na bezpieczne przekroczenie rzeki, odwdzięczając się za przysługę, jaką jej oddaliśmy. Jeśli nie jest szlachetna i zaatakuje, zanim znajdziemy się na drugim brzegu, z pewnością przegra.

Mazoti poczekała, aż jedna trzecia sił Rimy przeprawi się przez rzekę, a jedna trzecia znajdzie się w korycie. Następnie rozkazała trębaczom dać znak żołnierzom, którzy zostali w górze rzeki, żeby zniszczyli tamę. Nagły napływ wody zmiotł rzymskie oddziały będące w trakcie przeprawy i odciął drogę siłom pozostałym na południowym brzegu. Potem wydała rozkaz kontrataku „wycofującym się” żołnierzom Dasu, a ci szybko pojмали wrogów, którzy zdążyli się przeprawić.

Pozostałe siły króla Zato uciekły w popłochu, a Mazoti raz jeszcze kazała ustawić tamę, po czym swobodnie przeszła na drugą stronę rzeki.



– Sprzeciwiłaś się prawom wojny – powiedział król Zato. Uklęknął przed marszałek Mazoti w pałacu w Na Thion, jednak jego ton pozostawał arogancki. – Czyżbyś nie czytała ksiąg Kona Fijiego?

– Zdarzyło mu się napisać kilka mądrych rzeczy o rządzeniu – odparła Mazoti – ale nie miał pojęcia o wojnie.

Król Zato pokręcił smutno głową.

– Nie możesz zwyciężyć prawdziwie, jeśli nie stosujesz się do praw prowadzenia bitew. W końcu jesteś tylko kobietą i nie pojmujesz wyższych pryncypiów, które rządzą wojną.

– Racja – rzekła Mazoti z uśmiechem.

Nie chciała zabijać starego głupca, wysłała go więc do Dimushi, by sprawił Kuniemu Garu trochę rozrywki.



Luan Zya przybył do Na Thion, żeby spotkać się z Gin Mazoti.

Zajęli jedną z wielu sypialni w pałacu i spędzili trochę czasu razem, nie dyskutując o wojnie.

Nad ranem Luan pogratulował Mazoti szybkiego podbicia Rimy, a potem wyjaśnił, że także król Shilué przystał na warunki kapitulacji.

– Jak to?

– Ja go namówiłem – odparł Luan, śmiejąc się.

Mazoti nie wydawała się zadowolona z tych wieści. Usiadła i głęboko się zamyśliła.

– Coś nie tak? – zapytał Luan.

– Walczyłam w Rimie długie miesiące, a setki, tysiące ludzi musiały umrzeć, zanim przejęłam kontrolę nad królestwem. Ty zaś pojmałeś całe Faça, za oręż mając jedynie swój

język. Co pan Garu pomyśli o naszych zasługach?

– Gin, chyba nie jesteś zazdrosna, prawda?

Mazoti nic na to nie odpowiedziała. Zawsze jej się wydawało, że ile by kobieta się nie napracowała, mężczyzna bez wysiłku ją prześcignie.

– Gin, muszę wracać do Dimushi, żeby doradzać królowi. Możesz udać się do Boamy, by przyjąć kapitulację Shiluégo i zadbać o jego ochronę, jak uzgodniliśmy?

Gin Mazoti kiwnęła głową, po czym pocałowali się na pożegnanie.



Mieszkańcy Faça nie próbowali stawiać do walki, kiedy marszałek Mazoti i jej żołnierze maszerowali przez góry. Zgodnie z rozkazem Shiluégo traktowano ich jak sojuszników, nowych obrońców façańskiej armii.

Król Shilué powitał marszałek wystawnym przyjęciem. Szlachetnych gości tradycyjnie zabawiały tancerki z odsłoniętymi piersiami. Dopiero kiedy rozbrzmiała muzyka, Shilué zdał sobie sprawę, że być może nie jest to właściwy sposób sprawienia przyjemności akurat temu dowódcy. Mazoti zapewniła go jednak, że wszystko jest w porządku. Z radością obejrzy występ, nie inaczej niż mężczyzna. Król Shilué wzniósł za nią toast, mówiąc, że nie może się już doczekać ich wspólnej pracy dla jednego władcy.

– Shilué, przyznajesz się do winy?

Shilué był już pijany, więc zdawało mu się, że musiał źle zrozumieć marszałek.

– Słucham?

– Czy przyznajesz się do spiskowania przeciwko królowi Kuniemu – wyjaśniła Mazoti i wyjęła miecz z pochwy, by z miejsca zabić Shiluégo.

Kiedy zebrani wokół ministrowie i generałowie Faça stali oniemiały z szoku, ludzie Mazoti szybko zabezpieczyli pałac. Znajdujący się na zewnątrz żołnierze Dasu przejęli już kontrolę nad bramami i portami Boamy.

Mazoti wysłała szybki sterowiec pocztowy z wiadomością dla króla:

Faça została podbita. Plan kapitulacji był podstępem Shiluégo, który chciał oszukać Luana Zye. Zamierzał cię zdradzić i wrócić pod skrzydła hegemonu. Przejrzałam jednak jego zamiary i skróciłam go o głowę za zdradę stanu, zanim zdążył zrealizować swój plan.

Sumienie trochę ją dręczyło, jednak na wojnie każde zwycięstwo jest dobre, czy to przeciwko wrogom, czy kochankom.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

KUSZENIE GIN MAZOTI

BOAMA: PIĄTY MIESIĄC PIĄTEGO ROKU PRYNCYPATU

Teraz, gdy Mazoti miała kontrolę nad Faça i Rimą, a także dziesiątki tysięcy nowych żołnierzy pochodzących ze zdobytych królestw, czekało ją wiele pracy.

Ludzie nazywali ją „Królową Faça i Rimy”. Z początku traktowała to jak żart, jednak ponieważ wszyscy wokół mieli inne zdanie, sama też zaczęła myśleć o sobie w ten sposób.

Kazała oddziałom prowadzić ćwiczenia wojenne, awansowała tych zdolniejszych, a weteranów poprosiła o demonstrację ich techniki posługiwania się mieczem. Przydzieliła renty rodzinom żołnierzy, którzy poświęcili życie w walce dla Dasu i dla niej. Zachęcała do pracy rzymskich kowali, obniżając im podatki – tej sztuczki nauczył ją Kuni Garu. Objeżdżała hodowle i sady, obiecując ludziom bezpieczeństwo.

Dobrze się czuła jako królowa. Wszyscy jej słuchali.



Kuni maszerował w kółko, nie potrafiąc uspokoić się choć na chwilę.

– Doskonale sobie radzi w Boamie – zauważył Luan Zya.

– A co z jej tytułem?

– Panie Garu, przecież wiesz, że nie mogę mówić o niej całkowicie obiektywnie. Sam musisz zdecydować, jak potraktować jej postępek. W końcu przejęła trony Faça i Rimy, będąc marszałkiem Dasu.

– Potrzebuję twojej rady, Luan.

– Nie mogę ci mówić, co masz robić. Wszyscy poruszamy się po omacku.

– Nie wiem, co wasza dwójka robi „po omacku” – rzucił Kuni, posyłając Luanowi znaczące spojrzenie.

Luan rozłożył ręce.

– Gin sama podejmuje decyzje, wiesz o tym.

– Hegemon na moim miejscu już by zarządził wymarsz do Boamy.

– Ale nie jesteś Matą Zyndu.

– Tak, lecz zastanawiam się, czy w tym przypadku decyzja Maty nie byłaby lepsza.

Do pokoju weszła Risana, trzymając w ramionach dziecko. Podeszła do męża i podała mu niemowlę. Timu i Théra wciąż zachowywali dystans wobec ojca, ponieważ tęsknili za matką i nie byli przyzwyczajeni do Kuniego. Dlatego król był wyjątkowo czuły dla maleństwa. Księcia, wciąż jeszcze niemającego oficjalnego imienia, nazywano Hudo-tiką.

– Gdyby Gin była mężczyzną, wiedziałbyś, co zrobić? – zapytała Risana, kiedy Kuni

przestał chodzić w kółko i zaczął się bawić z Hudo-tiką.

Kuni zastanowił się nad odpowiedzią.

– Może. W przypadku ambitnych mężczyzn czasami lepiej jest pozwolić im wspiąć się tak wysoko, jak zechcą, byle tylko pozostali po twojej stronie. Nie można pokazać komuś, jak wysoko może lecieć latawiec, nie będąc gotowym popuścić linki. Zaufanie często jest lepszą niż zazdrość drogą do zdobycia lojalności.

– To coś, czego Mata Zyndu nigdy się nie nauczył – powiedział Luan Zya.

– A czy płęć Gin robi jakąś różnicę? – dopytywała Risana. – Gin zawsze prosiła po prostu o pozwolenie na grę według tych samych zasad, którymi kierujecie się wy wszyscy.

Kuni pokiwał głową.

– Znów przegnałaś mgłę z moich myśli. Nikt z nas nie jest idealny, lecz nasze niedoskonałości mogą się dopełniać i wspólnie stać czymś wielkim. Pogratuluję Gin.

– A co z jej pytaniem, czy wysłać ci pieczęci Rimy i Faça?

Kuni połaskotał Hudo-tikę i machnął ręką na Luana.

– To tylko sprawdzian. Powiedz jej, żeby je zatrzymała i zadbała o Rimę i Faça.



Strażnicy przyprowadzili do królowej Gin łysego żebraka w białej pelerynie.

– Twierdzi, że ma ważne informacje na temat hegemonia.

– Co masz mi do powiedzenia, starcze? – zapytała Gin.

– Zdradzę ci to wyłącznie na osobności.

Gin odesłała strażników, lecz sięgnęła pod biurko i zamknęła dłoń na rękojeści miecza.

– Mów.

– Od czasu do czasu bogowie zysują nam dary – zaczął żebrak. – Jednak te dary nie są czystymi błogosławieństwami, ponieważ bogowie to istoty dumne i zazdrosne, tak samo jak śmiertelnicy. Jeśli odrzucisz boski dar, czeka cię wielkie nieszczęście.

Gin roześmiała się.

– Wychowałam się na ulicach Dimushi. Myślisz, że nie słyszałam tych samych słów od setek oszustów? Nie potrzebuję twoich wróżb, zapłacę ci, żebyś odszedł.

– Nie jestem wróżbiarzem.

Gin przyjrzała mu się uważniej. Zobaczyła kontrast między jego brudną twarzą a nieskazitelnie białą peleryną; przekonała się, że starzec wcale nie opiera się na lasce, zaś jego twarz w świetle przesączającym się przez mgłę Boamy sprawiała wrażenie raz młodej, raz starej.

Kiwnęła głową, by zachęcić go do mówienia.

– Wasza Wysokość, Wyspy Dary są dzisiaj podzielone między trzech wielkich bohaterów. Kuni Garu zawładnął zachodem, Mata Zyndu południem, ty zaś przejęłaś północ. Garu i Zyndu znaleźli się w martwym punkcie i żaden nie może zdobyć przewagi nad drugim. Jeśli pomożesz Garu, Zyndu przegra. Jeśli wspomóżesz Zyndu, przegra Garu.

– Jesteś zuchwałą.

– Jeśli któremuś pomożesz, z czasem zwycięzca wystąpi przeciwko tobie, ponieważ wielcy nie lubią być obserwowani. Być może najlepszym dla ciebie rozwiązaniem będzie

neutralność. Posiadasz teraz ziemie Faça i Rimy. Nie istnieje powód, dla którego nie miałybyś podbić Ganu i Wilczej Łapy. A wtedy zarówno Garu, jak i Zyndu będą musieli błagać o twoje wsparcie, zabiegając o twe względy niczym kawalerowie u panienki. I taką sytuację możesz wykorzystać, by zawładnąć całą Darą, jeśli tylko zechcesz.

Mazoti wyobraziła sobie Wyspy jako gigantyczną planszę do gry w *cüpa*. W myślach poustawiała kamienie i doszła do wniosku, że żebrak ma rację.

– Jeśli takiej pragniesz przyszłości, musisz teraz zadeklarować swoją niezależność i odciąć się od Kuniego Garu. Niech świat się dowie, że sama decydujesz o swoim losie i nie słuchasz niczyich poleceń.

Mazoti popatrzyła na pieczęcie Faça i Rimy na małym stoliku obok. Leżał tam też list z gratulacjami od Kuniego: „Twoje zwycięstwa na zawsze zapiszą się w księgach Dary”. Żebrak już miał kontynuować swoją przemowę, kiedy Gin mu przerwała:

– Muszę zastanowić się nad tym, co powiedziałeś.



Gin udała się do świątyni Rufizo w Boamie. Przybytek ten zbudowano nad gorącym źródłem, które miało mieć leczniczą moc, podobnie jak wodospad Rufizo we wschodniej Faça.

Gin uklękła przed ogromnym zielonym posągiem z jadeitu i zaczęła się modlić.

– Uchroniłeś mnie kiedyś przed wybraniem drogi, którą uznałeś za wielką dla mnie szkodę.

Spojrzała na białego gołębia z jadeitu, *pawi* Rufizo, wyrzeźbionego na ramieniu posągu.

– Przemów do mnie teraz i powiedz, gdzie mam się udać?

Czekała cierpliwie, jednak odpowiedź nie nadeszła.

Wracając ze świątyni, włożyła rękę do wody, która wypłynęła z gorącego źródła. Okazała się wręcz parząca i Gin nie mogła zbyt długo wytrzymać. Jednak uparła się i nie wyjęła ręki, dopóki na skórze nie pojawiły się pęcherze.

Ból zdawał się echem ran w jej sercu, które nigdy się nie zabliznią: rozbrzmiewały krzykami dzieci czekających na okaleczenie, smagnięciem bicia w rękę przekonanego o własnej słuszności człowieka, upokorzeniem czołgania się między nogami dręczyciela, latami nieustannego strachu i przerażenia. Gin zacisnęła dłoń: właśnie dlatego musiała dążyć, walczyć, demonstrować i zdobywać – żeby czuć się bezpieczna.

Lecz czyż świat nie oferował czegoś więcej?

„Bogowie są milczący i kapryśni”, pomyślała. Najchętniej znalazłaby tego lekarza, który zatrzymał ją w wiosce w Dasu. Miała ochotę go chwycić i nim potrząsnąć, żeby powiedział jej to, co potrzebowała usłyszeć.

Potem opanowała się i wróciła do pałacu, żeby opatrzyć zranioną dłoń.

Musiała wybrać własną ścieżkę, tak jak zawsze do tej pory.



– Kiedy byłam nikim, król Kuni potraktował mnie jak przyjaciółkę – powiedziała do żebraka.

– Przyjaźń władców jest jak obietnica pijaka – odparł starzec.

Jednak Gin zignorowała jego uwagę.

– Częstował mnie swoim jedzeniem i woził swoim powozem. Dał mi swój miecz i nadał tytuł marszałka Dasu, wywyższając mnie nad innych. Kon Fiji zawsze powtarzał, że ludzie powinni być gotowi umrzeć za wielkich panów, którzy docenili ich talent. Kobieta nie może być wyjątkiem. Nie zdradzę go.

– Myślisz, że słowa tego starego oszusta Kona Fijiego powinny rządzić twoimi czynami? Żyjemy w świecie mieczy i krwi, nie ideałów.

– Jeśli porzucimy wszystkie ideały, zostanie nam świat bez fundamentów. Kon Fiji może nie wiedział, jak wygrać wojnę, ale znał się na moralności.

Żebrek pokręcił głową i wyszedł.



Kiedy Puma Yemu w dalszym ciągu zakłócał przepływ towarów w Cocru, Mazoti zdobywała coraz większe tereny na wschodzie. Królestwa Tiro wciąż lojalnie hegemonowi przegrywały bitwę za bitwą, aż w końcu Mazoti podbiła wszystkie ziemie na wschód od gór Wisoti, w tym Wilczą Łapę i wszystkie bogate miasteczka dawnego Ganu.

Théca Kimo odnosił podobne sukcesy na zachodzie. Pod jego panowaniem znalazły się Arulugi, Écofi i Wyspa Półksiężycowa, zaś flota wspierana przez mechaniczne crubeny nieustannie zagrażała cocruskiemu brzegowi. Sterowce Cocru ostatecznie straciły tyle gazu, że nie mogły już latać, a Kuni Garu posłał swoją flotę powietrzną, by spuszczały nad cocruskimi miastami pociski ogniowe i ulotki wyliczające grzechy Maty Zyndu.

Mata Zyndu gasił jeden pożar po drugim. Pod jego nieobecność siły Kuniego często przeprowadzały się przez Liru, jednak zaraz po powrocie je przeganiał. Armia Kuniego nie mogła wygrać z Matą w sprawiedliwej walce i Kuni musiał raz po raz rzucać wszystko i wracać do Dimushi.

Impas trwał trzy lata.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

CHWAŁA CHRYZANTEMY

COCRU: JEDENASTY MIESIĄC ÓSMEGO ROKU
PRYNCYPATU

Armii Maty kończyły się zapasy jedzenia. Lata nieustannych wojen prowadzonych w całym kraju i zaniedbania administracyjne zebrały swoje żniwo. Niekończące się napady Pумы Yemu również miały w tym swój udział, a transport drogą morską uniemożliwiały statki Théki Kimo i mechaniczne crubeny.

Cocruscy żołnierze uciekali się do sadzenia warzyw bezpośrednio na terenie obozów. Dezercja się szerzyła, bez względu na to, jak dobry przykład dawał Mata swoim męstwem.

Każdego dnia hegemon przypinał sobie latawiec bojowy i leciał nad Liru.

– Kuni Garu, chodź i walcz ze mną w powietrzu! – wołał, lecz ani razu nie doczekał się odpowiedzi.

Kuni za to wezwał sterowiec. Według Maty taki postępek był wręcz nie do pomyślenia; to jak przynieść nóż, szykując się z kimś do walki wręcz. Jednak Kuni nie miał skrupułów.

Sterowiec przeleciał blisko latawca, a załoga wystrzeliła w stronę Maty kilka strzał.

Ratho, który dowodził ludźmi trzymającymi linę latawca, przeklinał perfidię Kuniego Garu. Żałował, że bronił tego człowieka w czasie przyjęcia w Pan. Wysyłanie do walki łuczników, gdy hegemon wzywa do pojedynku równych sobie, jest zupełnie niehonorowe. Ratho nie rozumiał, jak żołnierze Kuniego Garu mogą znosić służbę dla takiego tchórza. Krzyknął do swoich towarzyszy, żeby ściągnęli latawiec na ziemię.

Jednak Mata zawołał, żeby przestali. Otworzył szeroko oczy, spojrzał na załogę sterowca i się roześmiał, a następnie wydał z siebie gorzkie, nieartykułowane wycie, które zabrzmiało jak zawrodoenie cierpiącego wilka.

Łucznicy zadrżeli i ich strzały nie trafiły do celu. Nie mogli znieść widoku samotnej postaci frunącej na niebie.



– Ile jeszcze lat będziemy toczyć tę wojnę? – pytał Kuni. – Ile jeszcze lat minie, zanim zobaczę Jię?

Jego doradcy tym razem nie mieli nic mądrego do powiedzenia, nawet Luan Zya.



Kuni zaproponował wynegocjowanie trwałego traktatu pokojowego. Raz jeszcze wypłynęli z Matą na środek Liru. Każdy wzniósł toast za drugiego.

– Kontynuowanie tej wojny wyrządza krzywdę mieszkańcom Dary. Nie jestem w stanie podbić Cocru, a ty się z niego wydostać. Możemy się zgodzić na podzielenie świata na pół? Całe południe od rzek Liru i Sonaru będzie na zawsze należeć do ciebie, a reszta do mnie.

Mata roześmiała się smutno.

– Powinienem być posłuchać Torulu Peringa jeszcze w Pan.

– Obaj przebyliśmy trudną drogę i mamy do siebie mnóstwo żalu. Chciałbym znowu móc nazywać cię bratem.

Mata popatrzył na Kunięgo, na jego wykrzywioną bólem twarz. Poczł coś na kształt współczucia. Może każdy człowiek umiał zachować się honorowo, po prostu jednym przychodziło to trudniej niż innym.

Raz jeszcze podniósł czarkę.

– Za ciebie, bracie.



Marsz powrotny do Çaruzy był dla Maty długi i powolny. Oddał rodzinę Kuniemu i pozwolił Pumie Yemu bezpiecznie dotrzeć do Géfiki, jeśli tylko zaprzestanie swoich najazdów. Jego ludzie byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Wojna wreszcie się kończyła.

– Hegemonie. – Ratho Miro pośpieszył swojego konia, żeby zrównać się z Matą. – Kuni Garu nawet raz nie pokonał cię w walce. Po prostu zabrakło nam szczęścia.

Mata Zyndu pokiwał głową. Poklepał lekko kark swojego wierzchowca, żeby znów wysunąć się na przód i jechać samotnie.



Ponowne zjednoczenie rodziny Garu było słodko-gorzkie.

– Mama!

Timu, teraz ośmioletni, i Théra, rok młodsza, zawsze traktowali Kunięgo z dystansem. Teraz puściły Risanę i podbiegły z dziką radością do Jii, by mocno ją uściskać. Mały Hudo-tika dalej trzymał się szaty ojca i patrzył z zaciekawieniem na tę nową, wytworną ciocię, której nigdy wcześniej nie widział.

Risana ukloniła się nisko w *jiri*.

– Starsza Siostró, od naszego pożegnania w Zudi nie było dnia, żebym razem z synem nie dziękowała ci w naszych modlitwach. Teraz, gdy Kuni cię odzyskał, Dasu znowu ma swoją królową, a na świecie zapanował porządek.

Jia kiwnęła głową, lecz na jej twarzy pojawił się gorzki uśmiech. Towarzyszyła jej, ku zaskoczeniu Kunięgo, Soto.

– Są rodziny nam przydzielane i są te, które sami sobie wybieramy – powiedziała Soto.

– Jestem zaszczycony – odparł Kuni i uklonił jej się nisko. – A co z Matą?

– Kocham swojego bratanka, jednak nasze drogi się rozeszły.

Otho Krin jeszcze bardziej wychudł w czasie tych ostatnich lat uwięzienia, lecz

jednocześnie w jego oczach była siła, jakiej Kuni jeszcze u niego nie widział. Timu i Théra, wciąż trzymając się kurczowo matki, zawołali „wujka Otho” z takim ciepłem, że serce Kuniego zamarło.

Wypuścił wstrzymywane powietrze i się uśmiechnął.

– Cierpieliście przeze mnie. Przepraszam i dziękuję.

Otho uklonił się i wycofał razem z Soto z pokoju; Risana zabrała dzieci, żeby się razem pobawiły.

Jia i Kuni padli sobie w ramiona i wybuchnęli płaczem. Ciepło, jakie poczuli, było kojące, lecz także słabe, a ich zapachy były zupełnie nieznanym po tylu latach rozłąki. Wiedzieli, że będą potrzebowali czasu na powtórne rozpalenie tego płomienia, który niegdyś rozgrzewał ich mały domek w Zudi i który zapłonął z pasją w domu pod Çarużą.

– Zapłaciłaś wysoką cenę za nasz sukces – rzekł Kuni.

– Ty podobnie – odparła Jia.



Kiedy Luan Zya pakował swoje rzeczy, szykując się do odwrotu, usłyszał szelest papieru. Obejrzał się i zobaczył, jak przewracają się karty magicznej księgi, *Gitré Üthu*, podarowanej mu przez haańskiego rybaka.

W namiocie nie czuło się wiatru.

Dawno temu dwa wielkie crubeny, jeden niebieski, drugi czerwony, walczyły o władzę nad morzem. Ogromne zwierzęta miały tyle samo siły i walczyły przez siedem dni bez rezultatu.

Każdego dnia za obopólną zgodą crubeny kończyły walkę o zachodzie słońca. Spały po przeciwnych stronach podwodnego rowu, żeby zregenerować siły. Kiedy nad ranem wstawało słońce, na powrót zaczynała się bitwa.

Siódmej nocy, gdy czerwony cruben już miał udać się na spoczynek, przyczepiona do jego cielska podnawka wyszeptwała swojemu nosicielowi:

– Wykończ go. Wykończ go. Wykończ go. Kiedy jego oczy się zamkną, a umysł pogrąży się w głębokim śnie, wbij mu róg w serce. Wykończ go. Wykończ go. Wykończ go.

– A cóż to za rada? – zdziwił się cruben. – Ni krztyny sprawiedliwości i honoru w takim postępku, a ja po tylu dniach walki zaczęłam podziwiał swojego przeciwnika.

– Jestem przyczepiona do ciebie – odparła podnawka. – Żywię się resztkami, które, gdy jesteś po posiłku, wypływają z twojej paszczy. Przemierzyłam cztery morza jedynie dzięki twojej sile. Jeśli wygrasz, będę miała więcej pokarmu i być może urosnę, a inne ryby będą mi zazdrościć dużych kolorowych płetw. Jeśli jednak przegrasz, znajdę innego nosiciela. Chociaż skorzystam na twoim zwycięstwie, nie stracę w przypadku porażki. Pamięć morza rzadko jest litościwa dla wielkich stworzeń, które za swój upadek moralny winią swoje sługi.

Cruben był zaskoczony.

– Czyli przyznajesz, że niczym nie ryzykujesz, podczas gdy ja ryzykuję wszystkim. Dlaczego miałbym cię słuchać?

– Ponieważ żyję tak nisko, przyczepiona do twojego brzucha, moim zadaniem nie jest być twoim sumieniem, lecz myśleć o tym, o czym ty nie masz odwagi myśleć, i tworzyć plany, których ty nie masz śmiałości tworzyć. Kiedy znajdziesz wspaniałego crubena, pana morskich wód, którego łuski są błyszczące, którego skóra jest gładka, którego ciało emanuje zdrowiem i wigorem, przekonasz się, że przyczepione są doń podnawki żywiące się brudem. Cruben, którego podnawki boją się zabrudzić, nie żyje zbyt długo i nie świętuje zwycięstw.

I czerwony cruben posłuchał podnawki, i stał się panem czterech mórz.

Luan Zya zamknął księgę i zaśmiał się gorzko. Czy tak będą go pamiętać następne pokolenia?

Potem przypomniał sobie blask księżycy padający na ruiny w Ginpen i pieśń haańskich dzieci. Przypomniał sobie obietnicę, jaką złożył ojcu, i raz jeszcze poczuł niepokój w duszy. „Im bardziej wzniosłe ideały, tym bardziej przyziemne metody”.



Armia Kuniego wycofała się z Dimushi w stronę Pan, które Cogo Yelu kazał odbudować. Rodzina Kuniego została wysłana przodem. Jeden z punktów traktatu pokojowego zakładał zakaz stacjonowania sił obu stron w zasięgu osiemdziesięciu kilometrów od Liru.

– Myślałeś już o tym, kiedy powinniśmy zaatakować? – zapytał Luan.

Jechali powozem Kuniego. Król czytał raporty dotyczące plonów i podatków, rozmyślając o tym, jak zarządzać nowymi terenami, skoro wojna się skończyła. Wiedział, że wszystkie stare archiwa zachowane przez Cogo Yelu bardzo się przydadzą, i raz jeszcze dziękował w duchu za skrupulatność premiera. Pytanie Luana zupełnie go zaskoczyło.

– Zaatakować?

Luan wziął głęboki oddech.

– Nie myślisz chyba, że ten traktat pokojowy to koniec?

Kuni popatrzył na niego.

– Wojna trwała i tak za długo. Ani ja nie pokonam Maty, ani on mnie. Przyłożyłem swoją pieczęć. To koniec.

– Pieczęć to tylko znak na kartce papieru, z dokładnie taką mocą, jaką zdecydujesz się mu nadać. Cocruska armia nie ma już zapasów, a teraz żołnierze rozpierzchli się po całym Cocru i opuścili gardę. My natomiast, dzięki wysiłkom Cogo, wciąż pozostajemy doskonale przygotowani. Mamy najlepszą okazję, by z całym impetem uderzyć w ich tyły.

– Wtedy historia zapamięta mnie jako wielkiego zdrajcę. Oskarżenia Maty zostaną wyryte w kamieniu, ostatecznie potwierdzone moim postępkami. Twoja rada jest przeciwna zasadom wojny. Nie zostanie mi krztyna honoru.

– Osądu historii nie jesteś w stanie przewidzieć. Widzisz potępienie ludzi naszego pokolenia, lecz ono nie musi się pokrywać z oceną twoich czynów widzianą z dystansu przyszłości. Jeśli nie zaatakujesz teraz i nie zakończysz wojny, ludzie w dalszym ciągu

będą umierać. Za dekadę lub dwie Dasu i Cocru raz jeszcze wystąpią przeciwko sobie, Liru spłynie krew, a lud Dary znowu będzie cierpieć i ginąć.

Kuni wrócił myślami do mieszkańców Dary, których porzucił w nadziei zachowania przyjaźni Maty. Wciąż nawiedzały go w snach ich krzyki i widok ulic zalanych krwią.

– Poświęcisz życie ludzi dla własnego honoru, dla pustego słowa? – zapytał Luan. – Dla mnie to kwintesencja egoizmu.

– Czyż nie ma miejsca dla litości? Żadnego współczucia pośród bogów i śmiertelników?

– Litość dla wroga to okrucieństwo wobec przyjaciół.

– Ta logika, Luanie, może stać się doskonałą wymówką dla wszystkich tyranów.

– Królowa Gin zawsze przekonywała, że jeśli idzie się na wojnę, należy zrobić wszystko, by ją wygrać. Ostra krawędź nie czyni noża nikczemnym, tak jak plan nie jest haniebny tylko dlatego, że dzięki niemu osiąga się swój cel. Wszystko zależy od intencji. Królowie nie kierują się tymi samym zasadami moralnymi co zwykli ludzie.

Kuni nic na to nie odpowiedział.

– Jeśli nie wykorzystasz każdej nadarzającej się okazji, bogowie potępiają cię za twoje błędy.

Traktat w rękach Kuniego stał się ciężki. Czy życie ludzi byłoby jeszcze cięższe?

Wydaje mi się, że to ja władam potęgą – pomyślał. – Lecz może to potęga włada mną”.

– Wezwij Müna Çakriego i Thana Carucono – rzekł i westchnął zrezygnowany, po czym podarł dokument na kawałki. W ciągu kilku chwil strzępki papieru zniknęły, niesione przez wiatr, niczym słowa wypowiedziane i zaraz zapomniane.



Mata Zyndu otrzymał wieści o zdradzie Kuniego Garu w Rana Kida, pozbawionym murów miasteczku na równinie Porin, wiele kilometrów od Çaruzy.

Armia Kuniego przeprowiła się przez rzekę, zaś oddziały Théki Kimo zeszły na ląd w Canfin. Na wschodzie ludzie Mazoti przedarli się przez obronę na wzgórzach na południowym krańcu gór Wisoti. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy Dasu i ich sojuszników maszerowało teraz w stronę Maty.

Hegemon rozdzielił większość swoich sił między rozrzucone po całym Cocru garnizony, zostawiając sobie zaledwie pięć tysięcy jeźdźców.

– Zupełnie jak na Wilczej Łapie i w Zudi – powiedział Ratho. – Chociaż jest ich dziesięć razy więcej, raz jeszcze wygramy.

– Ach, mój bracie – szepnął Mata i podarł traktat na strzępy, a te uleciały jak ćmy niesione chłodnym późnojesiennym wiatrem.



Armia Dasu odniosła miażdżące zwycięstwo, ścinając przeciwnika jak sierp zboże. Była zima, a głośny stukot końskich kopyt o zmarzniętą ziemię dało się słyszeć z odległości wielu kilometrów. Minawszy lepiej bronione garnizony, siły Kuniego ruszyły bezpośrednio

do Rana Kida, rozciągając linie zaopatrzenia jak długie liny latawców w czasie porywistego wiatru.

Mata zebrał swoje oddziały na szczycie wzgórza niedaleko Rana Kida. Armie Kuniego, Théki i Gin połączyły się i otoczyły wzgórze ciasno jak żelazne pierścienie beczkę. Gin Mazoti została mianowana głównym dowódcą. Oto stała u progu dokonania swego największego dzieła, rozegrania największej bitwy.

Wulkany Fithowéo i Kana wyrzuciły strumienie lawy, a tak gwałtownej burzy śnieżnej, jak ta, która się wówczas rozpętała, nie pamiętał nikt. Wiatr zmieniał co chwilę kierunek, płatki śniegu zbijały się razem z gradem w grube grudki. Nawet bogowie zdawali się walczyć między sobą.

Hegemon kazał swoim ludziom dniem i nocą próbować się przebić przez oddziały Gin Mazoti, jednak raz po raz musieli wracać na wzgórze. Nieustannie padający śnieg i porywy wiatru uniemożliwiały lot sterowcom, a ziemia była zbyt zmarznięta, by wykopać w niej dołki pod palisadę czy inne fortyfikacje, więc Mazoti musiała polegać wyłącznie na formacjach piechoty, które powstrzymywały Matę jedynie dzięki ogromnej przewadze liczebnej.

Kiedy Mata się cofał, Mazoti rozkazała swoim ludziom atakować wzgórze falami. Za każdym razem ich szturm odpierano, a wielu z nich ginęło. Jednak Mazoti mogła pozwolić sobie na takie straty. Nie da przeciwnikowi szansy na odpoczynek, na sen. Zmęczy go i zetrze na proch.

Temperatura spadła jeszcze bardziej. Cocruskim żołnierzom brakowało ciepłych rękawiczek i płaszczów, a ich dłonie przyklejały się do żelaznych rękojeści; krzyczeli z bólu, odrywając broń razem ze skórą. Kładli się na zimnej ziemi, próbując odpocząć, a usta napełniali śniegiem, by powstrzymać głód. Padło wiele koni, które nie jadły od kilku dni, a ich ciała natychmiast oprawiano.

Mimo to pośród cocruskich żołnierzy nie mówiło się o kapitulacji.



– Tak nie może być – powiedział Kuni do Gin w jej namiocie. – Zbyt wielu ludzi umiera.

Przez dziesięć dni siły hegemonu utrzymywały pozycję na wzgórzu, a na każdego zabitego cocruskiego jeźdźca przypadało pięciu martwych żołnierzy Dasu.

– Jest czas na finezję, lecz jest też czas na wygrywanie czystą liczebnością – oznajmiła Gin. – Jeśli nie pokonamy szybko hegemonu, przybędą mu z pomocą oddziały z całego kraju i odetną nam zaopatrzenie. Moja taktyka może i jest brutalna, lecz działa. Już od kilku dni nasi przeciwnicy nie jedzą nic prócz powalonych koni, a większość teraz cierpi z powodu odniesionych ran. Musimy przeć, dopóki się nie ugną.

– Lecz ja wiem, jak lojalni są ludzie Maty: nigdy się nie poddadzą. Mam za zwycięstwo zapłacić tak wysoką cenę jak Mapidéré? Tyle samo zostawić sierot i wdów? Nawet jeśli wygramy, stracę serce mojego ludu.

Gin westchnęła. Wrodzona dobroć Kuniego nie zawsze działała na korzyść planów wojennych, jednak właśnie ze względu na nią mu służyła.

– W takim razie co proponujesz? Nie możemy przecież znowu podpisać traktatu

pokojuowego.

– Risana ma pewien pomysł.

Z cienia za Kunim wyłoniła się jego druga żona.



Kiedy Jia i jej ojciec zostali więźniami hegemonu, Kuni chciał wysłać Risaną i dzieci do Ginpen, z dala od niebezpieczeństw frontu. Nie mógł sobie pozwolić na stratę kolejnych członków rodziny. Jednak Risana upierała się, by pozwolił jej towarzyszyć sobie na wojnie.

– Kobiety potrzebują swojej przedstawicielki – argumentowała.

Oddziały posiłkowe kobiet utworzone przez Gin w dużej mierze przyczyniły się do sukcesu armii Dasu. W porównaniu z innymi armiami sojusznicznymi oddziały z Dasu jadały zdrowsze posiłki i utrzymywały broń i zbroję w lepszym stanie, a wielu żołnierzy przeżyło mimo ran, które przyniosłyby im śmierć, gdyby nie pewne ręce zielarek i szwaczek.

W miarę jednak jak wojna się przeciągała, Gin coraz bardziej skupiała się na innych sprawach wojennych oraz zarządzaniu własnymi ziemiami, zaś kobiety z oddziałów posiłkowych były zanedbywane. Podczas gdy te znajdujące się w siłach powietrznych uważano za wyjątkowe i elitarne, pozostałe traktowano niemal jak posługaczki. Niektórzy dowódcy nadużywali swojego autorytetu, odmawiając kobietom żołdu, ignorując ich skargi i uważając je za robotnice obozowe, a nie część armii.

– Razem z matką pracowałyśmy na własne utrzymanie – powiedziała wtedy Risana. – Mogę im pomóc, sprawiając, że zostaną wysłuchane. Po co mi uprzywilejowana pozycja, jeśli mam jej nie wykorzystywać?



– Marszałku – rzekła Risana. – Może i nie znam się na strategii militarnej, lecz wiem co nieco o ludzkich sercach. Moim talentem jest umiejętność zagładania w głąb gęstych zarośli pragnień innych osób, by pomóc im dojrzeć ich drogę.

Chociaż Gin szanowała mądrość Risany, była już zmęczona i zdenerwowana, zaś słowa żony Kuniego wydały jej się zbyt zagmatwane.

– To nie miejsce na salonowe sztuczki i uwodzenie.

– Ach, marszałku, chociaż wcieliłaś kobiety do swojej armii, czy myślałaś kiedyś o nich jak o prawdziwych żołnierzach?

Gin zmrużyła oczy, ale kiwnęła na Risaną, żeby mówiła dalej. Gdy ta wyjaśniła jej swój plan, marszałek Mazoti zamyśliła się. Maszerowała w kółko pod czujnymi spojrzeniami Kuniego i Risany. Wreszcie podniosła wzrok.

– Jeśli to się nie uda, serca ludzi Maty staną się twarde jak skała, a ich opór będzie jeszcze większy. Ale warto spróbować. Król będzie musiał przemówić do nich osobiście.

Śnieżną nocą Gin, Kuni i Risana pojechali do obozu oddziału posiłkowego. Kobiety ustawiły się w szeregu i patrzyły z konsternacją na trójkę jeźdźców. Ufały Risanie, która

postarała się o lepsze warunki dla nich, lecz Kuni i Gin nigdy wcześniej tutaj nie zagląдали.

Łagodnie zachęciwszy konia, by wystąpił kilka kroków do przodu, Kuni przemówił, starając się przekrzyczeć zawroźnienie wiatru.

– Które z was pochodzą z Cocru?

Setki kobiet podniosły ręce.

– Wiem, że wiele z was przyłączyło się do mnie po stracie mężów, ojców, synów i braci w czasie rebelii i następnych wojen. Mamy szansę zakończyć dziś rzeź, jednak wyłącznie wtedy, gdy zgodzicie się pomóc.

Kobiety słuchały z kamiennym wyrazem twarzy, gdy Kuni przedstawił im plan Risany.

– Będziecie musiały stanąć przed armią Maty nieuzbrojone i bez eskorty – dodała Gin. – Nic nie osiągniemy, jeśli uznają was za zagrożenie albo pomyślą, że was do tego zmuszamy. Jeśli zaatakują, nie będziemy w stanie was uratować. Ani król, ani ja nie wymagamy od was udziału, jeśli uznacie to za zbyt niebezpieczne lub niemądre. Weźmiemy wyłącznie ochotniczki.

Jedna po drugiej, cocruskie kobiety wystąpiły przed szereg, formując ciasną falangę przed królem, jego żoną oraz marszałek.



Tamtej nocy Mazoti nie zaatakowała. Wręcz przeciwnie, zwiadowcy Maty Zyndu donieśli, że armia Dasu wycofała się o pół kilometra, zostawiając pusty pas ziemi wokół wzgórza.

Tuż nad ranem dało się słyszeć niesione przez wiatr kobiece głosy. Obudziły Matę w jego namiocie.

Czy to śnieg pada w dolinie?

Czy to deszcz spływa po twarzach dzieci?

Och, mój smutek, mój smutek jest wielki.

To nie śnieg przykrył dolinę.

To nie deszcz spływa po twarzach dzieci.

Och, mój smutek, mój smutek jest wielki.

To płatki chryzantemy zasypały dolinę.

To łzy zmoczyły twarze dzieci.

Och, mój smutek, mój smutek jest wielki.

Wojownicy padali jak płatki chryzantemy.

Mój syn, mój syn już nie wróci z bitwy.

Mata stanął przed swoim namiotem. Padał śnieg i wkrótce hegemon poczuł na twarzy wilgoć topniejących płatków.

Ratho Miro wjechał na szczyt wzgórza i zeskoczył z konia przed Matą.

– Hegemonie, cocruskie kobiety są w połowie wysokości wzgórza i śpiewają. Chociaż

nie towarzyszą im uzbrojeni żołnierze, to mogą być szpiegzy Dasu.

Do uszu Maty docierały teraz także niskie głosy. Kobiety i mężczyźni wspólnie śpiewali starą ludową pieśń, którą zna każdy urodzony w Cocru.

– Czy aż tak wielu naszych ludzi poddało się Kuniemu? – zapytał Mata Zyndu.

– To nie jeńcy śpiewają – powiedział Ratho i zawahał się. – To... nasze własne oddziały.

Zdumiony Mata rozejrzał się po otaczających go namiotach. W pierwszych promieniach wschodzącego słońca mężczyźni jeden po drugim wychodzili na zewnątrz. Niektórzy ocierali łzy, inni śpiewali, a kilku otwarcie płakało.

– Kobiety śpiewały bez przerwy od kilku godzin – wyjaśnił Ratho Miro. – Dowódcy kazali żołnierzom zatkać uszy woskiem, lecz oni nie posłuchali. Część z nich wyszła na spotkanie kobietom, szukając pochodzących z tych samych wiosek, żeby podpytać o rodziny.

Mata słuchał, pozostając w zupełnym bezruchu.

– Mamy wydać rozkaz ataku? – zapytał Ratho. – Ta... sztuczka Kuniego Garu nie jest warta nawet pogardy.

Mata pokręcił głową.

– Nie trzeba. Kuni już zdobył serca żołnierzy. Jest za późno.

Wrócił do swojego namiotu, gdzie Mira zajmowała się haftowaniem. Stał za nią i zobaczył, że ma tylko jedną czarną nić, która kręciła się i zwijała, tworząc poszarpaną ścieżkę wokół białego pola. Nie miała jednak jak uciec, ograniczona przez metalowy pierścień, który więził ją jak zwierzę w klatce.

– Mira, możesz coś zagrać? Nie chcę słuchać tego śpiewania.

Mira odłożyła robótkę i wyciągnęła kokosową lutnię. Hegemon klaskał do rytmu i śpiewał.

Ma siła przenosi góry.

Mój duch wielki jak morze.

Jednak bogów ulubieńcem nie jestem.

Mój koń nie ma gdzie galopować.

Cóż mam robić, Mira? Cóż?

Po twarzy Maty płynęły łzy, a oczy żołnierzy błyszcząły w blasku pochodni. Ratho wyciągnął rękę i mocno potarł powieki.

Mira dalej grała i teraz sama zaczęła śpiewać:

Armia Dasu nas otacza.

Cocruskie pieśni łamią serca.

Och, gdybyś był rybakiem, królu mój,

A ja wciąż córką rolnika znad morza.

Mira zamilkła, jednak jej pieśń zdawała się nadal brzmieć w zawodzeniu wiatru.

– Kuniego uważa się za wspaniałomyślnego dla swoich więźniów – powiedział Mata. –

Kiedy cię pojma, opowiedz im, jaki byłem dla ciebie okrutny i jak źle cię traktowałem. Wynagrodzi ci to.

– Całe swoje życie byłeś przekonany, że wszyscy cię w końcu zdradzą – odparła Mira. – Lecz to nieprawda. Nieprawda.

Ostatnie słowa Mira wypowiedziała wyraźnie ciszej. Mata, który stał do niej tyłem, odwrócił się, gdy jej głos osłabł do zaledwie szeptu. Zachwiała się, a on podbiegł, by ją złapać. W jej dłoniach zobaczył wąski sztylet: Cierń Crubena był wbity głęboko w jej serce.

Krzyk Maty dało się słyszeć z odległości kilku kilometrów. Wymieszał się z głosami śpiewających cocruskich mężczyzn i kobiet, a kto go usłyszał, mimowolnie zadrżał.



Mata wytarł gorące łzy z twarzy i delikatnie położył ciało Miry na ziemi.

– Ratho, zbierz wszystkich jeźdźców, którzy chcą jeszcze dla mnie walczyć. Przebijemy się przez linię wroga.

„Zupełnie jak na Wilczej Łapie”, pomyślał Ratho. Ośmiuset cocruskich jeźdźców ruszyło w dół wzgórza jak stado wilków i zdążyło dotrzeć do połowy zaspanego obozu Dasu, zanim wszczęto alarm i przeciwnicy podnieśli broń.

Ratho poczuł, jak znajomy zew bitewny przejmuje kontrolę nad jego ciałem. Nie przeszkadzało mu już zimno, strach i głód. Rozpacz zniknęła, a w jej miejsce pojawiła się radość, że raz jeszcze może walczyć u boku swojego pana, najwspanialszego wojownika, jaki urodził się na Wyspach Dary.

Czyż nie jechał niegdyś obok Maty Zyndu, by pokonać niepokonanego Kindo Maranę? Czyż nie spadł z nieba razem z Matą Zyndu i omal nie złapał zdradzieckiego Kuniego Garu w łóżku? Czyż nie dzierżył Prostoty, miecza zabranego przez Matę Zyndu jedynemu przeciwnikowi, który stanowił dla niego wyzwanie? „Jeszcze nie zaczęliśmy walczyć”.

Do przodu parło ośmiuset cocruskich jeźdźców, przebijając się przez zwarte szeregi Dasu. Uderzyli jak taran w cienkie drzwi. Chociaż jeden po drugim spadali z koni, Naroenna w dalszym ciągu cięła jak sierp księżycy przez wirujące płatki śniegu i zawodzący wiatr, jak kosa chwasty na łące, zabijając tych, którzy odważyli się stanąć jej na drodze. Goremaw, chociaż coraz mniej miał towarzyszy, nie ustawał w wysiłkach i miażdżył wrogów jak pięść Fithowéo, jak młotek kruche skorupy orzechów.

Słońce weszło już w pełni, kiedy Mata wreszcie się przebił przez linię wroga. Wokół niego została już tylko mniej niż setka jeźdźców.



Galopowali dalej, na południe, w stronę morza. W zamieci śnieżnej wszystko wyglądało tak samo, każdy kierunek był identyczny. Mata się zgubił.

Zatrzymał się przed rozwidleniem i zapukał do drzwi rolnika.

– W którą stronę do Çaruzy?

Starzec popatrzył na potężnego mężczyznę, który stanął w progu jego chaty. Nie miał wątpliwości, kim był nieznajomy, którego wzrost, szerokie bary i podwójne źrenice powiedziały mu wszystko. Nie istniał drugi taki człowiek jak Mata Zyndu.

Dwóch synów starca walczyło i umarło na jednej z niekończących się wojen hegemonu. Mężczyzna miał już serdecznie dosyć gadania o honorze i męstwie, o chwale i odwadze. Chciał tylko odzyskać synów, dwóch silnych chłopców, którzy ciężko pracowali na roli. Chłopców, którzy nie rozumieli, dlaczego muszą umrzeć, oprócz tego, że ktoś powiedział im, jak słodko jest ginąć za hegemonu.

– Tędy – powiedział starzec, wskazując na lewo.

Mata Zyndu podziękował mu i wsiadł z powrotem na swojego czarnego wierzchowca. Jeźdźcy ruszyli jego śladem.

Starzec stał jeszcze przez chwilę w progu. Słyszał stukot kopyt pogoni. Zamknął drzwi i zgasił świecę na stole.



Droga, którą wskazał, prowadziła na bagna. Wielu jeźdźców hegemonu musiało zeskoczyć z koni, gdy te zatopiły się po brzuchy w błocie, prychając i rżąc z bólu i strachu.

Mata zawrócił. Miał teraz przy sobie tylko dwudziestu ośmiu wojowników. Widzieli blask pochodni armii Dasu.

Hegemon poprowadził swoich ludzi na małe wzgórze.

– Żyłem w siodle przez dziesięć lat – powiedział. – Walczyłem w ponad siedemdziesięciu bitwach i nigdy żadnej nie przegrałem. Wszyscy, którzy występowali przeciwko mnie, ginęli albo się poddawali. Dzisiaj uciekam nie dlatego, że zapomniałem, jak walczyć, lecz ponieważ bogowie są o mnie zazdrośni. Jestem gotowy umrzeć, jednak najpierw zawalczę z radością i zadowoleniem w sercu. Wszyscy, którzy zawędrowaliście ze mną tak daleko, zwalniam was z obowiązku pójścia jeszcze dalej. Poddajcie się Kuniemu Garu, życzę wam jak najlepiej.

Nikt się nie ruszył.

– W takim razie dziękuję, że we mnie wierzycie. Pokażę wam, jak powinien żyć prawdziwy wojownik z Cocru. Ludzie Kuniego Garu wkrótce nas otoczą, a jednak zabiję przynajmniej jednego dowódcę, przechwycę jeden z ich proporców i przebiję się przez ich szereg. Wtedy będziecie mieli pewność, że umarłem nie z braku umiejętności, lecz przez kaprys losu.

Ścigająca ich armia Dasu wreszcie dotarła na miejsce i otoczyła wzgórze. Mata Zyndu kazał swoim ludziom ustawić się w kształcie klina, samemu stając na przodzie.

– Do boju!

Zjechali ze wzgórze, wbijając się w gęstwinę żołnierzy Dasu. Skierowali się wprost na dowódcę, który ze strachu otworzył szeroko oczy. Zanim zdążył się wycofać, Mata jednym ciosem Na-aroénny przeciął go na pół, od ramienia po brzuch. Ludzie hegemonu wiwatowali, zaś żołnierze Dasu rozpierzchli się jak płatki śniegu na wietrze.

Mata Zyndu ściągnął lejce Réfiroi, a wielki czarny wierzchowiec stanął na tylnych nogach. Kiedy hegemon podniósł się ponad otaczających go przeciwników, wydał bojowy

okrzyk:

– Haaaaaiiiii!

Zawołanie zawisło nad polem bitwy, a dotarłszy do uszu żołnierzy Dasu, zdumiało ich tak, że oniemieli. Wycofali się przed Matą jak owce przed wilkiem. Żaden nie miał dość odwagi, by znieść jego przeszywający wzrok.

Mata roześmiał się i skierował się prosto na jednego z dzierżących proporce. Wyciągnął rękę i zwyczajnie złapał powiewającą na wietrze flagę z crubenem, wyrrywając drzewce przerażonemu żołnierzowi, a potem złamał je na pół. Rzucił proporzec na ziemię, a Réfiroa z chęcią wbił go w błoto.

– Hurra! Hurra! – krzyknęli ludzie Maty.

Znowu ruszyli jego śladem, a wystraszona armia Dasu rozstępowała się przed nimi jak cofające się fale.

Kierując się na południe, Mata policzył swoich towarzyszy: zostało dwudziestu sześciu. Stracił tylko dwóch.

– Co myślisz? – zapytał.

– Było dokładnie tak, jak przewidziałeś, hegemonie – odparł Ratho.

Wszyscy poczuli się jak bogowie.



Wreszcie dotarli na brzeg morza. Mata zeskoczył z konia i dostrzegł stojący nieopodal zrujnowany dom. Serce zaczęło mu szybciej bić, kiedy go rozpoznał. To tutaj Jia, tuż pod Çaruzą, mieszkała przez wiele lat. To tutaj pili razem z Kunim i tutaj wziął na ręce jego syna.

Mata Zyndu wytarł łzy. *Cruing ma donothécaü luki né othu*, jak napisał kiedyś poeta epoki Ano: „Przeszłość to kraj, do którego nikt nie może wrócić”.

Podszedł do niego Ratho.

– Przeczesałiśmy najbliższą okolicę i nie ma nigdzie statku, jest za to łódź rybacka. Hegemonie, proszę, wsiądź na pokład i płyń do Tunoi. My zostaniemy i zatrzymamy Kuniego Garu. Tunoa jest niewielka, lecz łatwo ją obronić, a mieszka tam wielu ludzi, którzy mile wspominają nazwisko Zyndu. Możesz tam zebrać nową armię i wrócić, by nas pomścić.

Mata Zyndu nie zrobił nawet kroku. Stał w śniegu i myślał.

– Hegemonie, musisz się pośpieszyć! Pogoń jest tuż-tuż.

Mata Zyndu zeskoczył z Réfiroi i mocno klepnął konia w zad.

– Biedny wierzchowcu. Byłeś ze mną tyle lat, a ja nie mógłbym znieść widoku twojej śmierci. Idź, ukryj się i żyj długo.

Jednak Réfiroa nie chciał odejść. Odwrócił się do Maty i prychnął głośno. Para uszła z jego wielkich nozdrzy jak dym. Patrzył gniewnie na Matę.

– Przepraszam, stary przyjacielu. Nie powinienem prosić cię o coś, czego sam bym nie zrobił. Jesteś mi naprawdę równy, nawet w obliczu śmierci.

Spojrzał na swoich ludzi, w jego oczach był smutek.

– Kiedy razem z wujem opuściłem Tunoę i przybyłem na Wielką Wyspę, poszło za mną

ośmiuset mężczyzn, z głowami pełnymi marzeń o chwale. A jednak dzisiaj prosicie, bym popłynął sam, nawet bez ich kości. Jak mam stanąć przed ich ojcami, matkami, żonami, siostrami i dziećmi? Nie mogę wrócić do domu.

Stał razem ze swoimi ludźmi na plaży, z Réfiroą u boku, i patrzył na zbliżających się żołnierzy Dasu.



– Szybciej, szybciej! – poganiał ich Dafiro. – Król Kuni powiedział, że ten, który złapie Matę Zyndu, dostanie w nagrodę dziesięć tysięcy sztuk złota i tytuł hrabiego. Szybciej!

W blasku pochodni gęste szeregi utworzyły półkole wokół Maty i jego dwudziestu sześciu wojowników, za których plecami szumiało morze.

Wszyscy ludzie Maty zsiadli z koni. Zwierzęta otaczały teraz jeźdźców, tworząc barykadę ze swoich potężnych ciał. Mężczyźni stali na pokrytej śniegiem plaży, z wyciągniętymi łukami, gotowi do ostatecznej obrony.

Mata bez słowa dał znak i w powietrze pofrunęły ostatnie strzały. Dwudziestu sześciu żołnierzy Dasu padło na ziemię. Odpowiedź była znacznie gęstsza i liczniejsza, a strzały Dasu powaliły wszystkie konie i dwóch wojowników Maty.

Réfiroa leżał na ziemi, z jego wspaniałego ciała wystawał tuzin strzał. Wydał z siebie rzenie, które brzmiało niemal ludzko. Wokół niego większość zwierząt już zdechła, a kilka jeszcze konało.

Mata podszedł do Réfiroi. Jego oczy błyszczały w blasku pochodni. Czystym, pojedynczym cięciem pozbawił wierzchowca głowy, która zatoczyła delikatny łuk i wylądowała w morskiej wodzie. Żołnierze hegemonia wystąpili do przodu i skrócili męczarnie kilku innych koni.

Kiedy Mata Zyndu ponownie podniósł wzrok na przeciwników, jego oczy były już suche. Stał z rękami i bronią za plecami, na jego twarzy malowała się pogarda dla niegodnych stworzeń.

Żołnierze Dasu dobyli mieczy, podnieśli dzidy i zacieśnili półkole. Krok po kroku zbliżali się do legendy, jaką był Mata Zyndu.

– Daf! – zawołał Ratho. W migotliwym blasku pochodni dostrzegł twarz brata. – Daf, to ja, Rat!

Mata spojrzał na swojego przybocznego.

– To twój brat?

Ratho pokiwał głową.

– Tak. Wybrał złą stronę. Służy komuś, komu brak honoru.

– Bracia nie powinni walczyć przeciwko sobie – rzekł Mata. – Byłeś wspaniałym żołnierzem, Rat. Najlepszym, jakiego widziałem. Pozwól, że wręcę ci ostatni podarunek. Weź moją głowę i zostań hrabią.

Podniósł Na-aroénnę i wyszeptał:

– Dziadku, wuju, przepraszam. W moim sercu nigdy nie zagościły wątpliwości, lecz może to za mało.

Szybkim ciosem przeciął arterie na swojej szyi. Krew trysnęła wszędzie dokoła,

plamiąc śnieżną plażę. Ciało jeszcze przez chwilę pozostało w pozycji wyprostowanej, by zaraz paść na ziemię jak ścięty pień dębu.

– Rat, stój!

Było jednak za późno. Ratho Miro powtórzył czyn swego pana i rozciął własne gardło Prostotą. Wokół niego także inni jeźdźcy Maty Zyndu lądowali na piasku jak zwalone drzewa.

Żołnierze Dasu rzucili się przed siebie, by zdobyć choć kawałek ciała Maty Zyndu. Rozczłonkowali go i ostatecznie Kuni Garu musiał nagrodzić pięciu mężczyzn, bowiem każdy przyniósł mu fragment ciała hegemonu.



Wszystkie członki hegemonu zszyto, a potem pochowano za granicami Çaruzy. Kuni Garu uhonorował go jako princepsa, pierwszego spośród królów Tiro.

– Im silniejszy wróg, tym zacieklejsze serce – powiedziała Gin Mazoti w pierwszej mowie pogrzebowej. – Nawet kiedy siła Maty Zyndu słabła, jego odwaga rosła, a umysł tężał. Jednak gdy ujrzał szansę na zwycięstwo, często wahał się. Wierząc, że nie ma sobie równych, nie słuchał rad i nie ufał własnym generałom. Podbijał, dominował, był potęgą. A jednak dawno temu utracił serce ludu.

Lecz to słowa Kuniego Garu, który przemawiał jako ostatni, powtarzano jeszcze długo potem.

– Chociaż ogłoszono mnie dzisiaj zwycięzcą, kto wie, czy za dziesięć pokoleń to właśnie moje imię będzie sławniejsze? Zginałeś królewską śmiercią z mej ręki, lecz wątpliwości będą dręczyć mnie do końca życia. Widziałem, jak wzbijasz się wysoko do nieba, kiedy Namen prowadził oblężenie Zudi, lecz byłem także świadkiem twego okrucieństwa wobec niewinnych mieszkańców Dimu. Zachwyciłem się twą odwagą, szlachetnością i lojalnością, lecz drżałem przed bezwzględnością, podejrzliwością i uporem. Śmiałem się, gdy wzięłeś na ręce mojego synka, i płakałem, gdy kazałeś spalić Niepokalane Miasto. Rozumiałem poświęcenie, z jakim chcesz stworzyć świat takim, jakim go sobie upatrzyłeś, i żałuję, że nie był to świat, w jakim chcielibyśmy żyć. Ubolewałem, gdy nie chciałeś nazywać mnie bratem, a także potem, gdy musiałem zdradzić cię w Rana Kida. Byłeś mi bliższy niż rodzony brat, kiedy zwycięstwo zdawało się dalekie, lecz nie potrafiliśmy wspólnie cieszyć się z podbicia Pan. Od brzegów Wilczej Łapy po niebo nad Zudi zostawiłeś w pamięci ludzi niezatarte wrażenie. Przemierzyłeś świat jak burza. Mój bracie, nie będzie na Wyspach drugiego takiego jak ty.

Kuni był jednym z tych, którzy nieśli trumnę. Umazał twarz popiołem i założył wór żałobny. Przemaszzerowali ze szczątkami Maty przez ulice miasta, aż dotarli do miejsca jego spoczynku. Nikt nie widział, żeby kiedykolwiek Kuni płakał tak rzewnie.

Çaruza zakwitła chryzantemami. Ich zapach był tak silny, że ptaki uciekały z miasta.



Kiedy ciało hegemonia miało spocząć w ziemi, niebo nad procesją pogrzebową wypełniło się trzepotem skrzydeł wielu ogromnych kruków, czarnych i białych. Gdy rozdzieliły się zgodnie ze swymi kolorami jak kamiki na planszy do gry w *cüpa*, w stronę żałobników pomknęły sokoły Mingén. Zebrani arystokraci i ministrowie rozpierzchli się, porzucając trumnę hegemonia obok grobu.

Wtedy ziemia w tym miejscu eksplodowała jak targane szkwałem morze, a ze środka wyskoczyło stado potwornych wilków, cztery razy większych od człowieka. Wilki, kruki i sokoły spotkały się przy trumnie, otaczając ją równymi szeregami, niczym strażnicy gotowi do parady.

Zerwał się silny wiatr: miotał kamienie po ziemi, wrywał drzewa z korzeniami, a horyzont zasnuł gęsty obłok kurzu. Wszelkie dźwięki zagłuszało zawodzenie wiatru, wycie wilków, krakanie kruków i przeszywające sokole krzyki.

Świat zdawał się wracać do pierwotnego chaosu i nawet myśl zdawała się niemożliwa.

Nagle cały ten zgiełk ucichł i krajobraz zalały promienie słońca. Wszystkie zwierzęta zniknęły razem z ciałem hegemonia.

Arystokraci i ministrowie, w czasie tej krótkiej wichury leżący twarzami do ziemi, wstali powoli i zaczęli się ostrożnie rozglądać, zdeorientowani i zdumieni.

Cogo Yelu pierwszy odzyskał głos.

– Jakże pomyślnie! – zawołał do oniemiałych. – Bogowie Dary wspólnie powitali hegemonia w swoim świecie. My zaś jesteśmy świadkami początku nowej ery, ery spokoju i harmonii!

Kilku innych arystokratów, mających nosa do zmieniających się warunków na arenie politycznej, natychmiast wygłosiło swoje poparcie i pogratulowało Kuniemu Garu. Inni zaraz poszli ich śladem i wkrótce powietrze wypełniło się głosami pochwał pod adresem Kuniego. Powstała kakofonia przypominała chaos sprzed kilku chwil.

Kuni popatrzył na Cogo i posłał mu słaby uśmiech. „Skąd mamy wiedzieć, jaka jest wola bogów?”, zapytał bezgłośnie. Cogo pokazał ręką na tłum. „Wystarczy, że oni wiedzą, jaka jest twoja wola”.

Król Garu odwrócił się do zebranych i pokiwał głową powoli i majestatycznie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

KORONACJA

DARA: PIĄTY MIESIĄC PIERWSZEGO ROKU RZĄDÓW CZTERECH SPOKOJNYCH
MÓRZ

Łysy żebrak w białej pelerynie szedł ścieżką wijącą się przez pola sorgo.

Dotarł do maleńkiej wioski liczącej zaledwie około trzydziestu domów: prostej, zwyczajnej, biednej. Rozejrzał się, wybrał przypadkową chatę i zapukał do drzwi. Otworzył mu chłopiec, na oko ośmioletni.

– Czy nieznajomy może prosić o miseczkę owsianki, młody paniczku? – zapytał żebrak.

Chłopiec kiwnął głową, zniknął w głębi domu i zaraz wrócił z ciepłą owsianką. Nawet wbił do niej jajko.

– Dziękuję – odparł żebrak. – Dobrze mieliście plony zeszłego roku?

Chłopiec obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

– Podróżowałem – wyjaśnił nieznajomy. – Popłynąłem na Wielką Wyspę.

– Ach, to wszystko wyjaśnia. Po akcencie poznaję, że jesteś z Rui, lecz twoje pytanie sugeruje, że przybywasz z daleka. Nie, plony były mizerne. Kiji się chyba rozgniewał i zeszłej jesieni na Rui zbyt wiele razy padał deszcz.

Przybysz posmutniał, słysząc te wieści.

– Tym bardziej szczodry jest twój gest. Twoi rodzice na pewno nie będą mieli nic przeciwko?

Chłopiec roześmiał się.

– Nie ma o co się martwić. Król Kuni i premier Yelu kazali przysłać nam zboże z Géfiki i mamy mnóstwo jedzenia.

– Czyli lubisz króla, prawda? Nawet jeśli nie pochodzi z Xany?

– Nie mówimy już o Xanie.

– Ale to twoja ojczyzna!

Chłopiec pokręcił głową.

– Tu jest Rui, wyspa Dary.



W tej dalekiej dolinie położonej u podnóża gór Damu, których poszarpane szczyty wyrastały ponad chmury jak statki płynące poprzez morze mgły, daleko poza zasięgiem wzroku i słuchu śmiertelników, raz jeszcze się zebrali bogowie Dary.

Na łące leżał prosty posiłek składający się z owoców, nektarów i dziczyzny, a wokół niego rozsiedli się bogowie.

Lutho, Rapa i Rufizo, gospodarze, wydawali się spokojni, weseli, wręcz tryskający

radością.

– Nic dziwnego, że wyglądacie na szczęśliwych – powiedział Fithowéo. – Wasz faworyt wygrał.

– Daj spokój – odparł Rufizo. – Nowa era wśród śmiertelników powinna być zaczątkiem nowej ery także u nas. – Podniósł kielich pitnego miodu, a Rapa i Lutho podążyli jego śladem.

– Zawsze mówiłam, że powinniśmy razem pić, nie walczyć – rzekła Tututika i podniosła swój kielich.

Jednak pozostała trójka – Fithowéo, Kana i Kiji – siedziała z kamiennym wyrazem twarzy.

– Och, zapowiada się doskonała zabawa – rzucił Tazu. – Cieszę się, że tu jestem. – Osuszył swój kielich jednym haustem, nie czekając na resztę.

– Wojna się skończyła – oznajmiła Rapa. – Czyżby nasze serca były mniej otwarte niż serca śmiertelników? – Nie doczekawszy się odpowiedzi od Fithowéo, Kany i Kijiego, skupiła uwagę na siostrze. – Kana-tika, jak możesz odmawiać mnie, swojemu drugiemu ja?

– Nie próbuj tych sztuczek! Nie powinnam była cię słuchać, gdy razem z Fithowéo udaliśmy się po ciało Maty. „Och, siostrzyczko – mówiłaś – pozwól, że ja i Kiji pójdziemy razem z wami. Byłoby dobrze, gdyby wszyscy śmiertelnicy zobaczyli nasze *pawi* i dowiedzieli się, jak bardzo nam zależy”.

– I właśnie tego chciałam! – rzuciła Rapa. – W tej wojnie może i opowiedzieliśmy się po przeciwnych stronach, jednak ostatecznie jesteście bogami całej Dary.

– Piękne słowa – wtrącił Fithowéo – lecz wykorzystałaś nas! Przez ciebie wszyscy pomyśleli, że wspieramy Kuniego Garu!

– Nie zapominajcie o Kijim – zauważyła Kana. – On nienawidzi ich obu po równo, więc zrobiła z niego jeszcze większego głupca.

Spojrzeli wszyscy na Kijiego, jednak Władca Powietrza pozostawał milczący i zamyślony.

– Źle mnie oceniacie – zaprotestowała Rapa. – Prawda jest taka, że śmiertelnicy błędnie odczytali taniec, który zaplanowałam dla naszych *pawi*. Chciałam pokazać, że bogowie nadal nie są jednomyślni.

– I właśnie dlatego nasze kruki miały podzielić się według koloru – dokończyła za siostrę Kana.

– Właśnie tak. A potem zasugerowałam, by wilki Fithowéo wystąpiły przeciwko sokołom Kijiego, żeby śmiertelnicy nie pomyśleli, że Kiji wybaczył Macie Zyndu, profanatorowi grobowca Mapidérégo. – Rapa zobaczyła, że Fithowéo zamierza zaprotestować, więc szybko dodała: – A także największemu wojownikowi Dary.

– Jednak twój plan się nie powiódł – zauważył Fithowéo. – Ten Cogo Yelu wszystko przekręcił i sprawił, że ludzie uznali to za pokaz naszego wsparcia dla Kuniego Garu.

– I wszyscy go posłuchali! – lamentowała Kana. – Czy ludzie nie potrafią już myśleć samodzielnie?

– Nasze starannie przygotowane znaki zostaną zapisane w annałach Dary w postaci błędnej interpretacji jednego człowieka – powiedział Fithowéo.

– Śmiertelnicy zawsze mieli kłopoty z wyciągnięciem właściwych wniosków z historii –

rzekła Tututika. – Ach, moja Kikomi... – W jej niebieskich oczach zalśniły łzy.

Pozostali bogowie zamilkli z szacunkiem. Wszyscy pamiętali księżniczkę, która żeby uratować swój lud, poświęciła wszystko, nawet własne miejsce w historii.

– Młodsza siostró – odezwał się po raz pierwszy Kiji. – Kikomi kochała Amu równie mocno, jak Jizu kochał Rimę, a Namen Xanę. Moje serce ją opłakuje. Napijesz się ze mną? – Podniósł kielich. – Za łaskę królów, która pasuje jej lepiej niż jakakolwiek korona czy zaszczyty śmiertelników.

Tututika kiwnęła głową i oboje się napili.

– Zginęło zbyt wielu kochających swoją ziemię równie mocno co Kikomi, Jizu czy Namen.

To zdziwiło Fithowéo i Kanę. Ze wszystkich bogów to Kiji powinien być najbardziej wściekły. W końcu xańskie imperium przestało istnieć.

– Czas raz jeszcze zatoczył koło – ciągnął Kiji. – Mieszkańcy Dary, kiedy pojawili się na Wyspach i zanim podzielili się na królestwa Tiro, byli jednością. Jednak nawet wtedy mieli różny wygląd, co wskazywało na ich różne pochodzenie. Wszystkie Wyspy Dary na powrót są teraz jednością, a ludzie pokochają całą Darę tak, jak kiedyś kochali pojedyncze królestwa. Obiecaliśmy matce, że będziemy bogami wszystkich Wysp.

Zastanowili się nad tymi słowami, a zacięte twarze Fithowéo i Kany wreszcie złagodniały.

– Skoro śmiertelnicy wierzą w nasze pojednanie, równie dobrze możemy faktycznie się pogodzić. Dopóki Xańczykom nie będzie się działa krzywda, nie będę mówił o wojnie. Jeśli jednak Kuni okaże się inny, niż zapowiada, nie pozostanę obojętny.

– Ani ja – rzekł Fithowéo.

– Ani żadne z nas – przyznały wspólnie Rapa i Kana.

A potem zaczęli pić, jeść i rozmawiać na przyjemniejsze tematy, a na koniec zgodzili się udać na Arulugi, Piękną Wyspę, gdzie mieli kilka dni gościć u Tututiki.

Kiedy odeszli, Lutho i Rapa zostali na chwilę z tyłu.

– Zauważyłam, że się nie odzywałeś, gdy inni przemawiali – rzekła Rapa.

– Nie miałem nic do powiedzenia – odparł z uśmiechem Lutho.

Rapa zniżyła głos.

– Mój przebiegły bracie, podsuniecie mi tego tańca z *pawi* było dobrym pomysłem. Skąd jednak wiedziałeś, że śmiertelnicy „błędnie” go zinterpretują, dokładnie tak, jak chcieliśmy?

– Nie wiedziałem. Zawsze istniała szansa, że odbiorą ją tak, jak to dzisiaj opisałaś. Śmiertelnicy nigdy nie są przewidywalni, właśnie dlatego praca z nimi jest taka trudna. – Zawahał się, a potem dodał: – I tak wiele daje radości.

– Zagrałeś?

– Wolę mówić o wliczonym ryzyku. Czysty hazard to domena Tazu.

– Myślę, że spędziłeś zbyt wiele czasu na obserwowaniu pewnego rozbójnika z koroną na głowie.

Głosy bogów ucichły, a podmuch wiatru przyniósł ze sobą nad dolinę kilka nasion dmuchawca.



Wszyscy najważniejsi doradcy i generałowie Kuniego zostali zaproszeni do Zudi. Koronacja nowego cesarza miała się odbyć za kilka tygodni i teraz wszystkim pozostało jedynie cieszyć się widokiem świata bez wojen i spotykać się z dawnymi przyjaciółmi.



Rozniosła się wieść, że Cogo Yelu budował dla siebie potężną posiadłość na Rui. Jego nowy dom był tak luksusowy i wielki, że stało się jasne, iż Cogo musiał podkraść złoto ze skarbcza Dasu, by było go nań stać.

Kuni zmarszczył czoło. Dasu potrzebowało Cogo, może nawet bardziej niż kiedyś. Jego szybkie zawładnięcie opinią publiczną po zniknięciu ciała hegemonia było przebłyskiem prawdziwego geniuszu. Czasami Kuni się zastanawiał, czy Cogo nie znudził się rolą zaledwie doradcy... w każdym razie, z pewnością nowy cesarz nie mógł sobie pozwolić, by Cogo stał się arogancki.

Zaprosił go na herbatę.

– Ciężko pracowaliśmy, by zdobyć serca ludu – powiedział. – Jednak nie traćmy ich, folgując sobie teraz, gdy już osiągnęliśmy sukces.

Cogo natychmiast przeprosił i błagał o przebaczenie, jednak nawet słowem nie wskazał, za co właściwie przeprasza.

Kuni się roześmiał.

– Nie gniewam się na ciebie, Cogo. Rozumiem, że kiedy woda stanie się zbyt przejrzysta, nie będzie w niej ryb. Ludziom u władzy należą się pewne przywileje. Tylko bądźmy rozsądni, dobrze?

Cogo podziękował swojemu panu i wyszedł tak zdenerwowany, że nawet nie skończył herbaty.

Ludzie szeptali między sobą, jakim wspaniałomyślnym panem jest Kuni Garu.



Luan Zya, przechadzając się po ulicach Ginpen, patrzył i słuchał: młodzi uczeni w barach z przejściem dyskutowali o filozofii; matki z niemowlętami na plecach spoglądały na witryny sklepów, podśpiewując pod nosem proste pieśni w klasycznym albo recytując tabliczkę mnożenia; otwierały się długo zamknięte drzwi prywatnych akademii, gdzie służący zamiatali i zmywali podłogi, by były gotowe na przybycie nowych studentów.

Luan dotarł do ruin swojego dawnego domu. Przez wszystkie te lata zainteresował się nimi jedynie czas: w zaułkach i szczelinach między kamieniami rosły dzikie kwiaty – mleczce, lnice, wierzbówki, orliki, cykorie...

Kłęknał między zwalonymi ścianami, a promienie słońca ogrzewały jego twarz. Zamknął oczy i słuchał. Otaczały go dźwięki spokoju.

Później udał się do Wielkiej Świątyni Lutho. Maszerując przez główną salę i unikając

tłumu wiernych, dotarł do małego podwórza na tyłach. Tam rozejrzał się i zobaczył duży żółtawy kamień oparty o jedno z drzew. Przypominał skorupę żółwia.

Klęknął.

– Nauczycielu, przybyłem, ponieważ myślę, że moje zadanie zostało wykonane.

Czekał cierpliwie w nadziei, że stary rybak, który podarował mu księgę wiedzy, powróci. Jednak słońce zaszło i na niebie pojawił się księżyc, a Luan nadal pozostawał sam.

Poczuł, jak coś się szamoce w jego rzeczach. Rozplątał worek na plecach i wyjął z niego magiczną księgę, a ta otworzyła się sama. Ujrzał kartki zapełnione notatkami i rysunkami, które stworzył w ciągu ostatnich lat, będące śladem wędrówek odbytych przez jego umysł. W końcu książka zatrzymała się na pustej kartce.

Pojawił się świetlisty wers: „Kiedy cruben wypływa na powierzchnię, rozsądna podnawka zostawia go; kiedy zadanie zostaje wypełnione, mądry sługa odsuwa się w cień”.

Luan siedział długo w ciemności, by w końcu nisko się uklonić, dotykając czołem ziemi.

– Dziękuję, nauczycielu.

Pojawił się kolejny wers: „Zawsze dysponowałeś całą wiedzą zawartą w tej księdze; ja musiałem ci ją tylko wskazać”.

Potem świetliste litery zbladły i chociaż Luan Zya czekał aż do wschodu słońca, nic więcej nie pojawiło się na pustej stronie.



Po odwiedzeniu grobu starego zarządcy doków w pobliskiej wsi królowa Gin przyjechała do Dimushi. Zatrzymała się w najlepszej gospodzie, w której gościł też Luan. Przez kilka dni nie wychodzili z pokoju.

Pewnego ranka zdecydowali się na wycieczkę poza mury miasta. Gin założyła wygodną sukienkę zamiast królewskich szat, a Luan wybrał zwyczajną niebieską tunikę uczonego zamiast formalnego stroju dworskiego. Wyglądali jak para kochanków na wiosennym spacerze, nie jak królowa i główny strateg Dary. Luźno chwycili lejce i pozwolili koniom wędrować swobodnie, a sami cieszyli się ciepłym i słonecznym dniem.

– Zastanawiałaś się już, co będziesz robić dalej, Gin?

– Kuni powiedział, że po koronacji chce mnie uczynić królową Gėjiry. Gėjira jest znacznie bogatsza od Rimy i Faça. To odpowiednia nagroda.

Luan nie odpowiedział, więc Gin odwróciła się i zobaczyła, że jej towarzysz marszczy brwi.

– O co chodzi?

– Ale wtedy zostawisz swoją armię w Faça i Rimie, a w nowym miejscu będziesz zmuszona zaczynać od zera – wyjaśnił powoli.

Gin roześmiała się.

– Jestem do tego przyzwyczajona.

Właśnie wtedy natrafili na kilku myśliwych przy drodze.

– Dużo udało się upolować? – zapytała Gin.

– Niezbyt – odparł jeden z mężczyzn. – Spędziliśmy w lesie prawie cały ranek i nic z tego nie mamy. Wygląda na to, że będziemy musieli poczekać do jesieni.

Luan i Gin patrzyli, jak myśliwi zakładają skomlącym nieszczęśliwie psom smycze, a następnie owijają łuki grubym materiałem. Mężczyźni pożegnali się i odeszli.

– Jesteś marszałkiem – rzekł Luan. – Lecz mamy pokój. Myślisz, że w oczach cesarza wiele się różnisz od psa łowieckiego albo łuku, już po tym jak złapano wszystkie króliki i zabito ostatnie dzikie gęsi?

Gin zmrużyła oczy.

– Myślisz, że Kuni odsyła mnie do Gėjiry, żeby odciąć mnie od lojalnych dowódców?

– To jedna z możliwych interpretacji.

– Powiedział mi także, że mogę nosić swój miecz na dworze, a tego zaszczytu nie dostąpili nawet ci, którzy służyli mu znacznie dłużej, na przykład Mün Çakri i Than Carucono. Dlaczego miałyby mi na to pozwolić, jeśli podejrzewa mnie o nieczyste zamiary?

– Odmówiłaś?

– Oczywiście, że nie! Zasłużyłam sobie na to.

Luan westchnął.

– Nie wiem, co się dzieje w głowie Kuniego. Wiem jednak, że władza zmienia sposób, w jaki patrzymy na swoich przyjaciół. Cogo zrozumiał to przed nami wszystkimi i mądrze zrobił, postanawiając uspić podejrzenia Kuniego poprzez udawanie głupca. Gdyby celowo nie naraził na szwank swojego dobrego imienia, Kuni mógłby pomyśleć, że próbuje odciągnąć od niego lud.

– Zawsze myślisz o najgorszym, kiedy zdobywasz zasłużoną chwałę?

– To głos rozwagi. Wiara w przychylność moich przypomina puszczanie latawca na wietrze.

Gin pośpieszyła konia do kłusu.

– Nie mów mi o rozwadze. Od dziecka żyłam w strachu i niepewności. Ja dobrze rządę żołnierzami, lecz Kuni dobrze rządzi generałami. Moje ambicje w pełni zaspokaja służba dobremu władcy.

– A jednak zabiłaś Shiluégó dla awansu. Czy naprawdę wiesz, czego pragnie twoje serce? Albo jak ocenią cię inni? Jeśli nie odejdziesz, póki ścieżka stoi jeszcze otworem, być może kiedyś będziesz zmuszona walczyć o swoje życie.

Twarz Mazoti stężała.

– Miałam niegdyś szansę zdradzić Kuniego, lecz odmówiłam. Świat składa się nie tylko z brutalnej siły i bezlitosnych zrad. Kuni nie musi się mnie obawiać i ja też nie zamierzam bać się jego.

Wrócili do miasta w milczeniu.



W Dimushi znajdowało się kilkoro ludzi, których Gin musiała zobaczyć jeszcze raz. Na początek zarządziła poszukiwania gangu Szarej Łasicy i okaleczonych dzieci, które dla niego zebrały.

Nie było łatwo odnaleźć członków dawno nieistniejącej szajki, jednak urzędnicy

miejscy bardzo chcieli zadowolić najpotężniejszą arystokratkę ze świty Kuniego Garu, więc w końcu przyprowadzili do niej kilku zakutych w łańcuchy mężczyzn.

– Tylko tych udało nam się wysledzić – powiedział starszy urzędnik magistratu. – Nawet złodziejom nie wiedzie się w czasie wojny.

– A co z dziećmi? – zapytała.

– Prawdopodobnie nie przeżyły – odparł mężczyzna, unikając jej wzroku.

Mazoti kiwnęła głową i popatrzyła w dal.

Kazała obciąć więźniom dłonie i połamać nogi.

– Spójrzcie na mnie – rzekła, a żołnierze podtrzymali wiotkie ciała. Złodzieje, teraz ledwie przytomni, z ogromnym wysiłkiem unieśli głowy. – To ostatnia twarz, jaką zobaczycie przed śmiercią.

Potem na jej rozkaz wypalono im oczy rozgrzanymi do czerwoności żelaznymi prętami. Złodzieje wrzeszczeli, gdy ich ciała skwierczały.

– To nie za mnie. To za tamte dzieci.

Mazoti kazała im także przekłuć bębniaki uszne, żeby ich własne krzyki odbijały im się echem w głowach do końca życia.

Następnie poleciła odszukać praczkę, która przed laty podzieliła się z nią jedzeniem. To zadanie wymagało jeszcze więcej czasu, jednak królowa kazała przeczesać wioski wzdłuż Liru i przyprowadzić wszystkie staruszki. W końcu znalazła tę właściwą.

Kobieta drżała, gdy przyprowadzono ją przed oblicze Mazoti. Królowa wręczyła jej tysiąc sztuk złota.

– Babciu, pomogłaś mi, kiedy byłam nikim. Bogowie nigdy nie zapominają aktu prawdziwej dobroci.

Potem przyszedł czas na wyznawców Rufizo, którzy krzywdząc ją, próbowali uczynić z niej grzeczną dziewczynkę.

Mazoti dała im pięćdziesiąt sztuk srebra.

– Tyle powinno wystarczyć na pokrycie kosztów utrzymywania mnie przez tamtych kilka miesięcy. Chcieliście mnie leczyć, lecz nie mieliście ni krztyny cierpliwości, by podjąć się prawdziwie ciężkiej pracy i rozgrzać serce skrzywdzonej dziewczynki. Może następnym razem zrobicie to lepiej.

Wreszcie przed Mazoti stanął dręczyciel z doków, między którego nogami musiała się niegdyś przeczołgać.

Po całym mieście krążyły opowieści o tym, co na polecenie królowej zrobiono członkom starego gangu Szarej Łasicy. Mężczyzna drżał z przerażenia. Padł na podłogę, cały roztrzęsiony, i nie śmiał pisnąć choć słówka.

Mazoti zaproponowała mu, by usiadł i się uspokoił.

– Upokorzyłeś mnie kiedyś, lecz dzięki temu nauczyłam się, jak ważne w drodze na szczyt jest znoszenie drobnych obelg. Mieszkałam na ulicy, a teraz powracam tu jako królowa. Gdybym jednak chciała się na tobie zemścić, pokazałabym, że ani trochę nie zmądrzałam. Napijmy się razem.



Ten dzień miał być ostatnim dniem Kuniego Garu. Następnego ranka w nowym pałacu w Harmonijnym Mieście Pan miał zostać koronowany cesarzem Raginem i rozpocząć Rządy Czterech Spokojnych Mórz, a po formalnej koronacji nadać nowe tytuły. Cogo Yelu zdążył już przygotować gruby plik petycji, jakim miał się przyjrzeć Kuni: znajdowały się w nich pomysły na zarządzanie imperium Dasu i polepszenie warunków życia mieszkańców.

Dziś jednak Kuni miał siedzieć w *géüpa* i w Zudi pić razem z dawnymi przyjaciółmi. Wino miało się łać strumieniami, a maniery zostać zapomniane. Dzisiaj można będzie powiedzieć wszystko.

Mün Çakri, pierwszy generał piechoty, Than Carucono, pierwszy generał kawalerii, oraz Rin Coda, sekretarz wywiadu (sam zasugerował ten tytuł, ponieważ brzmiał lepiej niż „dowódca szpiegów”), gościli księcia Thékę Kimo i markiza Pumę Yemu przy stoliku w rogu sali, gdzie ich głośne pijackie gry nie przeszkadzały innym klientom. Od czasu do czasu, kiedy zbyt zaciekle kłócili się o to, kto powinien pić, Kuni musiał osobiście rozstrzygać spory.

Obok znajdował się stół, gdzie pozostawiono puste miejsca dla wszystkich, którzy nie dożyli tego dnia: Naré, Hupé, Muru, Ratho, kapitan Dosa, Phin, Mata, Mira, Kikomi... Od czasu do czasu Kuni i inni goście podchodzili wypić toast za zmarłych. Chociaż w ich oczach błyszczały łzy, humory im dopisywały: nadzieja to najlepszy sposób na uhonorowanie tych, którzy odeszli.

Jedynym, co psuło świąteczny nastrój, była nieobecność Dafiro Miro, kapitana strażników pałacowych. Właśnie wioził ciało brata do ich rodzinnej wioski niedaleko Kiesy, gdzie przyrzekł przez rok trwać w żałobie.

Wdowa Wasu zadbała o jedzenie i picie; dzięki klientom, którzy przybywali do jej lokalu wiedzeni ciekawością korzeni Kuniego, mogła wprowadzić znacznie wyższe ceny. Znała jednak wagę dyskrecji i tylko uśmiechała się tajemniczo, gdy pytano ją o prawdziwość takiej czy innej historii. Serwowała nawet nowy drink, opracowany z myślą o studentach, którzy przyjeżdżali z całej Dary, by pobierać nauki w akademiach otwartych przez uczniów mistrza Loinga. Sam mistrz niestety odszedł z tego świata, jednak szansa studiowania u byłych kolegów z klasy cesarza uważana była za prawdziwy zaszczyt. Wysoka fala niosła ze sobą wszystkie łodzie.

Na podwyższeniu, przy głównym stole, obok Kuniego i jego żon, siedzieli Féso, ojciec Kuniego; Kado i Tete Garu, jego brat i bratowa; oraz Gilo i Lu Matiza, rodzice Jii. Uśmiechy na twarzach Matizów były nieco wymuszone, jednak Kuni miał dobry nastrój i nie robił im wymówek po powrocie do Zudi. (Chociaż na samym początku bankietu uderzył głośno w pusty garnek i uśmiechnął się, gdy Tete wyraźnie się zarumieniła).

Jia cały czas wznosiła toasty za Gin Mazoti, Luana Zyę i Cogo Yelu. To było troje najważniejszych ludzi w nowym imperium Dasu. Wydawała się nadrabiać stracony czas – w końcu podczas jej kilkuletniej nieobecności Risana miała okazję dbać o ich dobre stosunki.

Soto Zyndu popatrzyła najpierw na Jię, a potem na Risaną, której zdawała się wystarczać wyłącznie uwaga Kuniego. Wcześniej nowy cesarz ogłosił, że syn Risany, młody książę znany jako Hudo-tika, z racji osiągniętego wieku rozumnie oficjalnie

otrzyma nowe imię. Od teraz miał się nazywać Phyro, czyli „perła na dłoni”.

Tylko kilka osób, które dość wnikliwie studiowały klasyków Ano, zrozumiało aluzję. Cocruski patriota i poeta Lurusén napisał niegdyś wiersz na cześć narodzin nowego księcia:

*Syn, który kontynuuje dzieło ojca,
Cenniejszy jest niż perła na dłoni wielkiego króla.*

Imię księcia Timu, Łagodnego Władcy, nawiązywało do miłości syna do matki, jednak wybór imienia Phyro zdawał się wskazywać, w kim Kuni upatruje swojego następcę. Nic dziwnego, że kiedy ogłoszono zmianę imienia Hudo-tiki, Jia przybrała kamienny wyraz twarzy. Risana zdawała się zupełnie na to nie zważać.

Od czasu do czasu w sali bankietowej dało się słyszeć śmiech i nawoływania dzieci bawiących się na podwórzu.

Soto westchnęła. Risaną czekały kłopoty, a dziewczyna nie miała o tym pojęcia. Myślała, że uczucie Kuniego wystarczy, jednak nie rozumiała, że politykowanie żon i dzieci cesarza będzie znacznie bardziej zażarte i zawile, niż umiałyby sobie to wyobrazić.

Risana zagrała na kokosowej lutni, zaś Kuni, pijany i zasmucony, odłożył swój *kunikin* i zaczął śpiewać:

*Wiatr przegania chmury po niebie błękitnym.
Moją siłą kołysze ciepła morska bryza.
Teraz jestem w domu rodzinnym.
Lecz ulotna chwila sielanki przeminie zaraz.*

Na zewnątrz niczym płatki śniegu wirowały nasiona dmuchawca.

– Słyszałem, że odmówiłeś przyjęcia tytułu Cesarskiego Mędrca i Najwyższego Sekretarza – rzekł Cogo, siadając obok Luana. – Czym więc zamierzasz się zająć?

– Och, jeszcze nie zdecydowałem. Może spróbuję zaadaptować projekt mechanicznych crubenów do skonstruowania żelaznych koni albo byków; kupcom i rolnikom by się to spodobało. Może przemierzę Wyspy balonem i sporządzą lepsze mapy. Może wrócę w góry, żeby ulepszyć swój latawiec bez sznura.

– Pewny jednak jesteś, że nie zostaniesz na dworze?

– Jest czas, by wypłynąć razem z crubenem, lecz także by się wycofać.

Cogo uśmiechnął się i nie mówił już nic więcej.

Luan popatrzył na Gin Mazoti. Odpowiedziała tym samym i uśmiechnęła się, podnosząc kielich. Luan widział w jej oczach jedynie zaufanie, lecz zmroziły go słowa Kuniego. Polowanie się skończyło.

Luan westchnął, podniósł kielich i napił się.

GLOSARIUSZ

cruben – wieloryb pokryty łuskami z pojedynczym rogiem na głowie – symbol władzy cesarskiej.

cüpa – gra, w której na planszy ustawia się czarne i białe kamyki.

dyrana – latająca ryba, symbol kobiecości i zwiastun szczęścia; jest pokryta łuskami w kolorach tęczy i ma ostry pysk.

géüpa – swobodna pozycja, jaką przyjmuje się w sytuacjach nieformalnych; siada się na pośladkach, każdą stopę wtykając pod przeciwległe udo.

jiri – kobiecy ukłon; wymaga skrzyżowania rąk na piersi w geście szacunku.

kunikin – duży kielich na trzech nogach.

sokół Mingén – gatunek niezwykle dużych sokołów z wyspy Rui.

mipa rari – pozycja, jaką przyjmuje się w sytuacjach formalnych; wymaga klęczenia z wyprostowanymi plecami i ciężarem ciała równo rozłożonym między kolana i stopy.

ogé – krople potu.

pawi – zwierzęcy atrybut bogów Dary.

rénga – oficjalny tytuł, którym należy zwracać się do cesarza.

thakrido – niezwykle swobodna pozycja siedząca, w której nogi są wyprostowane; odpowiednia wyłącznie w obecności podwładnych lub członków rodziny.

tunoa – winogrona.

-tika – przyrostek wyrażający czułość, stosowany względem członków rodziny.

POSŁOWIE

Wiersz Maty Zyndu jest adaptacją *Ody do chryzantemy* z późnego okresu dynastii Tang, napisanej przez Huanga Chao (Huang to nazwisko). Historia Huanga nie ma zbyt wiele wspólnego z niniejszą książką, jednak zupełnie przypadkiem dotyczy kwiatów i polityki, więc pokrótce ją tu przedstawię.

Huang, członek bogatej rodziny przemysłowców soli, napisał swoją odę w Chang An, stolicy Chin z czasów dynastii Tang, a miało to miejsce zaraz po tym, jak nie udało mu się zdać cesarskiego egzaminu. Ulubionym kwiatem dworu była wtedy peonia, więc wychwalanie chryzantemy stanowiło deklarację polityczną.

W 875 roku Huang zbuntował się przeciwko przeżartym korupcją dworzanom, którzy żyli w luksusie, podczas gdy lud cierpiał na skutek klęsk żywiołowych i niesprawiedliwych rządów. Pięć lat później jego oddziałom udało się podbić Chang An. Ocalałe annały wskazują na to, że ludzie Huanga wymordowali i ograbili także cywilów. Ostatecznie rebelię – chociaż przyśpieszyła upadek dynastii – stłumiono, zaś Huang został zdradzony przez swoich zwolenników i zabity.

Wiersz Huanga zawsze był kontrowersyjny, podobnie jak jego miejsce w historii – w pewnym sensie Kuni i jego doradcy byli zbyt optymistyczni, ponieważ ocena historii nawet po tysiącu lat wciąż może pozostawać nieostateczna.

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść ogromnie zyskała dzięki uwagom i sugestiom moich beta-czytelników: Anatolija Belilovskiego, Marty'ego Bonusa, Dario Ciriello, Anaei Lay, Johna P. Murphy'ego, Eriki Naone, Emmy Osborne, Cindy Pon, Kennetha Schneyera, Alex Shvartsman oraz Louisa Westa. Dziękuję im z całego serca. Każdy pisarz powinien mieć tyle szczęścia, by otaczać się tak mądrymi i wspaniałomyślnymi przyjaciółmi.

Jestem również wdzięczny mojemu redaktorowi Joemu Montiemu, który uwierzył w tę książkę i podczas wieloletniej współpracy pomógł mi ją ukształtować zgodnie z moją wizją, a także mojemu agentowi Russowi Galenowi, który wyszarpał mi z rąk manuskrypt i znalazł świetnego wydawcę (i z niebywałą cierpliwością znosił moje wątpliwości i chorobliwe pytania). Z przyjemnością współpracowałem ze wszystkimi pracownikami Saga Press oraz Simon & Schuster. Za ich cierpliwość i pasję, z jaką przeprowadzali nowego autora przez proces wydawniczy, serdecznie dziękuję.

Największe uznanie należy się mojej żonie Lisie, która razem ze mną wymyśliła tę książkę, a następnie czytała i komentowała jej liczne szkice, z ogromnym poświęceniem wspierając mnie w dobrych i złych chwilach. Mam nadzieję, że pewnego dnia moje córki będą mogły cieszyć się lekturą powieści, której ich ojciec poświęcił tak wiele czasu w momencie, gdy były jeszcze niemowlętami.

The Grace of Kings

Copyright © by Ken Liu 2015

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

Copyright © for the translation by Agnieszka Brodzik 2016

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Kamil Misiek, Aneta Wieczorek / Editor.net.pl

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Sam Weber

Mapa – Jacek Łukawski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.










Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2016

ISBN EPUB: 978-83-7924-520-8

ISBN MOBI: 978-83-7924-519-2

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Mapa](#)

[Lista najważniejszych bohaterów](#)

[Uwagi o wymowie](#)

[WSZYSTKO, CO POD NIEBEM](#)

[Rozdział pierwszy. ZABÓJCA](#)

[Rozdział drugi. MATA ZYNDU](#)

[PRZEPOWIEDNIA RYBY](#)

[Rozdział trzeci. KUNI GARU](#)

[Rozdział czwarty. JIA MATIZA](#)

[Rozdział piąty. ŚMIERĆ CESARZA](#)

[Rozdział szósty. PAŃSZCZYŻNA](#)

[Rozdział siódmy. MĘSTWO MATY](#)

[Rozdział ósmy. WYBÓR KUNIEGO](#)

[Rozdział dziewiąty. CESARZ ERISHI](#)

[Rozdział dziesiąty. REGENT](#)

[Rozdział jedenasty. KASZTELAN](#)

[POGOŃ ZA JELENIEM](#)

[Rozdział dwunasty. REBELIA ROŚNIE W SIŁĘ](#)

[Rozdział trzynasty. KINDO MARANA](#)

[Rozdział czternasty. ADMINISTRATOR KUNI](#)

[Rozdział piętnasty. KRÓL RIMY](#)

[Rozdział szesnasty. „WASZA WYSOKOŚĆ”](#)

[Rozdział siedemnasty. BRAMY ZUDI](#)

[Rozdział osiemnasty. LUAN ZYA](#)

[Rozdział dziewiętnasty. BRACIA](#)

[Rozdział dwudziesty. SIŁY POWIETRZA](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy. PRZED BURZĄ](#)

[Rozdział dwudziesty drugi. BITWA O ZUDI](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci. UPADEK DIMU](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty. BITWA O ARULUGI](#)

[Rozdział dwudziesty piąty. „TO RZECZYWIŚCIE KOŃ”](#)

[Rozdział dwudziesty szósty. OBIETNICA PRINCEPSA](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy. KIKOMI](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy. PLAN LUANA ZYI](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty. BITWA NA WILCZEJ ŁAPIE](#)

[Rozdział trzydziesty. WŁADCA PAN](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy. MASAKRA](#)

[Rozdział trzydziesty drugi. GOSPODYNI](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci. PRAWDZIWY WŁADCA PAN](#)

WILK W KLATCE

Rozdział trzydziesty czwarty. UCZTA

Rozdział trzydziesty piąty. NOWY ŚWIAT

Rozdział trzydziesty szósty. DASU

Rozdział trzydziesty siódmy. WIZYTA W DOMU

Rozdział trzydziesty ósmy. RISANA

Rozdział trzydziesty dziewiąty. LISTY

Rozdział czterdziesty. GIN MAZOTI

Rozdział czterdziesty pierwszy. MARSZAŁEK

Rozdział czterdziesty drugi. Z MLECZA RODZI SIĘ DMUCHAWIEC

Rozdział czterdziesty trzeci. PIERWSZE UDERZENIE

Rozdział czterdziesty czwarty. CRUBEN W GŁĘBI MORZA

CHMURY PŁYNĄ PO NIEBIE

Rozdział czterdziesty piąty. DASU I COCRU

Rozdział czterdziesty szósty. KONTRATAK MATY

Rozdział czterdziesty siódmy. SPOTKANIE NA RZECE LIRU

Rozdział czterdziesty ósmy. GAMBIT MARSZAŁKA

Rozdział czterdziesty dziewiąty. KUSZENIE GIN MAZOTI

Rozdział pięćdziesiąty. CHWAŁA CHRYZANTEMY

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. KORONACJA

GLOSARIUSZ

POSŁOWIE

PODZIĘKOWANIA

Strona redakcyjna



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:



WydawnictwoSQN



SQNPublishing



wydawnictwosqn



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:

www.labotiga.pl



JUBILEUSZ BESTSELLEROWEGO CYKLU

JAKUB ĆWIEK KŁAΠSA PAPIEŻ SZTUK



JAKUB ĆWIEK

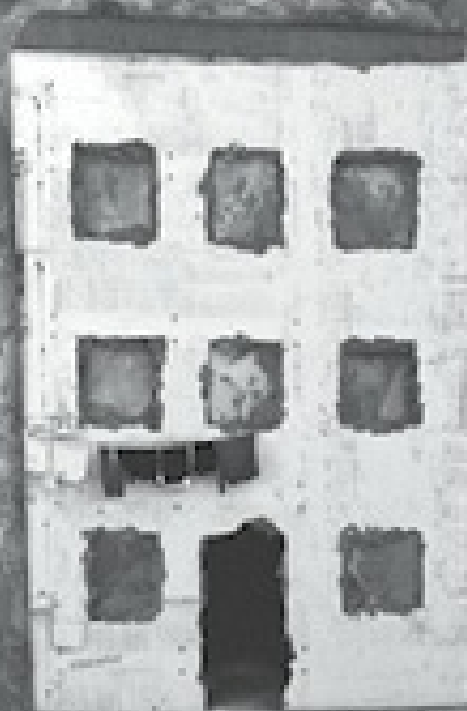
KŁAΠSA

SON

SON

WIGILIJNE PSY

I INNE OPowieści



KSIAZKA LAUREATA PASZPORTU POLITYKI 2015

LUKASZ ORBITOWSKI

SON

WIGILIJNE PSY I INNE OPowieści
LUKASZ ORBITOWSKI
SON

PIOTR
PATYKIEWICZ

DOPÓKI NIE ZGASNA GWIAZDY

DOPÓKI
NIE ZGASNA
GWIAZDY

PIOTR PATYKIEWICZ

PRZETRWAŁIŚMY...
NA JAK DŁUGO?

SCN

NIEZWYKŁA HISTORIA
MARVEL
COMICS

NIEZWYKŁA HISTORIA

MARVEL COMICS



SEAN HOWE



WYDAWCA
DLA NAJLEPIEJ
KSIĄDKI I KOMIKSÓW



SON

JACEK LUKAWSKI

KREW I STAL

KRAJNA MORTWEJ ZIEMI

KRYMINALISTY

83



SCN

POD SZTANDAREM I DZIKIEGO KWIATU

KRÓLOWIE DARY



LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS

KEN LIU

sqn
imaginatio